

Triumf słońca

Wilbur Smith



calibre 0.9.27

WILBUR SMITH

TRIUMF SŁOŃCA

Z angielskiego przełożyli MARIA I CEZARY FRĄC

WARSZAWA 2006

Tytuł oryginału: THE TRIUMPH OF THE SUN

Redakcja: Barbara Nowak

Ilustracje na obwolucie: Jacek Kopalski

Projekt graficzny obwoluty: Andrzej Kuryłowicz

Wydanie 1

Skład: Laguna

Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne, Łódź

*Książkę tę poświęcam
mojej pomocnicy, towarzysze zabaw, bratniej duszy, żonie
i najlepszemu przyjacielowi Mokhiniso Rakhimova Smith*

Rebecca wspierała łokcie na parapecie szerokiego okna bez szyb, a gorąco pustyni biło w twarz niczym żar z pieca hutniczego. Wydawało się, że nawet rzeka w dole paruje jak kocioł. Tutaj miała prawie milę szerokości, nastąpiła bowiem pora Wysokiego Nilu. Silny nurt tworzył lśniące wiry na powierzchni. Nil Biały był zielony i cuchnął bagnami, przez które niedawno przepłynął i które zajmowały obszar wielkości Belgii. Arabowie nazywali to rozległe trzęsawisko Bahr el Ghazal, a Brytyjczycy Sudem.

W chłodnych miesiącach ubiegłego roku Rebecca wyprawiła się z ojcem w górę rzeki do miejsca, gdzie Nil Biały wypływa z bagien. Dalej na południe rozciągały się nienaniesione na mapę bezdroża. Tam kanały i laguny Sudu pokrywał gęsty kozuch pływających wodorostów, które wciąż się przesuwają, skrywając drogi wodne przed wszystkimi prócz najsprawniejszych, najbardziej doświadczonych nawigatorów. Ten wodny, malaryczny świat był królestwem krokodyli i hipopotamów, niezliczonych gatunków ptaków, pięknych i groteskowych, a także dziwnych, ziemnowodnych antylop sitatunga o spiralnych rogach, kudłatej sierści i wydłużonych racicach, przystosowanych do życia na rozlewiskach. Rebecca odwróciła głowę i pukiel jasnych, gęstych włosów przysłonił jej oko. Odgarnęła go na bok i popatrzyła w dół nurtu, gdzie spotykały się dwie wielkie rzeki. Widok nie przestawał jej intrygować, choć oglądała go codziennie od dwóch długich lat. Środkiem koryta żeglowała wielka tratwa wodorostów. Prąd porwał ją z bagien i niósł na północ, gdzie miała rozpaść się na kataraktach, które przerywają gładki nurt rzeki. Rebecca śledziła ją wzrokiem aż do zbiegu dwóch Nilów.

Drugi Nil płynął ze wschodu, świeży i słodki jak górski strumień, który był jego źródłem. W porze Wysokiego Nilu woda miała szaroniebieski kolor, od pyłu wymytego z gór Abisynii. Od tej barwy rzeka wzięła swoją nazwę. Nil Błękitny, choć nieco węższy od swojego bliźniaka, i tak stanowił ogromną drogę wodną. Rzeki schodziły się u szczytu trójkąta, na którym leżało Miasto Trąby Słoniowej, Chartum. Dwa Nile nie mieszały się od razu. Jak okiem sięgnąć, płynęły obok siebie w jednym korycie. Zachowywały odrębne kolory i własny charakter aż do leżących dwadzieścia mil dalej skał przełomu Szabluka, gdzie w końcu łączyły się w burzliwym związku.

- Nie słuchasz, kochanie — powiedział ostro jej ojciec.

Rebecca odwróciła się z uśmiechem.

— Wybacz, tato, zamyśliłam się.

— Wiem, wiem. Nastąpiły trudne czasy — przyznał. — Ale musisz stawić im czoło. Już nie jesteś dzieckiem, Becky.

— Nie jestem — zgodziła się z żarem w głosie. Nie miała zamiaru się skarżyć, nigdy się nie skarżyła. — W zeszłym tygodniu skończyłam siedemnaście lat. Mama wyszła za mąż w tym samym wieku.

— A teraz ty zajmujesz jej miejsce jako pani tego domu. — Na jego twarzy odmalowała się rozpacz, gdy wspomniał ukochaną żonę i jej straszną śmierć.

— Drogi tato, właśnie użyłeś obosiecznego argumentu — zaśmiała się. -- Skoro jest tak, jak mówisz, czy możesz żądać, żebym cię zostawiła?

David Benbrook przez chwilę był zakłopotany, ale zaraz potem odpędził smutki i roześmiał się razem z nią. Była taka bystra i śliczna, że nieczęsto potrafił się jej oprzeć.

— Jesteś tak podobna do matki. — Stwierdzenie to zwykle pełniło funkcję białej flagi, ale w tym wypadku zapoczątkowało wyliczanie argumentów. Rebecca odwróciła się w stronę okna; nie ignorowała ojca, ale słuchała półuchem. Teraz, gdy przypomniał o grożącym im poważnym niebezpieczeństwie, zimne szpony strachu ścisnęły jej serce na widok drugiego brzegu Nilu.

Dochodzące do samej rzeki zabudowania tubylczego miasta Omdurmanu, mające barwę

otaczającej je pustyni, wydawały się małe niczym domki dla lalek i falowały w gorącym powietrzu.

Pomimo odległości groźba biła z nich równie mocno jak żar ze słońca. Bębny dudniły bez chwili przerwy, we dnie i w nocy, bezustannie przypominając o śmiertelnym niebezpieczeństwie, które zawisło nad mieszkańcami Chartumu. Łoskot niósł się ponad wodą niczym bicie serca samego potwora. Rebecca potrafiła sobie wyobrazić, jak potwór siedzi pośrodku swojej sieci, patrząc na nich pożądliwym wzrokiem, fanatyk z nieugaszoną pragnieniem ludzkiej krwi. Niebawem on i jego wyznawcy przyjdą po nich. Zadrżała i skupiła uwagę na głosie ojca.

— Oczywiście przyznaję, że odziedziczyłaś po matce odwagę i upór, Becky, ale pomyśl o bliźniaczkach. Pomyśl o dziewczynkach. To teraz twoje dzieci.

— Dobrze wiem, że jestem za nie odpowiedzialna — wybuchła, po czym równie szybko zdusiła złość. Znowu się uśmiechnęła, a jej uśmiech zawsze zmiękczał serce ojca. — Ale myślę również o tobie. — Stała przy jego krześle i położyła mu rękę na ramieniu. — Jedź z nami, tato.

— Nie mogę, Becky. Jestem konsulem generalnym Jej Królewskiej Mości. Muszę zostać. To mój święty obowiązek. Moje miejsce jest tutaj, w Chartumie.

— W takim razie moje też — odparła krótko i pogłaskała go po głowie. Czuprynę wciąż miał gęstą i sprężystą, niegdyś czarną, dziś przetykaną siwizną. Był przystojnym mężczyzną, a ona często szcztokowała mu włosy, a także przycinała i podwijała wąsy z taką dumą, z jaką kiedyś robiła to jej matka.

David westchnął i już miał zaprotestować, gdy przez otwarte okno wpadły przeraźliwe dziecięce piski. Oboje zamarli. Znajome głosy przeszły im serca. Rebecca pospieszyła do drzwi, a David zerwał się z krzesła za biurkiem. Po chwili odprężyli się, bo krzyki rozbrzmiały na nowo i usłyszeli w nich podniecenie, nie strach.

— Są na wieży obserwacyjnej.

— Nie wolno im tam wchodzić! — zawołał David.

— Jest wiele miejsc, do których nie wolno im zaglądać — zgodziła się Rebecca — i właśnie tam najczęściej można je znaleźć. — Wyszła z pokoju na wyłożony kamiennymi płytami korytarz. Kręcone schody na drugim końcu prowadziły na wieżyczkę. Rebecca podkasła spódnicę, zwinnie i szybko pokonując kolejne stopnie. Ojciec podążył za nią bardziej statecznym krokiem. Wyszła w pałac słońce na górny balkon wieżyczki.

Bliźniaczki tańczyły niebezpiecznie blisko niskiej balustrady. Rebecca chwyciła je za ręce i pociągnęła do tyłu. Rozejrzała się z wyżyn pałacu konsularnego. W dole leżały minarety i dachy Chartumu. Wstęgi Nilu Białego i Błękitnego ciągnęły się po horyzont.

Saffron spróbowała wyszarpnąć rękę.

— Ibis! — krzyknęła. — Patrz, płynie Ibis. — Była wyższa, ciemniejsza od siostry bliźniaczki, nieokiełznana i krnąbrna jak chłopak.

— Nieustraszony Ibis — pisnęła filigranowa, jasnowłosa Amber. Jej głos miał melodyjne brzmienie, nawet gdy była podekscytowana. — To Ryder na Nieustraszonym Ibisie.

— Dla ciebie pan Ryder Courtney — poprawiła Rebecca. — Nie wolno ci nazywać dorosłych po imieniu. I żebym nie musiała wam tego powtarzać. — Ale siostry nie wzięły reprimendy do serca. Spoglądały z niecierpliwością w górę Nilu Białego, skąd płynął ładny biały parowiec.

— Wygląda jak zrobiony z lukru — powiedziała Amber, rodzinna ślicznotka o anielskich rysach, zadartym nosku i dużych niebieskich oczach.

— Mówisz to za każdym razem — zauważyła Saffron bez cienia urazy. Była przeciwieństwem Amber: miała oczy koloru ciemnego miodu, drobne piegi na policzkach i szerokie, skore do śmiechu

usta. Popatrzyła na Rebeccę z szelmowskim błyskiem w tych miodowych oczach. — Ryder jest twoim amantem, prawda? — „Amant” był najnowszym dodatkiem do jej słownika, stosowanym wyłącznie w odniesieniu do Rydera Courtneya.

Rebecca uważała to określenie za pretensjonalne i dziwnie irytujące.

— Wcale nie! — zaprzeczyła wyniośle, żeby ukryć rozdrażnienie. — I nie bądź zuchwała, smarkulo.

— Wiezie tony jedzenia! — Saffron wskazała na sznur czterech płaskodennych barek holowanych przez Ibisa.

Rebecca puściła ręce bliźniaczek i ocieniła oczy przed blaskiem. Saffron miała rację. Przynajmniej na dwóch barkach piętrzyły się worki sorgo zwanego durra, będącego podstawową rośliną zbożową w Sudanie. Dwie pozostałe wiozły różnorodny ładunek. Ryder zaliczał się do najzamożniejszych przedsiębiorców prowadzących handel na obu rzekach. Miał wiele faktorii, rozproszonych na przestrzeni stu mil wzdłuż Nilu, od dopływu Atbara na północy po Gondokoro i daleką Equatorię na południu, a także na wschodzie nad Nilem Błękitnym, od Chartumu po wyżyny Abisynii. David wszedł na balkon.

— Dzięki Bogu, że przybył — rzekł cicho. — To wasza ostatnia szansa ucieczki. Courtney zabierze was wraz z setkami uchodźców w dół rzeki, poza zasięg szponów Mahdiego.

W tej chwili zza rzeki napłynął huk armatniego wystrzału. Odwrócili się szybko i zobaczyli obłok dymu nad jednym z dział derwiszów po drugiej stronie Nilu Białego. Chwilę później fontanna wody wystrzeliła sto jardów przed dziobem parowca. Piana była zabarwiona na żółto przez kwas pikrynowy z wybuchającego pocisku.

Rebecca poderwała rękę do ust, żeby zdusić krzyk trwogi, a David powiedział szyderczo: — Módlmy się, żeby celowali nie lepiej niż zwykle.

Działa baterii derwiszów kolejno podjęły ostrzał i woda wokół niewielkiego statku zagotowała się od eksplodujących pocisków. Odłamki smagały rzekę jak tropikalny deszcz.

Potem zagrzały wyzywająco wszystkie wielkie bębny armii Mahdiego i ryknęły trąby ombeja. Spomiędzy zabudowań wypadli jeźdźcy na koniach i wielbłądach. Galopowali brzegiem rzeki, równoległe do Ibisa.

Rebecca pobiegła na drugi koniec balkonu do trójnogu z długą mosiężną lunetą wycelowaną w cytadelę wroga. Stała na palcach, żeby dosięgnąć do okularu, i szybko nastawiła ostrość. Zobaczyła liczną jazdę derwiszów, na wpół przesłoniętą przez chmury czerwonego pyłu, który wzbijały kopyta galopujących wierzchowców. Widziała zaciekle, smagłe twarze jeźdźców, widziała usta miotające przekleństwa i pogrożki, i słyszała ich straszny okrzyk wojenny: — Allah akbar! Nie ma bóstwa innego niż Bóg, a Mahomet jest jego Prorokiem!

Jeźdźcy byli ansarami, czyli pomocnikami, elitarną strażą przyboczną Mahdiego. Wszyscy mieli na sobie dżibby, łaciate szaty, które miały przypominać łachmany noszone na początku tego dżihadu przeciwko niewiernym, bezbożnym, niewierzącym. Uzbrojeni tylko we włócznie i kamienie, w ciągu minionego półrocza rozgromili i wycięli w pień trzy armie niewiernych. Teraz oblegali Chartum i chlubili się swoimi łaciatymi strojami, stanowiącymi symbol ich bezprzykładnej odwagi oraz wiary w Allaha i jego Mahdiego, Oczekiwanego. Wymachiwali dwuręcznymi mieczami i strzelali z karabinów Martini-Henry, które zdobyli na pokonanych wrogach.

W czasie wielu miesięcy oblężenia Rebecca niejedną raz widziała podobne buńczuczne pokazy, dlatego skierowała lunetę w górę rzeki, szukając wśród gejzerów wody i pary otwartego mostka parowca. Ryder Courtney, wsparty o reling, z lekkim rozbawieniem śledził wysiłki ludzi, którzy chcieli go zabić. W pewnej chwili wyprostował się i wyjął z ust długie czarne cygaro. Powiedział

coś do sternika, który posłusznie zakręcił kołem, i długi kilwater Ibis zaczął zakrzywiać się w stronę Chartumu.

Na przekór docinkom Saffron widok Rydera Courtneya nie wzbudził w jej sercu miłosnego drżenia. Rebecca uśmiechnęła się w duchu. Wątpię, czy potrafiłabym je rozpoznać, pomyślała. Uważała, że jest odporna na takie przyziemne emocje. A jednak zimna krew Rydera w obliczu zagrożenia wprawiła ją w podziw, a zaraz potem ogrzała ją ciepłe uczucie przyjaźni. Przecież możemy być przyjaciółmi, to nic zdrożnego, pomyślała uspokajająco i nagle zatroskała się o jego bezpieczeństwo.

— Boże, błagam, miej go w opiece w tym oku cyklonu — szepnęła, a Bóg wysłuchał jej prośby.

Na jej oczach stalowy odłamek szrapnela przebił komin tuż nad głową Rydera i z poszarpanej dziury rzygnął czarny dym. Ryder nawet się nie obejrzał, tylko wsunął cygaro do ust i wypuścił długą smużkę siwego dymu, porwaną przez wiatr. Miał na sobie przybrudzoną białą koszulę, rozpiętą pod szyją, z podwiniętymi rękawami. Kciukiem zsunął na tył głowy kapelusz o szerokim rondzie, upleciony z palmowych liści. Na pierwszy rzut oka wyglądał na krępego, ale było to złudzenie wywołane szerokością barków i obwodem muskularnych ramion. Wąskie biodra i wzrost, jakim górował nad arabskim sternikiem, zadawały kłam temu wrażeniu.

David złapał za ręce młodsze córki i przechylił się nad balustradą, wdając w głośną rozmowę z osobą stojącą na dziedzińcu pałacu.

— Drogi generale, czy pańscy kanonierzy mogliby odpowiedzieć ogniem, żeby odciągnąć uwagę od statku pana Courteneya? — Jego ton wyrażał głęboki szacunek.

Rebecca spojrzała w dół i zobaczyła, że ojciec zwraca się do dowódcy egipskiego garnizonu, broniącego miasta. Generał „Chińczyk” Gordon był bohaterem imperium, zwycięzcą wielu wojen w różnych częściach świata. Przydomku dorobił się w Chinach, gdzie dowodził legendarną Niezwyciężoną Armią.

Generał, w czerwonym fezie z kitą, wyszedł ze sztabu w południowym skrzydle pałacu.

— Rozkazy już zostały wydane. — Odpowiedź, krótka i rzeczowa, zdradzała irytację. Gordonowi nikt nie musiał przypominać o obowiązkach.

Rebecca wyraźnie usłyszała każde słowo. Podobno generał wcale nie musiał wyteżać głosu, żeby słyszano go w zgiełku na polu bitwy.

Parę minut później stanowiska egipskiej artylerii na nabrzeżu rozpoczęły sporadyczny ogień. Dysponowały przestarzałymi działami małego kalibru, sześciofuntowymi górskimi armatami Kruppa; amunicja była stara, a jej zapas skromny, przy czym trafiało się wiele niewybuchów. Mimo wszystko w oczach kogoś, kto przywykł do nieudolności egipskiego garnizonu, artylerzyści strzelali zaskakująco celnie. Kilka chmur czarnego dymu zasnuło czyste niebo wprost nad bateriami derwiszów — kanonierzy po obu stronach mieli wiele miesięcy na wstrzelanie się w pozycje przeciwnika. Ogień nieprzyjacielski znacznie osłabł. Biały parowiec bez szwanku dotarł do zbiegu dwóch rzek. Sznur barek podążył za nim, gdy skręcił ostro na sterburtę, wchodząc w ujście Nilu Błękitnego. Zabudowania miasta szybko zasłoniły go przed armatami na zachodnim brzegu. Baterie derwiszów umilkły, pozbawione celu.

— Możemy zejść na dół, żeby się przywitać? — Saffron już ciągnęła ojca ku schodom. — Chodź, Becky, przywitajmy się z twoim amantem.

Spiesząc przez zaniedbane, spalone słońcem ogrody pałacu, ojciec i córki zobaczyli, że generał Gordon na czele grupy egipskich oficerów również kieruje się do portu. Tuż za bramą uliczkę tarasował martwy koń. Leżał tam od dziesięciu dni, zabity przez zbłąkany pocisk. Brzuch miał wzdęty, w otwartych ranach leżały się białe larwy. W powietrzu brzęczała gęsta chmara niebieskich

much. Smród padliny mieszał się z zapachami obleżonego miasta. Rebecca z trudem wciągała powietrze, żołądek podchodził jej do gardła. Zapanowała nad mdłościami, żeby nie przynieść wstydu sobie i urzędowi ojca.

Bliźniaczki prześcigały się w pantomimie ilustrującej obrzydzenie. Krzyczały: „Fuj!” i „Ale śmierdzi!”, a potem zgięte w pół wydawały realistyczne odgłosy towarzyszące wymiotom. Piszczwały z radości, zachwycone swoją błazenadą.

— Zmykajcie, małe dzikuski! — David spojrział na nie groźnie i potrząsnął laską ze srebrną główką. Wrzasnęły w udawanym przestachu, potem pobiegły w kierunku portu, przeskakując nad stosami gruzu z ostrzelanych, spalonych domów. Rebecca i David szli za nimi wolniejszym krokiem. Nim minęli komorę celną, napotkali tłumy zmierzające w tę samą stronę.

Była to zbita ludzka rzeka złożona z żebraków i kalek, niewolników i żołnierzy, bogatych kobiet w towarzystwie sług, skąpo odzianych prostytutek z plemienia Galla, matek z niemowlętami na plecach, ciągnących za sobą zawodzące dzieci, urzędników rządowych i grubych handlarzy niewolników w złotych pierścieniach z diamentami. Wszystkim przyświecał jeden cel: zobaczyć ładunek przywieziony przez parowiec i sprawdzić, czy nie nadarzy się okazja ucieczki z małego piekła, jakim stał się Chartum.

Bliźniaczki szybko zginęłyby w tłumie, dlatego David posadził Saffron na ramionach, a Rebecca złapała Amber za rękę i dalej ruszyli razem. Ludzie rozpoznawali wysoką, imponującą sylwetkę konsula i ustępowali mu z drogi. Dzięki temu Benbrookowie zjawili się na nabrzeżu tylko kilka minut po generale Gordonie, który przywołał ich do siebie.

Nieustraszony Ibis dotarł do spokojniejszej, osłoniętej wody pół kabla od brzegu i oddał hol. Cztery barki zakotwiczyły w szeregu za rufą, zwrócone dziobami pod silny prąd Nilu Błękitnego. Ryder Courtney rozstawił uzbrojonych strażników na wszystkich barkach, żeby chronili ładunek przed rozszabrowaniem, a następnie ujął koło sterowe i doprowadził parowiec do brzegu.

Gdy tylko znalazł się w zasięgu głosu, bliźniaczki wrzasnęły na powitanie: — Ryder! To my! Przywiozłeś prezenty?

Usłyszał je pomimo gwaru i zaraz potem wypatrzył Saffron na ramionach ojca. Wyjął cygaro z ust, rzucił je za burtę, po czym pociągnął sznur syreny, wypuszczając świszczący strumień pary, i posłał dziewczynce całusa.

Saffron chichotała i wierciła się jak szczenię.

— Czyż nie jest najszykowniejszym amantem na świecie? — Popatrzyła na starszą siostrę.

Rebecca puściła uwagę mimo uszu. Ryder spojrział na nią i zerwał kapelusz z gęstych i ciemnych, lśniących od potu kędziorów. Osłonięty przez kapelusz pasek jasnej skóry na czole odcinał się wyraźnie od reszty twarzy i rąk, opalonych przez pustynne słońce na kolor polerowanego teku. Rebecca odwzajemniła uśmiech i dygnęła. Saffron ma rację: Ryder naprawdę jest przystojny, zwłaszcza kiedy się uśmiecha, pomyślała, ale robią mu się zmarszczki w kącikach oczu. Jest taki stary. Musi mieć ze trzydzieści lat.

— Chyba ma do ciebie feblika — Amber z powagą wygłosiła swoją opinię.

— Tylko nie zaczynaj znowu z tymi horrendalnymi bzdurami, mademoiselle — przestrzegła ją Rebecca.

— Horrendalne bzdury, mademoiselle — powtórzyła cicho Amber i przy pierwszej okazji wykorzystała te słowa przeciwko Saffron.

Ryder Courtney koncentrował uwagę na cumowaniu. Ustawił statek pod prąd, odpowiednio przesuwając dźwignię przepustnicy, a potem przekręcił koło i pozwolił, żeby dryfował bokiem, dopóki stalowa burta nie zetknęła się z obijaczami wiszącymi wzdłuż kei. Załoga rzuciła cumy

ludziom na brzegu. Ryder przesunął rączkę telegrafu, przesyłając wiadomość do maszynowni, i Jock McCrump wytknął głowę z luku. Twarz miał czarną od smaru.

— Tak, kapitanie?

— Utrzymuj ciśnienie pary, Jock. Nie wiadomo kiedy będziemy musieli stąd zwiewać.

— Tak jest, kapitanie. Nie mam ochoty oglądać na pokładzie bodaj jednego z tych śmierdzących dzikusów. — Jock kłębkami bawełnianych odpadów wytarł smar z wielkich, stwardniałych dłoni.

— Teraz ty dowodzisz — powiedział Ryder i przeskoczył nad relingiem. Ruszył w kierunku generała Gordona, który czekał w otoczeniu sztabu. Nie zrobił tuzina kroków, gdy tłum zamknął się wokół niego i uwięził go niczym rybę w saku.

Egipcjanie i inni Arabowie szarpali go za ubranie.

— Efendi, proszę, efendi, mam dziesięcioro dzieci i cztery żony. Zabierz nas na swoim pięknym statku — błagali po arabsku i w łamanym angielskim. Podsuwali mu pod nos pliki banknotów. — Sto egipskich funtów. To wszystko, co mam. Weź, efendi, a moje modły o twoje długie życie popłyną do Allaha.

— Złote suwereny twojej królowej! — proponował inny, potrząsając płóciennym workiem jak tamburynem.

Kobiety zdejmowały biżuterię — ciężkie złote bransolety, pierścienie i naszyjniki skrzące się od szlachetnych kamieni.

— Tylko ja i moje maleństwo. Zabierz nas, wielki panie. — Podsuwały mu niemowlęta, kwilące biedactwa z policzkami zapadniętymi z niedożywienia, z wybroczynami i otwartymi wrzodami na skórze, w pieluchach żółtych jak tytoń od rzadkiego kału zdradzającego cholereę. Jedna z kobiet przewróciła się i upuściła dziecko prosto pod nogi napierających ludzi. Krzyki maleństwa stawały się coraz słabsze, gdy tłum je tratował. Wreszcie podkuty gwoździami sandał zmiażdżył kruchą czaszkę i dziecko umilkło, leżąc w pyle jak porzucona lalka.

Ryder Courtney ryknął z wściekłości i zaczął wymachiwać zaciśniętymi pięściami. Jednym ciosem w szczękę powalił tureckiego kupca, potem opuścił ramię i wbił się w tłum. Niektórzy uskakiwali mu z drogi, a inni zawracali w kierunku Nieustraszonego Ibisa, chcąc wedrzeć się na pokład.

Jock McCrump czekał na nich przy relingu z kluczem ślusarskim w garści i pięcioma członkami załogi za plecami, uzbrojonymi w bosaki i toporki strażackie. Trzasnął w głowę pierwszego śmiałka, który próbował wskoczyć na pokład. Pechowiec spadł w wąską lukę pomiędzy burtą i kamiennym nabrzeżem. Zniknął pod powierzchnią wody i już się nie wyłonił.

Ryder zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i chciał wrócić na statek, nie mógł jednak przebić się przez zbity gąszcz ciał.

— Jock, odbij od brzegu i zakotwicz przy barkach!

Jock usłyszał go mimo panującej wrzawy i pomachał kluczem na znak, że rozumie. Pobiegł na mostek i wydał zwięzłe rozkazy członkom załogi. Nie tracili czasu na odcumowanie, tylko precyzyjnymi uderzeniami toporków przecięli liny łączące statek z brzegiem. Prąd obrócił dziób, ale zanim Nieustraszony Ibis zaczął słuchać steru, jeszcze kilku śmiałków spróbowało przeskoczyć nad poszerzającą się luką. Czterech wpadło do wody i bystry nurt poniósł ich w dół rzeki. Jeden złapał się relingu i wisiał za burtą, próbując wciągnąć się na pokład, błagając załogę o zmiłowanie.

Baczit, arabski bosman, stanął nad nim i ciął toporkiem po prawej dłoni. Schludnie odrąbane cztery palce spadły na pokład jak brązowe kielbaski. Mężczyzna z wrzaskiem runął do rzeki. Baczit wykopał palce za burtę, wytarł toporek o dół długiej szaty, a potem podszedł do kabestanu dziobowej kotwicy. Jock ustawił parowiec w poprzek nurtu i podpłynął do barek, żeby zakotwiczyc

przy pierwszej.

Ludzie wyli z rozpacz, ale Ryder piorunował ich wzrokiem i zaciskał pięści. Już wiedzieli, co zapowiada ten gest, dlatego odsuwali się na bezpieczną odległość. Generał Gordon tymczasem rozkazał zaprowadzić porządek. Żołnierze szli w szeregu, z bagnetami na lufach karabinów, kolbami tłukąc każdego, kto stanął im na drodze. Tłum rozpierzchnął się i zniknął w wąskich uliczkach miasta. Zostało martwe niemowlę z zawadzącą, zakrwawioną matką i pół tuzina jęczących rannych, którzy siedzieli w kałużach własnej krwi. Turek powalony przez Rydera leżał spokojnie na wznak, charcząc głośno.

Ryder rozejrzał się w poszukiwaniu Davida i jego córek, ale konsul miał dość zdrowego rozsądku, żeby zabrać rodzinę w bezpieczne mury pałacu, gdy tylko zaczęły się zamieszki. Ryder odetchnął z ulgą. Zaraz potem zobaczył generała Gordona, prze-stępującego nad zwałami śmieci i ciałami poszkodowanych.

— Dzień dobry, generale.

— Jak się pan miewa, Courtney? Cieszę się, że pana widzę. Mam nadzieję, że podróż była przyjemna.

— Bardzo przyjemna. Bez problemów przeszliśmy przez Sud. O tej porze roku koryto jest porządnie przemyte. Nie musieliśmy przeciągać statku na kotwicy zawoźnej. — Żaden z nich nawet nie wspomniał o ostrzale baterii derwiszów ani o zamieszkach, które przywitały parowiec w mieście.

— Ma pan duży ładunek? — Gordon, o sześć cali niższy od Rydera, spoglądał na niego swoimi niezwykłymi oczami. Były stalowoniebieskie jak pustynne niebo w południe. Niewielu ludzi potrafiło wymazać je z pamięci. Ich hipnotyzujące, przenikliwe spojrzenie stanowiło zewnętrzną oznakę niezłomnej wiary Gordona w siebie i w Boga.

Ryder natychmiast zrozumiał wagę pytania.

— Mam na barkach tysiąc pięćset worków durry, każdy worek o wadze dziesięciu kantarów. — Arabski kantar równał się w przybliżeniu cetnarowi.

Oczy Gordona zaiskrzyły się niczym szlifowane szafiry, gdy uderzył trze inką o udo.

— Doskonale. W garnizonie i w mieście kończy się żywność. Pański ładunek pomoże nam dotrzeć do czasu przybycia odsieczy z Kairu.

Ryder Courtney zamrugał zaskoczony tą optymistyczną oceną sytuacji. W mieście przebywało blisko trzydzieści tysięcy ludzi. Nawet na głodowych racjach zjadali sto worków w jeden dzień. Ostatnie komunikaty odebrane przed przecięciem linii telegraficznej przez derwiszów mówiły, że kolumna odsieczy gromadzi się w delcie i jeszcze przez kilka tygodni nie będzie gotowa do wymarszu na południe. Chartum leżał w odległości ponad tysiąc mil od Kairu. Wojsko musiało pokonać katarakty i przebyć Matkę Kamieni, to straszliwe pustkowie, a następnie przebić się przez hordy derwiszów strzegących brzegów Nilu. Dopiero wtedy będą mogli pomyśleć o zakończeniu oblężenia. Tysiąc pięćset worków durry w żaden sposób nie wyżywi mieszkańców Chartumu przez czas nieokreślony. Nagle Ryder zrozumiał, że optymizm jest najlepszą bronią Gordona. Człowiek jego pokroju nie mógł sobie pozwolić na poddanie się rozpacz w tym beznadziejnym położeniu.

Pokiwał głową na znak zgody.

— Czy zezwala mi pan na sprzedaż ziarna, generale? — W mieście wprowadzono stan wojenny i dystrybucja żywności bez pozwolenia Gordona nie wchodziła w rachubę.

— Nie mogę wyrazić zgody. Mieszkańcy mojego miasta głodują. — Ryder zwrócił uwagę na użycie zaimka dzierżawczego. — Jeśli zacznie pan sprzedaż, ziarno zostanie wykupione przez zamożnych kupców ze szkodą dla biedoty. Racje muszą być równe dla wszystkich. Będę nadzorować

dystrybucję. Nie mam innego wyboru, jak zarekwirować cały pański ładunek zboża. Oczywiście zapłacę uczciwą cenę.

Ryder przez długą chwilę patrzył na niego bez słowa. Wreszcie odzyskał mowę.

— Uczciwą cenę, generale?

— Pod koniec ostatnich zbiorów worek durry na sukach w tym mieście kosztował sześć szylingów. To była i jest uczciwa cena.

— Pod koniec ostatnich zbiorów nie było wojny ani oblężenia — zripostował Ryder. — Generale, sześć szylingów nijak się ma do wygórowanej ceny, jaką zmuszony byłem zapłacić za sorgo. Nie rekompensuje również trudów związanych z transportem i nie zapewnia mi uczciwego zarobku, do jakiego mam prawo.

— Jestem pewien, Courtney, że sześć szylingów za worek da panu wcale przyzwoity zysk. — Gordon spojrzał na niego twardo — w mieście wprowadzono stan wojenny, a spekulacja i robienie zapasów karane są śmiercią.

Ryder zdawał sobie sprawę, że nie jest to czcza pogróżka. Widział wielu ludzi chłostanych albo traconych w trybie doraźnym za zaniechanie obowiązków bądź łamanie zarządzeń wydanych przez tego niewysokiego mężczyznę. Gordon rozpiął kieszeń na piersi mundurowej bluzy i wyjął notes. Napisał coś szybko, wydarł kartkę i podał ją Ryderowi.

— To skrypt dłużny na sumę czterystu pięćdziesięciu funtów egipskich. Należność wypłacona zostanie przez skarbiec chedywa w Kairze — oznajmił z ożywieniem. Chedyw był władcą Egiptu. — Co z resztą ładunku, panie Courtney?

— Kość słoniowa, dzikie ptaki i zwierzęta — odparł Ryder z goryczą.

— Może je pan rozładować do swoich magazynów. W obecnej chwili nie jestem zainteresowany, choć później być może trzeba będzie zabić zwierzęta, żeby dać mięso mieszkańcom. Kiedy parowiec i barki będą gotowe do drogi?

— Do drogi, generale? — Ryder zbladł pod opalenizną; domyślał się, co zaraz nastąpi.

— Rekwiruję pańskie statki do przewiezienia uchodźców w dół rzeki — wyjaśnił Gordon. — Pan z kolei może zarekwirować odpowiednią ilość sągów drewna do palenia pod kotłami. Zapłacę po dwa funty za pasażera. Szacuję, że może pan zabrać pięćset kobiet, dzieci i głów rodzin. Osobiście rozpatrzę potrzeby mieszkańców i zdecyduję, kto ma pierwszeństwo.

— Zapłaci mi pan kolejnym skrypcem, generale? — zapytał Ryder ze słabo zawoalowaną ironią.

— W rzeczy samej, Courtney. Będzie pan czekał w Metemmie na kolumnę odsieczy. Moje parowce już tam cumują. Cieszy się pan sławą doskonałego pilota rzeczno. Pańskie umiejętności przydadzą się podczas pokonywania przełomu Szabluka.

„Chińczyk” Gordon gardził tym, co uważał za chciwość i kult mamony. Kiedy chedyw Egiptu zaproponował mu pensję w wysokości dziesięciu tysięcy za ewakuowanie Sudanu, Gordon nalegał, żeby zmniejszyć sumę do dwóch tysięcy. Miał własne pojęcie obowiązku wobec swoich ludzi i swojego Boga.

— Proszę ustawić barki przy nabrzeżu. Żołnierze będą ich pilnować do czasu rozładowania i przewiezienia ziarna do magazynu celnego. Major al-Faroque z mojego sztabu będzie dowodzić operacją. — Gordon skinął głową do egipskiego oficera, który niedbale zsalutował Ryderowi. Al-Faroque miał smutne ciemne oczy i rozsiewał dokoła mocny zapach pomady. — A teraz proszę mi wybaczyć. Czeka mnie wiele pracy.

Jako oficjalna pani domu konsula generalnego Jej Królewskiej Mości w Sudanie Rebecca kierowała pałacowym gospodarstwem. Tego wieczoru kazała nakryć do stołu na tarasie wychodzącym na Nil Błękitny, żeby goście Davida mogli cieszyć się wiatrem znad rzeki. O

zachodzie słońca służący zapalą eukaliptusowe gałęzie i liście w koszach, żeby dym odpędzał moskity. O program rozrywkowy zadba generał Gordon. Co wieczór grała wojskowa orkiestra i odbywał się pokaz fajerwerków: generał chciał w ten sposób oderwać myśli mieszkańców Chartumu od rygorów i trudów oblężenia.

Rebecca zaplanowała wykwintną zastawę: konsularne kryształły i srebra wypolerowane do oślepiającej jasności stały na obrusach białych niczym skrzydło anioła. Niestety posiłek nie dorównywał temu splendorowi. Na początek zamierzała podać zupę z szarłatu i owoców dzikiej róży ze spustoszonego ogrodu, a następnie pastę z miększu palmowego i mielonej na żarnach durry. Kulminacją kolacji miała być potrawka z pelikana.

Większość wieczorów David spędzał na tarasie od strony rzeki ze strzelbą firmy Purdey w pogotowiu, czekając na ptactwo wodne wracające do gniazd. Za nim stały bliźniaczki z następnymi śrutówkami. Takie dobrane trio znane było pod nazwą garnirunku broni palnej. David hołdował zasadzie, że każda biała kobieta mieszkająca w Afryce, na kontynencie dzikich zwierząt i jeszcze dzikszych mężczyzn, powinna umieć posługiwać się bronią. Pod jego kierunkiem Rebecca nauczyła się strzelać z ciężkiego rewolweru Webleya. Na sześć strzałów z dziesięciu kroków trafiała zwykle w co najmniej pięć puszek po konserwowej wołowinie, strącając je z kamiennego murka tarasu w wody Nilu.

Bliźniaczki były za małe, żeby znieść siłę odrzutu rewolweru czy strzelby, dlatego David uczył je obsługiwać zapasowe dubeltówki. Z biegiem czasu nauczyły się ładować broń z wprawą i szybkością zawodowego ładowniczego z terenów polowań na kuraki w Yorkshire. W chwili gdy ojciec wypalił z obu luf, Amber zabierała opróżnioną fuzję, a Saffron niemal w tej samej chwili podawała mu załadowaną. Dzięki takiej organizacji David mógł strzelać w naprawdę imponującym tempie.

David słynął z celnego oka i rzadko kiedy marnował naboje. Podczas gdy dziewczynki piszczały na zachętę, zestrzeliwał pięć czy sześć ptaków z lecącego wysoko stada. W pierwszych tygodniach oblężenia dzikie kaczki, cyraneczki, płaskonosy i bardziej egzotyczne gatunki, takie jak gęś egipska i cyranka, regularnie wlatywały w zasięg strzału, stając się ważnym uzupełnieniem zapasów w pałacowej spiżarni. Ale ocalałe ptaki szybko się uczyły i stada zaczęły omijać taras szerokim łukiem. Tylko bardziej głupie — i mniej smaczne — ptaki trafiały na stół za sprawą umiejętności strzeleckich Davida. Najnowszą zdobyczą była para wielko-dziobych pelikanów.

Na przystawkę Rebecca planowała podać gotowane liście i łodygi świętej egipskiej lilii wodnej. Polecając tę roślinę, Ryder Courtney powiedział, że jej botaniczna nazwa brzmi *Nymphaema alba*. Miał rozległą wiedzę o świecie przyrody. Rebecca przyrzadziła sałatkę ze ślicznych niebieskich płatków — ich pieprzowy smak pomagał zamaskować intensywną rybią woń mięsa pelikana. Rośliny te pieniały się w wąskim kanale, który oddzielał miasto od lądu. O tej porze woda sięgała do pasa, a w okresie Niskiego Nilu zupełnie wysychała. Generał Gordon kazał żołnierzom poszerzyć i pogłębić kanał, przemieniając go w fosę wzmacniającą fortyfikacje miasta. Ku irytacji Rebecki, w konsekwencji zniszczone zostało źródło pożywnego przysmaku.

Piwnice konsulatu świeciły pustkami. Została tylko jedna skrzynka szampana Krug, którą David oszczędzał na dzień przybycia odsieczy. Kiedy Ryder Courtney za pośrednictwem Baczita potwierdził przyjęcie zaproszenia na kolację, przy okazji podesłał trzy tykwy tedzu, mocnego miejscowego miodowego piwa o smaku marnego jabłeczniaka. Rebecca zamierzała podać trunk w kryształowych karafkach do bordo, aby nadać mu rangę, jakiej zwykle nie miał.

Teraz poprawiała nakrycia i ozdabiała stół kwiatami oleandra z zaniedbanych ogrodów. Goście mieli zjawić się za godzinę, a ojciec jeszcze nie wrócił z codziennego spotkania z generałem

Gordonem. Trochę się martwiła, że może się spóźnić i zepsuć jej wieczór. W głębi duszy czuła ulgę, że generał Gordon nie przyjął zaproszenia: był wielkim i świętym człowiekiem, bohaterem imperium, ale miał w pogardzie wszelkie formy towarzyskie. Umiał prowadzić tylko nabożną, pełną mistycyzmu konwersację, a jego poczucie humoru pozostawiało wiele do życzenia — o ile w jego wypadku w ogóle można było mówić o poczuciu humoru.

W tej chwili usłyszała znajome kroki ojca, rozbrzmiewające echem w arkadach, i podniesiony głos, gdy wzywał służącego. Wybiegła mu na spotkanie. Odwzajemnił jej uścisk z roztargnieniem, bez zwyczajnej serdeczności. Rebecca cofnęła się i spojrzała na niego badawczo.

— Tato, co się stało?

— Jutro wieczorem opuszczamy miasto. Generał Gordon nakazał ewakuację wszystkich Brytyjczyków, Francuzów i Austriaków.

— Czy to znaczy, że pojedziesz z nami, tatusiu? — Ostatnimi czasy rzadko używała tej dziecięcej, pełnej czułości formy.

— Na to wygląda.

— Jak odbędziemy podróż?

— Gordon zarekwirował parowiec i barki Rydera Courtneya. Ma nas zabrać w dół rzeki. Sprzeciwiałem się, ale bez skutku. Ten człowiek jest nieustępliwy i gdy już raz wkroczy na obraną ścieżkę, nie można go zawrócić. — David uśmiechnął się szeroko, objął ją w talii i odtańczył parę kroków walca. — W gruncie rzeczy rad jestem, że nie ja musiałem podjąć decyzję i że ty wraz z bliźniaczkami znajdziecie się w bezpiecznym miejscu.

Godzinę później David i Rebecca stali w holu pod żyrandolem, witając gości, niemal wyłącznie mężczyzn. Kilka miesięcy wcześniej białe kobiety zostały ewakuowane na północ, do delty, na pokładzie małych parowców generała Gordona. Obecnie statki kotwiczyły na płyciźnie w Metemmie, czekając na przybycie odsieczy. Rebecca i bliźniaczki zaliczały się do nielicznych Europejek, które pozostały w mieście.

Bliźniaczki stały skromnie za plecami ojca. Wymogły na starszej siostrze, żeby pozwoliła im zaczekać na przybycie Rydera, bo chciały razem z nim obejrzeć fajerwerki, zanim piastunka Nazira zabierze je do pokoju dziecinnego. Nazira była także nianią Rebecki i ukochanym domownikiem rodziny Benbrooków. Teraz stała tuż za podopiecznymi, gotowa wkroczyć do akcji, gdy tylko zegar zacznie wybijać dziewiątą. Ku rozczarowaniu dziewczynek Ryder Courtney zjawił się ostatni, ale zaraz potem cała trójka zaśmiewała się i przekomarzała.

— Jest nieziemsko przystojny — powiedziała Saffron i udała, że mdleje.

Nazira uszczypała ją i szepnęła po arabsku: — Nawet jeśli nigdy nie będziesz damą, Saffy, musisz zachowywać się jak dama.

— Pierwszy raz tak się wysztafirował. — Amber zgodziła się z bliźniaczką: Ryder miał na sobie dopasowany w talii smoking z aksamitnymi klapami, ostatnio wprowadzony w modę przez księcia Walii. W Kairze zlecił szycie armeńskiemu krawcowi, który skopiował fason z ryciny w „London Illustrated News”. Ryder nosił strój z niewymuszoną elegancją, daleko odbiegającą od nonszalancji, jaką narzucały codzienne, wymięte ubrania z mo-leskinu. Był gładko ogolony, a jego włosy lśniły w blasku świec.

— Patrz, przyniósł nam prezenty! — Amber dostrzegła sugestywne wybrzuszenie w kieszeni na piersi. Miała kobiece oko do takich drobiazgów.

Ryder wymienił uścisk dłoni z Davidem i ukłonił się Rebecce. Powstrzymał się od ucałowania jej ręki na francuską modłę, co zrobiło wielu z poprzedzających go członków korpusu dyplomatycznego. Mrugnął do bliźniaczek, które stłumiły śmiech, zakrywając usta rękami, i dygnęły

w odpowiedzi.

— Czy dwie piękne panie zechcą łaskawie dotrzymać mi towarzystwa na tarasie? — zapytał z ukłonem.

— Łi, łi, maser — odparła Saffron z godnością, a Amber z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Ryder przygarbił się lekko, żeby mogły ująć go pod rękę, i wyprowadził je na taras. Służący w niebieskim turbanie i długiej białej szacie przyniósł szklanki z lemoniadą zrobioną z nielicznych pozostałych w sadzie owoców. Ryder dał bliźniaczkom prezenty, naszyjniki z wisiorkami z kości słoniowej w kształcie maleńkich zwierząt: lwów, małp i żyraf. Sam zapiął im zapinki na szyjach. Obie były zachwycone.

Jakby na dany znak orkiestra wojskowa zagrała na majdanie obok dawnego targowiska niewolników. Odległość tłumiła dźwięk do przyjemnego poziomu, a muzykom udało się ozdobić kadencjami orientalnymi znajomy repertuar polek, walców i melodii marszowych armii brytyjskiej.

— Zaśpiewaj, Ryder, prosimy! — nalegała Amber, a kiedy roześmiał się i pokręcił głową, odwołała się do ojca: — Tatusiu, każ mu zaśpiewać, prosimy.

— Moja córka ma rację, panie Courtney. Śpiew uczyni wieczór jeszcze bardziej przyjemnym.

Ryder dał się namówić i niebawem wszyscy przytupywali albo klaskali w takt melodii. Ci, którzy mieli wysokie mniemanie o własnym wokalnym talencie, dołączyli do niego i odśpiewali chóralnie Przez morze do nieba.

Potem rozpoczął się pokaz fajerwerków, wieczorny wkład generała Gordona. Gdy kaskady błękitnych, zielonych i czerwonych iskier z okrętowych rac sygnalizacyjnych załyły niebo, widzowie nie mogli powstrzymać okrzyków zachwyty. Na drugim brzegu Nilu kanonier derwiszów, którego David przezwiał Obląkanym Beduinem, wystrzelił kilka szrapneli w miejsce, w którym wedle jego mniemania odpalano race. Jak zwykle spudłował i nikt nawet nie szukał osłony. Wszyscy z entuzjazmem wygwizdali jego wysiłki.

Po zakończeniu pokazu Nazira zabrała protestujące bliźniaczki do pokoju dziecinnego, a arabscy lokaje postukali palcami w bębunki, zapraszając gości do stołu. Apetyty dopisywały; wprawdzie goście jeszcze nie głodowali, ale byli ku temu na jak najlepszej drodze. Porcje były maleńkie, w sam raz na włożenie do ust, ale Herr Schiffler, konsul austriacki, oświadczył, że zupa z szarłatu jest wyśmienita, pasta z palmy pożywna, a pieczony pelikan „nadzwyczaj osobliwy”. Rebecca próbowała przekonać samą siebie, że miał to być komplement.

Pod koniec posiłku Ryder Courtney zrobił coś, co potwierdziło jego status bohatera wieczoru. Klasnął w rękę, a wówczas bosman Baczit, wyszczerzony jak gargulec, wniósł na taras srebrną tacę z koniakiem VSOP Hine w butelce z rżniętego szkła, z cedrowym pudełkiem kubańskich cygar. Z pełnymi kieliszkami, spowici aromatycznym dymem, mężczyźni wpadli w błogi nastrój. Prowadzili lekką konwersację, dopóki głosu nie zabrał monsieur Le Blanc.

— Ciekaw jestem, dlaczego „Chińczyk” Gordon wymówił się od tej uczy. — Zaśmiał się w dziewczęcy, drażniący sposób. — Nie można przecież ratować potężnego imperium brytyjskiego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet Herkules musiał odpocząć po swoich pracach. — Le Blanc był szefem delegacji belgijskiej, wysłanej przez króla Leopolda w celu nawiązania kontaktów dyplomatycznych z Mahdim. Dotąd jego wysiłki nie zostały uwieńczone sukcesem i utkwiał w obłączonym mieście jak wszyscy inni. Anglicy obecni przy stole popatrzyli na niego z politowaniem. A jednak, ponieważ był niezorientowanym cudzoziemcem, wybaczyli mu tę gafę.

— Generał zrezygnował z udziału w bankiecie, ponieważ ludzie głodują. — Rebecca wystąpiła w obronie Gordona. — To bardzo szlachetnie z jego strony. Co nie znaczy, że uważam ten skromny poczęstunek za wystawną ucztę — zastrzegła delikatnie.

Za jej przykładem David zainicjował pean ku czci niezłomnego generała i jego bezprzykładowych dokonań.

Ryder Courtney, który wciąż odczuwał boleśnie skutki ostatniej demonstracji niezłomności Gordona, nie przyłączył się do pochwalnego chóru.

— Ma niemal mesjańską władzę nad swoimi ludźmi — oznajmił David z zapałem. — Pójdą za nim wszędzie, a jeśli nie, zawlecze ich za warkoczyki, jak zrobił z Niezwyciężoną Armią w Chinach, albo nakopie im do tyłków, jak postępuje z egipskim motłochem, z którym w obecnej chwili zmuszony jest bronić miasta.

— Tatusiu, licz się ze słowami — skarciła go Rebecca.

— Wybacz mi, kochanie, ale to prawda. Generał jest nieustraszony. Sam jeden, ubrany w galowy mundur, wjechał na wielbłądzie w środek obozu tego zbrodniczego łajdaka Sulejmana i wygłosił orację do buntowników. Zamiast go zamordować, Sulejman zakończył rebelię i wrócił do domu.

— Podobnie postąpił z Zulusami w Afryce Południowej. Kiedy wszedł samotnie pomiędzy bojowe impi i zwrócił na wojowników swe niezwykle oczy, oddali mu cześć jak jakiemuś bogu. Wtedy Gordon stłukł ich wodza za świętokradztwo.

— Królowie i potentaci z wielu krajów zabiegali o jego usługi — wtrącił ktoś inny — cesarz Chin, król Leopold z Belgii, egipski chedyw i premier Kolonii Przyłaskowej.

— Jest przede wszystkim sługą bożym, dopiero potem wojownikiem. Gardzi wszelkimi swarami i zanim podejmie ważką decyzję, zapytuje w modlitwie swojego Boga, czego od niego żąda.

Ciekawe, czy Bóg chciał, żeby ukradł moją durkę, pomyślał rozgoryczony Ryder. Ale zamiast wyrazić swoje odczucia, dramatycznie zmienił kierunek rozmowy.

— Czyż nie jest godnym uwagi fakt, że człowiek, który z drugiej strony Nilu rzuca wyzwanie naszemu dzielnemu generałowi, jest do niego podobny pod wieloma względami? — Po tych słowach, zupełnie nieprzystających do Rydera Courtneya i niemal równie niefortunnych jak wcześniejsza uwaga Le Blanca, zapadła cisza.

Nawet Rebecca była wstrząśnięta porównaniem świętego z potworem. Zauważyła jednak, że kiedy Ryder mówił, wszyscy go słuchali. Choć był wśród nich najmłodszy, liczyli się z jego zdaniem, gdyż zbił ogromną fortunę i otaczała go równie wielka sława. Zapuszczał się nieustraszenie tam, dokąd niewielu ludzi zaryzykowało się wyprawić. Dotarł do Gór Księżycowych i żeglował po wszystkich wielkich jeziorach afrykańskiego interioru. Był przyjacielem i powiernikiem Jana, cesarza Abisynii. Miał dobre układy z Mutesą z Bugandy i Kamrasim z Bunjoro, którzy dali mu wyłączne prawo do handlu w swoich królestwach.

Arabskim mówił tak płynnie, że mógł dyskutować z mułłami o Koranie. Władał tuzinem innych bardziej prymitywnych języków i potrafił targować się z nagimi Dinkami i Szyllukami. Polował na wszystkie znane gatunki dzikich zwierząt i ptaków Equatorii, sprzedając pochwycone okazy do zwierzynców królów i cesarzy oraz ogrodów zoologicznych w Europie.

— Ciekawa uwaga, Ryder — powiedział David ostrożnie. — Ja odnoszę wrażenie, że Szalony Mahdi i generał Charles Gordon stanowią biegunowe przeciwieństwo. Może pan podać jakieś ich wspólne cechy?

— Po pierwsze, Davidzie, obaj są ascetami ćwiczącymi ponoszenie wyrzeczeń i powstrzymującymi się od korzystania z wygod tego świata — odparł Ryder bez namysłu. — I obaj są sługami Boga.

— Różnych Bogów — poprawił David.

— Ależ nie, sir! Jednego i tego samego Boga: Bóg żydów, muzułmanów, chrześcijan i wszystkich innych monoteistów jest tym samym Bogiem. Po prostu wszyscy oni oddają mu cześć na różne

sposoby.

David uśmiechnął się.

— Może powinniśmy podyskutować o tym później. Teraz proszę nam powiedzieć, co jeszcze ich łączy.

— Obaj wierzą, że Bóg przemawia do nich i że tym samym są nieomylni. Kiedy raz podejmą decyzję, są niezachwiani w swoim postanowieniu i głusi na wszelkie argumenty. Z drugiej zaś strony, jak w przypadku wielu potężnych mężczyzn i pięknych kobiet, obu zwodzi wiara w kult osobowości. Obaj wierzą, że są w stanie znieść wszelkie przeszkody błękitem oczu, przerwą między zębami lub elokwencją.

— Wiemy, kto ma niebieskie, poruszające oczy — zaśmiał się David — ale do kogo należy szczerbaty uśmiech?

— Do Muhammada Ahmada, Mahdiego, Prowadzonego przez Boga — odparł Ryder. — Luka w kształcie klina, faldża, uważana jest przez ansarów za oznakę jego boskości.

— Mówi pan tak, jakby go znał — zauważył Le Blanc. — Poznał pan tego człowieka?

— Tak — potwierdził Ryder, a wówczas wszyscy popatrzyli na niego, jakby przyznał się do jadania kolacyjek z szatanem.

Rebecca pierwsza się otrząsnęła.

— Powie nam pan, gdzie i kiedy go poznał? Jaki on jest naprawdę?

— Poznałem go, gdy mieszkał w jamie wygrzebanej na brzegu wyspy Abbas, czterdzieści mil w górę Nilu Błękitnego od miejsca, w którym siedzimy. Kiedy mijałem wyspę, często wychodziłem na brzeg, żeby porozmawiać z nim o sprawach boskich i ludzkich. Nie twierdzę, że byliśmy przyjaciółmi ani że pragnąłem jego przyjaźni. Ale było w nim coś, co mnie fascynowało. Czułem, że jest inny, i zawsze byłem pod wrażeniem jego pobożności, spokojnej siły i pogodnego uśmiechu. Jest prawdziwym patriotą jak generał Gordon... i to kolejna wspólna cecha.

— Nie trzeba nam opowiadać o generale Gordonie. Wszyscy znamy jego przymioty — wtrąciła Rebecca. — Proszę nam raczej powiedzieć o tym strasznym Mahdim. Jak można mówić, że jest w nim choć odrobina szlachetności?

— Wszyscy wiemy, że rządy Egipcjan w Sudanie były rażąco niesprawiedliwe i brutalne. Za wspaniałą fasadą imperialnego dominium kwitła niewysłowiona korupcja i okrucieństwo. Tubylczy mieszkańcy padali ofiarą chciwych i bezdusznych baszów, którzy nakładali niebotycznie wysokie podatki, egzekwowane przez wojska okupacyjne w sile czterdziestu tysięcy ludzi. Tylko połowa zysków płynęła do chedywa w Kairze, reszta trafiała do prywatnych szkatuł. Krajem rządzono za pomocą bagnetu i korbacza, bicza ze skóry hipopotama. Zniewieściali baszowie, siedzący tutaj w Chartumie, zabawiali się wymyślaniem najgorszych tortur i egzekucji. Zrównywali z ziemią całe wioski, mordowali mieszkańców. Arab i czarny człowiek kulili się w cieniu znieawidzonego Turka, żaden jednakże nie ośmielił się zaprotestować. Egipcjanie, chociaż aspirują do miana ludzi cywilizowanych, popierali handel niewolnikami, bo z zysków uiszczane były podatki. Widziałem ten koszmar na własne oczy i zdumiewała mnie wyrozumiałość ludności. Rozmawiałem o tych sprawach z pustelnikiem z jamy na brzegu rzeki. Próbowaliśmy rozstrzygnąć, dlaczego ten stan rzeczy się utrzymuje, bo Arab jest dumnym człowiekiem, a przecież prowokacje spotykało się na każdym kroku. Zdecydowaliśmy, że brakuje dwóch zasadniczych czynników prowadzących do wybuchu rewolucji. Pierwszym z nich była świadomość, że życie może być lepsze. O to zadbał generał Charles Gordon jako gubernator Sudanu. Drugim brakującym elementem był katalizator jednoczący ciemionych. Stał się nim Muhammad Ahmad. I tak oto powstał nowy naród mahdystów. Rebecca przerwała ciszę, jaka zapadła po ostatnich słowach Rydera. Jej pytanie było typowo kobiece, bo polityczne, religijne i

militarne aspekty historii Mahdiego niewiele ją interesowały.

— Ale jaki on jest naprawdę, panie Courtney? Jak wygląda i jak się zachowuje? Jakie brzmienie ma jego głos? I proszę powiedzieć nam więcej o tej dziwnej szczerbie w uzębieniu.

— Obdarzony jest wielką charyzmą, podobnie jak Charles Gordon, a to kolejna wspólna cecha. Jest średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Zawsze nosi nieskazitelnie białe szaty, nawet kiedy mieszkał w ziemnej jamie. Na prawym policzku ma znamię w kształcie ptaka lub anioła. Jego uczniowie i zwolennicy uważają to za znak boski. Szczelina między zębami przykuwa uwagę, kiedy przemawia. Mahdi jest porywającym mówcą. Głos ma łagodny, lekko sepleni, chyba że wpada w gniew. Wówczas przemawia grzmiącym głosem biblijnego proroka, ale nawet wtedy się uśmiecha.

— Ryder wyjął złoty kieszonkowy zegarek. — Za godzinę północ. Zatrzymałem was do późna.

Wszyscy powinniśmy porządnie wypocząć, bo jak wiecie, generał Gordon kazał mi dopilnować, żeby nikomu z was nie było dane słuchanie głosu Muhammada Ahmada. Pamiętajcie, proszę, że jutro przed północą macie być na pokładzie mojego parowca przy nabrzeżu Starego Miasta. Mam zamiar wypłynąć, póki będzie na tyle ciemno, żeby kanonierzy derwiszów nie mogli wziąć nas na cel. Proszę ograniczyć bagaże do niezbędnego minimum. Jeśli dopisze nam szczęście, zdołamy oddalić się na bezpieczną odległość, nim padnie pierwszy strzał.

David uśmiechnął się.

— W istocie potrzebujemy szczęścia, panie Courtney, bo w mieście roi się od szpiegów. Mahdi niemal przed nami zna nasze zamierzenia.

— Może tym razem zdołamy go przechytrzyć. — Ryder wstał i uklonił się Rebecce. — Przepraszam, jeśli nadużyłem gościnności, panno Benbrook. Opuszcza nas pan zbyt wcześnie. Jeszcze nie kładziemy się spać. Proszę spocząć, panie Courtney. Nie może pan zostawić nas w połowie opowieści. Proszę ją dokończyć, wszyscy jesteśmy ciekawi.

Ryder z gestem rezygnacji opadł na krzesło.

— Jak mogę się oprzeć pani rozkazowi? Ale obawiam się, że wszyscy znacie ciąg dalszy tej historii, albowiem była często opowiadana i nie chciałbym was nudzić.

Przy stole rozległy się pomruki protestu.

— Śmiało, panie Courtney. Panna Benbrook ma rację. Musimy usłyszeć pańską wersję. Wydaje się, że różni się bardzo od tej, którą znamy.

Ryder Courtney pokiwał głową na znak zgody i podjął opowieść.

— W zachodnich społeczeństwach szcycimy się chwalebnyymi tradycjami i wysokimi standardami moralnymi. Jednakże wśród dzikich, niewykształconych ludzi źródłem wielkiej siły jest ignorancja. Z niej rodzi się fanatyzm. Tutaj, w Sudanie, można wymienić trzy ważne przyczyny prowadzące do powstania. Pierwszą była niedola wszystkich tubylczych mieszkańców. Druga rozwinęła się wtedy, gdy ludzie rozejrzeli się dokoła i stwierdzili, że źródłem ich bolączek jest znienawidzony Turek, sługus chedywa z Kairu. Wystarczył jeszcze jeden krok, żeby potężna fala fanatyzmu przewaliła się przez kraj. Stało się to w chwili, kiedy pojawił się człowiek, który ogłosił się Mahdim.

— Oczywiście! — wtrącił David. — Nasienie posiane zostało dawno temu. Szukrowie wierzą, że pewnego dnia, w czasie pohańbienia i konfliktów, Allah ześle drugiego wielkiego proroka, który poprowadzi wiernych do Boga i umocni islam.

Rebecca popatrzyła surowo na ojca.

— To opowieść pana Courtneya, ojcze. Proszę, pozwól mu mówić.

Mężczyźni uśmiechnęli się z jej werwy, a David zrobił skruszoną minę.

— Nie uzurpuję sobie prawa do pańskiej opowieści. Proszę kontynuować, sir.

— Ależ ma pan rację, Davidzie. Od stu lat mieszkańcy Sudanu z nadzieją przyglądali się każdemu ascecie, który się wybijał. Kiedy stało się głośno o naszym pustelniku, pielgrzymi zaczęli ściągać tłumnie na wyspę Abbas. Przynosili cenne dary, które Muhammad Ahmad rozdawał biednym. Słuchali jego nauk, a gdy wracali do domów, zabierali z sobą pisma tego świętego człowieka. Jego sława zataczała coraz szersze kręgi, aż usłyszał o nim ten, który przez całe życie z niecierpliwością czekał na nadejście drugiego proroka. Abdallahi, syn mało znanego duchownego i najmłodszy z czterech braci, z wielkimi nadziejami wyprawił się na wyspę Abbas. Przybył do celu na poobcieranym od siodła osle i w pobożnym młodym eremicie rozpoznał od razu prawdziwego wysłannika Boga.

David nie mógł dłużej się powstrzymać.

— A może raczej rozpoznał narzędzie, które miało umożliwić mu zyskanie władzy i niewyobrażalnego bogactwa?

— Być może to jest bliższe prawdy — przyznał ze śmiechem Ryder. — Tak czy owak, ci dwaj utworzyli potężne przymierze. Niedługo później do uszu Raoufa Baszy, egipskiego gubernatora Chartumu, dotarły wieści, że ten szalony duchowny nawołuje do przeciwstawienia się chedywowi. Gubernator wysłał posłańca na wyspę Abbas, żeby wezwać Muhammada Ahmada do miasta, aby się wytłumaczył. Eremita wysłuchał posłańca, wstał i przemówił głosem prawdziwego proroka: „Na miłosierdzie Boga i jego Proroka, jestem panem tej ziemi. W imię Boga ogłaszam dżihad, świętą wojnę przeciwko Turkom”. Posłaniec uciekł do swojego pana. Abdallahi skupił wokół siebie gromadkę obdartych nędzarzy, a następnie uzbroił ich w kije i kamienie. Raouf Basza wysłał parowcem dwie doborowe kompanie, żeby pojмали sprawiającego kłopoty kapłana. Będąc zwolennikiem motywacyjnej metody prowadzenia działań wojennych, obiecał awans i wysoką nagrodę temu dowódcy, który aresztuje Muhammada. O zmierzchu kapitan parowca wysadził żołnierzy na wyspie i dwie rywalizujące kompanie pomaszerowały odrębnymi trasami, żeby otoczyć wioskę, w której podobno schronił się pustelnik. Noc była bezksiężycowa, powstało zamieszanie i żołnierze zaatakowali się wzajemnie, a potem uciekli, chcąc dostać się na pokład parowca. Przerażony kapitan nie chciał dobić do brzegu i powiedział, że mają płynąć wpław. Niewielu skorzystało z tej oferty, bo większość nie umiała pływać, a ci, którzy umieli, bali się krokodyli. W końcu kapitan zostawił ich i wrócił do Chartumu. Muhammad Ahmad i Abdallahi na czele swojej armii łachmaniarzy runęli na zdemoralizowanych Egipcjan i wycięli ich w pień. Było to nadzwyczajne zwycięstwo i wieść, że ludzie kijami rozgromili zniechęconych Turków, odbiła się szerokim echem po kraju. Z pewnością ten, który im przewodził, musiał być Mahdim. Samozwańczy Mahdi wiedział, że przybędzie więcej egipskich żołnierzy, aby go zabić, rozpoczął więc hidżrę bardzo podobną do ucieczki Jedynego Prawdziwego Proroka z Mekki, która zdarzyła się tysiąc lat temu. Wcześniej mianował wiernego Abdallahiego kalifem, swoim następcą, co stało w zgodzie z precedensem i prorocstwem. Niebawem ucieczka przemieniła się w triumfalny pochód. Mahdiego poprzedzały opowieści o cudach i wieszczych znakach. Pewnej nocy mroczny cień przysłonił półksiężyc, symbol Egiptu i Turków. Znaczenie tego boskiego przesłania na nocnym niebie było jasne dla wszystkich ludzi w Sudanie. Mahdi tymczasem dotarł do górskiej fortecy, leżącej daleko na południe od Chartumu, którą zgodnie z prorocstwem przemianował na Dżebel Masa, i uznał, że już nie musi obawiać się wojsk Raoufa Baszy. Wciąż jednak znajdował się niedaleko Faszody, a Raszid Bej, gubernator miasta, był dzielniejszy i bardziej przedsiębiorczy niż większość egipskich gubernatorów. Pomaszerował na Dżebel Masa na czele tysiąca czterystu ciężko uzbrojonych żołnierzy. Ale ponieważ gardził motłochem, przeciwko któremu występował, podjął niewiele środków ostrożności. Nieustraszony kalif Abdallahi urządził zasadzkę. Raszid Bej wszedł prosto w

sidła i ani on, ani żaden z jego ludzi nie przeżył. Zostali wycięci do nogi przez obszarpanych, źle uzbrojonych ansarów.

Ryderowi zgasło cygaro. Podeszedł do kosza pełnego eukaliptusowych liści, wyjął żarzącą się gałązkę i zapalił cygaro na nowo. Kiedy koniuszek znowu się rozjarzył, Ryder wrócił na swoje miejsce.

— Abdallahi zdobył karabiny i wielkie zapasy amunicji, nie wspominając o zajęciu skarbcza w Faszodzie, w którym zdeponowane było prawie pół miliona funtów. Stał się potężnym przeciwnikiem. Chedyw wysłał wojsko do Chartumu, powierzając komendę brytyjskiemu oficerowi, generałowi Hicksowi. Była to jedna z najbardziej nieporadnych armii, jakie kiedykolwiek wyszły w pole, a nieudolny Raouf Basza, sprawca dwóch klęsk militarnych, osłabił autorytet Hicksa.

Ryder umilkł i nalał do kieliszka ostatnią porcję koniaku. Ze smutkiem pokręcił głową.

— Prawie dwa lata minęły od dnia, kiedy generał Hicks wyszedł z miasta z siedmioma tysiącami żołnierzy piechoty i pięciuset kawalerzystami. Miał wsparcie konnej artylerii z armatami Kruppa i karabinami maszynowymi Nordenfelta. Jego ludzie, w większości będący muzułmanami, znali legendę Mahdiego z Sudanu. Zaczęli dezertować, zanim przebyli pięć mil. Hicks zakuł pięćdziesięciu kanonierów w łańcuchy, żeby pobudzić ich do większego męstwa, ale i tak uciekali, zabierając z sobą kajdany. — Ryder zadarł głowę i wybuchnął zaraźliwym śmiechem, i choć opowieść była straszna, nawet Rebecca mu zawtórowała.

— Hicks najpierw nie wiedział, a potem nie uwierzył porucznikowi Penrodowi Ballantyne'owi, swojemu oficerowi wywiadu, kiedy ten poinformował go, że pod zielonym sztandarem Mahdiego skupiło się czterdzieści tysięcy ludzi. Jednym z emirów, którzy wraz ze swoimi plemionami dołączyli do ordynku, był Osman Atalan z ludu Bedża.

Mężczyźni drgnęli, słysząc te słowa. Z tego plemienia wywodzili się najlepsi, najbardziej zagorzali wojownicy pośród wszystkich walczących Arabów, a Osman Atalan był wodzem budzącym największy lęk.

— Trzeciego listopada tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego zbieranina Hicksa wpadła na armię Mahdiego i została rozgromiona przez szarżę ansarów. Hicks odniósł śmiertelną ranę, dowodząc ostatnim sformowanym czworobokiem. Kiedy poległ, czworobok poszedł w rozsypkę i ansarowie roznieśli żołnierzy na mieczach. Penrod Ballantyne, który ostrzegał Hicksa przed niebezpieczeństwem, widział, jak generał opróżnił bębenek rewolweru, strzelając do nacierających Arabów, a potem miecz ściał mu głowę.

Zwierzchnik Ballantyne'a, major Adams, leżał postrzelony w obie nogi, gdy Arabowie masakrowali i okaleczali rannych. Ballantyne skoczył na konia i udało mu się posadzić majora Adamsa za siodłem. Potem utorował sobie drogę, rąbiąc napastników, i wyrwał się z okrążenia. Dopędził egipską straż tylną, która co sił w nogach uciekała do Chartumu. Był jedynym europejskim oficerem, który przeżył i wyszedł bez szwanku, więc przejął komendę. Zebrał żołnierzy i pokierował odwrotem. Przyprowadził dwustu ludzi, łącznie z rannym majorem Adamsem. Dwustu ludzi... z siedmiu i pół tysiąca żołnierzy, którzy wymaszerowali z generałem Hicksem. Ten wyczyn był jedynym jasnym promykiem w skądinąd mrocznym dniu. Tak oto Mahdi i jego kalif stali się panami całego Sudanu. Podeszli do miasta na czele czterdziestotysięcznego zwycięskiego wojska, prowadząc zdobyte działa, które dokuczają nam do dziś. Tak oto doszło do tego, że mieszkańcy miasta cierpią głód i umierają na cholere, czekając na los, jaki gotuje im Mahdi.

Rebecca miała łzy w oczach, gdy Ryder skończył opowiadać.

— Ten Penrod Ballantyne sprawia wrażenie dzielnego młodego człowieka. Poznał go pan, panie Courtney?

— Ballantyne? — Popatrzył na nią, zdziwiony nagłym przesunięciem punktu ciężkości w opowiedzianej historii. — Tak, byłem tutaj, kiedy wrócił z pola bitwy.

— Proszę powiedzieć nam o nim coś więcej.

Ryder wzruszył ramionami.

— Większość pań, z którymi rozmawiałem, zapewnia mnie, że jest szykownym galantem. Szczególny zachwyty wywołują jego wąsy, rzeczywiście imponujące. Być może kapitan Ballantyne aż nazbyt chętnie zgadza się z tą powszechną opinią na temat jego osoby.

— Czy wcześniej nie nazwał go pan porucznikiem?

— Chcąc wycisnąć parę ziarenek chwały z tego strasznego dnia, dowódca oddziałów brytyjskich w Kairze nagłośnił rolę Ballantyne'a w bitwie, młodszego oficera w Dziesiątym Pułku Huzarów, dawnym regimencie lorda Wolseleya. Wolseley zawsze chętnie pomaga kolegom huzarom, dlatego Ballantyne awansował na kapitana i, jakby tego było mało, został odznaczony Krzyżem Wiktorii.

— Nie lubi pan kapitana Ballantyne'a? — dociekała Rebecca.

Po raz pierwszy David dostrzegł w postawie córki wyraźny chłód wobec Rydera Courtneya. Zastanawiał się nad dość głębokim zainteresowaniem, jakie budził w niej Ballantyne, którego przecież nie znała. Nagle z drgnieniem przypomniał sobie, że przecież młody Ballantyne odwiedził konsulat kilka tygodni przed wymarszem armii Hicksa na rzeź pod El Obejd. Młodzieniec przekazał wiadomość od brytyjskiego konsula Evelyn Baringa, który był zbyt przeczulony, żeby wysłać depesze, nawet zaszyfrowane. Choć w owym czasie nie było o tym mowy, David domyślał się, że Ballantyne jest oficerem wywiadu w sztabie Baringa. Przydzielenie go do hałastry Hicksa służyło istotniejszym celom.

Do licha, tak! Wszystko mi się przypomina, pomyślał David. Rebecca weszła do gabinetu, gdy przyjmował Ballantyne'a. Dokonał prezentacji, dwoje młodych ludzi wymieniło parę grzecznych słów i Rebecca zostawiła ich samych. Ale potem, kiedy odprowadzał gościa do drzwi, poprawiała kwiaty w holu. Niedługo później Przez okno gabinetu zobaczył, że idzie z nim do bramy pałacu.

Może nie przez przypadek Rebecca kręciła się po holu, gdy Ballantyne wyszedł z jego gabinetu. David uśmiechnął się w duchu z zachowania córki, która udając, że nie zna młodego oficera, wypytywała Rydera Courtneya o zdanie na jego temat.

Taka młoda, a już tak bardzo podobna do matki, pomyślał z zadumą. Chytra jak dwa tuziny baszów.

Ryder Courtney wciąż odpowiadał na wyzwanie Rebecki.

— Jestem pewien, że Ballantyne jest autentycznym bohaterem i ma naprawdę imponujący zarost. Nigdy jednak nie doszukałem się w nim nadmiaru ludzkich uczuć. Z drugiej strony, mam ambiwalentny stosunek do wszystkich wojskowych. Kiedy już skończą spuszczać lanie poganom, szturmować miasta i zdobywać królestwa, po prostu odjeżdżają, pobrzękując szablami i medalami. Zostawiają po sobie chaos i biedę. Dopiero administratorzy w rodzaju pani ojca próbują zaprowadzić porządek, a przedsiębiorczy ludzie interesu, jak ja, przywrócić dobrobyt. Nie, panno Benbrook, nie mam na pieńku z kapitanem Ballantyne'em, ale nie darzę zbytnią sympatią tej części aparatu państwowego, dla której pracuje.

Oczy Rebecki były chłodne, a mina surowa, gdy Ryder Courtney ponownie zebrał się do wyjścia, tym razem z większą determinacją. I nie próbowała go zatrzymać.

Minęła północ, kiedy Ryder dotarł do kompleksu magazynów. Po paru godzinach snu zbudził go Baczit. Zjadł na śniadanie zimne, twarde placki z durry z peklowaną wołowiną, a potem usiadł za biurkiem, żeby przy lampie naftowej uzupełnić wpisy w dzienniku i księdze rachunkowej. Opadł go mdlący strach, gdy zrozumiał, w jak opłakanym stanie są jego interesy.

Poza sześciuset funtami zdeponowanymi w kairskim oddziale banku Barings, prawie cały jego majątek znajdował się w obłożonym mieście. Miał w magazynie ponad osiemdziesiąt ton kości słoniowej, wartej po pięć szylingów za funt, ale dopiero po dostarczeniu do Kairu. W Chartumie za kość nie dostałby worka durry. To samo można było powiedzieć o półtonie gumy arabskiej, wysuszonego i uformowanego w lepkie cegły soku z drzewa akacjowego. Był to cenny surowiec używany przez artystów, a także do produkcji kosmetyków i w przemyśle drukarskim. W Kairze mógłby sprzedać zapas za kilka tysięcy funtów. Miał jeszcze cztery magazyny wypełnione po sufit stertami suszonych skór bydłych, kupionych od pasterskich Dinków i Szyluków na południu. Kolejne wielkie pomieszczenie zawierało towary na handel wymienny: zwoje miedzianego drutu, szklane paciorki, stalowe siekiery i motyki lusterka, stare muszkiety Tower i beczułki taniego czarnego prochu, bele perkalu i bawełnianych wyrobów z Birmingham oraz mnóstwo innych świecełek i drobiazgów, które cieszyły władców południowych królestw oraz ich poddanych.

W klatkach i zagrodach na końcu kompleksu Ryder trzymał dzikie zwierzęta i ptaki, które stanowiły ważną część jego majątku. Zostały pochwycone na sawannach i w lasach Equatorii, a następnie przewiezione w dół rzeki na barkach i parowcu. W zagrodach wypoczywały, oswajały się i zaznajamiały z opiekunami. W tym samym czasie dozorczy uczyli się, jak należy je karmić i traktować, żeby przeżyły transport na północ, gdzie wystawiano je na aukcję. Nabywali je handlarze i agenci z Kairu i Damaszku, a nawet z Neapolu i Rzymu, gdzie ceny były znacznie wyższe. Na tych targach niektóre z rzadszych afrykańskich gatunków mogły osiągnąć cenę nawet kilkuset funtów za sztukę.

Najcenniejsze rzeczy kryły się za stalowymi drzwiami skarbcza, zasłoniętymi wielkim perskim gobelinem: ponad sto worków srebrnych denarów Marii Teresy, uniwersalnej monety na Bliskim Wschodzie, z portretem piersiastej królowej Węgier i Czech. Był to jedyny pieniądz przyjmowany przez Abisyńczyków w ich górskim królestwie oraz przez innych bardziej wyrobionych partnerów handlowych, takich jak Mutesa z Bugandy czy plemiona Hadendoa i Saar ze wschodnich pustyń. W tej chwili handel z emirami pustynnych plemion arabskich zamarł. Prawie wszyscy ruszyli en masse, żeby dołączyć do dżihadu Mahdiego.

W skarbcu poza płóciennymi workami denarów kryły się jeszcze większe skarby. Pięćdziesiąt worków ziarna durry, kilka tuzinów pudełek kubańskich cygar, pół tuzina skrzynek koniaku Hine i pięćdziesiąt funtów abisyńskiej kawy.

„Chińczyk” Gordon rozstrzeliwuje tych, którzy gromadzą zapasy. Mam nadzieję, że zaproponuje mi ostatnie cygaro i opaskę na oczy, pomyślał Ryder. Potem znowu stał się śmiertelnie poważny. Przed zarekwirowaniem Nieustraszonego Ibis poczynił przygotowania do przewiezienia jak największej liczby zwierząt i towarów w dół rzeki do Kairu.

Zaplanował również, że Baczit zabierze nieporęczne i mniej cenne towary na wielbłądach do Abisynii, a może nawet do jednego z portów handlowych na wybrzeżu Morza Czerwonego. Choć Mahdi rozmieścił swoje wojska wzdłuż zachodniego brzegu Nilu Białego i na północnym brzegu Nilu Błękitnego, tworząc blokadę na rzece, w kordonie nie brakowało luk. Największą z nich był szeroki klin otwartej pustyni pomiędzy rzekami, w widłach których leżało miasto. Jedyne wąski kanał, pogłębiany i poszerzany przez ludzi Gordona, chronił tę część miasta. Za nim nie było nic: ani śladu derwiszów, tylko piasek, krzaki i nieliczne kępy akacji na przestrzeni setek mil.

Sajd Mahtum, jeden z niewielu emirów, którzy jeszcze nie przeszli na stronę derwiszów, zgodził się za określoną cenę podprowadzić wielbłądy za niski, skalisty grzbiet, osłaniający ich od strony miasta. Tam pod kierunkiem Baczita miał załadować towary i przeszmuglować je przez granicę do jednej z faktorii Rydera u podnóża gór Abisynii. Generał Gordon skutecznie pokrzyżował te plany. Z jego rozkazu Ryder miał zostawić swój dobytek w obłożonym mieście, a zamiast tego zabrać

uchodźców.

— Cholerny generał, cholerny „Chińczyk”, cholerny Gordon! — kłął, krążąc po pokoju. Poza kabiną na Nieustraszonym Ibisie tutaj miał jedyny stały dom. Ojciec i dziadek byli wędrowcami. Od nich nauczył się stylu życia typowego dla afrykańskich myśliwych i handlarzy. Ale ten magazyn był jego domem. Brakowało w nim tylko odpowiedniej kobiety.

Nagle ujrzał w wyobraźni Rebecę Benbrook. Uśmiechnął się niewesoło. Miał wrażenie, że z nieznanego sobie powodu spalił wszystkie mosty. Podeszedł do kamiennej ściany, na której wisiały dwa wielkie brudnożółte ciosy, przymocowane pierścieniami z brązu, i z roztargnieniem pogładził jeden z nich. Chłód gładkiej kości słoniowej pod palcami przynosił ukojenie, jak przebieranie koralików różańca. Ryder jednym strzałem w głowę zabił potężnego samca, który nosił te ciosy, a było to w Karamodzo, tysiąc mil na południe od Chartumu, nad Nilem Wiktorii.

Gładząc kość słoniową, przyglądał się spłowiałej fotografii w hebanowej ramce, wiszącej na sąsiedniej ścianie. Przedstawiała rodzinę stojącą przed zaprzężonym w szesnastce wołów wozem na tle przygnębiającego, niewątpliwie afrykańskiego krajobrazu. Obok zaprzęgu stał czarnoskóry poganiacz, gotów strzelić z długiego bicia i podjąć podróż w kierunku jakiegoś bezimiennego miejsca przeznaczenia. Ojciec Rydera dosiadał ulubionego wierzchowca, siwego wałacha, którego nazywał Lisem. Był wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną z długą ciemną brodą. Zmarł tak dawno temu że Ryder nie pamiętał, czy rzeczywiście tak wyglądał. On sam wówczas sześciolatek, siedział na łąku siodła, zwieszając długie, chude nogi. Matka stała przy końskiej głowie, patrząc pogodnie w obiektyw. Ryder pamiętał każdy szczegół jej pięknej twarzy i jak zawsze, kiedy na nią patrzył, wspomnienia ścisnęły mu serce. Trzymała za rękę jego siostrę Alice, starszą od niego o kilka lat. Z drugiej strony stał starszy brat, opiekuńczym gestem obejmujący matkę w tali. Tego dnia wypadały szesnaste urodziny Waite'a Courtney'a. Dziesięć lat starszy od Rydera, był dla niego bardziej ojcem niż bratem, gdy ojciec został zabity przez rannego bawołu w trakcie podróży uwiecznionej na zdjęciu rodziny.

Ryder Courtney zapłakał, kiedy otrzymał z Londynu straszny telegram, w którym Alice donosiła, że Waite zginął z rąk Zulusów w Afryce Południowej na polu bitwy pod wzgórzem zwanym Isandluana, Miejsce Małej Ręki. Osierocił żonę Adę i dwóch synów, Seana i Garricka; na szczęście chłopcy byli już niemal dorośli i mogli opiekować się matką.

Ryder westchnął i przepędził z głowy smutne myśli. Zawołał Baczita. Było jeszcze ciemno, ale mieli wiele do zrobienia, żeby parowiec mógł wypłynąć przed północą.

Dwaj mężczyźni minęli magazyn z kością słoniową i zbliżyli się do zagrody dla zwierząt. Stary Ali powitał ich kaszlem i zrzędzeniem.

— O, umiłowane dziecię Allaha! — zawołał Ryder. — Oby łona twoich pięknych młodych żon zawsze były płodne, a ich żar niech rozpala twoje serce i lędźwie.

Ali daremnie próbował powstrzymać się od śmiechu, bo wszystkie trzy jego żony były sędziwymi wiedźmami. Zamaskował chichot kaszlnięciem, potem splunął żółtą flegmą w pył. Był dozorcą zwierzyńca i choć wydawało się, że nienawidzi całego rodzaju ludzkiego, cudownie radził sobie z dzikimi stworzeniami. Poprowadził Rydera do klatek z małpami. Ryder podeszedł do gerezy, swojego ulubieńca, który wskoczył mu na ramię i wyszczerzył zęby. Poczęstował małpkę wyjętymi z kieszeni resztkami placka ze śniadania. Gładził bujną czarno-białą sierść, gdy szli wzdłuż rzędu czystych klatek z pojemnikami pełnymi karmy i świeżej wody. Miał tutaj pięć gatunków małp, w tym pawiany o psich pyskach i dwa młode szympany, na które było wielkie zapotrzebowanie w Europie i Azji; wiedział, że bez trudu znajdzie nabywców w Kairze. Szympany łapały Alego za szyję, a najmłodszy ssał jego ucho jak brodawkę sutkową matki. Ali burczał na nie cicho, z czułością.

Za małpiarnią stały klatki pełne ptaków, od szpaków w żywych metalicznych kolorach po orły, wielkie sowy, długonogie bociany i dzioborożce z dziobami jak wielkie żółte trąbki.

— Wciąż potrafisz znaleźć dla nich pokarm? — Ryder wskazał ptaki padlinożerne przywiązane za jedną nogę do palików. Ali chrząknął niezobowiązująco, ale Baczit odpowiedział za niego: — Tylko szczury mają się dobrze w tym mieście. Ulicznicy sprzedają po dwa miedziaki za sztukę. — Ali spojrzał na niego z jadem w oczach, karcąc za zdradzanie informacji, która nie powinna go interesować.

Na końcu zwierzyńca znajdowała się wspólna zagroda dla różnych gatunków antylop, a obok kojec bawołów afrykańskich, zbyt agresywnych, żeby trzymać je z innymi zwierzętami. Ryder schwycił cielaki, ledwo umiejące samodzielnie się najeść, bo młode zwierzęta były odporniejsze i znosiły podróż lepiej niż dojrzałe. Podszedł do dwóch ślicznych, rzadkich antylop, które złowił podczas ostatniej wyprawy. Miały lśniąca rudą sierść z wyraźnymi białymi pręgami, duże wyraziste oczy i uszy w kształcie trąbek. Też były młode; dorosłe osiągały wzrost kUCA. Pomiedzy uszami sterczały niewielkie wyrostki, które niebawem miały rozwinąć się w ciężkie, lirowato wygięte rogi. Ryder wiedział, że choć znano z opisów wyprawione skóry bongo, w Europie jeszcze nie wystawiono na sprzedaż ani jednego żywego osobnika. Para rozplodowa, taka jak ta, mogła osiągnąć zawrotną cenę. Podsuwał im placki z durry, a one jadły łapczywie, śliniąc mu dłoń.

W trakcie inspekcji Ryder i Ali zastanawiali się, w jaki sposób zapewnić zwierzętom stały dopływ karmy, żeby były dobrze odżywione i zdrowe. Ali stwierdził, że bongo lubią liście akacji. Ludzie al-Mahtuma regularnie przywozili na wielbłądach świeżo ścięte gałęzie w zamian za garście srebrnych denarów Marii Teresy. - Wkrótce będziemy musieli złowić kolejną pływającą wyspę trzciny, bo inaczej zwierzęta zaczną głodować — powiedział Ali grobowym głosem. Uwielbiał przekazywać złe wieści.

Nil niósł na południe tratwy wodorostów i papirusu, oderwane od zwartego, grubego kożucha roślinności w lagunach i kanałach Sudu. Niektóre były takie wielkie, że często unosiły z bagien duże zwierzęta. Mimo najlepszych starań derwiszów Ryderowi i jego załodze udawało się mocować długimi linami te żyjące tratwy i przyciągać do brzegu. Brygady robotników siekierami cięły zbitą zieloną masę na mniejsze bloki i cumowały je w fosie. Dzięki temu trawa i trzcina nie usychały i mogły być wykorzystane jako pasza.

Ryderowi ledwo starczyło dnia, żeby ukończyć przygotowania do opuszczenia Chartumu. Słońce zachodziło, gdy wraz z Baczitem wyruszył z kompleksu ze sznurem objuczonych wielbłądów do starego portu. Jock McCrump trzymał ciśnienie w kotłach, kiedy weszli na pokład Nieustraszonego Ibisa.

Ryder czuł na sobie setki szpiegujących oczu, gdy ładowali na barkę ostatnie pęki drewna do palenia pod kotłami. Skończyli dopiero dwie godziny po zachodzie słońca. Żar dnia wciąż zalegał w mieście, gdy górny róg księżyca ukazał się nad wschodnim horyzontem i odmienił brzydkie zabudowania, zalewając je romantyczną poświatą.

Mała feluka wykorzystwała ostatnie podmuchy wieczornej bryzy, żeby niepostrzeżenie odbić od omdurmańskiego brzegu i pożeglować w dół rzeki. Pod osłoną ciemności podkrađła się do wejścia do starego portu w Chartumie. Szyper stanął na ławce i spojrzał w głąb basenu. Zobaczył płonące pochodnie i niezwykły ruch wokół parowca cumującego przy nabrzeżu. Usłyszał hałas i krzyki wielu ludzi. Było dokładnie tak, jak go poinformowano. Statekferenghi szykował się do opuszczenia miasta. Szyper wrócił na swoje miejsce przy sterze i zagwizdał cicho do trzyosobowej załogi, każąc ustawić wielki łaciński żagiel ostrzej do wiatru, a potem mocno przekręcił rumpel. Niewielka łódź ruszyła skosem pod prąd, kierując się z powrotem do Omdurmanu. W pobliżu zachodniego brzegu szyper

znów zagwizdał, tym razem bardziej przenikliwie, i z ciemności napłynął głos: — W imię Proroka i Boskiego Mahdiego, mów!

Kapitan wstał i zawołał do obserwatorów na brzegu: — Nie ma bóstwa innego niż Bóg, a Mahomet jest jego Prorokiem. Mam wieści dla kalifa Abdallahiego.

Nieustraszony Ibis wciąż stał przy nabrzeżu Starego Miasta. Jock McCrump i Ryder Courtney sprawdzali karabiny Mar-hni-Henry na wieszaku z tyłu otwartego mostka. Upewniali się, czy wszystkie są załadowane i czy paczki z nabojami Boxer-Henry kaliber 45 leżą pod ręką na wypadek, gdyby po wyjściu z portu napotkali blokadę derwiszów.

Jeszcze nie skończyli ostatnich przygotowań, gdy na trapie stanęli pierwsi ważni pasażerowie. Baczit zaprowadził ich do jednej z czterech kajut. Ryder Courtney, nie zważając na jego protesty, swoją postanowił udostępnić rodzinie Benbrooków. Kabina była maleńka, wyposażona tylko w dwie koje, ale miała zapewnić dziewczętom choć odrobinę prywatności na zatłoczonym parowcu. Ryder domyślał się, że jedna bliźniaczka będzie dzielić łóżko z ojcem, a druga z Rebeccą. Inni konsulowie zostali ulokowani w pozostałych kabinach, a prawie czterystu pasażerów musiało zaryzykować podróż na otwartych pokładach lub na trzech opróżnionych z ładunku barkach. Czwarta barka została załadowana sagami drewna, żeby nie musieli wychodzić na brzeg w celu uzupełnienia cennego zapasu paliwa.

Ryder popatrzył ku wschodowi. Księżyc, tylko kilka dni od pełni, zalewał blaskiem koryto wiodące w kierunku przełomu Szabluka. Na nieszczęście miał również oświetlać parowiec, cel wrogich kanonierów. Ich celność poprawiała się z dnia na dzień, gdy nabierali doświadczenia w obsłudze dział Kruppa zdobytych w El Obejd. Wyglądało na to, że dysponują nieograniczonym zapasem amunicji.

Spojrzał na nabrzeże i poczuł ukłucie irytacji. Major al-Faroque ze sztabu generała Gordona ustawił kompanię żołnierzy, żeby strzec dostępu do portu. Z bagnietami na lufach karabinów szykowali się do odparcia tłumu ludzi bez przepustek, którzy mogli przypuścić szturm na mały parowiec i spróbować siłą wdrzeć się na pokład. Zdesperowani mieszkańcy gotowi byli podjąć największe ryzyko, byle tylko wydostać się z miasta. Rydera zirytowało to, że al-Faroque kazał żołnierzom zapalić pochodnie, aby mogli sprawdzić twarze i dokumenty pasażerów stojących w kolejce przed wejściem do portu. Pochodnie oświetlały całe nabrzeże, doskonale widoczne dla wart derwiszów po drugiej stronie rzeki.

— Na Boga, majorze, każ pan ludziom zgasić światła! — ryknął Ryder.

— Mam rozkaz nie przepuszczać nikogo bez sprawdzenia papierów.

— Przyciąga pan uwagę derwiszów. Mahdi będzie wiedział, że przygotowujemy się do wyjścia z portu!

— Mam rozkazy, kapitanie.

Podczas gdy się sprzeczali, tłum pasażerów i tych, którzy mieli nadzieję dostać się na statek, szybko się powiększał. Większość niosła niemowlęta albo tobołki z dobytkiem. Wszyscy okazywali rozdrażnienie z powodu niemożności swobodnego wejścia do portu. Wiele osób krzyczało i wymachiwało przepustkami nad głową. Ci, którzy ich nie mieli, stali z zaciętymi, ponurymi minami, czekając na sposobność.

— Proszę przepuścić pasażerów! — zawołał Ryder.

— Nie przepuszczę nikogo, dopóki nie sprawdzę przepustek — odparł major i odwrócił się plecami, a Ryder bezsilnie piekł się na mostku. Al-Faroque był uparty i spieranie się z nim mogło tylko opóźnić wyjście na otwartą rzekę. W pewnej chwili Ryder wypatrzył wysokiego Davida, przeciskającego się przez tłum i torującego drogę córkom. Z ulgą zobaczył, że al-Faroque poznał ich i

ruchem ręki dał znak, że mogą przejść za kordon żołnierzy. Wbiegli po trapie, dźwigając swoje najcenniejsze rzeczy. Saffron niosła pudło z przyborami do malowania, a Amber płócienny worek pełen ulubionych książek. Nazira popychała dziewczynki po trapie; David użył wszystkich swoich wpływów, łącznie z powoływaniem się na godność urzędu, żeby uzyskać dla niej przepustkę.

— Dobry wieczór, Davidzie. Zajmiecie moją kabinę — powitał go Ryder, gdy weszli na pokład.

— Ależ nie! Drogi kolego, nie możemy pana eksmitować.

— W czasie całej podróży będę miał pełne ręce roboty na mostku — zapewnił go Ryder. —

Dobry wieczór, panno Benbrook. W kabinie są tylko dwie wąskie koje. Będzie ciasno, obawiam się, ale na parowcu nie ma lepszego miejsca. Pani służąca musi przesiąść się na barcę.

— Dobry wieczór, panie Courtney. Nazira należy do rodziny. Będzie spać z Amber, a ojciec podzieli koję z Saffron. Ja urządzę sobie poślanie na podłodze. Jestem pewna, że wszystkim nam będzie wygodnie — oświadczyła stanowczo Rebecca.

Od strony tłumu powstrzymywanego przez żołnierzy jak powódź przez kruchą tamę dobiegły złowieszcze pomruki. Ryder uznał to za dobry pretekst do uniknięcia kolejnego starcia z Rebeccą. Jej oczy lśniły złowrogo, gdy buntowniczo podnosiła podbródek.

— Proszę mi wybaczyć, Davidzie. Muszę iść, rozgośćcie się sami. Jestem potrzebny. — Ryder zostawił ich i zbiegł po trapie.

Podchodząc do majora, widział, że wzburzony tłum za kordonem żołnierzy z minuty na minutę gęstnieje i przebiega na szpice bagnatów.

Zjawił się monsieur Le Blanc, ostatni z korpusu dyplomatycznego. Wyglądał nedorzecznie, ubrany w obszerny operowy płaszcz i tyrolski kapelusz z pękiem piór za otokiem. Za nim podążała procesja służących, uginających się pod ciężarem bagaży. Tragarze dźwigali na ramionach dwa okute mosiądzem kufrы podróżne wielkości sarkofagu faraona.

— Nie może pan wnieść tych kłopotów na pokład, monsieur — powiedział Ryder, gdy strażnicy ich przepuścili.

Le Blanc podszedł do niego, wachlując się parą żółtych rękawiczek. Krople potu spływały mu po brodzie.

— Na te „klamoty”. monsieur. jak raczył pan się wyrazić, składa się moja garderoba. Nie mogę się bez niej obyć.

Ryder od razu zrozumiał, że dyskusja nie ma sensu. Wyminął Le Blanca i stanął przed tragarzami chwiejących się pod ciężarem kufrów.

— Postawić je na ziemi! — rozkazał po arabsku. Zatrzymali się i wlepili w niego oczy.

— Nie słuchajcie go — pisnął Le Blanc. Podbiegł do służących i spoliczkował ich rękawiczką. — Wnieście je na pokład, mes braves.

Tragarze ruszyli w stronę trapu. Ryder wypatrzył wielkiego Araba, który musiał być ich szefem, podszedł do niego i trzasnął go w szczękę. Tragarz padł jak człowiek postrzelony w głowę. Kufer zsunął się z ramion jego towarzyszy i runął na kamienne płyty. Wieko odskoczyło i na nabrzeże wysypała się lawina odzieży i przyborów toaletowych. Pozostali tragarze nie czekali na rozwój wypadków, tylko porzucili ładunek i uciekli przed gniewem szalonego ferenghi kapitana.

— I co pan narobił? — krzyknął Le Blanc, osuwając się na kolana. Zgarnął naręczce ubrań i próbował wepchnąć je do kufru.

Tłum za nim wyczuł okazję. Energicznie przesunął się do przodu i żołnierze zmuszeni byli cofnąć się o kilka kroków.

Ryder chwycił Le Blanca za ramię i poderwał go na nogi.

— Ruszaj, ty francuski imbecylny. — Pociągnął go w stronę trapu.

— Jeśli ja jestem imbecylem, to pan angielskim barbarzyńcą! — zawył dyplomata. Przytrzymał się mosiężnego uchwyty ciężkiego kufra. Ryder nie mógł go oderwać, choć szarpał ze wszystkich sił.

Ktoś na obrzeżach tłumu rzucił duży kamień, celując w głowę majora al-Faroque'a. Chybił, kamień uderzył w policzek Le Blanca. Dyplomata wrzasnął z bólu, puścił kufer i oburącz złapał się za twarz.

— Jestem ranny! Jestem poważnie ranny!

Posypał się grad kamieni, podskakujących na bruku pomiędzy żołnierzami. Jeden uderzył egipskiego sierżanta, który rzucił karabin i ukląkł, trzymając się za głowę. Jego podwładni odsunęli się, już wypatrując drogi ucieczki. Tłum nacierał jak stado psów, coraz mocniej, coraz bardziej zajadle. Ktoś podniósł upuszczony karabin sierżanta, wycelował w majora al-Faroque'a i strzelił. Kula musnęła skroń. Al-Faroque upadł, ogłuszony. Żołnierze złamali szyk i rzucili się do ucieczki, trając rozpostartego na ziemi dowódcę. W jednej chwili ze strażników przemienili się w uciekinierów. Ryder poderwał Le Blanca, który kopał, wrzeszczał i szamotał się w jego ramionach niczym dziecko w napadzie złości, i podbiegł do trapu.

Rzucił Francuza na pokład, potem popędził na mostek.

— Odbijać! — ryknął do załogi, gdy pierwsza fala tłumu wraz z połową egipskich askarysów wdzierła się na statek. Członkowie załogi zostali zepchnięci ze swoich stanowisk i nie mogli przebić się do cum. Nabrzeżem nadbiegało coraz więcej ludzi, skaczących następnie na pokład parowca albo gramolących się na barki. Ci, którzy wcześniej zajęli miejsca, próbowali ich spychać, ale statki osiadały coraz głębiej pod ciężarem walczących ludzi.

Saffron wystawiła głowę z kabiny i przyglądała się z zaciekawieniem. Ryder podniósł ją i dosłownie rzucił w ramiona starszej siostry, potem wepchnął obydwie do kabiny.

— Nie wychodzić! — krzyknął i zatrzasnął drzwi. Z uchwytu w zejściówce zerwał toporek strażacki. Z ciemności wylaniały się kolejne fale ludzi.

Ryder czuł, jak pokład Ibisa przechyla się pod nierówno rozmieszczonym ciężarem.

— Jock! — wrzasnął z rozpaczą. — Ci dranie nas wywrócą. Musimy odbić od kei. — Obaj wywalczyli sobie drogę przez tłum. Udało im się przeciąć cumy, ale w tym czasie Ibis już przechylał się niebezpiecznie.

Kiedy Ryder wrócił na mostek i otworzył przepustnicę, poczuł ogromny opór stawiany przez przeciążone barki. Obejrzał się i zobaczył, że burta najbliższej wystaje nad wodę najwyżej na dwie stopy. Zakreślił kołem, kierując się do wyjścia z portu.

Ibis miał potężny trzycylindrowy silnik Cowpera, wyposażony w pośredni zbiornik pary, co pozwalało na uzyskanie znacznie wyższego ciśnienia w kotłach niż w przypadku starszych modeli. Parowiec potrzebował całej mocy, żeby bezpiecznie przeciągnąć sznur obładowanych barek przez katarakty. Gdy nabrał prędkości, odkosy zabielały pod dziobami łodzi i woda przelała się nad burtami. Chór rozpaczliwych krzyków poniósł się nad rzeką, bo nabierały wody i osiadały jeszcze głębiej. Ryder zmniejszył moc i zdołał wyprowadzić Ibisa wraz z barkami na otwartą rzekę, gdzie miał więcej miejsca na manewry, ale wzburzona woda jeszcze wyżej piętrzyła się przed dziobami.

Ryder musiał przymknąć przepustnicę i zwolnić niemal do utraty sterowności. Parowiec został porwany przez prąd i obrócił się w poprzek koryta, hol zaczął się plątać. Ciężkie barki pędziły prosto na Ibisa. Pierwsza trąciła rufę i statek zdrzął pod wpływem siły zderzenia.

— Odciać je! — wrzasnął przestraszony Le Blanc tak przeraźliwie, że jego głos wybił się ponad harmider. — Odciać barki!

Zostawić wszystkich! To ich wina!

Krypy, wciąż połączone holami, dryfowały beładnie po rzece, mijając ostatnie zabudowania

miasta, a potem wypłynęły na szerokie wody połączonych Nilów. Ryder zrozumiał, że musi rzucić kotwicę, aby mieć czas na strymowanie barek, bo inaczej utoną. Zastanawiał się, czy nie zawrócić i nie wysadzić gapowiczów na brzeg. Z takim obciążeniem mogli utknąć w przełomie Szabluka. Nawet jeśli zdołają przepłynąć, stłoczeni pasażerowie nie wytrzymają gorąca w czasie przejścia przez Matkę Kamieni. Ryder chciał rzucić największą kotwicę, zanim prąd wyniesie ich spoza zasięgu ochraniającej artylerii generała Gordona. Nagle Baczit krzyknął ostrzegawczo: — Nadpływają łodzie! Łodzie derwiszów z drugiego brzegu! — Ryder podbiegł do niego i ujrzał flotyllę złożoną z dziesiątków niewielkich łodzi, feluk, nuggarów i małych dau, zbliżającą się szybko i cicho od strony Omdurmanu. Zawrócił prędko na mostek, gdzie na zrębnicy zamontowana była lampa bijąca światłem równym dziesięciu tysiącom świec. Skierował oślepiająco biały snop na zbliżające się łodzie. Zobaczył, że są pełne uzbrojonych ansarów.

Derwisze musieli wiedzieć o ucieczce i zastawili pułapkę na Nieustraszonego Ibisa. Gdy zbliżyli się do parowca i skotłowanych barek, wyrzeszczeli swoją straszną pochwałę Boga i potrzęsneli mieczami. Błysnęły długie główne, pasażerowie na barkach zawyli ze strachu.

— Ustawić się wzdłuż relingu! — krzyknął Ryder do załogi. — Przygotować się do obrony przed abordażem!

Załoga dobrze wiedziała, co robić. Ćwiczyli regularnie, bo brzegi Górnego Nilu, zamieszkane przez waleczne, dzikie plemiona, nie zaliczały się do bezpiecznych. Przepychali się, aby dotrzeć na stanowiska przy burtach statku i stawić czoło wrogowi, ale pasażerowie stali ramię w ramię i przebicie się przez ten ścisk graniczyło z niemożliwością. Pchnięte od tyłu morze ludzkich ciał przesunęło się i ci stojący najbliżej burty wpadli do rzeki. Wrzeszczeli i kotłowali się na powierzchni, dopóki nie uniósł ich prąd albo nie utonęli. Młoda kobieta z niemowlęciem przywiązany do pleców rozpaczliwie biła wodę rękami, żeby utrzymać głowę maleństwa nad powierzchnią, ale oboje zostali zassani przez śrubę Nieustraszonego Ibisa.

Wszelkie próby ratowania tych, którzy wpadli do wody, mijały się z celem. Nie było też czasu, żeby zakotwiczyć, bo łodzie nieprzyjaciela zbliżały się szybko; gdy dotarły do barek, derwisze zahaczyli bosakami o burty i próbowali wdrzeć się na pokłady, ale nie mogli się zmieścić. Cięli i dźgali mieczami wrzeszczących pasażerów, próbując zrobić sobie miejsce. Barki kołysały się gwałtownie, ludzie wypadali za burtę.

Następna fala łodzi derwiszów podpłynęła do Ibisa od sterburty. Ryder nie śmiał otworzyć przepustnicy ze strachu, że zatopi pierwszą barkę. Gdyby zwiększył prędkość, ogromny balast barki mógłby pociągnąć parowiec pod wodę. Ryder nie był w stanie uciec przed ansarami, musiał z nimi walczyć.

Jock McCrump i Baczit zdejmowali karabiny Martini-Henry z wieszaka i rozdawali załodze. Kilku egipskich askarysów zabrało na pokład karabiny Remingtona i teraz stali ramię w ramię z załogą przy relingu. Ryder oświetlał reflektorem zbliżające się łodzie. W jaskrawym snopie światła widać było twarze ansarów, wykrzywione żądzą krwi i religijnym uniesieniem. Wydawały się nieludzkie, jak oblicza legionu z bram piekielnych.

— Cel! — rozkazał Ryder i wszyscy podnieśli broń. — Pojedyncza salwa. Pal!

Grad ciężkich ołowianych kul uderzył w Arabów ściśniętych w felukach. Ryder dostrzegł, że jeden derwisz dostał prosto w głowę. Połowa czaszki wybuchła w szkarłatnej chmurze mózgu i krwi, skrzęcej się w świetle reflektora. Wielu innych poległo albo wypadło za burtę pod siłą kul o wadze czterystu pięćdziesięciu gramów, wystrzeliwanych z niewielkiej odległości.

— Ładuj! — ryknął Ryder. Zamki szczeknęły metalicznie i łuski z brzękiem spadły na pokład. Strzelcy wsunęli naboje do otwartych zamków i pociągnęli rączki zamkowe. — Pojedyncza salwa.

Ognia!

Zanim napastnicy otrząsnęli się po pierwszej salwie, uderzyła w nich druga, i nagle łodzie skręciły.

W tej chwili Ryder usłyszał głos Davida, przebijający się przez zawrodozenie i krzyki pasażerów.

— Za panem, Courtney! — David balansował na dachu kabiny, trzymając strzelbę w poprzek piersi. U jego boku stała Rebecca, uzbrojona w rewolwery Webleya. Z tyłu kucwały bliźniaczki, gotowe podać ojcu załadowane fuzje. Były blade jak płótno, ale miały zdeterminowane miny. Rodzina Benbrooków tworzyła heroiczną grupę górującą nad zamętem na pokładzie. Rydera ogarnął podziw.

David lufą strzelby wskazał przeciwległą burtę i Ryder zobaczył, że od tej strony nadciąga kolejna fala łodzi. Wiedział, że derwisze wedrą się na pokład, zanim jego ludzie zdołają przebić się przez tłum. Gdyby nawet kazał im to zrobić, sterburta zostałaby bez ochrony. Nie zdążył podjąć decyzji, gdy David wziął sprawy w swoje ręce. Podniósł dubeltówkę i wypalił z obu rur w załogę najbliższej łodzi. Z tego zasięgu śrut był bardziej skuteczny niż jedna kula Boxer-Henry. Błyskawiczna jatka w feluce oszołomiła derwiszów. Czterech czy pięciu upadło na pokład i wiło się w kałużach własnej krwi. Kilku innych wyleciało za burtę i niczym szczątki rozbitego okrętu uniósł ich prąd.

Saffron wsunęła w ręce ojca drugą strzelbę, podczas gdy Amber ładowała opróżnioną. Rebecca wypaliła z rewolwerów w stronę najbliższej feluki. Odrzut poderwał ciężką broń wysoko nad jej głowę, ale strzały wywarły morderczy efekt. David szybko pociągnął za spusty i huk dwóch wystrzałów przemienił się w jeden ogłuszający grzmot. Grad ołowianego śrutu i kul rewolwerowych ponownie zasypał łodzie. Gdy dwaj szyprowie feluk zobaczyli, że wysoki biały mężczyzna na dachu kabiny podnosi третią strzelbę, przełożyli stery i zawrócili, nie chcąc się narażać na kolejne cięgi.

— Brawo, Davidzie! — zaśmiał się Ryder. — Dobra robota, śliczne panie!

Feluki derwiszów odstąpiły od niebezpiecznej, bezwzględnej zwierzyny, zwracając się ku przeciążonym, bezbronnym barkom.

Ich los wydawał się przesądzony. Ansarowie wdarli się na pokład i pasażerowie zbili się przy drugiej burcie niczym sardynki na widok barakudy. Barka przechyliła się pod ich ciężarem, nabrała wody i wyróciła. Przez jakiś czas unosiła się, zwracając ku księżycowi porośnięte wodorostami dno. Nagle rufa poderwała się, celując w księżyc, i barka zatoneła.

Pociągnęła hol niczym wielka dryfkotwa i Nieustraszony Ibis zatrzymał się jak galopujący koń, który gwałtownie ściągnięty wodzami przysiada na zadzie. Hol spleciony z trzech cum był bardzo wytrzymały. Ryder wiedział, że nie pęknie i nie uwolni parowca. Rufa Ibisa osiadała coraz głębiej i woda szybko wdzierała się na pokład.

Ryder rzucił karabin palaczowi i zabrał mu ciężką siekierę. Zeskoczył na zalewany pokład i przedostał się na rufę. Brnął po kolana w wodzie, która kaskadami przelewała się nad pawężem. Wiedział, że niebawem zaleje maszynownię i zadusi ogień pod kotłem. Zebrał się w sobie i stanął nad prowadnicą, w której biegł hol. Miał grubość łydki otyłego mężczyzny, a przemoczone, naprężone włókna były twarde jak żelazo.

Ryder zrobił potężny zamach, uderzył siekierą i kilka pasm pękło z trzaskiem. Drugi raz podniósł siekierę nad głowę i spuścił ją, wkładając w cios całą siłę. Rąbał, stękając z wysiłku. Wreszcie ostatnie pasma rozwinęły się i hol pękł, zerwany przez pracującą śrubę Ibisa. Ryder w ostatniej chwili uskoczył przed liną, która sunęła niczym potworny wąż. Końcówka mogłaby połamać mu nogi, ale na szczęście minęła je o parę cali.

Ibis poderwał się, uwolniony od ciężaru hamującej go barki, i opadł już na równym kilu.

Wydawało się, że otrząsnął się z wody jak spaniel, który wyskoczył na brzeg z kaczką w zębach. Śruba popchnęła go w stronę brzegu tak gwałtownie, że Saffron straciła równowagę, rozpaczliwie wymachując rękami. Rebecca chciała ją przytrzymać, ale dziewczynka wysunęła się jej z dłoni i z wrzaskiem poleciała do tyłu. Uderzenie o stalowy pokład mogłoby spowodować pęknięcie czaszki. Ryder odrzucił siekierę, przyskoczył i złapał ją w locie. Przez chwilę przytulał dziewczynkę do piersi.

— Ptakiem to ty nie jesteś, Saffy. — Uśmiechnął się do niej i pobiegł na mostek. Choć nie chciała go puścić, bezceremonialnie rzucił ją w ramiona Naziry. Nie oglądając się za siebie, skoczył za koło sterowe i szeroko otworzył obie przepustnice. Z szumem pary Ibis szybko osiągnął maksymalną prędkość dwunastu węzłów, jakby rad z uwolnienia od holu. Ryder zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, żeby podpłynąć do barek i feluk.

— Co chce pan zrobić? — zapytał David, stając przy nim ze strzelbą na ramieniu. — Podjąć rozbitków?

— Nie — odparł Ryder ponuro. — Zamierzam powiększyć ich liczbę. — Dziób parowca wzmocniony był grubą na pół cala stalową płytą, żeby przetrwać bez szwanku kontakt ze skałami na kataraktach. — Staranuję ich — uprzedził. — Proszę powiedzieć dziewczętom, że muszą się trzymać, bo czeka nas wielkie łupnięcie.

Łodzie derwiszów otoczyły barki jak ścierwojady padłego słonia. Ryder zobaczył, że kilku ansarów przecina hole i rzuca je na dau. Najwyraźniej zamierzali przeciągnąć barki po kolei na płycizny zachodniego brzegu, gdzie bez pośpiechu mogliby dokończyć rzeź i plądrowanie. Pozostali wciąż rąbali zbity tłum na pokładach albo wychylali się za burty, żeby dźgać sztychami tych, którzy miotali się w wodzie i błagali o łaskę. W snopie światła z Ibisa woda Nilu miała kolor soku morwy, zabarwiona krwią martwych i konających. Po burtach barek spływały szkarłatne strumienie.

— Mordercze świny — szepnęła Rebecca i zwróciła się do Naziry: — Zabierz dziewczynki do kabiny. Nie powinny na to patrzeć. — Wiedziała, że to wołanie na puszczy. Trzeba by znacznie większej siły niż ta, którą miała Nazira, żeby wyciągnąć bliźniaczki z mostka. W odbitym blasku reflektora ich oczy były wielkie z chorobliwej fascynacji.

Ryder skręcił w stronę trzech dużych feluk, które cumowały przy burcie najbliższej barki. Ansarowie byli tak zajęci krwawą robotą, że nie zauważyli zbliżającego się Ibisa. W ostatniej chwili jeden z szyprów spojrział w górę i spostrzegł niebezpieczeństwo. Krzyknął ostrzegawczo i kilku derwiszów zeskoczyło do feluk, gdy parowiec uderzył.

Ryder naprowadził go tak umiejętnie, że stalowy dziób kolejno przebijał drewniane kadłuby, deski skrzypiały i pękały z hukiem armatnich wystrzałów, a łodzie wywracały się lub tonęły w krwawej wodzie. W końcu Ibis uderzył w barkę, ale pod bardzo małym kątem, więc tylko ją obrócił.

Ryder spojrział z góry na przerażone twarze ocalałych uciekinierów i usłyszał ich błagalne wołanie o ratunek. Bolało go serce, bo miał niewielki wybór: albo poświęci wszystkich, albo kilku ocali.

Zawrócił, nie przymykając przepustnicy, i ruszył ku następnej grupie łodzi, które kołysały się przy drugiej dryfującej barce.

Ansarowie już byli świadomi niebezpieczeństwa. Ibis runął na nich, oślepiając cyklopim okiem reflektora. Niektórzy wyskoczyli za burtę. Niewielu umiało pływać, a tarcze i miecze szybko wciągały ich pod wodę. Parowiec uderzył w pierwszą felukę, roztrzaskał ją i popłynął dalej, prawie nie tracąc szybkości. Przed nim unosił się największy dau, niemal dorównujący mu długością. Stalowy dziób Ibisa wbił się głęboko, ale nie zdołał przepołowić kadłuba. Pod wpływem siły uderzenia kilku pasażerów spadło z pokładu parowca na załogę arabskiego statku.

Ryder zmienił kierunek obrotów śruby i odsunął się od śmiertelnie ranionej ofiary, oświetlając wodę wokół niej. Łodzie podjęły z barek grupy abordażowe, rezygnując z rzezi w obliczu brutalnego ataku Ibisa. Podniosły żagle i odpłynęły w stronę zachodniego brzegu. Trzy ocalałe barki już nie były powiązane, bo ansarowie przecięli hole. Dryfowały w stronę zachodniego brzegu, znoszone przez prąd na szerokim zakręcie rzeki. W potężnym snopie światła Ryder widział hordy derwiszów czekających na przyjęcie ich i dokończenie masakry. Zawrócił Ibisa w nadziei, że dopędzi przynajmniej jedną i weźmie ją na hol, zanim osiadzie na wrogim brzegu.

W drodze ku barkom spostrzegł, że krypa załadowana drewnem, najcięższa, płynie wolniej. Pozostałe dwie znosił prąd. Na ich pokładach piętrzyły się ciała martwych i rannych, a burty spływające krwią lśniły czerwienią w świetle reflektora. Niedługo miały osiąść na mieliźnie, dokąd Ibis nie będzie mógł popłynąć.

Ryder znał wszystkie płycizny i zakręty rzeki tak dobrze, jak kochanek zna ciało umiłowanej. Zmrużył oczy, obliczając kąty i odpowiednią prędkość. Z mdlącym ssaniem w dołku zrozumiał, że nie zdąży ich uratować. Płynął w dół rzeki pełną parą, ale wiedział, że to beznadziejne. Pierwsza, potem druga barka utknęły na mieliźnie. Wojownicy wskoczyli do rzeki i brnęli w głębokiej do pasa wodzie, żeby dokończyć rzezi. Ryder przymknął przepustnicę i z grozą patrzył, jak ansarowie wdzierają się na pokłady i przystępują do krwawego dzieła. Na próżno kazał strzelać załodze w hordy derwiszów, wciąż nadciągające ku barkom. Odległość była zbyt duża i kule nie wyrządzały szkody.

Potem zobaczył, że barka z drewnem ciągle dryfuje. Uznał, że jeśli szybko przystąpi do działania, uchroni ją przed dobieciem do brzegu. Otworzył przepustnicę i ruszył w pościg. Odzyskanie paliwa pod kotły było nadzwyczaj ważne. Mając drewno, mogli dotrzeć do pierwszej katarakty bez wychodzenia na brzeg w celu uzupełnienia zapasu. Zawołał Jocka McCrumpa, kazał mu przygotować nowy hol, potem ustawił Ibisa równoległe do barki. Jock na czele grupy abordażowej przeskoczył nad burtą, żeby zamocować nową linę.

— Pospiesz się, Jock — ponaglił go Ryder. — Lada chwila zaczniemy szorować po dnie.

Patrzył z niepokojem na wrogi brzeg. Oceniał, że płyną na odległość strzału z pistoletu. Zdążył to pomyśleć, gdy zobaczył błyski z luf. Strzelcy rozpoczęli ogień. Kula uderzyła w reling i rykoszet zaświszczał tak blisko, że David skulił się odruchowo. Wyprostował się z zakłopotanym wyrazem twarzy. Surowo przemówił do Rebecki: — Natychmiast zabierz dziewczynki na dół i dopilnuj, żeby nie wychodziły, dopóki im nie pozwolę.

Rebecca wiedziała, że nie należy z nim dyskutować, kiedy mówi takim tonem. Przywołała siostry i robiąc groźną minę, zabrała je pod pokład. Nazira nie potrzebowała przynaglenia — pierwsza popędziła do kabiny.

Ryder wodził światłem reflektora po brzegu, mając nadzieję, że zniechęci strzelców albo przynajmniej oświetli ich, żeby jego załoga mogła odpowiadać celniejszym ogniem. Parowiec i barka dryfowały, zbliżając się szybko do mieliżni i czekającego nieprzyjaciela. Jock zwijał się jak w ukropie, mocując nową linę, ale wydawało się, że minęła cała wieczność, nim ryknął: — Gotowe, kapitanie!

Ryder powoli odwracał Ibisa, aż luka między nim a barką zmniejszyła się na tyle, żeby Jock i jego ludzie mogli przeskoczyć na parowiec. Gdy tylko ich stopy zetknęły się z pokładem, wrzasnął: — Holujemy!

Z uczuciem ulgi powoli otworzył przepustnicę i ostrożnie pociągnął barkę, aż ruszyła za nimi niczym posłuszny pies na smyczy. Kierował się na środek nurtu, kiedy coś zaszumiało w powietrzu i przemknęło tak nisko, że schował głowę w ramiona. Zaraz potem usłyszał charakterystyczny huk

sześciofuntowego działa — huk goniący pocisk z zachodniego brzegu.

— Aha! Ściągnęli artylerię— zauważył David konfidencjonalnym tonem. — Dziw, że zabrało im to tyle czasu.

Ryder szybko zgasił reflektor.

— Nie strzelali ze strachu, że trafią we własne łodzie — powiedział. Wycie następnego pocisku zagłuszyło ostatnie słowa — Ten przeleciał trochę dalej. — Prawą ręką nacisnął dźwignię przepustnicy, żeby wydobyć z silnika ostatnią uncję mocy. Opór stawiany przez ciężką barcę zmniejszał prędkość co najmniej o trzy węzły.

— Są dość blisko, żeby używać celowników szczerbinowych. Powinni sprawiać się lepiej.

— Będą... jestem tego pewien. — Ryder popatrzył na księżyc z nadzieją, że przysłoni go chmura. Niestety niebo jaśniało od gwiazd, a księżyc oświetlał Nil niczym scenę. Dla kanonierów z brzegu Ibis odcinał się od srebrnej wody jak granitowy pagórek.

Kolejny pocisk spadł znacznie bliżej. Deszcz wzbitej wody zalał mostek i zmoczył ich tak, że koszule przylepiły im się do pleców. Brzeg rozświetlały raz po raz błyski, gdy derwisze przyciągali działa, żeby ostrzelać Ibisa.

— Jock, trzeba odciąć barcę — zawołał Ryder do mechanika.

— Tak jest, kapitanie. Przeczuwałem, że to powiesz. — Jock zabrał siekierę i ruszył na rufę.

Następna konna bateria galopowała brzegiem, dopóki nie wyprzedziła płynącego pełną parą Ibisa. Mężczyźni stojący na mostku nie mogli wiedzieć, że działonowym jest ansar, którego David przezwał Obląkanym Beduinem. Jechał na pierwszym koniu w zaprzęgu, rzucając rozkazy. Jego ludzie odwrócili lawetę, ustawiając działo lufą w stronę rzeki, i odczepili przodek. Dwaj ładowniczy wdeptali w miękką ziemię ciężką stalową płytę oporową i wsunęli kołek w szczelinę. Działonowy wykrzykiwał rozkazy, oszalały z podniecenia: w trakcie swojej krótkiej kariery artylerzysty nie miał jeszcze tak pięknego celu jak statek ferenghi. Parowiec był zwrócony burcią, jego sylwetka wyraźnie rysowała się na tle rozmigotanej wody. Płynął blisko, ansar słyszał modlitwy i błagania przerażonych pasażerów oraz stanowcze rozkazy kapitana, wydawane w nieznanym mu języku niewiernych.

Pociągnął dźwignię i obrócił działo o kilka stopni, żeby długa lufa wycelowała prosto w statek. Potem zakręcił korbą regulującą kąt nachylenia, aż zobaczył cel w celowniku.

— Na Allaha, przynieść bombomy! — wrzasnął do ładowniczych, którzy natychmiast przytargali pierwszą skrzynkę z amunicją i otworzyli zatrzaski wieka. Wewnątrz na drewnianych widełkach spoczywały cztery pociski, smukłe i lśniące złowieszczo. Kanonier, samouk w sztuce artylerii, jeszcze nie zgłębił tajemnic zapalnika ze zwłoką. Kluczem do wkrętów, który nosił na szyi, maksymalnie przekręcił zapalniki w przekonaniu, że to zapewni pociskowi największą siłę rażenia. Ibis płynął zaledwie trzysta jardów od brzegu. Zapalnik został nastawiony na dwa tysiące jardów.

— W imię Boga, zaczynamy! — rozkazał.

— W imię Boga. — Drugi kanonier teatralnym ruchem otworzył zamek armaty.

— W imię Boga — zaintonował trzeci, wsunął długi pocisk do komory i jego kompan zatrzasnął zamek.

— Bóg jest wielki! — zawołał Obląkany Beduin, zmrużonymi oczami patrząc przez celownik. Przesunął lufę o cztery stopnie w lewo, celując w podstawę komina Ibisa. Gwałtownym ruchem chwycił sznur spustowy. — Allah jest wielki.

— Nie ma bóstwa innego niż Bóg — odparł chórem jego zespół.

— A Mahomet i Mahdi są jego prorokami. — Działonowy szarpnął i armata trzasnęła w płytę oporową. Huk ogłuszył obsługę, a błysk z lufy i wzbity pył ich oślepił.

Pocisk po prawie płaskim torze przemknął z wyciem nad rzeką i uderzył w Nieustraszonego Ibisa dwie stopy powyżej linii wodnej, tuż za śródkręciem. Przebił kadłub tak gładko, jak sztylet tnie ludzkie ciało, ale dzięki nastawieniu zapalnika na maksymalne opóźnienie nie eksplodował.

Gdyby trafił trzy cale wyżej lub niżej, wyrządziłby znikome szkody, które Jock McCrump uzbrojony w spawarkę usunąłby w parę godzin. Ale stało się inaczej. Pocisk przeciął główny przewód parowy wychodzący z kotła. Para o temperaturze dwustu stopni i ciśnieniu trzystu funtów na cal kwadratowy wystrzeliła z wyciem z uszkodzonej rury. Strumień omył palacza, który właśnie wrzucał wiązkę drewna do otwartego paleniska. W kotłowni było gorąco, dlatego miał na sobie tylko turban i przepaskę biodrową. Wystarczyła chwila, by w ukropie ugotowała się skóra i ciało, które spadało w wielkich płatach, odsłaniając kości. Cierpienie było tak straszne, że mężczyzna nie mógł wydać dźwięku. Z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku upadł na pokład i po chwili zastygł jak rzeźba personifikująca największą udrękę.

Para wypełniła maszynownię, gęste chmury buchały z otworów wentylacyjnych, rozlewając się po pokładach, spowijając Ibisa białym całunem. Statek szybko utracił moc i obrócił się w poprzek prądu. Obląkany Beduin i jego załoga wyli z podniecenia i triumfu, ponownie ładując działą. Ale ich ofiarę przysłaniały teraz chmury pary. Pociski z wielu baterii wpadały do wody albo przelatowały w powietrzu z odgłosem przypominającym trzask dartego żagla, lecz żaden nie trafił Ibisa.

Jock McCrump stał na mostku z Ryderem w czasie uderzenia pierwszego pocisku. Z szafki przy windzie parowej na dziobie jock wyciągnął grube robocze rękawice i nakładając je w biegu, popędził do maszynowni. Para wypływająca z luku parzyła mu twarz i gołe ramiona. Ciśnienie w kotle spadało, gdy para uciekała przez uszkodzoną rurę. Jock zerwał z wejścia ciężką płócienną zasłonę i warknął do Rydera: — Okręć mnie, kapitanie!

Ryder natychmiast zrozumiał, co chce zrobić mechanik. Owinął go płótnem, zasłaniając głowę i cały tułów prócz rąk.

— Garnek ze smarem! — Głos Jocka był stłumiony przez warstwy materiału. Ryder zdjął garnek z haka przy dźwigu, nabrał w garście gęste czarne mazidło i wysmarował muskularne ramiona Jocka.

— Wystarczy — stęknął Jock i na chwilę rozsunął płótno na głowie, żeby zaczerpnąć powietrza. Potem znów zakrył twarz i zsunął się po omacku po stalowej drabince. Wstrzymywał oddech i mocno zaciskał powieki, ale para parzyła odsłoniętą skórę, a czarny smar roztapiał się i spływał z nagich ramion.

Jock znał maszynownię jak własną kieszeń i nie musiał patrzeć. Kierując się dotykiem, szedł szybko w kierunku głównego przewodu. Para pod wysokim ciśnieniem uciekała z rury z tak przeraźliwym wyciem, że pękały mu bębenki w uszach. Miał wrażenie, że jego ręce gotują się niczym homary w garnku. Zdusił odruchowy krzyk, żeby nie zużyć resztek powietrza w obolałych płucach. Potknął się o zwłoki palacza, ale zdołał utrzymać równowagę i znalazł główną rurę. Była owinięta azbestowym sznurem, chroniącym przed utratą ciepła, i mógł sunąć po niej rękami, aż znalazł zawór, który kontrolował przepływ pary. Szybko zakręcił kołem i wycie uciekającej pary najpierw wzrosło, a potem ucichło, kiedy dopływ został zamknięty.

Trzeba niewysłowionego bólu, żeby człowiek jego pokroju zaszlochał, ale Jock McCrump płakał jak dziecko, gdy chwiejnym krokiem wrócił do zejściówki i z trudem wspiał się na pokład.

Wyszedł w nocne powietrze, chłodne po piekle panującym w maszynowni. Ryder podtrzymał go, żeby nie upadł na pokład, i z grozą popatrzył na wielkie bąble na jego przedramionach. Po chwili otrząsnął się z szoku i nabrał smaru z garnka, żeby posmarować oparzeliny, gdy nagle zjawiała się Rebecca. Bezceremonialnie odepchnęła go na bok.

— To zadanie dla kobiety, panie Courtney. Proszę zająć się statkiem, a to zostawić mnie. — W

nikłym światłem lampy sztormowej obejrzała ręce Jocka, ponuro ściągając usta. Postawiła lampę na pokładzie, przykucnęła i zaczęła opatrywać obrażenia. Jej ręce pracowały zwinnie i delikatnie.

— Bóg cię kocha, Jocku McCrumpie, za uratowanie mojego statku. — Ryder pochylił się nad mechanikiem. — Ale derwisze wciąż strzelają. — Jakby dla podkreślenia tych słów następny pocisk wpadł do rzeki tak blisko burty, że woda zmoczyła ich niczym tropikalna ulewa. — Jak poważne są uszkodzenia? Wystarczy mocy przynajmniej dla jednego silnika, żeby wypłynąć poza zasięg dział?

— Za dużo nie widziałem, ale pierdnięcie dziewicy ma większe ciśnienie niż główny kocioł. — Jock zerknął na Rebecę. — Wybacz, panienko. — Zdusił jęk, gdy pod jej dotykiem pękł jeden z nabrzmiąłych pęcherzy.

— Przepraszam, panie McCrump.

— Drobiazg, nie przejmuj się, kobieto. — Jock popatrzył na Rydera. — Może, tylko może, zdołam sklecić prowizoryczne obejście i doprowadzę parę do cylindrów. To zależy od uszkodzeń. Ale wątpię, czy w najlepszym wypadku dostaniemy więcej niż kilka funtów ciśnienia.

Ryder wyprostował się i rozejrzał. Zobaczył ciemną sylwetkę wyspy Tutti nie dalej niż kabel w dole rzeki, która znosiła ich pod działa. Braki w celności derwisze nadrabiali szybkością strzałów. Przy takim mnóstwie pocisków Ibis prędzej czy później musi zostać trafiony.

Jeszcze przez chwilę obserwował ruch statku względem wyspy.

— Prąd przeniesie nas obok wyspy. Jeśli zakotwiczymy pod jej osłoną, działa nie wyrządzą nam szkody. — Zostawił ich i przepchnął się przez tłum pasażerów, nawołując Baczitą i matą Abu Sinna. — Usunąć motłoch z drogi i przygotować się do rzucenia kotwicy.

Mężczyźni skoczyli na stanowiska, popychając i kopiąc oszołomionych askarysów i pasażerów na gapę, żeby zrobić sobie miejsce do pracy. Baczit zwolnił zapadkę blokującą kabestan ciężkiej dziobowej kotwicy. Abu Sinn z czterofuntowym młotem stanął nad prowadnicą łańcucha, który wyłaniał się z komory łańcuchowej.

Ryder spoglądał na wyspę, obserwując błyski z luf armatnich i czekając na odpowiedni moment. Długo wstrzymywał oddech, bo wydawało się, że zawirowanie prądu rzuci ich na brzeg. Dryfując blisko wschodniej strony, w końcu znaleźli się pod osłoną wyspy.

— Rzucić! — krzyknął Ryder do Abu Sinna, który uderzył młotem, wybijając sworzeń z szekli. Kotwica z pluskiem wpadła do rzeki i znalazła dno. Łańcuch przestał grzechotać i Baczit go zabezpieczył. Ibis zatrzymał się gwałtownie i odwrócił dziobem pod prąd, z barką z drewnem na holu. Ostrzał osłabł, gdy cel zniknął kanonierom z oczu. Jeszcze kilka pocisków zawyło wysoko nad statkiem albo wybuchło na piaszczystym brzegu wyspy, a potem kanonierzy dali spokój i zapadła cisza.

Ryder znalazł Jocka w kabinie, gdzie opatrywały go córki Benbrooka.

— Jak się czujesz? — zapytał ze współczuciem w głosie.

— Nieźle, kapitanie. Te ślicznotki pięknie się spisały. — Rebecca obandażowała mu ręce pasami z bawełnianych prześcieradeł, które podarły bliźniaczki, i z tego samego materiału zrobiła temblaki. Teraz parzyła herbatę na piecu w maleńkim kambuzie obok kabiny. Jock wyszczerzył zęby. — W domu nigdy nie miałem tak dobrze. Dlatego uciekłem.

— Przepraszam, że przerywam ci zasłużoną emeryturę, ale czy mógłbyś rzucić okiem na silnik?

— Akurat wtedy, gdy naprawdę dobrze się bawię — burknął Jock, lecz wstał z koi.

— Przyniosę kubek do maszynowni, panie McCrump — obiecała Amber.

— Ja wezmę drugi dla ciebie, Ryder — zawołała Saffron.

Jock McCrump poszedł za Ryderem do maszynowni, skąd Baczit i Abu Sinn wynieśli zwłoki palacza. Przy świetle dwóch lamp sztormowych ocenili rozmiar zniszczeń. Jock dokładnie obejrzał

swój ukochany silnik i burczał z rozgoryczeniem, żeby ukryć ulgę.

— Przekłęci barbarzyńcy! Nie mają za grosz poczucia przyzwoitości. Jak można zrobić taką krzywdę mojemu ślicznemu cowperowi. — Jednakże tylko główny przewód parowy został uszkodzony, sam silnik nie odniósł szwanku. — Bez narzędzi z warsztatu w Chartumie tutaj nie naprawię rury. Może zdołam sklecić coś naprędce, żeby doprowadzić odrobinę pary do silnika, ale rekordu prędkości to my nie pobijemy. — Podniósł obandażowane ręce. — Będziesz musiał odwalić czarną robotę, kapitanie.

Ryder pokiwał głową.

— Tymczasem każe Baczitowi przesadzić wszystkich nieproszonych pasażerów na barkę. To poprawi trym, da mi większą sterowność i zapewni załodze miejsce do pracy.

Podczas przesiadki pasażerów Ryder i mechanik przystąpili do pracy w maszynowni. Szybko, ale ostrożnie spuścili resztę pary z kotłów, wygarnęli węgle z rusztu i zakręcili zawory, odcinając zniszczoną część rury. Dopiero teraz mogli zacząć montować prowizoryczne obejście, żeby dostarczyć parę do silnika. Zmierzyli długość i piłą przycięli odpowiednie kawałki rury, potem umieścili je w ciężkim imadle i ręcznie nagwintowali. Owinęli gwinty nicią azbestową i skręcili rury kluczem o długim uchwycie.

Pracowali kilka godzin i świt zaglądał przez bulaje, gdy wreszcie byli gotowi wypróbować szczelność obejścia. Kolejną godzinę zabrało rozpalenie ognia pod kotłem i uzyskanie minimalnego ciśnienia. Kiedy wskazówka ciśnieniomierza doszła do zielonej linii, Jock ostrożnie otworzył zawór, puszczając parę do silnika. Ryder stał obok i patrzył z niepokojem. Ręce miał czarne od smaru, posiniaczone, pokaleczone przez szorstkie stalowe rury. Ze wstrzymanym oddechem wypatrywali przecieku, gdy wskazówka ciśnieniomierza przesuwiała się powoli.

— Trzyma — stęknął Jock i sięgnął do przepustnicy lewego silnika. Z sykiem pary trzy wielkie tłoki zaczęły przesuwają się w cylindrach, rytmicznie jak nogi maszerujących żołnierzy, a wał napędowy śruby obracał się gładko w łożysku.

— Daje parę i trzyma. — Jock z dumą wyszczerzył zęby. — Ale nie mogę ryzykować, nie puszcę maksymalnego ciśnienia. Musisz zadowolić się tym, co masz, kapitanie, dziękując za to Bogu i Jockowi McCrumpowi.

— Jesteś chodzącym, oddychającym cudem, Jock. Mam nadzieję, że matka była z ciebie dumna — zaśmiał się Ryder. Grzbietem ręki wytarł pot z czoła, zostawiając czarną smugę. — Daj mi tyle, ile możesz, a ja każe podnieść kotwicę. — Wspiął się po drabince na mostek. Abu Sinn poszedł za nim i pobiegł do windy parowej.

Gdy Ibis powoli ruszył pod prąd, łańcuch kotwiczny z grzechotem zniknął w otworze kluzy. Łapy kotwicy oderwały się od dna i Ryder szerzej otworzył przepustnicę. Parowiec reagował ociężale, z trudem radząc sobie z prądem o prędkości czterech węzłów. Rydera przebiegł zimny dreszcz rozczarowania. Popatrzył nad rufą na barkę. Zanurzona głęboko pod ciężarem drewna i ludzi, posuwała się z krnąbrnością muła. Z pokładu spoglądały na niego tuziny żalonych twarzy.

Na Boga, mam ochotę odciąć was i zostawić na łasce Mahdiego, pomyślał jadowicie i z wysiłkiem oparł się pokusie. Odwrócił się do Davida, który stanął przy nim w milczeniu.

— Nie damy rady przepłynąć przełomu Szabluka. Nurt połączonych Nilów wpada w przewężenie z prędkością prawie dziesięciu węzłów. Mając tylko połowę mocy, Ibis będzie bezradny. Ryzyko rozbicia się na skalnych urwiskach jest zbyt duże.

— Jaki ma pan wybór?

— Żadnego poza powrotem do Chartumu.

Na twarzy Davida odmalowało się zmartwienie.

— Moje córki! Nie chciałbym, żeby wróciły do tej śmiertelnej pułapki. Jak długo Gordon utrzyma miasto?

— Miejmy nadzieję, że na tyle długo, by Jock zdążył dokończyć naprawę, żebyśmy mogli znowu wyruszyć. Ale teraz naszą jedyną nadzieją jest powrót do portu. — Ryder ustawił Ibis w poprzek prądu i skierował go w stronę wschodniego brzegu. Starał się, żeby wyspa Tutti jak najdłużej osłaniała ich przed bateriami derwiszów, ale zanim przebyli połowę drogi, pierwsze pociski zawyły nad rzeką. Ryder zdołał zwiększyć prędkość. Obląkany Beduin i jego kamraci nie mieli szans, żeby trafić w cel tak mały jak oddalony o ponad milę Nieustraszony Ibis, chyba że za sprawą bezpośredniej interwencji Allaha. Tego dnia ich modlitwy pozostały bez odpowiedzi i choć kilka razy pociski spadły w obiecującej odległości, parowiec i barka bezpiecznie przebyły główny nurt, a potem skręciły na południe do miasta, trzymając się jak najbliżej wschodniego brzegu, na granicy zasięgu armat.

Feluki derwiszów odbiły od zachodniego brzegu i podjęły kolejną próbę osaczenia parowca, ale teraz, gdy słońce stało wysoko, miały o wiele mniejsze szanse. Artyleria generała Gordona skierowała zajadły i zaskakująco celny ogień we wrogą flotyllę, kiedy tylko znalazła się w zasięgu. Ryder zobaczył, że cztery małe łodzie rozpadły się na kawałki, trafione bezpośrednio pociskami odłamkowymi o dobrze nastawionych zapalnikach. Pourywane kończyny i głowy wleciały wysoko w żółtych chmurach prochu. To zniechęciło szyprów większości małych łodzi i tylko kilku najdzielniejszych nie zrezygnowało z próby.

Trzy łodzie parły w poprzek rzeki, lecz silny wiatr dął z południa, a prąd miał prędkość pięciu węzłów. Dwie feluki zostały zniesione w dół rzeki i nie mogły wejść na kurs, żeby przeciąć drogę Ibisowi. Tylko jedna ustawiła się odpowiednio, ale Ryder miał mnóstwo czasu na przygotowanie przyjęcia. Rozkazał wszystkim pasażerom położyć się na pokładzie, żeby stanowili mniejszy cel dla napastników. Gdy nieprzyjacielska łódź pędziła w ich stronę, przechylana przez wiatr i niesiona prądem, Baczit i Abu Sinn kucnęli za nadburciem.

— Niech podejść bliżej — zawołał z mostka Ryder, czekając na odpowiednią chwilę. A potem ryknął na całe gardło: — Teraz!

Baczit i Abu Sinn wyskoczyli z ukrycia i wycelowali mosiężne dysze węży w otwarty kadłub feluki. Otworzyli zawory i białe strumienie gorącej pary z kotła Ibis spowiły wojowników stłoczonych w otwartej łodzi. Ich krwiożercze okrzyki wojenne i pełne złości wyzwania przemieniły się we wrzaski bólu, gdy gęsta chmura pary odzierała skórę z ich twarzy i rąk. Feluka zderzyła się ze stalowym poszyciem Ibis i jej maszt złamał się tuż nad pokładem. Przesunęła się wzdłuż kadłuba parowca i okręciła w kilwaterze. Znalazła się na drodze ciężko obciążonej barki. Oślepieni parą ansarowie nie widzieli, co im grozi. Barka uderzyła w kruchą łódź i wciągnęła ją pod powierzchnię.

— Problem z głowy — mruknął Ryder z satysfakcją, potem uśmiechnął się do Rebecki. — Pani wybaczy, że odbiorę jej luksus spania na podłodze kabiny, ale dzisiejszą noc spędzi pani we własnym łóżku.

— Zniosę te trudy z najwyższym stoicyzmem, panie Courteney. — Jej uśmiech był równie nieprzekonujący jak jego, ale Ryder zdumiał się, jak ślicznie wyglądała mimo panującego chaosu i wszystkich okropności.

Generał Charles Gordon stał na schodach nad wejściem do portu i patrzył na poturbowanego Ibis. Twarz miał zimną surową jak lód, bez cienia uśmiechu czy współczucia. Kiedy parowiec zacumował przy kamiennym nabrzeżu, odwrócił się i odszedł.

Major al-Faroque został, żeby powitać wysiadających z barki wymęczonych pasażerów. Głowę miał owiniętą białym bandażem, ale minę zaciekłą, gdy wyłapywał żołnierzy, którzy opuścili

posterunki i próbowali uciec. Rozpoznanych winowajców smagał korbaczem po twarzy i tak naznaczonych przekazywał askarysom, którzy stali za nim i zakuwali ich w kajdany.

Po południu Ryder został wezwany do biura w pałacu w celu złożenia raportu. Gordon potraktował go chłodno i lekceważąco. Bez komentarza wysłuchał sprawozdania, potępiając go swoim milczeniem. Potem pokiwał głową.

— Jestem winny jak każdy inny. Obarczyłem pana zbyt wielkim obowiązkiem. Nie jest pan przecież żołnierzem, tylko interesownym kupcem — oznajmił z pogardą.

Ryder miał na końcu języka gniewną ripostę, ale przeszkodził mu huk wystrzałów na pałacowym dziedzińcu. Szybko podszedł do okna.

— Al-Faroque rozprawia się z dezertkami. — Gordon nie ruszył się z miejsca. Ryder zobaczył, że dziesięciu ludzi plutonu egzekucyjnego nonszalancko wspiera się na karabinach. Naprzeciwko nich pod ścianą leżał niechlujny rząd ciał. Rozstrzelani mieli opaski na oczach, ręce związane za plecami, zakrwawione koszule. Major al-Faroque przechodził od jednego do drugiego z rewolwerem w dłoni. Przystanął nad człowiekiem, który podrygiwał spazmatycznie, i strzelił mu w głowę. Kiedy dotarł do końca rzędu, skinął na drugi pluton. Żołnierze podbiegli i spiętrzyli zwłoki na wózku. Z piwnicy przyprawiono następną grupę skazańców i ustawiono ich pod ścianą. Pluton stał na baczność, gdy sierżant zawiązywał opaski.

— Mam nadzieję, generale, że córki konsula zostały powiadomione o egzekucji — powiedział Ryder ponuro. — Młode damy nie powinny oglądać czegoś takiego.

— Uprzedziłem konsula, że powinny zostać w swoich pokojach. Troska o panienki dobrze o panu świadczy, panie Courtney, ale oddałby im pan większą przysługę, zabierając w dół rzeki w bezpieczne miejsce.

— Zrobię to, generale, gdy tylko naprawię parowiec — zapewnił Ryder.

— Może być już za późno. Kilka godzin temu otrzymałem z wiarygodnego źródła informacje, że emir Osman Atalan z plemienia Bedżów niedługo dołączy do sił Mahdiego. — Generał Gordon wskazał przez okno na Omdurman leżący po drugiej stronie Nilu Białego.

Ryder nie krył zaniepokojenia. Ucieczka z Chartumu miała stać się znacznie trudniejsza.

Jakby na podkreślenie tych ponurych myśli rozległa się druga salwa plutonu egzekucyjnego, a zaraz potem cichy łoskot upadających ciał.

Emir Osman Atalan, umiłowany Boskiego Mahdiego, jechał na czele wielkich zastępów. Odpowiadając na wezwanie Mahdiego, od wielu tygodni maszerował ze wzgórz nad Morzem Czerwonym. Jego wojownicza natura buntowała się przeciwko monotonii i powolnemu tempu, narzuconemu przez wielkie skupisko zwierząt i ludzi. Karawana juczych wielbłądów i osłów oraz kolumny niewolników, sług, kobiet i dzieci rozciągały się na sześćdziesiąt mil, a wieczorem, kiedy rozbijano obóz, na pustyni powstawało miasto namiotów. Żony Osmana podróżowały w osłoniętych lektykach na grzbietach wielbłądów i spały w osobnych przestronnych namiotach, obsługiwane przez niewolnice. Straż przednią i tylną tworzyły formacje złożone z czterdziestu tysięcy wojowników, którymi dowodził Osman Atalan.

Wszystkie podległe plemiona skupiły się pod jego szkarłatno-czarnym sztandarem: Hamranowie, Rufarowie ze wzgórz i Ha-dendoa z wybrzeża Morza Czerwonego. Byli to ci sami wojownicy, którzy w ciągu kilku zeszłych lat starli w proch dwie armie egipskie. Rozgromili mające przewagę liczebną wojsko Bakera Baszy pod Tokar i El Teb, i zostawili na pustyni szeroki szlak wybielonych kości. Kiedy wiatr dął z zachodu, mieszkańcy t uakinu na odległym o dwadzieścia mil wybrzeżu wciąż czuli smród nieopgrzebanych ciał.

Plemiona podległe Osmanowi Atalanowi odegrały główną rolę w bitwie pod El Obejd, gdzie

zginął generał Hicks i siedem tysięcy jego ludzi. Wojownicy emira stanowili kwiat armii derwiszów, ale z powodu liczebności posuwali się bardzo wolno.

Osman Atalan usłyszał wołanie otwartej pustyni i ciszę dzikich ziem. Zostawił rojne legiony, żeby maszerowały w kierunku Miasta Niewiernych, a sam z niewielką grupą najbardziej zaufanych agadżerów postanowił oddać się niebezpiecznej rozrywce, znanej tylko wśród najdzielniejszych plemion.

Gdy ściągnął wodze wierzchowca i zatrzymał się na długim, lesistym grzbiecie nad doliną rzeki Atbary, wyglądał jak romantyczny bohater. Nie nosił turbanu, a jego gęste czarne włosy, przedzielone pośrodku głowy i splecione w długi warkocz, zwisały do niebieskiej szarfy, którą przepasał łaciątą dżibbę z cienkiego płótna. Prawym kolaniem przyciskał do siodła pochwę z mieczem. Rękojeść z rogu nosorożca pokryta była bursztynową patyną, a głownię zdobił damaskinaż ze srebra i złota. Jeździec miał szczupłe i żyłaste ciało, a mięśnie rąk i nóg przeżyły się niczym spleciona cięciwa łuku. Zeskoczył z siodła, stanął przy końskiej głowie i spojrzał na szeroką równinę, wypatrując zwierzyny. Oczy miał duże i ciemne, przysłonięte gęstymi, podwiniętymi rzęsami jak u pięknej kobiety, ale twarz wyglądała niczym wyrzeźbiona w starej kości słoniowej: twarde ciało i jeszcze twardsza kość. Był dzieckiem pustyni i dziczy, bez grama tłuszczu. Bezlitosne słońce nie przyczerńiło jego skóry, tylko ją ozłociło.

Towarzysze emira, ludzie wyciosani z tego samego kamienia, podjechali i zsiadli z koni. Zwali się agadżerami, a był to tytuł honorowy, zastrzeżony dla wojowników, którzy uzbrojeni tylko w miecze polowali konno na najgrubszego, najniebezpieczniejszego zwierza. Poluzowali popręgi, potem spętali wierzchowce. Napoili je, nalewając wodę z bukłaków do skórzanych kubelków, i rozłożyli przed nimi maty splecione z palmowych liści, na których spiętrzyli ziarno durry. Sami nie jedli ani nie pili, gdyż wstrzemięźliwość stanowiła część tradycji wojowników.

„Jeśli człowiek pije obficie i często, nigdy nie nauczy się opierać władzy słońca i piasku”, powiadali starcy.

Podczas gdy konie wypoczywały, agadżerowie odpięli od siodeł broń. Usiedli w słońcu i zaczęli ostrzyć miecze o tarcze z wyprawionej żyrafiej skóry, twardej, ale nie takiej ciężkiej jak z bawołu czy hipopotama. Tarcze, okrągłe puklerze bez malunków czy emblematów, były oznaczone tylko bronią wroga albo pazurami i zębami zwierzyny. Ostrzenie broni, rozrywka wypełniająca czas wolny, stanowiła część życia wojowników — ważną jak oddychanie, ważniejszą od jedzenia czy picia.

— Zobaczmy zwierzynę przed południem — powiedział Hasan Ben Nader, który nosił lance emira — chwała niech będzie imieniu Boga.

— W imię Allaha — odpowiedzieli chórem pozostali.

— Nigdy nie widziałem tropu dorównującemu śladom tego samca przewodnika — podjął Hasan cicho, żeby nie obrazić swojego pana ani dzinnów pustkowia.

— Jest królem wszystkich słoni — zgodzili się. — Zapewni rozrywkę mężczyźnie przed zachodem słońca.

Zerknęli z ukosa na Osmana Atalana, bo spoglądanie wprost świadczyłoby o braku szacunku. Ich pan, głęboko pogrążony w myślach, kucał z łokciami na kolanach, wspierając na rękach gładko ogoloną brodę.

Zapadła cisza, maćona tylko szmerem stali o skórę. Wojownicy przerywali miarowe ruchy tylko po to, żeby kciukiem sprawdzić ostrość obosiecznych głowni, długich na około trzy i pół stopy. Były to repliki mieczów krzyżowców, którzy przed kilku wiekami zrobili wielkie wrażenie na Saracenach pod murami Akki i Jerozolimy. Najbardziej ceniona broń, wykuta ze stali z Solingen, przechodziła z

ojca na syna. Dzięki nadzwyczajnej twardości tego metalu głównia była bardzo wytrzymała i mogła być wyostrzona jak skalpel chirurga — musnięcie przecinało skórę i włos, a lekkie uderzenie ciało i ścięgnę do kości. Silny cios mógł rozpołować człowieka w pasie tak łatwo, jak rozdziela się dojrzały owoc granatu. Pochwy były sporządzone z dwóch płaskich kawałków drewna mimozy, pokryte skórą z ucha słonia, wysuszoną i twardą niczym żelazo. Na płazie pochwy widniały dwa skórzane guzki oddalone może o dwanaście cali, które przytrzymywały broń pod udem jeźdźca. Dzięki temu nawet w cwale miecz nie podskakiwał niezdarnie, w przeciwieństwie do broni białej europejskiej jazdy.

Agadżerowie wypoczywali, dopóki słońce nie zakreśliło długiego na trzy palce łuku na niebie. Osman Atalan podniósł się płynnym, pełnym gracji ruchem. Inni bez słowa podeszli do wierzchowców i zaciągnęli popręgi. Pojechali w dół zbocza, przez otwartą sawannę wzdłuż brzegów Atbary, porośniętą statecznymi akacjami o płaskich koronach. Zsiedli nad jedną z głębokich sadzawek, pełną zielonej wody. Słonie odwiedziły to miejsce przed nimi. Napełniły brzuchy wodą, potem kąpały się hałaśliwie, polewając strumieniami z trąb tułowia i piaszczyste brzegi. Nabierały w trąby gęste czarne błoto, żeby obłożyć głowy i grzbiety dla ochrony przed słońcem i rojami kłusujących owadów. Potem trzy wielkie szare bestie odeszły, ale piasek i błoto wyrzucone na brzeg sadzawki wciąż jeszcze były wilgotne.

Agadżerowie szeptali z podnieceniem, wskazując wielkie okrągłe tropy największego samca. Osman Atalan położył tarczę na odcisku stopy. Był większy o szerokość palca.

— Na Boga, to potężne zwierzę, godne naszej stali — mruknęli.

— Nigdy nie widziałem większego — przyznał Hasan Ben Nader. — Jest ojcem wszystkich słoni, jakie kiedykolwiek żyły na Zieni! Napełnili bukłaki i znowu napoili konie, potem skoczyli na siodła i pojechali tropem słoni przez widny las akacjowy. Trzy samce szły pod wiatr, żeby móc wyczuć czyhające z przodu niebezpieczeństwo. Skupieni agadżerowie posuwali się cicho za nimi.

Samiec przewodnik zostawił na polanie stertę jasnożółtego łajna, włóknistego od przeżutej kory, którą odarł z pni akacji, i osianego pestkami z palmy dum. Ponad nią unosił się rój jaskrawych motyli. Łajno rozsiewało tak silną woń, że jeden z koni parsknął nerwowo. Jeździec uspokoił go, poklepując po karku.

Jechali dalej; Osman Atalan wyprzedzał jeźdźców o długość wierzchowca. Widzieli szlak na ponad sto kroków, bo słonie zdierały w marszu długie pasy kory z akacji. Świeże rany lśniły od soku, który miał zaschnąć w lepkie, czarne grudki cennej gumy arabskiej.

Emir Osman stanął w strzemionach i dłonią ocienił oczy, patrząc przed siebie. Prawie pół mili dalej nad niższymi drzewami sawanny wznosiła się kudłata korona wysokiej palmy dum. Choć wiatr był ledwo wyczuwalny, daleki czub palmy chwiały się gwałtownie, jakby targał nim huragan.

Osman Atalan obejrzał się na swoich towarzyszy i pokiwał głową. Uśmiechnęli się, bo zrozumieli, co widzą. Jeden ze słoni przyłożył czoło do butelkowatego pnia i potrząsał nim jak młodym drzewkiem. Dojrzałe orzechy sypały mu się na głowę.

Ściągnęli wodze, zwalniając do stępa. Konie zwietrzyły zwierzyńce; pocily się i drżały ze strachu oraz z podniecenia, wiedziały bowiem, co się zaraz stanie. Nagle Osman położył rękę na zadzie swojego wierzchowca. Klacz o miodowej maści podniosła kształtną arabską głowę i rozdeła chrapy, świadczące o jej szlachetnym rodowodzie, lecz zatrzymała się posłusznie. Nazywała się Hulu MaJja, czyli Słodka Woda — najcenniejsze bogactwo w tym spragnionym kraju. Miała sześć lat; była w kwiecie wieku, szybka jak oryks i łagodna jak kocię, ale z sercem lwicy. Czy to w zamęcie bitwy, czy w gorączce polowania, nigdy nie sprawiła zawodu swojemu panu.

Jak jeździec, wypatrywała ofiary. Nagle zobaczyła jednego z mniejszych samców, stojącego w oddaleniu od swoich towarzyszy pod rozłożystą koroną mimozy. Jego sylwetka rozmywała się w

cętkowanym cieniu.

Osman machnął ręką i ruszyli dalej, a konie stąpały czujnie, jakby spodziewały się, że kobra podniesie łeb pod ich kopytami. I nagle sylwetki dwóch pozostałych słońi zarysowały się pomiędzy drzewami. Jeden, nękany przez kłuszące muchy, potrząsnął głową tak gwałtownie, że uszy klaskały grzmiało o barki. Ciosy lśniły matowo w cieniu, zabarwione przez soki roślinne na kolor poplamionej tytoniem fajki z pianki morskiej. Zakrzywione, zwężające się kolumny kości słoniowej były takie wielkie, że agadżerowie wstrzymali oddech i odruchowo sięgnęli do rękojeści mieczy. Trzeciego samca zasłaniała kępa ciernistego kittaru i jego ciosów nie można było ocenić.

Osman Atalan znał już pozycję słońi, a więc mógł zaplanować strategię ataku. Najpierw należało rozprawić się z najbliższym, bo gdyby go wyprzedzili, zaalarmowałby go zapach ludzi i koni. Rzuciłby się wówczas do ucieczki, trąbieniem ostrzegając pozostałe, i myśliwi musieliby pędzić co koń wyskoczy, żeby je dogonić. Ledwie słyszalnym szeptem i pełnymi wyrazu gestami Osman Atalan wydał rozkazy agadżerom. Z długiego doświadczenia wszyscy wiedzieli, czego się po nim spodziewać.

Samiec pod drzewem mimozy stał prawie bokiem, dlatego Osman zatoczył łuk, żeby zajechać go od tyłu. W porównaniu z innymi mieszkańcami dziczy, takimi jak pawiany czy padlinożercy, słoń ma kiepski wzrok i kłopoty z rozróżnianiem kształtów, ale dobrze dostrzega ruch.

Osman nie śmiał zbliżyć się bardziej na koniu. Zsunął się z siodła i podkasał dżibbę, odsłaniając nogi w workowatych spodniach. Utknął rąbek długiej szaty pod szarfą, zaciągnął paski sandałów, potem dobył miecza. Odruchowo sprawdził ostrze i wessał kropelkę krwi, która pokazała się na opuszcze kciuka. Rzucił Hasanowi wodze Słodkiej Wody i ruszył w kierunku masywnego szarego kształtu w cieniu drzewa mimozy. Słoń wyglądał majestatycznie, przywodząc na myśl trójpokładowy okręt wojenny. Wydawało się niemożliwe, by taka mizerna broń mogła powalić tak ogromną bestię.

Osman stąpał gibko i lekko z wdziękiem tancerza, trzymając miecz w prawicy. Głównie tuż pod krzyżem jelca okręcił pasem skóry z ucha niedawno zabitego słońa: teraz, gdy wyschła, utworzyła wygodny uchwyt dla lewej ręki.

Zbliżając się do samca, słyszał ciche burczenie w brzuchu zwierzęcia — dzieliło się zadowoleniem i przyjemnością z pozostałymi, drzemiącymi niedaleko w usypiającym skwarze środka dnia Samiec kołysał się lekko i krótkim ogonem leniwie odpędzał muchy; kita sztywnych włosów na końcu ogona była prawie wytarta ze starości. Ogromne poplamione ciosy były takie długie i grube, że słoń wspierał tępe czubki na spieczonej ziemi. Pomiędzy ciosami zwisała pokiereszowana, pomarszczona trąba. Samiec bawił się wysuszoną, wybieloną przez słońce kością udową dawno padłego słońa, toczył ją po przedniej nodze i podnosił do pyska, jakby chciał posmakować. Wodził po niej mięsistymi, podobnymi do palców wyrostkami po obu stronach nozdrzy, niczym sędziwy koptyjski kapłan, który medytując w słońcu, przesuwa w palcach paciorki różańca.

Osman oburącz chwycił miecz, gotów do zadania skrytobójczego ciosu, i podszedł do słońa tak blisko, że mógłby dotknąć go sztychem. Fałdy pomarszczonej szarej skóry zwisały wokół kolan i pod obwisłym brzuchem, jak zbyt obszerne ubranie na wymizerowanym starcu.

Agadżerowie patrzyli na niego z podziwem. Wojownik mniejszej miary niepostrzeżenie zaszedłby zwierzę od tyłu, żeby dwoma szybkimi uderzeniami przeciąć główne ścięgna i arterie z tyłu nóg nad wielkimi, płaskimi stopami. Zadanie takich ran umożliwiało myśliwemu ucieczkę i unieruchamiało słońa; życie uciekało przez przecięte tętnice, skazując zwierzę na powolną śmierć, która mogła trwać nawet godzinę. Podejście od przodu po stokroć zwiększało niebezpieczeństwo. Osman wszedł w zasięg trąby, której uderzenie mogłoby połamać mu wszystkie kości. Wielkie uszy wychwytywały najcichsze dźwięki, nawet ostrożny, płytki oddech, a z takiej małej odległości

kaprawe oczka dostrzegały najlżejszy ruch.

Osman Atalan stanął w cieniu słonia i popatrzył na oko zwierzęcia. Osadzone w wielkiej głowie wydawało się za małe. Grube bezbarwne powieki przysłaniały je prawie całkowicie, gdy słoń mrugał sennie. Pomarszczona trąba zwisała pomiędzy żółtymi ciosami. Osman musiał sprowokować słonia, aby wyciągnął trąbę w jego stronę. Gwałtowny ruch czy hałas mógł spowodować katastrofalną w skutkach reakcję. Słoń powaliłby go machnięciem trąby, stratował albo nadział na cios, a potem rzucił na ziemię i rozgniół wypukłym czołem na krwawą miazgę.

Osman ostrożnie poruszył głownią i zbłąkany promień słońca, który przeniknął przez liściasty baldachim, odbił się od wypolerowanego metalu. Skierował jasną plamkę na obwisłe ucho, potem przesuwając ją stopniowo do przodu, aż nagle diamentowy klin światła trafił w na wpół przymknięte oko. Słoń podniósł powiekę i oko zaśniło, gdy szukał źródła tego drobnego utrapienia. Zobaczył tylko drżącą plamkę blasku i wyciągnął trąbę w jej stronę, niezatrwożony, tylko umiarkowanie ciekawy.

Osman nie musiał przekładać miecza w dłoniach. Srebrne ostrze zakreśliło w powietrzu lśniący łuk, szybkie jak sokół pikujący na ofiarę. Nie napotykając kości, gładko przeszło przez ciało i połowa trąby upadła na ziemię.

Słoń zakołysał się z szoku i cierpienia. Osman odskoczył -samiec spostrzegł ruch i próbował uderzyć, ale przecież trąba leżała na ziemi. Kikut zatoczył łuk w kierunku człowieka, krew trysnęła z otwartych arterii i szkarłatny prysznic zmoczył dzibbę emira.

Słoń poderwał kikut i zatrąbił w śmiertelnym przestrochu, a krew spływała mu na głowę i zalewała oczy. Ruszył w las, łamiąc drzewa i tratując krzaki, które stały mu na drodze. Wyrwane z drzemki trąbieniem inne słonie rzuciły się do ucieczki.

Hasan Ben Nader podbiegł ze Słodką Wodą. Osman chwycił długą, jedwabistą grzywę i skoczył na siodło, nie puszczając rękojeści miecza.

— Niech pierwszy ucieka! — zawołał. Bijące wielkie serce sprawi, że krew szybko wypłynie z przeciętych tętnic. Słoń straci siły i padnie po przebiegnięciu mili. Wróć po niego później. Nie wstrzymując wierzchowca, Osman minął miejsce, gdzie umierające zwierzę ostro skręciło w bok. Stał w strzemionach, żeby wypatrzeć tropy pozostałych słoni. Jechał za nimi aż do wzgórz nad doliną rzeki, gdzie się rozdzieliły. Jeden skręcił na południe i pędził jak burza przez las, a drugi wspinał się na skaliste zbocze. Nie było czasu na badanie tropów i osądzenie, który jest większy, więc Osman wybrał na chybił trafił.

Dał znak podniesionym mieczem i agadżerowie podzielili się na dwie grupy. Pierwsza pojechała w górę skarpy, a Osman poprowadził pozostałych za drugim zwierzęciem. W nieruchomym, gorącym powietrzu wisił wzbity przez nie pył, a zatem nie musieli zwalniać, żeby szukać tropu. Słodka Woda pokonała milę, gdy w odległości czterystu kroków Osman dostrzegł ciemny grzbiet, kołyszący się nad kittarem niczym wieloryb na wzburzonym morzu.

Mając zwierzynę w zasięgu wzroku, zwolnił do lekkiego galopu, by oszczędzić siły klaczy na ostateczne desperackie starcie. Nawet w tym tempie zbliżał się do słonia.

Niebawem żwir i kamyki wyrzucane przez wielkie stopy zagrzechotały na tarczy i zapiekły go w policzki. Zmrużył oczy i podjechał jeszcze bliżej. Słoń wyczuł jego obecność i odwrócił się z prędkością i zwinnością zdumiewającą u tak wielkiego zwierzęcia. Jeźdźcy rozproszyli się, uskakując przed szarżą, ale jeden z agadżerów okazał się zbyt wolny. Słoń w pełnym galopie zerwał go ciosem z siodła. Miecz, którego mężczyzna mógł użyć do obrony, wypadł z ręki, przekoziółkował w powietrzu i wbił się w ziemię, wibrując jak metronom. Słoń skręcił i uderzył agadżerem o pień palmy dum z taką siłą, że głowa oderwała się od tułowia, a potem ukląkł na zwłokach i przebił je

ciosami.

Osman zawrócił Słodką Wodę, która zarzucała długą grzywą z przerażenia, ale słuchała nacisku kolan i pociągnięć wodzów. Skierował ją prosto przed słońia i krzyknął, żeby przyciągnąć jego uwagę: — Ha! Chodź, pomioście szatana! Za mną, bestio z piekła rodem!

Samiec poderwał się z ciałem agadzera zwisającym z ciosów.

Potrząsnął głową i zwłoki poleciały na bok. Pogalopował za Osmanem, skrzecząc z wściekłości, potrząsając głową, aż uszy łopotały niczym grotzagiel napadniętego znienacka liniowca.

Słodka Woda pędziła jak spłoszony zajac, unosząc Osmana przed szarżującym zwierzęciem, ale Osman delikatnie ściągnął wędzidło, zwalniając jej bieg. Leżąc na karku klaczy, obejrzał się przez ramię.

— Spokojnie, najśłodsze serce. — Zmniejszył prędkość. — Musimy podpuścić tę bestię.

Słoń spostrzegł, że dopędza ofiarę, i galopował za nią niczym szwadron ciężkiej kawalerii. Wysuwał głowę i wyciągał trąbę, lecz klacz pędziła jak jaskółka, która muska taflę jeziora, by napić się w locie. Osman pilnował, żeby jej rozwiany ogon powiewał o długość ręki od końca wijącej się trąby. Słoń jeszcze bardziej przyspieszył, ale w chwili gdy chciał powalić konia i jeźdźca, Osman lekko wypuścił wodze i klacz skoczyła do przodu, umykając spoza zasięgu trąby. Osman przemówił cicho do ucha, które na dźwięk głosu zwróciło się w jego stronę.

— Tak, moja śliczna. Nadciągają. — W pyle wzbitym przez słońia dostrzegł sylwetki zbliżających się agadzerów. On sam i jego wierzchowiec odgrywali rolę czerwonej płachty na byka, zapewniając wojownikom okazję do podjechania i wymierzenia śmiertelnych ciosów. Słoń był tak pochłonięty pogonią za samotnym jeźdźcą, że nie widział ludzi nadjeżdżających od strony ogona. Osman patrzył, jak Hasan Ben Nader zeskakuje z siodła na ziemię tuż przy dudniących nogach słońia. Jego towarzysz chwycił wodze i prowadził wierzchowca przez czas potrzebny Hasanowi.

Hasan wykorzystał impet końskiego galopu, żeby rzucić się do przodu. Gdy samiec wsparł ciężar ciała na najbliższej nodze, pod grubą szarą skórą nabrzmiał sznur ścięgien. Hasan uderzył mieczem w pęcinę, o szerokość ręki nad miejscem, gdzie naprężone ścięgno łączyło się ze stawem. Lśniący skraj stali ciął nogę do kości i ścięgno rozeszło się z traskiem, który nawet w hałasie polowania dotarł wyraźnie do uszu Osmana. W tej samej chwili Hasan Ben Nader wyrwał wodze wojownikowi, skoczył na siodło i popędził galopem. Był to niezrównany pokaz umiejętności jeździeckich. Trzema susami wierzchowiec uniósł jeźdźca spoza zasięgu ciosów i trąby.

Słoń oderwał od ziemi zranioną nogę i wyrzucił ją do przodu, żeby zrobić następny krok, ale gdy tylko wsparł się na niej, staw pęciny odmówił posłuszeństwa. W przeciwieństwie do innych czworonogów słoń nie potrafi biec na trzech nogach, dlatego okaleczenie jednej unieruchomiło zwierzę. Kwicząc z bólu i wściekłości, próbował dosięgnąć swojego oprawcy. Osman zawrócił i piętami prowadząc Słodką Wodę, z krzykiem podjechał prawie pod wyciągniętą trąbę, żeby odwrócić uwagę słońia. Skręcił w ostatniej chwili. Samiec próbował go dopaść, lecz potknął się i niemal upadł, gdy zraniona noga ugięła się pod jego ciężarem.

Tymczasem Hasan zatoczył koło i niepostrzeżenie zbliżył się od tyłu do okulawionego zwierzęcia. Zeskoczył na ziemię, a potem, chcąc zademonstrować swoją odwagę, stanął samotnie przy nodze słońia. Wyczekał, aż zwierzę wesprze się na zdrowej kończynie i ścięgno napręży się pod skórą, i wówczas przeciął je z wprawą chirurga. Obie tylne nogi ugięły się i słoń bezradnie przysiadł na zadzie, wykrzykując swoją udrękę bezlitosnemu niebu i triumfującemu afrykańskiemu słońcu.

Hasan Ben Nader odwrócił się plecami i odszedł niespiesznym krokiem. Osman zeskoczył ze Słodkiej Wody i objął go.

— Jeździsz jak mężczyzna i zabijasz jak księżę — powiedział ze śmiechem. — Tego dnia obaj

złożymy przysięgę i podzielimy się solą braterstwa.

Nie zasługuję na ten zaszczyt — szepnął Hasan i ukląkł, oddając hołd — albowiem jestem twoim niewolnikiem i twoim dzieckiem, a ty jesteś moim panem i ojcem.

Zaprowadzili konie w cień i poili je z bukłaków, patrząc na ostatnie spazmy ofiary. Krew tryskała z przeciętych arterii w rytm bicia serca. Ziemia pod stopami przemieniła się w krwawe błoto, a okaleczone nogi ślizgały się, gdy słoń przenosił ciężar z jednej na drugą. Agonia nie trwała długo. Szkarłatny potok płynął coraz słabiej i słonia opadła senność nadchodzącej śmierci. Wreszcie powietrze uciekło z płuc w długim, głuchym jęku i zwierzę przewróciło się na bok z hukiem, który poniósł się echem po wzgórzach.

— Za pięć dni przyślę cię tutaj z pięćdziesięcioma ludźmi, Hasanie Ben Naderze, żebyś przyniósł ciosy. — Osman pogładził zakrzywioną kolumnę kości słoniowej, sięgającą wysoko nad jego głowę. Musiało upłynąć trochę czasu, żeby rozkład zmiękczył chrząstkę mocującą ciosy w kostnych gniazdach czaszki na tyle, by można było wydobyć je bez kaleczenia siekierą. Agadżerowie siedli na konie i niespiesznie pojechali po własnych śladach, by znaleźć zwierzę ranione przez Osmana. Ono też już musiało wykrwawić się na śmierć. Wytropienie go do miejsca, gdzie padło, miało być łatwe, bo zostawiło za sobą rzekę krwi.

Przejechali niespełna półtorej mili, gdy Osman zatrzymał ich podniesioną ręką i przekrzywił głowę, nasłuchując. Hałas płynął z za skalistego grzbietu, na który w pogoni za trzecim samcem wspięła się druga grupa agadżerów. Labirynt wzgórz musiał tłumić echa, dlatego nie usłyszeli wcześniej dźwięku, który brzmiał jednoznacznie w uszach doświadczonych myśliwych. Był to ryk rozjuszonego słonia, ani nieokulawionego, ani nieosłabionego przez rany.

— Al-Nurowi nie udało się czysto zabić zwierzęcia — powiedział Osman do swoich ludzi. — Musimy pospieszyć z pomocą.

Poprowadził ich galopem w górę zbocza i po drugiej stronie grzbietu usłyszeli głośnie odgłosy niedalekiej walki. Ujrzeni martwego konia, z kręgosłupem strzaskanym trąbą. Agadżer zginął w siodle. Minęli go, nie ściągając wodzy, i znaleźli jeszcze dwóch martwych ludzi. Osmanowi wystarczył rzut oka, żeby odtworzyć przebieg wydarzeń. Wojownik uciekał pieszo przed szarżującym zwierzęciem, bo haczykowate kolce kittaru o czerwonych czubkach zdarły go z siodła. Drugi wojownik, brat krwi, zawrócił, żeby go ratować. Zmarli, jak żyli, razem przelewając krew. Ich wierzchowce uciekły.

Słoń znowu zatrąbił. Głośny i ostrzejszy dźwięk płynął z pobliskich zarośli. Jeźdźcy wbili pięty w boki koni i pogalopowali w tamtą stronę. Z kolczastego gąszczu na otwartą przestrzeń wypadł cwałem skrajnie wyczerpany, przerażony siwek. Jechał na nim al-Nur, prawie nagi, bo ciernie zdarły mu dzibbę z grzbietu, a skórę miał pociętą tak, jakby podrapała go dzika bestia. Siwek chwiał się, niezdarnie wyrzucając kopyta, i był zbyt spanikowany, żeby dostrzec i ominąć jamę mrównika. Potknął się, wybijając al-Nura z siodła, i pogalopował dalej. Na wpół przytomny jeździec został na drodze wielkiego słonia. Był to patriarcha, którego tropy wprawiły ich w zdumienie. Krew spływała po zadniej nodze, ale cios wymierzony za wysoko i za mocno z przodu nie przeciął ścięgna. Al-Nur zadał ranę, która nie spowolniła ani nie ograniczyła ruchów zwierza. Zbliżał się z wysoko podniesioną głową, żeby długie siekacze nie zahaczały o ciernie i kamieniste podłoże. Dwukrotnie przekraczały rozpiętość ramion mężczyzny, były grube jak kobiece udo i prawie się nie zwięzały.

— Dziesięć kantarów jeden! — zawołał zdumiony Hasan. Było to zwierzę z legendy, dźwigające niemal dwieście funtów kości słoniowej po obu stronach wielkiej szarej głowy. Oszołomiony al-Nur podniósł się na nogi i zataczał pijacko, z twarzą brudną od krwi i kurzu. Stał plecami do szarżującego samca, bezbronny, bo stracił miecz. Słoń zobaczył go, ryknął i podwinął trąbę, przyciskając ją do

piersi. Al-Nur odwrócił się. Kiedy ujrzał nadchodzącą śmierć, podniósł prawą rękę z wyciągniętym palcem wskazującym na znak, że umiera jako muzułmanin, i krzyknął: — Bóg jest wielki! — Była to chwila akceptacji. Bez strachu czekał na spotkanie ze śmiercią.

— Dla mnie i dla Allaha! — zawołał Osman do swojej klaczy i Słodka Woda ruszyła co siłą. Przemknęła pod łukami ciosów z jeźdźcem nisko pochylonym w siodle. Trąba była zwinięta. Nie było celu dla miecza. Osman mógł tylko liczyć, że odciągnie zwierzę od człowieka. Słoń, skupiający uwagę na al-Nurze, zbyt późno zobaczył jeźdźca nadciągającego z boku. Osman przejechał tak blisko, że musnął ramieniem jeden z ciosów. Potem koń i jeździec zniknęli jak umykające stado nektarników. Słoń odwrócił się, porzucając stojącego człowieka, i postanowił wyładować gniew na większym celu. Popędził za koniem.

— O umiłowany Allaha! — zawołał z wdzięcznością al-Nur ślad za emirem, który go ocalił — oby Bóg odpuścił ci wszystkie grzechy.

Osman uśmiechnął się ponuro, gdy usłyszał słowa mimo morderczego trąbienia, trzasku kopyt i szelestu cierni.

— Bóg będzie musiał odpuścić mi ich znacznie więcej, zanim umrę! — odkrzyknął, odciągając zwierzę.

Hasan i pozostali agadżerowie jechali za nim, krzycząc i gwizdząc, żeby przyciągnąć uwagę słonia, ale ten niestrudzenie pędził za Słodką Wodą. Klacz cwałowała co siłą w nogach. Osman obejrzał się przez ramię i zobaczył, że słoń pędzi tak szybko, iż ani Hasan, ani nikt inny nie zdąży zająć pozycji umożliwiającej atak na bezbronne zadnie nogi. Popatrzył przed siebie i zrozumiał, że został zapędzony w pułapkę. Słodka Woda galopowała wąskim szlakiem pomiędzy gęstymi kępami kittaru, przegrodzonym przez zбитy mur cierni. Nagle zwolniła, odwróciła głowę i spojrzała pytająco na umiłowanego jeźdźcę, przewracając oczami. Biała piana bryzgała z kącików pyska.

A potem koń i jeździec wpadli w gąszcz, który zamknął się wokół nich niczym zielona fala. Ciernie darły skórę i ubranie jak szpony orła, i w jednej chwili wdzięczny galop Słodkiej Wody przemienił się w szamotaninę stworzenia, które grzęźnie w ruchomych piaskach. Słoń bez wysiłku przedzierał się za nimi, bo kolczaste gałęzie jemu nie przeszkadzały.

— Chodź, i niech nastąpi koniec! — krzyknął Osman, rzucając wodze i wysuwając nogi ze strzemion. Stał prosto na siodle, przodem do słonia, z oczami na wysokości jego ślepi. Człowiek i zwierzę mierzyli się wzrokiem, gdy dzieląca ich odległość szybko się zmniejszała. — Weź nas, jeśli zdołasz! — zawołał Osman, wiedząc, że dźwięk jego głosu jeszcze bardziej rozwścieczy zwierzę. Samiec płasko przycisnął uszy do czaszki, zwijając ich końce ze złości. Potem zrobił to, na co czekał Osman: rozwinął trąbę i wyciągnął ją, chcąc chwycić człowieka i podnieść go z konia.

Balansując na grzbiecie skaczącego, szamoczącego się wierzchowca, Osman wznosił długi miecz i uderzył w chwili, gdy pomarszczona szara trąba miała owinać się wokół jego tułowia. Broń zaśpiewała w powietrzu i rozmyła się w srebrną smugę światła. Cios został zadany z taką siłą, jakby miał napotkać wielki opór: stal przeszła przez skórę i ciało jak przez mgłę. Odcięła trąbę Przy samym pysku tak gładko, jak gilotyna głowę skazańca.

Przez chwilę widać było różowe mięśnie, lśniące nerwy i białe ścięgna. Potem z przerwanych arterii bluznęła szkarłatna chmura krwi. Słoń ryknął, tym razem z bólu i konsternacji, i zatoczył się w bok.

Osman opadł na siodło i pokierował Słodką Wodę kolanami, schodząc z oczu zwierzęcia. Słoń niepewnie zataczał szeroki krąg, gdy Hasan podjechał od tyłu, żeby ciąć lewą nogę. Po chwili skoczył na siodło, zostawiając unieruchomione zwierzę. Osman zsunął się z grzbietu Słodkiej Wody i podciął drugą pęcinę.

Krew tryśkała ze strasznych ran w zadnich nogach i trąbie, ale słoń stał tak długo, że mułła zdążyłby wyrecytować jedną surę Koranu. Osman Atalan i jego wojownicy zsiadli z koni i patrzyli na przedśmiertne drgawki słonia, modląc się oraz wysławiając jego siłę i odwagę. Kiedy wreszcie padł z łomotem na kamienistą ziemię, Osman zawołał: — Allah jest wszechmogący. Nieskończona jest chwała Boga.

Więści błyskawicznie rozeszły się po ulicach i sukach, wykrzykiwane z dachów i minaretów. W Chartumie panował ponury, pogrzebowy nastrój. Smętni mieszkańcy gromadzili się w miejscach, z których roztaczał się widok na drugi brzeg rzeki, żeby zobaczyć swoje przeznaczenie.

Ryder Courtney był w warsztacie w kompleksie za szpitalem i czerwonymi murami fortu Burri, kiedy służący przyniósł list od Davida Benbrooka, nabazgrany na pomiętej kartce z konsularnej papeterii. Od samego rana Ryder wraz z Jockiem McCrumpem naprawiali Nieustraszonego Ibisa. Po wymontowaniu pękniętej rury odkryli uszkodzenia większe, niż się spodziewali. Metalowe odłamki dostały się do cylindrów i porysowały wnętrze. Cud, że zdołali zawrócić i dotrzeć do portu.

— Całe szczęście, że nie pozwoliłem ci zwiewać pełną parą — mruknął Jock posępnie. — Mielibyśmy tutaj jedną wielką kupę złomu.

Musieli wyciągnąć ciężki silnik na kamienne nabrzeże, a następnie przetransportować go do warsztatu na wozie zaprzężonym w woły, jadąc okrężną drogą, żeby nie utknąć w wąskich uliczkach. Po dziesięciu dniach pracy naprawa zbliżała się do końca. Ryder wytarł ręce w kłęb bawełnianych odpadów, a potem przeczytał list. Podał go Jockowi.

— Chcesz obejrzeć występ lorda majora?

Jock chrząknął. Długimi szczypcami wyjął z paleniska arkusz rozżarzonej blachy i przeniósł go na kowadło.

— Jak będziemy się guzdrać, napatrzymy się do syta na tego szanownego orientального dżentelmena, cholernego Osmana Atalana. Po kiego licha gapić się na niego teraz? — Podniósł ciężki młot kowalski i zaczął kuć metal. Nie zaszczycając Rydera spojrzeniem, zanurzył blachę w korycie z wodą. Gdy metal ostygł w syczącej chmurze pary, obrzucił go krytycznym spojrzeniem. Formował łąkę do uszczelnienia dziury wybitej przez pocisk w kadłubie Ibisa. Nie był zadowolony z wyniku i pogwizdywał fałszywie. Ryder uśmiechnął się szeroko i poszedł do stajni po konia.

Przebył kanał po ziemnej grobli i ruszył przez rozgorączkowane tłumy, zmierzając do bram pałacu konsula. Miał nadzieję, że nie zastanie tam generała Gordona. Z zadowoleniem dostrzegł charakterystyczną sylwetkę w mundurze khaki na górnych blankach fortu Mukran. Gordon stał z kilkoma oficerami egipskiego sztabu. Wszyscy przez lunety lub lornetki spoglądali na północny brzeg Nilu Błękitnego. Ryder podjechał do konsulatu bez przyciągania ich uwagi. Podał wodze stajennemu przy bramie podwórza i pomaszerował przez spustoszone ogrody do głównego wejścia pałacu. Wartownicy rozpoznali go i zasalutowali, gdy wszedł do holu.

Egipski sekretarz wybiegł mu na spotkanie. Jak wszyscy inni, minę miał zdenerwowaną, zaniepokojoną.

— Konsul jest na wieży obserwacyjnej, panie Courtney — rzekł.

— Prosi, żeby dołączył pan do niego.

Kiedy Ryder stanął na balkonie, Benbrookowie nie od razu go spostrzegli. Stali skupieni przy dużym teleskopie na trójnogu. Amber weszła na krzesło z wyplatany oparciem, żeby dosięgnąć do okularu. Saffron obejrzała się i pisnęła z radości.

— Ryder! — Podbiegła i złapała go za rękę. — Musisz to zobaczyć. Ekscytujące!

Ryder spojrział na Rebeccę. Nie było po niej widać skutków przedwcześnie zakończonej podróży w dół rzeki. Wyglądała świeżo w zielonej żorżecie sukni z krynoliną. Wokół główki słomkowego

kapelusza żółciła się wstążka, a migoczące w słońcu loki spadały na ramiona.

— Nie pozwól, panie Courtney, żeby dziecko weszło panu na głowę. — Posłała mu skromny uśmiech. — Od śniadania pokazuje swój apodyktyczny charakter.

— Apodyktyczny, czyli królewski i władczy — powiedziała Saffron z zadowoleniem.

— Wcale nie. — Amber popatrzyła na nią, stojąc przy lunecie. — Przemądrzały i niezdolny.

— Spokój, panienki — zaśmiał się Ryder. — Siostrzana miłość jest piękna.

— Cieszę się, że pan przyszedł! — zawołał David. — Przepraszam, że oderwałem pana od pracy, ale warto popatrzeć. Dość, Amber. Teraz kolej na pana Courtneya.

Ryder podszedł do balustrady, ale zanim pochylił się przy okularze, gołym okiem spojrzął na drugą stronę rzeki. Widok był nadzwyczajny: wydawało się, że ziemia stoi w ogniu. Dopiero po chwili człowiek uświadamiał sobie, że to nie dym przyciemnia niebo, lecz pył wzbijany przez mrowie ludzi i zwierząt, sięgające po sam horyzont na wschodzie.

Nawet z takiej odległości słyszeli niski pomruk, jakby stłumione brzęczenie pszczoł w ulu albo szum morza w bezwietrzny dzień. Składało się nań porykiwanie osłów, meczenie owiec, stukot tysięcy kopyt i maszerujących stóp, poskrzypywania wielbłądzych juków i pisk osi, klekot bojowych tarcz ze skóry żyrafy, grzechotanie włóczni i mieczy w pochwach, dudnienie lawet i jaszczy.

A potem usłyszeli granie ombeja, sudańskich surm z kości słoniowej. Brzmienie bojowych tręb niosło się na ogromne odległości w pustynnym powietrzu. W tle pulsowały basowo wielkie mosiężne bębny. Dobosze, trębacze i chorążowie poprzedzali emirów, którzy jechali na czele swoich plemion. Każdy emir podążał w otoczeniu mulazemin, czyli straży przybocznej, złożonej z rodzonych braci i braci krwi, a także agadżerów. Choć ogłoszony przez Boskiego Mahdiego święty dżihad zjednoczył wszystkie plemiona, dzieliły je odwieczne waśnie i wzajemnie sobie nie ufały.

Nad zastępami powiewały sztandary w tęczowych barwach, z wyhaftowanymi tekstami z Koranu i pochwałami Allaha. Niektóre były takie wielkie, że trzymało je trzech czy czterech mężczyzn, gdy łopotały i trzaskały na gorącym pustynnym wietrze. Chorągwie i arlekińskie dżibby wojowników wyglądały niezwykle malowniczo na tle burego krajobrazu.

— Ilu ich jest, jak pan sądzi? — zapytał David takim tonem, jakby chodziło o tłum zebrany w dzień wyścigów na londyńskim torze Epsom Down.

— Licho wie. — Ryder z powątpiewaniem pokręcił głową. — Stąd nie widać końca.

— Pięćdziesiąt tysięcy?

— Więcej. Być może znacznie więcej.

— Widzi pan świętego Osmana Atalana?

— Z pewnością jedzie w straży przedniej. — Ryder spojrzął przez lunetę. Dostrzegł szkarłatno-czarne sztandary. — Jest i sam diabeł we własnej osobie. Na czele!

— Czy nie mówił pan, że nigdy go nie spotkał? — dociekał David.

— Prezentacja nie jest konieczna. To on, mówię panu. Smukły mężczyzna na kremowym koniu wyróżniał się pełną godności prezencją spośród otaczającej go chmary.

W tej chwili w wielkiej ciszy nastąpiło poruszenie. Ryder przez teleskop zobaczył, że Osman stanął w strzemionach i potrząsnął mieczem. Pod jego przewodem pierwsze szeregi mulazemin ruszyły z kopyta ku grupie nadciągającej od strony Omdurmanu. Jeźdźcy pędzący na koniach i wielbłądach radośnie strzelali w powietrze. Błękitny dym zmieszał się z pyłem, żeleźce włóczni i ostrza mieczów mrugały jak gwiazdy w ciemności.

— Komu jadą na spotkanie? — zapytał David ostro.

Ryder skupił soczewki na niewielkiej grupie jeźdźców i po zielonych turbanach rozpoznał dwóch mężczyzn jadących na czele.

— Niech mnie licho, jeśli to nie sam Mahdi i potężny kalif Abdallahi! — zawołał. Starał się, żeby jego głos brzmiał sardonicznie i lekceważąco, ale nikt nie dał się zwieść.

— Ta wesoła gromadka rzezimieszków zamknęła drogę na północ — powiedział David pogodnie, lecz z cieniem w oczach popatrzył na córki. — Nie ma ucieczki z tego przeklętego miejsca.

Komentowanie nie miałoby sensu, dlatego obaj mężczyźni w milczeniu przyglądali się spotkaniu ludzi, którzy w krwawych rękach trzymali los miasta i wszystkich jego mieszkańców.

Z mieczem w dłoni, z długim warkoczem podskakującym na plecach, Osman Atalan pędził prosto ku Mahdiemu. Prorok Allaha dojrzał go w wirze pyłu, usłyszał tętent w ogłuszającym zgiełku rogów wojennych i bębnow. Kalif Abdallahi wstrzymał konia kilka kroków za swoim panem i razem czekali na emira.

Osman powściągnął Słodką Wodę tak gwałtownie, że przysiadła na zadzie, i potrząsnął mieczem przed twarzą Mahdiego.

— Za Boga i jego Proroka! — wrzasnął. Głownia, która zadała śmierć setkom ludzi i słońi, znajdowała się o szerokość palca od oczu Mahdiego.

Mahdi siedział bez ruchu, rozchylając wargi w pogodnym uśmiechu, pokazując szczerbę w zębach.

Osman zawrócił klacz i pogalopował z powrotem. Straż przyboczna i chorążowie pociągnęli za nim, strzelając w powietrze z karabinów Martini-Henry. W odległości trzystu kroków Osman zrobił w tył zwrot i wojownicy przegrupowali się za jego plecami. Gdy wysoko podniósł miecz, ponownie ruszyli w zwartej falandze prosto na dwie samotne postacie. W ostatniej chwili Osman ściągnął wodze i klacz zaryła kopytami w ziemię.

— La ilaha illallah! Jest tylko jeden Bóg! — ryknął. — Muham mad Rasul Allah! Muhammad jest prorokiem Boga!

Pięć razy konni zawracali i pięć razy podjeżdżali. Przy piątej szarzy Muhammad Ahmad, Boski Mahdi, podniósł prawicę i rzekł cicho: — Allah karim! Bóg jest hojny.

Osman natychmiast zeskoczył z konia i ucałował stopę w strzemieniu. Był to akt największej pokory, oddanie duszy drugiemu człowiekowi. Mahdi uśmiechnął się łagodnie. Spowijał go szczególny zapach, mieszanina aromatu drewna sandałowego i olejku różanego, znana jako Tchnienie Mahdiego.

— Rad jestem, że przybyłeś, aby dołączyć do mojego wojska i wziąć udział w dżihadzie przeciwko Turkom oraz niewiernym.

Wstań, Osmanie Atalanie. Możesz być pewien mojej łaski. Wejdz ze mną do miasta Allaha, Omdurmanu.

Mahdi siedział ze skrzyżowanymi nogami na niskim łóżku zwanym angarebem, okrytym jedwabnym dywanikiem modlitewnym i zarzuconym poduszkami. Łóżko stało na płaskim dachu domu; trcinowy daszek chronił je przed słońcem, ale nic nie powstrzymywało chłodnego wiatru znad rzeki i nie zasłaniało widoku na Chartum leżący za szeroką wstęgą Nilu. Brzydki kanciasty blokhauz fortu Mukran dominował w systemie obronnym obleżonego miasta.

Emir Osman Atalan siedział naprzeciwko Mahdiego, a przed nim klęczała niewolnica z miską wody, w której pływały płatki oleandra. Osman zanurzył palce i dokonał rytualnych ablucji, a potem ruchem ręki odprawił kobietę. Druga śliczna niewolnica z plemienia Galla ustawiła pomiędzy mężczyznami srebrną tacę z trzema srebrnymi pucharami na smukłych nóżkach: były to wysadzone klejnotami kielichy mszalne, zagrabione w rzymskokatolickiej katedrze w El Obejd.

— Orzeźw się, Osmanie Atalanie. Przebyłeś długą drogę — powiedział Mahdi.

Osman odmówił z eleganckim gestem.

— Dziękuję ci za poczęstunek, ale jadłem i piłem o świcie. Nie tknę niczego do zachodu słońca. Mahdi pokiwał głową. Wiedział o wstrzemięźliwości emira. Doskonale zdawał sobie sprawę z wyjątkowego wpływu postu na religijne oświecenie i gotowość do wyrzeczeń. Wspomnienia z wyspy Abbas były w nim tak świeże, jakby pochodziły z wczorajszego dnia, a nie sprzed trzech lat. Podniósł srebrny puchar do ust, przez chwilę pokazując szczerbę, znak swojej boskości. Oczywiście nigdy nie pił alkoholu, miał jednak słabość do napoju sporządzanego z syropu daktylowego i mielonego imbiru.

Kiedyś, wiodąc odludne życie pustelnika, był chudy i twardy jak ten dziki pustynny wojownik. Kiedyś, jako bosy asceta, odmawiał sobie wszelkich zmysłowych przyjemności. Jeszcze nie tak dawno rozpowiadano po całym Sudanie, że Muhammad Ahmad nigdy nie zaznał rozkoszy obcowania z kobietą. Teraz, jako wybrany przez Boga duchowy przywódca narodu, już nie był dziewicą i miał harem złożony z najdorodniejszych owoców swoich wielkich zwycięstw. On jako pierwszy wybierał nałożnice spośród pojmanych kobiet. Szejkowie i emirowie obdarowywali go najpiękniejszymi dziewczętami swoich ziem, przy czym korzystanie z hojności ofiarodawców stało się politycznym nakazem. Liczba żon i nałożnic, już przekraczająca tysiąc, wzrastała z dnia na dzień. Mahdi, zafascynowany kobietami, spędzał wśród nich połowę dnia.

One z kolei były oczarowane jego prezencją, wzrostem i wdziękiem, pięknymi rysami twarzy, skrzydlatym znamieniem i anielskim uśmiechem, którym maskował wszystkie emocje. Uwielbiały zapach jego perfum i szczerbę w uzębieniu. Były odurzone bogactwem i władzą; skarbiec, Bejt el Mai, zawierał złoto, klejnoty i miliony w gotówce, splądrowane w głównych miastach leżących nad Nilem. Kobiety śpiewały: „Mahdi jest słońcem na naszym niebie i wodą naszego Nilu”.

Boski prorok odstawił puchar i podniósł rękę. Jedna z dziewcząt uklękła, żeby podać mu nasączony wonnościami jedwabny ręcznik, którym otarł lepki syrop z ust.

Za Mahdim na drugim zarzuconym poduszkami łożku siedział kalif Abdallahi. Był przystojnym mężczyzną o wyrazistych rysach i orlim nosie, ale jego skórę szpeciły dzioby po ospie, podobne do cętek lamparta. Charakter też miał lamparci, drapieżny i okrutny. Emir Osman Atalan nie lękał się żadnego człowieka ani zwierzęcia, z wyjątkiem dwóch ludzi, którzy teraz przed nim siedzieli. Tych bał się jak ognia.

Mahdi podniósł kształtną dłoń i wskazał na drugą stronę rzeki. Nawet gołym okiem mogli dostrzec samotną postać na murach fortu Mukran.

— Tam jest Gordon Basza, syn wcielonego szatana — powiedział Mahdi.

— Przyniosę ci jego głowę przed początkiem ramadanu - obiecał kalif.

— Chyba że niewierny dotrze do niego przed tobą — odparł Mahdi. Jego głos miał łagodne, melodyjne brzmienie. Zwrócił się do Osmana: — Nasi zwiadowcy meldują, że armia niewiernych w końcu się ruszyła. Flotylla parowców płynie na południe, żeby ocalić naszego wroga przed moją zemstą.

— Na początku będą posuwać się w tempie kameleona — dodał kalif. — Kiedy jednak przebędą katarakty i dotrą do zakrętu rzeki w Abu Hamed, dostaną północny wiatr, a prąd będzie słabszy. Prędkość statków wzrośnie sześciokrotnie. Zjawią się w Chartumie przed porą Niskiego Nilu, a my nie możemy szturmować miasta, dopóki woda nie opadnie i nie umożliwi dostępu do umocnień Gordona Baszy.

— Wyślesz połowę swojego wojska na północ pod wodzą najbardziej zaufanych szejków i zatrzymasz niewiernych na rzece, zanim dotrą do Abu Klea. Rozprawisz się z nimi, tak jak starłeś w proch armie Bakera Baszy i Hicksa Baszy. — Mahdi spojrzał w twarz Osmana. Serce emira zaśpiewało. — Czy oddasz wroga w moje ręce, Osmanie Atalanie?

— Święty, uczynię to — odparł Osman. — W imię Boga i z błogosławieństwem Allaha, oddam ci całe miasto i wszystkich jego mieszkańców. — Trzej wojownicy Boga spojrzeli za Nil wzrokiem głodnych gepardów, obserwujących gazy na równinie.

Kapitan Penrod Ballantyne czekał w przedpokoju konsulatu Jej Królewskiej Mości w Kairze od czterdziestu ośmiu minut. Sprawdził czas na zegarze nad wejściem do gabinetu konsula generalnego. Na lewo od masywnych rzeźbionych drzwi wisiał naturalnej wielkości portret królowej Wiktorii z dnia ślubu, czystej i ślicznej, w kwiecie młodości i z koroną imperium na głowie. Po drugiej stronie widniała podobizna jej małżonka, księcia Alberta z niemieckiej dynastii Koburgów, przystojnego mężczyzny z nadzwyczaj bujnymi bokobrodami.

Penrod Ballantyne przejrzał się w wysokim do sufitu lustrze w złoczonej ramie, umieszczonym na bocznej ścianie poczekalni, i z satysfakcją zauważył podobieństwo do księcia małżonka. Albert wprawdzie od dawna spoczywał w grobie, ale on wciąż był młody i pełen życia. Kapitańskie epolety i szamerunek munduru jaśniały od nowego złota. Buty do jazdy konnej lśniły jak szkło, a delikatna skóra marszczyła się wokół kostek niczym miech akordeonu. Kawaleryjska szabla wisiała wzdłuż szkarłatnego lampasa bryczesów. Dolman zarzucony na ramię był spięty pod szyją złotym łańcuszkiem. Bermyska z niedźwiedziego futra spoczywała w zgięciu lewego łokcia. Lewą pierś zdobiła jedwabna wstążka z brązowym krzyżem opatrzonym inskrypcją „Za męstwo”, wykutym z rosyjskich armat zdobytych pod Sewastopolem. Było to najwyższe odznaczenie wojskowe w imperium.

Wszedł sekretarz sir Evelyn Baringa.

— Konsul generalny przyjmie pana.

Penrod stał, żeby zachować nieskazitelny wygląd munduru — brzydkie zmarszczki na wysokości łokci, w dolnej części kurtki mundurowej i pod kolanami zepsułyby efekt. Nałożył na głowę wysoką czapę i sprawdził w lustrze, czy jest opuszczona nisko nad brwi, a łańcuszek biegnie w poprzek podbródka. Wmaszerował do gabinetu.

Konsul siedział za biurkiem, zajęty czytaniem depechy. Penrod stanął na baczność i zasalutował. Baring skinął głową, nie podnosząc wzroku. Sekretarz zamknął drzwi.

Sir Evelyn Baring oficjalnie reprezentował rząd Jej Królewskiej Mości w Egipcie oraz piastował stanowisko konsula generalnego z pełnomocnictwami. W rzeczywistości był wicekrólem, który rządził władcą Egiptu. Kiedy armia brytyjska i Marynarka Królewska ocaliły chedywa przed atakiem zbuntowanego tłumu w porcie Aleksandrii, Egipt pod każdym względem — oprócz nazwy — stał się protektoratem brytyjskim.

Chedyw Taufik Basza, słaby młodzieniec, nie mógł równać się z człowiekiem pokroju Baringa i reprezentowaną przez niego potęgą imperium. Został zmuszony do rezygnacji ze wszystkich swoich uprawnień, w zamian Brytyjczycy zapewnili Egipcjom pokój i dobrobyt, jakiego tamtejsza ludność nie zaznała od czasów faraona Ptolemeusza. Sir Evelyn Baring zaliczał się do najtęższych głów w służbie kolonialnej. Premier William Gladstone wraz z członkami gabinetu znali i doceniali jego zalety. Podwładni z kolei przezywali go „sir Over Bearing”, ponieważ traktował ich protekcyjnie [overbearing (ang.) — apodyktyczny].

Konsul ignorował Penroda, nie przerywając lektury, kreśląc złotym piórem notatki na marginesie. Wreszcie podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na surowe sylwetki trzech potężnych piramid w Gizie. Penrod został na swoim miejscu.

Cholerny idiota, zżymał się w duchu Baring. Napytał nam biedy. Od samego początku sprzeciwiał się udziałowi „Chińczyka” Gordona. Chciał wysłać Sama Bakera, ale Gladstone i lord Hartington, minister wojny, uchylili jego decyzję. W naturze Gordona leży wywoływanie konfliktów, pomyślał.

Sudan został spisany na straty. Zadanie generała polegało na wyprowadzeniu naszych ludzi z tego przeklętego kraju, a nie na rzucaniu wyzwania Szalonemu Mahdiemu i jego derwiszom. Ostrzegałem Gladstone'a, że tak właśnie się stanie. Gordon zaczął dyktować warunki, chce zmusić rząd do wysłania wojska w celu ponownego zajęcia Sudanu. Gdyby nie nieszczęśni mieszkańcy, których uwięził wraz z sobą, i gdyby nie honor imperium, powinniśmy zostawić go na łasce losu. Niechby wypił piwo, którego nawarzył.

Gdy Baring odwrócił się od okna, przerywając kontemplację odwiecznych monumentów na drugim brzegu Nilu, jego oczy zatrzymały się na numerze londyńskiego „Timesa”, który leżał na stole przed ulubionym fotelem. Jeszcze mocniej zmarszczył czoło. A zatem musimy wziąć pod uwagę również sentymentalizm i dyletanctwo mas pracujących, tak chętnie manipulowanych przez małoskownych magnatów prasowych.

Niemal z pamięci mógłby zacytować artykuł wstępny: „Wiemy, że generał Gordon, otoczony przez wrogie plemiona, nie ma łączności z Kairem i Londynem. W tych okolicznościach Izba ma prawo spytać gabinet Jej Królewskiej Mości, czy zamierza w jakiś sposób przyjść mu z pomocą. Czy członkowie rządu zamierzają pozostać obojętni na los człowieka, który miał wybawić ich z kłopotliwego położenia, czy zostawią go zdanego wyłącznie na siebie, nie podejmując najmniejszego wysiłku dla jego dobra?”. Tak oto zwrócił się do Izby Gmin lord Randolph Churchill, o czym donoszono szesnastego marca tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku. Przeklęty demagog! — pomyślał Baring i podniósł głowę, patrząc na kapitana huzarów. Przemówił do niego po raz pierwszy, odkąd Penrod przekroczył próg gabinetu.

— Ballantyne, chcę, żeby wrócił pan do Chartumu.

— Oczywiście, panie konsulu. Mogę wyjechać w ciągu godziny. — Penrod wiedział, że ten pan Egiptu lubi nade wszystko słowo „tak”.

Baring pozwolił sobie na lodowaty uśmiech, co w jego wypadku było wyrazem nadzwyczajnej aprobaty. Stworzył rozległą i wszechobecną siatkę wywiadowczą. Jej macki penetrowały wszystkie poziomy egipskiego społeczeństwa, od najwyższych kręgów rządowych i wojskowych po zakazane rady mułłów w meczetach oraz biskupów w katedrach i koptyjskich monasterach. Miał swoich agentów w pałacach chedywa i haremach baszów, na sukach, bazarach i w burdelach największych miast i najmniejszych wiosek.

Penrod był zaledwie maleńką kijanką w ropiejącym bagnie intrygi, w którym sir Evelyn Baring zarzucał wędkę i sieci. Ostatnio jednak konsul szczerze polubił tego chłopaka. Pod przystojną, wymuskaną powierzchownością wykrył błyskotliwy, szybki umysł i poczucie obowiązku, które przypominało mu jego samego z czasów młodości. Rodzinne koneksje Penroda Ballantyne'a też nie budziły zastrzeżeń. Jego starszy brat był baronetem i właścicielem wielkiej posiadłości w Scottish Borders. On sam miał znaczący dochód z rodzinnego majątku powierniczego, a purpurowa wstążka na piersi wystarczająco świadczyła o odwadze. Co więcej, ten młody pies wykazał się naturalnym talentem wywiadowczym. Stopniowo, niemal w niezauważalny sposób stał się cenny — nie niezbędny, bo taki nie był nikt, ale cenny. Jediną słabość, jakiej jak dotąd doszukał się Baring, Penrod Ballantyne chował w spodniach.

— Nie dam panu wiadomości na piśmie z oczywistych względów — powiedział.

— Naturalnie, panie konsulu.

— Jedna informacja przeznaczona jest dla generała Gordona, a druga dla Davida Benbrooka, brytyjskiego konsula. Nie wolno pomylić wiadomości. Może pan odnieść wrażenie, że są sprzeczne, ale proszę się tym nie trapić.

— Tak jest, panie konsulu. — Penrod zgadywał, że Baring ma zaufanie do Benbrooka, ponieważ

brakuje mu polotu. Ufał również „Chińczykowi” Gordonowi, choć wcale nie z powodu lotności umysłu.

— Oto co należy im przekazać. — Baring mówił przez pół godziny bez zaglądania do notatek, przerywając tylko dla zaczerpnięcia oddechu. — Pamięta pan, Ballantyne?

— Tak jest, panie konsulu.

Jeden z plusów jego wyglądu, pomyślał Baring. Nikt nie dałby wiary, że ten wąsaty beniaminek może zapamiętać długą, skomplikowaną wiadomość po jednokrotnym wysłuchaniu i powtórzyć ją wiernie miesiąc później.

— Doskonale — rzekł beznamiętnie. — Generał Gordon musi zrozumieć, że rząd Jej Królewskiej Mości nie ma zamiaru odbijać Sudanu. Wojsko brytyjskie, które obecnie maszeruje w górę Nilu, nie jest pod żadnym względem kolumną ekspedycyjną. Nie jest armią okupacyjną. To jednostka ratownicza o minimalnej sile. Jej celem jest wzmocnienie Chartumu na czas potrzebny do ewakuowania wszystkich naszych ludzi. Kiedy cel zostanie osiągnięty, oddamy miasto derwiszom i wycofamy się.

— Rozumiem, panie konsulu.

— Po przekazaniu obu wiadomości natychmiast wróci pan na północ i dołączy do kolumny Stewarta. Jako przewodnik poprowadzi go pan przez pętlę Nilu do parowców Gordona, które czekają w Metemmie, żeby zabrać wojsko w górę rzeki. Ma pan pozostawać ze mną w kontakcie. Zwyczajny szyfr, proszę pamiętać.

— Oczywiście, sir Evelynie.

— Bardzo dobrze. Major Adams ze sztabu generała Wolseleya czeka na pana na piętrze.

Rozumiem, że się znacie.

— Tak, panie konsulu.

Baring oczywiście wiedział, że Penrod otrzymał Krzyż Królowej Wiktorii za wyciągnięcie Samuela Adamsa z krwawej jatki pod El Obejd.

— Adams poda panu więcej szczegółów, a także wyposaży w niezbędne przepustki i nakazy rekwizycji. Może pan dziś wieczorem wsiąść na pokład parowca Cooka i we wtorek w południe wsiąść w Asuanie. Tam będzie pan zdany na siebie. Ile czasu zajmie panu droga do Chartumu, Ballantyne? Odbywał pan tę podróż wiele razy.

— To zależy od warunków na Matce Kamieni. Jeśli studnie są pełne, zetnę pętlę rzeki i będę w Chartumie za dwadzieścia jeden dni — odparł Penrod rzeczowo. — Co najwyżej za dwadzieścia sześć.

Baring pokiwał głową.

— Lepiej dwadzieścia niż dwadzieścia sześć. Może pan odejść. — Baring odprawił go, nie podając mu ręki. Penrod jeszcze nie doszedł do drzwi, gdy konsul zajął się depezbami. Dla niego ważne było nie to, czy ludzie go lubią, ale czy wykonują swoją robotę.

Major Sam Adams ucieszył się na widok Penroda. Poruszał się już tylko o jednej lasce.

— Chirurdzy mówią mi, że w Boże Narodzenie znów będę grać w polo. — Żaden z nich nie wspomniał o długiej jeździe z pobojuwiska pod El Obejd. Wszystkie słowa, które należało wypowiedzieć na ten temat, padły dawno temu. Adams tylko popatrzył z podziwem na brązowy krzyż na piersi Penroda.

Penrod napisał zaszyfrowany telegram do oficera wywiadu ze straży tylnej kolumny pustynnej, która zbierała się w Wadi Halfie, osiemset mil w górę Nilu. Adiutant Adamsa zaniósł wiadomość na parter do telegrafisty i wrócił z potwierdzeniem, że została wysłana i odebrana. Pułkownik Adams zaprosił Penroda na lunch w hotelu Shepheard's, ale Penrod podziękował, mówiąc, że jest już

umówiony. Wyszedł, gdy tylko otrzymał papiery podróżne. Odebrał wierzchowca od stajennego, który czekał przy bramie, i po niespełna półgodzinnej jeździe brzegiem rzeki dotarł do Klubu Gheziera.

Dwudziestoletnia lady Agatha, najmłodsza córka diuka, czekała na niego na Werandzie Pań. Jej ojcem chrzestnym był Viscount Wolseley, głównodowodzący wojsk brytyjskich w Egipcie. Miała dwadzieścia tysięcy funtów dochodu rocznie. Co więcej, była piękną, filigranową blondynką — i ogromnym utrapieniem dla każdego mężczyzny.

— Wolałbym złapać francuską chorobę niż lady Agathę. — Penrod niedawno usłyszał tę frywolną uwagę w hotelowym barze i nie wiedział, czy wybuchnąć śmiechem, czy może poprosić jej autora, żeby wyszedł z nim na zewnątrz. W końcu postawił mu drinka.

— Spóźniłeś się, Penrodzie. — Siedziała nadąsana na trzciniowym krześle, gdy wszedł po schodach od strony ogrodu. Pocałował ją w rękę, potem zerknął na zegar nad wejściem do jadalni. Spozrzęła to. — Dziesięć minut może być wiecznością.

— Niestety obowiązki, moja śliczna. Królowa i ojczyzna.

— Jakie to nudne. Przynieś mi kieliszek szampana. — Wystarczyło, że Penrod podniósł głowę, a kelner odziany w długą białą galabiję i fez z pomponem zjawił się niczym dzinn z lampy.

Agatha napiła się wina.

— Grace Everington w sobotę wychodzi za mąż — oznajmiła.

— Tak szybko?

— W zasadzie nie, w samą porę. Zanim będzie widać.

— Mam nadzieję, że polowanie sprawiło jej przyjemność.

— Mówi, że nie, ani trochę, ale jej ojciec robi się wredny i powtarza, że nie ma innego wyjścia. Honor rodziny. Ślub będzie cichy i dyskretny, oczywiście, ale mam zaproszenie dla ciebie. Możesz mi towarzyszyć. Zabawnie będzie popatrzeć, jak Grace robi głupka z siebie i z niego.

— Przykro mi to mówić, ale wtedy będę daleko stąd.

Agatha wyprostowała się.

— Boże, nie! Nie znowu! Nie tak szybko.

Penrod wzruszył ramionami.

— Nie miałem wyboru.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Za trzy godziny.

— Dokąd cię wysyłają?

— Wiesz, że nie należy o to pytać.

— Nie możesz jechać, Pen. Jutro wieczorem w ambasadzie Austrii odbędzie się przyjęcie. Mam nową sukienkę. — Ballantyne tylko wzruszył ramionami. — Kiedy wrócisz?

— Gdybym odpowiedział, to byłoby rzucaniem słów na wiatr.

— Trzy godziny — powiedziała, wstając. Przyciągała uwagę wszystkich mężczyzn na werandzie. — Chodź! — rozkazała.

— Na lunch?

— Nie sądzę.

Pojechali, on wierzchem, ona w otwartej gharry, do hotelu Shepherd's, gdzie jej rodzina na stałe wynajmowała apartament. Gdy tylko zamknął drzwi pokoju, skoczyła na niego jak kotka na kłębek wełny, gibka, rozdokazywana i pełna zapału. On bez wysiłku wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

— Spiesz się! — poleciła. — Ale nie za bardzo.

— Jestem królewskim oficerem, i co rozkaz, to rozkaz.

Później patrzyła na niego, gdy się ubierał. Sama leżała naga, rozleniwiona i zaspokojona, jakby prowokując go do dokonania oceny.

Nie znajdziesz niczego lepszego, Penrodzie Ballantyne. — Ujęła w dłonie piersi, jasne i duże w porównaniu z jej dziewczęcą talią. Ścisnęła brodawki, a on znieruchomiał, żeby na nią popatrzeć. — Widzisz? Lubisz to robić. Kiedy się ze mną ożenisz?

— Ha! Możemy wrócić do tego pytania w późniejszym terminie?

— Jesteś skończone zwierzę. — Przeczesła palcami mgiełkę jasnorudych kędziorków na podbrzuszu. — Mam je wyskubać? Arabki tak robią.

— Twoje informacje na ten temat są prawdopodobnie bardziej dokładne niż moje.

— Słyszałam, że lubisz arabskie dziewczęta.

— Czasami jesteś zabawna, lady Agatho. Kiedy indziej nie. Raz zachowujesz się jak dama, a zaraz potem wręcz przeciwnie. — Zrzucił dolman na ramię i zapiął łańcuszek, kierując się do drzwi.

Wyskoczyła z łóżka jak zraniony lampart, a on ledwie zdążył odwrócić się i bronić. Sięgnęła do jego oczu ostrymi, perłowymi szponami, ale złapał ją za nadgarstki. Próbowwała ugryźć go w policzek, białe zęby zatrzasnęły się o cal od jego nosa. Wygiął ją w tył, że nie mogła go dosięgnąć. Chciała uderzyć go w pachwinę, lecz zablokował cios udem i odwrócił ją, przyciskając plecami do piersi. Była bezradna w jego ramionach. Naparła na niego krągłymi pośladkami, poczuła, jak rośnie i twardnieje, i wybuchła zadyszany, triumfalnym śmiechem. Przeszła się szamotać, osunęła się na kolana i wypięła bliźniacze półksiężycy pośladków. Rozsunęła uda, żeby pokazać różowe gniazdko.

— Nienawidzę cię! — syknęła.

Przyklął za nią, w jeździeckich butach z ostrogami, z szablą u pasa. Rozpiął spodnie, a ona krzyknęła mimowolnie, kiedy w nią wszedł. A gdy się podniósł, położyła się, zasapana, u jego stóp.

— Skąd zawsze wiesz, czego od ciebie chcę? To okropne słowo, jakim nazwałeś mnie przed chwilą, było niczym sproszkowane chili na słodkim mango... zaparło mi dech w piersi. Skąd wiesz takie rzeczy?

— Niektórzy mogą nazwać mnie geniuszem, ale jestem zbyt skromny, żeby przyznać im rację.

Popatrzyła na niego. Włosy miała potargane, policzki zaróżowione.

— Nazwij mnie tak jeszcze raz.

— Niezależnie od tego, jak bardzo zasługujesz, jeden raz wystarczy. — Podeszedł do drzwi.

— Kiedy wrócisz?

— Może wkrótce, może nigdy.

— Ty zwierzaku. Nienawidzę cię. Naprawdę cię nienawidzę.

Ale jego już nie było w pokoju.

Trzy dni później Penrod zszedł z szybkiego parowca na molo w Asuanie. Był ubrany w tropikalny mundur khaki bez odznaczeń czy barw pułku, bermycę zastąpił hełmem z szerokim rondem. W polu widzenia przebywało co najmniej pięćdziesięciu żołnierzy i oficerów w niemal identycznych uniformach, więc nie wzbudzał zainteresowania. Obszarpany tragarz w brudnym turbanie chwycił jego plecak i pobiegł przed nim labiryntem ulic starego miasta. Penrod wyciągał długie nogi, żeby nie stracić go z oczu. Kiedy dotarli do bramy w glinianym murze na końcu wąskiego, krętego zaułka, Penrod rzucił piasra tragarzowi i zabrał swój bagaż. Pociągnął sznur dzwonka i słuchał znajomego dźwięku. Po chwili za bramą rozległy się ciche, niepewne kroki.

— Kto dzwoni? — padło pytanie. — Tutaj nie ma niczego, jesteśmy bowiem biednymi wdowami, opuszczonymi przez Boga.

— Otwórz bramę, rajska hurysa — odparł Penrod — i to szybko, zanim ją wyważę.

Chwilę pełnego konsternacji milczenia zakończył dziki skrzek śmiechu i zgrzyt rygli. Brama otworzyła się z poskrzypywaniem. Przysłonięta wdowim welonem sędziwa głowa wyjrzała zza skrzydła jak żółw ze skorupy.

— Efendi! — pisnęła staruszka, marszcząc twarz w szerokim uśmiechu, który eksponował dwa krzywe zęby w różowym dziąśle. — Pan o tysiącu przymiotach.

Penrod objął ją.

— Jesteś bezwstydnikiem — zaprotestowała z zadowoleniem. — Zagrażasz mojej cnocie.

— Pięćdziesiąt lat za późno, żeby zerwać ten owoc. — Puścił ją. — Gdzie twoja pani?

Stara Liala zerknęła znacząco na drugą stronę podwórka. Pośrodku ogrodu fontanna rozlewała się w sadzawkę, w której sennie krążył nilowy okoń. Wokół cembrowiny stały posągi faraonów: Setiego, Totmesa i wielkich Ramzesów, w zamierzchłych czasach wyniesione przez złodziei z grobowców. Penroda zawsze zdumiewał fakt, że takie skarby stoją w tym nikczemnym otoczeniu.

Ruszył przez dziedziniec, czując przyspieszone bicie serca. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnął ją zobaczyć. Na moment przystanął przed zasłoną z koralików, żeby odzyskać panowanie nad sobą, i wszedł do domu. Z początku zobaczył tylko niewyraźną, eteryczną sylwetkę, ale jego oczy szybko przywykły do chłodnego półmroku. Była smukła jak łodyżka lilii, ubrana w szatę przetykaną złotą nicią, ze złotymi bransoletami na rękach i kostkach nóg. Gdy szła ku niemu po posadzce, bose, pomalowane henną stopy nie czyniły najcichszego szmeru. Stała przed nim i oddała mu hołd, koniuszkami palców dotykając ust i piersi.

— Panie! — szepnęła. — Panie mojego serca! — Zwiesiła głowę i czekała w milczeniu.

Podniósł woal i przyjrzał się jej twarzy.

— Jesteś piękna, Bachita — powiedział. Uśmiech, który rozkwitł na jej wargach, po stokroć zwiększył urodę. Podniosła głowę i spojrzała na niego oczami tak jasnymi, że rozświetliły najciemniejsze zakamarki pokoju.

— Minęło tylko dwadzieścia sześć dni, ale czuję się tak, jakby upłynęło całe życie — szepnęła głosem drżącym niczym struny lutni trącone wprawnymi palcami.

— Liczyłaś dni?

— I godziny. — Pokiwała głową. Rumieńce zaróżowiły jej policzki o barwie wosku, a długie rzęsy wstydliwie przysłoniły oczy. Po chwili spojrzała mu w twarz.

— Wiedziałaś, że przybędę? — zapytał oskarżycielsko. — Skąd, skoro ja sam tego nie wiedziałem?

— Moje serce wiedziało, tak jak noc wie o nadejściu świtu. — Musnęła mu twarz opuszkami palców jak niewidoma, która dotykiem próbuje odświeżyć pamięć. — Jesteś głodny, panie?

— Zgłodniały ciebie.

— Jesteś spragniony, panie?

— Spragniony jak wędrowiec, który spędził siedem dni na pustyni w promieniach bezlitosnego słońca.

— Chodź — szepnęła i ujęła jego rękę. Zaprowadziła go do drugiego pokoju z dużym tradycyjnym angarebem. Penrod zobaczył, że wyprana, wybielona i wygładzona gorącym żelazkiem pościel lśni niczym panew solna Szokra. Bachita uklękła przed nim i rozebrała go z munduru. Kiedy stał nagi, podniosła się i cofnęła, żeby go podziwiać. — Przyniosłeś mi wielki skarb, panie. — Wyciągnęła rękę i dotknęła fallusa. — Berło z kości słoniowej, zwieńczone rubinem twojej męskości.

— Pokaż, co dasz mi w zamian.

Jej nagie ciało było księżycowo blade, a piersi pełne, z brodawkami wielkości dojrzałych

winogron, ciemnymi jak wino i obrzmiałymi. Cienki złoty łańcuszek opasywał jej talię nad zaokrąglonym brzuchem, gładkim niczym polerowany granit z kamieniołomów nad pierwszą kataraktą. Wymalowane henną misterne kwiatowe wzory zdobiły jej dłonie i stopy.

Potrząsnęła ciemnymi włosami i położyła się obok niego na materacu. On wodził po niej wzrokiem i opuszkami palców, a ona poruszała się zgodnie z nakazami jego dłoni, wspierając się na rękach i podnosząc biodra, żeby odsłonić przed nim najtajniejsze sekrety swojego ciała.

— Twoja cipka jest taka piękna, taka cenna, że Allah powinien umieścić ją na czole rozniewanego lwa. Wtedy mógłby ją zdobyć tylko najdzielniejszy i najbardziej godny. — Jego głos wyrażał podziw. — Jest jak dojrziała figa, ogrzana w słońcu, pękająca i spływająca słodkim sokiem.

— Uraduj swoje serce i skosztuj figi mojej miłości, drogi panie — wyszeptała ochryple.

Później spali spleceni, chłodzeni własnym potem. Kiedy stara Liala przyniosła miskę daktyli i granatów oraz dzbanek cytrynowego sorbetu, usiedli naprzeciwko siebie po turecku. Bachita złożyła mu raport. Miała wiele do powiedzenia i podzieliła się z nim ważnymi, złowieszczymi wieściami z południa, z Nubii i jeszcze dalszych krain. Wśród arabskich plemion następowały ciągłe zmiany, nawiązywano nowe przymierza i zrywano stuletnie więzi. W samym środku tego zamętu siedział Mahdi i jego kalif, dwa jadowite pająki w utkanej przez siebie sieci.

Bachita, trzy lata starsza od Penroda, była kiedyś pierwszą żoną zamożnego handlarza zbożem, lecz nie mogła dać mu dziecka. Jej mąż pojął młodszą kobietę — tępą ale obdarzoną szerokimi, płodnymi biodrami — która dziesięć miesięcy później urodziła mu syna. Młoda matka wykorzystywała swoją przewagę, narzucając się mężowi. On próbował się opierać, bo mądrzejsza i lojalna Bachita miała smykałkę do interesów, dzięki czemu w niespełna pięć lat podwoił swój majątek. Jednakże w końcu matka jego syna dopięła swego, a wtedy ze smutkiem wypowiedział straszne słowa: Talaal Talaal Talaal Rozwodzę się z tobą! Tak oto Bachita została ciśnięta w straszną otchłań islamskiego świata, zamieszkaną wyłącznie przez wdowy i rozwódki.

Miała niewielki wybór: mogła znaleźć sobie starego męża z wieloma żonami, potrzebującego darmowej niewolnicy, albo sprzedawać się jako zabawka wielu mężczyznom. Ale służąc mężowi, wyostrzyła swój zmysł handlowy. Nawiązała kontakt z beduinami i sierotami buszującymi w ruinach, suchych korytach rzecznych i pustynnych nullah, aby za zaoszczędzone pieniądze kupować od nich kawałki ceramiki i potłuczone, zniszczone wizerunki starożytnych bogów, odsprzedawane następnie białym turystom, którzy parowcami przybywali z delty.

Płaciła uczciwą cenę, czerpała przyzwoite zyski i dotrzymywała słowa, więc kopacze i złodzieje plądrujący groby przynosili jej porcelanę, ceramikę, posążki religijne, amulety i skarabeusze, wciąż cudownie piękne po czterech tysiącach lat. Nauczyła się odczytywać hieroglify starożytnych kapłanów, a także pismo Greków i Rzymian: Aleksandra i Ptolemeuszów, Juliusza Cezara i Oktawiana, który był również Augustem. Z czasem jej sława rozeszła się szeroko. Mężczyźni przychodzili do małego ogrodu, żeby handlować i rozmawiać. Niektórzy przybywali aż z Equatorii i Suakinu. Przywozili z sobą wieści i plotki niemal równie cenne jak relikty, którymi handlowała. Często mówili jej więcej, niż powinni, albowiem była piękna i wszyscy jej pożąдали. Ale nie mogli jej mieć: nie ufała żadnemu mężczyźnie, po tym co zrobił jej ten, którego darzyła zaufaniem.

Bachita wiedziała, co działo się we wszystkich wioskach wzdłuż wielkiej rzeki i na otaczających ją pustyniach. Wiedziała, kiedy szejek z plemienia Dżaalinów najechał Biszarinów i ile ukradł wielbłądów. Wiedziała, ilu niewolników Zubeir Basza wysłał do Chartumu na pokładach dau, znała też wysokość zapłaconych podatków i łapówek wręczanych egipskiemu gubernatorowi miasta. Z uwagą śledziła intrygi na dworze cesarza Jana w górzystej Abisynii i manifesty towarów ładowanych na statki w portach Suakin i Aden.

Pewnego dnia obszarpany ulicznik przyniósł jej w brudnym gałganie monetę, jakiej dotąd nie widziała. Wypełniła wnętrze jej dłoni ciężarem czystego złota. Na awersie widniał portret kobiety w koronie, a na rewersie jeździec w rydwanie, z wieńcem laurowym na głowie. Ani trochę niezniszczona moneta wyglądała na wybitą poprzedniego dnia. Bachita bez trudu przeczytała napisy pod wizerunkami Kleopatry Thei i Marka Antoniusza. Zachowała monetę i nikomu jej nie pokazała, aż pewnego dnia do jej sklepu przyszedł mężczyzna. Był Frankiem i na chwilę odjęło jej mowę, bo z profilu przypominał Antoniusza z monety. Rozmawiali przez jakiś czas. Bachita miała twarz przysłoniętą woalem, a stara Liala siedziała w pobliżu jako przyzwoitka. Nieznajomy posługiwał się pięknym poetyckim językiem arabskim i niedługo później przestał sprawiać wrażenie nieznajomego. Nieświadomie zaczęła mu ufać.

— Słyszałem, że jesteś mądra i cnotliwa i że masz na sprzedaż piękne i rzadkie rzeczy — powiedział w końcu.

Odesłała Lialę pod byle pretekstem. Kiedy nalewała gościowi drugą filiżankę gęstej czarnej kawy, niby przypadkiem opuściła woal, żeby mógł zobaczyć jej twarz. Drgnął i patrzył na nią, dopóki nie poprawiła zasłony. Rozmawiali dalej, ale coś wisiało w powietrzu, jak zapowiedź grzmotu przed pierwszym podmuchem chamsinu.

Bachita nie mogła się oprzeć i pokazała mu monetę. Położyła ją na jego dłoni, a on z powagą przyjrzał się portretom i rzekł: — To nasza moneta. Twoja i moja. — Gdy w milczeniu skłoniła głowę, dodał: — Wybacz mi, jeśli cię obraziłem.

Popatrzyła na niego i zdjęła woal, żeby mógł spojrzeć jej w oczy.

— Nie obraziłeś mnie, efendi — szepnęła.

— A zatem dlaczego twoje oczy są pełne łez?

— Płaczę, bo powiedziałaś prawdę. Płaczę z radości.

— Czy chcesz, żebym odszedł?

— Chcę, żebyś został tak długo, jak pragnie tego twoje serce.

— Może minąć długi czas, zanim odejdę.

— Jeśli taka jest wola boska.

W następnych latach po tym pierwszym spotkaniu dała mu wszystko, co mogła, lecz nie prosiła o nic, czego nie dawał z własnej woli. Wiedziała, że pewnego dnia ją zostawi, bo był młody i przybył ze świata, do którego nie mogła za nim podążyć. Niczego jej nie obiecywał. Na pierwszym spotkaniu powiedział: „Może minąć długi czas, zanim odejdę”, a nie: „Zostanę na zawsze”. Nie próbowała wymuszać deklaracji. Świadomość, że ich związek się skończy, dodawała pikanterii jej miłości, słodkiej jak miód i gorzkiej niczym dziki melon z pustyni.

Tego dnia powiedziała mu wszystko, czego dowiedziała się od czasu ostatniej rozmowy przed dwudziestoma sześcioma dniami. Penrod słuchał i zadawał pytania, potem spisał informacje na pięciu stronach w notesie. Nie musiał zaglądać do książki kodów, bo znał na pamięć szyfr, który dał mu sir Evelyn Baring.

Liala narzuciła na głowę wdowi płaszcz i wymknęła się w zaułek, niosąc depeszę schowaną pod ubraniem. Sierżant straży w brytyjskiej bazie wojskowej wiedział, że staruszka jest tutaj regularnym gościem. Obowiązywały go ścisłe rozkazy od oficera wywiadu, dlatego osobiście zaprowadził ją do kwatery głównej. W ciągu godziny wiadomość popłynęła linią telegraficzną do Kairu. Nazajutrz rano została rozszyfrowana w konsulacie i gdy konsul generalny przyszedł ze śniadania, tekst an clair leżał na srebrnej tacy.

Po wysłaniu Liali do bazy Bachita wróciła do Penroda. Ukłękła przy jego stołku, żeby przystrzyc mu zarost. Pracowała szybko, z wprawą będącą wynikiem długiego doświadczenia. Zredukowała

modne bokobrody do wystrzępionych baczków biednego arabskiego fellacha. Potem zajęła się gęstymi, falistymi włosami i lży spływały jej po policzkach, gdy je przycinała.

— Odrośną, gołąbko. — Penrod próbował ją pocieszyć, gdy przeciągnął ręką po krótkiej szczecinie.

— To jak mordowanie rodzzonego dziecka — szepnęła. — Byłeś taki piękny.

— I znów będę.

Podniosła jego mundur z podłogi w kącie pokoju.

— Nie pozwolę Liali tego dotknąć. Wypiorę własnymi rękami — obiecała. — Będzie czekał na twój powrót podobnie jak ja, lecz cierpliwiej.

Przyniosła płócienny worek, w którym przechowywała poplamione, obszarpane ubranie z ostatniej wyprawy Penroda na południe. Okręciła brudny turban wokół jego ostrzyżonej głowy. Penrod przypiął do pasa skórzaną sakwę i schował służbowy rewolwer do lekkiej płóciennej kabury, potem wsunął zakrzywiony sztylet do pochwy. Fałdy złachmanionej galabii zakryły broń. Potem zawiązał rzemienie topornych sandałów z wielbłądziej skóry i był gotów do wyjścia.

— Zostańcie z Bogiem, szlachetna pani. — Ukłonił się uniżenie, a ona zdumiała się, widząc, jak łatwo z efendiego, z butnego huzara, przemienił się w pokornego fellacha.

— Wróć do mnie szybko — szepnęła — bo jeśli ty zginiesz, zginę razem z tobą.

— Nie zginę — obiecał.

Kapitan portu rzucił okiem na wojskową przepustkę podróżną i przydzielił Penroda do brygady dokerów na statku z amunicją, który wyruszał na południe. Penrod zastanowił się, czy środki podejmowane w celu uniknięcia rozpoznania naprawdę są konieczne. Potem przypomniał sobie, że właścicielem prawie wszystkich kolorowych robotników w rojnych dokach jest sympatyk derwiszów. Groziło mu niebezpieczeństwo. Jego bohaterskie dokonania pod El Obejd wzbudziły rozgłos, ponieważ były jedynym wybojem na gładkim szlaku zwycięstw Mahdiego i kalifa Abdallahiego. Bachita ostrzegła, że na sukach wzdłuż nabrzeża jego nazwisko wypowiadano z przekleństwami i groźnymi minami.

Ładownia parowca czekała na przyjęcie ekwipunku dla wojska, które w Wadi Halfie szykowało się do wymarszu w górę rzeki. Załadunek trwał całą noc i większą część dnia. Minął długi czas. odkąd Penrod wykonywał taką ciężką, wyniszczającą pracę. Nadzorcy karali robotników za przerwy na rozprostowanie bolących pleców czy choćby zwalnianie tempa. Penrod z trudem się hamował, żeby nie odpowiedzieć zaciśniętą pięścią na smagnięcia korbaczem. Statek osiadł głęboko i burty wystawały tylko dwie stopy nad wodę, gdy na pokładach spiętrzone ciężkie skrzynie z amunicją. O wschodzie słońca odbił od nabrzeża, wpłynął do kanału, zwracając brzydki zaokrąglony dziób pod prąd.

Penrod znalazł miejsce między wysokimi stertami skrzyń i wyciągnął się na pokładzie. Wsunął pod pachy pokiereszowane palce. Bolały go wszystkie stawy i mięśnie. Żegluga pod prąd do portu w Wadi Halfie trwała prawie dwadzieścia cztery godziny. Przespał większą część drogi i w pełni odzyskał siły, gdy nazajutrz rano dobili do brzegu. W nurcie rzeki kotwiczyło czternaście większych parowców. Na południowym brzegu rozciągał się wielki obóz złożony z szeregow białych płóciennych namiotów i spiętrzonych wysoko stert wojskowych zapasów. Nuggar i mniejsze dau przewoziły żołnierzy na parowce.

Sir Evelyn Baring szczegółowo nakreślił plan ekspedycji ratunkowej. Dywizja rzeczna miała zmierzać do celu okrężną drogą, bo Nil zataczał ogromną pętlę w kierunku zachodnim. Czekala ich przeprawa przez trzy niebezpieczne katarakty, gdzie ludzie będą musieli holować parowce na długich linach, żeby przeciągnąć je przez spienione, pełne skał zwężenia.

Kolumna pustynna miała ściąć zakole Nilu, przemieszczając się szybko do Metemmy, miejsca postoju czterech małych parowców Chińczyka" Gordona. Statki przewiozą żołnierzy do Chartumu? niewielki, doborowy oddział wzmocni obronę miasta przed przybyciem głównych sił odsieczy.

Statek z amunicją rzucił cumy i dozorczy natychmiast zbudzili dokerów, żeby zaczęli rozładunek. Penrod wyszedł na brzeg jako jeden z pierwszych. Przepustka, którą pokazał młodszemu oficerowi, ponownie sprawiła mały cud. Pozwolono mu wejść do obozu, ale warty zatrzymywały go często, zanim dotarł do posterunku przed wejściem do zareby, gdzie stacjonowała kolumna pustynna.

Cztery pułki podlegające generałowi sir Herbertowi Stewartowi ćwiczyły musztrę na placu apelowym. Przygotowywały się do długiego marszu przez pustynię, choć mogły minąć tygodnie albo nawet miesiące, zanim z Londynu napłyną rozkazy wymarszu.

Sierżant musiał zostać uprzedzony, bo nie okazał zdziwienia, kiedy brudny Arab przemówił do niego w języku oficerskiej mesy i zażądał zaprowadzenia do namiotu adiutanta.

— Ach, Ballantyne! Otrzymałem z Kairu telegram od majora Adamsa, ale nie spodziewałem się pana prędeż jak za trzy, cztery dni. Niezłe tempo. — Major Kenwick uścisnął mu dłoń, nie komentując niezwykłego przyodziewku. Jak większość starszych oficerów, w miarę lubił tego młodego nicponia i trochę zazdrościł mu licznych eskapad. Wydawało się, że Penrod ma talent do zjawiania się wszędzie tam, gdzie świszczą kule i gdzie można liczyć na szybszy awans.

— Dziękuję, majorze. Nie wie pan przypadkiem, czy są tu moi ludzie?

— Wiem, u licha! Ten pański sierżant wybrał pięć moich najlepszych wielbłądów. Gdybym się nie sprzeciwił, zagarnąłby wszystkie.

— W takim razie, jeśli pan wybaczy, ruszę w dalszą drogę.

— Tak prędko? Miałem nadzieję, że pańskie towarzystwo uprzyjemni nam kolację w mesie.

Penrod widział, że majora zżera ciekawość w związku z jego tajemniczą wizytą.

— Trochę się spieszę, panie majorze.

— Może zobaczymy pana w Chartumie? — Adiutant rezolutnie próbował go wybadać.

— Nie sędzę. Może umówimy się na spotkanie w Długim Barze w Klubie Gheziera, kiedy ta drobna sprawa zostanie załatwiona?

Sierżant al-Saada czekał przy wielbłądach. Spoglądało na nich wiele oczu, dlatego powitał przybysza z wyniosłym lekceważeniem, które było miarą społecznej przepaści dzielącej sierżanta z regimentu królowej i pospolitego fellacha. Pojechali na wydmy, Penrod z tyłu na szarej wielbłądicy. Kiedy usiadł w siodle, od razu poprawił mu się humor; al-Saada wybrał dla niego zwierzę, które mogło gnać z wiatrem w zawody. Jak tylko obóz zniknął im z oczu, sierżant ściągnął wodze. Groźna mina ustąpiła miejsca szerokiemu uśmiechowi, gdy zaciśniętą pięścią trzasnął w pierś w jeździeckim salucie.

— Spostrzegłem cię na pokładzie, gdy parowiec okrążał Ras Inderę. Szybko podróżujesz, Abadanie Ridzi. — Imię znaczyło: ten, który nigdy nie odwraca się plecami. — Mówiłem Jakubowi, że zjawisz się za niecałe pięć dni.

— Przybyłem szybko — zgodził się Penrod — ale jeszcze szybciej musimy wyjechać.

Jakub czekał na nich milę dalej, a za czarną skałą klęczały pozostałe wielbłądy. Bukłaki, którymi były objuczone, zniekształcały ich sylwetki jak groteskowe rakowate narośle. Każdy wielbłąd mógł udźwignąć pięćset funtów, lecz na Matce Kamieni człowiek potrzebował dwóch galonów wody dziennie, aby utrzymać się przy życiu.

Jakub podbiegł, żeby powitać Penroda. Przykląkł, palcami dotykając ust i serca.

— Wierny Jakub czekał na ciebie od Kurban Bajram.

— Widzę cię, umiłowany Allaha. — Penrod uśmiechnął się do niego. — Ale czy nie zapomniałeś

o moim bagażu?

Jakub ze zboląłą miną pobiegł do wielbłądów i wrócił z plecakiem. Penrod rozłożył go na spieczonej ziemi. Zobaczył, że jego galabija została uprana. Szybko przebrał się z łachmanów w długą szatę z cienkiej wełny, która miała chronić go przed słońcem. Na beduińską modłę przysłonił twarz końcem czarnego bawełnianego zawoju i przewiązał się w pasie czarną szarfą. Nad prawym biodrem zatknął zakrzywiony sztylet i webleya, a z drugiej strony przytroczył kawaleryjską szablę. Wyjął ją ze zwykłej skórzanej pochwy i sprawdził kciukiem skraj klingi. Zapiekło jak po pociągnięciu brzytwą, więc z uznaniem pokiwał głową, dziękując Jakubowi. Wykonał kilka wprawnych cięć, tnąc w obie strony, uderzając wysoko i nisko, osłaniając się błyskawicznie. Szabla dobrze leżała w dłoni i wydawało się, że żyje własnym życiem. W epoce karabinów odtylcowych i ciężkiej artylerii Penrod w dalszym ciągu wolał arme blanche.

Prawie wszyscy Arabowie nosili miecze. Penrod obserwował, jak się nimi posługują, i porównywał z własnym stylem walki. Ciężka broń nie pasowała do ich budowy. W przeciwieństwie do zakutych w zbroje krzyżowców, od których zapożyczyli wzór, nie byli rośli i silni: bardziej przypominali teriery niż mastiffy. Po mistrzowsku cięli i kłuli mieczami, zadając straszne rany, ale mieli kłopoty z osłoną. Nie rozumieli sztuki parowania i do obrony używali prawie wyłącznie okrągłych skórzanych tarcz. W pojedynku z wprawnym szermierzem nie mieli szans. Ich odruchowa reakcja na wysoką fintę polegała na podniesieniu puklerza, a wówczas tracili z oczu broń przeciwnika i nie widzieli sztychu, który uderzał z szybkością pioruna. Pod El Obejd, kiedy czworobok poszedł w rozsypkę i derwisze rozpoczęli rzeź, Penrod w pięć minut zabił pięciu ansarów, wykorzystując właśnie tę prostą sztuczkę.

Schował szablę do pochwy.

— Czy droga przez Matkę Kamieni jest otwarta? — zapytał Jakuba.

— Jest woda w Marbad Tegga. — W dialekcie Taka nazwa studni oznaczała Zabójcę Wielbłądów. — Niewiele i gorzka, ale dla wielbłądów wystarczy.

Jakub był Dżaalinem, wypędzonym z namiotów swojego ludu wskutek krwawej waśni, która wybuchła z powodu pohańbienia jego siostry. Jakub, szybki i doświadczony we władaniu bronią, uśmiercił syna potężnego szejka. Musiał uciekać, żeby ratować życie.

Jedno oko Jakuba patrzyło w inną stronę niż drugie. Zęby miał żółte i krzywe, włosy zwisające spod turbanu były rzadkie i tłuste. Znał i rozumiał pustynię jak dziki osioł. Przed wypędzeniem z plemienia został trafiony nożem w nogę i okulał. Z powodu ułomności nie mógł zaciągnąć się do wojska królowej i chedywa. Nie mając plemienia ani pana, z wielkim oddaniem służył Pen-rodowi. Kochał go jak ojca i Boga.

— Zdołamy się prześliznąć?

Kiedy Penrod zadawał pytanie takiej wagi, Jakub słuchał z najwyższym szacunkiem i w skupieniu. Wetknął dół galabii między nogi i przykucnął. Kijem do poganiania wielbłąda wyrysował wielką literę S na piasku, przy czym górna pętelka była o połowę mniejsza od dolnej. Było to prymitywne odwzorowanie biegu Nilu od miejsca, w którym stali, do przełomu Szabluka. Podążanie brzegiem meandrującej rzeki oznaczałoby wiele dodatkowych tygodni podróży. Oczywiście z drogi wodnej musiała korzystać dywizja rzeczna. Kolumna pustynna na wielbłądach miała ściąć wielką pętlę i dotrzeć do rzeki w Metemmie. Tego skrótu, wytyczonego przez wybielone szkielety, od wieków używały karawany. Po drodze były dwie studnie, które zapewniały podróżnym wodę niezbędną do ukończenia przeprawy. Od Metemmy mogli podążyć wzdłuż Nilu, mając w zasięgu wzroku rzekę, która znowu skręcała na zachód, a potem na południe, do Chartumu. Był to trudny szlak, ale istniał jeszcze trudniejszy. Poganiacze karawan zwali go „ścianiem węża”.

Jakub pociągnął kijem śmiałą kreskę, łącząc miejsce ich pobytu bezpośrednio z miastem Chartum. Linia przecinała na połowę zakręt rzeki. Ten szlak mógł skrócić znojną podróż o kilkaset mil, ale nie był oznaczony. Skręcenie w niewłaściwą stronę powodowało ominięcie jedynej studni Marbad Tegga i spotkanie z pewną i straszną śmiercią. Studnia, leżąca głęboko w rozgrzanym niczym piec brzuchu Matki Kamieni, była dobrze ukryta. Można było przejść w odległości stu kroków i wcale jej nie zobaczyć. Wielbłądy mogły pić z niej wodę, ale żrące sole doprowadzały człowieka do szaleństwa. Po napojeniu wielbłądów w Marbad Tegga wędrowcy mieli przed sobą sto mil drogi do brzegu Nilu w Korti pod czwartą kataraktą. Penrod wiedział, że woda w bukłakach skończy się na długo przed dotarciem do rzeki. Przez dwadzieścia cztery godziny, a nawet dłużej, jeśli pustynne dżiny okażą się niezycliwe, będą musieli obyć się bez jednej kropli.

Jeśli uda im się dotrzeć do rzeki, będzie ich czekała przeprawa na drugą stronę. W tym miejscu prąd był wartki, koryto szerokie, a wielbłądy nie zaliczały się do chętnych pływaków. Po sforsowaniu Nilu napiją się na zapas i napełnią bukłaki, a potem stawią czoło pustyni Monasir i spróbują przebyć kolejne dwieście mil bez wody. Jakub mówił o tym wszystkim, rysując kijem po ziemi. Penrod słuchał bez przerywania, bo choć już trzy razy „ściął węża” i przeprawił się przez rzekę w Korti, zawsze dowiadywał się od Jakuba czegoś nowego.

Na zakończenie Jakub oznajmił: Mając za przewodnika nieustraszonego, sprytnego Jakuba i przychylność aniołów, które nad tobą czuwają, może uda nam się ściąć węża. — Kołysał się na pośladkach i czekał, aż Penrod podejmie decyzję.

Penrod zastanawiał się już w trakcie przemowy Jakuba. Nigdy nie poważyłby się zaryzykować bez niego. Ponieważ mógł liczyć na jego usługi, skrócenie drogi do Chartumu warte było ryzyka, ale istniała jeszcze jedna ważna okoliczność.

Bachita powiedziała mu, że Mahdi i jego kalif dobrze wiedzą o przygotowaniach Brytyjczyków do ruszenia na pomoc Chartumowi. Szpiedzy informowali ich o koncentracji brytyjskich pułków i floty w Wadi Halfie. Mahdi rozkazał tuzinowi najważniejszych emirów odstąpić od oblegania Chartumu i udać się ze swoimi plemionami na północ, na spotkanie z nieprzyjacielem w Metemmie, Abu Klea i Abu Hamed. Z jej słów wynikało, że oba brzegi rzeki od Chartumu do pierwszego wielkiego zakrętu są pełne arabskich żołnierzy na koniach i wielbłądach.

— Mahdi wie, że musi powstrzymać Franków, zanim dotrą do miasta. — Określenie Frank odnosiło się do wszystkich Europejczyków. — Wie, że ich armia jest mała, niedostatecznie zaopatrzona w konie i wielbłądy. Podobno wysłał dwadzieścia tysięcy ludzi na północ na spotkanie z Brytyjczykami. Będzie bronił dostępu do Chartumu do pory Niskiego Nilu, a wtedy zdobędzie miasto i prześle głowę generała Gordona jego królowej. — Po chwili dodała: — Bądź ostrożny, miły panie. Przecięli linie telegraficzne na północ i wiedzą, że generałowie z Kairu pchną posłańców do Chartumu, aby nie stracić kontaktu z generałem Gordonem. Mahdi będzie się spodziewał, że spróbujesz dotrzeć do miasta. Jego ludzie zastawią pułapkę.

— Tak. Będą wypatrywać nas na przecięciu pętli, ale czy będą pilnować drogi do Marbad Tegga? — mruknął Penrod. Jakub pokręcił głową, bo nie znał angielskiego. Penrod przeszedł na arabski: — W imię Boga, Jakubie, zabierz nas do gorzkiej studni Zabójcy Wielbłądów.

Wspięli się na wysokie drewniane siodła. Penrod sprawdził karabin w pochwie pod kolanem i bandolier z amunicją na łęku, potem szturchnął kijem siwą wielbłądzicę. Postępując i plując, Poderwała się na nogi.

— W imię Boga, zaczynajmy! — zawołał śpiewnie al-Saada.

— Oby otworzył nasze oczy, żebyśmy dobrze widzieli drogę — dodał Jakub. — I niechaj nie skrywa przed nami Zabójcy Wielbłądów.

— Bóg jest wielki — powiedział Penrod. — Nie ma bóstwa innego niż Bóg.

Każdy z nich prowadził jucznego wielbłąda i woda chlupotała cicho w bukłakach. Z początku luźny ekwipunek poskrzypywał albo stukał w rytm rozkołysanego chodu zwierząt, ale jeźdźcy szybko zaciągnęli rzemienie i sznury, które trzymały ładunek. Raz zatrzymali się na krótko i wypuścili powietrze z bukłaków, żeby woda przestała bulgotać. Kiedy ruszyli dalej, panowała cisza, dziwne i nienaturalne milczenie próżni żaru i bezkresu horyzontu. Gąbczaste kopyta wielbłądów bezszelestnie opadały na piasek. Jeźdźcy szczelnie owinęli głowy, zostawiając tylko wąskie szczeliny na oczy, i jechali w milczeniu. Garbili się w wysokich siodłach, kołysząc zgodnie z krokiem wielbłądów.

Podążali starożytnym szlakiem karawan przez płaską przestrzeń pomarańczowego piasku, który skrzył się w słońcu, aż bolały oczy. Drogę znaczyły blade kości i zmumifikowane przez słońce szczątki wielbłądów, mogące leżeć tu od stuleci. Powietrze, którym oddychali, parzyło i wysuszało gardło. Horyzont falował i roztopiał się w srebrne jezioro mirażu. Zdawało się, że wielbłądy i jeźdźcy wiszą w przestrzeni, że choć posuwają się bezgłośnie jak duchy, drogi przed nimi wcale nie ubywa. Jedyne odniesienie stanowił niewyraźny zarys szlaku, ale nawet on jakby nie był związany z ziemią, tylko snuł się przed nimi niczym wstążka dryfującego dymu.

Penrod pogrążył się w hipnotycznym transie pustynnego wędrowca. Czas stanął w miejscu i stracił znaczenie. Jego myśli błądziły swobodnie: jak łatwo byłoby uwierzyć, wzorem beduinów, w nadprzyrodzone moce zamieszkujące ten krajobraz z innego świata. Marzył o dzinnach i duchach zabłąkanych wojsk, które zginęły w tych piaskach. Choć Jakub wyprzedzał go tylko o pół strzału z pistoletu, czasami wydawał się daleki jak miraż, pomykający niczym jaskółka na skrzydłach swojej szaty. Kiedy indziej piętrzył się jak olbrzym na grzbiecie gigantycznej bestii, opuchnięty i wydłużony przez zdradliwą grę światła. Jechali dalej, wciąż w ciszy.

Powoli coś zaczęło majaczyć przed nimi, ogromna piramida, w porównaniu z którą budowle wzniesione przez człowieka w delcie wydawały się małe. Drżała w srebrnym mirażu, oderwana i zawieszona ponad horyzontem, balansująca na wierzchołku płaską podstawą skierowaną w górę. Penrod patrzył z podziwem, jego wiara w zdrowy rozsądek znów wystawiona została na próbę, gdy obraz zaczął się kurczyć, przemieniając w ciemną plamę, a potem znowu rosnąć, tym razem z podstawą na ziemi i szczytem wycelowanym w niebo.

Po jakimś czasie forma przybrała prawdziwą postać. Było to stożkowate wzgórze, za którym leżały dwa mniejsze. W przeblasku jasnowidzenia Penrod zrozumiał, że takie naturalne formy terenu musiały być wzorcem dla piramid, od wieków zdumiewających ludzi. Szlak karawan biegł prosto w stronę wzgórz, ale zanim dotarli do pierwszego wzniesienia, Jakub odbił w prawo. Poprowadził przez pustkowie, na którym nie dostrzegli najmniejszego śladu bytności człowieka. Była to niewidoczna droga do Marbad Tegga.

Penrod znów pogrążył się w hipnotycznym stanie, oderwany od czasu i uczuć. Mijały godziny, słońce dobiegło zenitu i rozpoczęło ognisty upadek ku ziemi. Wreszcie wyrwał go z transu zmieniony krok wielbłądzicy. Rozejrzał się szybko i zobaczył, jak bardzo zmieniło się otoczenie. Piasek już nie był pomarańczowy, tylko popielatoszary, jakby przypalony. Na horyzoncie piętrzyły się wysokie na kilkaset stóp kopce popiołu wulkanicznego i lawy, jak gdyby wszystkie światy kosmosu zostały poddane kremacji, a ich szczątki zrzucone na to piekielne cmentarzysko, tworząc złowrogie kurhany. Oddech pradawnych wulkanów osmalił pustynię. Nie było tutaj roślin i żywych istot, z wyjątkiem przeprawiających się ludzi i ich zwierząt.

Penrod zrozumiał, dlaczego jego wierzchowiec zmienił chód. Ziemię zaścieniały głązy i kamienie, jedne duże i idealnie okrągłe jak armatnie kule, inne zaś małe niczym pociski muszkietów. Przypominały pozostałości z jakiegoś dawno zapomnianego pola bitwy, ale Penrod wiedział, że nie są amunicją. Skały były produktami wybuchu wulkanów. Płynna lava, wyrzucona wysoko w niebo, spadła w postaci śmiercionośnego deszczu, który stygł i zestalał się w te kamienne formy. Wielbłądy musiały szukać drogi na zdradliwym podłożu i znacznie zwolnić tempo.

Zachodzące słońce dotknęło ziemi, wybuchło w eksplozji zielonego i szkarłatnego światła, a potem spadło za horyzont, oddając świat we władanie ciemności.

— Słodka nocy — szepnął Penrod i poczuł, że pękła mu warga. — Błogosławiona chłodna nocy!

Kazali wielbłądom przykłęknąć i nakarmili je małymi porcjami tłuczonej durry, potem sprawdzili, czy nie mają otarć od upręży i siodeł. Podczas gdy Arabowie rozkładali dywaniki modlitewne i klękali, zwróćeni w stronę Mekki, Penrod odszedł w gęstniejący mrok, żeby rozprostować zeszywniałe mięśnie i stawy. Słuchał nocy, ale dochodził go tylko wieczorny wiatr, szeptaający na wydmach głosami dzinnów.

Kiedy wrócił, Jakub parzył kawę na maleńkim koszu z węglami. Wypili po trzy kubki i zjedli daktyle, zagryzając je cienkimi, okrągłymi plackami z durry. Namaścili usta i odsłonięte części ciała baranim tłuszczem, żeby skóra nie łuszczyła się i nie pękała. Potem położyli się obok wielbłądów i zasnęli. Jakub zbudził Penroda po dwóch godzinach. Dosiedli wielbłądów i ruszyli na południe.

Na niebie płonęło tyle gwiazd, że w srebrzystym blasku trudno było wypatrzeć te główne, przewodnie. Chłodne powietrze miało słodki smak, lecz było tak suche, że spiekło śluz w nosie na kuleczki twarde jak śrut.

Wielbłądy stapały krok po kroku. Penrod co jakiś czas zeskakiwał z siodła i szedł obok swojego wierzchowca, żeby dać mu odpocząć i samemu rozprostować nogi. Zatrzymali się przed świtem, wypili gorącą, niesłodzoną kawę, przespali się godzinę, a potem ruszyli dalej już w blasku słońca, które wstawało po ich lewej stronie. Gdy rozblęły pierwsze promienie, ukorzyli się przed ich tyranią, zasłaniając głowy.

Pustynia, co raz to inna, subtelnie odmieniała swój charakter i wygląd niczym piękna, lecz zawsze niebezpieczna i zwodnicza kurtyzana. Czasami wydmy, miękkie i sprężyste jak piersi i brzuch tancerki, miały barwę kości słoniowej, a potem przybierały kolor dojrzałej moreli. Płynęły jak fale oceanu albo wiły się obok siebie niczym kopulujące węże, by urwać się na poszarpanych skalnych ścianach.

Zostawiali za sobą mile i godziny. Kiedy zatrzymywali się, żeby odpocząć w cieniu bukłaków, często skwar nie pozwalał im zasnąć. Leżeli i ziali jak psy, a potem wstawali i jechali dalej. Wielbłądy stękały i porykiwały cicho, kiedy kazali im klękać, to znów okazywały niezadowolenie, gdy miały się podnieść i podjąć wędrówkę. Ich garby kurczyły się w oczach. Piątego dnia nie chciały jeść mąki z durry, którą Jakub podsuwał im na słomianych matach.

— To pierwszy znak, że zbliżają się do granicy wytrzymałości — przestrzegł. — Jutro przed zachodem słońca musimy dotrzeć do studni. Jeśli się spóźnimy, zaczną padać.

Nie trzeba było mówić o konsekwencjach dla ludzi. Nazajutrz rano, gdy przystanęli na krawędzi głębokiej niecki, Penrod wskazał przed siebie. Na przeciwległym brzegu rysowały się sylwetki gazel. Maleńkie i filigranowe jak stworzenia ze snu, miały sierść w kolorze śmietanki i mlecznej czekolady, rogi w kształcie liry i białe maski na pyskach. Zniknęły po drugiej stronie wzniesienia tak cicho, jakby nigdy nie istniały.

— Piją w Marbad Tegga. Jesteśmy już blisko. — Jakub odezwał się po raz pierwszy od wielu godzin. — Będziemy na miejscu przed zachodem słońca. — Z satysfakcją zmrużył oczy.

W południe wielbłądy nie chciały się położyć. Stękały, pomrukiwały i potrząsały głowami.

— Poczują wodę, chcą dotrzeć do niej jak najszybciej — oznajmił Jakub z zadowoleniem. —

Zaprowadzą nas do studni niczym myśliwskie psy do zwierzyny. — Gdy tylko Arabowie pomodlili się i wypili kawę, dosiedli wierzchowców i ruszyli.

Wielbłądy przyspieszały i stękały z podniecenia, kiedy do ich nozdrzy napływał coraz silniejszy zapach wody. Zatrzymali się późnym popołudniem i Penrod rozpoznał ukształtowanie terenu. Otaczał ich wachlarz łupkowych pagórków, w których wiatr i czas wyrzeźbiły galerię osobliwych kształtów i fantastycznych form. Niektóre przypominały maszerujące armie kamiennych wojowników, inne zaś przycupnięte lwy; były tam również skrzydlate smoki, gnomy i dżinny. Ponad wszystkim wznosiła się kamienna kolumna, która przypominała rozpaczającą kobietę w długiej szacie i we wdowim welonie.

— To Wdowa po Ahabie — wyjaśnił Jakub. — Spogląda w kierunku studni, przy której zginął jej mąż. — Trącił wierzchowca długim kijem i znowu ruszyli; wielbłądy jeszcze chętniej niż jeźdźcy.

— Czekaj! — zawołał Penrod nagłoco, a kiedy Jakub i al-Saada odwrócili się, zatrzymał ich stanowczym gestem. Zawrócił do płytkiego wadi, w którym schował się wraz z wielbłądem. Jego ludzie pojechali za nim bez wahania. Musieli zmagać się z wielbłądami, kłując je kijami i skręcając im jądra, aż wreszcie przyklekły, choć porykiwały na znak protestu. Spętali im nogi rzemieniami z surowej skóry, żeby nie mogły się podnieść. Al-Saada został, żeby ich pilnować, bo mogły próbować się oswobodzić, aby dotrzeć do wody. Penrod poprowadził Jakuba na szczyt wzniesienia, gdzie znalazł dogodny punkt obserwacyjny. Wyciągnął się na brzuchu i omiatał przez połowę lornetkę urozmaicony teren za Wdową Ahaba. Jakub leżał obok niego, zezując okropnie w zachodzącym słońcu. Po długim czekaniu mruknął: — Nic, tylko piasek i skały. Widziałeś cień, Abadanie Ridzi. Nawet dżinny nie mieszkają w takim miejscu. — Zaczął się podnosić.

— Padnij, durniu! — warknął Penrod. Leżeli w milczeniu i bez ruchu jeszcze przez pół godziny. Penrod podał lornetkę Jakubowi. — Jest twój dżinn.

Jakub spojrział przez szkła, drgnął i krzyknął cicho, kiedy dostrzegł daleką sylwetkę mężczyzny. Siedział w cieniu pod jednym z łupkowych monolitów i tylko błysk światła odbitego od ostrzonej główki miecza zdradził jego obecność. Teraz podniósł się i wyszedł w skośne promienie słońca, obca sylwetka w martwym otoczeniu.

— Widzę go, Abadanie Ridzi — przyznał Jakub. — Masz bystre oczy. Nosi łaciatą dżibbę mahdystów. Jest ich więcej?

— Możesz być pewien — mruknął Penrod. — Nikt nie przyjeżdża samotnie do takiego miejsca.

— Zwiadowcy? Szpiedzy czekający na żołnierzy? — zgadywał Jakub.

— Wiedzą, że studnia Zabójcy Wielbłądów jest za mała, a woda zbyt gorzka, żeby zaopatrzyć regiment. Czekają na posłańców z wiadomościami dla Gordona Baszy w Chartumie. Wiedzą, że nie ma innej drogi. Wiedzą, że musimy napić wielbłądy.

— Pilnują wody. Nie możemy jechać dalej bez wody.

— Nie. Musimy ich zabić. Wszystkich, żeby nie ostrzegli innych o naszym przybyciu. — Jakub podniósł się i pod osłoną grzbietu wzgórze wrócił do al-Saady.

Nie ośmielili się parzyć kawy, gdy czekali na nadejście nocy, bo zapach dymu mógł dotrzeć do wroga i zdradzić ich obecność. Napiли się wody z bukłaków i naostrzyli broń. Po kolacji złożonej z daktyli Arabowie rozpostarli maty i zaczęli się modlić.

Wzgórze spowił mrok, gorący i ciężki jak wełniany płaszcz, ale Penrod czekał, póki Orion Myśliwy nie stanął w zenicie na południowym niebie. Wtedy zostawili wielbłądy i ruszyli pieszo. Penrod prowadził z webleyem za pasem i gołą szablą w prawicy. Robili to nie po raz pierwszy; posuwali się w odstępach, nie tracąc kontaktu wzrokowego. Penrod zatoczył łuk pod wiatr do

miejsca, w którym widzieli wartownika derwiszów. Cieszył się, że szum wieczornego wiatru głużył wszystkie ciche dźwięki, które mogły się rozlegać w trakcie podkradania do wroga. Najpierw poczuł dym, gryzącą woń płonącego wielbłądziego łajna. Cicho pstryknął palcami, żeby uprzedzić Jakuba i al-Saadę, i zobaczył, że obaj przypadli do ziemi — ciemne garby w świetle gwiazd za jego plecami.

Poczołgał się do przodu, pod wiatr, prosto w dym. Zamarł, kiedy usłyszał ciche beknięcie wielbłąda. Rozłożył się płasko na ziemi i patrzył przed siebie, czekając z cierpliwością myśliwego. Jego oczy powoli lustrowały nierówny teren, wyłapując każdą skałę i nieregularność. Nagle coś zmieniło kształt i natychmiast przyciągnęło jego spojrzenie. Było małe, ciemne i okrągłe, oddalone nie więcej niż o dwadzieścia kroków. Gdy znowu się poruszyło, rozpoznał ludzką głowę. Wartownik siedział na krawędzi płytkiego wysuszonego koryta rzeki. Choć minęła już północ, nie spał i był czujny.

Penrod poczuł zapach Jakuba, woń potu, tabaki i wielbłądów, i jego oddech ogrzał mu ucho.

— Widziałem go. Nadszedł czas jego śmierci.

Penrod ścisnął mu ramię na znak zgody i Jakub popęzł bezgłośnie jak pustynna żmija. Był prawdziwym artystą w sztuce posługiwania się sztyletem. Jego sylwetka stopiła się ze skałami i ich cieniami w świetle gwiazd. Penrod obserwował głowę wartownika. Nagle tuż za nią pojawiła się druga, rozległ się cichy wydech i obie zniknęły z pola widzenia. Penrod czekał. Panowała cisza, nie rozległ się krzyk na alarm. Jakub wygramolił się, utykając, trochę bokiem jak krab, i przypadł do swojego pana.

— Jest jeszcze pięciu. Śpią przy wielbłądach na dnie koryta.

— Wielbłądy są osiodłane? — Nie musiał pytać. Ci ludzie byli wojownikami, gotowymi skoczyć na siodło i jechać chwilę po przebudzeniu.

— Tak. Ludzie śpią z bronią na podorędziu.

— Jest drugi wartownik?

— Nie widziałem.

— Gdzie jest studnia?

— Nie są na tyle głupi, żeby obozować przy samej wodzie. Trzysta, może czterysta kroków w tamtą stronę. — Jakub wskazał prawy kraniec niewidocznego suchego koryta.

— Jeśli jest drugi, to pilnuje wody. — Po chwili namysłu Penrod pstryknął palcami. Al-Saada zbliżył się i przykucnął obok niego.

— Będę czekać między obozem a studnią, wypatrując drugiego wartownika. Wy dwaj wejdziecie do obozu i zapewnicie miejsce w raju synom Mahdiego. — Poklepał ich po ramionach, na potwierdzenie rozkazu i znak błogosławieństwa. W tego rodzaju robocie byli lepsi od niego. Sam nie potrafiłby zabić śpiącego człowieka. — Zaczekajcie, póki nie zajmę stanowiska.

Odszedł szybko w prawą stronę. Dotarł do krawędzi i zajrzał w głąb wąwozu. Zobaczył ciało pierwszego wartownika. Jakub posadził go z kolanami podciągniętymi do piersi i nakrył mu głowę turbanem, żeby wyglądał tak, jakby zasnął na posterunku. Kształty ludzi i wielbłądów na dnie koryta zlewały się w ciemną plataninę, uniemożliwiającą rozróżnienie jednych od drugich. Jakub musiał podkraść się bardzo blisko, żeby je policzyć. Penrod przesunął się w cień głazu, skąd mógł mieć oko na wąwóz i kryć podejście od strony studni.

Poczuł ciarki na karku, gdy najpierw Jakub, potem al-Saada wczołgali się na dno koryta, stapiając się z masą ludzi i zwierząt. Mógł tylko wyobrażać sobie krwawą robotę, jaką wykonywali, przemykając szybko od jednego śpiącego do drugiego. Nagle rozległ się przeraźliwy wrzask i nerwy napięły mu się jak struny. Któryś chybił; na pewno nie Jakub. W jednej chwili powstało zamieszanie, gdy ciche dotąd zbiorowisko ludzi i zwierząt poderwało się na nogi. Ktoś wskoczył na grzbiet

wielbłąda i pognął galopem, wspinając się po przeciwnym zboczach wąwozu. Następny derwisz wyrwał się z chaosu i pobiegł dnem koryta. Chwilę później rzucił się za nim człowiek, który mimo utykania rozwijał nadzwyczajne tempo. Obaj rozplłynęli się w mroku.

Penrod już chciał pobiec dołączyć do walki, kiedy usłyszał kroki za plecami. W świetle gwiazd zobaczył mężczyznę biegnącego od strony Wdowy Ahaba. To musiał być drugi wartownik. Niósł miecz w prawej ręce i tarczę na drugim ramieniu. Kiedy znalazł się zbyt blisko, żeby uciec, Penrod zastąpił mu drogę. Derwisz bez chwili wahania rzucił się na niego, robiąc zamach długim mieczem. Penrod sparował cios, zadźwięczała stal, i zamarkował uderzenie w głowę. Derwisz poderwał tarczę, a Penrod złożył się błyskawicznie i wbił sztych w tors, aż klinga wyszła na dwie dłonie pomiędzy łopatkami napastnika. Niemal tym samym ruchem wyciągnął broń i derwisz padł bez krzyku.

Penrod zostawił go i popędził na dno koryta. Dostrzegł al-Saadę, który garbił się nad leżącą ofiarą, tnąc sztyletem w poprzek gardła; czarna krew bluznęła z przeciętej arterii. Sierżant wyprostował się i rozejrzał, ale ruchy miał niemrawe. Trzech ludzi zginęło tam, gdzie spało.

— Partanina! Dwóch zwało — warknął Penrod ze złością. — Jakub goni jednego, ale drugi ucieka na wielbłądzie. Musimy jechać za nim.

Al-Saada zrobił krok w jego stronę i usmarowany krwią sztylet wypadł mu z ręki. Powoli osunął się na kolana. W świetle gwiazd Penrod ujrzał zdumienie na jego twarzy.

— Był za szybki — powiedział sierżant urywanie. Oderwał drugą rękę od piersi i popatrzył w dół. Krew płynąca z rany przyciemniła mu szatę po kolana. — Goń go, Abadanie Ridzi. Za chwilę podążę za tobą — wychrypiał i runął na twarz. Penrod przez sekundę się wahał, walcząc z odruchem, który nakazywał mu udzielenie pomocy. Ale sierżant leżał bezwładnie i Penrod wiedział, że jemu już nic nie pomoże, a jeśli derwisz zdoła uciec, szansa dotarcia do obleżonego miasta zostanie poważnie zmniejszona.

— Idź z Bogiem, Saada — wyszeptał. Pobiegł do najbliższego wielbłąda i skoczył na siodło. Szablą przeciął pęto na kolanach. Wielbłąd podniósł się na nogi i ruszył galopem. Penrod ledwo widział uciekającą przed nim sylwetkę majaczącą jak ćma w świetle gwiazd. Po kilkuset krokach dostosował się do rytmu wierzchowca. Wielbłąd wydawał się silny i pełen zapału, musiał być dobrze napojony i odkarmiony w czasie czuwania przy Marbad Tegga. Penrod ponaglał go ruchem bioder, jak dżokej pędzący do celownika. Szybki rzut oka na gwiazdy potwierdził to, co już wiedział: uciekinier zmierzał prosto na południe, w stronę Nilu.

Przebyli kolejną milę i Penrod spostrzegł, że wielbłąd derwisza zwolnił do kłusa. Albo jeździec został ranny w czasie potyczki, albo nie zdawał sobie sprawy, że jest ścigany, albo oszczędzał wierzchowca na długą, forsowną jazdę do rzeki. Penrod nie zmniejszył tempa i odległość między nimi szybko malała.

Już wierzył, że doścignie derwisza, zanim ten uświadomi sobie niebezpieczeństwo, gdy nagle ujrzał bladą twarz. To uciekający mężczyzna obejrzał się przez ramię. W chwili gdy zauważył pościg, uderzył wielbłąda kijem i popędził go ostrymi krzykami. Dwa wielbłądy galopowały jak związane postronkiem, w dół suchego wadi i w górę kamienistego zbocza. Wierzchowiec Penroda, szybszy i bardziej wytrzymały, zaczął dochodzić uciekiniera. Penrod lekko skręcił, planując zajechać od lewej. Miał nadzieję, że Arab jest praworęczny i od tej strony będzie gorzej się bronił.

Niespodziewanie derwisz skręcił w prawo i zatrzymał wielbłąda sto kroków przed pościgiem. Gdy odwrócił się w wysokim drewnianym siodle, Penrod zobaczył, że podnosi strzelbę do oka. Sądził, że Arab uzbrojony jest tylko w miecz — nie wziął pod uwagę możliwości, że może mieć broń palną w pochwie za siodłem.

— Śmiało, zjadaczu wieprzowiny! — ryknął derwisz.

Odległość była zbyt duża, a grzbiet galopującego wielbłąda nie jest stabilną platformą do strzelania, ale Penrod musiał spróbować pokrzyżować przeciwnikowi szyki i podjechać na długość szabli. Arab wypalił z grzbietu stojącego wielbłąda. Po błysku z lufy i charakterystycznym dudniącym huku Penrod zorientował się, że to karabin marki Martini-Henry, zapewne jeden ze zdobytych pod El Obejd lub Suakin. Ułamek sekundy później wielbłąd Penroda potknął się. Derwisz się odwrócił i pochylił nad karabinem, próbując wprowadzić następny pocisk do komory. Penrod natarł na niego od lewej, z podniesioną szablą. Arab zrozumiał, że nie zdąży przeładować, i rzucił karabin. Sięgnął nad ramieniem i wyciągnął miecz z pochwy przytroczonej do pleców. Spojrzał na Penroda i cofnął się w siodle.

— Znam cię, niewierny! — wrzasnął. — Widziałem cię na polu pod El Obejd. Ty jesteś Abadan Ridzi. Przeklinam ciebie i twojego plugawego, trójgłowego Boga. — Zamachnął się, mierząc w łeb wielbłąda. Penrod w ostatniej chwili wstrzymał wierzchowca i ciężka broń przeszła za wysoko. Ostrze ścięło ucho zwierzęcia przy samej głowie i wielbłąd skoczył w bok. Penrod zapanował nad nim, ale zwierzę potknęło się osłabione raną w pierś. Derwisz był poza zasięgiem szabli i choć Penrod dźgnął, nie zdołał dosięgnąć. Jego wierzchowiec stęknął, upadł na kolana i przewrócił się na bok. Penrod wybił się z siodła i wylądował chwiejnie na nogach.

Zanim odzyskał równowagę, derwisz oddalił się o sto kroków i szybko zwiększał odległość. Penrod wyrwał rewolwer zza szarfy i opróżnił magazynek, celując w malejącą sylwetkę. Nie usłyszał głuchego młaśnięcia, z jakim kula grzęźnie w ciele. Po paru sekundach uciekinier rozpląnął się w ciemności. Penrod przekrzywił głowę i nasłuchiwał, lecz słyszał tylko wiatr.

Jego wielbłąd próbował podnieść się na nogi, jednakże ryknął głucho i przewrócił się na grzbiet, wierzgając kopytami w powietrzu. Po chwili znieruchomiał i legł płasko na ziemi, z głową wyciągniętą do przodu. Oddychał ciężko i Penrod zobaczył, że podwójny strumyk krwi spływa z jego nozdrzy. Załadował rewolwer, stanął nad odchodzącym zwierzęciem, przycisnął mu lufę do łba i strzelił w mózg. Przez parę minut przeszukiwał sakwy, sprawdzając, czy nie ma w nich czegoś ważnego, ale nie było ani map ani dokumentów, a jedynie wystrzępiony egzemplarz Koranu. Znalazł też worek suszonego mięsa i placków z durrey, co miało uzupełnić skromne zapasy.

Zawrócił w kierunku Marbad Tegga. Przebył niespełna pół mili, kiedy zobaczył zbliżającego się jeźdźca na wielbłądzie. Ukląkł w zasadzce za czarną skałą, ale zaraz potem rozpoznał Jakuba i zawołał do niego.

— Chwalcie imię Allaha! — krzyknął Jakub. — Słyszałem strzały.

Penrod wdrapał się na grzbiet wielbłąda za siodłem i ruszyli do Marbad Tegga.

— Mój uciekł — oznajmił Penrod. — Derwisz miał karabin i zabił mojego wierzchowca.

— A mój nie uciekł, walczył dzielnie. Był wojownikiem i uczciłem jego pamięć — powiedział Jakub bezdźwięcznie. — Al-Saada nie żyje. Zasłużył na śmierć swoją niezdarnością.

Penrod nie skomentował. Wiedział, że ci dwaj nigdy się nie kochali, bo choć łączyła ich wiara, al-Saada był Egipcjaninem, a Jakub Arabem należącym do plemienia Dżaalinów.

Za obozem wroga Penrod znalazł głęboką rozpadlinę i złożył w niej ciało al-Saady. Owinął mu głowę płaszczem i położył na piersi Koran znaleziony w sakwie derwisza. Potem z pomocą Jakuba zasypał zwłoki luźnym łupkiem. Był to prosty pogrzeb, ale zgodny z wyznaniem sierżanta. Nie trwał długo. Penrod i Jakub milczeli w trakcie pracy.

A potem pospieszyli do obozu derwiszów i zaczęli przygotowania do dalszej podróży.

— Jeśli się uwiniemy, może zdołamy przebyć linie wroga, zanim uciekinier zaalarmuje swoich.

Wielbłądy derwiszów były tłuste, napojone i wypoczęte. Przenieśli na nie siodła i puścili luzem

swoje wyczerpane zwierzęta, żeby napiły się w Marbad Tegga, a potem ruszyły ku dalekiej rzece. Bukłaki derwiszów zawierały więcej słodkiej wody z Nilu, niż trzeba było dla dwóch ludzi. Znaleźli też worki z durrą, daktyle i suszone mięso.

— Mamy dość zapasów, żeby dotrzeć do Chartumu — oznajmił Penrod z satysfakcją.

— Będą się spodziewać, że pojedziemy do brodu w Korti, ale ja znam inną przeprawę, dalej na zachód, poniżej katarakty — stwierdził Jakub.

Wsiedli na wypoczęte wierzchowce i prowadząc za sobą trzy juczne wielbłądy, obładowane bukłakami, ruszyli na południe.

Codziennie w środku dnia wypoczywali, leżąc w skąpym cieniu rzucanym przez zwierzęta. Wielbłądy klęczały w pełnym słońcu, które zagotowało by krew każdego innego stworzenia, one jednak miały się dobrze. Gdy tylko żar trochę zelżał, jechali do wieczora i przez całą noc. Przed świtem trzeciego dnia, gdy wieczna latarnia Gwiazdy Porannej jeszcze płonęła nad horyzontem, Penrod zostawił Jakuba z wielbłędami i wspiął się na szczyt stożkowatego wzgórza, jedynej wyróżniającej się formy terenu w tym wypalonym, opustoszałym świecie.

Kiedy dotarł na wierzchołek, wstało słońce i w jego promieniach ukazał się nadzwyczajny widok. Dwie mile dalej coś białego jak sól i wdzięcznego niczym skrzydło mewy sunęło nad oceanem jałowego piasku i skał. Penrod nie musiał podnosić lornetki do oczu, żeby rozpoznać wybrzuszony żagiel łaciński, który w tej scenerii wyglądał zupełnie nie na miejscu. Nie tracił czasu na rozkoszowanie się uczuciem ulgi i spełnienia, wzbudzonym przez widok dau żeglującego po wodach Nilu.

Zbliżali się do rzeki z ogromną ostrożnością. Zostawili za sobą niebezpieczeństwa Matki Kamieni, ale przed nimi pojawiło się nowe zagrożenie: ludzie. Dau zniknął w dole rzeki. Brzeg był pusty, bez śladu ludzkiej obecności. Tylko klucz białych czapli leciał na wschód, nisko nad stalową wodą. Wzdłuż brzegów ciągnęły się wąskie pasy roślinności, kępy trzciny, chuderlawe palmy i jedna wspaniała sykomora z korzeniami tkwiącymi w przybrzeżnym błocie. W jej cieniu wzniesiono grób z cegły suszonej na słońcu. Spękany tynk odpadał ze ścian. Spłowiałe kolorowe wstążki trzepotały na rozłożystych gałęziach.

— To drzewo świętego al-Maula, pustelnika, który mieszkał w tym miejscu sto lat temu — wyjaśnił Jakub. — Pielgrzymi wieszają wstążki ku jego czci, żeby pamiętał o nich i nagradzał łaskami, których potrzebują. Jesteśmy sześć mil na zachód od brodu, a w tej samej odległości na wschodzie leży wioska Korti.

Oddalili się od brzegu rzeki, żeby nie dostrzegły ich załogi przepływających żaglowców. Zmierzali na zachód, jadąc dnami wadi, klucząc wśród wzgórz, aż dotarli do wysokiej skalistej skarpy, która górowała nad długim odcinkiem Nilu. Do końca dnia czuwali na szczycie urwiska.

Choć Nil był głównym szlakiem handlowym i komunikacyjnym obszaru większego niż cała zachodnia Europa, nie zobaczyli ani jednego statku, ani jednego człowieka. Ten fakt zaniepokoił Penroda. Coś musiało przerwać nadržeczny handel. Był prawie pewien, że przyczyną było to, przed czym ostrzegła go Bachita: gdzieś niedaleko maszerowała wielka armia derwiszów. Chciał jak najszybciej przedostać się na pustkowia pustyni Monasir i trzymać się jak najdalej od Nilu, dopóki nie zbliży się do Chartumu i nie wkradnie do obłożonej warowni Gordona.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, w blasku przenikających wodę promieni ukazał się ciemniejszy zarys płycizn. Zanurzona ostroga skalna sięgała do połowy nurtu, a z przeciwnego brzegu na jej spotkanie wychodziła rozległa błotnista ławica. Koryto pomiędzy płyciznami było głębokie, ale wąskie, mniej niż sto pięćdziesiąt kroków szerokości. Penrod starannie zapamiętał położenie tego miejsca. Jeśli użyją pustych bukłaków, wielbłądy przepłyną głębszy odcinek.

Oczywiście musieli przeprowić się pod osłoną nocy. Byliby bezbronni, gdyby w biały dzień niespodziewanie pojawił się dau i derwisze zaskoczyli ich pośrodku nurtu. Na drugim brzegu będą mogli napełnić bukłaki wodą i ruszyć na pustynię Monasir.

Pod koniec dnia Penrod zostawił Jakuba ze zwierzętami na wysokim urwisku, a sam zszedł na dół, żeby sprawdzić tropy na brzegu. Zapisał się daleko i w górę, i w dół rzeki i z zadowoleniem stwierdził, że ostatnio nie przechodził tędy żaden nieprzyjacielski oddział.

Gdy zapadła ciemność, Jakub przyprowadził wielbłądy. Wylał wodę z bukłaków, nadmuchał je i zakorkował. Przytroczyli wielbłądom do boków po dwa wielkie czarne balony, podzielili na dwie grupy i powiązali postronkami, żeby nie rozdzieliły się w rzece.

Zwierzęta wzdragały się przed wejściem do wody, ale Penrod i Jakub kijami spędzili je na brzeg i na skalną ostrogę. Poziom wody podnosił się w miarę zbliżania się ku środkowi rzeki, aż sięgnął mężczyznom po szyję i musieli przytrzymać się upręży wielbłądów. Długie nogi pozwalały zwierzętom kroczyć po dnie, ale w pewnej chwili straciły grunt i popłynęły niezdarnie, unoszone przez skórzane worki. Penrod i Jakub płynęli obok, popędzając je i zwracając im głowy we właściwą stronę, uważając na przednie nogi mlójące wodę pod powierzchnią. Nakierowali je na mieliznę, a kiedy zyskały oparcie dla nóg, wyprowadzili na suchy grunt. Szybko napełnili bukłaki i napiili wielbłądy, ostatni raz przed wielodniową jazdą.

Przeprawa zajęła więcej czasu, niż Penrod się spodziewał. Niebo bladło na wschodzie, gdy byli gotowi do drogi, z pełnymi bukłakami i brzuchami wielbłądów pękatymi od wody. Zanim wyruszyli, spróbowali zatrzeć ślady na brzegu, ale liczba ciężko obciążonych zwierząt i ciemności utrudniały zadanie. Pozostała im tylko nadzieja, że wiatr i rzeka zatrą tropy, zanim nadciągnie zwiad derwiszów.

Gdy ruszyli w głąb pustyni Monasir, Penroda prześladowały złe przecucia. Po kilku godzinach stały się tak natarczywe, że doszedł do wniosku, iż musi zawrócić i sprawdzić, czy wróg nie odkrył miejsca przeprawy. Wybrał najbardziej ręczne, najsilniejsze zwierzę — znał już charakter i wytrzymałość wszystkich. Kazał Jakubowi jechać dalej z pozostałymi wielbłądami, a sam zawrócił. Kilka mil od rzeki zszedł ze szlaku w stronę pasma niskich wzgórz. Zmusił wielbłąda do położenia się i spętał go tak, żeby jego sylwetka nie rysowała się na tle nieba, potem zakradł się na szczyt wzgórza. Przed samym wierzchołkiem padł na brzuch, poczołgał się za skałę i spojrzał w dolinę Nilu. Serce załomotało mu z napięcia, a nerwy naprężyły się jak postronki.

Niewielki oddział zwiadowców zsiadł z wierzchołków na brzegu Nilu. Było jasne, że odkryli tropy wychodzące z wody. Uważnie przyjrzał się im przez lornetkę. Było ich sześciu. Pomyślał, że jeden może być uciekinierem z Marbad Tegga, ale nie miał pewności. Byli chudymi, twardymi Arabami pustyni, zapewne z plemienia Bedżów. Nosili pstrokate dżibby mahdystów oraz charakterystyczne okrągłe tarcze i miecze w długich pochwach. Wsparci na drzewcach włóczy, z ożywieniem rozprawiali o śladach na brzegu. Jeden wojownik odwrócił się i wskazał ręką biegnący na południe trop. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Penrod miał wrażenie, że patrzą prosto na niego.

Przycupnął za skałę, oceniając sytuację. Wyglądało na to, że człowiek, którego ścigał od Marbad Tegga, jeśli nawet nie było go tam na dole, dotarł przed nimi do rzeki i ostrzegł forpocztę nadciągającej z północy armii Mahdiego. Jeden z dowodzących emirów wysłał zwiad, żeby przeprowadzić rozpoznanie i zacząć się na posłańców z Kairu. Penrod na pierwszy rzut oka zorientował się, że to najlepsi wojownicy. Mieli przewagę liczebną i byli czujni. Odrzucił wszelkie myśli o walce. Jedyne ratunkiem była ucieczka.

Przeniósł uwagę z ludzi na zwierzęta. Agadżerowie przyjechali na okazałych rumakach. Mieli tylko jednego wielbłąda objuczonego skózanymi workami ze sprzętem, żywnością i amunicją, bez

bukłaków. Najwyraźniej byli szybkim oddziałem zwiadowczym, ale ponieważ nie mieli zapasu wody, nie mogli oddalić się więcej niż o kilka mil od rzeki. Nie byli przygotowani na długi wypad w głąb Monasiru. Chcąc przechwycić kurierów z Kairu, musieliby jechać wzdłuż ogromnego zakola rzeki i spróbować wyprzedzić ich na brzegu naprzeciwko Chartumu. Penrod wiedział, że ta trasa jest prawie o dwieście mil dłuższa od tej, którą wybrał z Jakubem. Poczł wielką ulgę, gdy zrozumiał, że nawet na najszybszych koniach derwisze nie zdołają przeciąć mu drogi przed dotarciem do celu.

— Zostawiam was na łasce Allaha — mruknął w drwiącym błogosławieństwie i chciał się odwrócić, żeby zejść do wielbłąda i popędzić za Jakubem. Nagle poruszenie na brzegu kazało mu się zatrzymać. Szybko nastawił ostrość lornetki. Dwóch mężczyzn podbiegło do jucznego wielbłąda i kazało mu uklęknąć. Odpięli jakiś pakunek z grzbietu zwierzęcia. Jeden usiadł ze skrzyżowanymi nogami, trzymając coś, co wyglądało na tabliczkę do pisania. Pisał w wielkim skupieniu.

Drugi zdjął z wielbłąda małą klatkę i ściągnął z niej bawełniane okrycie. Otworzył drzwiczki i włożył do środka ręce. Penrod jęknął, gdy pomiędzy palcami zobaczył mały ptasi łebek. Pisarz odłożył pióro, starannie złożył kartkę i wstał. Drugi podsunął mu ptaka i obaj robili coś jeszcze przez chwilę.

Potem skryba cofnął się i pokiwał głową. Drugi Arab oburącz wyrzucił w powietrze smukłego gołębia. Ptak zatrzepotał skrzydłami, wznosząc się coraz wyżej nad rzekę. Wszyscy Arabowie patrzyli za nim z zadartymi głowami. Do Penroda dotarły ciche krzyki zachęty: — Leć, maleńki, na skrzydłach aniołów Boga!

— Leć szybko na łono świętego Mahdiego!

Gołąb wzbił się wysoko, zatoczył kilka szerokich kręgów, żeby zorientować się w przestrzeni, wreszcie znalazł kierunek i pofrunął szybko w stronę Omdurmanu, maleńka plamka na tle błękitnego nieba.

Penrod patrzył, dopóki nie stracił go z oczu. Z całego serca pragnął zobaczyć sylwetkę pustynnego sokoła sakera, wzbijającego się wysoko i przypuszczającego morderczy atak, ale nie pojawił się żaden drapieжник. Gołąb odfrunął bez przeszkód.

Penrod zbiegł po zboczu i skoczył na siodło. Zwrócił głowę wielbłąda w tę samą stronę, w którą poleciał gołąb, i ruszył kłusem, którym zwierzę mogło przebyć pięćdziesiąt mil bez odpoczynku. Ale wiedział, że gołąb dotrze do Omdurmanu przed zmrokiem, podczas gdy on miał przed sobą co najmniej dwieście pięćdziesiąt mil jazdy. Co więcej, przed Chartumem czekały ich wielkie kłopoty, z którymi będą musieli się uporać, żeby dostarczyć wiadomość „Chińczykowi” Gordonowi.

Osman Atalan maszerował z tłumem wiernych w kierunku wielkiego meczetu w Omdurmanie. Nad jego głową łopotał niesiony przez dwóch agadżerów sztandar z tekstami z Koranu, nadany mu w nagrodę przez Mahdiego. Wokół dudniły wielkie miedziane bębny wojenne. Trąby ombeja ryczały, a tłum głośno wychwalał Boga, Mahdiego i jego kalifa. Żar lał się na ludzi, kurz unosił się w powietrzu. Podniecenie narastało w miarę zbliżania się do meczetu, bo wszyscy wiedzieli, że Mahdi, światło islamu, wygłosi dziś słowo Boga i Jego Proroka. Ansarowie już zaczęli tańczyć. Kiedyś zwano ich derwiszami, ale Mahdi uznał to miano za uwłaczające i zakazał jego używania.

— Święty Prorok przemówił do mnie kilka razy i oznajmił, że ten, kto nazwie moich wyznawców derwiszami, zasłużył sobie na siedem plag i należy mu się kara wymierzona gałązkami cierniowymi. Albowiem czyż nie dałem dumnego imienia i obietnicy rajy wiernym wojownikom, którzy odnieśli triumf na polu bitwy pod El Obejd? Czyż nie zarządziłem, że trzeba zwać ich ansarami, moimi pomocnikami i partyzantami? Mają być znani tylko jako ansarowie i niechaj okryją się chwałą pod tym imieniem.

Ansarowie tańczyli w blasku słońca, wirując coraz szybciej niczym burza pyłowa, aż w końcu

wydawało się, że ich stopy prawie nie dotykają ziemi. Wierni wokół nich zawodzili i wykrzykiwali dziewięćdziesiąt dziewięć pięknych imion Allaha: „Al--Hakim, Mądry. Al-Madżid, Najwspanialszy. Al-Hakk, Prawdziwy...”. Tancerze wpadali w religijną ekstazę i kolejno przewracali się na ziemię, tocząc pianę z ust i wywracając oczy tak, że widać było tylko białka.

Osman wszedł przez bramę na dziedziniec meczetu, otoczony wysokim na dwadzieścia stóp murem z suszonej na słońcu cegły. Kwadratowy plac o bokach mających osiemset kroków szczelnie zapełniały szeregi ubranych w dżibby klęczących wiernych. Bramę po przeciwnej stronie zagrażał rząd ansarów w czarnych szatach, katów Mahdiego.

Osman szedł powoli przez tłum w ich stronę. Klęczący robili mu przejście i wysławiali go, gdy ich mijał, ponieważ był pierwszym spośród wszystkich wielkich emirów. Wojownicy rozłożyli dla niego dywanik modlitewny z pięknie farbowanej wełny. Obok spiętrzyli sześć wielkich ciosów, trofeów z polowania w dolinie Atbary. Osman ukląkł na dywaniku, zwrócony twarzą ku wąskiej bramie w murze, która wiodła do prywatnych kwater Mahdiego.

Stopniowo głośna wrzawa wiernych ścichła do pomruku, a potem zapadła pełna napięcia i oczekiwania cisza. Zmącił ją ryk ombeja, gdy z bramy wyszła niewielka procesja. Na czele kroczyło trzech kalifów. Mianując tych ludzi swoimi następcami, Mahdi odwołał się do precedensu ustanowionego przez pierwszego proroka, Mahometa.

Brakowało czwartego kalifa, Al Senussiego, władcy Cyrenajki. Al Senussi wysłał emisariusza do Sudanu, by zasięgnął języka o człowieku, który obwołał się Mahdim. Wysłannik zjawił się w trakcie oblężenia miasta El Obejd. Z grozą przyglądał się masakrze, grabieży, torturom, ćwiartowaniu dzieci przez ansarów. Nie czekając na spotkanie z Mahdim, uciekł z tej krwawej jatki, żeby opowiedzieć swojemu panu o bestialstwach, jakich był świadkiem.

— Ten potwór nie może być Oczekiwany — zdecydował Al Senussi. — Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Dlatego w meczecie było tylko trzech kalifów, a wśród nich najważniejszą pozycję zajmował Abdallahi. W porównaniu z nim dwaj pozostali nie mieli znaczenia. Abdallahi podprowadził ich do dywaników modlitewnych rozłożonych na podwyższeniu. Kiedy zajęli miejsca, znów zapadło milczenie.

A potem ponownie zagrzmiały ombeja i z bramy wyszedł człowiek niosący przed sobą symbol doczesnej władzy Mahdiego: nadzwyczaj długi, jasny miecz. Gwiazdy i półksiężycy ze szlachetnych kamieni zdobiły złotą rękojeść i jelec, a na głowni widniał damaskinaż wyobrażający dwugłowego orła Świętego Cesarstwa Rzymskiego z legendą „Vivat Carolus”. Miecz, ongiś należący do chrześcijańskiego krzyżowca, był przez wieki przekazywany z pokolenia na pokolenie, aż w końcu trafił w ręce Mahdiego z Sudanu. Za człowiekiem, który go niósł, pojawił się sam prorok Boga.

Mahdi był ubrany w nieskazitelnie czystą, pięknie pikowaną dżibbę. Na głowie miał złoty hełm z osłonami na policzki z drucianej siatki, który kiedyś mógł należeć do jednego z Saracenów Saladyna. Powoli, z godnością kroczył szpalerem utworzonym przez klęczących wyznawców. Szeregi otwierały się przed nim, szejkwowie, wojownicy, duchowni i emirowie czołgali się, żeby ucałować jego stopy i przekazać mu dary.

Podnosili garście pereł i złotej biżuterii, szlachetnych kamieni i pięknie wykonanych przedmiotów ze srebra. Składali u jego stóp bele jedwabiu haftowanego szczerym złotem. Mahdi uśmiechał się anielsko i dotykał ich głów. Ansarowie szli za nim, zbierając kolejne dary, a on wygłaszał kazanie: — Allah przemówił do mnie wiele razy i rzekł mi, że nie wolno wam wkładać pięknych strojów i klejnotów, albowiem jest to wyrazem zarozumialstwa i pychy. Macie nosić tylko dżibby, które wyróżniają was jako miłośników Proroka i Mahdiego. Tym samym mądrze i słusznie

czynicie, powierzając te błyskotki mojej pieczy.

Ludzie klęczący w pobliżu przekazywali słowa Mahdiego dalszym szeregom, żeby wszyscy mogli poznać jego mądrość, i w ten sposób nauki docierały na krańce rozległego dziedzińca. Wierni dziękowali Bogu, że pozwolił im słuchać mędrca.

Podnosili skórzane worki pełne złotych i srebrnych monet i wysypywali u jego stóp lśniące denary Marii Teresy, złote mohury i angielskie suwereny, walutę Wschodu i Zachodu. Osman Atalan poczołgał się, ugięty pod ciężarem największego z sześciu ciosów, na czele swoich wojowników dźwigających pozostałe trofea. Mahdi uśmiechnął się do emira i przystanął, żeby go uściskać.

Wyznawcy zaszemrali, zdumieni tą wielką łaskawością.

— Ty wiesz, że bogactwo nie zapewni ci miejsca w raju. Jeśli ktoś zatrzyma skarby i nie przyniesie mi ich z własnej woli, Allah ześle na niego ogień i pochłonie go ziemia. Okażcie skruchę i bądźcie posłuszni moim słowom. Oddajcie mi wszystko, co wzięliście dla siebie. Prorok, niech spłynie na niego łaska boska, mówił mi wiele razy, że każdy, kto ma łupy w swoim posiadaniu, zostanie unicestwiony. Uwierzcie objawionemu słowu Proroka.

Krzyknęli z radości, słysząc słowo Boga, Jego Proroka i Boskiego Mahdiego, i ruszyli hurmem, żeby oddać swoje skarby.

Po okrążeniu dziedzińca meczetu Mahdi wrócił na podwyższenie i zasiadł na dywaniku modlitewnym. Trzej kalifowie uklękli przed nim i kolejno przekazali mu dary. Pierwszy klasnął w ręce i stajenni przyprowadzili karego ogiera, który lśnił jak mokry obsydian w promieniach słońca. Miał siodło wyrzeźbione w hebanie, a uzdę i wodze ze złotej koronki, przybrane piórami marabuta i orła.

Drugi kalif sprezentował Mahdiemu królewskie łoże, angareb z wezglowiem z inkrustowanej złotem kości słoniowej.

Kalif Abdallahi najlepiej znał swojego pana. Dał Boskiemu Mahdiemu kobietę, ale nie zwyczajną. Sam przywiódł ją na dziedziniec. Jedwabie spowijały ją szczelnie, lecz mimo to widać było, że ma wdzięczną figurę gazeli i foremne stopy. Kalif rozchylił jej odzienie w taki sposób, żeby tylko sam Mahdi mógł nasycić oczy widokiem wdzięków. Pod szatą była naga.

Mahdi wsparł się na łokciu i szacował ją wzrokiem. Była ślicznym, czternastoletnim dzieckiem z plemienia Galla, z oczami ciemnymi jak kałuże ropy i skórą gładką niczym masło. Poruszała się z senną gracją przebudzonego jelonka. Piersi miała drobne, dziewczęce, ale kształtne jak dojrzałe figi. Wzgórek łonowy został starannie wyskubany, co do włoska, więc różowe fałdki wewnętrznych warg wyzierały nieśmiało z pulchnej szczelinki. To podkreślało jej młody wiek. Mahdi uśmiechnął się do niej. Dziewczynka opuściła głowę, zasłoniła usta drobną dłonią i zachichotała wstydliwie. Kalif Abdallahi opuścił szatę, a Mahdi pokiwał głową.

— Zaprowadź ją do moich komnat. — Wstał i rozłożył ręce. — Prorok mówił mi wiele razy — rozpoczął przemowę — że moi ansarowie są ludźmi wybranymi i błogosławionymi. Dlatego zakazał wam palenia i zucia tytoniu. Nie wolno wam spożywać alkoholu. Nie wolno wam grać na instrumentach, wyjąwszy bębny i ombeja. Nie wolno wam tańczyć, chyba że ku chwale Boga i Jego Proroka. Nie wolno cudzołożyć ani współżyć przed ślubem. Nie wolno kraść. Spójrzcie, jaki los czeka tych, którzy łamią moje przykazania.

Klasnął w ręce i z bocznej bramy kaci wyprowadzili starszego mężczyznę. Był bosi, ubrany tylko w przepaskę biodrową. Miał skonsternowaną, zdumioną minę. Oprawcy zdarli mu turban z głowy, odsłaniając tłuste, brudnobiałe włosy. Kiedy stanął przed podium, szarpnęli za sznur okręcony wokół jego szyi i rzucili go na ziemię. Czterech katów stanęło wokół niego z podniesionymi biczami.

— Tego człowieka przyłapano na paleniu tytoniu. Wymierzcie mu sto razy korbaczem.

— W imię Boga i Zwycięskiego Mahdiego! — ryknęli zgromadzeni jednym głosem, a kaci złożyli się do chłosty.

Po pierwszym smagnięciu na plecach ukazała się czerwona pręga, a po drugim popłynęła krew. Starzec wił się i wrzeszczał, zasypywany plagami, a gdy w końcu znieruchomiał, wywleczono go przez tę samą bramę. Ziemia w miejscu egzekucji była mokra od krwi.

Przywleczono na sznurze następnego przestępcę. Mahdi patrzył na niego z łagodnym, dobrotliwym uśmiechem.

— Ten człowiek skradł wiośła z dau sąsiada. Prorok nakazał, że trzeba odciąć mu rękę i stopę.

Kat stojący za winnym zamachnął się i mieczem odrąbał mu prawą stopę. Mężczyzna upadł na ziemię, a gdy wyciągnął rękę, żeby się ratować, kat nogą przycisnął ją do ziemi i przeciął kości w przegubie. Oprawcy szybko i wprawnie przyżegli kikuty, zanurzając je w garnku wrzącej smoły. Zawiesili odciętą rękę i stopę na szyi mężczyzny, po czym wywlekli go przez boczną bramę.

— Chwalcie sprawiedliwość i miłosierdzie Mahdiego — zawyli wierni. — Bóg jest wielki i nie ma bóstwa innego niż Bóg.

Osman Atalan przyglądał się wydarzeniom ze swego miejsca w pierwszym rzędzie. Był zdumiony mądrością i wnikliwością Mahdiego. Instynktownie wiedział, że porządki nowej religii nie mogą wspierać się na pobłażliwości, tylko na wymuszaniu moralnej surowości i oddaniu słowu Boga. Nikt, kto był świadkiem rządów tego proroka, nie mógł wątpić, że reprezentuje on władzę boską.

Mahdi przemówił: — Smutek ciąży w moim sercu niczym kamień, albowiem jest pośród nas para przyłapana na cudzołóstwie.

Zebrani ryknęli gniewnie i wymachując nad głowami, krzyczeli: — Muszą umrzeć! Muszą umrzeć!

Najpierw przyprowadzili kobietę, niemal dziewczynkę, zabiedzoną, z rękami i nogami cienkimi jak patyki. Splątane włosy przysłaniały jej twarz i spadały na ramiona. Zawodziła żałośnie, gdy przywiązywali ją do słupa przed podestem.

Potem przywiedli mężczyznę. Również był młody, ale wysoki i dumny. Zawołał do dziewczyny: — Bądź dzielna, umiłowana. Połączmy się w miejscu lepszym od tego.

Nie zważając na sznur na szyi, zbliżył się do podwyższenia, jakby chciał przemówić do Boskiego Mahdiego, ale kaci zatrzymali go brutalnie.

— Nie podchodź, plugawe zwierzę, żeby twoja jucha nie zbrukała szat Zwycięskiego.

— Karą dla cudzołożącego mężczyzny jest ścięcie — oznajmił Mahdi, a jego słowa obieły dziedziniec. Kat stanął za młodzieńcem i ostrzem dotknął jego karku, przymierzając się do zadania ciosu. Zrobił zamach i miecz świsnął w powietrzu. Dziewczyna wrzasnęła rozpaczliwie, gdy głowa spadła z ramion. Mężczyzna stał jeszcze chwilę, a jasny strumień tryskał w powietrze i spadał na tors. Mahdi cofnął się skwapliwie, ale kropla krwi splamiła jego białą dżibbę. Ciało upadło, głowa poturlała się do stóp podwyższenia. Dziewczyna zawodziła i szamotała się w więzach, próbując dosięgnąć martwego kochanka.

— Karą dla cudzołożącej kobiety jest ukamienowanie — oznajmił Mahdi.

Kalif Abdallahi podniósł się z poduszki i zszedł do dziewczyny. Dziwnie czułym ruchem odgarnął włosy z jej twarzy i związał je z tyłu głowy, żeby wierni dobrze widzieli jej minę, gdy będzie umierać. Potem podszedł do ułożonego w pobliżu stosu kamieni. Wybrał jeden, pasujący do ręki, i ustawił się naprzeciwko winnej.

— W imię Allaha i Boskiego Mahdiego, oby ulitowali się nad twoją duszą.

Cisnął kamień z siłą i prędkością doświadczonego włócznika, trafiając dziewczynę w oko. Osman Atalan usłyszał trzask pękającej kości. Oko wyskoczyło z oczodołu i zawisło na szypułce

nerwu niczym jakiś obsceniczny owoc.

Jeden po drugim, kalifowie, emirowie i szejkwowie występowali, brali kamienie ze stosu i rzucali. Nim przyszła kolej Osmana Atalana, czaszka dziewczyny była już zmiażdżona, a ciało bezwładnie wisiało w pętach. Gdy rzucony przez niego kamień uderzył ją w ramię, nawet nie drgnęła. Zostawili ją przy słupie, podczas gdy Mahdi kończył kazanie.

— Prorok, oby Bóg nagroził go łaską i życiem wiecznym, mówił mi przy wielu okazjach, że ten, kto wątpi, iż jestem prawdziwym Mahdim, jest odstępcą. Ten, kto sprzeciwia się mojej woli, jest zdrajcą i niewiernym. Ten, kto wydaje mi wojnę, zginie marnie i zostanie unicestwiony w przyszłym życiu, a jego majątek i dzieci przejdą na własność islamu. Z rozkazu Proroka toczę wojnę przeciwko Turkom i niewiernym. On odsłonił przede mną wiele strasznych tajemnic. Największą spośród nich jest to, że wszystkie kraje Turków, Franków i niewiernych, występujące przeciwko mnie, a także słowu Allaha i Jego Proroka, zostaną poskromione przez świętą religię i prawo islamu. A oni sami staną się pyłem, muchami i drobnymi stworzeniami, które pełzają w mroku nocy.

Osman Atalan wrócił do swojego namiotu w gaju palmowym nad Nilem i popatrzył na fortecę niewiernych. Czuł się zmęczony na ciele jak po wielkiej bitwie, ale jego duch triumfował, jakby Allah i Boski Mahdi podzielili się z nim swoim zwycięstwem. Usiadł na kosztownym jedwabnym dywanie z Samarkandy, a żony przyniosły mu tykwę z kwaśnym mlekiem. Gdy się napił, pierwsza żona wyszeptwała: — Ktoś czeka na ciebie, panie.

— Niech wejdzie — odparł. Wszedł starzec o prostych plecach, z jasnymi, młodymi oczami. — Widzę cię, Panie Gołębi — powitał go Osman — i niech spłynie na ciebie łaska Allaha.

— Widzę cię, potężny emirze, i modłę się, żeby Prorok przytulił cię do serca. — Podniósł siwego gołębia, którego delikatnie przyciskał do piersi.

Osman wziął ptaka i pogładził go po łebku. Gołąb zagruchał cicho. Osman odwiązał jedwabną nitkę, która mocowała rulonik ryżowego papieru na łuskowatej, czerwonej nóżce. Wygładził karteluszek na udzie i przeczytał, a wówczas uśmiech rozjaśnił mu twarz i zmęczenie go opuściło. Powtórzył treść ostatniej linijki, napisanej drobnym pismem.

„Widziałem jego twarz w świetle gwiazd. Zaprawdę, był to Frank, który umknął przed Twoim gniewem na polu bitewnym pod El Obejd. Ten, który znany jest jako Abadan Ridzi”.

— Wezwij agadżerów i osiodłaj Słodką Wodę. Jedziemy na północ. Nadciąga nieprzyjaciel — wykrzyczał rozkaz, a potem zwrócił się do Hasana Ben Nadera i al-Nura, którzy stali przed namiotem, czekając, aż stajenni przyprowadzą konie. — Dzięki Bogu, nie musimy przeczesywać pustyni Monasir jak długa i szeroka. Wiemy, gdzie i kiedy ściął pętlę, a jest tylko jedno miejsce, do którego może się kierować.

— Dwieście pięćdziesiąt mil dzieli miejsce, w którym sforsował rzekę, od brzegu Nilu naprzeciwko Chartumu — zaznaczył al-Nur.

— Wiemy, że jest twardym wojownikiem, bo wszyscy widzieliśmy go pod El Obejd. Będzie jechać szybko — dodał Hasan Ben Nader. — Zamorduje swoje wielbłądy.

Osman pokiwał głową. Znał typ człowieka, na którego polował. Hasan miał rację: ktoś taki jak on bez skrupułów zajędzi wielbłądy na śmierć.

— Trzy dni, najwyżej cztery, i jak rybka wpadnie w naszą sieć. — Stajenny przyprowadził Słodką Wodę, która zarżała na widok swojego pana. Osman czule pogładził ją po głowie i dał jej placek z durry, sprawdzając uzdę i popręg. — Będzie trzymać się z dala od rzeki do czasu przeprawy. — Rozmyślał na głos, przejęty polowaniem. — Przeprowi się na północ czy na południe od Omdurmanu? — mruknął, ponownie gładząc klacz. Zanim któryś z jego towarzyszy zdążył się odezwać, odpowiedział sam sobie: — Nie na północy, bo prąd zepchnąłby go i uniósł daleko od

miasta.

— Musi przeprowić się na południu, żeby Bahr al-Abjad... — użył arabskiej nazwy Nilu Białego — zniósł go do Chartumu.

Ktoś zakaszał i szurnał nogą po ziemi. Osman odwrócił się. Tylko jeden z agadżerów śmiał kwestionować jego słowa. Emir odezwał się do najbardziej zaufanego ze swoich ludzi: — Mów, Nurze. Niech twoja mądrość uraduje nas jak śpiew niebiańskich cherubinów.

— Przyszło mi na myśl, że ten Frank jest chytry jak pustynny szakal. Może dojść do tego samego wniosku i sądząc, że również tak myślisz, postąpić na odwrót. Może przeprowić się daleko na północy, potem odbić półkolem w stronę gór i przedostać się na drugi brzeg nie przez Bahr al-Azrak, tylko przez Bahr al-Abjad.

Osman pokręcił głową.

— Jak powiedziałeś, nie jest głupcem i zna ukształtowanie terenu. Wie również, że niebezpieczeństwo czyha na niego nie na otwartej, bezludnej pustyni, ale nad rzekami, gdzie zgromadziły się nasze plemiona. Myślisz, że postanowi przebyć dwie rzeki zamiast jednej? Nie, przeprowi się przez Bahr al-Abjad na południe od miasta. Tam będziemy na niego czekać.

Skoczył na siodło, a agadżerowie wzięli z niego przykład.

— Jedziemy na południe.

Pojechali w chłodzie wieczoru, a za nimi ciągnął się długi woal czerwonego pyłu. Osman Atalan prowadził, Słodka Woda pędziła płynnym galopem. Pokonali zaledwie kilka mil, kiedy emir ściągnął wodze i stanął w strzemionach, żeby rozejrzeć się po okolicy. Na lewo majaczyły znaczące bieg rzeki wierzchołki palm, a po prawej stronie rozciągało się wielkie pustkowie Monasiru, które dwa tysiące mil dalej ustępowało bezkresnej Saharze.

Osman zeskoczył na ziemię i przykucnął przy głowie klaczy. Agadżerowie natychmiast zrobili to samo.

— Abadan Ridzi zatoczy szeroki łuk ku zachodowi, żeby trzymać się z dala od rzeki, dopóki nie będzie gotów do przeprawy.

Przybędzie z pustkowia i w nocy spróbuje prześliznąć się przez nasze linie. Tu i tu zastawimy naszą sieć. — Na piasku narysował linie pikiet, a jego towarzysze przyglądali się, kiwając głowami na znak zgody i zrozumienia. — Nur, ty ze swoimi ludźmi pojedziesz tędy. Ty, Hasanie, w tę stronę. Ja zajmę pozycję pośrodku.

Penrod narzucił tempo mordercze nawet dla najtwardszych ludzi i zwierząt. Pokonywali osiem mil w ciągu godziny i jechali przez osiemnaście godzin bez chwili odpoczynku. Wielbłądy zbliżały się do granic wytrzymałości i obaj jeźdźcy również byli wyczerpani, kiedy w końcu przystanęli na popas. Odpoczywali cztery godziny, z zegarkiem w ręku, ale kiedy mieli ruszyć w dalszą drogę, najstarszy i najślabszy wielbłąd nie chciał się podnieść. Penrod zastrzelił wycieńczone zwierzę. Rozdzielili pomiędzy pozostałe wodę, którą niósł zajeżdżony, a potem ruszyli w tym samym zabójczym tempie.

Kiedy zbliżała się osiemnasta godzina jazdy, Penrod wyliczył, że od dziewięćdziesięciu do stu mil dzieli ich od brzegu Nilu, rozciągającego się dziesięć mil na południe od Chartumu. Jakub zgodził się z tym szacunkiem, choć jego obliczenia opierały się na innych kryteriach. Mieli za sobą trzydzieści sześć godzin ostrej jazdy i tylko cztery godziny odpoczynku. Kiedy próbowali nakarmić znużone zwierzęta, te nie chciały zjeść skąpej miarki durry.

Gdy sześć wielbłądów położyło się na piasku, Penrod przeszedł od jednego do drugiego, podnosząc bukłaki i oceniając ilość pozostałej wody. Układał w myślach równanie uwzględniające ciężar, odległość i kondycję zwierząt. Zdecydował się na rozważną grę. Wyjaśnił swój plan

Jakubowi, który westchnął, podłubał w nosie i podkasał galabiję, żeby podrapać się po kroczu, a wszystko to wyrażało jego poważne wątpliwości. W końcu smętnie pokiwał głową, bo głos mógłby go zawieść, gdyby słowami wyraził aprobatę.

Wybrali dwa najsilniejsze wielbłądy i wyprowadzili je spoza zasięgu wzroku czterech słabszych. Napoili je, wlewając słodką wodę z bukłaków do skórzanych wiader. Pragnienie zwierząt wydawało się nieugaszone i osuszały wiadro po wiadrze. Każdy wypił prawie trzydzieści galonów i ich stan uległ zdumiewająco szybkiej poprawie. Pozwolili im odpoczywać jeszcze przez godzinę, potem nakarmili je durrą, której nie chciały zjeść pozostałe. Wielbłądy posilały się łapczywie, znów silne i gotowe do drogi. Penrod był zdumiony żywotnością tych zwierząt.

Kiedy czterogodzinny odpoczynek dobiegł końca, zaprowadzili dwa wielbłądy z powrotem do apatycznej czwórki. Zmusili osłabione zwierzęta do podniesienia się na nogi. Gdy zaczęli następny etap podróży, dwa napojone i odkarmione zwierzęta niosły tylko siodła. Pomiędzy nimi cztery zajeżdżone dźwigały cały pozostały zapas wody, sprzęt i dwóch jeźdźców. Pierwszy padł po trzech znoyjnych godzinach. Penrod strzelił mu w głowę. Obaj z Jakubem wypili tyle wody z jego bukłaków, ile tylko zmieściło się w brzuchu, potem podzielili resztę między dwa silne zwierzęta.

Jechali w tym samym tempie i dziesięć mil dalej padły dwa najsłabsze wielbłądy. Jeden runął w połowie zbocza niskiej wydmy jak postrzelony w głowę, a pół godziny później drugi stęknął i zadnie nogi ustąpiły pod jego ciężarem. Ukląkł, żeby dokonać żywota, i podwójne rzędy gęstych rzęs przysłoniły szkliste oczy. Penrod stanął nad nim z webleyem w ręce.

— Dziękuję, staruszko. Mam nadzieję, że twoja przyszła podróż będzie mniej uciążliwa. — I położył kres męce.

Napoili dwa pozostałe wielbłądy, potem napili się sami. Resztę wody załadowali na silne, pełne zapału zwierzęta. Jakub stał obok nich, przyglądając się wydmom i zarysom dalekich wzgórz.

— Osiem godzin do rzeki — ocenił.

— Jeśli mój tyłek wytrzyma — jęknął Penrod i wspiął się na siodło. Bolały go wszystkie mięśnie, a oczy wydawały się porysowane przez piasek, wysuszone blaskiem słońca. Dostosował się do chodu zwierzęcia i kołysał się w siodle, zwieszając nogi po obu stronach. Otaczał ich wymarły krajobraz, a wydmy i nagie wzgórza były tak monotonicznie podobne, że czasami opadało go wrażenie, iż wcale nie posuwają się do przodu, tylko bez końca zataczają kręgi.

Zapał w mroczny, ciężki jak ołów sen. Przechylił się i mało brakowało, a spadłby na ziemię, gdyby Jakub nie zbudził go w ostatniej chwili. Z poczuciem winy Penrod podniósł głowę i sprawdził wysokość słońca. Jechali dopiero od dwóch godzin.

— Jeszcze sześć. — Kręciło mu się w głowie i wiedział, że w każdej chwili sen znów może go pokonać. Zsunął się na ziemię i biegł obok wierzchowca, dopóki pot nie zapiekł go w oczy.

Wtedy znów wspiął się na siodło i podążył za Jakubem przez rozmigotane pustkowie. Jeszcze dwa razy musiał zsiadać i biec, żeby nie zasnąć. Nagle poczuł, że wielbłąd zmienił krok. Jednocześnie Jakub zawołał: — Poczują rzekę. Penrod podjechał do niego.

— Jak daleko?

— Godzina, może trochę dłużej, zanim będziemy mogli bezpiecznie skręcić na wschód i ruszyć prosto ku rzece.

Godzina mijała powoli, ale wielbłądy kłusowały miarowo i w końcu zobaczyli, jak w rozedrganym powietrzu ukazuje się kolejny niski grzbiet błękitnego łupku. W oczach Penroda pagórek wyglądał tak samo jak setki innych, które minęli w czasie ścinania pętli, ale Jakub ze śmiechem wyciągnął rękę.

— Znam to miejsce! — Skierował głowę wielbłąda we wskazywaną stronę i zwierzę od razu

przyspieszyło. Słońce pokonało już połowę drogi do zachodniego horyzontu i cienie pomykały przed nimi po jałowej ziemi.

Wjechali na wzgórze. Penrod rozejrzył się niecierpliwie, wypatrując zieleni. Miał przed sobą monotonne pustkowie, nieróżniące się od przebytej drogi. Niezrażony Jakub potrząsnął tłustymi kędziorami na gorącym wietrze, gdy wielbłądy kłusowały przez równinę.

Następny łupkowy wał wznosił się nie więcej niż na wysokość głowy nad poziom terenu. Jakub pomachał kijem i z szatańskim uśmiechem łypnął na Penroda.

— Nie trać wiary w Jakuba, pana piasków. Dzielny Jakub widzi ziemię jak sęp z wysoka. Mądry Jakub zna tajemne miejsca i ukryte ścieżki.

— Jeśli dzielny Jakub się myli, to będzie potrzebować nowego karku, bo skrećę mu ten, na którym nosi duży czerep! — odkrzyknął Penrod.

Jakub zachichotał i popędził wielbłąda, który przyspieszył do niezdarnego galopu. Dotarł na szczyt wału pięćdziesiąt kroków przed Penrodem, zatrzymał się i dramatycznym gestem wyciągnął rękę.

Na horyzoncie zobaczyli linię palm, ale w płaskim, niepewnym świetle trudno było ocenić odległość. Pęki palmowych liści na długich pniach skojarzyły się Penrodowi z wymyślnymi fryzurami wojowników Hadendoa. Oceniał, że dwie mile dzieli ich od najbliższego gaju.

— Każ wielbłądom się położyć! — rozkazał i zeskoczył na ziemię. Co dziwne, czuł się silny i wypoczęty. Zmęczenie opuściło go, gdy tylko zobaczył Nil. Zaprowadzili wielbłądy za grzbiet, gdzie nie były widoczne z nadrzecznej równiny.

— Z której strony leży Chartum? — zapytał Penrod. Jakub bez wahania wskazał w lewo.

— Widać dym z ognisk w Omdurmanie.

Dym snuł się tak nisko nad horyzontem, że Penrod z początku wziął go za pył lub nadrzeczną mgłę. Teraz zrozumiał, że Jakub ma rację.

— Jesteśmy co najmniej pięć mil w górę rzeki od Chartumu — zauważył. Trafili dokładnie w miejsce, do którego zmierzał.

Ostrożnie przesunął się do przodu i przykucnął z lornetką za grzbietem wzgórza. Od razu zobaczył, że przecenił odległość. Od palm dzieliły ich niecałe dwie mile. Płaska nadrzeczna równina nie zapewniała osłony. Penrod dostrzegł pas ciemniejszej zieleni pod rozczochranymi koronami i uznał, że to ziemia uprawna.

— Pewnie pola durry — mruknął — ale nie widać wioski. — Znów sprawdził wysokość słońca. Dwie godziny do zmroku. Mają podjechać do rzeki przed zachodem słońca, czy czekać na noc?

Narastało w nim zniecierpliwienie, ale trzymał je w ryzach. Próbując podjąć decyzję, nie odsuwał lornetki od oczu. Jak daleko do brzegu rzeki? Nil mógł płynąć tuż za pierwszymi drzewami gaju albo znacznie dalej.

Nagle jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Skupił na nim szkła.

Cień bladego pyłu wznosił się pomiędzy palmami. Przesuwał się z lewej strony na prawo, coraz dalej od Omdurmanu. Może to karawana, pomyślał, podążająca nadrzecznym szlakiem. Potem uświadomił sobie, że przemieszcza się zbyt szybko. Doszedł do wniosku, że to jeźdźcy na wielbłądach lub koniach. Nagle chmura pyłu przestała się poruszać, zawisła na długie minuty w tym samym miejscu, potem stopniowo opadła. Zatrzymali się w gaju, między nami a rzeką, pomyślał Penrod. Kimkolwiek byli, podjęli decyzję za niego. Teraz nie miał innego wyboru, jak czekać do zachodu słońca. Wrócił do Jakuba, który siedział przy wielbłądach.

— Jeźdźcy na brzegu rzeki. Musimy zaczekać do zmroku, wtedy spróbujemy się przekraść.

— Ilu?

— Nie jestem pewien. Duża grupa. Sądząc z chmury pyłu, może ich być dwudziestu. — W bukłakach zostało niewiele wody, nie więcej niż kilka galonów. Mieli rzekę w zasięgu wzroku, więc nie musieli oszczędzać wody i napili się do syta. Była już śliska od alg i miała smak z grubsza wyprawionej skóry, ale Penrod z ulgą ugasił pragnienie. Resztę dali wielbłodom.

Potem nadmuchali puste bukłaki. Była to żmudna robota: trzymali worki między kolanami i dmuchali w dziobki, zaciskając otwory ręką pomiędzy kolejnymi wydechami. Zakorkowane bukłaki przytroczyli do grzbietów klęczących wielbłędów. Gdy wszystko było gotowe do wieczornej przeprawy, Jakub popatrzył na Penroda.

— Niemordowany Jakub będzie czuwać, a ty odpoczywaj.

Zbudzę cię o zachodzie słońca.

Penrod otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zrozumiał jego racje. Euforia minęła. On też wiedział, że Jakub jest prawie niemordowany. Bez słowa podał mu lornetkę, wyciągnął się w cieniu wielbłąda, owinał głowę szalem i prawie od razu zasnął.

— Efendi. — Zbudził go chrapliwy szept. Penrod spojrzał na Jakuba i poznał, że zanoszą się na kłopoty. Jakub okropnie zezował, jednym okiem wpatrywał się w jego twarz, a drugie obracało się jak szalone.

Penrod usiadł, zamykając dłoń na rękojeści webleya.

— O co chodzi?

— Jeźdźcy! Za nami. — Jakub wskazał na spaloną słońcem równinę, z której przybyli. Grupa jeźdźców była jeszcze daleko, ale zbliżała się szybko. — Są na naszym tropie.

Penrod wyrwał mu lornetkę i popatrzył na nadjeżdżających. Byli ubrani w dzibby. Naliczył dziewięciu. Jechali cwałem. Przywódcy pochylali się w siodłach, patrząc na grunt przed sobą.

— Zasadzili się na nas — powiedział Jakub. — Gołąb ich ostrzegł.

— Tak! Gołąb. — Penrod skoczył na równe nogi. Rzucił okiem na słońce wiszące nisko nad horyzontem. Dniennego światła zostało niewiele. Wielbłądy, chętne jak najszybciej dotrzeć do wody, zerwały się na pierwszy dotyk kija.

Penrod skoczył na siodło i zwrócił głowę wierzchowca ku dalekiej linii drzew. Uderzył kijem i zwierzę ruszyło galopem. Dopędził go huk dalekich strzałów, kula odbiła się rykoszetem od kamienistego podłoża w obłoczku pyłu i odłamków, na szczęście pięćdziesiąt jardów w lewo. Derwisze byli marnymi strzelcami, przedkładając miecze i włócznie nad karabiny. Uważali, że posługiwanie się bronią palną świadczy o zniewieścieniu. Prawdziwy wojownik zabija w walce wręcz, jeden na jednego.

Po paru sekundach pokonali łupkowy wał, który osłonił ich przed pościgiem. Penrod wiedział, że na krótki dystans wielbłądy nie mają szans z dobrymi końmi, ale popędzał swojego krzykiem „Ha, ha!”, okładaniem kijem i natarczywymi ruchami ciała. Jakub był lżejszy i jego wierzchowiec stopniowo wysunął się do przodu.

Gdy pędzili ku palmom, Penrod wypatrywał zauważonych wcześniej jeźdźców. Miał nadzieję, że pojechali w kierunku Omdurmanu i zostawili otwartą drogę do rzeki. Nawet najlepsi potrzebują szczęścia, pomyślał, a zaraz potem usłyszał płynące z tyłu ciche, podekscytowane krzyki. Rzucił okiem przez ramię i zobaczył dziewięciu jeźdźców na wale, z którego on i Jakub niedawno zjechali. Trzymali się w rozciągniętym szeregu, gnając co koń wyskoczy. Rozległy się kolejne strzały, znowu chybione. Palmowe gaje były coraz bliżej i Penrod poczuł się pewniej. Mieli wolną drogę do brzegu Nilu.

— Efendi, patrz na Jakuba, a nauczysz się jeździć na wielbłądzie. — Mały Dzaalin zaśmiał się hałaśliwie, rozbawiony swoim żartem. Jego wierzchowiec pędził wyciągniętym galopem i Penrod

chowal głowę w ramiona, gdy kamyki spod kopyt świszczą mu przy uszach.

Nagle huknęły kolejne strzały, znacznie głośniejsze i wyraźniejsze. Z gaju wypadła grupa jeźdźców, których widział wcześniej. Musieli się zatrzymać na odpoczynek wśród drzew, ale strzały pościgu postawiły ich w stan gotowości. Wszyscy nosili dzibby derwiszów i byli uzbrojeni we włócznie, miecze, puklerze i strzelby. Pędzili od skraju palmowych zarośli, żeby odciąć uciekinierom drogę do rzeki. Penrod zmrużył oczy, oceniając ich prędkość i odległość do miejsca, w którym przetną się ich szlaki.

Uda się, ale o włos, zdecydował. W tej chwili ciężka kula Boxer-Henry kaliber .45 trafiła w głowę wielbłąda Jakuba, zabijając go na miejscu. Zwierzę padło na pysk, długie nogi fiknęły w górze, gdy się przeturlało. Jakub wyleciał wysoko w powietrze i ciężko runął na ziemię.

Penrod wiedział, że albo skręcił kark, albo stracił przytomność. Nie śmiał się zatrzymać, żeby mu pomóc. Dostarczenie wiadomości było ważniejsze od życia jednego człowieka. Niemniej jednak ogarnęło go przerażenie na myśl o pozostawieniu Jakuba na łasce derwiszów. Wiedział, że dadzą go swoim kobietom do zabawy. Kobiety Hadendoa umiały wykastrować mężczyznę, a potem obedrzeć go ze skóry, nie pozwalając mu stracić przytomności, zmuszając do świadomego przeżywania każdego okrutnego cięcia.

— Jakubie! — ryknął z nikłą nadzieją i ku jego zdumieniu Dzaalin wstał chwiejnie i rozejrzał się półprzytomnie.

— Jakubie, szykuj się! — Penrod pochylił się w siodle. Jakub odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku jazdy, żeby złagodzić szarpnięcie. Często ćwiczyli tę sztuczkę, przygotowując się właśnie na takie chwile na polu bitwy lub na polowaniu. Jakub obejrzał się przez ramię, żeby ocenić właściwy moment. Gdy wielbłąd go mijał, złapał wyciągniętą rękę Penroda. Stracił oparcie pod nogami, ale Penrod wykorzystał uzyskany przez niego pęd, żeby poderwać go na zad wielbłąda.

Jakub objął go w pasie i przywarł do niego jak kleszcz do psiej skóry. Wielbłąd nawet nie zgubił kroku. Zyskawszy pewność, że Jakub jest bezpieczny, Penrod wykręcił się w siodle i zobaczył, że najbliższy derwisz galopuje zaledwie dwieście jardów z prawej strony. Jechał na wspaniałej kremowej klaczy z powiewającą złocistą grzywą. Choć nosił zielony turban emira, nie był siwobrodym starcem, lecz wojownikiem w kwiecie wieku. Przypominał lancę gotową do zadania ciosu, smukłą, gibką i morderczą.

— Abadanie Ridzi! — Penrod ze zdumieniem usłyszał, że emir zawołał do niego po imieniu. — Od El Obejd czekałem, aż wrócisz do Sudanu.

Penrod przypomniał go sobie. Takich twarzy się nie zapomina. Był to Osman Atalan, emir Bedżów.

— Myślałem, że cię zabiłem! — odkrzyknął. Emir ścigał go, gdy wynosił rannego Adama z czworoboku rozbitego przez szarżę derwiszów. Osman miał wówczas innego wierzchowca, nie tę śliczną klacz. Penrod dosiadał rosnącego, silnego wałacha, który, choć dźwigał podwójny ciężar, pozwolił się dopędzić dopiero po przebyciu połowy mili. Wtedy jeźdźcy jechali strzemię w strzemię i ramię w ramię, jak zawodnicy gry w polo, Osman ciął i rąbał wielką srebrzystą głównią, a Penrod parował i zadawał ciosy, dopóki nie nadeszła odpowiednia chwila. Zamarkował pchnięcie sztychem prosto w oko Osmana. Gdy derwisz poderwał puklerz, żeby przejąć cios, Penrod uderzył mocno pod dolną krawędzią tarczy. Czuł, że stal weszła głęboko. Osman wykręcił się w siodle, a jego wierzchowiec skoczył w bok, wyłamując się z tej próby siły.

Penrod obejrzał się przez ramię i zobaczył, że koń Osmana zwolnił do stępa, a jeździec garbi się i kołysze. Uznał, że został śmiertelnie ranny.

Ale najwyraźniej było inaczej.

— Przysięgam na miłość Proroka! — wrzasnął Osman — że dziś dam ci drugą szansę na pozbawienie mnie życia.

Jego ludzie jechali tuż za nim i Penrod wiedział, że są niebezpieczni jak wilcza wataha. Jeden z agadżerów wymierzył z karabinu i wypalił. Czarny dym buchnął z lufy i kula świsnęła w powietrzu tak blisko, że Penrod poczuł jej pocałunek na policzku. Odruchowo schował głowę w ramiona i usłyszał wołanie Osmana: — Nie strzelać! Tylko miecze. Ja się nim zajmę, bo splamił mój honor.

Penrod spojrział przed siebie, skupiając się na wyciśnięciu z wielbłąda jak największej prędkości, gdy pędził w kierunku gaju palmowego. Grzmot kopyt za plecami narastał do crescendo. Kiedy wpadli pomiędzy drzewa, zrozumiał, że się pomylił. Nie było to pole durry, lecz gęste zarośla palmiczek. Długie kolce mogły przebić skórę konia, ale nie wielbłąda. Skierował wierzchowca w największy gąszcz.

Niedaleko za plecami usłyszał tętent kopyt i chrapliwy oddech cwałującej klaczy, potem złocista głowa wsunęła się w jego pole widzenia.

— Masz okazję, Abadanie Ridzi! — krzyknął Osman i podjechał do wielbłąda. Penrod pochylił się, mierząc w głowę w turbanie, ale Osman zrobił unik i nie podniósł tarczy, uśmiechając się drwiąco sponad jej krawędzi. — Lis drugi raz nie przychodzi do tych samych sideł.

— Szybko się uczysz — przyznał Penrod. Przyjął na smukłą klingę wielki miecz krzyżowca i zmienił kąt uderzenia tak, że ominął jego głowę. Palcami stóp skierował wielbłąda w kolczasty gąszcz. Wielbłąd przedzierał się z trzaskiem, lecz Osman skręcił w bok, rezygnując z ataku, żeby nie okulać albo nie pokaleczyć klaczy.

Galopował wściekle wokół gąszczy, podczas gdy Penrod przedzierał się przez kolczaste gałęzie. Osman stracił co najmniej sto kroków, zanim wjechał na trop wielbłąda, i poganiał klacz, żeby się z nim zrównać.

Wprost przed sobą Penrod ujrzał szeroką wstęgę Nilu, lśniąca w gasnącym świetle. Wielbłąd przyspieszył na widok wody. Penrod trzymał szablę w prawej ręce, a kij i wodze w lewej.

— Jakubie, weź mój pistolet — rzucił szeptem. — Na miłość i miłosierdzie Allaha, tym razem postaraj się dobrze wycelować i trafić.

Jakub wyszarpnął rewolwer zza szarfy Penroda.

— Niezrównany Jakub jednym strzałem zabije tego fałszywego emira! — krzyknął, wymierzył starannie, zamknął oczy i dopiero wtedy pociągnął za spust.

Osman Atalan nie skulił się, gdy huknął strzał. Zbliżał się szybko, ale brzeg rzeki był już niedaleko. Emir nakierował klacz na zad wielbłąda i stanął w strzemiączkach z podniesionym mieczem.

Penrod zorientował się, że przeciwnik zmienił taktykę i zamierza okulać wielbłąda, przecinając mu pęcinę. Dźgnął kijem i mocno szarpnął wodze, napierając barkiem zwierzęcia na klacz. Osman stracił równowagę i nie zdążył zareagować, gdy wierzchowce się zderzyły. Wielbłąd był prawie dwa razy wyższy w kłębie od klaczy i cięższy. Klacz zatoczyła się i upadła na kolana, a impet rzucił Osmana na jej kark.

Emir, zwinny jak akrobata, utrzymał się w siodle i nie wypuścił miecza z ręki, ale zanim klacz się podniosła, wielbłąd znacznie zwiększył odległość. Osman wiedział, że nie dopędzi go przed brzegiem.

Penrod miał tylko chwilę na przyjrzenie się rzece. Brzeg opadał stromo z wysokości dziesięciu stóp, woda w dole była zielona i głęboka. Tutaj Nil miał co najmniej milę szerokości. Trzy duże wyspy trzciny i papirusu płynęły w statecznej procesji w kierunku leżącego na północy Chartumu. To wszystko zdążył zauważyć. Nie oglądając się na Osmana i gnających z tyłu agadżerów, skierował wielbłąda prosto na skraj skarpy.

— Na Boga! — wrzasnął Jakub. — Nie umiem pływać!

— Jeśli zostaniesz tutaj, kobiety derwiszów obetną ci jaja — przypomniał mu Penrod.

— Umiem pływać! — Jakub natychmiast zmienił zdanie.

— Rozsądny Jakub — burknął Penrod i gdy wielbłąd zawahał się, dźgnął go kijem w kark.

Zwierzę skoczyło tak gwałtownie, że Jakub wypuścił z ręki webleya, żeby się przytrzymać. Czując ssanie w dołku, uderzyli w wodę, wzbijając bryzgi powyżej wysokiej skarpy. Agadżerowie wstrzymali konie i kręcili się na brzegu, strzelając do dwóch ludzi miotających się na powierzchni.

— Nie strzelać! — krzyknął Osman ze złością i podbił lufę karabinu al-Nura. Interwencja nastąpiła za późno, bo kula wystrzelona przez któregoś z pozostałych trafiła wielbłąda i przetrąciła mu kręgosłup. Przerazone zwierzę rozpaczliwie biło wodę przednimi nogami, ale sparaliżowany zad kotwiczył je tak, że zataczało kółka, rycząc i sycząc ze strachu. Mimo okaleczenia unosiło się w wodzie, podtrzymywane przez nadmuchane bukłaki.

— Myślisz, że znowu wywiodłeś mnie w pole — krzyknął emir — ale ja jestem Osman Atalan i twoje życie należy do mnie!

Penrod usłyszał w jego tonie sztuczną brawurę. Domyślił się, że jak większość pustynnych Arabów Osman nie umie pływać. Na ładzie wykazywał się straceńczą odwagą, ale nigdy w życiu nie naraziłby siebie i swojej pięknej klaczy na atak dzinnów i potwornych nilowych krokodyli, które roiły się w tych wodach. Nie skoczyłby za swoim wrogiem w rwący, zielony nurt.

Jeszcze przez minutę Osman zmagął się z rycerskimi instynktami, z żarliwym pragnieniem walki jeden na jednego, z chęcią zemśczenia się mieczem. Potem uległ względom praktycznym i wymownie machnął prawą ręką.

— Zabić ich! — rozkazał.

Agadżerowie natychmiast zeskoczyli na ziemię i ustawili się wzdłuż brzegu, strzelając chaotycznie w podskakujące głowy. Penrod, który trzymał Jakuba za rękę, wciągnął go za żywą tarczę, jaką był miotający się wielbłąd. Płynęli szybko w dół rzeki i agadżerowie podążali za nimi, biegnąc brzegiem i nie przerywając ostrzału. Przez cały czas prąd znosił ich coraz dalej i odległość się zwiększała. Wreszcie przypadkowa kula trafiła wielbłąda w głowę i zwierzę przewaliło się w wodzie jak kłoda.

Penrod wyciągnął sztylet i odciął od siodła jeden bukłak.

— Trzymaj, dzielny Jakubie — wysapał i przerażony Arab złapał rzemienną pętlę. Penrod zostawił martwego wielbłąda i pociągnął swojego towarzysza ku środkowi rzeki.

Gdy zapadła szybka afrykańska noc, sylwetki derwiszów na brzegu rozmyły się i o ich obecności świadczyły tylko błyski ognia w lufach. Penrod płynął na boku, machając nogami w wodzie, wiosłując jedną ręką, a drugą za kark holując Jakuba, który kurczowo trzymał się skórzanego pęcherza i skamlał jak topione szczenię.

— Krokodyle w tej przeklętej rzece są tak wielkie, że mogą połknąć bawołu, z rogami i całą resztą. — Dzwoniły mu zęby i dławił się haustami wody.

— Nie będą zawracać sobie głowy małym, chudym Dżaali-nem — pocieszył go Penrod. Z ciemności przed nimi wyłonił się wielki ciemny kształt. Była to jedna z pływających wysp papyrusu i trzciny. Penrod przytrzymał się kępy, żeby wciągnąć siebie i Jakuba na wyspę. Zbite, splątane rośliny mogłyby utrzymać ciężar stada słoni. Ustępowały lekko pod ich stopami, gdy przesuwali się na drugą stronę tratwy, bliższą Chartumowi. Przykucnęli, odzyskując siły i patrząc na wschodni brzeg.

Penrod martwił się, że może przeoczyć miasto, i wpatrywał się w ciemność z takim natężeniem, że rozbolały go oczy. Przez chwilę był pewien, iż widzi brzydką kanciastą sylwetkę fortu Mukran, ale wzrok płatał mu figła. Kontur rozmył się, gdy na niego patrzył.

— Minięcie Chartumu po takiej podróży byłoby szczytem głupoty — mruknął i nagle jego wątpliwości zostały rozproszone.

Z dołu rzeki dobiegł huk armat. Penrod skoczył na równe nogi i wyjrzał spomiędzy łądyg papirusu. Zobaczył jaskrawe pomarańczowe błyski artylerii na omdurmańskim brzegu. Parę sekund później pociski wybuchły na wschodniej stronie rzeki, oświetlając nabrzeże Chartumu. Tym razem wyraźny zarys fortu Mukran nie budził wątpliwości. Za fortem wznosił się pałac konsula. Penrod uśmiechnął się ponuro, gdy wspomniał nocne bombardowanie prowadzone przez kanoniera, którego David Benbrook przezwiał Obląkanym Beduinem.

— Jeszcze nie wystrzelał całej amunicji? — powiedział i wyjaśnił Jakubowi, co zrobiją.

— Tutaj jesteśmy bezpieczni — sprzeciwił się Jakub. — Jeśli zostaniemy, za jakiś czas rzeka wyrzuci nas na brzeg i pójdziemy na nogach jak ludzie. Pływanie zostawmy legwanom.

— Trzciniowa tratwa nie dobieje do brzegu przed przełomem Szabluka, a tam zapewne rozpadnie się na kawałki. Dobrze wiesz, że przełom jest wylęgarnią najgorszych dzinnów rzecznych.

Po paru minutach namysłu Jakub oznajmił: — Dzielny Jakub nie lęka się dzinnów, ale popłynie do miasta, żeby nad tobą czuwać.

Ze skórzanego pęcherza uciekła połowa powietrza. Musieli go znowu nadmuchać, a potem czekali, aż pływająca wyspa znajdzie się w najdogodniejszym miejscu. W tym czasie już świecił księżyc i choć bombardowanie derwiszów ustało, wyraźnie widzieli linię dachów na tle nieba; dostrzegli nawet kilka niewielkich ognisk. Zsunęli się do wody. Jakub z minuty na minutę nabierał pewności siebie. Penrod pokazał mu, jak należy machać nogami i pchać bukłak w poprzek nurtu.

Wreszcie Penrod poczuł grunt pod nogami. Puścił pęcherz i wyciągnął Jakuba na brzeg.

— Nieustraszony Jakub rzuca wyzwanie wszystkim krokodylom i dzinnom w tej marnej strudze. — Jakub stanął dumnie na brzegu i zrobił obsceniczny gest w stronę Nilu.

— Jakub powinien zamknąć swoją nieustraszoną gębę — poradził Penrod — żeby któryś z egipskich wartowników nie wpakował mu kuli w wyzywający zadek. — Chciał wejść do miasta ukradkiem. Poza groźbą zastrzelenia przez strażę kontakt z żołnierzami spowodowałyby natychmiastowe odeskortowanie do generała Gordona. Sir Evelyn Baring wyraźnie rozkazał, że najpierw należy przekazać wiadomość Benbrookowi, a dopiero potem zameldować się u generała.

Przed jazdą pod El Obejd i po poniesionej klęsce Penrod spędził w Chartumie wiele miesięcy, więc szybko rozeznał się w układzie systemów obronnych i umocnień od strony rzeki. Trzymając się z dala od murów i kanału, okrążyli południowe przedmieścia. Starając się iść naprzeciwko kopulastego dachu konsulatu francuskiego, zbliżyli się do kanału. Po zyskaniu pewności, że droga jest wolna, przeszli na drugą stronę w wodzie sięgającej szyi.

Na brzegu położyli się w palmowym zagajniku, żeby przeczekać przejście patrolu. Penrod poczuł dym tureckiego tytoniu, zanim zobaczył żołnierzy. Szli niespiesznie po ścieżce, niedbale trzymając karabiny, dowodzeni przez palącego sierżanta. Zachowywali się typowo dla niezdyscyplinowanych egipskich żołnierzy.

Gdy tylko odeszli, Penrod i Jakub podbiegli do rowu kanalizacyjnego, który prowadził do zewnętrznych murów miasta. Szlam cuchnął ściekami, ale przeczolgali się przez przepust, minęli tylną ścianę francuskiego konsulatu i weszli do starego miasta. Penroda zaniepokoiło to, jak łatwo się przedostali. Możliwości obrony musiały sięgnąć granic wytrzymałości. Na początku oblężenia Gordon dowodził siedmioma tysiącami Egipcjan, ale choroby i dezercje zmniejszyły tę liczbę.

Spieszyli pustymi uliczkami, omijając rozdęte zwłoki ludzi i zwierząt. Nawet żarłoczne kruki i sępy nie nadały z pochłanianiem takiej obfitości pożywienia. Nozdrza atakował smród oblężonego miasta, fetor śmierci i rozkładu. Penrod słyszał, że nazywają to bukietem cholery.

Przystanął, żeby wyciągnąć z sakiewki kieszonkowy zegarek i podnieść go do ucha. Niestety czasomierz nie przetrzymał kąpieli w rzece. Penrod popatrzył na księżyc i osądził, że dawno minęła północ. Przez nikogo niezatrzymywani przemierzali puste ulice. Kiedy dotarli do bram konsulatu, dostrzegli w kilku oknach palące się światło. Wartownik spał, zwinięty w swojej budce jak pies. Karabin stał oparty o ścianę. Penrod podniósł broń, a potem kopniakiem obudził strażnika. Chwilę później doszło do długiej dyskusji z sierżantem, ale w końcu zdołał go przekonać, że jest brytyjskim oficerem pomimo arabskiego stroju i zapachu ścieków.

Wprowadzono go do gabinetu, gdzie konsul David Benbrook ubrany w aksamitną bonżurkę zajęty był lekturą. Zirytowany, że ktoś mu przeszkadza, zdjął z nosa okulary i wyszedł zza zasłanego papierami biurka.

— O co chodzi? — warknął.

— Dobry wieczór, panie konsulu. — Penrod zasalutował. — Przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze, ale właśnie przybyłem z Kairu z wiadomością od sir Evelyny Baringa.

— A niech mnie licho! — David otworzył szeroko oczy ze zdumienia. — Jest pan Anglikiem!

— Owszem, proszę pana. Miałem przyjemność pana poznać. Kapitan Ballantyne z Dziesiątego Pułku Huzarów.

— Ballantyne! Dobrze pana pamiętam. Prawdę mówiąc, wczoraj rozmawialiśmy o panu. Jak się pan miewa, drogi kolego? — Po wymianie uścisków dłoni David podniósł chusteczkę do nosa. — Najpierw proszę wziąć kąpiel i włożyć świeże ubranie. — Zadzwoił na służbę. — Nie jestem pewien, czy o tej porze jest gorąca woda — dodał przepaszająco — ale rozpalenie pod kotłem nie powinno zabrać dużo czasu.

Nie dość, że kąpiel była gorąca, to jeszcze David Benbrook przyniósł gościowi pół kostki perfumowanego paryskiego mydła i pożyczył mu brzytwę. W czasie gdy Penrod się golił, konsul siedział na komodzie po drugiej stronie wyłożonej kafelkami łazienki. Nie zwracając uwagi na nagość gościa, słuchał długiej, zawilej wiadomości i sporządzał notatki w małym, oprawionym w czerwoną skórę notesie. Potem wypytał o przygotowania generała Stewarta do ekspedycji ratunkowej.

— Jeszcze nie opuścił Wadi Halfy? — zawołał z trwogą. — Na Boga, mam nadzieję, że utrzymamy się do czasu jego przybycia.

David miał wzrost i budowę Penroda. Nawet buty pasowały jak zrobione na miarę. Penrod wprawdzie był szczuplejszy w pasie, ale poradził sobie, zakładając pasek i wpuszczając w spodnie świeżo wyprasowaną białą koszulę. David zaprowadził go z powrotem do gabinetu.

— Nie mogę zaproponować panu brandy do spłukania kurzu w gardle — powiedział, gdy służący postawił przed Penrodem piękny talerz z sewrskiej porcelany. Na talerzu leżał placuszek z durrey i gomółka koziego sera, nie większa niż koniuszek kciuka. — Skromny wikt, niestety.

— Bardzo pożywny, panie konsulu. — Penrod skubnął kawałek placka.

— Cholernie się cieszę z przekazanych informacji, Ballantyne. Od wielu miesięcy żyliśmy w nieświadomości. Ile czasu zabrała panu droga z Kairu?

— Wyjechałem dziewiętnastego zeszłego miesiąca.

— A niech mnie licho, niezłe tempo. — David pokiwał głową. — Proszę mi teraz powiedzieć, co piszą w londyńskich gazetach. — Był spragniony każdego strzępka informacji.

— Otwarcie piszą o złej krwi między generałem Gordonem i panem Gladstone'em, przy czym opinia publiczna opowiada się po stronie Gordona. Chcą, żeby odbić Chartum, uratować generała i nauczyć manier tych dzikusów.

— A jakie jest pańskie zdanie, kapitanie?

— Jako oficer w służbie czynnej nie pozwalam sobie na wyrażanie prywatnej opinii na takie tematy.

— Bardzo mądrze. — David uśmiechnął się. — Ale czy jako członek społeczeństwa myśli pan, że premier okazał brak zdecydowania?

— Mam mówić szczerze, panie konsulu? — zapytał Penrod po chwili wahania.

— O to właśnie proszę. Wszystko, co pan powie, zostanie między nami. Ma pan moje słowo.

— Myślę, że pan Gladstone nie okazał ani tchórzostwa, ani niezdecydowania, nie godząc się na wysłanie armii w górę rzeki na ratunek generałowi Gordonowi, jak wierzy znaczna część brytyjskiego społeczeństwa. Generał powinien wsiąść na pokład parowca i wrócić do domu. Jestem przekonany, że premier nie uznał za zasadne angażowanie kraju w kosztowną i ryzykowną operację wojskową w Sudanie wyłącznie w celu ratowania honoru jednego człowieka.

David odetchnął głęboko.

— A niech mnie! Prosiłem o szczerą opinię i dostałem ją! Ale proszę mi powiedzieć, Ballantyne, czy nie sądzi pan, że ktoś z Whitehall żywi osobistą urazę do krnąbrnego oficera, którego pochopne decyzje ściągnęły na rząd wielkie odium?

— Byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej. Dowodem jest wiadomość od sir Evelyną.

David potraktował Penroda z całą powagą. To nie malowany oficerek, pomyślał, ale chłopak z głową na karku.

— A zatem byłby pan przeciwny wysłaniu Wolseleya na odsiecz?

— O nie! — Penrod parsknął śmiechem. — Jestem żołnierzem, a żołnierze mają się świetnie na wojnie. Mam nadzieję, że znajdę się w samym środku nadchodzącej zawieruchy, jeśli nawet nie ma ona większego sensu, co jest oczywiste, i jeśli sprawy przybiorą zły obrót, co jest wielce prawdopodobne.

David też się roześmiał.

— Wojna rzadko ma sens — zgodził się. — Miło to słyszeć z ust wojskowego. Ale dlaczego Gladstone zmienił zdanie i zgodził się wysłać wojsko?

— Wola narodu jest siłą, przed którą Gladstone zawsze ustępował. Ze słów sir Evelyną Baringa wywnioskowałem, że doradcy przekonali premiera, iż jedna brygada w zupełności wystarczy. Dopiero po ogłoszeniu postanowienia narodowi Ministerstwo Wojny wystąpiło z prośbą o zwiększenie sił ekspedycyjnych. Wtedy było już za późno na zmianę decyzji i powiększenie odsieczy z dywizji do dziesięciu tysięcy ludzi.

Godzina mijała za godziną, gdy rozmawiali, aż znów zadzwonił stojący w kącie zegar szafkowy. David spojrzął w zdumieniu.

— Druga, na moją duszę! Musi pan przespać się parę godzin przed spotkaniem z Gordonem. Domyślam się, że będzie miało gorący przebieg.

Służący czekali, ale David odprawił ich i osobiście zaprowadził Penroda do jednego z pokoi gościnnych. Noc była taka parna, a on taki zmęczony, że nie zawracał sobie głowy wkładaniem grubej flanelowej koszuli nocnej, którą dał mu gospodarz. Nagi rzucił się na łóżko, wsunął sztylet pod poduszkę i nakrył się prześcieradłem. Potem zgasł niczym świeca na silnym wietrze.

Zbudził się, nie zmieniając oddechu, i natychmiast zrozumiał, że nie jest sam. Walcząc z sennością, próbował przypomnieć sobie, gdzie jest. Spod rżęs zobaczył, że zasłony są odciągnięte, a światło w pokoju przygaszone. Była jeszcze noc. Bardzo powoli wsunął rękę pod poduszkę, zamknął palce na rękojeści sztyletu. Cekał niczym zwinięta żmija, gotów do uderzenia.

Usłyszał szmer kroków przy łóżku i ciche, nerwowe kasznięcie. Dźwięk pozwolił mu określić kierunek. Wyskoczył z łóżka, przewrócił intruza na podłogę, jedną ręką złapał go za gardło, a drugą

zagroził sztyletem.

— Spróbuj się ruszyć, a zabiję — wyszeptał dziko po arabsku. — Kim jesteś?

Nagle zorientował się, że jeniec pachnie pączkami róży, a jego szyja jest jedwabście gładka i ciepła. Ciało pod nim, odziane w kaftanik i spódnicę z tafty, miało rozkoszne wypukłości i wklęśnięcia. Skoczył na równe nogi. Ze zdumieniem i konsternacją spojrzął na swojego jeńca. Po paru sekundach zrozumiał, że napadł na młodą kobietę o lśniących blond włosach. Co gorsza, gdy usiadła na podłodze ze spódnicami w nieładzie, jej oczy znalazły się na wysokości jego nagiego krocza i wpatrywały się akurat w tę część anatomii, którą nieczęsto wystawiał na widok publiczny.

Nie wypuszczając sztyletu z ręki, odwrócił się i ściągnął prześcieradło z łóżka. Nim zdążył się nim owinać, uświadomił sobie, że prezentuje młodej kobiecie swoją niepolityczną stronę. Z pośpiechu stał się niezdarły, ale w końcu, przyzwyczajony zakryty, stanął twarzą do niej.

— Umieram ze wstydu, panno Benbrook. Nie miałem pojęcia, kto to taki. Przestraszyłem się.

Rumieniec wracał na blade policzki dziewczyny, ale wciąż dyszała jak po długim biegu. Piersi podnoszące się pod stanikiem sukni przykuwały jego uwagę.

— Skoro pan się wystraszył, to proszę wyobrazić sobie, jak bardzo ja się bałam. Kim pan jest i co pan robi... — Poderwała rękę do ust, gdy rozpoznała go pomimo ściętych włosów i braku zarostu. — Kapitan Ballantyne!

— Do usług, szanowna pani. — Ukłon Penroda wypadł niezbyt elegancko, bo wciąż miał sztylet w rękę i musiał przytrzymać prześcieradło. Dziewczyna podniosła się z podłogi, jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, potem uciekła z pokoju. Popatrzył za nią. Zapomniał, jaka jest ładna, a zmieszanie i przestach wcale nie umniejszyły jej urody. Wyszczерzył zęby w szerokim uśmiechu. — Choćby z tego powodu warto było przejechać szmat drogi — mruknął.

Pogwizdywał, goląc się i ubierając, potem mrugnął do siebie w lustrze.

— Może następnym razem prędzej mnie pozna, bo będzie miała znak rozpoznawczy. — Zszedł na dół.

David już siedział przy stole w jadalni. Był sam, pomijając odzianych na białą służących.

— Proszę. — Nałożył na talerz Penroda łyżkę bladozielonej papki. — Smakuje ohydnie, ale najwyższe autorytety orzekły, że jest bardzo pożywne.

Penrod zerknął podejrzliwie na nieokreśloną substancję. Przypominała zielony ser twarogowy.

— Co to jest?

— Swego rodzaju twaróg z papirusu i wodorostów, zrobiony przez moje córki. Zjadamy tego dużo. Prawdę mówiąc, odkąd oficjalne racje zostały zmniejszone do jednego kubka ziarna durry na dzień, jemy niewiele poza tym.

Penrod ostrożnie wziął trochę papki do ust.

— Wyrazy uznania dla córek. Bardzo smaczne. — Starał się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

— Naprawdę nie jest takie złe. Proszę spróbować z sosem worcester albo gentleman's relish. Szybko pan przywyknie. Zaraz pójdziemy do generała Gordona.

Generał Gordon odwrócił się od okna, przez które patrzył na stanowiska nieprzyjaciela po drugiej stronie rzeki. Przeszył salutującego Penroda swoim niepokojącym, niebieskim spojrzeniem.

— Spocznij, kapitanie. Zdaje się, że odbył pan podróż z Kairu w rekordowo krótkim czasie.

Skąd to wie? — zastanowił się Penrod, a potem go olśniło. To efekt przechwałek nieustraszonego Jakuba.

Generał Gordon w milczeniu wysłuchiwał meldunku i wiadomości od sir Evelyn, a kiedy zapadła cisza, nie kwapił się z komentarzem. Przez jakiś czas spacerował po długim pokoju, wreszcie zatrzymał się przed mapą Sudanu w dużej skali, rozłożoną na stole pod oknami. Z okien roztaczał się

niczym nieskrępowany widok: podmuch szrapnela wystrzelonego przez artylerię derwiszów wy-tłukł szyby. Gordon nie poczynił żadnych kroków, żeby ufortyfikować kwaterę albo w jakiś inny sposób chronić swoją osobę. Wydawało się, że interesuje go wyłącznie bezpieczeństwo miasta i dobro jego mieszkańców.

— Przypuszczam, że powinniśmy być wdzięczni premierowi za ruszenie na ratunek mieszkańcom, choć o kilka miesięcy za późno — zauważył. — Jediną pociechą jest fakt, że teraz mam w sztabie przynajmniej jednego brytyjskiego oficera.

Penrod poczuł na kręgosłupie pierwszy lodowaty podmuch niepokoju.

— Podlegam rozkazom generała Stewarta. Mam wrócić do Wadi Halfy natychmiast po przekazaniu wiadomości. Zostałem odkomenderowany do korpusu wielbłądów z rozkazem przeprowadzenia kolumny przez pętlę Nilu do Metemmy.

Po chwili namysłu Gordon pokręcił głową.

— Jeśli generał Stewart jeszcze nie opuścił Wadi Halfy, miną miesiące, zanim to zrobi. Tutaj będzie pan bardziej przydatny, niż siedząc tam z założonymi rękami. Poza tym na pewno nie brakuje wykwalifikowanych przewodników do przeprowadzenia korpusu.

Kiedy kolumna odsieczy dotrze do Abu Hamed, rozważę pańską sytuację. Tymczasem jest pan potrzebny tutaj.

Powiedział to tak kategorycznie, że Penrod zrozumiał, iż wszelka dyskusja jest bezcelowa. Jego marzenia o działaniu i chwale legły w gruzach. Zamiast jazdy do miasta na czele korpusu po wywalczeniu sobie drogi z Metemmy, będzie tkwił w szarej monotonii oblężenia.

Muszę czekać na właściwą chwilę, zdecydował i dopilnował, żeby wyrazem twarzy nie zdradzić swoich prawdziwych uczuć.

— Służba pod pańską komendą będzie dla mnie zaszczytem, generale, ale byłbym wdzięczny za rozkazy na piśmie.

— Dostanie je pan — obiecał Gordon. — Jednakże teraz muszę wprowadzić pana w sytuację i zaznajomić z najbardziej palącymi, najważniejszymi problemami. Niech pan siada, Ballantyne.

Gordon mówił szybko, niemal gorączkowo, przeskakując z tematu na temat, paląc papierosa za papierosem ze srebrnej papierośnicy. Penrod powoli zaczął rozumieć ogromne napięcie, w jakim pracował ten człowiek, i straszliwą samotność jako dowodzącego. Domyślił się, że przed jego przybyciem nie było tutaj nikogo zaufanego, z kim Gordon mógłby podzielić się obowiązkami. Wprawdzie nie dorównywał mu rangą, ale był przynajmniej oficerem z doborowego liniowego brytyjskiego pułku i z tego powodu wart był tyle, ile dau z egipskimi oficerami sztabowymi na pokładzie.

— Widzi pan, Ballantyne, nie mam na kogo przenieść ważnych obowiązków. Codziennie borykam się nie tylko z niekompetencją egipskich oficerów, ale również z brakiem skrupułów, moralności czy poczucia odpowiedzialności. Z premedytacją nie wykonują rozkazów, jeśli uważają, że unikną konsekwencji, zaniedbują pracę i większość czasu spędzają z konkubinami. Jeśli ich nie popędzę, rzadko wizytują stanowiska obronne, gdzie żołnierze śpią na posterunkach. Jestem świadom, że spiskują i intrygują z derwiszami w nadziei na własne korzyści, kiedy miasto padnie, co według nich nieuchronnie nastąpi. Okradają swoich podwładnych, a żołnierze z kolei okradają mieszkańców. Podejrzewam, że ze spichlerza giną wielkie ilości durry. Kobiety i dzieci w mieście plują na mnie, kiedy jestem zmuszony znowu zmniejszać racje. Obecnie wydajemy po kubku ziarna na osobę. — Zapalił następnego papierosa i płomyk zapałki zamrugał w jego złożonych dłoniach. Szybko wydmuchnął dym, po czym uśmiechnął się zimno do Penroda. — A więc może pan wyobrazić sobie, że pańska pomoc będzie mile widziana. Jest tym cenniejsza, że dobrze zna pan miasto.

— Oczywiście, może pan na mnie polegać, panie generale. — Penrod był pod wrażeniem zimnego, niemal mesjanicznego spojrzenia, ale zastanawiał się, czy Gordon nie zbliża się do granic wytrzymałości.

— Na początek zamierzam powierzyć panu zadanie najwyższej wagi. Dotąd major al-Faroque odpowiadał za przechowywanie i dystrybucję żywności. Jego starania w najlepszym wypadku uznać można za żałośnie nieadekwatne. Podejrzewam, choć nie mogę tego udowodnić, że wie coś o brakującym ziarnie. Pan go zastąpi. Proszę jak najszybciej zrobić inwentaryzację wszystkich zapasów. Na mocy prawa stanu wojennego może pan dokonywać aresztowań oraz rekwirować wszelkie potrzebne rzeczy. Wszystkie wykroczenia należy karać z nadzwyczajną surowością. Może pan, nie pytając mnie o zdanie, skazać na chłostę albo na rozstrzelanie szabrowników i spekulantów. Żołnierze i cywile muszą pogodzić się z nieprzyjemnymi prawami. Da im pan do zrozumienia, że alternatywa jest jeszcze gorsza. Czy to rozumiałe?

— Oczywiście, panie generale.

— Zna pan niejakiego Rydera Courtneya?

— Ze słyszenia.

— Jest kupcem z tego miasta. Musiałem zarekwirować mu ładunek durry. Będąc interesownym handlarzem bez krzty altruizmu, żywi do mnie urazę. Ma w mieście własny kompleks magazynów i zachowuje się tak, jakby nie podlegał żadnej władzy. Niech pan mu pokaże, gdzie jest jego miejsce.

— Rozumiem, generale — odparł Penrod i pomyślał z przekąsem: A zatem już nie jestem huzarem, lecz policjantem i kwatermistrzem.

Gordon spostrzegł jego reakcję, ale ciągnął niewzruszenie: — Jest także właścicielem dużego rzeczno-parowca. Obecnie statek jest w remoncie. Kiedy znów będzie sprawny, zostanie wykorzystany do przyszłych operacji wojskowych i być może do ewakuacji mieszkańców, gdyby kolumna Stewarta nie przybyła w porę.

Courtney ma również konie i wielbłądy, a nic nie będzie dla nas ważniejsze, gdy derwisze zacisną pętlę. — Gordon wstał, dając znać, że spotkanie dobiegło końca. — Proszę wy badać, jakie ma plany i co wie o brakującym ziarnie, Ballantyne. Potem złoży pan raport.

Penrod znał reputację Rydera Courtneya; mówił o nim David Benbrook, a wspomniał nawet sir Evelyn Baring. Wyglądało na to, że jest rzutkim człowiekiem o dużych wpływach. Penrod uznał, że jeśli chce wykonać rozkazy Gordona, to pukanie do głównej bramy kompleksu Courtneya, aby przedstawić siebie i swoje zamiary, przyniesie niewiele dobrego. Najpierw należało przeprowadzić rozpoznanie.

Wyszedł z ogrodów pałacowych przez nadrzeczną bramę. Nie była strzeżona, co zakonotował w pamięci. Szedł szybko nabrzeżem, żeby wyprzedzić wieści o swoim przybyciu. Wartownicy na pierwszej reducie wylegiwali się, dając odpocząć zmęczonym kończynom i oczom. Penrod słyszał o karzącej sprawiedliwości Gordona, ale sam nie miał zamiaru przyspieszać masakry i dziesiątkować egipskiego garnizonu, dlatego tylko trzcinką i kopniakami przypomniał im o obowiązkach.

Szedł wzdłuż linii umocnień i stanowisk artylerii, urządzonych od czasu jego ostatniej wizyty w mieście. Widać było, że powstawały pod żołnierskim okiem generała Gordona, bo uwzględniały ukształtowanie terenu. Penrod przeprowadził inspekcję stanowisk ogniowych i choć nie był artylerzystą, zauważył braki w obsłudze i utrzymaniu broni. Niedostatek amunicji rzucał się w oczy. Od obsługujących działa dowiedział się, że nie wolno rozpoczynać ognia bez rozkazu, nawet gdyby chodziło o wystrzelenie jednego pocisku. Derwisze na drugim brzegu rzeki nie podlegali takim ograniczeniom i wieczorem rozpoczynali kanonadę, entuzjazmem nadrabiając braki w celności. W środku dnia, gdy obie strony szukały ucieczki przed żarem słońca, zwykle panował spokój.

Penrod szybko minął port, gdzie cumował biały parowiec, a na kamiennym nabrzeżu leżały części wyciągnięte z maszynowni. Kadłub i nadbudówki statku były podziurawione przez odłamki. Brygada arabskich robotników łatała dziury i malowała naprawione miejsca. Nadzorujący ich biały mechanik nie szczędził przekleństw, które niosły się nad wodą, z wyraźnym akcentem doków w Glasgow. Było jasne, że miną tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim parowiec gotów będzie do ruszenia w drogę. Penrod szedł dalej brzegiem Nilu Błękitnego, zmierzając w stronę fortu Burri i arsenału.

Gdy kluczył uliczkami niemal zatarasowanymi przez hałdy śmieci i nieczystości, brązowe twarze spoglądały na niego z okien i rozklekotanych balkonów, które niemal spotykały się nad głową. Kobiety podnosiły nagie niemowlęta, żeby mógł zobaczyć wydęte z głodu brzuszki, wybroczyny skorbutu i chude jak patyki kończyny.

— Umieramy z głodu, efendi. Daj nam jedzenie — błagały. Ich krzyki ściągnęły żebraków, którzy wypełzali z brudnych zaułków i szarpali go za ubranie. Rozgonił ich paroma smagnięciami trzcinką.

Armaty na murach fortu Burri ustawione były w jednej linii z fortyfikacjami derwiszów na północnym brzegu Nilu Błękitnego. Penrod przystanął, żeby się im przyjrzeć, i stwierdził, że nieprzyjaciel nie przejmował się zbytnio środkami ostrożności. Nawet gołym okiem dostrzegł ludzi chodzących po otwartej przestrzeni. Kobiety robiły pranie nad rzeką i rozkładały rzeczy do wyschnięcia pod nosem armat fortu. Mahdyści musieli wiedzieć, jak bardzo uszczuplony jest zapas amunicji Gordona.

Za fortem Burri stały niskie, brzydkie blokhauzy arsenału i magazynu amunicji. Generał Gordon używał ich jako spichlerzy. Przy wejściach i przy każdej skarpie, która podpierała kruszące się mury, stali wartownicy. Ze słów Gordona wynikało, że strażę i naprawa ścian nic nie znaczą wobec pomysłowości rabusiów — Rydera Courtneya, egipskich oficerów albo kogoś innego, kto był winny grabieży w spichlerzu. Penrod uznał, że jeszcze nie pora na wizytę w arsenale czy przeprowadzanie kontroli magazynów. Na to czas będzie później. Ruszył w kierunku rozległego kompleksu Rydera Courtneya, leżącego blisko kanału, który bronił miasta przed napaścią z południowej pustyni.

Na brzegach kanału przed murami kompleksu panował niezwykły ruch. To go zaintrygowało, dlatego skręcił z drogi na ścieżkę biegnącą wzdłuż wału. Z początku pomyślał, że ludzie w kanale budują jakieś umocnienia, potem spostrzegł kobiety z tobołkami na głowach, idące do tylnej bramy.

Podszedł bliżej i zobaczył, że kanał blokuje wielka wyspa wodorostów. Była podobna do tej, na której wczoraj razem z Jakubem uciekli Osmanowi Atalanowi. Tuziny Arabów ubranych tylko w przepaski biodrowe, uzbrojonych w kosy i sierpy, wycinały papirus i rzeczne wodorosty, a następnie wiązały je w pęki, które zabierały kobiety.

Do licha, co oni robią? Penrod był zaintrygowany. I jak trzcina znalazła się w kanale, akurat przy kompleksie Courtneya? Odpowiedź nasunęła się sama. Oczywiście! Musieli pochwycić ją na rzece i za pomocą lin z hakami wciągnąć do kanału. Uprzedzano mnie, że Courtney jest zaradny.

Robotnicy z szacunkiem pozdrawiali Penroda, prosząc Allaha o błogosławieństwo dla niego. Robili zdumione miny, gdy odpowiadał płynnie w potocznym języku arabskim. Choć nie miał munduru, wiedzieli, że jest Abadanem Ridzim, który wymknął się Osmanowi Atalanowi i wszystkim jego słynnym agadżerom, żeby dotrzeć do Chartumu. Jakub dopilnował, żeby całe miasto usłyszało o ich heroicznym wyczynie.

Penrod, przez nikogo niezatrzymywany, wszedł za kobietami przez tylną bramę na teren kompleksu. Znalazł się na wielkim ogrodzonym podwórzu, gdzie wrzała praca. Kobiety spiętrzyły tobołki na środku placu i wróciły nad kanał po następną partię. Inne siedziały w grupach i gawędziły, wybierając łodygi i układając je w stosy. Zwiędnięte i uschnięte części roślin wyrzucały, zostawiając tylko zielone i soczyste. Sortowały je pod względem gatunków. Największą stertę

tworzył papirus, ale były również hiacynty wodne oraz trzy rodzaje trawy i trzciny. Wyglądało na to, że najcenniejsze są grzybienie, bo w przeciwieństwie do papirusu i hiacyntów kobiety nie kładły ich na ziemi, tylko starannie pakowały do worków, które zabierała następna grupa. Sudanki pracowały w długim szeregu przy stępach, w których zwykle rozdrabniały durrę na mąkę. Unisono uderzały ciężkimi drewnianymi tłuczkami, rozbijając na miazgę lilie wodne z odrobiną wody. Śpiewały, kołysząc się w rytm podnoszonych i opuszczanych stęporów.

Kiedy zawartość stępy przemieniała się w gęstą zieloną pastę, następna grupa kobiet przekładała ją do czarnych glinianych garnków i wносиła przez bramę na sąsiednie podwórze. Penrod, zaciekawiony, poszedł za nimi. Gdy tylko minął bramę, zatrzymano go po raz pierwszy.

— Kim pan jest i co tutaj robi? — usłyszał piskliwy głos.

Stały przed nim dwie małe kobietki, których głowy sięgały nie wyżej niż sprzączka jego pasa. Jedna była śniada, druga złocistą blondynką. Wyższa miała oczy koloru płynnego toffi, a niższa jasnoniebieskie jak płatki petunii. Obie patrzyły na niego pytająco, surowo ściągając usta. Wyższa wojowniczo podparła się pod boki.

Penrod zapanował nad zdziwieniem, z galanterią zdjął kapelusz i ukłonił się nisko.

— Błagam panie o wybaczenie, nie wiedziałem, że nie wolno tu wchodzić. Przyjmijcie, proszę, moje przeprosiny i pozwólcie, że się przedstawię. Jestem kapitan Penrod Ballantyne z Dziesiątego Pułku Huzarów Jej Królewskiej Mości, obecnie w sztabie generała Gordona.

Miny dziewczynek złagodniały. Nie były przyzwyczajone do traktowania ich w taki sposób. Co więcej, jak większość kobiet nie pozostały obojętne na urok Penroda.

— Ja nazywam się Saffron Benbrook, proszę pana — powiedziała wyższa i dygnęła. — Ale może mi pan mówić Saffy.

— Do usług, panienko Saffy.

— A ja jestem Amber Benbrook, choć niektórzy nazywają mnie Liliputem — oznajmiła blondynka. — Nie podoba mi się to przezwisko, ale chyba jestem trochę niższa od siostry.

— Najzupełniej się z panią zgadzam. Nie jest to imię odpowiednie dla takiej ślicznej młodej damy. Jeśli wolno, ja będę zwracać się do pani per panienko Amber.

— Miło mi. — Amber odpowiedziała dygiem na jego ukłon, a kiedy się wyprostowała, stwierdziła, że po raz pierwszy w życiu jest zakochana. Wrażenie ciepła i ucisku w piersi było niepokojące, ale całkiem przyjemne.

— Wiem, kim pan jest — powiedziała z leciutką zadyszka.

— Naprawdę? A skąd?

— Słyszałam, jak Ryder mówił tacie o panu.

— Tata, jak sądzę, jest David Benbrook. A kim jest Ryder?

— Ryder Courtney. Powiedział, że ma pan najpiękniejsze wąsy w świecie chrześcijańskim. Co się z nimi stało?

— Ha! — Penrod poczuł chłód na policzkach. — Musi być słynnym komikiem.

— Jest wielkim myśliwym i bardzo, bardzo mądrym dżentelmenem. — Saffron stanęła w obronie Courtneya. — Zna nazwy wszystkich zwierząt i ptaków na świecie... łacińskie nazwy — dodała uroczyście.

Amber z determinacją spróbowała zwrócić uwagę Penroda z powrotem na siebie.

— Ryder mówi, że wszystkie panie uważają pana za szykownego galanta — powiedziała. Penrod miał zadowoloną minę, dopóki nie dodała niewinnie: — I że pan całym sercem zgadza się z tą opinią. Natychmiast zmienił temat.

— Kto tutaj rządzi?

— My — odparły chórem.

— Co robicie? To wszystko wygląda bardzo interesująco.

— Robimy twaróg roślinny, żeby nakarmić ludzi.

— Byłbym wdzięczny, gdybyście wyjaśniły mi proces produkcji.

Bliźniaczki skwapliwie skorzystały z zaproszenia i rywalizowały o jego względy, przerywając i przecząc jedna drugiej przy każdej okazji. Złapały go za ręce i pociągnęły w głąb podwórza.

— Po zmiżdżeniu soczystych liści należy je przefiltrować.

— Żeby pozbyć się miększu i włókien. — Nie było już mowy o ochronie tajemnicy produkcji.

— Wyciskamy je przez perkal z magazynu Rydera.

— Wtedy zostaje to, co najlepsze.

Dwie Sudanki wylewały zieloną papkę na kawałki drukowanej tkaniny, następnie zwijały ją i wyżymały. Sok ściekał do wielkich żeliwnych garnków, które stały na trójnogach nad dymiącymi ogniskami.

— Mierzmy temperaturę... — Saffron z powagą potrząsnęła wielkim termometrem.

— ...i kiedy osiąga siedemdziesiąt stopni — wtrąciła Amber — białka ścinają się...

— Ja mówię — warknęła Saffron wściekle. — Jestem starsza.

— Tylko o godzinę — odpaliła Amber i dokończyła wyjaśnienia: — Wtedy odcedzamy grudki, robimy z nich cegiełki i suszymy na słońcu. — Wskazała triumfalnie długie stoły na kozłach, wypełnione rzędami prostokątnych bloczków. Penrod przypomniał sobie śniadanie i słowa Davida.

— Nazywamy to zielonym ciastem. Może pan spróbować. — Amber odłamała kawałek i stanęła na palcach, żeby włożyć mu go do ust.

— Przepyszne! — zawołał Penrod i mężnie przełknął kęs.

— Proszę się poczęstować.

— Dobrze, ale na razie wystarczy. Wasz ojciec mówi, że jeszcze smaczniejsze jest z sosem worcester — powiedział spieszenie, żeby wymigać się od zjedzenia następnego kawałka, który już sunął w górę w brudnej rączce Amber. — Ile zielonego ciasta wyrabiacie dziennie?

— Za mało, żeby nakarmić wszystkich. Wystarcza tylko dla nas i dla naszych ludzi.

Nie ulegało wątpliwości, że zielone ciasto jest pożywne. W przeciwieństwie do reszty mieszkańców ludzie pracujący na terenie kompleksu nie wykazywali oznak niedożywienia, a bliźniaczki wręcz kwitły. Potem Penrod przypomniał sobie poranne, krótkie spotkanie z ich starszą siostrą. Jej też niczego nie brakowało. Uśmiechnął się na to wspomnienie, a dziewczynki uznały jego reakcję za znak aprobaty i odpowiedziały uśmiechami.

Penrod uświadomił sobie, że zyskał wiernych sprzymierzeńców w warowni Courtneya.

— Jesteście naprawdę mądrymi młodymi damami — powiedział. — Będę zobowiązany, jeśli pokażecie mi resztę kompleksu. Słyszałem, że są tutaj fascynujące rzeczy.

— Chce pan zobaczyć zwierzęta? — zapytała Amber.

— Małpy? — podsunęła Saffron.

— Bongo?

— Wszystko — zgodził się Penrod. — Chciałbym zobaczyć wszystko.

Wkrótce stało się jasne, że bliźniaczki są tutaj lubiane i mają do dyspozycji cały kompleks Courtneya. Były zaprzyjaźnione z Alim, dozorcą zwierząt, który na ich widok z trudem powstrzymywał się od radosnego uśmiechu. Razem prowadzili Penroda od klatki do klatki, nazywając zwierzęta po imieniu i karmiąc je z ręki, kiedy podchodziły do kraty.

— Z początku nie lubiły zielonego ciasta, ale teraz je uwielbiają. Proszę spojrzeć, jak łapczywie jedzą — zauważyła Amber.

— A durra? Też ją lubią? — Penrod zarzucił przynętę.

— Och, na pewno — odparła Saffron — ale ziarna nie wystarcza dla ludzi, co tu mówić o zwierzętach.

— Dostajemy tylko kubek dziennie — potwierdziła Amber.

— Słyszałem, że wasz przyjaciel Ryder miał mnóstwo durry i teraz ją sprzedaje.

— A tak! Miał całą barkę. Ale generał Gordon zabrał mu wszystko. Ryder był wściekły.

Penrod ucieszył się, bo niewinna paplanina dzieci gwarantowała, że na przekór podejrzeniom generała Courtney nie jest winny kradzieży ziarna z arsenału. Nie miał powodu, żeby darzyć sympatią tego człowieka, zwłaszcza po uwadze na temat wąsów i mniemania o sobie, ale Courtney był Anglikiem. Penrod czułby niesmak, gdyby podejrzenia Gordona zyskały potwierdzenie.

— Bardzo chciałbym poznać waszego przyjaciela Rydera — poprosił nieśmiało. — Przedstawicie mnie?

— Oczywiście! Proszę z nami.

Dziewczynki wyciągnęły go z menażerii i poprowadziły przez wewnętrzne podwórze. Puściły jego ręce i popędziły do niewielkich drzwi, otworzyły je i wpadły do środka. Penrod wszedł zaraz za nimi i z progu szybko zlustrował pomieszczenie.

Najwyraźniej było to biuro i zarazem prywatne mieszkanie właściciela kompleksu. Na ścianie naprzeciwko wejścia wisiały dwa ogromne ciosy, największe, jakie Penrod dotąd widział. Pozostałe ściany były obwieszane pięknie tkanymi perskimi kobiercami i tuzinami pożółkłych fotografii w ciemnych drewnianych ramkach. Na podłodze leżały dywany, a na wpół przysłonięta wnęka skrywała łóżko zaścielone lamparcimi skórą, złotymi w czarne rozetki. Krzesła i masywne biurko zrobiono z polerowanego teku. Na półkach stały rzędy oprawionych w skórę dzienników i naukowych książek poświęconych florze i faunie. Na stojaku pomiędzy grubymi, żółtymi ciosami umieszczono strzelby i odprzodowe karabiny. Oczy Penroda prześliznęły się po tym nieporządnym, męskim mieszkaniu i zatrzymały na parze stojącej na wprost drzwi. Nawet rozhukane bliźniaczki zamarły z szoku.

Mężczyzna i kobieta stali spleceni w namiętym uścisku, nieświadomi bożego świata. Płaczliwe oskarżenie Saffron przerwało ciszę: — Ona go całuje! Becky całuje Rydera w usta!

Ryder Courtney i Rebecca Benbrook odskoczyli od siebie jak winowajcy przyłapani na gorącym uczynku, potem wlepili oczy w grupę stojącą przed drzwiami. Rebecca zrobiła się biała jak kreda i Penrod miał wrażenie, że jej oczy wypełniają całą twarz, gdy na niego patrzyła. Zasalutował z przesadną elegancją.

— Prędko się spotykamy, panno Benbrook.

Rebecca opuściła oczy i teraz jej policzki stały się szkarłatne niczym rozżarzone węgle. Z ogromnym wysiłkiem wzięła się w garść. Nie patrząc na mężczyzn, chwyciła siostry za ręce.

— Niedobre dzieci! Ile razy trzeba wam powtarzać, że należy pukać przed wejściem do pokoju? Wyciągnęła je za drzwi. Głos Saffron cichł w dali: — Całowałaś go! Nienawidzę cię. Masz się do mnie nie odzywać. Całowałaś Rydera.

Mężczyźni patrzyli na siebie tak, jakby żaden z nich nie słyszał siostrzanych oskarżeń o zdradę.

— Pan Courtney, jak sądzę. Mam nadzieję, że nie składam wizyty w nieodpowiednim czasie.

— Kapitan Ballantyne. Słyszałem, że późną nocą przybył pan do naszego pięknego miasta. Sława pana wyprzedziła.

— Na to wygląda — przyznał Penrod. — Choć nie mam pojęcia jakim sposobem.

— To proste, zapewniam pana. — Ryder był rad, że Ballantyne nie zniżył się do niewybrednych żartów na temat romantycznego epizodu, bo to mogłoby doprowadzić do wybuchu wrogości. — Pański człowiek, Jakub Dzaalin, jest bliskim przyjacielem niani bliźniaczek i wiernej stronniczki

Benbrooków, zaczęj niewiasty o imieniu Nazira. Jedną z jej największych przywar jest długi język.

— Aha! Teraz rozumiem. Być może nawet spodziewał się pan mojej wizyty.

— Nie jestem zaskoczony — przyznał Ryder. — Rozumiem, że generał Gordon, oby wszystkie jego przedsięwzięcia przynosiły owoce, ma do mnie pytania dotyczące durry ginącej z arsenału.

Penrod skłonił głowę na znak uznania.

— Widzę, że lubi pan być dobrze poinformowany. — Oceniał Rydera Courtneya przenikliwym spojrzeniem maskowanym przez rozbajający uśmiech, gdy ścierali się na słowa.

— Staram się być na bieżąco. — Uśmiech wcale nie rozbroił Rydera, a jego spojrzenie było równie ostre. — Proszę wejść, drogi kolego. Jest może trochę wcześniej, ale czy mogę zaproponować cygaro i kieliszek pierwszorzędnego koniaku?

— Byłem przekonany, że te dwa cudowne artykuły już nie istnieją na tym zapomnianym przez Boga padole. — Penrod podszedł do wskazanego krzesła.

Kiedy zapalili cygara, spojrzeli jeden na drugiego znad napełnionych kieliszków. Ryder wznosił toast: — Gratuluję szybkiej podróży z Kairu.

— Chciałbym już być w powrotnej drodze.

— Chartum to nie kurort — zgodził się Ryder. Popijali brandy i rozmawiali z rezerwą wciąż wzajemnie się sondując. Ryder znał Penroda z widzenia i ze słyszenia, nie był więc zdziwiony jego zachowaniem.

Penrod szybko stwierdził, że nie został wprowadzony w błąd: Ryder rzeczywiście był twardy, szybki i przedsiębiorczy. Był również przystojny w surowy męski sposób. Nic dziwnego, że śliczna panna Benbrook okazała się podatna na jego awanse. Ciekawe jak bardzo. Zabawnie byłoby poddać próbie jej oddanie dla tego gościa, pomyślał Penrod i uśmiechnął się uprzejmie, żeby ukryć błysk stali w oczach. Uwielbiał rywalizację, mierzenie się z innymi, zwłaszcza gdy na zwycięzcę czekała cenna nagroda.

Poza tym w grę wchodziło coś więcej. Związek ponętnej panny Benbrook z Ryderem Courtneyem nadawał nowy wymiar pociągowi, jaki czuł do niej już wcześniej. Wyglądało na to, że wbrew pozorom nie jest zrobiona z lodu, że pod chłodną powierzchownością kryją się głębie, których zbadanie może okazać się fascynujące. Rozbawiła go ta metafora.

— Wspomniał pan o ginącym ziarnie. — Penrod powrócił do tematu.

Ryder pokiwał głową.

— Jestem osobiście zainteresowany losami tej partii. Niedawno zboże należało do mnie. Z niemałym kosztem i trudem przepłynęło kilkaset mil w dół rzeki, a gdy tylko bezpiecznie trafiło do Chartumu, zostało zarekwirowane czy wręcz ukradzione przez bezwzględnego „Chińczyka” Gordona. — Umilkł, dumając nad tą rażącą niesprawiedliwością.

— Naturalnie nie ma pan pojęcia, co się z nim stało później? — zapytał Penrod delikatnie.

— Przeprowadziłem małe dochodzenie — przyznał Ryder. Zgodnie z jego instrukcjami Baczit przez kilka tygodni ostrożnie zasięgał języka. Nawet labirynt starożytnych budowli i uliczek Chartumu nie mógł w nieskończoność skrywać pięciu tysięcy ardebów ziarna.

— Z przyjemnością poznam jego wyniki.

Ryder z irytacją ściągnął brwi, przyglądając się koniuszkowi cygara. Suche pustynne powietrze odwodniło liść tytoniu, który w efekcie palił się jak siano.

— Nie słyszał pan przypadkiem o nagrodzie, którą wielkoduszny generał skłonny byłby wypłacić za zwrot brakującej durry? — zapytał. — Bóg świadkiem, nie wykosztował się za pierwszym razem. Sześć szylingów za worek!

— Generał Gordon nie wspominał o nagrodzie — Penrod pokręcił głową — ale podsunę mu ten

pomysł. Nagroda w wysokości sześciu szylingów za worek z pewnością przyczyni się do ujawnienia informacji, prawda?

— Nie sądzę. Aczkolwiek jestem pewien, że dwadzieścia szylingów prawie na pewno da spodziewane wyniki.

— Porozmawiam z nim przy pierwszej okazji. — Penrod pokiwał głową. — Chociaż cena wydaje się trochę wygórowana.

— Weksle nie wchodzi w rachubę — uprzedził Ryder. — Wszyscy wiedzą, że chedyw dał mu prawo podjęcia dwustu tysięcy funtów ze skarbcza w Kairze. Kilka złotych suwerenów zaśpiewa słodziej niż wszystkie papierowe kanarki, które kiedykolwiek wyfrunęły z lasu.

— Ujął pan to niezwykle poetycko — powiedział z uznaniem Penrod.

Rebecca siedziała w swoim sekretnym kąciku w załomie murów obronnych pałacu konsularnego. Zasłaniała ją sędziwa stufuntowa armata, wielki rdzewiejący zabytek, z którego w dziewiętnastym wieku ani razu nie oddano strzału i który zapewne już nigdy nie plunie ogniem. Narzuciła na koszulę nocną ciemny wełniany płaszcz i zakryła głowę połą. Wiedziała, że nawet bliźniaczki jej tutaj nie znajdują.

Spojrzała w nocne niebo i na podstawie wysokości Krzyża Południa nad pustynnym horyzontem poznała, że dawno minęła północ, ale była pewna, że nie zaśnie. W ciągu jednego dnia w jej uporządkowanym życiu zapanował chaos. Czowała się jak dziki ptak, tłukący skrzydłami o pręty klatki, zakrwawiony i przerażony, spadający na podłogę z kołującym sercem i drżącym ciałem, by po chwili znowu podjąć daremną próbę ucieczki.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Skąd takie odczucia? Nic nie miało sensu. Wróciła myślami do poranka, kiedy po wykąpaniu i ubraniu bliźniaczek zaczęła cotygodniową inspekcję domu. Po wejściu do błękitnego apartamentu gościnnego dostrzegła osobę śpiącą w łóżku z kolumnkami. Służba nie powiadomiła jej o przybyciu gości, a obłożony Chartum był ostatnim miejscem, do którego ktoś chciałby zawitać. Powinna natychmiast wyjść z sypialni i wszcząć alarm. Nie miała pojęcia, dlaczego podeszła do łóżka. Gdy stanęła nad okrytym prześcieradłem śpiącym, ten nagle rzucił się na nią niczym lampart, który z drzewa skacze na ofiarę. Zupełnie nagi mężczyzna ze sztyletem w dłoni przewrócił ją na podłogę.

Wspominając tę straszną chwilę, opuściła głowę i zakryła twarz rękami. Nie po raz pierwszy widziała męskie ciało. Kiedy skończyła szesnaście lat, rodzice zabrali ją na wycieczkę po stolicach Europy. Razem z matką poszła obejrzyć Dawida Michała Anioła. Była poruszona niezwykłym pięknem posągu, ale zimny biały marmur nie wzbudził w niej żadnych kłopotliwych emocji. Potrafiła nawet bez śladu rumieńca rozmawiać o nim z matką.

Matka uważała się za kobietę wyemancypowaną. W tym czasie Rebecca myślała, że emancypacja polega tylko na paleniu tureckich papierosów w buduarze oraz na nieskrępowanym omawianiu ludzkiej anatomii i jej funkcji. Po samobójczej śmierci matki zrozumiała, że słowo to miało głębsze znaczenie. Na pogrzebie w Kairze podsłuchiwała szeptaną rozmowę kilku starszych pań, z których jedna zauważyła cierpko, że Sarah Benbrook przyprawiała Davidowi rogi częściej, niż przyrządzała mu śniadanie. Rebecca wiedziała, że jej matka nigdy nie przyrządzała śniadań, ale zajrzała do słownika, aby sprawdzić znaczenie określenia „przyprawiać rogi”. Nie od razu pojęła prawdziwy sens, kiedy jednak to się stało, zdecydowała, że nie chce być wyemancypowana jak matka. Chciała być wierna jednemu mężczyźnie, do końca życia.

Po raz drugi widziała nagie męskie ciało w ubiegłym roku. David zabrał córki na oficjalną wizytę w rejon górnego biegu Nilu Błękitnego. Mężczyźni z nadrzecznych plemion Szyluków i Din-ków nie nosili ubrań. Dziewczęta otrząsnęły się z zaskoczenia, kiedy ojciec wyjaśnił, że tutaj chodzenie na

golasa jest po prostu tradycją, dlatego nie powinny się tym ekscytować. Od tej pory Rebecca uważała te wielkie ciemne wyrostki za nieszczęśliwie ładne ozdoby, jak znane jej z ilustracji przebite wargi i nosy mieszkańców Nowej Gwinei.

Jednakże poranne spotkanie z Penrodem Ballantyne'em zrobiło na niej piorunujące wrażenie. Daleka od wcześniejszej obojętności czy nieledwie politowania, odkryła w sobie uczucia i emocje, których istnienia nie podejrzewała, dopóki nie wybuchły w jej świadomości. Nawet teraz, gdy siedziała w mroku z głową zakrytą płaszczem i twarzą schowaną w dłoniach, rumieniec palił jej policzki jak ogień.

Nie będę o tym myśleć, obiecała sobie. „To” było najpełniejszym opisem tego szczegółu męskiej anatomii. Nigdy. Nigdy więcej. Próbowwała o tym nie myśleć i natychmiast stwierdziła, że poświęca „temu” całą swoją uwagę.

Po wycieczce do Europy podsłuchiwała, jak matka rozmawiała na ten temat z przyjaciółkami. Zgodziły się, że naga kobieta jest piękna, w przeciwieństwie do mężczyzny — wyjąwszy rzecz jasna Dawida.

— To nie było brzydkie ani obsceniczne — sprzeciwiła się cieniowi matki. — To było... to było... — Nie miała pewności jakie, ale na pewno budziło niepokój, fascynację, zakłopotanie. Późniejszy epizod z Ryderem Courtneyem w jakiś dziwny sposób wyniknął z tamtego nocnego zdarzenia, choć nie w pełni rozumiała powiązanie.

W czasie ubiegłych miesięcy zaprzyjaźniła się z Ryderem. Wiedziała, że jest silny, mądry i zabawny. Znał niezliczone cudowne historyjki i, jak często powtarzała Saffron, ładnie pachniał i dobrze wyglądał. Jego towarzystwo dodawało jej otuchy i uspokajało w czasie oblężenia, kiedy śmierć, choroby i głód panowały w mieście. Jak zauważył ojciec, Ryder Courtney był człowiekiem czynu. Stworzył doskonale prosperujące przedsiębiorstwo i utrzymał je, choć wydawało się, że świat rozpada się na kawałki. Troszczył się o swoich ludzi i przyjaciół. Pokazał, jak robić zielone ciasto. Umiał ją rozweselić i sprawiał, że na parę godzin zapominała o swoich lękach. Z nim czuła się bezpieczna. Oczywiście parę razy nawiązał z nią kontakt fizyczny — muśnięcie ramienia lub ręki w czasie rozmowy czy spaceru — ona jednak zawsze się odsuwała. Matka często przestrzegała ją przed mężczyznami: wykorzystają cię i zostawią, a ty, zhańbiona na zawsze, nigdy nie znajdziesz męża. Już to było złe, ale, co gorsza, wykorzystanie wiązało się z bólem, od którego, jak wynikało z doświadczenia matki, gorszy był tylko poród.

Po tym okropnym zajściu w Błękitnej Sypialni, kiedy w jej duszy panował zamęt, poszła do kwatery Rydera. Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale czuła się zbyt dezorientowana. Nękały ją wyrzuty sumienia w związku z dziwnymi, ambiwalentnymi myślami o kapitanie Penrodzie Ballantynie. Bała się, że odziedziczyła złą krew po matce. Potrzebowała pocieszenia.

Ryder uradował się na jej widok i kazał Baczitowi zaparzyć garnek bezcennej w tym czasie kawy. Gawędzili przez jakiś czas, najpierw o bliźniaczkach i ich lekcjach zaniedbanych od początku oblężenia. Nagle i niespodziewanie, nawet dla samej siebie, Rebecca zaczęła szlochać tak, jakby pękało jej serce. Ryder patrzył na nią ze zdumieniem: wiedział, że nie jest beksą. Objął ją wtedy i przytulił mocno.

— Co się stało? Nigdy nie widziałem cię w takim stanie. Zawsze byłaś dzielna, nie znam dzielniejszej dziewczyny.

Rebecca z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje się dobrze w jego ramionach.

— Przepraszam — szepnęła, ale nie próbowała się odsunąć. — Jestem taka głupia.

— Wcale nie. Rozumiem — powiedział niskim, łagodnym tonem, jakim przemawiał do przestraszonego zwierzęcia albo skrzywdzonego dziecka. — Będzie jeszcze gorzej, ale już niedługo

całe zło się skończy. Odsiecz przybędzie przed Bożym Narodzeniem, wspomnisz moje słowa.

Pokręciła głową. Chciała mu powiedzieć, że nie chodzi o wojnę, oblężenie, derwiszów i Szalonego Mahdiego, ale on gładził jej włosy, więc tylko przytuliła twarz do jego piersi, pławiąc się w ciepłe i sile, w bogatym męskim zapachu.

— Ryderze — szepnęła i podniosła głowę, chcąc wyjaśnić, co do niego czuje. — Mój drogi Ryderze. — Zanim zdążyła dodać coś więcej, pocałował ją w usta. Z zaskoczenia nie mogła się ruszyć, a potem doszła do wniosku, że choć może się od niego odsunąć, wcale tego nie chce. Doznanie było takie nowe, takie inne, że postanowiła cieszyć się nim jeszcze przez chwilę.

Chwila przeciągnęła się w minuty i kiedy wreszcie otworzyła usta, żeby zaprotestować, stała się rzecz niesłychana: jego język wsunął się między jej wargi i stłumił protesty. Pod wpływem potężnego wrażenia ugięły się pod nią kolana i musiała zarzucić mu ręce na szyję, żeby nie upaść. Umięśnione ciało naciskało na nią mocno i jej protest zabrzmiał jak kwilenie, jak popiskiwanie nowo narodzonych kociąt szukających sutka. Potem z konsternacją poczuła, jak coś twardego rośnie między dolnymi partiami ich tułowi, coś jakby obdarzone własnym życiem. Przestraszyła się, ale była bezradna. Chęć ucieczki przepadła.

Przenikliwie wysoki głos zerwał więzy, które ją trzymały: „Ona go całuje! Becky całuje Rydera w usta”.

Rozpamiętując tę chwilę w ciemności pod wielką armatą, szepnęła: — Teraz nawet Saffy mnie nienawidzi, a ja nienawidzę siebie.

Wszystko jest tak strasznie poplątane, że chciałabym umrzeć.

Nie zdawała sobie sprawy, jak daleko popłynął jej głos, dopóki ktoś nie powiedział: — Tutaj jesteś, Dżamal. — Imię znaczyło Piękna.

— Nazira, znasz mnie zbyt dobrze — mruknęła Rebecca, gdy z mroku wyłoniła się pulchna, znajoma sylwetka.

— Tak, znam cię bardzo dobrze i kocham jeszcze bardziej. — Nazira usiadła obok niej na lawecie i objęła rękami. — Kiedy zobaczyłam, że nie leżysz w łóżku, wiedziałam, że tu cię znajdę. — Rebecca z westchnieniem złożyła głowę na jej ramieniu. Nazira, miękka i ciepła jak puchowy materac, pachniała różanym olejkiem. Kołysała ją delikatnie. Po chwili zapytała: — Czy wciąż chcesz umrzeć?

— Nie wiedziałam, że słuchasz — odparła Rebecca ze smutkiem. — Nie, nie chcę umrzeć. Jeszcze nie. Ale życie czasami jest trudne, prawda?

— Życie jest dobre. W większości przypadków to mężczyźni je utrudniają.

— Baczit i Jakub? — docięła jej Rebecca. Wszyscy w rodzinie wiedzieli o wielbicielach Naziry. — Dlaczego nie wybierzesz jednego z nich?

— Dlaczego ty nie dokonasz wyboru, Dżamal?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. — Rebecca zdjęła płaszcz z głowy i wbiła w nią oczy, duże i ciemne w świetle gwiazd.

— Myślę, że rozumiesz. Dlaczego w dniu, w którym piękny kapitan wraca do Chartumu, ty szukasz pociechy u al-Sachawiego, a kiedy się dowiadujesz, że ten ostatni uważa cię nie tylko za przyjaciółkę, chcesz umrzeć?

Rebecca ponownie zakryła twarz. Nazira wiedziała prawie wszystko, a reszty się domyśliła. W paru słowach pomogła zrozumieć, na czym polega rozterka. Wciąż kołysała ją w ramionach. Zaczęła nucić kołysankę, starą melodię z nowymi słowami: — Który to będzie? Kogo wybierzesz i który to będzie?

— Naziro, to nie jest dziecinna zabawa. — Rebecca siliła się na surowy ton.

— Jest. Życie to tylko dziecinna zabawa, ale częstokroć zarówno zabawy dzieci, jak i dorosłych kończą się gorzkimi łzami.

— Jak w przypadku biednej małej Saffy — podsunęła Rebecca. — Mówi, że mnie nienawidzi, i nie chce się do mnie odzywać.

— Myśli, że ukradłaś jej ukochanego. Jest zazdrosna.

— Jest taka mała.

— Nie. Niedługo będzie kobietą i już teraz wie, czego chce. — Nazira uśmiechnęła się czule. —

W przeciwieństwie do niektórych znanych mi starszych kobiet.

— Dwanaście szylingów? — powtórzył Ryder Courtney. — To nie jest nieporozumienie?

— Dwanaście szylingów. Słowo oficera i dżentelmena.

— Ten opis można poddać pod dyskusję — burknął Ryder.

— Nie zabierasz broni?

— Zabieram. - Ryder podniósł pałkę z ciężkiego drewna.

— Chodziło mi o broń palną albo białą. - Penrod musnął ręką szablę w pochwie u pasa.

— Po ciemku niełatwo odróżnić przyjaciela od wroga. Wolę tłuc po łbach pięścią albo pałką. To mniej nieodwołalne.

Szli ramię w ramię jedną z brudnych uliczek w dzielnicy zamieszkaney przez ludność tubylczą. Obaj mieli ciemne ubrania. Słońce zaszło przed godziną i w nikłym świetle ledwie widzieli drogę. Baczit czekał na nich w pobliżu Wieży z Kości Słoniowej, jednego z owianych najgorszą sławą burdeli w najbardziej niebezpiecznej części miasta. Zagwizdał cicho, żeby przyciągnąć ich uwagę, potem wskazał drogę do budynku trafionego pociskiem derwiszów. Usadowili się na stosach cegieł i strzaskanych belek. Żar cygara Penroda co jakiś czas rozjaśniał ciemności na tyle, że widzieli się wzajemnie.

— Asuat już przyszedł? - zapytał Ryder po arabsku.

— Tak - odparł Baczit. - Godzinę temu, o zachodzie słońca.

— Kim on jest? - dopytywał się Penrod. - Kto jest odpowiedzialny za kradzież?

— Jeszcze nie mam pewności. Baczit słyszał, że nazywają go Asuat. Nosi maskę na twarzy, ale mimo to mam pewne podejrzenia.

Dowiemy się więcej, zanim noc dobiegnie końca. - Ryder zwrócił się do Baczita: - Ilu ma ludzi?

— Naliczyłem dwudziestu sześciu, w tym sześciu uzbrojonych strażników. Będą pracować do późnej nocy. Zawsze tak robią. Tam jest mnóstwo durry, a worki są ciężkie. Asuat dzieli ludzi na dwie grupy. Kiedy wybija godzina policyjna i ulice pustoszeją, przenoszą worki do klientów w różnych częściach miasta. Dwaj strażnicy, znający hasło, które obowiązuje danej nocy, idą przodem i wypatrują patroli. Dwóch zamyka tyły i sprawdza, czy nie są śledzeni.

Asuat czeka w garbarni. Sam woli nie ryzykować na ulicach.

— Ile worków roznoszą w ciągu jednej nocy?

— Około stu dwudziestu.

— A więc sprzedał już kilka tysięcy - obliczył Ryder. - W jego magazynie zostało pewnie nie więcej niż trzy tysiące.

Wiesz, ile bierze za worek?

— Na początku brał pięć, ale teraz podniósł cenę do dziesięciu funtów egipskich. Przyjmuje tylko złoto, żadnych banknotów.

Ryder pokręcił głową.

— "Chińczyk" Gordon znowu zrobi dobry interes. Aktualna cena wynosi dziesięć funtów, a on daje mi tylko dwanaście szylingów nagrody.

— Jutro będę nad tobą płakał — obiecał Penrod. — Gdzie Asuat przechowuje skradzione ziarno?

— Na końcu tej ulicy, w opuszczonej garbarni — wyjaśnił Baczit.

— Kogo zostawiłeś do obserwowania budynku? — zapytał Penrod.

— Pańskiego człowieka, Jakuba. Jest Dżaalinem. To najbardziej zdradzieckie ze wszystkich plemion. Pomyśleć tylko, że nawet te ośliżte żmije wypędziły go ze swojego gniazda. Nie ufam mu ani trochę. Nie ma honoru, zwłaszcza w stosunku do kobiet — powiedział Baczit z goryczą. Było wiadomo, że on i Jakub rywalizują o względy wdowy Naziry.

— A jednak w walce sprawia się jak należy, prawda? — Penrod wystąpił w obronie Jakuba. Baczit wzruszył ramionami.

— Tak, ale nie należy odwracać się do niego plecami. Czeka za garbarnią, na brzegu kanału. Ludzie ukryli się na podwórzu Wieży z Kości Słoniowej. Pani domu jest moją dobrą przyjaciółką.

— Jakżeby inaczej - mruknął Ryder drwiąco. - Jesteś jednym z jej najlepszych klientów.

Baczit nie zniżył się do odpowiedzi na tę głupią uwagę.

— Wybrałem ten dom, bo z okien widać zaułek. - Ruchem głowy wskazał puste otwory okienne. Wybuch pocisku wytlukł szyby, a ramy skradziono na opał. - To jedyna droga do garbarni.

— Doskonale - powiedział Ryder. - Każ dwóm najlepszym ludziom śledzić tragarzy. Chcę znać nazwiska wszystkich kupców, którym dostarczają ziarno. Gdy tylko je poznamy, złożymy wizytę efنديemu Asuati w garbarni.

W tej chwili usłyszeli stłumiony tupot nóg. Baczit wymknął się dziurą wybitą przez pocisk w tylnej ścianie, żeby wykonać polecenie Rydera. Penrod zgasił cygaro i owinął niedopałek w chusteczkę, potem dołączył do Rydera, który już wyglądał na ulicę. Stali w głębokim w cieniu, żeby nikt ich nie zauważył. Za oknem ukradkowym krokiem przesuwała się grupa ciemnych postaci. Pierwsi szli dwaj strażnicy w fezach i egipskich mundurach w kolorze khaki, uzbrojeni w karabiny z założonymi bagnietami. Za nimi rząd tragarzy garbił się pod ciężarem worków. Nieco dalej podążali dwaj ludzie straży tylnej.

Kiedy rozplłynęli się w mroku, Penrod zauważył: — Teraz rozumiem, dlaczego nie pozwoliłeś mi zabrać żołnierzy z garnizonu i uparłeś się, żeby wziąć tylko twoich Arabów. Egipcjanie Gordona siedzą w tym po uszy.

— Głębiej — mruknął Ryder. Jakiś czas później tragarze, już bez worków, wrócili z eskortą do garbarni. Zjawił się Baczit, jak dzinn wyczarowany z lampy.

— Wszystkie dwadzieścia cztery worki z pierwszej dostawy kupił Ali Muhammad Acrani, który ma dom za szpitalem — zameldował. Czekali, aż za oknem przejdzie następna procesja. Minęła północ, gdy obładowani tragarze szósty raz opuścili garbarnię i odeszli zaułkiem.

— To ostatnia dostawa — powiedział Baczit. — W imię Boga, w końcu przyłapiemy szakala w kurniku.

— W imię Boga — powtórzył Ryder.

Kiedy wysliznęli się przez dziurę w tylnej ścianie zbombardowanego budynku, Arabowie Baczita czekali na nich pod osłoną ciemności, uzbrojeni w miecze i włócznie. Nikt nie miał broni palnej. Ryder poprowadził ich cicho w głąb zaułka, trzymając się blisko zabudowań. Kontury garbarni rysowały się na tle usianego gwiazdami pustynnego nieba. Był to trzypiętrowy budynek, ciemny i opuszczony, stojący na końcu zaułka.

— Bardzo dobrze, kapitanie Ballantyne. Poszukaj teraz swojego człowieka, Jakuba.

Czekając w zrujnowanym domu, omówili ostatnie szczegóły ataku, żeby uniknąć wahania czy nieporozumień. Ponieważ chodziło o durkę Rydera, zgodzili się, że on będzie podejmować decyzje i

wydawać rozkazy wszystkim oprócz Jakuba, który słuchał tylko Penroda.

Penrod na znak zgody dotknął ramienia Rydera i podszedł szybko do muru podwórza garbarni. Brama była zamknięta, ale nie próbował forsować jej siłą. Wyjął szablę i podskoczył, znalazł palcami szczelinę. Płynnie wciągnął się na mur, przerzucił nogi na drugą stronę i zniknął z pola widzenia.

Ryder dał mu parę minut, a potem poprowadził Baczita i resztę grupy do wysokiej bramy. Znał rozkład budynku. Przed obłożeniem prawie wszystkie skóry zakupione w Equatorii wysyłał do starego Niemca, właściciela zakładu. Garbarz uciekł z Chartumu z pierwszą falą uchodźców. Ryder wiedział, że za bramą znajduje się podwórze ładunkowe. Na próbę pchnął wrota i stwierdził, że są zaryglowane od środka. Niemalowane deski wyschły i popękały. Wyciągnął nóż, którego szpic wszedł w drewno jak w ser.

Próchno — burknął. Przeciągnął ostrzem wzdłuż wąskiej szczeliny pomiędzy krawędzią furtki a słupkiem i znalazł skobel. Cofnął się o parę kroków, odpowiednio ustawił, a potem z rozpędu kopnął obcasem w drzwi. Śruby rygła wyskoczyły ze spróchniałego drewna i brama się otworzyła.

— Szybko! Za mną. — Po drugiej stronie podwórza były główne drzwi magazynu i rampa, gdzie kiedyś wyładowywał pęki surowych skór i odbierał wygarbowane. Przed rampą stał zdezelowany wóz. W powietrzu wisiał smród na wpół wyprawionej skóry. W szczelinach wokół okiennic i pod drzwiami mrugało światło.

Ryder wbiegł po schodach na rampę. Szczury czmychały do dziur, gdy szedł do wejścia. Przystanął i usłyszał stłumione głosy. Ostrożnie napał na drzwi, które uchyliły się o cal, i zajrzał przez szczelinę. Jakiś mężczyzna opierał się o futrynę, odwrócony plecami do niego. Był ubrany w długą ciemną sutannę koptyjskiego księdza i miał kaptur na głowie. Mężczyzna odwrócił się szybko i ze zdumieniem w oczach spojrzał na intruza.

— Efendi Asuat — powitał go Ryder, podnosząc ciężką pałkę. — Masz durrę na sprzedaż? — Zamachnął się z całej siły, mierząc w zakapturzoną głowę. Pałka strzaskałaby czaszkę, gdyby nie zahaczyła o poprzeczną framugę drzwi. Wypadła ze zdrętwiałych palców Rydera, a cios wymierzony przez zamaskowanego człowieka rzucił go do tyłu.

— Do broni! Do broni! Wróg nas atakuje! — krzyknął ksiądz i popędził w głąb magazynu.

Ryder stracił kilka sekund na szukanie pałki, która poturlała się pod ścianę. Wyprostował się i powiódł wzrokiem po przestronnym magazynie. Oświetlały go lampy wiszące na pomoście, który biegł wzdłuż ścian pod belkami stropu. Baczit źle ocenił siły przeciwnika: w magazynie przebywało co najmniej dwudziestu ludzi. Niektórzy byli niewolnikami, ubranymi tylko w turbany i przepaski biodrowe, ale inni nosili mundury khaki i czerwone fezy egipskiego garnizonu. Wszyscy zamarli, sparaliżowani krzykiem księdza.

Niewolnicy spiętrzyli wielkie stopy worków na środku magazynu i mączny zapach durry mieszał się ze starym smrodem surowej skóry i garbnika. Pracę nadzorował egipski porucznik z trzema czy czterema podoficerami. Minęła chwila, zanim żołnierze zebrali myśli. Przerażeni i zdumieni gapili się na Rydera pędzącego ku nim z podniesioną pałką. Potem z wojennymi okrzykami do magazynu wpadł Baczit i jego Arabowie.

Egipscy podoficerowie wyrwali się z odrętwienia i pobiegli po karabiny ustawione pod ścianą. Porucznik wyciągnął rewolwer z kabury i zdążył strzelić, zanim Baczit i jego banda rzucili się na nich z mieczami i włóczniami. Krzyki, trzaski i przekleństwa przewalały się po magazynie. Niewolnik rzucił się do stóp Rydera, błagając o łaskę. Zniecierpliwiony Ryder próbował go odkopnąć, ale mężczyzna przyczepił się do jego kolan jak małpa do owocowego drzewa.

Asuat uciekał na drugą stronę długiego pomieszczenia. Z wydymającą się za nim sutanną,

przeskoczył stos worków durry i zaczął wspinać się po stalowej drabinie, która prowadziła na podwieszoną kładkę. Długa sutanna okręcała mu się wokół nóg, znacznie krępując ruchy. Mimo to wspinał się żwawo, przez cały czas krzykiem zachęcając swoich ludzi: — Zabić ich! Nikt nie może uciec! Zabić ich wszystkich!

Ryder trzasnął pałką w skroń niewolnika i wreszcie się od niego uwolnił. Przeskoczył nad bezwładnym ciałem i podbiegł do drabiny. Zatknął pałkę za pas i skoczył na pierwsze szczeble, szybko dopędzając księdza. Pod sutanną migają wypucowane buty do jazdy konnej i bryczesy khaki.

Ksiądz dotarł na pomost i przywarł do poręczy, łapiąc oddech. Spojrzał w dół drabiny. Jego głos zabrzmiał piskliwie ze strachu, kiedy zobaczył zbliżającego się Rydera.

— Zatrzymać go! Zastrzelić jak psa! — Jego ludzie byli jednak zbyt zajęci, żeby zwrócić na niego uwagę. Uciekinier podkasał sutannę, chcąc wyjąć pistolet, ale nie mógł wyszarpnąć go z kabury. Ryder już pokonywał ostatnie szczeble. Asuat zrezygnował z próby wyciągnięcia broni. Chwycił lampę naftową, która wisiała na poręczy. Podniósł ją wysoko nad głowę.

— Stój! Na Boga, ostrzegam! Spalę cię żywcem.

Kaptur sutanny opadł, odsłaniając epolety i szkarłatne pagony majora egipskiej armii. Mężczyzna miał ciemne, kędzierzawe włosy, lśniące od pomady. Ryder poczuł gryzący zapach wody kolońskiej.

— Major Faroque. Jakże miła niespodzianka — powiedział wesoło.

Al-Faroque miał zdeterminowaną minę.

— Ostrzegałem! — wrzasnął. Oburącz rzucił lampę w Rydera, który przywarł do szczebli drabiny. Lampa przeleciała obok jego ramienia jak meteor, ciągnąc za sobą ogon płonącej nafty. Strumyczki niebieskich płomieni rozlały się po suchych jak pieprz workach, które zajęły się szybko i zapłonęły jasno niczym świece.

— Nie zbliżaj się! — krzyczał al-Faroque. — Ostrzegam, Nie... — Zerwał z haka drugą lampę, ale Ryder już był na pomoście i wyciągał pałkę zza pasa. Major zamachnął się i rzucił lampę prosto w twarz przeciwnika, stękając z wysiłku.

Ryder śledził wzrokiem nadlatujący pocisk i w ostatniej chwili odbił go w bok. Lampa spadła i wybuchła na drugim stosie worków. Ziarno zapaliło się w mgnieniu oka.

Al-Faroque rzucił się do ucieczki. Ryder skoczył szczupakiem i złapał go za kostkę. Egipcjanin wił się i kopał, próbując się uwolnić, ale Ryder trzymał go mocno i ciągnął w stronę skraju pomostu. Al-Faroque chwycił poręcz i kwiczał jak zarzynana świnia.

W tej chwili kula wystrzelona z dołu rozorała Ryderowi ramię i uderzyła w drabinę sześć cali od jego oczu, zostawiając jasną smugę ołowiu na stali. Ból był tak silny i niespodziewany, że Ryder rozluźnił chwyt. Al-Faroque natychmiast skorzystał z okazji. Wierzgnął nogą, zębate kółko ostrogi przejechało po skroni Rydera, który stracił równowagę i zsunął się z pomostu. Puścił nogę Egipcjanina i złapał szczebel, który przemykał mu przed oczami. Major uciekał po pomoście.

Kolejna kula z garbarni świsnęła przy głowie Rydera i odbiła ze ściany kawałek tynku. Ryder spojrział w dół i zobaczył, że do magazynu wbiegli egipscy strażnicy, którzy eskortowali ostatnią dostawę. Zrozumiał, że musieli zobaczyć płomień i usłyszeć huk strzałów. Atakowali żąrcie, kłując bagnietami i mieczami ludzi Baczita. Ten, który strzelił do niego, przeładował karabin, poderwał krótką lufę i znowu wziął go na cel. Ryder bezradnie patrzył, jak lufa pluje ogniem i kłębam dymu z czarnego prochu. Następną kulą zadzwoniła o stalową płytę kilka cali nad jego głową. To go zmobilizowało. Wciągnął się na pomost, poderwał na nogi i popędził za egipskim majorem.

Al-Faroque zniknął w niskich drzwiach na końcu pomostu. Ryder biegł za nim, spodziewając się kolejnej kuli, ale kiedy spojrział w dół, zobaczył, że strzelec miota się po betonowej podłodze jak

złowiona ryba na dnie łodzi. Baczit nogą przyciskał mu gardło, próbując wbić włócznię w pierś. Wreszcie pchnął, wyrwał włócznię i skierował ją w stronę nowego przeciwnika.

Ryder zorientował się, że nieprzyjaciel ma dużą przewagę liczebną. Ludzie Baczita walczyli jak gladiatorzy, ale zaczęli przegrywać. Już chciał zrezygnować z pościgu za majorem, żeby ich wesprzeć, kiedy tylnymi drzwiami wbiegło dwóch mężczyzn.

— Ku chwale wspaniałego dziesiątego! — ryknął Ryder, gdy poznał Penroda Ballantyne'a i Jakuba ze sztyletem w ręce. Penrod sparował bagnetem pchnięcie zadane przez egipskiego porucznika w jego twarz, i zripostował, tnąc czysto po gardle. Srebrna klinga przecięła kręgi i zaróżowiona od krwi wyszła z tyłu szyi. Egipcjanin upadł na podłogę i w przedśmiertnych drgawkach bębnił piętami po betonie. Penrod nonszalancko pomachał ręką do Rydera, który wskazał drzwi na końcu pomostu.

— To al-Faroque! — zawołał. — Uciekł tędy. Spróbuj przeciąć mu drogę. — Nie tracił czasu na wyjaśnienia; nawet nie wiedział, czy Penrod go usłyszał, a co dopiero rozumiał. Ogień ryczał niczym potężny wodospad, wewnątrz magazynu płonęło, płomienie pędziły po suchych belkach, które podpierały ściany i dach.

Moją nagrodę diabli wzięli, pomyślał Ryder z goryczą. Kaszląc, bo dym drapał go w gardło, pobiegł za majorem. Dotarł do niskich drzwi, w których zniknął uciekinier, i wetknął w nie głowę. Odetchnął głęboko słodkim nocnym powietrzem i przez łyzy w oczach na tylnej ścianie garbarni zobaczył drabinę, która wiodła do ścieżki holowniczej nad kanałem.

Al-Faroque zaplątał się w sutannę na ostatnich szczeblach. Kiedy spostrzegł głowę Rydera, zeskoczył z wysokości sześciu stóp. Wylądował na rękach i kolanach, ale nie odniósł szwanku. Podniósł się i zadarł głowę.

— Wracaj! — krzyknął. — Nie próbuj mnie zatrzymać. — Podkasał sutannę i tym razem udało mu się dosięgnąć kabury.

Wyrwał rewolwer i wycelował w prześladowcę. Blask pożaru z okien na tyłach garbarni jasno oświetlał ścieżkę. Ryder zobaczył, że majorowi trzęsie się ręka. Oleiste krople potu spływały mu po policzkach i ściekały z podwójnego podbródka. Strzelił dwukrotnie i kule utkwily po obu stronach drzwi. Ryder schował głowę.

Usłyszał, jak al-Faroque ucieka wzdłuż kanału.

Jeśli dotrze do zaułka, zdoła się wymknąć, pomyślał, wchodząc na drabinę. Zsunął się szybko i zeskoczył z wysokości dziesięciu stóp. Zderzenie z ziemią było tak silne, że przygryzł sobie język. Wypluł krew i zobaczył, że al-Faroque, mający co najmniej sto jardów przewagi, zbliża się do węgła budynku.

Popędził za nim z pałką w rękę, po paru sekundach skręcił za róg. Uciekinier już był w połowie uliczki, biegnąc zdumiewająco szybko jak na takiego grubasa. Rzucił się za nim. Wiedział, że za chwilę al-Faroque zniknie w labiryncie leżących dalej ulic. Nie będzie czekał, aż go złapiemy. Jeszcze tej nocy opuści Chartum, pomyślał ponuro. O świcie będzie po drugiej stronie rzeki i przemieni się w najwierniejszego zwolennika Mahdiego. Może nam strasznie nabruździć! Odległość między nimi malała, ale nie dość szybko.

Gdy al-Faroque dotarł do końca zaułka, elegancka postać wysunęła się z ciemnego wejścia domu i kopnęła go w nogę w taki sposób, że zahaczył butem o drugą. Al-Faroque runął na ziemię z siłą, która wycisnęła mu powietrze z płuc. Czołgał się na wielkim brzuchu i próbował sięgnąć po rewolwer, który wypadł mu z ręki w czasie upadku. Gdy zacisnął palce na rękojeści, Penrod nastąpił na nadgarstek.

Ryder podbiegł i trzasnął majora pałką w tył głowy. Al-Faroque zacharczał i padł twarzą w brud

uliczki.

— Idealne podłożenie nogi w biegu — powiedział Ryder z podziwem. — Niewątpliwie wyczelowane na boisku rugby w Eton.

— W Harrow, drogi kolego. Proszę tego nie mylić — poprawił go Penrod. Gdy zjawił się Jakub, przeszedł płynnie na arabski: — Zwiąż go solidnie. Gordon Basza z przyjemnością z nim porozmawia.

— Może pozwoli mi patrzeć na egzekucję? — zapytał Jakub z nadzieją. Odpiął Egipcjaninowi pas i użył go do związania mu rąk za plecami.

— Mój łagodny Jakubie, nie wątpię, że będziesz miał miejsce w pierwszym rzędzie na tym przedstawieniu.

W tym czasie łuna pożaru rozświetlała już niebo i dachy miasta. Zostawili majora pod opieką Jakuba i wrócili biegiem do głównej bramy. Żar panujący w garbarni wypędził walczących, którzy teraz ścierali się na podwórzu. Baczit i jego Arabowie przechwytywali wrogów wyskakujących drzwiami i oknami. Wciąż rozlegały się wojownicze okrzyki i wrzaski, szczęk broni i strzały, ale zdrajcy z egipskiego garnizonu stopniowo składali broń. Kilku uciekło w zaułki i Jakub ruszył za nimi w pogoń.

Wstawał świt, gdy jeńcy pomaszerowali w łańcuchach do bramy fortu Mukran. Generał Gordon, który z murów widział ich przybycie, natychmiast posłał po Penroda. Jego dobrotliwa mina przemieniła się w maskę zimnej furii, kiedy usłyszał o zniszczeniu trzech tysięcy worków bezcennej durry.

— Pozwolił pan cywilowi kierować atakiem?! — ryknął z błyskiem w niebieskich oczach. — Courtneyowi? Handlarzowi i spekulantowi? Nędznikowi bez patriotycznych pobudek i krzty społecznego sumienia?

- Przepraszam, generale, ale Courtneyowi równie mocno jak nam zależało na odnalezieniu zboża. Szczerze mówiąc, to jego ludzie wytropili kryjówkę.

- Zaangażowanie Courtneya warte było dwanaście szylingów za worek i ani pensa więcej. Gdyby pan dowodził, można by uniknąć tej katastrofy. — Gordon wspiął się na palce i piorunował go wzrokiem. Penrod stał sztywno na baczność, z determinacją zaciskając usta.

Gordon kosztem dużego wysiłku odzyskał panowanie nad sobą.

- Przynajmniej zdołał pan zatrzymać przywódcę szajki. Nie jestem zaskoczony, że to major al-Faroque. Ku przestrodze on i jego wspólnicy zginą na armacie, na oczach garnizonu.

Penrod zamrugał. Była to wyjątkowo brutalna wojskowa kara zarezerwowana dla największych zbrodniarzy. O ile wiedział, ostatni wyrok został wykonany na sipajach po stłumieniu powstania w Indiach prawie przed trzydziestu laty.

- Nie uroniłbym jednej łzy, gdyby ten drań Courtney podzielił ich los. — Generał podszedł do okna i spojrzał gniewnie na linie wroga za rzeką. — Jednakże nie sądzę, że mogę zrobić to Anglikowi — warknął. — Niestety. Ale wymyślę coś, co nie pozostawi mu wątpliwości co do mojej opinii na temat jego zachowania i wartości moralnych. Będzie to musiało być coś, co uszczupli zawartość jego kiesy. To tam przechowuje swoje sumienie.

Penrod doszedł do wniosku, że w tej sytuacji najlepszą polityką jest milczenie. Dobry Bóg wie, że nie żywie wielkiej sympatii do Rydera Courtneya, pomyślał. Bez wątpienia niebawem wyciągniemy sztylety, ubiegając się o względy pewnej młodej damy. A jednak trudno nie podziwiać tęgiej głowy i odwagi tego gościa.

Gordon odwrócił się plecami do okna i wyjął z kieszonki złoty zegarek z dewizką.

- Ósma. Ten łajdak al-Faroque i jego wspólnicy mają zostać osądzeni, skazani i przygotowani do

egzekucji przed piątą po południu. Zostaną straceni na publicznym majdanie, żeby ich śmierć zrobiła jak największe wrażenie na ludności. Nie będę tolerować czarnego rynku w mieście, którego mieszkańcy przymierają głodem. Pan dowodzi, Ballantyne, i życzę sobie, żeby wszystko odbyło się jak należy.

Poszło bardzo dobrze, zdecydował Penrod, schodząc z tarasu pałacu konsula, żeby udać się na spoczynek. Podszedł do statecznego tamaryndowca, którego gałęzie ocieniały połowę tarasu, i oparł się o pień. Palił kubańskie cygareto, którym Ryder Courtney poczęstował go przed rozstaniem. Ryder nie skorzystał z zaproszenia na egzekucję.

— Nie winię go. Sam wolałbym pracować gdzie indziej — mruknął.

Penrod poczuł lekki niepokój, gdy teraz o tym rozmyślał, i powoli zaciągnął się cygarem. O piątej po południu prawie cały garnizon Chartumu stanął na majdanie, żeby być świadkiem egzekucji. Na umocnieniach zostały minimalne posterunki. Choć nie było takiego rozkazu, wydawało się, że stawili się wszyscy cywile, tłocząc się wokół placu w potrójnych i poczwórnych rzędach. Na wolnej przestrzeni stało osiem dział Kruppa, jedno przy drugim, z lufami maksymalnie podniesionymi i skierowanymi w stronę Omdurmanu. Niedostatek amunicji był zbyt poważny, żeby marnować osiem pocisków: po wykonaniu pierwszego zadania miały polecieć za rzekę, wybuchnąć wśród nieprzebranych rzesz derwiszów i przy odrobinie szczęścia zabić jeszcze kilku wrogów.

Pierwszych wprowadzono spekulantów i kupców przyłapanych na gorącym uczynku w czasie zakupu ziarna od majora al-Faroque'a. Na czele szedł Ali Muhammad Acrani. W czasie przeszukania jego domu za szpitalem Penrod znalazł sześćset worków durry, schowanych w piwnicach pod barakami dla niewolników.

Więźniowie zostali ustawieni tuż za armatami. Na mocy wyroku wydanego przez Gordona Baszę mieli przyglądać się egzekucji, a ponadto utracili cały swój majątek, skonfiskowany łącznie z nielegalnie zakupioną durrą. Zostali również skazani na opuszczenie miasta, by poza jego murami zdać się na łaskę Mahdiego i jego ansarów. Penrod zastanawiał się nad ich losem. Gdyby dotyczyło to mnie i zaproponowano mi wybór, chyba wolałbym pocałunek córki artylerzysty, zdecydował.

Wrócił myślami do popołudniowego programu rozrywkowego na majdanie. Kiedy wszyscy widzowie już się zgromadzili, Penrod wydał rozkaz. Z cel fortu Mukran wyprowadzono majora al-Faroque'a i siedmiu pozostałych skazańców. Wszyscy byli w mundurach. Każdy stanął na baczność przed przypisaną mu armatą. Sierżant sztabowy odczytał oskarżenia i wyroki sten-torowym głosem, który niósł się po całym majdanie. Ludzie wyciągali szyje, żeby łowić słowa: „...za co zostaną zastrzeleni z armat”.

Pomruk oczekiwania uniósł się nad zbitymi szeregami gapiów. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Rodzice podnosili niemowlęta i młodsze dzieci, żeby miały lepszy widok.

Sierżant zwinął werdykt w rulon i podał go gońcowi, który podszedł z rulonem do Gordona Baszy i kapitana Ballantyne'a. Zasalutował i przekazał zwój generałowi.

— Dobrze. — Gordon oddał salut. — Wykonać wyrok.

Sierżant przemaszerował elegancko wzdłuż szeregu skazańców, zatrzymując się przed każdym z nich, żeby zerwać insygnia rangi i zasług z ramion i piersi bluz mundurowych. Rzucił w kurz złote korony, szewrony i medale.

Kiedy ośmiu okrytych hańbą mężczyzn stanęło w ogołoconych mundurach, Penrod wydał następny rozkaz. Kolejno podprowadzono ich do czekających armat i przywiązano w taki sposób, że lufy celowały w środek piersi, a ręce były wyciągnięte wzdłuż lśniących, czarnych rur. W tym groteskowym uścisku mieli otrzymać pocałunek córki artylerzysty. Al-Faroque rzucił się na plac ćwiczeń. Wył, płakał i bębnił nogami. Żołnierze musieli zanieść go do armaty.

- Gotowi do wykonania wyroku! — ryknął sierżant.

— Wykonać, sierżancie! — szczechnął Penrod obojętnym głosem, zachowując niewzruszony wyraz twarzy.

Sierżant wyciągnął szablę i podniósł nagą klingę. Stojący przy nim dobosz przyłożył pałeczki do ust, opuścił je i wybił długi werbel. Sierżant machnął szablą i dobosz przestał bębnić. Na chwilę zapadła cisza. Nawet Penrod wstrzymał oddech. Huknęła pierwsza armata.

Ofiara na chwilę zniknęła w chmurze gęstego, szarego dymu. Potem części rozerwanego tułowia wzbily się wysoko w powietrze.

Głuchą ciszę zmąciły spontaniczne wiwaty, gdy spadła głowa i poturlała się po spieczonej słońcem glinie.

Sierżant znowu podniósł szablę. Kiedy warkot werbla urwał się gwałtownie, rozbrzmiał kolejny grzmiący wystrzał. Tym razem widzowie znali wynik i dziki aplauz zmieszał się z głośnym śmiechem. Al-Faroque, ostatni w kolejce, coraz głośniej błagał o łaskę. Tłum wył, przedrzeźniając jego zawodzenie. Al-Faroque hałaśliwie opróżnił jelita. Rzadki kał zabrudził tył jego bryczesów. Wesołość gapiów sięgnęła zenitu, gdy werbel zagrzmiął po raz ósmy i ostatni. Głowa al-Faroque'a wzleciała wyżej niż wszystkie poprzednie.

Penrod obejrzał cygaro i z zalem stwierdził, że nie zdoła zaciągnąć się jeszcze raz bez poparzenia palców. Rzucił niedopałek na płyty tarasu i rozgniół go obcasem. Było późno, miał już za sobą wieczorny obchód stanowisk obronnych w mieście, ale przed snem czekało go jeszcze mnóstwo papierkowej roboty. Gordon chciał mieć z samego rana wszystkie wykazy i raporty. Mały służbista nie stosował żadnych ulg mimo obłączenia i trudów złożonych na barki Penroda.

— Musimy wywiązać się co do joty ze stawianych wymagań i świecić przykładem.

Dobrze, że przynajmniej siebie też nie oszczędza, pomyślał Penrod.

Wyprostował się i już chciał ruszyć do kwatery przydzielonej mu przez Davida Benbrooka, kiedy jego uwagę przyciągnął ruch na balkonie na piętrze. Drzwi balkonowe otworzyły się, dzięki czemu mógł zajrzeć do pokoju. W świetle stojącej na toalecie lampy naftowej zobaczył baldachim i kolumnienki łóżka. Na tapecie widniał wzorek z czerwonych róż i zielonych listków.

W drzwiach pojawiła się szczupła dziewczęca sylwetka, podświetlona od tyłu przez lampę. Blask tworzył złotą aureolę wokół jej głowy, jak na średniowiecznych obrazach Madonny. Choć nie widział twarzy, natychmiast rozpoznał Rebeccę. Była ubrana w szlafroczek z jakiegoś lśniącego materiału z bladoniebieskim połyskiem, zapewne krepdeszynu, z trzyćwierciowymi rękawami. Tkanina opinała jej ciało, podkreślając wcięcie talii i krągłość bioder. Rebecca wyszła na balkon, gdzie złote światło lampy stopiło się z subtelnymi srebrzystymi tonami księżycowej poświaty.

Patrzyła na ogród i taras, ale nie dostrzegła Penroda, na wpół zasłoniętego przez rozłożyste gałęzie tamaryndowca. Zebrała dół szlafroka i wdzięcznie przysiadła na murku balkonu, przekładając nogi na zewnątrz. Była bosa. Łydki miała kształtne, stopy drobne i dziewczęce. Penrod był oczarowany. Lampa oświetlała jej profil, połowa twarzy kryła się w tajemniczym srebrzystym cieniu. W ręku trzymała szczotkę w oprawie z kości słoniowej. Przeciągnęła nią po rozpuszczonych jasnych włosach, zaczynając od przedziałka i kończąc na wysokości kibici, gdzie włosy tańczyły i falowały jakby obdarzone własnym życiem. Twarz miała pogodną i śliczną.

Penrod chciał podejść bliżej, żeby przyjrzeć się jej dokładniej, a może nawet poczuć zapach perfum. Choć zwykle w ciągu dnia nosiła rękawiczki, suknię z długim rękawem i słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, skóra jej ramion i nóg wcale nie była mleczna, lecz wbrew nakazom mody lekko złocista. Szyję miała długą i wdzięczną, głowę przechylała pod urzekającym kątem. Nuciała cicho. Penrod nie rozpoznał melodii, ale była to zniewalająca pieśń syreny, której nie potrafił się oprzeć. Z

ostrożnością myśliwego przysuwał się do balkonu: czekał na chwilę, gdy Rebecca zamykała oczy, kończąc kolejne pociągnięcie szczotką, i wówczas robił mały krok w jej stronę. Z bliska słyszał, jak wciąga powietrze na końcu każdej frazy, niemal czując ciepło i smak jej warg. Wyobrażał sobie, jak rozchylają się z drżeniem, pozwalając mu smakować słodkie jak jabłko wnętrze ust.

Wreszcie odłożyła szczotkę i zwinęła włosy w gruby węzeł na czubku głowy. Z wyłogu szlafroka wyjęła długą szpilkę z główką ze szlachetnego kamienia i podniosła rękę, żeby je spiąć. Na chwilę odwróciła głowę i Penrod skorzystał z okazji, robiąc kolejny krok.

Zamarła jak gazela, która wyczuwa skradającego się lamparta. Penrod znieruchomiał i wstrzymał oddech. Rebecca odwróciła się w jego stronę i szeroko otworzyła oczy. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym przełożyła nogi nad murkiem i zeskoczyła na balkon. Jej usta wypowiedziały ciche oskarżenie: — Pan szpieguje!

Wbiegła do pokoju i delikatnie zamknęła drzwi, jakby nie chciała, żeby ktoś inny usłyszał — jakby to, że ją podpatrywał, było ich wspólną tajemnicą. Penrod miał przyspieszony oddech i czuł, jak serce wali mu w piersi. Żałował, że ją spłoszył. Pragnął przyglądać się jej twarzy jeszcze trochę dłużej, jak gdyby w ten sposób mógł poznać jakieś sekrety dziewczyny.

Odszedł, a gdy wchodził po krętych schodach do swojej kwatery, instynkt drapieżnika, który na krótko ustąpił niemal nabożnej czci, powrócił z pełną siłą. Teraz przynajmniej wiemy, gdzie szukać buduaru mademoiselle, gdyby zaszła taka potrzeba, pomyślał z uśmiechem.

W przeciwieństwie do bliźniaczki Amber nie była ani trochę poruszona przyłapaniem starszej siostry i Rydera in flagranti. Jako jedyna z sióstr wybrała się nazajutrz do kompleksu magazynów. Przyszła z Nazirą o zwykłej porze i natychmiast zaczęła komenderować trzema tuzinami sudańskich kobiet, które wyrabiały bezcenne zielone ciasto. Cieszyła się, że nie musi dzielić się władzą z Saffron.

Baczit znalazł swojego pana w portowym warsztacie i szeptem złożył mu raport. Ryder podniósł głowę znad głównego przewodu parowego, który spawał z Jockiem McCrumpem.

— A siostry? — zapytał. — Panienska Saffron i panna Rebecca?

Baczit pokręcił głową.

— Tylko panienska Amber. — Ryder wolał nie prowadzić tego typu rozmowy w obecności Jocka McCrumpa oraz palaczy i smarowniczych z Ibisa, dlatego wskazał głową drzwi i wyszedł razem z Baczitem.

Byli w połowie drogi do kompleksu, gdy przerwał milczenie.

— Co się stało, Baczit?

Baczit zrobił minę niezorientowanego w niczym niewiniątka, ale Ryder był pewien, że zeszłą noc spędził na materacu Naziry i dokładnie wiedział, co w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wydarzyło się w pokojach córek konsula Jej Królewskiej Mości.

— Mów, co wiesz — przynaglił.

— Jestem prostym człowiekiem — zaczął Baczit. — Znam się na koniach i wielbłądach, na kataraktach i prądach Nilu. Ale co ja mogę wiedzieć o kobiecym sercu? — Pokręcił głową. — Będzie lepiej, jak wypytasz o te tajemnice kogoś mądrzejszego ode mnie.

— Przyślij do mnie Nazirę. — Ryder starał się zachować powagę. — Będę na nią czekać przy klatkach z małpami.

Nazira sprzyjała Ryderowi Courtneyowi. Oczywiście wyglądał jak typowy ferenghi i miał oczy w niepokojącym, nienaturalnym odcieniu zieleni, ale wygląd i wiek miały niewielkie znaczenie, jeśli tylko mężczyzna potrafi zapewnić godziwe życie rodzinie. Wiedziała, że jego żony nigdy nie będą głodne, bo był mężczyzną silnym na ciele i duchu i potrafił dbać o swoją własność. Jednocześnie

cechowała go łagodność. On nie będzie bić swoich kobiet, chyba że sprowokują go swoim zachowaniem. Tak, Nazira sprzyjała Ryderowi Courtneyowi. Wielka szkoda, że jak dotąd al-Dżamal nie podzielała jej zdroworozsądkowego podejścia.

Nazira przyszła do menażerii i szeptem przykazała Alemu, że ma się trzymać poza zasięgiem słuchu, ale nie wzroku. Była prawie czterdziestoletnią wdową, pobożną i szanowaną. Wmawiała sobie, że tylko ona wie o dyskretnej przyjaźni, jaka łączyła ją z Jakubem i Baczitem.

Przywitała Rydera, poprosiła Proroka o błogosławieństwo dla niego, dotknęła serca i ust, a potem przycupnęła w przyzwoitej odległości. Przysłoniła chustą dolną połowę twarzy i czekała, aż gospodarz przemówi.

Ryder najpierw zapytał ją o zdrowie, a gdy zapewniła, że nie ma powodów do narzekań, zainteresował się samopoczuciem podopiecznych.

— Al-Dżamal miewa się dobrze.

- Miło mi to słyszeć. Martwiłem się o nią. Nie przyszła dzisiaj, żeby pomóc kobietom.

Nazira lekko przekrzywiła głowę, ale nie skomentowała tych słów.

- Naziro, czy ona się na mnie gniewa?

Westchnęła z dezaprobatą. Pytaniu brakowało choćby pozorów subtelności. Nie powinna dodawać mu powagi swoją odpowiedzią. Tym razem jednak zrobiła wyjątek, bo przecież rozmówca był niewiernym.

- Al-Dżamal uważa, że nadużyłeś jej zaufania. Potrzebowała pociechy i rady, więc przyszła do ciebie jak do przyjaciela, ty zaś zachowałeś się niczym zbereźnik.

Na twarzy Rydera odmalowało się przerażenie.

— Zbereźnik? — powtórzył. — Nie ma racji. Darzę ją wielkim szacunkiem i uczuciem. Nie jestem zbereźnikiem.

Nazira była rozdarta wewnątrz. Nie mogła mu powiedzieć, że u źródeł zachowania Rebecki leży przede wszystkim to, iż zostali przyłapani nie tylko przez bliźniaczki, ale również przez ślicznego kapitana. Ponieważ lubiła Rydera, nie poskapiła mu słów pociechy.

— Kocham ją jak rodzoną córkę, jest jednak młoda i niczego nie rozumie, nawet własnego serca. Będzie zmieniać kurs wraz z księżycem, wiatrem i prądem, jak dau bez kapitana. Kiedy mówi, że nie chce kogoś widzieć, to znaczy, że nie chce go widzieć co najwyżej do północy, ale na pewno nie do południa następnego dnia.

Ryder rozważał jej słowa, wsuwając kawałeczek zielonego ciasta do klatki Lucy, samicy koczkodana zielonego, która lada dzień miała urodzić młode. Małpka przytrzymała jego rękę i zlizwała okruszki z palców.

— Co mam zrobić, Naziro?

Pokręciła głową. Mężczyźni to takie dzieci!

— Cokolwiek teraz uczynisz, tylko pogorszysz sprawę. Nic nie rób. Powiem jej, jak bardzo cierpisz. Większość dziewcząt chętnie słucha takie rzeczy. Kiedy nadejdzie pora, porozmawiamy ponownie.

Propozycja pomocy podniosła go na duchu.

— A co z Saffron? Dlaczego nie przyszła z Amber?

— Filfil jest równie mocno wstrząśnięta twoim zachowaniem jak jej starsza siostra. — Filfil, po arabsku pieprz, było przydomkiem Saffron. — Ona też oświadczyła, że nigdy więcej nie chce z tobą rozmawiać. Mówi, że pragnie umrzeć.

Ryder znowu zrobił przestraszoną minę.

— Jeden pocałunek i do tego niewinny... Z tego powodu chce umrzeć?

— Dawno temu wybrała ciebie na przyszłego męża. Nawet omówiła ze mną szczegóły.

Powinnam cię ostrzec, że pozwoli ci mieć tylko jedną żonę.

Ryder wybuchnął śmiechem.

— Słodkie i zabawne dziecko, ale przecież dziecko.

— Za kilka lat będzie panną na wydaniu — odparła Nazira bez uśmiechu — i ma już swoje plany.

Ryder znów się roześmiał, tym razem z nutką niepokoju.

— Naziro, nie chcę utwierdzać małej w wierze w niemożliwe, ale też nie pragnę jej skrzywdzić.

Czy przekażesz jej wiadomość ode mnie? Czy powiesz, że ma ważną pracę? Że jest mi potrzebna tutaj.

— Powiem jej, efendi. — Nazira podniosła się i ukloniła. — Ale Filfil potrzebuje czegoś więcej, żeby wybaczyć ci niewierność. A teraz muszę pomóc al-Zahrze. — Arabskie imię Amber oznaczało Kwiat. — Jeszcze ani razu nie zrobiłyśmy tyle zielonego ciasta, żeby nakarmić wszystkie głodne gęby.

Po jej odejściu Ryder stał jeszcze przez parę minut przy klatce koczkodana, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Lucy kuciała przy prętach, z pękatym brzuszkiem pomiędzy kolanami, i podsuwała głowę, dopominając się o pieszczoty. Uwielbiała drapanie za uszami i iskanie. Wreszcie Ryder westchnął i chciał odejść od klatki. Lucy złapała go za rękę, gdy próbował wysunąć ją spomiędzy prętów, i wbiła w kciuk ostre białe kielki.

— Ty niedobra! — Zbeształ ją łagodnie. Zaskrzeczała, jakby śmiertelnie ją wystraszył, i zawisła na górnych prętach klatki, jazgocząc na niego wściekle.

— Bodaj cię zaraza, ciebie i wszystkie babskie sztuczki! — burknął i posłał kciuk, idąc do portu. Jock McCrump miał nadzieję, że dzisiaj skończy naprawę kadłuba i silnika, więc Ryder zamierzał zabrać Ibisa w próbny rejs.

Penrod chodził po murze wysuniętej reduty naprzeciwko wyspy Tutti. Deptał worki z piaskiem, sprawdzając, czy są porządnie wypełnione. Gdy zapasy durry zostały wykorzystane, kazał napełnić puste worki piaskiem i wzmocnić nimi słabe miejsca fortyfikacji.

— Wystarczy! — powiedział do egipskiego sierżanta, który kierował pracą. — Teraz potrzebujemy belek do stanowisk ogniowych. — Na rozkaz generała Gordona rozbierał opuszczone domy i wykorzystywał belki do naprawienia umocnień.

Szedł szczytem wału z worków z piaskiem, przystając co pięćdziesiąt lub co sto kroków, żeby przyjrzeć się brzegowi rzeki. W pasie błota między podstawą muru a skrajem wody polecił wbić kołki, które pozwalały mu oceniać szybkość opadania rzeki. Przed miesiącem Nil pluskał trzy stopy od szczytu. Dwa tygodnie temu u podnóża muru pokazało się kilka cali błota. Teraz nabrzeżny pas miał sześć stóp szerokości. Poziom wody codziennie opadał. Za parę miesięcy rzeka wejdzie w stadium Niskiego Nilu. Na to czekali derwisze. Szerokie brzegi wyschną, stając się bezpiecznym cumowiskiem dla dau przewożących derwiszów i solidną podstawą do ostatecznego ataku na miasto.

Penrod zeskoczył na przybrzeżny pas błota i przestawił paliki na skraj cofającej się rzeki. Miejscami brzeg był odsłonięty na piętnaście, dwadzieścia stóp. Potrzebują znacznie więcej miejsca do przypuszczenia regularnego ataku, zdecydował, ale widział, że pas codziennie się poszerza. Armia Mahdiego dowodzili przebiegli i doświadczeni wodzowie, ludzie pokroju Osmana Atalana. Niebawem zaczną badać stan umocnień obronnych, organizując nocne napaści i wycieczki. Gdzie uderzą najpierw? — zastanowił się. Szedł wzdłuż muru, wypatrując słabych punktów. Nim dotarł do fortu Mukram, znalazł przynajmniej dwa miejsca, w których mogli spodziewać się pierwszych ataków. Ruszył na poszukiwanie generała Gordona.

Gordon siedział pod trzciniowym daszkiem w jednym ze swoich ulubionych stanowisk obserwacyjnych na murach fortu. Na stole przed nim leżała lornetka, notes i mapy.

— Proszę siadać, Ballantyne — powiedział. — Zapewne jest pan spragniony. — Wskazał gliniany dzban.

— Dziękuję, panie generale. — Penrod nalał wody do szklanki.

— Może być pan pewien, że gotowała się równe pół godziny. — Był to kąśliwy żart. Pod groźbą chłosty Gordon rozkazał dokładnie tyle czasu gotować wodę w garnizonie. Nauczył się tego w czasie kampanii w Chinach. Wyniki przekroczyły najśmielsze oczekiwania. Penrod z początku uważał tę metodę za kolejne dziwactwo, lecz szybko stał się jej żarliwym zwolennikiem. Cholera szalała wśród cywilnych mieszkańców miasta, którzy notorycznie lekceważyli rozporządzenia generała, napełniając bukłaki wodą z rzeki i kanału, dokąd spływały miejskie ścieki. W garnizonie wystąpiły tylko trzy przypadki choroby i jak wykazało śledztwo, wiązały się z nieposłuszeństwem i piciem nieprzegotowanej wody. Wszystkie trzy ofiary zmarły.

— Mieli cholerne szczęście — zauważył Penrod w rozmowie z Davidem Benbrookiem. —

Gdyby przeżyli, Gordon kazałby ich rozstrzelać.

— Nazywają to psią śmiercią. Z chorego wylewają się cuchnące strugi gorących ekskrementów i wymiocin, mięśniami i ścięgnami wstrząsają niezwykle bolesne skurcze, odwodniony człowiek przypomina szkielet! — David zadrzał. — Nie dla mnie, wielkie dzięki. Ja piję przegotowaną wodę.

Penroda przeszły ciarki, gdy wspomniał wstrząsająco wierny opis choroby. A przecież brak wody mógł zabić równie szybko jak cholera. Skwar i pustynne powietrze wysały wilgoć z ciała, aż zaschło mu w gardle. Podniósł kubek, z lubością wdychając zapach pary, który dowodził, że woda jest zdatna do picia. Wypił zawartość w czterech długich łykach.

— Teraz niech pan powie, Ballantyne, co z północnym brzegiem. — Gordon nigdy nie tracił czasu na uprzejmości.

— Zauważyłem wiele słabych miejsc. — Penrod rozłożył na stole połowę mapę i przycisnął róg dzbankiem z wodą. Razem z generałem pochylili się nad arkuszem. — Tu i tu są najgorsze. Poziom wody szybko się obniża, od wczoraj w południe opadł o kolejne trzy cale. Z każdym dniem jesteśmy coraz bardziej bezbronni. Będziemy musieli umocnić te miejsca.

— Bóg wie, że już wymagamy wiele od ludzi i materiału, żeby nadażyć z pracą. — Gordon popatrzył przenikliwie na Penroda. — Co pan proponuje?

— Cóż, jak pan mówi, nie możemy liczyć na utrzymanie całej linii... — Gordon ściągnął brwi. Nie znosił ludzi, których nazywał „czarnowidzami”. Zanim zdążył wysunąć oskarżenie, Penrod podjął w pośpiechu: — Ale przyszło mi na myśl, że możemy specjalnie zostawić kilka luk w obronie, aby skusić derwiszów do ataku w tych miejscach.

— Aha! — Twarz Gordona złagodniała. — Zatrute dary!

— Otóż to, panie generale. Otworzymy furtkę, a za nią zastawimy pułapkę. Wciągniemy ich w ślepy zaułek i ostrzelamy ogniem flankowym z gatlingów.

Gordon z zadumą potarł srebrną szczecinę na szczęce. Mieli tylko dwa gatlingi, pamiątki po ekspedycji Hicksa, który nie zabrał ich do El Obejd, gdyż uznał, że są zbyt ciężkie i nieporęczne. Każdy karabin zamontowany był na ciężkim wózku z solidną osią i dwoma kołami o żelaznych obręczach. Do ich przetaczania używano zwykle zaprzęgu złożonego z co najmniej czterech wołów. Mechanizmy były zawodne i często się zacinały. Hicks przedkładał tradycyjne salwy czworoboków piechoty nad ciągły ogień z jednego odsłoniętego stanowiska. Przyznawał, że gatlingi mogą być przydatne w obronie statycznej, ale jego zdaniem nie było dla nich miejsca w lotnej kolumnie ofensywnej. Przed wymarszem ku klęsce pod El Obejd zostawił w arsenale w Chartumie dwa karabiny i sto tysięcy naboji kaliber 58.

Penrod wybrał się do arsenału po pistolet, żeby zastąpić broń zgubioną przez Jakuba, i znalazł gatlingi w ciemnym kącie, przykryte zakurzonymi brezentowymi płachtami. Karabiny nie były mu obce. Skompletował dwie drużyny złożone z rokujących największe nadzieje egipskich żołnierzy i w ciągu tygodnia nauczył ich obsługi. Choć mechanizm był skomplikowany, uczyli się szybko. Naboje zespolone w miedzianych koszulkach zsuwały się pod własnym ciężarem z zasobnika umieszczonego nad karabinem. Strzelec kręcił korbką i sześć ciężkich mosiężnych luf obracało się wokół osi. Kule z podajnika trafiały do kolejnych luf i po zaryglowaniu osobnymi zamkami były wystrzeliwane, a siła grawitacji wyrzucała łuski. Szybkostrzelność zależała głównie od prędkości obracania korbką. Prowadzenie ognia ciągłego dłużej niż kilka minut wymagało dużej siły i wytrzymałości. Penrod z doświadczenia wiedział, że jeden karabin wystrzeliwuje prawie trzysta naboji w pół minuty. Oczywiście rozgrzany mechanizm szybko się zakleszczał, co było regułą w przypadku wszystkich znanych mu egzemplarzy.

Hicks miał rację pod jednym względem: karabiny Gatlinga były mało mobilne. System obronny

miasta miał sześć mil długości. Penrod zdawał sobie sprawę, że w wypadku niespodziewanego nocnego ataku szybkie przewiezienie gatlingów z jednej pozycji na drugą nie będzie możliwe.

— Wciągniemy siły nieprzyjacielskie przez pozornie słabe miejsca pod ogień gatlingów i skosimy wszystkie, panie generale — podsumował swój projekt Penrod.

— Pierwszorzędny plan! — Gordon rozpromienił się. — Proszę jeszcze raz pokazać, gdzie proponuje pan urządzić zasadzki.

— Sądzę, że miejscem najbardziej oczywistym będzie port. — Gordon pokiwał głową na znak aprobaty. — Drugie miejsce tutaj, naprzeciwko szpitala. — Penrod postukał palcem w mapę. — Za obydwoema pozycjami rozciąga się labirynt wąskich uliczek. Zabarykaduję je stertami gruzu i belek, ustawię gatlingi za murami... — Przez godzinę omawiali strategię.

— Bardzo dobrze, Ballantyne. Proszę dalej.

W końcu Gordon pozwolił mu odejść.

Penrod zasalutował i skierował się do pochylni, która schodziła z murów fortu. W połowie drogi przystanął, żeby spojrzeć na północ. Tylko oczy równie bystre jak jego mogły dostrzec maleńką czarną plamkę na bezchmurnym, ciemnobłękitnym niebie. Z początku pomyślał, że to raróg nadlatuje z północy nad pustynię Monasir. Zauważył, że para wspaniałych ptaków zagnieździła się pod okapem dachu arsenału. Wpatrywał się w rosnącą sylwetkę i w końcu pokręcił głową.

— Sokół inaczej bije skrzydłami. — Po chwili zawołał: — To gołąb!

Przypomniał sobie wyraziście jazdę z północy, kiedy razem z Jakubem ścinali pętlę rzeki. Z wielkim zainteresowaniem przyglądał się lecącemu ptakowi. Gdy zbliżył się do rzeki, wysoko na błękitnym niebie zatoczył szeroki krąg, w którym Omdurman znalazł się pośrodku.

— Wraca do gołębnika. — Rozpoznał manewr. Gołąb zawsze zaczyna długi lot od kołowania, żeby zorientować się w przestrzeni, i w ten sam sposób kończy przed powrotem do gołębnika. Ten ptak zakreślił szeroki krąg, przelatując prawie nad jego głową.

— Następny cholerny posłaniec derwiszów! — Dostrzegł maleńki rulonik ryżowego papieru przywiązany do nóżki. Wyjął zegarek z kieszonki i sprawdził godzinę. — Siedemnaście po czwartej. — Kupił zegarek od konsula Le Blanca za wygórowaną cenę, żeby zastąpić ten, który zamókł w czasie ostatniej przeprawy przez rzekę.

Patrzył, jak gołąb zatacza następny krąg, sięgający nad teren konsulatu, a potem zaczyna schodzić nad szeroki nurt Nilu. Ptak opadł stromo w kierunku bielonej kopuły niewielkiego meczetu na południowych przedmieściach Omdurmanu.

Chowając zegarek do kieszonki, Penrod miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się. Nad parapetem ukazała się głowa generała Gordona.

— O co chodzi, Ballantyne?

— Nie jestem pewien, panie generale, ale postawiłbym złotego suwerena przeciwko gołębiemu łajnu, że Mahdi prowadzi regularną ptasią korespondencję ze swoją armią na północy.

- Jeśli ma pan rację, dałbym więcej niż złotego suwerena, żeby dostać do ręki jedną z tych wiadomości. — Gordon spojrział ponuro na meczet, do którego poleciał gołąb. Minął prawie miesiąc, odkąd Penrod przybył do miasta. Od tej pory nie dostali wieści z Kairu. Nie mieli pojęcia, co się dzieje z generałem Stewartem i kolumną odsieczy. Czy rozpoczęli marsz? Czy zostali pokonani? A może tylko kilka dni drogi dzieli ich od miasta?

— Ballantyne, może pan dostarczyć mi jednego z tych gołębi? — zapytał Gordon cicho.

Nazajutrz parę minut przed czwartą Penrod czekał na tarasie pałacu konsularnego i z zadartą głową wpatrywał się w północne niebo.

— Punktualnie! — zawołał, gdy nad horyzontem pojawiła się ciemna plamka, trochę na wschód

od miejsca, w którym spodziewał się ją zobaczyć. Gdy ptak przelatywał mu nad głową, Penrod, mrużąc oczy, ocenił jego prędkość i wysokość. — Dwieście stóp, i pędzi tak, jakby mu się ogon palił. Daleki strzał — mruknął — Ale nie ma wiatru, a trafiłem kiedyś lecącego wyżej bażanta. — Poglądził wąsy, które odrastały i zbliżały się do dawnej wspaniałości.

Tego wieczoru kolacja w konsulacie miała formalny charakter. Zaproszono tuzin gości, wszystkich pozostałych w mieście członków korpusów dyplomatycznych i cywilnych administratorów chedywa. Jak zwykle Rebecca pełniła obowiązki pani domu. David wystosował zaproszenie do Rydera Courtneya, nie uzgadniając tego ani z nią ani z Saffron. Obydwie z pewnością zgłosiłyby weto, gdyby tylko miały okazję.

Ryder hodował młodą jałówkę bawołu w nadziei, że sprzeda ją z ogromnym zyskiem, kiedy obłęzenie dobiegnie końca. Perspektywa ocalenia z dnia na dzień stawała się coraz bardziej odległa, a zwierzę miało nienasycony apetyt. Kiedy otrzymał zaproszenie od Davida, bez większego żalu kazał zaszlachtować jałówkę i podesłał udziec wraz z dwoma butelkami koniaku do kuchni w konsulacie.

Rebecca uznała jego gest za propozycję pokoju i znalazła się w wielkiej rozterce. Czy powinna odrzucić dar, dzięki któremu wieczór miał święcić triumfy? Jeśli go przyjmie, to będzie równoznaczne z uznaniem istnienia Rydera, na co jeszcze nie była przygotowana. Rozstrzygnęła dylemat, za pośrednictwem Amber śląc do niego liścik, w którym podziękowała za prezent w imieniu ojca. Wiedziała, że to słabość z jej strony, ale uspokoiła sumienie, obiecując sobie, że nie odezwie się do niego słowem, jeśli przyjmie zaproszenie na kolację.

Ryder, jak miał w zwyczaju, przybył jako ostatni. Ubrany w smoking prezentował się nadzwyczaj elegancko, a nadto sprawiał wrażenie tak zadowolonego z siebie i ze świata, że gniew Rebecki znacznie się nasilił.

Nazira mnie okłamała, pomyślała, kątem oka patrząc, jak Ryder gawędzi przyjaźnie z jej ojcem i konsulem Le Blankiem. Wcale nie cierpi, ani trochę.

W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że ona też jest obserwowana. Obejrzała się i zobaczyła, że z drugiego końca pokoju kapitan Ballantyne przypatruje się jej ze znaczącym uśmiechem. Natychmiast się rozżłościła. On zawsze szpieguje, pomyślała. Zanim odzyskała zimną krew i odwróciła wzrok, zauważyła, że włosy i wąsy odrosły mu w dość ujmujący sposób. Rumieniec oblał jej policzki i przypomniły o sobie tamte denerwujące sensacje w dole brzucha. Odwróciła się w stronę Imrana Baszy, byłego gubernatora Chartumu, obecnie podlegającego generałowi Gordonowi.

Dziesięć minut później rozejrzała się podejrzliwie, żeby sprawdzić, czy kapitan Ballantyne wciąż ją podpatruje. Poczowała ukłucie irytacji, kiedy zobaczyła, że jest zaabsorbowany bliźniaczkami — albo one nim. Amber i Saffron piszczały w sposób wielce niegodny młodych dam. Pożałowała, że uległa ich błaganiom i pozwoliła dołączyć do towarzystwa, zamiast kazać im zjeść kolację z Nazirą w kuchni. Drobną satysfakcją sprawiło jej to, że wyznaczyła miejsce dla Saffron obok Rydera Courtneya: mała będzie miała kłopot z dotrzymaniem słowa, że nigdy się do niego nie odezwie. Kapitana Ballantyne'a usadziła jak najdalej od siebie, przy drugim końcu stołu obok ojca.

Udziec był cudownie różowy w środku i ociekał sokiem. Towarzystwo spożywało go w nabożnej ciszy. Dopiero gdy służba zabrała talerze, kapitan Ballantyne szepnął parę słów do Davida Benbrooka, wstał, uklonił się gospodyni i wymaszerował z pokoju. Rebecca nie spodziewała się, że wytłumaczy swoje przedwczesne wyjście. Przecież panowała wojna, a on był odpowiedzialny za obronę miasta. Żałowała tylko, że straciła okazję na utarcie mu nosa.

Spojrzała na drugi obiekt swojej dezaprobaty i stwierdziła, że Saffron najwyraźniej wybaczyła Ryderowi. Na początku posiłku nie zwracał uwagi na jej wyniosłą minę i skupił zainteresowanie na

siedzącej z drugiej strony Amber. To sprawiło, że Saffron była bliska łez zazdrości. Potem zmienił taktykę i zwrócił się do niej z całym swoim męskim urokiem. Nie była na to przygotowana.

— Saffron, czy wiesz, że Lucy ma dzieci? — Nie poznawszy się na pułapce, słuchała z zaciekawieniem, gdy opowiadał, że małpka urodziła bliźnięta, opisywał jak wyglądają maleństwa i jak bardzo Lucy jest z nich dumna. Nazwał je Billy i Lilly.

- Czy mogę jutro je zobaczyć? Proszę, Ryder! — zawołała Saffron.

— Ależ Saffy, Nazira powiedziała mi, że nie czujesz się dobrze.

— To było wczoraj. Czuję się trochę rozstrojona. — Ryder domyślił się, że to określenie jest jednym z jej nowych słów. — Ale już nic mi nie jest. Przyjdziemy z Amber jutro o siódmej rano. — Próba woli zakończyła się kompletną kapitulacją z jej strony.

Rebecca skrzywiła się, zirytowana głupotą dziecka, i skierowała uwagę z powrotem na konsula Le Blanca. Kiedyś podsłuchiwała, jak jej ojciec mówił Ryderowi, że konsul jest wybrykiem natury jak kaczka z czterema nogami. Żałowała, że nie mogła spytać Rydera, co to miało oznaczać. Brzmiało intrygująco, a Ryder wszystko wiedział. Pewnie za jakiś czas mu wybaczę, pomyślała, ale jeszcze nie teraz.

Na deser podano zielone ciasto z ciepłym miodowym sosem: za namową Davida Baczit okradł gniazdo, które dzikie pszczoły zbudowały pod dachem pałacu. Miał przykazane surowo wyjąć tylko jeden plaster — David był łasuchem na słodczyce i nie lubił szafować pszczelim urobkiem. To danie również spotkało się z ciepłym przyjęciem i porcelanowe czarki deserowe z Limoges zostały wymiecione do czysta.

— Nie jadłem takiego posiłku od czasu ostatniej wizyty w Le Grand Vefour w osiemdziesiątym pierwszym — zapewnił Rebecce Le Blanc.

Mimo czterech nóg, jest kochanym starym osłem, pomyślała. W tym nowym dobrotliwym nastroju spojrzała na Rydera, podchwyciła jego spojrzenie i z uśmiechem skinęła głową. Wyrażna ulga na jego twarzy sprawiła jej przyjemność. Czy nie jestem za szybka? — zapytała się w duchu. Nie była pewna, czego dokładnie dotyczy to określenie, ale jej ojciec nie pochwalał szybkich kobiet, przynajmniej tak mówił.

Po wyjściu gości, gdy weszli po spiralnych schodach na piętro sypialni, ojciec położył ręce na jej ramionach, przytulił ją i powiedział, że jest z niej dumny i że wyrosła na śliczną kobietę.

A zatem nie uważa, że jestem szybka, pomyślała Rebecca, lecz mimo to czuła się dziwnie zakłopotana. Szykując się do łóżka, szepnęła do siebie: — Coś tu jest nie w porządku. Dlaczego czuję się nieszczęśliwa?

Życie jest takie krótkie. Może Mahdi jutro przypuści szturm na miasto i wszystko się skończy, a ja jeszcze nie nacieszyłam się życiem.

Miała wrażenie, że potwór usłyszał ją i poruszył się w swoim legowisku, bo rozległ się huk armat. Usłyszała wycie pocisku, a potem wybuch gdzieś w dzielnicy tubylców w pobliżu kanału.

Zarzuciła na ramiona jedwabny szlafroczek, przygasiła lampę i otworzyła drzwi balkonowe. Zawahała się, gdyż opadły ją wyrzuty sumienia i niepewność.

— Nikogo tam nie będzie — powiedziała sobie stanowczo. — Jest po północy. Jeśli jeszcze nie śpi, to jest na nabrzeżu z tymi swoimi gatlingami.

Wyszła na balkon i na przekór sobie zerknęła w cień pod rozłożystymi gałęziami tamaryndowca. Poczowała przykre ukłucie rozczarowania, kiedy jej domysły okazały się trafne. Nikogo tam nie było. Westchnęła, oparła łokcie na murku i spojrzała za rzekę.

Obląkany Beduin wcześniej poszedł spać, pomyślała. Od zachodu słońca derwisze tylko raz strzelili z armaty i teraz panowała cisza. W blasku księżycy patrzyła na nietoperze polujące na owady

w koronie figowca rosnącego przy tarasie. Po paru minutach westchnęła i wyprostowała plecy. Nie jestem senna, ale zrobiło się późno, pomyślała. Powinnam pójść do łóżka.

Zapałka rozbłysła pod tamaryndowcem i serce Rebecki zamarło. W blasku żółtego płomyka ujrzała twarz jaśniejącą niczym rzeźba w kamei na tle panujących wokół ciemności. Penrod trzymał w zębach długie czarne cygaro. Przyłożył zapałkę i zaciągnął się głęboko. Płomyk zapłonął jaśniej.

— Słodki Jezu, jaki on piękny! — Błuznierstwo padło z jej ust, zanim zdążyła się zmytygować. On patrzył na nią, trzymając przed twarzą zapaloną zapałkę. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Stał pięćdziesiąt jardów dalej, ale hipnotyzował ją jak kobra bezbronnego ptaka.

Zdmuchnął zapałkę i jego twarz pogrążyła się w mroku. Pozostał tylko żar cygara, jaśniejący i ciemniejący, w miarę jak Penrod się zaciągał. Ból powrócił, dojmujący i osłabiający, aż w końcu emocje wymknęły się spod kontroli. Rebecca odwróciła się powoli, jak pogrążona w transie, i wyszła na korytarz. Minęła drzwi sypialni ojca. Jej bosc stopy tańczyły coraz szybciej po jedwabnym dywanie, niosąc ją do szczytu schodów. Zbiegła na dół i nagle opadł ją strach, że on już odszedł. Sięgnęła do klamki drzwi frontowych — minęła wieczność, zanim się otworzyły. Pobiegła przez trawnik i stanęła jak wryta, gdy zobaczyła ciemną sylwetkę w tym samym miejscu pod tamaryndowcem.

Penrod wyjął cygaro z ust, rzucił je na kamienne płyty i czekał. Nogi znowu same poniosły Rebecę, najpierw powoli, potem coraz szybciej.

— Ja nie... nie... — wyjąkała.

— Nic nie mów — powiedział. Odczuła głęboką wdzięczność, choć nie pojmowała dlaczego. Wsunęła się w jego ramiona, które zamknęły się wokół niej. Straciła kontakt z rzeczywistością. Jego wargi miały smak dymu cygara zmieszanego z cennym piżmem, kwintesencją męskiej ambry, rzadkim eliksirem pożądania. Była przerażona i bezradna, a jednak czuła się bezpieczna, jak gdyby cudem została przeniesiona do donżonu w pięknym zamku.

Jedwabny szlafrok i lekka bawełniana koszula nocna nie stanowiły dla niego przeszkody. Skóra paliła ją niczym ogień, ale jego zwinne palce roznieciły w jej wnętrzu płomień głębszy i bardziej intensywny. Zamknęła oczy, podniosła głowę i poddała się jego dotykowi. Nagle westchnęła i rozchyliła powieki, gdyż rozkoszne wrażenie było niemal nie do zniesienia. Bolesny węzeł w brzuchu się rozwiązał, ustępując gamie cudownych doznań, które rozprzestrzeniły się na całą jej istotę. Spojrzała w dół i zobaczyła, że szlafrok ma rozchylony do pępka, a usta mężczyzny tulą się do jej piersi. Zacisnął zęby na sutku i dziewczyna pomyślała, że zaraz przegryzie się do samego serca.

Wziął ją na ręce, a ona poczuła się nieważka. Położył ją na trawniku, na chłodnej, miękkiej trawie. Gdy podciągnął szlafrok, nocne powietrze zaczęło pieścić jej uda i brzuch. Poczła na sobie jego ciężar. Dotykał jej tam, gdzie nigdy wcześniej nie była dotykana. Jej uda rozsunęły się same.

Nagle zagrzmiała armata za rzeką. Rebecca usłyszała wycie nadlatującego pocisku i jej nogi zbiegły się jak ostrza nożyczek. Pocisk przeleciał tak blisko, że pozbawił ją tchu i nie mogła krzyknąć. Uderzył we wschodnie skrzydło pałacu i eksplodował w chmurze płomieni, pyłu, kawałków tynku i cegieł.

Rebecca pchnęła mężczyznę z całej siły i wytoczyła się spod niego. Zerwała się jak łania wypłoszona z leśnej kryjówki i pospieszyła, błyskając jasnymi nogami, z powrotem przez taras i po schodach. Biegła gorączkowo do pokoju bliźniaczek, przy sypialni ojca. Drzwi nigdy nie były zamknięte na klucz. Wpadła do środka, wzięła siostry w ramiona i przytuliła mocno. Szlochała z ulgi, że nic im się nie stało, i z powodu swojej ucieczki.

— Nic wam nie jest, moje maleństwa? Och, dobry Jezu, dziękuję ci za opiekę. — Przytuliła je mocniej, ale dziewczynki były rozespiane i marudne.

— Dlaczego nas zbudziłaś? — zapytała Saffron.

— Co z tobą, Becky? Dlaczego płaczesz? — Amber ziewnęła i przetarła oczy. — Dlaczego jesteś taka niemądra?

Do pokoju wszedł ojciec z lampą w dłoni.

— Dziewczynki, nic wam nie jest?

— Co się stało? Skąd to zamieszanie?! — zawołała Saffron.

— Nawet się nie zbudziłyście, prawda? — zaśmiał się David. — Obląkany Beduin będzie niepokieszony. Od miesiący strzela w pałac, a gdy pierwszy raz udało mu się trafić, wy spałyście jak susły. Powiedziałbym, że to świadczy o braku szacunku.

- To była bomba? — zapytała Amber. — Myślałam, że mi się przyśniło.

— Gdzie, tatku? Gdzie trafiła?

— We wschodnie skrzydło, które na szczęście jest puste. Nikt nie został ranny. Nie wybuchł pożar. Nic nam nie grozi.

Bliźniaczki zasnęły, zanim Rebecca wyszła z sypialni, ale gdy sama się położyła, sen nie chciał nadejść. Zaczęła się modlić: — Dobry Jezu, cichy i potulny, dziękuję ci za to, że czuwałeś nad tatą i dziewczynkami. Dziękuję ci, że uchroniłeś mnie przed... — uznała, że nie musi się nad tym rozwodzić, On wiedział wszystko — przed losem gorszym od śmierci. — Gdzieś przeczytała to zdanie i uznała, że chwila jest odpowiednia na jego użycie. — Proszę, nie wódź mnie na pokuszenie. — Jednakże modlitwa niewiele pomogła. Niezupełnie czuła się jak ocalona; przeciwnie, miała wrażenie, że w okrutny sposób została pozbawiona czegoś cennego, czegoś drogiego jak samo życie.

Wspomniała, jak jej dotykał, i znów zabolą ją miejsce, w którym spoczywały jego palce. Nieśmiało przesunęła rękę w dół, żeby sprawdzić, czy jej nie zranił. Drgnęła z przestachu, gdy poczuła gorącą wilgoć. Obejrzała rękę we wpadającym przez okno blasku księżyca. Palce istotnie były wilgotne, ale nie od krwi. Wsunęła rękę i ból znów zaczął narastać. Oddychała urywanie, a pod jej mocno zaciśniętymi powiekami przemykały grzeszne obrazy. Penrod Ballantyne stał nad nią z nożem w dłoni. Wyobraziła sobie jego palce tam, gdzie teraz spoczywały jej własne.

Wielka kula w jej wnętrzu wybuchła i ból nagle przeminął. Ogarnęło ją cudowne uczucie euforii i wolności. Miała wrażenie że zapada się w materacu, że zatapia się w ciepłym, ciemnym gniazdku snu. Kiedy Nazira ją zbudziła, światło dnia wlewało się przez otwarte drzwi balkonowe.

— Co ci się stało, Becky? Jaśniej niż niczym dojrzała morela w promieniach porannego słońca.

Język arabski jest taki romantyczny, pomyślała Rebecca. Idealnie pasuje do mojego nastroju.

— Kochana Naziro, czuję się tak, jakby to był mój pierwszy poranek w życiu — odparła w tym samym języku i zastanowiła się, dlaczego Nazira nagle zrobiła zatroskaną minę.

Penrod rozumiał niechęć, z jaką David podszedł do prośby o pożyczanie swoich cennych dubeltówek z najlepszej londyńskiej firmy rusznikarskiej James Purdey & Sons. W istocie były nadzwyczajne; Penrod wyraził przypuszczenie, że musiały kosztować po pięćdziesiąt funtów za sztukę.

— Sto pięćdziesiąt — poprawił David. — Car Aleksander i kajzer Wilhelm mają prawie identyczne.

— Zapewniam pana, że są mi potrzebne w szczególnym celu. Solenne słowo honoru, będę o nie dbać jak o pierworodnego syna — mamił Penrod.

— Mam nadzieję, że potraktuje je pan lepiej. Nigdy nie można wykluczyć, że człowiek spłodzi niezdolnego bachora. Takie purdeye to zupełnie inna sprawa.

— Może wyjaśnię, dlaczego muszę je pożyczyć — zasugerował Penrod.

David słuchał uważnie, coraz bardziej zaintrygowany. W końcu westchnął z rezygnacją.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem. Bliźniaczki pójdą z panem. — Widząc zaskoczoną minę rozmówcy, dodał: — Są moimi ładowniczymi i nauczyłem je traktować broń z należnym szacunkiem.

Dziewczynki były zachwycone, przy czym Amber bardziej niż Saffron, bo uczestnictwo w misji oznaczało, że przez jakiś czas będzie miała swojego bohatera dla siebie. Obie były gotowe i czekały na tarasie godzinę przed wyznaczoną porą.

Kiedy Penrod się zjawił, najpierw musiały pochwalić się biegłością w ładowaniu i podawaniu broni. Traktowały swoje obowiązki z ogromną powagą, dlatego udał ignorantą i zadał kilka niemądrych pytań, żeby je rozbawić.

— Gdzie wkłada się kule?

— Nie kule, głuptasie. To naboje — poprawiła poważnie Amber, pełniąc funkcję głównej instruktorki. Przedyskutowały tę kwestię wczorajszego wieczoru, po zgaszeniu świateł, kiedy powinny spać. Wreszcie Amber rozstrzygnęła sprawę: - Saffy, możesz uważać Rydera za swojego wyjątkowego przyjaciela, ale kapitan Ballantyne jest mój. Pamiętaj!

Penrod obchodził się ze strzelbami z umyślną niezdarnością, żeby nie psuć przyjemności instruującej go dziewczynce.

— Proszę pamiętać, kapitanie Ballantyne, po strzale należy wyciągnąć otwartą lewą dłoń, żebym mogła włożyć w nią naładowaną strzelbę.

- W ten sposób, panienko Amber? — Penrod zdołał zachować powagę, bo przyszło mu na myśl, że był mniej więcej w jej wieku, kiedy po raz pierwszy uczestniczył w rodzinnym polowaniu w Clercastle w Scottish Borders i stał w szeregu z dorosłymi strzelcami.

— Niech pan nie podnosi ręki tak wysoko, kapitanie Ballantyne, bo nie dosięgnę. — Amber z przykrością przypominała o dzielącej ich różnicy wzrostu. Wreszcie, usatysfakcjonowana, pochwaliła jego starania: — Muszę przyznać, kapitanie Ballantyne, że szybko się pan uczy.

— Uważam, że tworzymy wyśmienity duet, panienko Amber — odparł z powagą, a jej zakręciło się w głowie z radości.

— Tak, ale czy pan już strzelał? — Saffron poczuła się zapomniana, a do tego nie była przyzwyczajona.

— Parę razy — zapewnił Penrod.

— Mój tatuś jest jednym z najlepszych strzelców w Anglii - poinformowała Saffron z dumą.

- Jestem pewna, że kapitan Ballantyne sprawi się bardzo dobrze. — Amber skarciła bliźniaczkę wzrokiem. Czy Saffy choć raz nie może zamknąć buzi na klucz?

— Zobaczmy — odparła Saffron z godnością.

Czekali niecierpliwie na tarasie. Bliźniaczki wypatrywały oczy, bo każda chciała pierwsza dostrzec gołębia. Zobaczyły go w tej samej chwili i pisnęły z podniecenia. Białe jak kość lotki ptaka migotały w słońcu. Frunął wysoko nad rzeką, o wiele za wysoko nad tarasem. Strzelby były załadowane, śrut skutecznie raził w zasięgu sześćdziesięciu jardów, ale gołąb fruwał co najmniej na wysokości trzystu stóp.

— Dlaczego pan nie strzelił? — zapytała Saffron, gdy ptak odleciał.

— Był poza zasięgiem. Gdybym tylko go zranił i zdołałby dotrzeć do gołębnika, derwisze zwęszyliby, co zamierzamy. Musimy zabić czysto.

— Tatuś zastrzeliłby go bez trudu.

— Patrzcie, zawraca. — Amber próbowała powstrzymać siostrę od drażnienia kapitana.

Gołąb zatoczył półkole nad rozproszonymi zabudowaniami Omdurmanu i wrócił nad rzekę, stopniowo tracąc wysokość.

— To powinno załatwić sprawę — mruknął Penrod, podnosząc strzelbę. Jego ruchy były

niespieszne, niemalże niedbałe. Wyciągnął lewą rękę prawie w prostej linii z lufą, prawy policzek przycisnął do kolby. Najechał na sylwetkę ptaka od strony ogona i gładko przesuwiał celownik, przedłużając linię lotu. W ostatniej chwili, gdy palec naciskał spust, wprowadził drobną poprawkę. Odrzut poderwał lufę. Penrod płynnym ruchem odnalazł cel, jego ręce, bark i głowa zastygły we wcześniejszej pozycji. Dubeltówka wypaliła z prawej rury i podskoczyła w chmurze czarnego dymu.

— Pudło! — krzyknęła Saffron.

Ptak leciał tak wysoko, że śrut dotarł do niego dopiero chwilę po tym, jak przebrzmiał huk wystrzałów. Nagle gołąb zakołysał się w powietrzu, bezwładnie opuścił nóżki.

— Trafiony! — pisnęła Amber.

Potem rannego ptaka dosięgnął drugi wystrzał i usłyszeli, jak śruciny uderzają w pióra. Jedna trafiła pod dziób i poderwała łebek przesyty ołowiem.

— Trup! — wrzasnęła Amber. — Martwy jak kamień! Nawet tatuś nie spisałby się lepiej. — Gołąb ze złożonymi skrzydłami pikował ku ziemi, ale impet dotychczasowego lotu znosił go nad wodę.

— Wpadnie do rzeki! — zawołał z trwogą Penrod i rzucił dubeltówkę Amber. To ją zaskoczyło, ale zdążyła chwycić broń, zanim upadła na ziemię. Penrod pobiegł przez trawnik na brzeg rzeki, a ona za nim, dźwigając ciężką strzelbę.

Przez chwilę wyglądało na to, że martwy ptak spadnie na suchy ląd, ale raptem porwał go podmuch wiatru. Penrod wyhamował na błotnistym pasie i patrzył z przerażeniem, jak gołąb ląduje trzydzieści jardów od brzegu w kręgach wody i wydartych piór.

— Krokodyl! — wrzasnęła Amber za jego plecami. Sto jardów za gołębiem Penrod zobaczył potworny łeb rozcinający wodę. Skóra była sękata i grudowata jak kora sędziwej oliwki. — Wielki! - Płynie do gołębia! — zawołała Saffron. Penrod nie wahał się ani chwili. Ściągnął buty i wskoczył do wody, w biegu zdzierając koszulę, aż guziki sypnęły się niczym ziarno pszenicy. Ściągnął bryczesy i został tylko w szykownych gatkach z czerwonego jedwabiu. Biegł w zielonej wodzie, póki nie sięgnęła mu do pasa, a wtedy wyrzucił ręce nad głowę i zanurkował. Gdy tylko głowa znów się wynurzyła, zaczął zagarniać wodę potężnymi wyrzutami ramion. Krokodyl zwabiony hałasem machał wielkim ogonem na boki, pędząc na spotkanie z pływakiem.

— Wracaj! — pisnęła Amber. — Zostaw to głupie ptaszysko!

Penrod płynął jak szalony, młóćąc wodę nogami. Krokodyl był w swoim żywiole i poruszał się znacznie szybciej, ale miał do przebycia odległość trzy razy większą. Penrod złapał ptaka, włożył jego łebek do ust i zawrócił do brzegu.

— Szybciej! — ponaglała Amber dziko. — Płynie za tobą!

Szybciej, proszę! Proszę!

Wielki jaszczur skupił wzrok na człowieku. Zamiast zanurkować, płynął na powierzchni, a długi, ruchliwy ogon zostawiał wzburzony kilwater. Ślepie połyskiwały jak szklane kulki do gry, długie zęby szczyrzyły się w łuskowatej paszczy. Zbliżały się do gołych łydek Penroda.

— Złapie cię! — Amber szalała ze strachu. Dopiero teraz złamała strzelbę i sięgnęła do skórzanej ładownicy na biodrze.

Wyjęła dwa naboje, jeden wsunęła do komory, drugi upuściła w błoto. Nie miała czasu na podnoszenie czy szukanie następnego, więc zatrzasnęła dubeltówkę i wbiegła do rzeki. Woda omyła jej kolana i talię, sięgnęła do żeber.

Penrod na wprost niej wymachiwał rękami jak szaleniec, ubijając wodę na pianę. Amber z grozą patrzyła, jak potwór zmniejsza odległość. Nagle podniósł łeb, szeroko otwierając paszczę. Wnętrze pyska i gardła miało ładny maślany kolor. Gad płynął tak blisko, że wyraźnie widziała płat skóry

uszczelniający przełyk, żeby woda nie zalewała płuc. Zęby miał ostre i nierówne. Ohydny smród buchał z paszczy, która zbliżała się do nóg Penroda.

Amber poderwała strzelbę i odciągnęła ozdobny kurek. W innych okolicznościach potrzebowałaby obu rąk, żeby napiąć mocną sprężynę, ale w tej chwili zachowywała się jak opętana. Kolba była za długa, żeby przyłożyć ją do ramienia, więc wsunęła ją pod pachę. Wycelowwała i zgodnie z naukami ojca nie zamknęła oczu w chwili pociągania za tylny spust. Gdyby nacisnęła przedni, młoteczek spadłby na pustą komorę. David dobrze ją wyszkolił.

Strzelba podskoczyła, huknął strzał i chmara śrutu przeleciała kilka cali nad głową Penroda. Hałas niemal go ogłuszył. Amber razem ze strzelbą, pchnięta przez siłę odrzutu, zniknęła w wirującej wodzie.

Cały ładunek trafił prosto w gardziel krokodyla. Wielkie szczęki zatrzęsły się jak stalowa brama, tułów wygiął się w łuk, lśniący czarny pysk niemal dotknął czubka ogona. Gad do połowy wynurzył się z wody i wykonał salto w tył, potem zanurkował i przepadł w wielkim zielonym wirze.

Penrod znalazł grunt i dobrnął do miejsca, w którym zniknęła Amber. W uszach mu dzwoniło od huków, a gdy potrząsnął głową, żeby pozbyć się tego wrażenia, trzymany w zębach gołąb uderzył go w policzki. Na powierzchni, niczym jakieś śliczne wodorosty, unosiły się złote pasma włosów. Penrod chwycił je w garść i wyciągnął głowę Amber na powierzchnię. Pluła i kasłała, ale nie wypuściła z rąk cennego purdeya. Penrod otoczył ją ramieniem i bezceremonialnie pociągnął do brzegu płataninę mokrych spódnic, włosów i wymachujących kończyn.

— Puść mnie! — wysapała. — Proszę mnie puścić.

Postawił ją na ziemi.

— Wykaszluj wodę — polecił. — Nie połykaj. — Uderzył ją w plecy między łopatkami.

Powyżej tego miejsca do rzeki spływały miejskie ścieki. Nie po to ratował tę małą, żeby zabrała ją cholera.

David, który przyglądał się zdarzeniu z tarasu, teraz biegł z połową personelu na brzeg rzeki. Penrod ukląkł przed Amber.

— Już dobrze się czujesz?

— Tak — wysapała — ale strzelba taty jest mokra.

— Jesteś dzielną, cudowną dziewczynką. — Penrod uściskał ją mocno. — Zabiorę cię za każdym razem, gdy będzie zanosilo się na bijatykę. — Kiedy podbiegł David, Penrod podniósł się, wciąż obejmując jej ramiona. — Proszę wybaczyć mi niestosowne zachowanie, panie konsulu, ale zawdzięczam życie tej młodej damie.

— Nie mam nic przeciwko, kapitanie. Sam zamierzam dać jej buziaka.

Zanim do tego doszło, przybiegła Rebecca z Nazirą.

- Ta brudna rzeka! — Unikając spojrzenia Penroda, Rebecca pociągnęła Amber za sobą. —

Naziro, musimy wykąpać ją w lizolu. — Razem zabrały dziewczynkę do domu.

W łazience, gdy Rebecca i Nazira zdjęły z niej złachmanione, oblepione błotem ubranie, a Saffron wlała kolejne wiaderko podgrzanej wody do głębokiej porcelanowej wanny, Amber nie posiadała się z radości.

— Słyszałaś, Becky, co powiedział? Powiedział, że zabierze mnie do bijatyki.

Rebecca z wyrachowaniem unikała odpowiedzi. Podeszła do wanny i wlała szczodłą miarę lizolu do parującej wody. Saffron nie była taka powściągliwa.

- Teraz pewnie myślisz, że jest twoim fatygantem — zadrwiła.

— Pewnego dnia tak będzie. Poczekaj, a zobaczysz. — Amber położyła ręce na gołych biodrach i gniewnie spojrzała na bliźniaczkę.

— Nie bądź niemądra, Lilipucie — zbesztła ją Rebecca. — Kapitan Ballantyne mógłby być twoim ojcem. Natychmiast chodź tutaj i wskakuj do wanny.

Nazira z bólem w sercu patrzyła, jak Amber wchodzi do wanny. Dziecięce ciało podlegało zmianom. Kobięce wklęsłości i wypukłości pojawiały się w miejscach, gdzie wcześniej były nijakie płaszczyzny.

Tracę moje maleństwa, pomyślała z żalem.

Penrod zapiął spodnie i obejrzał gołębia. Był duży, brązowy, z białymi końcami lotek; zapewne samiczka, bo one bezbłędnie i szybko znajdowały drogę do domu. Wiadomość, złożona i zwinięta w ciasny rulonik, nie większy od pierwszego stawu małego palca, była przywiązana do nóżki cienką jedwabną nicią. Scyzorykiem przeciął nić i zachował ptaka, aby później zanieść go do kuchni. Rulonik owinał w chusteczkę, by go osuszyć, a potem wciągnął buty i ruszył do kwatery generała Gordona w zachodnim skrzydle pałacu, zostawiając Davida rozpaczającego nad zamoczoną strzelbą.

Jak zrozumiałem, polowanie zakończyło się sukcesem. Na brzegu rzeki panowało wielkie poruszenie — powitał go Gordon.

— Udało mi się zestrzelić gołębia pocztowego, panie generale.

— Ma pan wiadomość? — zapytał Gordon niecierpliwie.

— Tak, ale zmoczyła się w rzece. Nie ośmieliłem się jej rozwinąć, bo ryżowy papier mógłby się rozpaść.

— Rzućmy na to okiem. Proszę położyć tutaj. — Penrod posłusznie położył chusteczkę na biurku i rozwinął ją ostrożnie. Uważnie przyjrzeni się rulonikowi.

— Wygląda na to, że wciąż jest w jednym kawałku — mruknął Gordon. — To pańska zdobycz. Niech pan go rozwinie.

Penrod czubkiem ostrza scyzoryka ostrożnie przeciął jedwabną nitkę. Cienki ryżowy papier popękał w miejscach złożenia, gdy go rozprostował, ale rulonik był zwinięty tak ciasno, że wewnętrzna część prawie się nie zamoczyła. Atrament rozlał się i miejscami słowa były nieczytelne.

— Trzeba włożyć papier w książkę i ścisnąć — poradził Penrod — póki zupełnie nie wyschnie.

Gordon podał mu Biblię w skórzanej oprawie.

— Jest pan pewien, generale?

— Zbożna księga do zbożnego celu.

Penrod otworzył Biblię i ostrożnie umieścił świstek pomiędzy kartkami. Zamknął książkę i ręką nacisnął okładkę. Zniecierpliwiony Gordon krążył po pokoju, paląc tureckiego papierosa, aż w końcu nie mógł dłużej wytrzymać.

— To cholera już musi być suche.

Penrod ostrożnie otworzył Biblię. Arkusik ryżowego papieru był rozprostowany, a suche kartki wchłonęły wilgoć, więc atrament bardziej się nie rozlał. Gordon podał mu szkło powiększające.

— Pańskie oczy i znajomość arabskiego z pewnością są lepsze od moich.

Penrod przeniósł Biblię na stół pod oknem, gdzie było lepsze światło. Po chwili mozolnego odcyfrowywania tekstu przeczytał na głos: — „Ja, Abdullah Sajid, syn Fahla, emira Bagarów, pozdrawiam Zwycięskiego Mahdiego, światło moich oczu, oby spłynęło na niego błogosławieństwo Allaha i pierwszego Proroka, który jest również zwany Mahometem”.

— Typowe pozdrowienie — burknął Gordon.

Penrod czytał dalej: — „Posłuszny rozkazom Zwycięskiego Mahdiego pełnię straż nad Nilem w Abu Hamed, a moi zwiadowcy czuwają na drogach z północy. Niewierny Frank i nikczemny Turek nadciągają dwoma odrębnymi szlakami. Parowce Franków tego dnia minęły kataraktę w Korti”.

Gordon plasnął dłonią o biurko.

— Dzięki Bogu! To pierwsza pewna informacja, jaką otrzymałem od sześciu tygodni. Jeśli parowce Wolseleya przybyły do Korti, powinny dotrzeć do Abu Hamad przed końcem ramadanu.

— Jak najbardziej, panie generale! — zgodził się Penrod, choć wcale nie był pewien.

— Dalej, człowieku, dalej.

— Tutaj trochę trudno odczytać. Atrament za bardzo się rozlał. Chyba napisano: „Wielbłądzie pułki Franków wciąż obozują w Gakdul, dokąd przybyły przed dwudziestoma ośmioma dniami”.

— Dwadzieścia osiem dni? Do licha, co ten Stewart wyprawia? — wybuchnął Gordon. — Jeśli ma w sercu choć trochę odwagi, powinien ją wykorzystać. Dotarliby do nas w dziesięć dni.

To styl „Chińczyka” Gordona — pędzić na łeb, na szyję i pal diabli całą resztę, pomyślał Penrod, ale zachował neutralny wyraz twarzy.

— Stewart zalicza się do dowódców, którzy hołdują zasadzie śmierć albo chwała, ale przed wyruszeniem do miasta musi zgromadzić zapasy.

Gordon zerwał się i wyrzucił niedopałek papierosa za okno.

— Z dwoma tysiącami liniowych brytyjskich żołnierzy mógłbym trzymać miasto do sądnego dnia, lecz Stewart nie chce wypuścić ich z Gakdul. — Okręcił się na obcasie i popatrzył na Penroda. — Śmiało, Ballantyne, co jeszcze?

— Niewiele, panie generale. — Penrod pochylił się nad zszarganym karteluszkiem. — „W imię Zwycięskiego Mahdiego i z błogosławieństwem Allaha spotkamy się z niewiernymi w Abu Hamed i wybijemy ich do nogi”. — Penrod podniósł głowę. — To wszystko. Wygląda na to, że Sajidowi zabrakło miejsca.

— Niewielka to dla nas pociecha — zauważył Gordon. — Nil szybko opada.

— Mając parę zwawych wielbłądów Rydera Courtneya, dotarłbym z Jakubem do Gakdul w trzy dni. Mógłbym zanieść Stewartowi wiadomość od pana.

— Nie ucieknie pan ode mnie tak łatwo, Ballantyne. — Ironiczny śmiech Gordona przypominał krótkie szczeknięcie. — Jeszcze nie przez jakiś czas. Będziemy śledzić postępy odsiecz, przechwytyując gołębie.

— Derwisze uznają, że jeden czy dwa ptaki padły ofiarą sokołów, ale gdy będziemy zabijać wszystkie po kolei, nabiorą podejrzeń.

— Oczywiście ma pan rację. Niemniej potrzebuję informacji. Niech pan strzela do co czwartego gołębia.

Muhammad Ahmed, Zwycięski Mahdi, szedł w chłodzie wieczoru brzegiem wielkiej rzeki. Towarzyszył mu kalif Ab-dallahi z pięcioma najbardziej zaufanymi ludźmi. W trakcie przechadzki Mahdi recytował dziewięćdziesiąt dziewięć pięknych imion Allaha, a po każdym z nich rozbrzmiewały chóralne odpowiedzi świty.

— Al-Ghafur, Przebaczący.

— Bóg jest wielki!

— Al-Wali, Przyjaciół Sprawiedliwych.

— Chwała niech będzie Bogu!

— Al-Lawi, Silny.

— Oby Jego słowo triumfowało.

Dotarli do drzewa przy grobie świętego al-Rabba i Mahdi usiadł w cieniu rozłożystej korony, gdzie już czekali dowódcy jego wojsk. Kiedy wezwał ich do raportu, klękali przed nim kolejno i opisywali podległe im oddziały. Z ich słów wynikało, że przed murami Chartumu zgromadziło się siedemdziesiąt tysięcy wojowników, a kolejne dwadzieścia pięć tysięcy wyruszyło na północ do odległego o dwieście mil Abu Hamed, żeby tam czekać na dwie brytyjskie armie. Ci ansarowie byli

najlepsi, a ich żarliwość religijna i oddanie dżihadowi nie miały sobie równych. Mahdi wiedział, że nie ulegną wojsku niewiernych.

Uśmiechnął się do Osmana Atalana.

— Powiedz mi, co wiesz o nieprzyjacielu — rozkazał.

— O Potężny i Zwycięski, umiłowany Boga i drugi proroku, wiesz, że Abdullah Sajid, emir Bagarów, codziennie wysyła gołębie ze swojego obozu w Abu Klea na zakolu Nilu. Nie wszystkie ptaki docierają do gołębników, bo w czasie długiej drogi czyha na nie wiele niebezpieczeństw, ale większość trafia do moich rąk.

Mahdi pokiwał głową.

— Mów, Osmanie Atalanie. Powiedz nam, jakie wieści o ruchach wroga przynoszą te ptaki.

— Sajid donosi, że parowce niewiernych, a jest ich siedem, pokonały ostatnią kataraktę poniżej Korti. Mając za sobą najgorszy etap podróży, płyną szybko, prawie pięć razy szybciej niż poniżej katarakty. Wiozą wielu ludzi i wielkie armaty.

— Bóg odda ich w moje ręce i działa zostaną zniszczone — oznajmił Mahdi.

— Bóg jest wielki! — zgodził się Osman Atalan. — Druga kolumna niewiernych dotarła do Gakdul. Tam się zatrzymali. Nie wiemy z jakiego powodu. Zgaduję, że mają za mało paszy, aby nakarmić wielbłądy przed znojnym marszem. Czekają na zapasy z Wadi Halfie.

— Ilu niewiernych żołnierzy przebywa w Gakdul?

— Boski, Sajid naliczył ponad tysiąc Franków i mniej więcej tyle samo poganiaczy, przewodników i służących.

— Czy tym Frankom rozum odjęło? Jak mogą marzyć o zwycięstwie nad stoma tysiącami moich ansarów?

— Możliwe, że czekają w Gakdul na posiłki — zasugerował Osman ostrożnie.

— Ci niewierni też zostaną unicestwieni. Allah przybył do mnie pod postacią orła z płomieni. Odstąpił przede mną wiele tajemnic, zbyt potężnych dla uszu zwykłego śmiertelnika — odpowiedział Mahdi melodyjnym głosem, a oni wszyscy oddali mu pokłon.

— Błogosławiony jest Mahdi, albowiem tylko on słyszy i rozumie słowo Allaha — wyrecytował śpiewnie kalif Abdallahi.

— Allah rzekł mi, że zanim niewierni Frankowie i Turcy na zawsze zostaną wypędzeni z Sudanu, a także z całego ziemskiego królestwa Allaha i islamu, trzeba zniszczyć wroga Gordona Baszę. Allah powiedział mi, że Gordon Basza jest czarnym aniołem, szatanem w ludzkiej skórze.

— Bodaj był przeklęty na wieki i nigdy nie ujrzał oblicza Boga! — zawołali.

— Allah, Wszechmądry, powiedział mi, że ten szlachetny wojownik islamu, który zetnie głowę Gordona Baszy niczym gorzki, zepsuty owoc, przyniesie ją do mnie iłoży u moich stóp, będzie błogosławiony po wsze czasy, a w raju będzie na niego czekać miejsce po prawicy Boga. Nagrodzony zostanie również władzą i bogactwem w życiu doczesnym.

— Bóg jest litościwy! Bóg jest wielki!

— Allah przemówił do mnie i wyjawiał mi imię sługi, który ma przynieść głowę niewiernego — oznajmił Mahdi z powagą, a oni padli przed nim na twarz.

— Oby chodziło o mnie!

— Jeśli to ja, nie zapragnę innego zaszczytu ani w tym, ani w przyszłym życiu!

Mahdi podniósł ręce i wszyscy ucichli.

— Osmanie Atalanie z Bedżów, przybliży się. — Osman na czworakach przysunął się do jego stóp. — Allah powiedział, że ty jesteś tym wojownikiem.

Łzy radości spłynęły po policzkach emira. Skłonił głowę nad stopami Mahdiego, wybranego

proroka Boga, i łzami spłukał z nich pył, a potem rozwinął turban i osuszył je pasmami długich ciemnych włosów.

— Nil opada — powiedział Osman Atalan — a Bóg i Mahdi wyznaczyli nam ważne zadanie. — Agadżerowie przysunęli się bliżej ogniska i pilnie wpatrywali się w twarz rozświetloną płomieniami. — Wybrali nas spośród wszystkich wojowników Allaha. Radujmy się, gdyż dano nam cudowną okazję, aby oddać życie ku chwale Allaha i Jego Mahdiego.

— Podejmijmy szczodry dar Allaha. Prowadź nas, wielki panie — poprosili agadżerowie. Z dumą spoglądał na ich groźne miny. To nie byli ludzie, tylko lwy ludojady.

— Nasze święte zadanie polega na przyniesieniu głowy Gordona Baszy do stóp Boskiego Mahdiego, bo wszechmogący i potężny Allah zarządził, że kiedy tego dokonamy, niewierni na zawsze opuszczą nasze ziemie i islam zapanuje na całym świecie.

— Czy mamy czekać na porę Niskiego Nilu, żeby zająć przyczółek na chartumskim brzegu i sforsować mury? — zapytał al-Nur.

— Każdy dzień zwłoki przybliży ku nam siły szatana z północy. Parowce pełne ludzi i armat już spieszą w górę rzeki. Tak, woda wciąż jest wysoka, ale Bóg przygotował nam drogę. — Osman klasnął w ręce. Na ten znak niepewnym krokiem w krąg blasku wszedł starzec i ukląkł przed nim. — Nie lękaj się, umiłowany Boga. Nie spotka cię krzywda. Powiedz tym ludziom, co wiesz.

— Urodziłem się i przez całe życie mieszkałem w Mieście Trąby Słoniowej, Chartumie. Odkąd Zwycięski Mahdi okrążył miasto i rozpoczął oblężenie, spadła na nie klątwa Allaha. Niewierni i Turcy, którzy stawiają opór jego mądrości i prawdzie, znoszą katusze nieznane dotąd człowiekowi. Ich puste brzuchy przylegają do krzyżów, cholera zabiera im dzieci, sępy pożerają gnijące trupy, a ojcowie kijami zabijają ptaki, których wola pęcznieją od ciał ich dzieci, i zjadają je na wpół surowo. — Agadżerowie poruszyli się niespokojnie, słuchając tej makabrycznej wyliczanki. Cóż za ohyda, zjadać mięso ptaka, który wcześniej pożarł zwłoki dzieci. — Ci, którym starcza na to siły, uciekają z przeklętego miasta, a obrońcy z dnia na dzień są coraz bardziej głodni i słabi. Ja jestem jednym z tych, którzy uciekli, ale podobnie jak wy pragnę zobaczyć odwrót niewiernych z Sudanu i śmierć tego syna zła, Gordona Baszy. Dopiero gdy Mahdi zaprowadzi pokój, będę mógł wrócić do swojego domu.

— Niech Allah cię wynagrodzi — wymruczeli. Starzec był sędziwy i słaby, ale podziwiali hart jego ducha.

— Szeregi Turków, którzy walczą dla Gordona Baszy, przerzedziły się wskutek chorób, głodu i dezercji tak bardzo, że niewierni już nie mogą upilnować murów miasta. W miejsce żołnierzy Gordon Basza każe stawiać ludzi ze słomy, strachy na wróble, które mają siać popłoch w waszych sercach.

— O co chodzi z tymi słomianymi ludźmi? — zapytał Hasan Ben Nader. — To prawda?

— Prawda — potwierdził Osman. — Dau tego dzielnego starca podpłynąłem do wejścia portu. W ciągu umocnień jest kamienna brama, przez którą wypływa struga. To główne ujście miejskich ścieków. Gordon Basza obstawił bramę i mury po obu stronach kukłami, żeby zastąpić żołnierzy, którzy zmarli albo uciekli. Nad blankami widać tylko głowy. Co jakiś czas porusza nimi kilka starszych kobiet, żeby z naszego brzegu wyglądały na żywe istoty. W tym miejscu nikt nie da odporu naszej napaści. Jednym atakiem zdobędziemy przepust, a potem całe miasto będzie nasze i wszyscy jego mieszkańcy.

— Znajdziemy wielkie skarbcze ze złotem i klejnotami — mruknął al-Nur.

— W mieście są kobiety, setki kobiet. Na swoje żony, nałożnice i niewolnice Turek wybrał najpiękniejsze kobiety z całego Sudanu i okolicznych krain. Dla każdego z nas przypadnie co najmniej po tuzinie. — Oczy Hasana Ben Nadera rozblęskły w blasku ognia. — Kobiety Franków

mają włosy jak jedwab, a ich skóra przypomina tłustą śmietankę.

— Nie mówcie o złocie i niewolnicach. Walczymy dla chwały Allaha i Mahdiego — Osman skarcił ich za chciwość. — Walczymy dla własnego honoru i miejsca w raju.

— Kiedy zaatakujemy słomianych ludzi? — Al-Nur zaśmiał się z podniecenia. — Za długo siedzę ze swoim haremem i obrastam tłuszczem. Czas ruszyć do boju.

— Za trzy noce od dziś będzie noc ciemnego księżyca i wtedy przebędziemy rzekę. Wysadzimy na plaży dwustu ludzi, bo więcej się nie zmieści. Kiedy uczynimy wyłom, podążą za nami tysiące. O świcie stanę na murach fortu Mukram z głową Gordona Baszy w rękach, i tak oto wypełni się proroctwo. — Osman wstał i nakreślił znak błogosławieństwa. — Dopilnujcie, żeby wasze miecze były ostre, a żony zapłodnione, zanim ruszymy za rzekę.

Stary rybak, wuj Jakuba, dał sygnał. Cisnął garść siarki w płomień ogniska i Jakub wypatrzył kłęb żółtego dymu — zameldował Penrod.

— Możemy mu ufać, temu Jakubowi? — dopytywał się „Chińczyk” Gordon. — Dla mnie wygląda na skończonego łajdaka.

— Niejeden raz zaufałem mu w opałach i wciąż żyję, generale. — Penrod zapanował nad gniewem, choć nie bez trudności.

— Czy powiadomił, kiedy zaatakują derwisze, jeśli w ogóle dojdzie do ataku?

— Nie, tego nie wiemy, ale spodziewam się, że atak nastąpi w czasie nowiu.

Podczas gdy Gordon zaglądał do almanachu, sprawdzając fazy Księżyca, David Benbrook, trzeci mężczyzna w pokoju, pozwolił sobie przedstawić własną ocenę.

— Wuj Jakuba jest odważnym człowiekiem. Znam go dobrze.

Służył mi, odkąd przybyłem do Chartumu. Jego informacje zawsze były wiarygodne. — David siedział w fotelu przy oknie. Ostatnio dużo czasu spędzał z generałem. Tworzyli dziwną parę, ale w miarę jak Gordonowi przybywało zgryzot, towarzystwo konsula niosło mu pewną pociechę.

Penrod dyskretnie przyglądał się twarzy generała. Nawet teraz, gdy panował względny spokój, nerwowy tik wprawiał w drżenie prawą powiekę. Była to jedyna widoczna oznaka nieustannego napięcia, w jakim żył Gordon. Głębszą i bardziej znaczącą wskazówkę stanowiły brutalne okrucieństwa, jakich się dopuszczał. Penrod miał wrażenie, że generał z dnia na dzień staje się coraz bardziej nieludzki, jakby za pomocą korbacza, plutonu egzekucyjnego i stryczka mógł opóźnić upadek miasta. Nawet on musi wiedzieć, że nasze wysiłki zbliżają się do kresu, że nie ma już nadziei ratunku dla mieszkańców. Czy naprawdę wierzy, że zmusi ludzi do posłuszeństwa, wykazując, iż konsekwencje niestosowania się do nakazów są znacznie gorsze od tego, co może zrobić im Mahdi? Penrod przyglądał się twarzy Gordona, gdy rozmawiał z Davidem. Przynajmniej Benbrook jest człowiekiem, pomyślał. Jego wpływ na Gordona może wyjść tylko na dobre.

Odsunął od siebie te rozważania, kiedy Gordon wstał i zwrócił się do niego: — Chodźmy do portu, Ballantyne. Obejrzymy przygotowania do obrony przed rychłym atakiem.

Penrod wiedział, że pokazywanie się Gordona na murach w miejscu spodziewanego ataku nie jest mądre: zbyt wielu szpiegów obserwowało każdy ruch generała, a poza tym derwisze byli zbyt przebiegli, żeby nie podejrzewać, iż może szykować jakąś niemiłą niespodziankę. Ale wiedział też, że jeszcze bardziej niemądre jest sprzeciwianie się temu człowiekowi małego wzrostu.

Jednakże niepotrzebnie się przejmował. Gordon był starym lisem, zbyt szcwanym, żeby poprowadzić psy do wejścia do swojej nory. Zanim opuścili pałac, zdjął charakterystyczny fez i zastąpił go brudnym turbanem, przysłaniając końcem zawoju połowę twarzy, a potem zarzucił na ramiona poplamioną, niczym się nie wyróżniającą galabiją. Z daleka wyglądał jak przeciętny, skromny obywatel Chartumu.

W porcie nie pokazał się na murach, ale przeprowadził skrupulatną inspekcję przygotowań poczynionych przez Penroda. Wyglądał przez wszystkie strzelnice w ścianach zrujnowanych budynków, które stały nad hałaśliwą, pełną nieczystości strugą. Stał za gatlingiem i przesuwał lśniące lufy z boku na bok. Nie był zadowolony z martwego pola bezpośrednio pod gniazdem karabinu. Zszedł w szlam strugi, ustawił się na linii ognia, następnie przysunął do działa.

— Wycelujcie we mnie! — rozkazał.

Strzelec obniżył lufy i z irytacją pokręcił głową.

— Stoi pan za blisko, generale. Niżej nie można.

— Kapitanie Ballantyne, jeśli derwisze dotrą tutaj, znajdą się poza polem rażenia. — Gordon ucieszył się, że zdołał zaskoczyć podwładnego.

Penrod rozumiał, że nadmiar obowiązków nie jest wytłumaczeniem: dopuścił się zaniedbania i zrugął się za to w duchu. Takie elementarne przeoczenie jest niemal równie złe jak brak amunicji, pomyślał z goryczą. Rozkazał inżynierom rozebrać wał z worków i obniżyć przedpiersie.

— Gdzie umieścić pan drugi karabin? — zapytał Gordon. Zepchnął Penroda do obrony i teraz wykorzystywał uzyskaną przewagę.

— Wciąż jest w reducie przed szpitalem. To drugi słaby punkt w naszym systemie obronnym. Nie śmiem zostawiać tej luki bez obrony, wychodząc z założenia, że uderzą właśnie tutaj. Derwisze mogą przypuścić jednoczesny atak na obie pozycje.

— Uderzą tutaj — oświadczył Gordon kategorycznie.

— Zgadza się, to najbardziej prawdopodobne. Dlatego zbudowałem drugie gniazdo tam, skąd karabin może pokryć ogniem plażę. Brzegi strugi znajdują się pod ostrzałem flankowym. Gdy tylko zacznie się atak, przyciągnę karabin spod szpitala i obsadzę drugie stanowisko. Jeśli nasze założenia okażą się błędne i derwisze uderzą na szpital, przeniosę ten karabin na tamtą pozycję — Ile czasu zajmie przemieszczenie karabinu?

— Szacuję, że około dziesięciu minut.

— Bez szacunków, Ballantyne. Proszę przeprowadzić ćwiczenia i zmierzyć czas.

Podczas pierwszej próby w uliczce za portem obsługa karabinu natknęła się na stos cegieł. Najpierw trzeba było je uprzątnąć, dopiero potem przetoczyć ciężki wózek. Druga próba wypadła znacznie lepiej: przewiezienie karabinu i umieszczenie go w gnieździe zajęło dwanaście minut.

— Będzie ciemno — zaznaczył Gordon. — Obsługa musi wykonać zadanie z zamkniętymi oczami.

Penrod kazał ćwiczyć manewr do późnej nocy. Usunęli wszystkie przeszkody z ulic i zaułków, wyrównali wyboje i rynsztoki. Penrod zaprojektował nową uprząż, żeby dwudziestu ludzi naraz mogło ciągnąć wózek z karabinem.

Rankiem drugiego dnia zeszli do siedmiu i pół minuty. Ćwiczenia odbywały się po zmroku, po godzinie policyjnej. Gdyby derwisze dowiedzieli się, że obrońcy ćwiczą przemieszczanie karabinów z jednego miejsca w drugie, zwęszyliby zasadzkę. Penrod nie był pewien, czy wiedzą o istnieniu gatlingów: przez długi czas stały w arsenale zapomniane, ukryte przed wścibskimi spojrzeniami. Tak czy inaczej derwisze mieli w głębokiej pogardzie wszelką broń palną. Mało prawdopodobne, żeby kiedyś widzieli gatlingi w akcji, więc nie znali ich niszczycielskiej siły rażenia. Penrod szkolił obsługę w miejscach niewidocznych z drugiego brzegu Nilu. Strzelali tylko na otwartej pustyni na południe od miasta. Kiedy karabiny nie były używane, kazał okrywać je plandekami.

— Za pańskim pozwoleniem, generale, tymczasowo przeniosę się do portu. Chciałbym być na miejscu, kiedy nastąpi atak. Biorąc pod uwagę okoliczności, natarcie może się skończyć, zanim przybiegnę z pałacem.

— Dobrze — zgodził się Gordon. — Ale jeśli szpiedzy derwiszów odkryją, że założył pan tutaj stałą kwaterę, nasz plan spali na panewce.

— Pomyślałem o tym, panie generale. Jestem pewien, że moja przeprowadzka nie wzbudzi podejrzeń.

Dopuszcili do tajemnicy tylko Davida Benbrooka; nawet jego córki i pracownicy konsulatu nie wiedzieli, że Penrod przeniósł się do portu. Rozpuścili wieści, że kapitan Ballantyne potajemnie opuścił miasto, wysłany przez generała Gordona na spotkanie kolumny odsieczy w Gakdul.

Nowa kwatera w niczym nie przypominała luksusowego apartamentu w pałacu. Penrod ustawił angareb w maleńkiej ziemiance za gniazdem gatlinga. Nie miał moskitiery i przez większą część nocy polował na owady, których chmary unosiły się nad strugą. Prowiant też się nie umywał do pożywienia serwowanego w konsulacie, które, choć kiepskie, było wzbogacone dzięki pomysłowości siostr Benbrook, Naziry, kucharzy i oczywiście bystremu oku Davida. W nowej kwaterze Penrod dostawał to, co jedli jego ludzie. Gordon z konieczności ograniczył wydawanie durry i głód stał się nieodłącznym, upiornym towarzyszem obłożonych. Jakub przynosił wyzebrane od wuja suszone rybie łby i ościste szkielety. Trafiały do wspólnego garnka, którym Penrod dzielił się ze strzelcami. Niektórzy Egipcjanie jedli mięksiz drzew palmowych i gotowali rzemienie ze swoich legowisk. Penrod tęsknił za niegdyś obrzydliwym smakiem zielonego ciasta, które córki Benbrooka regularnie dostarczały z kompleksu Rydera Courtneya.

Nie mógł pokazywać się w mieście, przebywał wyłącznie w porcie. To dobrowolne ograniczenie wolności było jeszcze bardziej denerwujące niż ciasna kwatera i odrażające jedzenie. Z ulgą kierował całą swoją energię i wyobraźnię na przygotowania do zbliżającego się ataku.

Jego plan miał dwie części. Najpierw musiał zwabić derwiszów przez kanał w zewnętrznym murze do wąskiego koryta strugi. Potem należało dopilnować, żeby nie mogli się wydostać żywi. Gordon ograniczył swoje inspekcje do godzin nocnych. Penrod nie spodziewał się pochwał, ale pilnował, żeby generał nie miał powodów do krytyki.

Po zakończeniu przygotowań Jakub okazał się mniej wstrzemięźliwy od „Chińczyka” Gordona.

— Z pomocą mądrego Jakuba zbudowałeś rzeźnię — zachichotał. — Jatkę dla tych świń, ansarów. — Odruchowo sięgnął do rękojeści sztyletu, wodząc wzrokiem po wzniesionej palisadzie.

Żołnierze przynieśli suche belki ze zrujnowanych budynków i po obu stronach strugi spiętrzyli wielkie stosy. Penrod kazał je rozmieścić w taki sposób, żeby po rozpaleniu ognisk płomienie oświetlały wroga, ale nie oślepiały strzelców. Co wieczór jego ludzie polewali drewno naftą, żeby zajęło się w mgnieniu oka.

Nagle tajemnicze zniknięcie kapitana Ballantyne'a wprawiło siostry Benbrook w konsternację o różnym nasileniu. Saffron, która cierpiała najmniej, czasami myślała, że zabrakło jej bata do dręczenia bliźniaczki. Pod nieobecność „fatyganta” naśmiewanie się sprawiało znikomą satysfakcję. Poza tym ilekroć poruszała temat, rozpacz Amber zupełnie psuła jej zabawę. Dokuczanie bawiło, ale zadawanie bólu już nie.

Rebecca natomiast nabrała takiej wprawy w skrywaniu prawdziwych uczuć, że Saffron nie miała pojęcia, jak głęboko zabołała ją zniknięcie Penroda. Gdyby się tego domyślała, miałaby większe pole do popisu.

Kiedy Amber niemal sobie wmówiła, że już nigdy nie zobaczy kapitana Ballantyne'a i że nie pozostaje jej nic innego, jak samobójstwem zakończyć swoją tragiczną egzystencję, Jakub uratował jej życie. Nie był to świadomy akt miłosierdzia; po prostu Jakub uległ nakazowi swoich niższych instynktów.

Bardzo nie w smak był mu surowy zakaz opuszczania portowych umocnień nad cuchnącą

wylęgarnią owadów. W ciągu ostatnich miesięcy przywykł do lepszego życia. Co wieczór Nazira dawała mu miskę tej samej stawy, którą raczył się konsul generalny ze swoją rodziną. Nie była to nadzwyczajna wyzerka, ale znacznie przewyższała wodnisty gulasz, który pachniał i smakował zgniłymi rybami i suszonymi skórami zwierząt.

Jednakże najbardziej kłopotliwy aspekt nowego życia polegał na tym, że Jakub co noc leżał przy angarebie swojego pana, czekając na atak derwiszów i zastanawiając się, czy Nazira jest mu wierna. Choć jej dotychczasowe zachowanie nie wskazywało na nic niepokojącego, zdrada była niewykluczona. Nie dawała mu spokoju myśl, że perfidny Baczit, ten bękarczi syn z ojca Bedży i tancerki Galla, nie miał zakazu poruszania się nocą. Myśl o Ba-czicie wślizgującym się co noc do sypialni umiłowanej nie pozwalała mu zasnąć skuteczniej niż wszystkie moskity znad strumienia. Wstał po cichu i wyszedł z ziemianki, niby z zamiarem skorzystania z latryny. Strażnik zatrzymał go przy portowej bramie, ale Jakub znał hasło.

Amber siedziała w oknie sypialni. Trzy dni minęły od zniknięcia kapitana Ballantyne'a. Dręczyła się myślą, że może pojмали go derwisze, zanim dotarł do linii brytyjskich. Słyszała, jaki los spotyka tych, którzy wpadają w zakrwawione szpony potwora, i wiedziała, że tej nocy na pewno nie zaśnie.

Ktoś poruszył się w cieniach dziedzińca pod jej oknem. Odsunęła się szybko. Może to skrytobójca nasłany przez złego Mahdiego? W tej chwili mężczyzna podniósł głowę, a ona natychmiast rozpoznała go po zezowatych oczach.

— Jakub — szepnęła. — Przecież miał jechać z Penrodem do Gakdul. — Jakub był cieniem Penroda: gdzie szedł Penrod, tam szedł Jakub.

Spłynęła na nią zapierająca dech prawda. Skoro Jakub jest tutaj, w takim razie Penrod musi być gdzieś w pobliżu. Wcale nie pojechał do Gakdul. Dopiero niedawno pozwoliła sobie nazywać go w myślach Penrodem, a nie kapitanem Ballantyne'em.

Melancholia i czarne myśli przeminęły jak ręką odjął. Amber dokładnie wiedziała, dokąd idzie Jakub. Zeskoczyła z parapetu, pobiegła lekkim krokiem do garderoby i zarzuciła ciemny płaszcz na koszulę nocną. Przystanąła tylko na chwilę, żeby sprawdzić, czy Saffron się nie zbudziła, potem wysmyknęła się z sypialni i zbiegła po schodach, pamiętając, żeby ominąć dwunasty stopień, który zawsze skrzypiał i budził ojca. Bocznymi drzwiami wyszła z kuchni i pobiegła przed podwórze stajenne do kwater dla służby. W oknie Naziry paliło się światło. Amber zajęła stanowisko obserwacyjne w pustej stajni i czekała. Przez parę godzin zachodziła w głowę, co Jakub i Nazira robią przez tak długi czas. Rebecca powiedziała, że ci dwoje uprawiają miłość. Amber nie była pewna, na czym polega ta procedura: jej usilne dociekania niewiele się przyczyniły do zrozumienia tematu. Podejrzewała, że sama Rebecca, choć udawała mądrą, była równie niezorientowana jak ona.

— To wtedy, gdy ludzie się całują — powiedziała Rebecca wyniośle — ale nieładnie o tym mówić.

Dla Amber wyjaśnienie było mało satysfakcjonujące. Większość widzianych przez nią pocałunków była przelotna i zwykle składana na policzku lub dłoni, co wydawało się naprawdę nudną zabawą. Jedyne ekscytujący wyjątek stanowiła podpatrzona przez nią i Saffron scenka z udziałem Rydera i Rebecki, będąca przyczyną wielkiego zamieszania. Tak, to było znacznie bardziej interesujące. Oboje uczestnicy najwyraźniej czerpali z pocałunku dużą radość, ale nawet w tym przypadku nie trwał on dłużej niż minutę. Dla porównania, Jakub i Nazira robili to przez połowę nocy.

Zapytam Nazirę, zdecydowała, a potem wpadła na lepszy pomysł.

— Zapytam Penroda, tylko muszę się dowiedzieć, gdzie on się podziewa. Jest mężczyzną, musi wiedzieć takie rzeczy.

Krótko przed świtem światło w pokoju Naziry przygasło, a chwilę później Jakub pojawił się w drzwiach i z pełnym poczuciem winy pośpiechem ruszył przez ciemne, milczące ulice. Amber śledziła go do samego portu, gdzie zatrzymali go strażnicy. Wtedy musiała wrócić do pałacu, bo ktoś mógłby zauważyć jej nieobecność.

— Kot dorwał się do śmietanki? — zapytała Saffron. Dobry humor siostry po wielu ponurych dniach stanowił tak znaczną odmianę, że wręcz musiała ją zagadnąć, gdy razem pracowały przy kotłach z zielonym ciastem w kompleksie magazynów Rydera Courtneya.

Amber odpowiedziała słodkim, ale enigmatycznym uśmiechem i nie dała się wciągnąć w rozmowę.

Wieczorem, niedługo po godzinie policyjnej, Penrod Ballantyne ze zdumieniem rozpoznał głos Amber. Dziewczynka wyklócała się z wartownikami przed stanowiskiem karabinu maszynowego. W jednej chwili wybiegł z ziemianki, zapinając pas z szablą.

— Głupiutkie dziecko — zbeształ ją surowo. — Dobrze wiesz, że obowiązuje godzina policyjna. Ktoś mógł cię zastrzelić.

Amber liczyła na cieplejsze przyjęcie.

— Przyniosłam panu trochę zielonego ciasta. Wiem, że przymiera pan głodem. — Rozpakowała niewielkie zawiniątko. — I czystą koszulę taty. Pańską czuć z daleka.

Penrod miał zamiar wybadać, jak dowiedziała się o jego miejscu pobytu, kiedy w świetle ślepej latarki dostrzegł w jej oczach łzy upokorzenia. Zamrugła i spojrzała na niego, wysoko podnosząc podbródek.

— Co więcej, kapitanie Ballantyne, chcę, aby pan wiedział, że wcale nie jestem głupiutkim dzieckiem.

— Oczywiście, że nie, panienko Amber. — Natychmiast ustąpił. — Zaskoczyłaś mnie. Po prostu nie spodziewałem się ciebie tutaj. Przepraszam.

Od razu się ożywiła.

— Jeśli da mi pan starą koszulę, zabiorę ją do uprania.

Penrod znalazł się w rozterce. W obliczu groźby rychłego ataku powinien natychmiast odesłać ją do domu. Z tego samego powodu nie śmiał opuszczać stanowiska, żeby ją odprowadzić, a nie mógł pozwolić, by samotnie błąkała się po mieście. Posłałby z nią Jakuba, lecz potrzebował go tutaj. Do nikogo innego nie miał zaufania. Wybrał mniejsze zło.

— Spędzisz noc tutaj. Nie mogę puścić cię samej po godzinie policyjnej — mruknął.

Amber pokraśniała z radości. Ten uśmiech losu przewyższył jej najśmielsze oczekiwania.

— Ugotuję panu kolację.

— Niewiele jest do gotowania, więc może zjemy na spółkę twój szczodry dar w postaci zielonego ciasta?

Usiedli na łóżku w ziemiance. Zasłon nie było, więc strzelcy odgrywali rolę mimowolnych przyzwoitek, gdy oboje skubali zielone ciasto i rozmawiali ścisłymi głosami. Penrod po raz pierwszy miał okazję spędzić z Amber więcej czasu i szybko się przekonał, że jest zabawną towarzyszką. Miała szelmowskie poczucie humoru, które mu się podobało, i interesujący sposób wysławiania się. Opisała swoje podróże z ojcem, od Kapsztadu po Kair i wreszcie do Chartumu. Nagle umilkła, wsparła podbródek na ręce i przyjrzała mu się z zadumą.

— Kapitanie Ballantyne, skoro już zostaliśmy przyjaciółmi, czy zechce pan odpowiedzieć na pytanie, które ostatnio nie daje mi spokoju? Wygląda na to, że nikt nie zna odpowiedzi.

— Jestem zaszczycony, że uważasz mnie za przyjaciela. — Penrod był poruszony. Ta mała jest taka zabawna, pomyślał. — Z radością udzielę ci wszelkiej pomocy.

— Jak ludzie uprawiają miłość?

Penrodowi zabrakło słów i tchu, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Aha! — mruknął i pogładził wąsy, żeby zyskać na czasie. — Myślę, że na różne sposoby. Nie wydaje się, żeby istniały jakieś ściśle określone zasady.

Amber była zawiedziona. Spodziewała się po nim czegoś więcej. Najwyraźniej wiedział tylko tyle samo co Rebecca.

— Przypuszczam, że się całują, jak moja siostra z Ryderem. Tak to się robi?

— Z całą pewnością. — Z ulgą skorzystał z furtki, którą przed nim otworzyła. — Dokładnie o to chodzi.

— Moim zdaniem po jakimś czasie to robi się nudne.

— Niektórzy się przyzwyczajają. Kwestia gustu. Amber z irytującą nagłością znowu zmieniła temat.

— Wie pan, że Lucy, małpka Rydera, ma dzieci?

— Nie miałem pojęcia. Chłopców czy dziewczynki? Jak wyglądają? — Z radością wkroczył za nią na pewny grunt.

Parę minut później Amber zamknęła oczy, oparła się o jego ramię i jak zmęczony szczeniak zapadła w sen. Nie poruszyła się nawet wtedy, gdy położył ją na łóżku i przykrył wyświechtanym kocem. Był w dobrym humorze i uśmiechał się do siebie, idąc na nocną inspekcję portowych umocnień. Choć raz wszystkie egipskie posterunki czuwały. Albo ożywiała ich bliskość nieprzyjaciela i zagrożenie związane ze służbą na wysuniętej pozycji, albo głód nie pozwalał im zasnąć.

Penrod znalazł wygodne miejsce na stanowisku strzeleckim i słuchał łoskotu bębnow z za rzeki. Monotonny rytm działał usypiająco i w pewnej chwili głowa zaczęła mu się kiwać. Wyprostował się z poczuciem winy: Jeśli „Chińczyk” Gordon mnie przyłapie, stanę przed plutonem egzekucyjnym. Obszedł parapet, potem wrócił na poprzednie miejsce. Odprężony, balansował na krawędzi snu, ale co parę minut otwierał oczy. Opanował sztukę chodzenia po tej linii. Bębny po drugiej stronie rzeki umilkły.

Otworzył oczy i podniósł głowę. Czerwony Mars, bóg wojny, polował na południowej ćwiartce nieba z psem Syriuszem na smyczy. Nastąpiła najciemniejsza, najbardziej samotna godzina nocy. Chciało mu się spać, ale nie zamykał oczu.

— Penrod.

Chłodne palce musnęły jego policzek.

— Śpisz?

Odwrócił głowę. Wzruszyło go, że zwróciła się do niego po imieniu. Naprawdę musiała uważać go za przyjaciela.

— Nie, nie śpię, ale ty powinnaś.

— Usłyszałam głosy — szepnęła Amber.

— Może ci się przyśniły. Nie słychać żadnych głosów.

— Słuchaj!

Usłyszał ciche ujadanie psa na zachodnim brzegu i odpowiedź drugiego z wyspy Tutti w dole rzeki. W Chartumie nie został się ani jeden pies. Ostatniego zabito i zjedzono wiele miesięcy temu.

— Nic. — Z powątpiewaniem pokręcił głową, ale ona złapała go za ramię, boleśnie wbijając w nie paznokcie.

— Słuchaj, Pen. Słuchaj!

Jego nerwy naprężyły się jak linka pod ciężarem dużej ryby. Szept był taki cichy, taki ulotny na

nocnym wietrze, że tylko młode ucho mogło go wychycić. Dobiegał od strony rzeki. Dźwięk niesie się nad wodą, pomyślał, wstając szybko i bezszelestnie. Nagle usłyszał słowa, ciche jak szum wiatru w palmowych liściach. Była to tradycyjna komenda opuszczenia i złożenia łacińskiego żagla *dau* przed zacumowaniem. Wyteżył słuch do granic możliwości. Usłyszał miękkie plaskanie bosych stóp po drewnianym pokładzie i szelest płótna. Parę sekund później zaskrzyphiał podnoszony ster.

— Przybyli — powiedział i ruszył pospiesznie wzdłuż stanowisk, żeby ostrzec swoich ludzi. — Gotuj się! Do karabinów.

Derwisze są tutaj. Strzelać na moją komendę.

Sierżant już ścigał plandekę z gatlinga. Sztywny brezent szeleścił. Penrod syknął, nakazując zachowanie ciszy. Zajrzał do zasobnika z nabojami, zamontowanego nad korpusem lśniącej broni. Był pełen po brzegi: sześćset sztuk. Podniósł wieka skrzynek z zapasową amunicją. Wspomniał opowieści o bitwie na wzgórzu Isandluana, kiedy zuluskie impi przełamały czworobok Brytyjczyków. Skrzynie z amunicją były zamknięte, a oficer, który miał klucz, przebywał na patrolu. Tego dnia Zulusi wybili wszystkich białych żołnierzy w obozie. Ryder Courtney powiedział, że był wśród nich jego starszy brat. Tutaj, w Chartumie, skrzynki z amunicją były otwarte i czterech egipskich ładowniczych stało w gotowości, żeby napełniać zasobnik.

Penrod pobiegł na tył platformy strzeleckiej. Kapral sygnalistów z czteroosobową drużyną czekał przy otwartych skrzyniach z racami, a w uchwytach stało dziesięć gotowych do odpalenia flar, stożkowatymi nosami celując w niebo.

— Odpalić flarę na pierwszy strzał, potem następną, zanim pierwsza zgaśnie. Mają płonąć na niebie, dopóki nie ucichnie ostatni strzał. Cały teren ma być oświetlony jak w środku dnia! — rozkazał Penrod.

Nie było czasu na nic więcej. Penrod ruszył na przód reduty, żeby przejąć dowodzenie. Roztrzęsieni Egipcjanie mogli rozpocząć ogień na sam widok nieprzyjacielskich łodzi, jeszcze zanim derwisze wylądują na plaży i wejdą w pułapkę.

Potknął się o Amber, która kuciała przy jego nogach.

— Słodka Mario! Zapomniałem o tobie. — Złapał ją za ramię i pociągnął w stronę tylnego wyjścia z reduty. — Zmykaj! — polecił. — Zabieraj się stąd natychmiast. To nie miejsce dla ciebie. Nawet ulice są bezpieczniejsze. Biegnij, Amber, i nie zatrzymuj się, póki nie wejdiesz do domu. — Pchnął ją mocno i nie sprawdzając, czy go posłuchała, zawrócił na przód platformy.

Amber przebiegła kilka kroków w głąb uliczki, a potem po-czołgała się z powrotem do reduty. Patrzyła, jak Penrod rozplywa się w ciemności.

— Mam powyżej uszu traktowania mnie jak dziecko — szepnęła. Po chwili wahania ruszyła za nim.

Przesuwała się po cichu i dyskretnie wzdłuż tylnego muru, żeby nie przyciągnąć uwagi żołnierzy obsadzających strzelnice. Są zbyt zajęci, żeby mnie zobaczyć, pomyślała. Z większą pewnością siebie ruszyła na poszukiwanie Penroda. A jeśli mnie potrzebuje? Nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku, gdy wrócę do sypialni w pałacu. Dostrzegła jego wysoką sylwetkę niedaleko przed sobą.

Penrod już stał przy murze od strony plaży. Słomiane kukły usunięto i teraz ich miejsce zajmowali żywi żołnierze, spoglądający ku ciemnej plaży. Penrod stał z szablą w ręce. Duma wezbrała w sercu Amber. Jest dzielny i szlachetny, pomyślała. Znalazła kryjówkę w załomie tylnego muru i przykucnęła. Stąd mogła go obserwować. Ludzie przy ścianie strzeleckiej trwali w pełnym napięciu milczeniu.

Nagle Amber zdała sobie sprawę, że żołnierze są bardzo nieliczni i stoją co dwadzieścia kroków. Było ich za mało, żeby powstrzymać hordę derwiszów.

Człowiek w pobliżu niej szeptął tak cicho, że ledwo rozumiała: — Idą. — Głos drżał ze strachu. Zamek karabinu Martini-Henry szczęknął, gdy żołnierz wprowadził nabój do komory. Podniósł broń do ramienia, ale zanim zdążył nacisnąć spust, otwarta dłoń uderzyła go w twarz.

Gdy odchylił głowę, Penrod złapał go za kołnierz i wysyczał mu do ucha: — Strzel bez mojego rozkazu, a każę cię przywiązać do armaty. — Egzekucja majora al-Faroque'a wywarła głębokie wrażenie na wszystkich Egipcjanach, którzy ją widzieli. Penrod odepchnął żołnierza i znowu czekali.

Nagle Penrod wstrzymał oddech. Pierwsza łódź derwiszów podплыnęła do plaży. Gdy dno zaszurało o piasek, gromada ansarów zsunęła się do głębokiej do pasa wody i wyszła na wąski pas błota pod murami. Trzymali podniesione miecze i poruszali się prawie bezszelestnie. Z ciemnej wody za nimi nadплыnęła flotylla niewielkich dau i feluk.

— Nie strzelać! — Penrod chodził wzdłuż muru, groźnym szeptem trzymając w karności swój nieliczny oddział. Statki żaglowe wciąż przybywały, aż na plaży zaroily się setki ansarów. Na wąskim pasie błota nie wystarczyło miejsca dla wszystkich, więc ostatni przybysze stali po pas w wodzie. Ci z przodu zaczęli rozbierać barykadę tarasującą ujście strugi.

— Spokojnie! Spokojnie! — zaklinał Penrod.

Część barykady runęła i derwisze wdarli się przez wyłom. W powietrze wzbił się ich okrzyk wojenny: — Jest tylko jeden Bóg!

— Ognia! — ryknął Penrod i huknęły karabiny. Derwisze biegli w gradzie kul. Potem w nocne niebo wzleciały pierwsze race i w niesamowitym zielonkawym świetle obrońcy ujrzeli tłum derwiszów zwarty niczym kolumna mrówek. Żołnierze strzelali do nich, ale było ich tak wielu, że kule nie wywierały widocznego skutku. Kiedy pierwsze szeregi dotarły do muru i zaczęły się wspinać, tylne pchały je z dołu. Gdy napastnicy wyłaniali się na szczycie, obrońcy kłuli ich bagnetami.

Penrod szedł wzdłuż muru, strzelając z nowego webleya prosto w brodate twarze. W prawej ręce trzymał szablę i kiedy wystrzelał wszystkie naboje, zaczął ciąć i siec klingą. Martwi i ranni Arabowie spadali na swoich towarzyszy, którzy parli za nimi. Linia Egipcjan była zbyt słaba, żeby stawić długotrwały opór: derwisze wdzierali się na mur w wielu miejscach. Ich miecze syczały w powietrzu niczym skrzydła nietoperzy. Jeden z egipskich żołnierzy chwiejnie odbiegł od strzelnicy z prawą ręką odciętą nad łokciem. Krew w blasku flar czerniała jak atrament.

— Odwrót! — rozkazał Penrod. — Wycofać się na drugą linię! — Amber, choć przerażona, zwróciła uwagę na dźwięczne brzmienie jego głosu, który niósł się wyraźnie w panującym harmiderze. Żołnierze sprawnie utworzyli szereg i z wysuniętymi bagnetami cofali się wzdłuż muru. Przez jedną straszną chwilę Amber myślała, że zostanie za nimi, ale nagle poderwała się i pobiegła jak spłoszony zając. Instykt jej podpowiadał, że gniazdo gatlinga jest najsilniejszym punktem obrony, i właśnie tam się skierowała.

Dotarła na miejsce przed Penrodem i jego ludźmi, wdrapała się na wał worków z piaskiem. Nagle ktoś złapał ją za rękę i przeciągnął na drugą stronę. Spadła na wybawcę, który cuchnął zgniłymi rybami i okropnie zezował, a jego twarz w świetle rac miała zielony odcień.

— Nazira zabije cię gołymi rękami, jeśli się dowie, że tu jesteś. — Bez ceregieli wepchnął ją do ziemianki w chwili, gdy Penrod przyprowadził swoich ludzi.

— Strzelec! Ognia! — Do kręcenia korbą Penrod wybrał silnego, wytrzymałego mężczyznę. Sierżant Chaled, czarny wielkolud, pochodził z jednego z nubijskich plemion w górnym Egipcie. Tacy jak on byli najlepszymi żołnierzami w całej armii chedywa. Wyteżał ramiona, podskakując przy korbie jak marionetka. Wypolerowane lufy wirowały niczym szprychy w kole rydwana, a szybkie błyski oświetlały przedmurze jak scenę.

Z takim dźwiękiem, jakby olbrzym darł belę grubego płótna, nieprzerwany strumień kul raził szeregi atakujących ansarów. Ciężkie ołowiane pociski grzęzły w żywym ciełe, a wizg rykoszetów odbijających się od kamiennych przedpiersi niemal zagłuszał wrzaski derwiszów. Gatling kosił napastników i pod murem rosły sterty trupów. Arabowie wspinali się na nie i chwyтали wymierzone w nich dymiące lufy, próbując wydrzeć karabiny z rąk obrońców.

Żołnierze kłuli ich bagnetami, wrzeszcząc w bojowym szale, a derwisze odpowiadali okrzykami bólu, gdy stal głęboko wnikała w ich ciała. Potem lufy gatlinga zatoczyły łuk w drugą stronę i zdmuchnęły ich niczym pustynny chamsin. Ostatni derwisze stoczyli się z umocnień i legli u ich stóp albo odczołgali się przez czarny szlam w łożysku strugi.

Sierżant Chaled wyprostował się i karabin umilkł. Jego czarną twarz rozjaśniał dziki biały uśmiech, a po szerokim torsie spływały rzeki potu, lśniące w zielonym blasku flar.

— Załadować! — ryknął Penrod, wsuwając do bębena rewolweru naboje z ładownicy na pasie. — Przygotować się do odparcia drugiej fali.

Ładowniczy przybiegł z wiaderkami amunicji i kaskady lśniących naboji w miedzianych koszulkach spadły do zasobnika gatlinga. Inni pędzili wzdłuż muru, rozdając strzelcom papierowe paczki z amunicją Boxer-Henry. Za nimi szło kilku nosiwodów, strzykając wodą z bukłaków prosto w wysuszone usta żołnierzy.

— Bądźcie gotowi. Nie zostali pokonani. Znów wrócą przez strugę. — Penrod szedł wzdłuż muru, rozmawiając z ludźmi.

Żołnierz z odciętą ręką zmarł z upływu krwi. Położyli go pod tylnym murem i nakryli kocem. Penrod zawrócił w kierunku gniazda gatlinga, żeby podnieść na duchu sierżanta Chaleda i strzelców, ale gdy mijał wejście do ziemianki, zobaczył zwróconą w swoją stronę drobną jasną twarzyczkę.

— Amber! Myślałem, że wróciłaś do domu.

Ponieważ już została odkryta, postanowiła zbagatelizować sprawę.

— Wiedziałam, że w gruncie rzeczy nie chciałeś mnie odesłać.

A teraz jest już za późno. Muszę zostać.

Miał zamiar przedyskutować z nią tę kwestię, ale przeszkodził mu chór okrzyków wojennych od strony przepustu. Gromady derwiszów wlały się jak powódź, wypełniając koryto strugi od brzegu do brzegu.

Penrod wyciągnął webleya z kabury i sprawdził, czy wszystkie komory są załadowane. Zatrzasnął bębenek.

— Wiem, że umiesz się tym posługiwać. Widziałem, jak ćwiczyłaś z ojcem. — Rękojeścią do przodu wcisnął broń w jej rękę. — Wracaj do ziemianki. Wczołgaj się pod łóżko. Siedź tam, póki strzelanina się nie skończy. Zastrzel każdego, kto spróbuje cię tknąć. I tym razem masz zrobić, co każę. Szybko! — Pobiegł z powrotem na mury.

Dwustu egipskich strzelców nie czekało na rozkaz, żeby rozpocząć ogień. Salwy huczały w korycie strugi, gatling jazgotał, łuski z brzękiem usypywały lśniący kopczyk pod wózkiem. Kolorowe flary rozbłyskiwały wysoko nad okolicą, oświetlając jaskrawym blaskiem derwiszów przedzierających się przez cuchnące błoto. Ich szeregi były zbite tak mocno, że każda kula musiała trafić w cel. Zwyczajni śmiertelnicy załamaliby się pod siłą morderczego ostrzału, oni jednak parli do przodu, nie wahając się ani przez chwilę, tratując okaleczone zwłoki towarzyszy w wielobarwnych dżibbach oblepionych cuchnącym czarnym błotem. Nie było derwisza, który nie próbowałby przedrzeć się do pierwszego szeregu; wszyscy gardzili śmiercią, szukając jej w dymiących lufach karabinów.

Jednakże u stóp muru biegła linia, za którą nie mogła ich przenieść nawet najbardziej straceńcza odwaga. Kule z gatlinga zatrzymywały szeregi niczym szklana ściana i stosy martwych rosły coraz wyżej. Koryto strugi szybko przemieniło się w upiorną kostnicę. Raptem, gdy atak już się załamywał, ogień gatlinga umilkł.

— Kapitanie, zacięcie! — wrzasnął sierżant Chaled. — Karabin się zakleszczył! — Do egipskich żołnierzy dotarło znaczenie tych słów i na ich twarzach odmalowała się groza. Gdy w pełni pojęli ogrom katastrofy, ogień z ich karabinów przycichł, a po chwili całkiem umilkł. Nawet ansarowie w strudze ucichli, jakby padł na nich czar. Nad polem bitwy zapadła niesamowita, nienaturalna cisza, maćona tylko przez jęki i krzyki rannych. Trwała zaledwie kilka sekund.

Rozległ się jeden głos.

— La ilaha illallah! Jest tylko jeden Bóg! — Penrod rozpoznał brzmienie. Popatrzył w brudne łożysko i w pierwszym szeregu hordy derwiszów zobaczył Osmana Atalana. Ich oczy się spotkały.

Potem okrzyk wojenny wyrwał się z setek gardeł i atak rozpoczął się na nowo. Jakby szklany mur, który dotąd ich powstrzymywał, nagle został rozbity, ansarowie ruszyli hurmem po stromym, zdradliwym brzegu w kierunku reduty.

Głowy egipskich strzelców odwróciły się; wypatrywali drogi ucieczki. Penrod dobrze znał ten ruch. Widział go wcześniej, tamtego straszego dnia, kiedy czworobok pękł pod El Obejd. Było to preludium zbiegostwa i rzezi.

— Zabiję pierwszego, który się wyłamie — krzyknął.

Jeden żołnierz zignorował ostrzeżenie. Gdy rzucił się do ucieczki, Penrod skoczył ku niemu i pchnął go sztychem w brzuch. Długa klinga weszła jak w masło i przebiła bluzę khaki na plecach mężczyzny. Żołnierz osunął się na kolana i gołymi rękami złapał szablę. Penrod wyciągnął ostrą jak brzytwa stal pomiędzy palców, tnąc skórę, mięśnie i ścięgna. Mężczyzna z wraskiem runął na wznak.

— Stać i strzelać! — Penrod podniósł wysoko zakrwawioną broń. — W przeciwnym wypadku zaśpiewacie na tę samą nutę, co ten tchórz. — Egipcjanie odwrócili się z powrotem do strzelnic i zaczęli prażyć ogniem gramolących się w górę skarpy derwiszów.

Sierżant Chaled tłukł pięściami w mechanizm milczącego gat-linga, zostawiając płaty skóry na ostrych metalowych krawędziach. Penrod złapał go za ramię i odciągnął na bok. W świetle flar zobaczył zgniecioną łuskę, tkwiącą w zębach jednego z sześciu zamków. Było to zacięcie znane jako numer trzy, bardzo trudne do usunięcia. Penrod wiedział o tym z doświadczenia. Wyrwał bagnet z pochwy u pasa sierżanta i końcem ostrza spróbował rozewrzeć zęby zamka.

Derwisze wspinali się na mur, śmigając jak wiewiórki po pniu dębu. Karabiny Martini-Henry umilkły, napastnicy wciskali się w strzelnice i walczyli wręcz z tymi Egipcjanami, którzy nie opuścili stanowisk. Rygiel gatlinga wciąż był solidnie zakleszczony. Penrod podniósł głowę; w tej chwili los miasta i wszystkich mieszkańców zależał od niego.

Jeden z wielu mitów, które narosły wokół generała „Chińczyka” Gordona, mówił, że jego głos może wzbic się ponad harmider panujący na każdym polu walki. Penrod usłyszał go w ryku, który był zwiastunem nieuchronnej katastrofy.

— Karabin numer dwa! Ognia! — Penrod nigdy się nie spodziewał, że z taką radością powita ten twardy, władczy ton. Słowa płynęły wyraźnie z drugiego gniazda, które kazał zbudować na taką właśnie ewentualność. Kolana ugięły mu się pod wpływem ulgi. Potem wziął się w garść i na powrót zajął zakleszczonym karabinem.

Krążąc po przedpiersiu fortyfikacji szpitala, Gordon usłyszał pierwsze salwy i zobaczył flarę wzlatującą z portu w nocne niebo. Zbudził swoich strzelców, którzy wytoczyli drugi karabin

maszynowy i pobiegł z nim uliczkami miasta. Dotarł do portu i ustawienie gatlinga w przygotowanym gnieździe zajęło im osiem i pół minuty. Wierny swojej naturze Gordon zmierzył czas, z aprobatą pokiwał głową i wsunął zegarek do kieszonki.

— Karabin numer dwa! Ognia! — warknął i potworny grzmot z sześciu obracających się luf zagłuszył okrzyki wojenne derwiszów. Nawała ognia sunęła bezlitośnie wzdłuż umocnień nad strugą, rażąc lewą flankę i tyły wroga. Ansarowie spadali z murów niczym dojrzałe jabłka ze wstrząsanego przez wichurę drzewa, gubiąc broń w trakcie upadku. Tych, którzy zdołali podnieść się na nogi, napór ludzi wciąż wdzierających się od ujścia strugi spychał pod ogień gatlinga.

— Zawracać! Odwrót! To już koniec! — krzyczeli ci na przedzie.

— Naprzód! — dochodził wrzask z plaży. — Za Boga i Zwycięskiego Mahdiego! — Ciała zbite tak mocno, że nawet martwi stali, podpierani przez żywych towarzyszy, zakorkowały strugę.

Penrod nie widział, co się dzieje, zajęty odblokowaniem karabinu. Wreszcie zdołał wcisnąć czubek bagnetu pod kołnierz łuski i trzasnął dłonią w rękojeść. Nie zwracając uwagi na ból, zawołał do sierżanta Chaleda: — Cofnij korbę! — Chaled zakręcił w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, nacisk na krzywkę zmalował i wypust odskoczył z siłą, która odcięłaby Penrodowi kciuk, gdyby w porę nie cofnął ręki. Wygięta łuska wypadła. Gdy Chaled puścił korbę, następny nabój spadł z kosza i gładko wsunął się do zamka. Rygiel zaskoczył ze słodkim, niemal melodyjnym trzaskiem.

— Numer jeden odbezpieczony i gotów, sierżancie. — Penrod poklepał Chaleda po ramieniu. — Ognia! — Chaled pochylił się nad korbą, a Penrod chwycił bliźniacze uchwyty i opuścił lufy tak, że celowały w miotających się w dole umazanych błotem ansarów. Karabin podskoczył, załomotał i zatrzęsł się w jego rękach.

Nawet najdzielniejsi nie mogli wytrzymać ostrzału z dwóch gatlingów. Ogień zepchnął ich do ujścia kanału, gdzie utknęli, i zdziesiątkował ich szeregi. Ciała spiętrzyły się jak wiązki szczap na rozpałkę na wąskim pasie plaży. Gdy niedobitki uciekały przez płycizny w kierunku łodzi, kule wokół nich ubijały wodę na pianę. Kiedy wreszcie wspięli się na pokłady, ciężkie pociski rozdzierały drewniane poszycie, zabijając załogi kryjące się za burtami. Krew wyciekała z dziur po kulach i spływała po kadłubach niczym klaret wylany z kielicha pijaka.

Z ładunkiem martwych ciał na pokładzie statki żaglowe o brzasku zawróciły na drugi brzeg. Gdy ostatni dau wyszedł z portu, straszliwy jazgot gatlingów umilkł. Nieśmiałą ciszę świtu mąciły tylko lamenty wdów na omdurmańskim brzegu.

Penrod odsunął się od gatlinga, którego lufy jarzyły się tak, jakby zostały świeżo wyjęte z paleniska kuźni. Rozejrzał się wzrokiem człowieka zbudzonego z koszmaru. Nie był zaskoczony, gdy obok siebie zobaczył Jakuba.

— Widziałem Osmana Atalana w pierwszym szeregu wrogiej czeredy — powiedział Penrod.

— Ja też go widziałem, panie.

— Jeśli wciąż jest na brzegu rzeki, musimy go znaleźć — przykazał Penrod. — Jeżeli żyje, chcę go dorwać. Jeśli nie żyje, jego głowa zostanie wysłana Niezwycięzonemu Mahdiemu. Być może zniechęci to drania i jego ansarów do kolejnego ataku na miasto. — Przed opuszczeniem reduty zawołał do sierżanta Chaleda: — Zajmij się rannymi. Każ zabrać ich do szpitala. — Wiedział, że niewiele to pomoże. Obaj egipscy lekarze z pułku Gordona zdezerterowali wiele miesięcy temu, wcześniej rozkradając i wyprzedając wyposażenie medyczne. W budynkach szpitala kilka starych arabskich akuserek leczyło rannych ziołami i tradycyjnymi wywarami. Penrod słyszał, że Rebecca Benbrook próbowała nauczyć kilka Sudanek opieki nad rannymi w bardziej konwencjonalny sposób, ale wiedział, że nie miała żadnego fachowego przygotowania. Potrafiła zrobić niewiele więcej niż zatamować krwawienie i dbać o to, żeby ranni dostawali czystą przegotowaną wodę, a także

dodatkowe racje durry i zielonego ciasta.

Nie skończył mówić, gdy usłyszał wrzask. Odwrócił głowę i zobaczył kobietę w czerni, pochylającą się nad rannym derwiszem. Arabki i Nubijki z miasta miały we krwi śmierć i szabrowanie. Przybywały na pobojobowisko przed wronami i sępami.

Ranny derwisz wił się, a kobieta dźgała go niewielkim sztyletem. Wprawnym ruchem, który zaczynał się poniżej ucha, otworzyła tętnice i żyły szyjne, po czym odskoczyła zwinnie, żeby krew nie zbrukała jej szaty. Penrod dawno temu nauczył się nie wtrącać w takie sprawy. Arabskie kobiety były gorsze od mężczyzn, a ta nawet nie próbowała ukryć swoich zamiarów. Odwrócił się.

— Sierzancie, potrzebni mi jeńcy do przesłuchania. Oszczędźcie tyłu, ilu zdołacie. — Potem rzucił w stronę Jakuba: — Chodź, wszystkowiedzący Jakubie. Poszukajmy Osmana Atalana. Ostatni raz widziałem go na plaży, gdzie próbował zebrać ludzi biegnących do łodzi.

— Zaczekaj na mnie, Pen. Idę z tobą. — Amber wyczołgała się z ziemianki.

Znowu o niej zapomniał. Włosy miała rozczochrane, niebieskie oczy podkrążone, a żółtą sukienkę brudną od dymu i kurzu. Rewolwer wydawał się zbyt wielki dla jej drobnej rączki.

— Czy nigdy się ciebie nie pozbędę, Amber? Musisz wracać do domu. To nie miejsce dla ciebie, i nigdy nie było.

— Na ulicach nie jest bezpiecznie — zaznaczyła. — Nie wszyscy derwisze odpłynęli. Widziałam, jak całymi setkami uciekali w tamtą stronę. — Machnęła rewolwerem w nieokreślonym kierunku. — Będą czekać, żeby mnie zniewolić albo poderznąć mi gardło. — „Zniewolenie” było jednym z jej nowych słów, choć nie miała całkowitej pewności, co oznacza.

— Amber, tam są trupy i konający. To nie miejsce dla młodej damy.

— Widziałam już umierających — odparła słodko — i jeszcze nie jestem damą, tylko małą dziewczynką. Jedyne z tobą czuję się bezpiecznie.

Penrod zaśmiał się trochę zbyt szorstko. Po bitwie zawsze czuł się lekko oszołomiony, oderwany od rzeczywistości.

— Małą dziewczynką? Może wzrostem. Znasz wszystkie sztuczki w pełni opierzonej przedstawicielki swojej płci. Nie mogę się z tobą równać. Chodź.

Ześliznęli się po brzegu strugi. Pierwsze promienie słońca ozłociły minarety miasta i z minuty na minutę robiło się coraz widniej. Penrod i Jakub kluczyli ostrożnie wśród zmasakrowanych przez kule ciał. Niektórzy ansarowie jeszcze żyli i Jakub pochylił się nad jednym ze sztyletem z dłoni.

— Nie! — powiedział ostro Penrod.

Jakub zrobił rozżaloną minę.

— To miłosierdzie, chcę tylko pomóc ich biednym duszom przekroczyć bramy raj. — Ale Penrod wskazał Amber i jeszcze bardziej stanowczo pokręcił głową. Jakub wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Penrod wypatrywał zielonego turbanu Osmana Atalana. Gdy pod kamiennym łukiem przepustu wyszedł na błotnistą plażę, dostrzegł zielony zawój na głowie trupa, który pływał twarzą w dół przy brzegu. Dżibba oblepiała mu tułów, i Penrod dostrzegł, że jest smukły i umięśniony. Na plecach ziały dwie rany po kulach. Gatlingi zadawały rozległe obrażenia — mógłby wsunąć pięść w te dziury. Kilka nilowych okoni skubało poszarpane ciało wokół ran. Koniec turbanu falował niczym pęk wodorostów. Pas materiału był opleciony długimi, ciemnymi włosami Osmana Atalana.

Penrod przed chwilą upojony zwycięstwem, teraz poczuł niedosyt i złość. Został oszukany. Powinno być inaczej. Zawsze uważał, że przeznaczenie splotło losy jego i Atalana. Nie takiego końca się spodziewał. Znalezienie wroga pływającego w rzece niczym zdechły parszywy pies w ścieku, skubanego przez ryby, nie sprawiło mu satysfakcji.

Penrod schował szablę do pochwy i przykląkł obok pływających zwłok. Ruchem dziwnie pełnym szacunku chwycił martwego za ramię i przewrócił go na plecy. Spojrzał na niego w zdumieniu. Twarz była starsza, mniej szlachetna, z krzaczastymi brwiami, grubymi wargami i połamanymi zębami, poplamionymi od palenia haszyszu.

— Osman Atalan uciekł — powiedział głośno, z ulgą. Zrozumiał, że to jeszcze nie koniec. Los łączył go z Atalanem tak, jak wężowa liana wiąże dwa wielkie drzewa. Wydarzy się więcej, znacznie więcej. Czuł to całym sercem.

Usłyszał za plecami cichy szmer, ale nie przywiązał do niego wagi. Uznał, że to Jakub albo Amber. Wpatrywał się w twarz martwego emira, dopóki Amber nie wrzasnęła: — Pen! Za tobą! Uwważaj! — Jej głos płynął z prawej strony.

Pojał, że to nie ją usłyszał za plecami. I wiedział, że jest za późno. A może jednak koniec nastąpić miał tutaj, na tym pasie błota nad wielką rzeką.

Odwrócił się z dłonią na rękojeści szabli, podnosząc się z klęczek, lecz wiedział, że nie zdąży się wyprostować i wyjąć broni na czas. W przelocie ujrzał napastnika. Derwisz udawał martwego: była to jedna z ich sztuczek. Zwinięty jak jadowita żmija, czekał na sposobną chwilę. Penrod wpadł w pułapkę: odwrócił się plecami i schował szablę. Derwisz poderwał się z ziemi i zamachnął potężnie jak drwal, który chce zrobić pierwsze nacięcie na pniu drzewa. Wkładał w cios całą siłę żyłastego ciała. Celował parę cali nad lewym biodrem przeciwnika.

Penrod patrzył, jak ciężka głownia zakreśla pętlę. Miał wrażenie, że czas zwolnił bieg. Czuł się jak owad uwięziony w misie z miodem, niezdarny i powolny. Zdał sobie sprawę, że ostrze przetnie miękką tkankę brzucha i uderzy w stos pacierzowy tuż nad obręczą biodrową. Kręgosłup go nie zatrzyma. Ciało stawia opór nie większy niż gąbczasta łodyga bananowca. Cios przetnie go na dwoje.

Strzał padł z prawej strony, silny odgłos o niskim tonie, typowy dla webleya kaliber 44. Choć patrzył wprost przed siebie, na skraju pola widzenia dostrzegł drobną sylwetkę Amber. Trzymała broń w wyciągniętych rękach i potężny odrzut poderwał rewolwer wysoko nad jej głowę.

Niedoszły zabójca był młodym człowiekiem z rzadką, niechlujną bródką i dziobatą skórą koloru toffi. Penrod patrzył mu w twarz, gdy ciężka kula trafiła w lewą skroń i przeszła przez czaszkę tuż za oczami. Zniekształciła rysy niczym gumową maskę. Usta wykrzywiły się i rozciągnęły, powieki zatrzepotały jak skrzydła motyli. Oczy wyskoczyły z orbit, gdy kula wyszła z prawej skroni w chmurze kawałków kości i wilgotnej tkanki.

Miecz był w połowie drogi do celu, gdy wypadł z pozbawionych czucia palców. O szerokość dłoni minął biodro Penroda, wykręcił młynka w powietrzu i wbił się sztychem w błotnisty brzeg. Derwisz zrobił krok, potem nogi się pod nim ugięły i upadł.

Z dłonią zaciśniętą na rękojeści na wpół dobytej szabli Penrod odwrócił się i ze zdumieniem spojrzał na Amber. Rzuciła rewolwer i zaczęła płakać. Podeszedł do niej, podniósł webleya, wsunął go do kabury i zapiął klappę. Amber szlochała tak, jakby pękało jej serce. Trzęsła się i usta drżały jej dziko, gdy próbowała coś powiedzieć. Penrod otoczył ją ramieniem, drugą ręką złapał pod kolana i podniósł jak małe dziecko. Przytuliła się do niego, oburącz obejmując za szyję.

— Na jeden dzień wystarczy, nieodwołalnie — powiedział łagodnie. — Tym razem sam zabiorę cię do domu.

Gordon czekał na niego na reducie gatlinga.

— Piękna nocna robota, Ballantyne. Mahdi dobrze się zastanowi, zanim ponownie uderzy, a mieszkańcy podniosą się na duchu. — Pewną ręką zapalił papierosa. — Martwych derwiszów wrzucimy do rzeki, będą pływającym ostrzeżeniem dla tej hołoty. Może niektórych prąd zanieśie nawet za przełom do naszych żołnierzy płynących w górę Nilu. Będą wiedzieli, że się trzymamy.

Być może to skłoni ich do większego pośpiechu. — Zerknął na Amber, która wciąż popłakiwała. Szlochy wstrząsały jej ciałem, ale słychać było tylko szmer wciągane powietrza. — Obejmę dowodzenie. Może pan odprowadzić młodą damę do domu.

Penrod wyniósł Amber na ulicę. Nie przestawała szlochać.

— Płacz, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej — szepnął — ale, na Boga, nie znam dzielniejszej osoby. — Uspokoila się i jeszcze mocniej objęła go za szyję.

Nim dotarł do pałacu, zasnęła, wyczerpana płaczem. Rebecca i Nazira musiały na siłę odginać jej ręce, zaciśnięte kurczowo wokół jego szyi.

Generał Gordon wykorzystał to niewielkie zwycięstwo, żeby choć trochę zmniejszyć odrętwiającą rozpacz, w jakiej pograżyli się cywilni mieszkańcy miasta. Kazał ułożyć w rzędach trupy wrogów, a było ich dwieście szesnaście, i zaprosił ludzi na nabrzeże, żeby mogli je obejrzeć. Kobiety pluły na zwłoki, mężczyźni kopali je i wykrzykiwali obelgi, prosząc Allaha o pomstę i skazanie poległych na mękę w ogniu piekielnym. Krzyczeli z radości, gdy wrzucano ciała do rzeki, gdzie rozszarpały je krokodyle.

Na wszystkich placach i targowiskach Gordon kazał rozlepić biuletyny, w których oznajmiał, że brytyjskie kolumny zmierzają do miasta i prawie na pewno przybędą za kilka dni. Podał również radosne wieści, że derwisze, przybici druzgoczącą klęską i rychłym nadejściem odsiecz, masowo dezertują na pustynię, by wrócić na swoje plemienne tereny. To prawda, derwiszów na drugim brzegu ubył, ale Gordon wiedział, że zostali wysłani na północ przeciwko Brytyjczykom.

Mieszkańców Chartumu znacznie bardziej ucieszyła wieść, że generał Gordon polecił wydać podwójne racje durry z arsenału. Ten sam biuletyn informował, że zapas wystarczy do czasu przybycia odsiecz. Zapewniał, że parowce przywiozą tysiące worków ziarna.

Wieczorem na rozkaz Gordona zapłonęły ogniska na majdanie. Orkiestra grała do północy, a niebo rozjaśniały race i kolorowe flary.

Nazajutrz wczesnym rankiem generał zwołał zebranie w kwaterze głównej. Charakter spotkania był znacznie mniej radosny. Uczestniczyły w nim tylko dwie osoby: David Benbrook i Penrod Ballantyne.

Gordon najpierw popatrzył na Penroda.

— Zrobił pan inwentaryzację zapasów ziarna?

— Nie zajęło to dużo czasu, panie generale. Wczoraj o dziesiątej w nocy mieliśmy cztery tysiące dziewięćset sześćdziesiąt worków. Wydanie podwójnych racji uszczupliło zapas o pięćset sześćdziesiąt dwa. Przy obecnym tempie konsumpcji durry wystarczy na piętnaście dni.

— Za trzy dni zmniejszą racje do połowy — powiedział Gordon — ale nie pora mówić o tym ludziom.

David nie krył zaskoczenia.

— Ależ, generale, odsiecz zjawi się za dwa tygodnie. Tak przecież zapewniają pańskie biuletyny.

— Muszę chronić ludność przed prawdą.

— A zatem jak wygląda prawda?

Przed udzieleniem odpowiedzi Gordon długo przyglądał się popiołowi na końcu cygara.

— Prawda, panie konsulu? Prawda nie jest monolitem odlanym z żelaza. Jest jak chmura na niebie, wciąż zmieniająca formę. Z każdego miejsca wygląda inaczej, często ukazuje odmienne aspekty.

— Ten opis ma dużą wartość literacką, nie wątpię, lecz w obecnej sytuacji niewiele pomaga. — David uśmiechnął się niewesoło. — Kiedy możemy spodziewać się wojska?

— Informacje, które zdradzę, nie mogą się wydostać za próg tego pokoju.

— Rozumiem.

— W porcie pojmano sześciu jeńców.

— Myślałem, że będzie ich więcej. — David spochmurniał jeszcze bardziej.

— Było. — Gordon wzruszył ramionami. David wołał nie drażyć tematu. Tutaj, na Wschodzie, rządziły inne zasady. Należały do nich tortury w czasie przesłuchań. — Tych sześciu jeńców przesłuchał sierżant Chaled. Uzyskaliśmy wiele pożytecznych informacji, przy czym żadna nie jest krzepiąca. Parowce dywizji rzecznej zatrzymały się w Korti.

— Dobry Boże! Powinny już być w Abu Hamed! — zawołał David. — Co, u licha, je zatrzymało?

— Nie wiemy, a spekulacje nie zdadzą się na wiele.

— A co z dywizją pustynną pod dowództwem Stewarta?

— Ta sama smutna historia. Stewart wciąż obozuje w Gakdul.

— W takim razie to niemożliwe, by któraś z dywizji dotarła do nas przed końcem miesiąca — mruknął David, potem popatrzył na wojskowych z nadzieją, że zaprzeczą. Żaden tego nie zrobił.

Gordon przerwał milczenie.

— Jaki jest stan rzeki, Ballantyne?

— Wczoraj poziom opadł o pięć cali. Odpływ codziennie jest większy.

— Czy w odniesieniu do rzeki można użyć słowa „odpływ”? — zapytał David, jak gdyby chcąc rozjaśnić ponurą atmosferę.

Gordon zlekceważył to błahe pytanie.

— Jeńcy podali nam jeszcze jedną informację. Mahdi wysłał na północ kolejne dwadzieścia pięć tysięcy elitarnych wojowników. Obecnie w Abu Hamed stacjonuje pięćdziesiąt tysięcy derwiszów.

— Urwał, jakby nie miał większych chęci, żeby kontynuować. — Stewart prowadzi dwa tysiące ludzi. To znaczy, że mahdyści mają przewagę dwadzieścia pięć do jednego. Dokładnie wiedzą, jaką trasą musi podążyć Stewart, żeby dotrzeć do rzeki. Starannie wybiorą miejsce ataku.

— Stewart jest doskonałym oficerem. — David starał się, żeby jego głos miał pewne brzmienie.

— Jednym z najlepszych — zgodził się Gordon. — Ale dwadzieścia pięć do jednego daje niewielkie szanse.

— Na miłość boską, musimy ostrzec Stewarta przed niebezpieczeństwem.

— Tak, właśnie to zamierzam zrobić. — Gordon popatrzył na Penroda. — Kapitan Ballantyne uda się do Gakdul, żeby go ostrzec i poprowadzić.

— Jak kapitan odbędzie podróż, generale? O ile wiem, w mieście nie ma wielbłądów. Wszystkie zostały zjedzone. Jest tylko jeden parowiec, Nieustraszony Ibis Rydera Courtneya, ale maszyny jeszcze nie są sprawne. Mało prawdopodobne, żeby dau zdołał przedostać się przez linie derwiszów.

Gordon uśmiechnął się chłodno.

— Odkryłem, że pan Courtney jest właścicielem pięknego stada złożonego z co najmniej dwudziestu wyścigowych wielbłądów.

Przezornie nie trzyma ich w mieście, gdzie mógłbym je znaleźć, tylko na pustyni, w maleńkiej oazie o dwa dni jazdy na południe stąd. Pasą się pod opieką kilku jego ludzi.

David zachichotał.

— Ryder Courtney ma więcej strzał w kołczanie niż małpa pcheł.

— Jak na kogoś, kto niedawno kwestionował moją znajomość języka, w naprawdę niezwykły sposób przekreślił pan powiedzenia. — Penrod zaśmiał się razem z nim.

— Kiedy zapytałem Courtneya o wielbłądy, z początku szedł w zaparte. — Gordon nawet się nie uśmiechnął. — Potem stwierdził, że nie miał zamiaru ukrywać ich przede mną, tylko kierował się

dostępnością paszy. Natychmiast zarekwirowałem zwierzęta. Gdyby od początku był ze mną uczciwy, wziąłbym pod rozwagę odszkodowanie.

— Może nie podporządkować się pańskim rozkazom — zaznaczył David. — Ryder Courtney jest człowiekiem niezależnym.

— I chciwym — dodał Gordon. — Ale w tym wypadku postąpiłby bardzo niemądrze, gdyby mi się sprzeciwił. Nawet w stanie wojennym decyzja o rozstrzelaniu poddanego naszej królowej nie przychodzi łatwo, ale on ma magazyny pełne kości słoniowej i wielką menażerię egzotycznych, acz jadalnych zwierząt. — Gordon zrobił zadowoloną minę. — Moja przekonująca logika wzięła górę. Courtney wysłał wiadomość do swoich pasterzy, żeby przyprowadzili wielbłądy z oazy. Spodziewam się, że pojutrze będziemy mieć wierzchowce do swojej dyspozycji.

— Nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji — mruknął David. — W przeciwnym wypadku zabroniłbym córce urządzić święto dla uczczenia zwycięstwa w porcie. Zaplanowała przyjęcie na jutrzejszy wieczór. Niestety nasza kuchnia już nie serwuje wykwintnych dań. Odbędzie się jednak recital fortepianowy i śpiewy. Jeśli uważa pan to za niestosowne, generale, poproszę Rebeccę o odwołanie wieczoru.

— Ależ nie. — Generał pokręcił głową. — Choć sam nie wezmę udziału, przyjęcie panny Benbrook podbuduje ducha i uratuje pozory. Musi je urządzić, za wszelką cenę.

Amber i Saffron otworzyły część artystyczną duetem fortepianowym Zielone liście. Nieważne było to, że instrument wymagał strojenia: entuzjazm bliźniaczek nadrobił wszelkie braki. Tego wieczoru Rebecca była wesoła i ożywiona, a ojcu nie umknęła zmiana jej nastroju. W zeszłym tygodniu obnosiła się ze smutną miną i rozczulała się nad sobą, a teraz odśpiewała piosenkę Hiszpańskie dziewczyny z Ryderem Courtneyem, a potem nakłoniła go do solowego wykonania Moja słodka czeka za oceanem. Występ został dobrze przyjęty przez towarzystwo, a przede wszystkim przez Saffron.

Potem Amber pociągnęła Penroda na parkiet.

— Pan też musi zaśpiewać. Każdy musi zaśpiewać albo popisać się innym talentem.

Penrod poddał się z wdziękiem.

— Czy może pani zagrać Serce dębu? — zapytał i Amber uderzyła w klawisze. Jego głos zaskoczył i poruszył wszystkich: był lekki, liryczny i czysty.

Radujcie się, moi chłopcy! Zmierzamy krok po kroku, Ażeby dodać coś więcej Do tego cudnego roku...

Gdy pieśń dobiegła końca, Rebecca usiłowała mruganiem przepędzić łzy z oczu.

— Przewidziano drobny poczęstunek przed następnym aktem — zawołała wesoło.

Podawała mocną abisyńską kawę w filigranowych porcelanowych filiżankach z Limoges. Nie było mleka ani cukru. Częstując kapitana Ballantyne'a, potknęła się i wylała nieco gorącej kawy na jego wypucowane buty.

Ojciec z drugiego końca pokoju widział, jak spłoszowała, i pomyślał, że jej zakłopotanie jest niemal równie nietypowe jak niezgrabność. Nagle zrozumiał, co to oznacza. Śliczny żołnierz omotał ją swoją siecią. Rebecca rumieni się i jest roztrzęsiona, gdy Ballantyne znajduje się w odległości pięćdziesięciu kroków. Kiedy zniknął, niemal usychała z tęsknoty, a teraz, gdy wrócił, jest na wpół przytomna z radości. David ściągnął brwi i wsunął ręce w kieszenie. Rebecca nie zdaje sobie sprawy, że za dwa dni Ballantyne znowu zniknie. Nie chcę patrzeć, jak cierpi. Powinienem ją ostrzec, to mój ojcowski obowiązek. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Być może to zrobię. Ostatecznie tożsamość ojca moich wnucząt jest również moją sprawą.

Rebecca odzyskała zimną krew i klasnęła w ręce, prosząc o uwagę.

— Panie i panowie, gościmy dzisiaj wyjątkową osobę. Aż z Madrytu, gdzie tańczyła przed hiszpańską parą królewską oraz innymi koronowanymi głowami Europy, señora Esmeralda Lopez Conchita Montes de Tete de Singe, uwielbiana tancerka flamenco! — Rozległy się krótkie, zaintrygowane brawa. Zza kurtyny wyłoniła się pulchna Hiszpanka w koronkowej mantylce, z dzwoniącymi bransoletami na rękach i z kolczykami w uszach, prowadzona pod rękę przez Rydera Courtneya. Pośrodku parkietu przysiadła w głębokim dygu i wyprostowała się z gracją niezwykłą u tak otyłej osoby. Gdy zaklekotała kastanietami nad głową, Rebecca zagrała pierwsze takty Marszu toreadora. Señora Tete de Singe wystukała obcasami ogniste staccato.

David parsknął śmiechem. On pierwszy pod grubą warstwą kosmetyków rozpoznał twarz konsula Le Blanca. Potem śmiech rozbrzmiał w całym pokoju i nie ucichł, dopóki pan Le Blanc nie przypadł do podłogi w kolejnym teatralnym dygu. Pot spływający spod wysokiej peruki rozmywał mu makijaż.

Gdy rozbrzmiały huczne owacje, David podszedł do Rebecki i ujął ją pod rękę.

— Inspirujące przedstawienie, moja droga. Le Blanc był nad zwyczajny. Uwielbiam dobrą parodię.

Zadowolona Rebecca nie protestowała, kiedy pociągnął ją w kierunku francuskich okien, które wychodziły na taras.

— Ach, królestwo za świeże powietrze! — zawołał. — Oczywiście Ryder Courtney ma piękny głos. Ten człowiek jest obdarzony wieloma talentami. Pewnego dnia uszczęśliwi jakąś damę, biorąc ją sobie za żonę.

— Tato, ty zawsze jesteś taki subtelny. — Poklepała go wachlarzem po ramieniu.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi. Ale muszę przyznać, że zaskoczył mnie kapitan Ballantyne. On również może się chwalić nadzwyczajnym głosem.

Rebecca przycichła, spojrzała w inną stronę.

— Szkoda, że wyjeżdża, tym razem na dobre. Prawdopodobnie już więcej nie będziemy mieli okazji posłuchać jego śpiewu.

— O czym ty mówisz, tato? — zapytała cicho.

— No nie, wymknęło mi się, ale skoro już zacząłem... Gordon wysłała go na północ z meldunkami do Kairu. Wiesz, jacy są wojskowi. Nigdzie nie zagrzewają miejsca. Nie można na nich polegać.

— Tatusiu, chyba powinniśmy wrócić, żeby bawić gości.

Rebecca przejrzała się w lustrze toaletki. Twarz miała taką wychudzoną, że kości jarzmowe rzucały cienie na policzki. W tych czasach w Chartumie nie było tłuściochów, nawet z konsula Le Blanca została skóra i kości. Uśmiechnęła się szeroko i z przyjemnością zauważyła korzystną zmianę, jaka zaszła w jej twarzy. Nie wolno mi się chmurzyć. Zanurzyła puszek w kryształowej pudernicze i lekko upudrowała policzki.

— Coraz lepiej — szepnęła. Była chuda, ale nie straciła młodzieńczego meszku na skórze. — Przynajmniej tatuś uważa, że jestem piękna. Ciekawe, czy on się z nim zgodzi. — Na myśl o nim poróżnowiały jej policzki. — Nie będę patrzeć. Jeśli tam jest, pomyśli, że go zachęcą. Pomyśli, że jestem szybką kobietą, a zdecydowanie nie jestem.

Zdjęła sukienkę i sięgnęła po szlafroczek z krepdeszynu. Zanim go włożyła, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Później, wiedzioną impulsem, przekręciła klucz w drzwiach sypialni. Wprawdzie odesłała już Nazirę, ale wolała się zabezpieczyć przed niespodziewanym najściem. Stała przed lustrem i zsunęła ramiączka halki, która spadła na podłogę obok sukni. Przyjrzała się swojemu nagiemu ciału. Żebra odznaczały się pod skórą, kości miednicy sterczały dumnie wokół brzucha wklęsłego jak u charta. Podniosła rękę do biustu. Nazira mówiła, że mężczyźni nie lubią małych piersi.

— Czy są za małe?

Potem przypomniała sobie dotyk jego ust, wąsów i zębów. Brodawki skurczyły się i pociemniały. Znowu poczuła wilgoć gorącą jak krew, spływającą powoli po wewnętrznej stronie ud. Jej palce zsunęły się w dół, ale gdy musnęły delikatną chmurę złocistych włosów pod wklęsłym brzuchem, gwałtownie oderwała rękę.

— Więcej tego nie zrobię — obiecała sobie.

Włożyła szlafroczek i zawiązała pasek. Spojrzała na drzwi balkonowe.

— Nie powinnam wychodzić. Powinnam zgasić lampę i położyć się spać. — Powoli przeszła przez pokój, przystanąła niepewnie przy drzwiach. — To głupie i niebezpieczne. Bóg wie, dokąd mnie doprowadzi. Modlę się, żeby go tam nie było.

Położyła rękę na klamce i zrobiła głęboki wdech, jak przed skokiem do lodowatej wody. Wyszła na balkon. Jej oczy natychmiast pobiegły ku cieniom pod tamaryndowcem.

Był tam, oparty o pień. Wyprostował się i spojrzał na nią. Jego twarz kryła się w cieniu, gdy podeszła do balustrady, żeby lepiej go widzieć. Stali spokojnie, patrząc jedno na drugie. Rebecca miała wrażenie, że zaraz się udusi. Z trudem chwyciła powietrze, jej ciało znosiło katusze, każdy nerw naprężony był do granic wytrzymałości, długie ścięgna w udach wibrowały niczym cięciwy. Odwróciła głowę i spojrzała na konar tamaryndowca. Wił się niczym pyton, gruby jak ona w talii, sięgając nad balkon niedaleko miejsca, w którym stała. Bliźniaczki używały go jako drabiny i huśtawki. Kora była wypolerowana w miejscu, gdzie się ześlizgiwały. Położyła na niej rękę i popatrzyła na Penroda.

— Nie wabię go — szepnęła stanowczo. — To nie jest zaproszenie. Nie wolno mu tak myśleć.

Podszedł do drzewa i zaczął się wspinać. Nie! — pomyślała. Nie wolno mu tego robić! Nie chciałam!

Była zatrwożona szybkością, z jaką się zbliżał. Dotarł do konaru i zamiast zsunąć się niezgrabnie, z nogami zwieszonymi po obu stronach, przebiegł po nim lekkim krokiem jak po trapie. Był dwadzieścia stóp nad ziemią i bała się, że spadnie. Opadł ją jeszcze większy strach na myśl, że bezpiecznie dotrze do balkonu — i co wtedy?

Wbiegła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Chciała zaciągnąć zasuwkę, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa. Odsunęła się od drzwi, stanęła na środku pokoju. Usłyszała jego kroki na

balkonie, zobaczyła opadającą klamkę. Oddech jej przyspieszył, ręce opadły, mimowolnie zaciskając się w pięści. Chciała zawołać, żeby odszedł i zostawił ją w spokoju. Z jej ust nie padł najmniejszy dźwięk.

Bardzo powoli otwierał drzwi. Krzyknęłaby, ale przecież ojciec spał w pokoju po drugiej stronie schodów, a sypialnia bliźniaczek była jeszcze bliżej. Nie chciała ich pobudzić.

Penrod wszedł do środka i po cichu zamknął drzwi. Patrzyła na niego, otwierając szeroko przestraszone oczy w drobnej, bladej twarzy. Podeszedł do niej niespiesznie, z wyciągniętą ręką, jakby chciał uspokoić nieujeżdżoną klaczkę. Zadrżała.

Dotknął jej policzka.

— Jesteś bardzo ładna — rzekł, a ona pomyślała, że zaraz się rozplacze. Położył ręce na jej ramionach, pochylił się. Zesztywniała, nie mogła oderwać spojrzenia od jego oczu: w świetle lampy były zielone, usiane złotymi cętkami i gwiazdkami. Jego wargi, gorące i gładkie, lekko musnęły jej usta. Przesunął dłonie z ramion do talii. Jej ręce zwisały bezwładnie jak u szmacianej lalki.

Przyciągnął ją do siebie, niestawiającą oporu. Otworzył usta, a wówczas przytłoczył ją jego smak i zapach. Gdy językiem rozchylił jej wargi, podniosła ręce i objęła go za szyję. Przytulił ją mocniej, niemal brutalnie. Poczowała masywną twardość rosnącą między ich ciałami. Wilgoć wzbierała w niej niczym źródło; ścisnęła uda i pośladki, żeby przestała płynąć, ale i tak zwilżyła jej uda.

Odsunął się, a ona poczuła się okradziona nagłym brakiem kontaktu. Chciała się do niego przytulić. On rozwiązał pasek i rozchylił szlafroczek. Gdy bez przekonania spróbowała się zasłonić, przytrzymał jej ręce i z urzeczeniem przyglądał się blademu ciału.

— Jesteś nieopisanie piękna — szepnął chropawym głosem.

Jej zawstydzenie wyparowało w ciepłe komplementu i odruchowo wyprężyła ramiona. Piersi miała jędrne i sterczące. Po jego oczach poznała, że wcale nie są za małe. Sutki wydawały się twarde jak kamyki. Rozpaczliwie pragnęła poczuć na nich jego usta. Owładnęło nią gwałtowne, głębokie pożądanie. Objęła go za szyję, wplotła palce w gęste, sprężyste kędziory i pociągnęła jego twarz w dół.

Sapnęła, gdy wargi Penroda zamknęły się na jej ustach. Nigdy nie przypuszczała, że następstwem tego prostego aktu może być tak wielki nawał wrażeń. Jego oddech na przemian rozgrzewał i chłodził jej skórę, gdy wdychał i wydychał powietrze. Usta, z początku twarde i suche, szybko stały się miękkie i wilgotne, język wił się jak węgorz, a potem skoczył niczym kot do spodeczka ze śmietanką. Penrod ssal ją, skubał i kąsał, a wrażenia rozchodziły się po niej całej, budząc echa głęboko we wnętrzu.

Kiedy doznania nieomal graniczyły z bólem, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Położył ją ostrożnie, jak cenny i kruchy skarb. Rozpiął koszulę i odwrócił się ku toaletce, przysunął rękę do szklanego klosza lampy i wciągnął powietrze, żeby zgasić płomień.

Usiadła szybko.

— Nie! — powiedziała ostro. — Nie gaś. Widziałeś mnie, teraz ja chcę zobaczyć ciebie. — Ledwo wierzyła własnym uszom.

Wrócił i stanął przed nią. Bez pośpiechu zdjął koszulę. Skórę miał gładką jak kość słoniowa i jasną w miejscach osłoniętych przed słońcem. Mięśnie torsu były twarde i płaskie, wyćwiczone przez szermierkę i jazdę konną. Stanął na jednej nodze, żeby ściągnąć but, i nie zachwiał się ani trochę. Odstawił but, ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, za co była mu wdzięczna. Zzuł drugi, rozpiął pas i zdjął bryczesy. Już raz widziała go nagiego i wiedziała, że zapamięta ten obraz do końca życia. Ale nie widziała go takiego. Zagryzła usta, chcąc powstrzymać okrzyk szoku. On podeszedł do łóżka i ukląkł nad nią.

— Nie rób mi krzywdy, proszę — spojrzała błagalnie.

— Prędzej umrę — odparł.

Stłumiła jęk, gdy go poczuła. Pomyślała, że coś musi się rozedrzeć albo pęknąć, i przygotowała się na cierpienie. Czuła w sobie ścianę oporu.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała, ale nagle przestała przejmować się konsekwencjami. Poderwała biodra, wychodząc mu na spotkanie, i poczuła, jak w nią wnika. Ból był dojmujący, ale krótkotrwały. Wsuwał się w nią, aż wypełnił ją do samej głębi. Zawisła nad próżnią, z początku przestraszona, lecz zaraz potem wleciała jakby na wysoką górę. Kiedy dotarła na szczyt, opadła ją tak silna potrzeba ogłoszenia triumfu, że musiała przycisnąć otwarte usta do jego szyi, żeby nie krzyknąć.

— Zostań ze mną — poprosiła później, gdy wstał, żeby się ubrać. — Nie zostawiaj mnie tak prędko.

— Wiesz, że nie mogę. Zbliża się świt, dom zacznie się budzić.

— Kiedy wyjeżdżasz?

Znieruchomiał w trakcie zapinania koszuli.

— Kto ci powiedział, że wyjeżdżam? — zapytał ostro. Pokręciła głową. — O takich rzeczach lepiej nie wiedzieć. To niebezpieczna wiedza, Becky. Jeśli wróg się dowie, przypłacę to życiem, a śmierć będzie nielekka.

— Nie powiem nikomu — obiecała żałośnie. — Ale będę za tobą tęsknić. — Chciała usłyszeć zapewnienie, że wróci. Tata powiedział: „Tacy jak on nigdzie nie zagrzewają miejsca. Nie można na nich polegać”. Nie chciała, żeby tak było.

Nie odezwał się, tylko naciągnął bluzę khaki.

— Obiecaj mi, że wrócisz — poprosiła. Podszedł do niej i pocałował ją w usta. — Obiecaj mi.

— Nigdy nie składam obietnic, których być może nie będę w stanie dotrzymać — odparł i wyszedł.

Poczuła wzbierające łzy i zmusiła się, żeby je powstrzymać.

— Nigdy nie będę beksą — przyrzekła sobie. Choć pękało jej serce, sen spadł na nią jak ciemna lawina.

Zbudził ją huk strzałów, ale pociski wybuchały w pobliżu portu, gdzie niedawno obrońcy odparli atak. Derwisze wyładowywali gniew. Zastłony w oknach były odciągnięte i do sypialni wlewało się słońce.

Nazira hałaśliwie krzątała się po pokoju.

— Już po ósmej, Dżamal. Bliźniaczki wyszły dwie godziny temu — powiedziała, gdy Rebecca sennie podniosła głowę z poduszki. — Przygotowałam dwa wiadra gorącej wody i niebieską suknię.

Rebecca, wciąż na wpół śpiąca, wysunęła się z pościeli. Gdy Nazira popatrzyła na nią ze zdziwieniem, postanowiła zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

— Naziro, masz taką minę, jakbyś zobaczyła dzinna. Ile razy widziałas mnie nagą? — Pobieгла do łazienki i wlała wiadro parującej wody do ocynkowanej wanny.

Nazira spoglądała za nią ze ściągniętymi ustami. Podniosła kołdrę i z trwogą wbiła oczy w prześcieradło. Widniała na nim plamka zaschniętej krwi. Nazira wiedziała, że nie jest to krew miesięczna; al-Dżamal oglądała swój księżyc zaledwie dwanaście dni temu i było za wcześnie, żeby znowu wzeszedł. Krew była jasna, czysta i dziewicza.

Och, moje dziecko, moja mała dziewczynko, dokonałaś przeprawy i teraz stoisz na obcym, niebezpiecznym brzegu. Pochyliła się nad łóżkiem, żeby przyjrzeć się znakowi. Plama, nie większa od jej dłoni, miała kształt ptaka w locie.

Sęp? Ptak śmierci i cierpienia był złym znakiem. Nie. Odrzuciła tę myśl. Łagodna gołębicą? Sokół, okrutny i piękny? Mądra stara sowa? Tylko przyszłość nam powie, zdecydowała i zwinęła prześcieradło. Upierze je własnoręcznie, w sekrecie. Nikomu innemu nie wolno zobaczyć tego znaku. Nagle znieruchomiała, bo wyczuła, że al-Dżamal patrzy na nią przez otwarte drzwi łazienki.

Rzuciła tobołek na podłogę i podeszła do niej. Uklękła obok wanny, podniosła gąbkę. Mydła nie było — ostatnia kostka skończyła się w zeszłym tygodniu. Rebecca zebrała włosy na karku i pochyliła się. Nazira rozpoczęła znajomy rytuał szorowania pleców.

Po chwili zapytała cicho: — Który to był, Dżamal?

— Nie rozumiem, o co pytasz. — Rebecca nie chciała spojrzeć jej w oczy.

— Kto wspiał się w nocy po tamaryndowcu?

Rebecca udała, że woda dostała się do jej oczu i zakryła je rękami.

— Chyba nie Abadan Ridzi, piękny żołnierz. On ma inną kobietę — odezwała się Nazira.

Rebecca opuściła ręce i popatrzyła na nią.

— Kłamiesz — powiedziała cichym, ale groźnym szeptem. — To okrutne, krzywdzące kłamstwo.

— A więc to żołnierz. Żałuję, że nie ten drugi, bo on mógłby cię uszczęśliwić. Żołnierz nigdy nie da ci szczęścia.

— Kocham go, Naziro. Zrozum to, proszę.

— Ona też. Nazywa się Bachita.

— Nie! — Rebecca zakryła uszy. — Nie chcę tego słuchać.

Nazira umilkła. Wzięła rękę Rebecki i masowała ją gąbką.

Kiedy doszła do palców, rozdzieliła je i umyła po jednym.

— Bachita to arabskie imię — wybuchła Rebecca, ale Nazira milczała. — Odpowiedz!

— Nie chciałaś słuchać.

— Dręczysz mnie. Jest Arabką? Czy jest piękna? Czy on ją kocha?

— Jest kobietą mojego ludu i mojego Boga. Nigdy jej nie widziałam, ale mężczyźni mówią, że jest piękna, bogata i mądra. A czy ją kocha, czy nie, tego nie wiem. Czy mężczyzna taki jak Abadan Ridzi jest w stanie kochać kobietę tak jak ona jego?

— On jest Anglikiem, a ona Arabką — wyszeptała Rebecca. — Jak może go kochać?

— Przede wszystkim on jest mężczyzną, a ona kobietą. W ten sposób może go kochać.

— Naziro, przed godziną byłam szczęśliwa. Teraz szczęście uleciało.

— Lepiej, żebyś była nieszczęśliwa przez jeden dzień niż przez resztę życia — szepnęła Nazira ze smutkiem. — Dlatego ci powiedziałam.

Dwie godziny po zapadnięciu zmroku czterej mężczyźni opuścili miasto. Penrod i Jakub ubrali się w turbany i dżibby ansarów, bo czekała ich jazda na północ przez linie derwiszów. Ryder i Baczit włożyli zwyczajne galabije, ponieważ mieli wrócić do miasta.

Pomimo arabskich strojów nikt ich nie zatrzymał, gdy przekroczyli kanał za kompleksem Rydera Courtneya. Wartownicy zostali uprzedzeni i przepuścili ich bez pytania. Wszyscy czterej nieśli broń i sizalowe worki. Nie odzywali się i posuwali czujnie, w dużych odstępach, ale nie tracąc się z oczu.

Baczit prowadził. Ani na chwilę nie zwolnił tempa, nawet gdy nogi zapadały się w piasku po kostki. Po dwóch godzinach marszu wspięli się na łupkowy pagór, biejąc jak szron w blasku księżyca. Wadi po drugiej stronie wypełniały ciemne, amorficzne kształty kolczastych krzewów. Baczit zatrzymał się i położył na ziemi swój tobołek. Zamienił parę cichych słów z Ryderem Courtneyem, który podał mu skórzany worek z denarami Marii Teresy. Dalej poszedł sam. Pozostali trzej kucnęli i czekali. Usłyszeli płynący z dali upiorny krzyk rączaka, nocnej siewki pustyni. Z wadi padła odpowiedź.

Al-Mahtum czeka. To porządny człowiek. Można na nim polegać — oznajmił Ryder z satysfakcją.

— Dołączmy do nich. — Penrod Ballantyne podniósł się niecierpliwie.

— Siadaj — rozkazał Ryder. — Baczit przyjdzie po nas. Al-Mahtum nie lubi pokazywać się obcym. Wiedzie niebezpieczne życie. Kiedy przekaże wielbłądy Baczitowi, zniknie na pustyni jak lis. Godzinę później znów rozległ się krzyk rączaka. Ryder wstał.

— Teraz — powiedział, ruszając przed Penrodem i Jakubem.

W krzakach klęczały cztery wielbłądy. Baczit kuczał obok nich, ale al-Mahtuma już nie było. Penrod sprawdził z Jakubem uprząż i ładunki. Worki zawierały bochenki chleba z durry i suszone daktyle, a jedno zwierzę dźwigało paszę. Bukłaki były napełnione niespełna w jednej czwartej.

Penrod zwrócił na to uwagę.

— Al-Mahtum uznał, że napełnicie je w czasie przeprawy przez rzekę. Nie ma sensu niepotrzebnie obciążać wielbłądów. Jutro przed północą dotrzecie do Nilu w Gutrahnie. Prędej nie próbujcie się przeprawiać. Po tej stronie Gutrahnu derwisze roją się jak muchy tse-tse.

— Przebyliśmy z Jakubem tę drogę, ale dzięki za dobrą radę — odparł cierpko Penrod. Przeszedł od jednego zwierzęcia do drugiego, klepiąc je po garbach. Były pulchne od tłuszczu. Następnie sprawdził kończyny, przeciągając rękami od góry po pięciny. — Mocne — przyznał. — Są w dobrej formie.

— Lepszych nie znajdziesz — burknął Ryder z goryczą. — To grimał, najlepsze wielbłądy wyścigowe. Warte pięćdziesiąt funtów za sztukę, i tyle ukradł mi wódz „Chińczyk” Gordon.

— Będę o nie dbać jak o własne dzieci — obiecał Penrod.

— Jestem tego pewien, choć ci, którzy nazywają cię Zabójcą Wielbłądów, a jest ich cały legion, mogą w to nie uwierzyć.

Penrod i Jakub dosiedli wierzchowców. Penrod drwiąco zsalutował kijem Ryderowi.

— Przekażę twoje wyrazy uszanowania paniom w Długim Barze w Klubie Gheziera. — Wiedział, że Ryder nie jest członkiem klubu. Była to kolejna mała zadra w ich niezbyt gładkich stosunkach.

A jednak Ryder nie był szczególnie zadowolony z odjazdu Penroda Ballantyne'a. Z nim nigdy się nie nudził. Razem z Baczitem patrzył, jak mała karawana stapia się z nocą.

Baczit chrząknął i splunął. Było jasne, że nie podziela uczuć swojego pana.

— Ci dwaj jadą razem, bo obaj są łajdakami i rozpustnikami, równie skorymi do używania noża i karabinu jak swoich mięsistych pałek.

Ryder zaśmiał się.

— Powinieneś być rad, że Jakub wyjechał. Może teraz będziesz mógł częściej cieszyć się towarzystwem Naziry. — Zarzucił na ramię pas strzelby.

— Ty też powinieneś być zadowolony z widoku ich pleców. — Ton Baczita był uszczypliwy. — Chociaż lampart już grasował w koziej zagrodzie, przynajmniej tak słyszałem.

Ryder stanął jak wryty i w świetle gwiazd spróbował odczytać jego minę.

— Jaki lampart i czyje te kozy?

— Wczoraj rano Nazira zmieniała pościel w pałacowych sypialniach. Jeden komplet musiała uprać w zimnej wodzie.

Odpowiedź była okrężna, ale Ryder zrozumiał. Gorąca woda usuwa większość plam, lecz nie krew. Krew spiera się w zimnej wodzie.

W milczeniu wrócili przez kanał do miasta. Rydera nie opuszczało niedowierzanie i poczucie zdrady, gdy wszedł do swojej kwatery w kompleksie. Oczywiście wiedział, że Penrod Ballantyne ma reputację pozeracza serc niewieścich, ale czy Rebecca Benbrook...? Na pewno nie. Była młodą,

surowo wychowaną dziewczyną ze znakomitej rodziny. Szacunek i uczucie sprawiły, że przypisywał jej cnoty, jakich mężczyzna szuka u przyszłej żony.

Baczit i Nazira są niepoprawnymi pleciugami — nie wierzę w to. Nagle przypomniał sobie uwagę rzuconą kiedyś przez swojego starszego brata Waite'a: „Żona pułkownika i Katie O'Grady są kobietami. W pewnych okolicznościach obie myślą narządami płciowymi, a nie mózgami”. Ryder śmiał się wtedy, ale teraz zrobiło mu się niedobrze.

Poczuł się trochę lepiej, gdy się ogolił i wypił dwa duże kubki czarnej kawy, zaparzonej prawie z resztek zapasu. Nawet kiedy usiadł za biurkiem, trudno mu było skupić się na księgach. Przez głowę przemykały drastyczne, denerwujące obrazy. Z ulgą skończył ostatni wpis w dzienniku, zamknął oprawną w skórę ciężką księgę i udał się na poranny obchód kompleksu.

Gdy wszedł do zagrody dla zwierząt, Saffron wybiegła mu na spotkanie. Trzymała na ramieniu małą Lucy z maleństwem, które wczepiało pazurki w puszystą sierść na brzuchu matki i ssało łapczywie. Drugie zmarło na chorobę, z którą nawet Ali nie umiał sobie poradzić. Saffron podskakiwała obok Rydera, w błogiej nieświadomości dzieląc się z nim wszystkimi strzępami informacji i perełkami mądrości, którymi Ali uraczył ją tego ranka.

— Wiktoria linieje — powiadomiła go.

— Mówimy o samicy bongo czy o królowej Anglii i cesarzowej Indii? — zapytał Ryder.

— Och, nie bądź głuptasem! Dobrze wiesz, o kim mówię — zaśmiała się Saffron. — Ali twierdzi, że nie odpowiadają jej liście akacji. Damy jej lekarstwo, gdy tylko je przyrządzi. To, które daje koniom.

Ryderowi poprawił się humor. Towarzystwo Saffron zawsze wywierało na niego zbawienny wpływ, odwracając jego uwagę od innych spraw.

— Dlaczego nie pomagasz Amber w wyrabianiu zielonego ciasta? — zapytał, gdy podeszli do ostatnich klatek.

— Moja siostra jest nudna, zadziera nosa i wszystkimi dyryguje. Zjawiała się po raz pierwszy od paru tygodni i szarogęsi się jak księżniczka.

Szli pomiędzy szeregami Sudanek, które w drewnianych stępach miażdżyły pęki świeżych roślin. Ryder witał robotnice po imieniu i wypytywał, okazując zainteresowanie i troskę. Kobiety chichotały z zadowolenia. Niektóre młodsze dziewczęta kokietowały go otwarcie, bo uchodził wśród nich za wielkiego faworyta. Ryder wiedział, że ludzie dadzą z siebie wszystko, gdy będą go lubić. Saffron przekomarzała się z Sudankami, gdyż miała podobne poczucie humoru, a one cieszyły się jej radością życia. Dobre nastroje były rzadkością w mieście, w którym nieustający terror i głód przemieniały ludzi w dzikie zwierzęta. Mamy za co dziękować zielonemu ciastu. Dzięki niemu nie tracimy zdrowia i człowieczeństwa, pomyślał Ryder.

Starął się nie okazać tego po sobie, ale chciał jak najszybciej znaleźć się na wewnętrznym podwórzu, gdzie znad trójnożnych kotłów wznosił się dym. Zastali tam Rebecę, Amber i pięć arabskich dziewcząt, zajętych ważeniem i pakowaniem bochenków zielonego ciasta do wiklinowych koszyków, które następnie miały zostać rozdzielone wśród najbardziej potrzebujących. Niełatwo było rozstrzygnąć, kto jest w największej potrzebie, bo głodowali wszyscy mieszkańcy Chartumu. Rebecca odczytywała wskazania wagi, a Amber zapisywała podawane przez nią wyniki.

— To nasz najlepszy dzień, Ryder. Sto trzydzieści osiem funtów — oznajmiła z dumą Amber.

— Wspaniale. Sprawiacie się cudownie, moje panie. — Ryder odwrócił się w stronę Rebecki. Miała długą spódnicę i słomkowy kapelusz z szerokim rondem, bo słońce już stało wysoko i prażyło mocno.

— Panno Benbrook, mam nadzieję, że dobrze się pani miewa? — Widział, że straciła na wadze.

Był pewien, że mógłby objąć ją w talii dłońmi. Myśl o dotykaniu jej ciała wzbudziła w nim niepokój i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

Uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy od tamtego pocałunku, lecz brakowało jej zwykłej iskry i werwy. Sprawiała wrażenie przybitej.

— Dziękuję, panie Courtney. Przez jakiś czas byłam niezdrowa, ale już odzyskałam siły. — Wymienili jeszcze kilka sztucznych uprzejmości. Amber się nadała, bo Ryder nie zwracał na nią uwagi.

— Jeśli pan pozwoli, wrócimy do pracy — Rebecca zakończyła rozmowę. — Amber, możesz odnieść wagę do szopy. Saffron, twoja miłość zabije Lucy i jej maleństwo. Zanieś je z powrotem do klatki. Potrzebujemy twojej pomocy.

Saffron zrobiła obrażoną minkę, ale odeszła, zostawiając starszą siostrę z Ryderem.

— Nosi pan arabski strój — zauważyła Rebecca. — To niezwykle, prawda?

— Ani trochę. Zawsze go wkładam, kiedy podróżuję po pustyni. Jest chłodniejszy, a także bardziej praktyczny do jazdy wierzchem i chodzenia pieszo. Poza tym moi ludzie tak wolą. Wyglądam na jednego z nich, mniej obco.

— Naprawdę? Myślałam, że włożył go pan, ponieważ pojechał z Baczitem po wielbłądy dla kapitana Ballantyne'a i Jakuba.

— Kto pani tak powiedział?

— Moja sprawa wiedzieć, a pańska zgadywać.

— Nazira to plotkarka. Nie powinna pani przywiązywać wagi do wszystkiego, co ona mówi.

— Wyciąga pan pochopne wnioski, panie Courtney. Swoją drogą, informacje Naziry zawsze uważałam za bardzo wiarygodne.

Gdybyś tylko знаła najnowszy biuletyn Naziry, pomyślał. Rebecca mówiła dalej: — Proszę mi powiedzieć, czy kapitan Ballantyne odjechał bezpiecznie?

Najwyraźniej znała odpowiedź na to bezpośrednie pytanie. Ryder rozważył je starannie. Przyszło mu na myśl, że wyjazd Penroda oczyścił mu pole. Z drugiej strony, czy naprawdę chciał mieć zabawkę porzuconą przez ślicznego oficerka?

— I co? — przynagliła Rebecca. — Mnie to nie interesuje, ale Nazira będzie ciekawa, czy nic złego nie spotkało Jakuba. Jest jej wyjątkowym przyjacielem.

Ryder skrzywił się, słysząc to delikatne określenie. Zastanowił się, czy Rebecca uważa tego żołnierzyka za swojego wyjątkowego przyjaciela.

— Nie powinniśmy rozmawiać o sprawach wojskowych, które wiążą się z bezpieczeństwem miasta — powiedział w końcu.

— Och, panie Courtney! Nie szpieguję dla Mahdiego. Jeśli pan nie odpowie, zapytam ojca. Po prostu uznałam, że zaoszczędzi mi pan kłopotu.

— Dobrze. Nie widzę przeciwwskazań. Kapitan Ballantyne odjechał niedługo po północy. Razem z Jakubem ruszyli na północ i prawdopodobnie dzisiejszej nocy przekroczą Nil. Planuje dołączyć do armii mahdystów, która zmierza wzdłuż rzeki w kierunku Abu Hamed.

Rebecca zbladła.

— Zamierza podróżować w towarzystwie derwiszów? To szaleństwo!

— To sposób znany jako chowanie się na widoku. Ukryją się wśród czerechy — zapewnił ją. — Niech się pani nie martwi, kapitan Ballantyne jest zręczny w udawaniu. Potrafi zmieniać się jak kameleon. — Jeśli chce, może uznać to za ostrzeżenie, pomyślał.

— Nie martwię się o kapitana, może mi pan wierzyć. — Kłamstwo było przejrzyste: wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

Nie ulega wątpliwości, że Nazira powiedziała prawdę. Ballantyne uwiódł Rebecę, ale co z tego? — rozważał Ryder z zadumą. Nigdy nie należała do mnie, a ja jej nie kocham — przynajmniej nie teraz, gdy jest jak zepsuty owoc. Nawet w jego uszach tym wewnętrznym roztrząsaniem brakowało wydźwięku prawdy. Spróbował być z sobą bardziej uczciwy. Czy ją kocham? Jednakże nie miał ochoty mierzyć się z tym pytaniem.

— Proszę wracać do pracy, panno Benbrook — mruknął i odwrócił się w stronę szopy. — Amber! — zawołał. Oboje z Rebecą byli tak pochłonięci rozmową, że żadne z nich nie zwróciło uwagi na powrót dziewczynki.

— Jak długo słuchałaś? — zapytała Rebecca. Zamiast odpowiedzieć, Amber spytała: — Czy derwisze schwytają Penroda?

— Oczywiście, że nie. Nie bądź niemądra! — Obie siostry były bliskie łez. — A tak w ogóle nie wolno podsłuchiwać i nazywać kapitana Ballantyne'a po imieniu. Chodź ze mną, pomożesz mi napełnić kotły.

Amber wyminęła ją i pobiegła w kierunku konsulatu. Biedna mała, pomyślał Ryder, ale ciężkie dni czekają nas wszystkich.

Wczesnym rankiem, gdy dzwony w starej misji katolickiej oznajmiły koniec godziny policyjnej, kobiety wyległy z ruin, chałup i ruder, spiesząc do arsenału po dzienną rację ziarna. Nim otworzono bramy, kilka tysięcy osób czekało w kolejce, która sięgała prawie do portu. Było to skupisko nędzy i rozpacz. Głód i zaraza — ci straszni jeźdźcy szaleli we wszystkich dzielnicach miasta, a mieszkańcy kulili się pod ich batogiem. Każda z tych biednych, wymizerowanych istot, wychudłych i odzianych w łachmany, ledwo powłóczących nogami, z niemowlętami przytroczonymi do pleców albo daremnie ssącymi puste, wysuszone piersi, ścisnęła pogiętą miskę i wyświechtaną książeczkę z kartkami żywnościowymi, wydaną przez sekretariat generała Gordona.

Przy bramie stał egipski kapitan z dwudziestoma podkomendnymi. Ze spichrza wynoszono po jednym worki durry. Żaden cywil nie miał prawa przekroczyć bramy. Gordon nie chciał, żeby mieszkańcy zobaczyli na własne oczy ubogi zapas ziarna.

Gdy kolejne kobiety dochodziły do czoła kolejki, sierżant sprawdzał, czy książeczka nie jest podrobiona. Kiedy wszystko było w porządku, wpisywał datę i składał podpis. Żołnierz drewnianą miarką nakładał do miski dzienną rację przysługującą rodzinie. Dwóch podoficerów z pałkami stało w gotowości po obu stronach bramy, żeby zdusić w zarodku protesty czy niepokoje. Tego ranka obstawa została wzmocniona o dwudziestu żołnierzy z bagnietami na karabinach. Kobiety z gorzkiego doświadczenia wiedziały, co wróży ten pokaz siły. Stały się niespokojne i hałaśliwe, kłóciły się zażarcie, przepychały w kolejce. Dzieci płakały, wyczuwając napięcie.

Na ulicy zjawił się generał Gordon, idąc od fortu do bramy. Kobiety podnosiły dzieci, pokazując mu ich sine, zniekształcone twarzyczki, chude, na wpół sparaliżowane kończyny, włosy przeredzone do rudawego meszku. Wszystkie te objawy świadczyły o głodzie, szkorbutcie i beri-beri.

Nie zwracając uwagi na przekleństwa i błagania matek, Gordon zajął miejsce na czele oddziału. Skinął głową do kapitana. Młody oficer rozwinął obwieszczenie, wydrukowane na prasie drukarskiej w konsulacie, i zaczął czytać: — Ja, generał Charles George Gordon, mocą władzy nadanej mi przez chedywa Egiptu, jako gubernator prowincji Kordofan i miasta Chartum, ze skutkiem natychmiastowym zarządzam, co następuje. Dzienna racja ziarna wydawana mieszkańcom miasta Chartumu zostanie zmniejszona do trzydziestu decy litrów per diem... — Oficer nie mógł czytać dalej: jego głos utonął w gwizdach i wrzaskach protestu. Wściekły tłum pulsował jak czarna meduza, kobiety potrząsały pięściami i wymachiwały rękami.

Gordon wydał rozkaz. Żołnierze opuścili bagnety, tworząc żywopłot z ostrej stali przed

zbliżającym się tłumem. Kobiety pluły, wrzeszczały i tłukły w metalowe miski jak w bębny. Kapitan wyciągnął szablę.

— Cofnąć się! Cofnąć się, wszyscy!

Jego zachowanie doprowadziło tłum do stanu wrzenia.

— Chcecie nas zgłodzić! Otworzymy bramy miasta! Jeśli chedyw i Gordon Basza nie mogą nakarmić naszych dzieci, zdamy się na łaskę Mahdiego.

Kobiety w pierwszych szeregach chwyciły ostrza bagnetów i trzymały je w skrwawionych rękach, zmuszając żołnierzy do cofania się ku bramie.

Gordon wydał cichą komendę młodemu kapitanowi. Szczęknięły rygle, gdy żołnierze załadowali karabiny.

— Kompania, cel! — Żołnierze spojrzeli przez żelazne celowniki w wykrzywione twarze kobiet. — Pal!

Karabiny wystrzeliły, wymierzone ponad głowami. Dym z czarnego prochu spowił kobiety gęstą chmurą i oszołomione cofnęły się o kilka kroków.

— Przeładować. — Tłum zafalował przed groźnie opuszczonymi lufami. Nagle wybuchł nowy dźwięk. Kobiety stojące z przodu zaczęły zawodzić przeraźliwie, podsycając gniew pozostałych.

— Otworzyć spichlerze! Dajcie nam pełne racje!

— Nakarmcie nas! — krzyczały, ale żołnierze nie ustępowali pola.

Jedna z kobiet wyjęła cegłę z wykruszonej przez pocisk ściany i rzuciła ją w pierwszy szereg. Cegła nie wyrządziła szkody, ale sprowokowała innych, którzy podbiegli do ściany i chwyтали cegły, kamienie i kawałki potłuczonych naczyń. Tłum uległ przemianie. Już nie był zbiorowiskiem jednostek, ale jednym potwornym organizmem, bezmyślną amebą przemocy i zniszczenia.

Kamienie i cegły sypały się na żołnierzy. Młody kapitan dostał prosto w twarz. Czerwony fez spadł mu z głowy, upuścił miecz i osunął się na kolana. Wypluł zęby, krew lała mu się z ust. Kobiety ruszyły w stronę otwartego worka z ziarnem, tratując oficera.

Gordon wystąpił przed szereg. Kobiety zobaczyły jego płonące niebieskie oczy.

— Oczy diabła! — wrzasnęły te na przedzie. — Szatan!

Zabić go!

— Daj nam chleb dla dzieci! Daj nam jedzenie!

Zagrzechotały cegły, upadł kolejny żołnierz.

— Cel! — Głos Gordona zabrzmiał czysto jak ton sygnałówki. — Jeden nabój. Pal!

Wystrzelone z bliska kule trafiły kilka kobiet; zaczęły kwiczeć jak świny w rzeźni. Te, które wyszły bez szwanku, zatrzymały się niezdecydowanie. Prowodyrowie próbowali je pod-buntować.

— Bagnety! — zawołał Gordon. — Naprzód! — Żołnierze ruszyli zwawym krokiem, opuszczając jasne ostrza. Tłum cofnął się, a potem skłębił i rozproszył. Ludzie porzucali kamienie i cegły i gubili miski, uciekając w zaułki.

Gordon zatrzymał żołnierzy i kazał im odmaszerować do arsenału. Gdy brama zamknęła się za nimi, kobiety wyszły z kryjówek w labiryncie uliczek dzielnicy nędzy. Wróciły po martwych, rannych i zagubione dzieci. Z początku były bojaźliwe i wystraszone, ale nagle jedna podniosła kamień wielkości pięści i rzuciła go w zabarykadowaną bramę arsenału.

— Żołnierze są tłuści, mają wypchane brzuchy. Kiedy błagamy o jedzenie, strzelacie do nas jak do psów. — Była to wysoka, koścista wiedźma, ubrana na czarno. Stała przed bramą i podniosła chude ręce ku niebu. — Allahu, ześlij na nich zarazę i cholere. Każ im zjadać ropuchy i ścierwojady, do czego my jesteśmy zmuszone! — wrzeszczała piskliwie.

Dołączyły do niej inne kobiety. Znowu zaczęły zawodzić, poruszając językami tak szybko, że

Ślina tryskała im z ust.

— Frankowie też mają jedzenie — zawyła kobieta w czerni. — Obżerają się niczym baszowie w swoich pałacach.

— Kompleks al-Sachawiego, niewiernego, pełen jest tłustych zwierząt. Jego magazyny są zawałone workami ziarna.

— Dajcie nam jedzenie dla dzieci!

— Sprzymierzeńcem al-Sachawiego jest szatan. Nauczył go czarów. Nauczył go, jak z trawy i cierni robić diabelską mannę. Jego ludzie nie znają głodu.

— Zniszczyć gniazdo szatana!

— Jesteśmy dziećmi Allaha. Dlaczego niewierny ucztuje, podczas gdy nasze dzieci mrą z głodu?

Tłum falował niepewnie. Odziana w czerń kobieta przejęła dowodzenie. Wybiegła na ulicę prowadzącą do szpitala i dalej do kompleksu Rydera Courtneya.

— Za mną! Pokażę wam, gdzie znaleźć jedzenie. — Ruszyła tanecznym krokiem, szurając nogami, podskakując i zawodząc, a tłum popłynął za nią. Tańcząca, wyjąca ludzka rzeka zalała wąską ulicę.

Mężczyźni słyszeli hałas i wychodzili z kryjówek w ruinach. Zawodzenie kobiet doprowadzało ich do szaleństwa. Wszyscy, którzy mieli broń, potrząsali nią w powietrzu. Dołączali do burzliwej, roztańczonej procesji, śpiewając pieśni wojenne wojowniczych plemion.

Ryder i Jock McCrump pracowali w głównym warsztacie, zmagając się z licznymi przeszkodami. Po raz trzeci w ciągu trzech miesięcy musieli wyjąć silnik z kadłuba Ibisa i skrupulatnie przespawać przewody parowe. Odkryli, że łożysko głównego wału napędowego również zostało zniszczone i łomotało hałaśliwie nawet przy niskich obrotach. Jock zrobił części zamienne: z dużego bloku metalu ręcznie wykuł i wyprofilował półpanwie. Był to monumentalny pokaz umiejętności i cierpliwości. Wreszcie po miesiącach żmudnej pracy naprawa dobiegła końca. Teraz składali silnik, żeby przeprowadzić ostatnią próbę przed przetransportowaniem go do portu i zainstalowaniem w maszynowni parowca.

— I co, kapitanie, chyba tym razem zrobiliśmy wszystko jak trzeba. — Jock miał ręce ubrudzone smarem po łokcie, a pot przykleił jego przerzedzone włosy do czaszki. — Myślę, że tym razem stary Ibis da radę wywieźć nas z tej zapomnianej przez Boga dziury. Panna z Glasgow, moja znajoma, prowadzi w Asuanie melinę. Sprzedaje prawdziwą whisky z wyspy Islay. Chętnie poczuję smak trunku na języku. To prawdziwy nektar wszechmogącego, i wierz mi, to żadne świętokradztwo.

— Postawię ci pierwszą kolejkę — obiecał Ryder.

— I całą resztę. Nie zapłaciłeś mi za ubiegły rok.

Ryder miał zamiar zaprotestować przeciwko tej rażącej niesprawiedliwości, gdy usłyszał tupot stóp i zadyszany głos Saffron: — Ryder! Chodź szybko. Stał w drzwiach warsztatu.

— O co chodzi, Saffron?

Biegła z wysoko podkasaną spódnicą. Kapelusz spadł jej z głowy i wisiał na wstążkach, odsłaniając zaczerwienioną buzię.

— Dzieje się coś strasznego. Rebecca mnie przysłała, żeby ci powiedzieć. Szybko! — Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą. Pobiegli w kierunku podwórza z kotłami.

— Słyszysz? — Saffron przystanęła i uniosła dłoń. — Słyszysz? — Z dali płynął niski pomruk, podobny do szumu wodospadu albo wiatru w drzewach.

— Tak, ale co to jest?

— Nasze kobiety mówią, że zbliża się wielki tłum. Nadciąga od strony arsenału. Podobno znowu zmniejszono racje ziarna i zanoszą się na okropne kłopoty. Kobiety boją się i uciekają.

— Saffron, przyprowadź Rebeccę i Amber.

— Amber tu nie ma. Siedzi naburmuszona w pałacu. Nie przyszła ani razu, odkąd usłyszała o wyjeździe kapitana Ballantyne'a.

— Dobrze. Tam będzie bezpieczna. Niech kobiety idą, jeśli chcą. Zaprowadź Rebecę, Nazirę i wszystkie inne, które zostaną, do blokhauzu. Wiesz, jak zamknąć okiennice i zabarykadować drzwi. Wiesz, gdzie są strzelby. Weźcie je, ty i Rebecca. Czekać na mnie.

— Dokąd idziesz?

— Zwołać mężczyzn. Dość pytań. Idź już, biegiem!

Na wypadek takich właśnie kłopotów Ryder ufortyfikował kompleks. Mury były wysokie i mocne, z kawałkami potłuczonego szkła, jeżącymi się na szczycie. Wnętrze zaprojektował jako szereg zdalnych do obrony podwórz, a kiedy jedno padało, obrońcy mogli wycofać się na następne. W samym środku stał blokhauz, w którym mieściła się jego prywatna kwatera, skarbiec i arsenał. Okna miały ciężkie okiennice, drzwi solidne rygle. Wąskie otwory w ścianach służyły do prowadzenia ostrzału, a warstwa rzecznej gliny chroniła trzecinowy dach przed ogniem.

Pierwszą linię obrony stanowił zewnętrzny mur z dwiema masywnymi bramami od frontu i z tyłu. Ryder posłał Jocka z trzema mężczyznami do zabarykadowania i obsadzenia tylnych wrót. Sam zabrał Baczita i pięciu najpewniejszych ludzi do frontowej bramy, która wychodziła na wąską ulicę. Wszyscy byli uzbrojeni w długie drewniane laski. Ryder kazał zaryglować bramę i wsunąć w uchwyty grube belki. Potrzebny byłby taran, żeby je wyważyć. Z boku w murze była wiklinowa furtka, przez którą mogła wejść jedna osoba naraz. Ryder wyszedł na ulicę. Zobaczył tylko kilka robotnic z kuchni, w której wyrabiały zielone ciasto. Kobiety uciekały jak spłoszone kurczęta i po paru sekundach ostatnia zniknęła z pola widzenia.

Ryder czekał. Rozmyślnie uzbroił się tylko w kij, żeby nie prowokować ludzi. Strzelba przeciwko tłumowi byłaby bezużyteczna. Strzał powaliłby tylko jedną osobę, a rozwścieczył wszystkie pozostałe. Tłum rzuciłby się na niego, zanim zdążyłby przeładować. Pewny sposób, żeby dać się rozerwać na strzępy, pomyślał. Wsparł się niedbale na lasce, przybierając spokojną, odprężoną pozę. Tłum nadciągał, hałas z chwili na chwilę przybierał na sile. Wiedział, co oznacza ten przeraźliwy chór kobiecych głosów. Podjudzały siebie i swoich mężczyzn, przywodząc wszystkich do szaleństwa.

Ryder stał samotnie przed bramą, a dźwięk narastał do stłumionego ryku, zbliżając się jak fala powodziowa. Nagle sto kroków od niego pojawiły się pierwsze szeregi. Ludzie zobaczyli go i zawahali się. Wrzawa stopniowo cichła. Dobrze znali jego budzącą strach reputację.

Niech mnie licho, jeśli nie odegram dla nich Gordona. Ryder uśmiechnął się w duchu. „Chińczyk” Gordon słynął z umiejętności roztaczania hipnotyzującej władzy nad plemionami wrogich dzikusów. Podobno uspokajał ich i kontrolował samą siłą woli i spojrzeniem stalowoniebieskich oczu.

Ryder wyprostował ramiona i stał, omiatając ludzi srogim spojrzeniem. Wiedział, że zielone i niebieskie oczy uważają za diabelskie. Tłum zamilkł, zapadła niesamowita cisza. Nastąpił krótkotrwały impas. Ryder wiedział, że wystarczy drobiazg, a szala przechyli się w jedną bądź w drugą stronę.

Ruszył w stronę tłumu. Ostentacyjnie podniósł kij i kroczył z wyrachowaną groźbą. Cofali się powoli. Ten i ów obejrzał się przez ramię. Jeszcze chwila, a rzucą się do ucieczki.

Nagle na ulicę wybiegła wysoka, chuda jak tyczka kobieta. Wargi ściągnięte w dzikim grymasie odsłaniały białe jak kość zęby, zbyt duże w bladoróżowych dziąsłach usianych ropiejącymi wrzodami. Była mitologiczną harpią odzianą w czerń. Gdy, tańcząc, zmierzała ku Ryderowi, bocianie nogi napinały materiał spódnicy, a wielkie stopy plaskały o drogę jak zdechłe czarne sumy. W pewnym momencie zadarła głowę i z jej ust popłynęło potępieńcze wycie. Tłum ryknął i ruszył za

nią, zapelniając ulicę.

Ryder podniósł prawą rękę w pojednawczym geście.

— Dam wam, co tylko chcecie! — krzyknął. — Stać!

Jego głos zagłuszyły dzikie wrzaski harpii: — Sami weźmiemy, co chcemy, i zabijemy wszystkich, którzy staną nam na drodze!

Ryder powoli podniósł lewą rękę i wyrysował w powietrzu znak złego oka. Wskazał twarz kobiety. Powieki jej zatrzepotały, gdy rozpoznała znak. Potknęła się i zatrzymała, ale zaraz potem wzięła się w garść i ruszyła dalej. Ryder dostrzegł szaleństwo w jej oczach i zrozumiał, że nawet najgorsze czary już są jej niestraszne.

Mimo wszystko nie ustąpił, tylko wyszedł jej na spotkanie i uderzył ją końcem laski w brzuch tuż pod żebrami. Większość mieszkańców miała śledziony nabrzmiałe z powodu malarii. Taki cios mógł doprowadzić do pęknięcia narządu, powodując śmierć albo kalectwo ofiary. Harpia upadła jak stos czarnych gałganów, ale tłum nie zrezygnował. Mężczyzna w pierwszym szeregu przeskoczył nad ciałem i zamachnął się mieczem, mierząc w głowę Rydera. Ten zrobił unik i umknął na teren kompleksu. Baczit zatrzasnął i zaryglował furtkę. Usłyszeli i poczuli impet, z jakim ludzie naporli na nią z drugiej strony.

— Będziemy wpuszczać ich pojedynczo i rozwalać im łby — zaproponował Baczit.

— Jest ich zbyt wielu. — Ryder pokręcił głową. — Wdrapię się na bramę i spróbuję przemówić im do rozumu.

— Stado wściekłych psów nie ma rozumu.

Ryder czuł, jak ktoś uparcie szarpie go za poję. Obejrzał się po chwili.

— Kazałem ci zostać w blokhauzie! — zawołał ze złością.

— Przyniosłam ci to. — Saffron podniosła pas z rzędem mosiężnych naboii i rewolwerem w kaburze.

— Dobra dziewczynka. — Zapiął pas. — Ale teraz wracaj do blokhauzu i nie ruszaj się stamtąd na krok. — Nie sprawdzając, czy go posłuchała, odwrócił się w stronę Baczita. — Przynieś drabinę z warsztatu.

Przystawili ją do muru. Ryder wspiął się na szczyt i wyjrzał na ulicę. Jak długa i szeroka, była pełna ludzi. Wypatrzył wiedźmę; szła zgięta wpół i kulała z bólu, ale jej głos był równie piskliwy i zadziorny jak wcześniej. Dyrygowała tłumem, każąc przynosić z okolicznych domów wszystko, co nadaje się do palenia. Ludzie znosili belki, suche palmowe liście, stare meble, śmieci. Spiętrzali to wszystko pod bramą kompleksu.

— Posłuchajcie mnie, mieszkańcy Chartumu! — zawołał Ryder po arabsku. — Niech prowadzi was pokój i mądrość Boga. W tych murach nie ma nic, czego nie dałbym wam z radością.

Patrzyli na niego niepewnie, gdy balansował na szczycie drabiny.

— To uczeń szatana! — wrzasnęła harpia. — Niewierny! Patrzcie na tego zjadacza wieprzowiny! On warzy piekielną zieloną mannę! — Pomimo bólu podjęła swój taniec, a tłum zawarczał za jej plecami. Kamienie i kije posypały się w stronę Rydera. Na szczęście mur był wysoki, a odległość duża. Pociski uderzały w ścianę i grzechotały na pylistej ulicy.

— To, co nazywacie diabelską manną, jest gotowaną trawą i trzcina. Jeśli będziecie ją jeść, wasze dzieci nabiorą siły i wrócą do zdrowia.

— Łże! Diabeł wkłada kłamstwa w jego usta. Wiemy, że jesz chleb i mięso, nie trawę. Za murem jest ziarno i mięso. Daj je nam. Daj nam swoje zwierzęta. Daj nam durrę, którą trzymasz w magazynie.

— Nie mam durry.

— Kłamie! — wydyszała jędba. — Podłóżyc ogień! Wykurzymy go z tego gniazda zła i bluźnierstwa!

— Czekajcie! — krzyknął Ryder. — Wysłuchajcie mnie!

Ale ryk tłumu zagłuszył jego słowa. Jakaś kobieta wybiegła na ulicę z płonąca pochodnią, kłębem szmat unurzanych w smole i przywiązanych do kija od szczotki. Gęsty czarny dym buchał z płomieni. Podała pochodnię mężczyźnie, który podbiegł do bramy. Ryder z trwogą zobaczył, jak wysoko piętrzy się łatwo palny materiał. Mężczyzna rzucił pochodnię na szczyt stosu. Stoczyła się do połowy wysokości i znieruchomiła. Płomienie strzeliły w suchym pustynnym powietrzu. Bramę od wielu lat prażyło słońce. Choć Ryder i jego ludzie malowali ją regularnie, drewno wyschło i popękało. Ogień strawił farbę, długie jęzory płomieni, prawie niewidoczne w ostrym słońcu, szybko wspinały się po deskach. Ryder zastanowił się, czy nie rozkazać ustawić się z kubłami i zgasić płomienie, zanim przepalą wrota, ale zrozumiał, że ma za mało ludzi i wiader, rzeka i studnia są za daleko, a języki ognia już skaczą powyżej szczytu muru. Silny żar spędził go z drabiny.

— Baczit, możemy walczyć z nimi tutaj, ale nie chcę strzelaniny. Nie chcę, żeby ktoś zginął.

— Mnie też to gryzie, efendi. Nie chciałbym zostać zabity — odparł Baczit. — To zwierzęta, obłąkane zwierzęta.

— Głód doprowadził ich do tego.

— Mam posłać kogoś do Gordona, żeby przysłał żołnierzy? — zapytał Baczit z nadzieją.

Ryder uśmiechnął się ponuro.

— Gordon Basza nie jest naszym przyjacielem. Jesteśmy dla niego warci tyle, ile nasza durra i wielbłądy. Poza tym tłum rozszarpałby posłańca na kawałki. Musimy ratować się bez pomocy Gordona.

— Jak to zrobimy?

— Wycofamy się do głównego kompleksu. Tamtej bramy nie spalą. Sięga do niej wąż pożarniczy. — Musiał podnieść głos, bo z ulicy płynęło wycie ludzi i trzaskanie płomieni.

— Chodźcie! Za mną!

Farba po wewnętrznej stronie wrót już zaczynała czernieć.

Ryder wbiegł za wewnętrzną bramę, każąc przygotować pompę i wąż. Na wewnętrznym murze była platforma strzelecka i Ryder niechętnie wydał karabiny Martini-Henry tym, którzy umieli się z nimi obchodzić. Poza Rebeccą, Jockiem i Baczitem miał tylko pięciu wyszkolonych ludzi. Arabowie nie lubili broni palnej i nie umieli się nią posługiwać. Rebecca była lepsza od większości z nich. Kazał jej i Jockowi zająć miejsce przy strzelnicach w blokhauzie, a sam wspiał się na platformę strzelecką.

Z góry patrzył, jak skrzydła pierwszej bramy powoli wginają się do środka, a potem z trzaskiem, w chmurze iskier i płonących drzazg, padają na pylistą ziemię. Tłum wdarł się do kompleksu, przepychając się i przeskakując nad płonącymi wrotami. Jedna ze starszych kobiet straciła równowagę i upadła w płomienie. Jej obszerna szata natychmiast się zajęła. Reszta tłumu nie zwracała uwagi na udręczone wrzaski. Kobieta znieruchomiła po paru sekundach. Mdlący swąd przypiekanego ciała dotarł do Rydera na wewnętrznym murze.

Przywódcy wbiegli na podwórze i stanęli. Znaleźli się na nieznanym terenie, dlatego rozglądali się ciekawie. Dostrzegli rząd głów nad wewnętrznym murem i znów ryknął chór myśliwych. Jak stado dzikich psów rzucili się w stronę bramy. Ryder pozwolił im pokonać połowę drogi, a potem strzelił w ubitą glinę pod nogami prowadzących. Kula wzbijała fontannę pyłu i żwiru, rykoszet przeleciał nad głowami. Zatrzymali się i kręcili niezdecydowanie.

— Nie podchodzić bliżej! — krzyknął. — Zabiję każdego, który zrobi krok do przodu. —

Niektórzy zawrócili, ale wiedźma wykuśtykała przed pierwsze szeregi. Znowu puściła się w groteskowe tany. Wytrzasnęła skądś krowi ogon do opędzania much i teraz potrząsała nim, wywrzaskując pogróżki i przekleństwa pod adresem ludzi na murze.

— Wstrętne, głupie stare babsko — mruknął Ryder, zdjęty rozpaczą i poczuciem niemocy — nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił. — Strzelił jej pod nogi. Kiedy kula wzbijała pył, kobieta skoczyła w powietrze, a jej czarna szata załopotiała niczym skrzydła zrywającej się do lotu sędziwej wrony. Tłum znowu zawył. Wiedźma spadła na ziemię i ruszyła prosto ku wewnętrznemu murowi. Ryder wprowadził następny nabój do komory i strzelił. Znowu podskoczyła, a mężczyźni za jej plecami naśladowali ją ze śmiechem, w którym pobrzmiewała obłąkańcza, obsceniczna nuta, równie złowieszcza jak okrzyki wściekłości.

— Stój! — mruknął Ryder. — Błagam, zatrzymaj się, ty stara suko. — Strzelił jeszcze raz, ale tłum już zrozumiał, że nie chce nikogo zabić, i wyzbył się strachu. Ludzie ruszyli ławą za podskakującą kobietą. Podeszli do bramy, zaczęli tłuc w nią przyniesioną bronią i gołymi rękami.

— Drewno! — wrzasnęła wiedźma. — Przynieść więcej drewna! — Pobiegli i wrócili, piętząc drwa pod bramą.

— Uruchomić pompę! — krzyknął Ryder. Dwaj mężczyźni chwycili rączki i zaczęli pompować. Pusty płócienny wąż rozciągnięty na podwórzu spuchł i stwardniał, gdy wzrosło ciśnienie. Z dyszy wystrzelił potężny strumień rzecznej wody. Dwaj ludzie na murze skierowali go w spiętrzone drewno. Woda uderzyła z taką siłą, że stos się rozsypał.

— Celujcie w nią. — Ryder wskazał wiedźmę. Strumień uderzył ją w pierś i rzucił do tyłu. Upadła na plecy, przeturlała się. Strumień podążał za nią. Za każdym razem, gdy się podnosiła, przewracał ją na ziemię. Wreszcie na rękach i kolanach wypełzła poza jego zasięg. Ryder skierował dyszę na pierwsze szeregi. Ludzie rozpierzchli się i rozbiegli, żeby przeszukać budynki stojące na zewnątrz muru. Po paru minutach obrońcy usłyszeli łoskot od strony magazynów.

— Rozwalają drzwi składnicy kości słoniowej — zawołał Ba-czit. — Musimy ich powstrzymać.

— Dziesięciu na tysiąc? — Ryder nie musiał mówić nic więcej.

— A kość słoniowa i skóry? — Baczit miał prawo do niewielkiego udziału w zyskach Rydera i na myśl o stracie jego twarz zastygła w grymasie przerażenia.

— Wolę, żeby wzięli zwierzęce ciosy i futra niż moje zęby i skórę — powiedział Ryder. — Tak czy inaczej kości słoniowej nie zjedzą. Może stracą zainteresowanie, kiedy nie znajdą durry w magazynach.

Wiedział, że to płonna nadzieja. Niedługo później mężczyźni wrócili, poduszczeni dzikim zawożeniem kobiet. Nieśli kilka największych ciosów i tobołki z wysuszonymi na słońcu zwierzęcymi skórami. Spiętrzyli to wszystko pod murem. Ich zamiary były jednoznaczne. Budowali pochylnię, żeby wspiąć się na mur. Ryder natychmiast rozkazał skierować strumień wody na stos. Ciosy i skóry, znacznie cięższe od kawałków drewna, nawet nie drgnęły. Mężczyźni nie zważali na bijącą w nich strugę, gdy układali kolejne ciosy, żeby podwyższyć pochylnię. Kiedy jeden się przewracał, trzech innych zajmowało jego miejsce. Spiętrzali kość słoniową i skóry, aż stos sięgnął prawie szczytu muru. Potem zgromadzili się na zewnętrznym podwórzu poza zasięgiem strumienia. Czarna wiedźma podskakiwała wśród nich.

— Powinieneś przyłożyć jej mocniej — mruknął ponuro Baczit — albo wpakować kulkę w tę szpetną łepetynę. Jeszcze nie jest za późno. — Podniósł karabin i wycelował.

— Nic jej nie grozi, kiedy ty strzelasz — zauważył Ryder. Pomimo długich godzin nauki Baczitowi dużo brakowało do opanowania sztuki strzeleckiej. Zrobił zbolałą minę, urażony docinkiem, ale opuścił strzelbę. — Widzisz? Stara jędza wybiera najlepszych ludzi, których pośle na

mury.

Miał rację. Wiedźma wciąż miała krowi ogon; nie zgubiła go nawet, kiedy trafił ją strumień z węża, bo był zaopatrzony w pętlę z surowej skóry, którą założyła na rękę. Teraz krążyła w tłumie i uderzała krowim ogonem w twarze wybrańców. Szybko wyznaczyła około czterdziestu najmłodszych, najsilniejszych mężczyzn. Wielu było uzbrojonych w miecze i siekiery.

Zachęcone przez nią kobiety znów wszczęły przeraźliwy jazgot. Oddział szturmowy, potrząsając bronią, ruszył na mur. Strumień wody z węża uderzył w tych na przedzie, ale mężczyźni chwycili się pod ręce, podtrzymując wzajemnie.

— Zaczniemy strzelać, efendi — błagał Baczit. — Są tak blisko, że nawet ja nie spuśćuję.

— Nie postawiłbym na to złamanego szeląga — burknął Ryder. — Ale nie bądź taki żądny krwi. Jeśli zabijemy choć jednego, pozostali wpadną w szal i dojdzie do masakry. — Martwił się o kobiety w blokhauzie. Nic innego nie miało znaczenia.

Mimo strumienia wody napastnicy wspinali się szybko. Ryder i jego ludzie powstrzymywali ich, wymachując pałkami i kijami. Mieli przewagę wysokości. Z odległości kilku stóp struga wody uderzała z siłą, jakiej niewielu mogło się przeciwstawić, a długie kije nie pozwalały im zbliżyć się na tyle, żeby mogli posłużyć się mieczami. Kiedy opuściła ich odwaga i zsunęli się na dół, czekała na nich wiedźma, wymachująca krowim ogonem i wyrzaskująca obelgi. Trzy razy się cofali i trzy razy wracali na górę.

— Poddają się — wysapał Baczit. — Tracą ducha.

— Mam nadzieję, że Allah cię słucha — powiedział Ryder i trzasnął kijem w skroń napastnika. Mężczyzna spadł z pochylni i leżał nieruchomo na ziemi. Nawet piekące smagnięcia krowim ogonem nie zdołały postawić go na nogi.

Nagle inny przedarł się przez szeregi wyjących kobiet. Szedł rozkołysanym krokiem srebrnogrzbietego goryla. Głowę miał okrągłą, wygoloną i lśniącą jak armatnia kula, skórę o barwie antracytu i nubijskie rysy z grubymi wargami i szerokim, spłaszczonym nosem. Był ubrany tylko w przepaskę biodrową. Mięśnie jego torsu prężyły się pod natartą olejem skórą niczym pytony zamknięte w worku z czarnego jedwabiu.

— Znam go — wychrypiał Baczit. — To słynny zapaśnik z Dongoli. Zwą go Łamignatem. Jest niebezpieczny.

Nubijczyk zdumiewająco zwinnie wspiął się po pochylni. Ryder podbiegł, żeby go zatrzymać, ale on już wskoczył na mur. Wyprostował się, balansując jak hebanowy kolos.

Ryder wsunął długą laskę pod ramię jak lancę i natarł na niego. Zaostrzony czubek trafił Nubijczyka w środek piersi i ugrzązł w ciele. Ryder napierał całym ciężarem ciała. Nubijczyk walczył o utrzymanie równowagi, wymachując rękami, z tułowiem wygiętym do tyłu.

Baczit przyskoczył do Rydera i wspólnymi siłami pchnęli kij. Nubijczyk runął niczym czarna skała, zbijając z nóg pięciu mężczyzn. Razem spadli ze stromej pochylni w płataninie rąk i nóg.

Nubijczyk tyłem głowy uderzył w spieczoną przez słońce ziemię i rozległ się taki huk, jakby piorun powalił drzewo mahoniowe. Leżał spokojnie z rozdziawionymi ustami i grzmiącym charkotem w gardle. Wiedźma wskoczyła na jego tors i smagnęła go krowim ogonem w twarz.

Nubijczyk otworzył oczy i usiadł. Grzbietem dłoni strącił kobietę i na wpół półprzytomnie potrząsnął głową. Potem zobaczył Rydera i Baczita, którzy z góry szczyrzyli zęby w uśmiechach. Zadarł głowę, ryknął jak bawół, chwycił miecz, poderwał się z ziemi i ruszył w górę.

— Słodka Matko Boska — szepnął Ryder. — Patrz, jak pędzi. — Podniósł laskę i gdy mężczyzna zbliżył się do szczytu, spróbował go zepchnąć. Nubijczyk machnął mieczem i odciął długi na dwie stopy kawałek kija. Ryder dźgnął go pozostałą częścią.

Nubijczyk znowu ciął i Ryderowi został kikut nie dłuższy od ręki.

Rzucił nim z całej siły. Pocisk trafił w sam środek czoła. Nubijczyk zamrugął, ryknął i wskoczył na mur, dziko wymachując mieczem.

— Do blokhauzu! — wrzasnął Ryder, przemykając pod ostrzem.

Nagle spostrzegł, że jest sam. Ludzie, spodziewając się takiego rozkazu, już wykonywali go z nadzwyczajną prędkością. Zbiegł za nimi po chwiejnej drabinie na podwórze i popędził do drzwi. Słyszał Nubijczyka blisko za plecami. Czuł, jak podmuch zakołysał krótkimi włosami na spoconym karku, gdy olbrzym machnął mieczem.

— Szybciej, Ryder! Jest tuż za tobą — pisnęła Saffron ze strzelnicy. — Zastrzel go, przecież przyniosłam ci rewolwer! Dlaczego nie strzelasz? — Teoretycznie była to dobra rada, ale gdyby stracił bodaj sekundę na podnoszenie klapki kabury, Nubijczyk ściałby mu głowę. Sięgnął do rezerwy siły, zaczął dopędzać Baczita i innych Arabów.

— Szybciej, Ryder, szybciej! — wołała Saffron. Za plecami słyszał chrapliwe sapanie. Przed nim inni wpadli w drzwi blokhauzu.

Rebecca czekała na niego z podniesioną strzelbą. Miał wrażenie, że celuje mu prosto w głowę.

— Nie mogę strzelić, bo trafię ciebie! — krzyknęła i opuściła lufę. — Ryder, szybko, błagam. — Zwróciła się do niego po imieniu i nawet w tych dramatycznych okolicznościach przeniknęło go słodkie drżenie. Radość uskrzydliła jego stopy. Wpadł do blokhauzu, a Rebecca i Saffron zatrzasnęły drzwi. Nubijczyk uderzył w nie z taką siłą, że zadrżała futryna.

— Wysadzi je z zawiasów — wydyszała Rebecca. Słyszeli, jak Nubijczyk kopie drzwi i rąbie je mieczem.

— Stalowe drzwi, stalowe ościeże — zapewnił ją Ryder i chwycił strzelbę, którą podała mu Saffron. Otworzył zamek i sprawdził naboje. — Tutaj jesteśmy bezpieczni.

Podszedł do strzelnicy, a Rebecca stała obok niego. Przez wąski otwór widzieli podwórze po drzwi warsztatu i bramę menażerii. W polu widzenia pojawiły się szerokie, złane potem plecy Nubijczyka. Zrezygnował z ataku na blokhauz. Szedł przez podwórze do zabarykadowanej bramy. Podniósł ciężkie tekowe belki i rzucił je na bok. Potem cofnął się i wyłamał mosiężny zamek. Gdy brama się otworzyła, wiedźma pierwsza wpadła na podwórze. Za nią wlała się rzesza ludzi.

Kobieta prowadziła ich prosto do blokhauzu. Był to straszny widok, jakby bramy piekielne stanęły otworem i wyrzygały legiony potępieńców. Oczy wydawały się zbyt wielkie w twarzach wyniszczonych przez głód i choroby, usta i powieki były nabrzmięte, zaognione od wrzodów i czyraków. Chore, wygłodzone, zżerane od środka ciała cuchnęły tak, jakby rozkładały się już za życia; gdy ludzie stłoczyli się przy strzelnicach, smród otwartych grobów wsączył się do gorącego, dusznego wnętrza. Trudno było oddychać tymi wyziewami. Wynędzniałe twarze krzywiły się w otworach.

— Jeść! Gdzie jest jedzenie? — Wsuwali ręce do środka, chude i sękaty jak martwe gałęzie, z dłońmi bladymi niczym brzuchy śniętych ryb.

— Jezusie, zmiłuj się nad nami — szepnęła Rebecca i przytuliła się do Rydera, odruchowo szukając ochrony. Objął ją ramionami. Tym razem nie próbowała odsunąć się od niego. — Co się z nami stanie?

— Nie wiem, ale zostanę z tobą bez względu na wszystko — obiecał, a ona przytuliła się mocniej.

Wiedźma wyrzaskiwała rozkazy: — Przeszukać budynki! Musimy znaleźć durrę! Potem rozbijemy dzbany, w których warzą diabelską mannę. To zło i obraza boska, przyczyna zarazy i nieszczęścia, jakie spadło na miasto. Zobaczcie, gdzie trzymają zwierzęta. Dziś zjecie świeże mięso.

— Jej przenikliwy głos podrywał wygłodzonych ludzi. Okazując ślepe, hipnotyczne posłuszeństwo, odsunęli się od strzelnic. Ryder i Rebecca przysunęli twarze do jednego otworu, oddychając czystszym powietrzem i patrząc na hordy, które pod przewodem wiedźmy i ogromnego Nubijczyka biegły w kierunku bramy menażerii.

— Ano, kapitanie, twoje bongo już nie będą obsrywały pokładów na moim statku — powiedział Jock McCrumpy smętnie. Nagle opamiętał się i dotknął daszka czapki. — Proszę wybaczyć wyrażenie, moje panie.

— Co oni z nimi zrobią. Jock? — W głosie Saffron pobrzmiwał strach.

— Zwierzaki pójdą do garnka, panienko.

Saffron podbiegła do drzwi i spróbowała podnieść antaby.

— Lucy! Muszę uratować Lucy i jej dziecko!

Ryder delikatnie, ale pewnie złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie.

— Saffron — jęknął chrapliwie — nic nie możemy dla nich zrobić.

— Nie możesz powstrzymać tych ludzi? Proszę! Powstrzymaj ich, Ryder!

Nie mógł nic zrobić. Obejmował mocno obie siostry, Saffron z jednej strony, a Rebecę z drugiej. Przywierały do niego i patrzyły, jak tłuszcz szturmuje bramę menażerii. Solidne wrota opierały się ich wysiłkom, dopóki do akcji nie wkroczył Nubijczyk. Odepchnął ludzi na bok, zebrał siły i naparł na nie z taką mocą, że zadygotały w ościeżach. Gdy nie ustąpiły, cofnął się i z rozpędu uderzył masywnym barkiem. Skrzydła wyskoczyły z zawiasów.

Ali, stary dozorca, stał w wejściu z zardzewiałym mieczem w rękach.

— Ali, ty stary głupcze — jęknął Ryder i chciał odwrócić głowy sióstr, żeby nie zobaczyły tego, co miało się wydarzyć.

Oparły się jego próbom i z szarymi jak popiół twarzami wyglądały przez otwór.

Ali podniósł miecz nad głowę.

— Wyoście się stąd, wszyscy! Tutaj nie wejdziecie! — zawołał wysokim, drżącym głosem. — Nie pozwolę tknąć moich podopiecznych. — Pokuśtykał w stronę olbrzyma, potrząsając pogiętym mieczem. Łamignat poderwał grube ramię i chwycił starca za rękę. Potrząsnął nim jak terier szczurem i usłyszeli trzask pękających kości. Nubijczyk podniósł Alego, chwytając za złamaną rękę, i przycisnął do słupa bramy z taką siłą, że żebra pękły jak patyki na rozpałkę. Rzucił okaleczone ciało na ziemię i nastąpił na nie. Tłum wpadł za nim do środka, po drodze mieczami i pałkami uderzając starca w głowę.

Wielki ryk chciwości i głodu wzbił się nad menażerią, gdy ludzie zobaczyli rzędy klatek i zamknięte w nich przerażone zwierzęta.

— Jedzenie! Mięso! — zawyła wiedźma. — Obiecałam wam świeże, czerwone mięso! Uczujcie! — Podbiegła do najbliższej klatki i otworzyła drzwiczki. Szkarłatne i szare papugi tworzyły wirującą, wrzeszczącą chmurę skrzydeł. Kobieta wskoczyła do środka i smagała ptaki krowim ogonem, strącała je i tratowała zrogowaciałymi stopami.

Tłum wziął z niej przykład. Ludzie otwierali klatki i pałkami tłukli przerażonych mieszkańców. W trzasku łamanego drewna i ryku tłumu Saffron usłyszała przerażone głosy ulubionych zwierząt: skrzeczenie papug i wycie małp.

— To Lucy, moja biedna, kochana Lucy — szlochała. — Nie mogą jej zjeść. Powiedz mi, że nie zjedzą Lucy. — Ryder przytulił ją, ale nie potrafił znaleźć słów pocieszenia.

Potem rozległo się meczenie i ryk bólu większych zwierząt.

— To Wiktor, moja bongo! — Saffron znowu zaczęła się szamotać. — Puść mnie! Proszę, muszę ją ocalić.

Samica bongo wypadła przez bramę, w której leżały zakrwawione zwłoki Alego. Musiała uciec z rozwalonej zagrody, i jak dotąd nie spotkała jej krzywda.

— Wiktorio, uciekaj! — krzyknęła Saffron. — Uciekaj, maleńka.

Tuziny ludzi z mieczami i oszczepami rzuciły się za zwierzęciem. Rosła, oryginalnie umaszczona antylopa ujrzała otwartą bramę i skręciła. Strzygła uszami i przewracała ze strachu dużymi, ciemnymi oczami w kształtnej głowie, kremowe pręgi na ciemno-kasztanowym tle falowały, gdy pędziła co sił w nogach. Zbliżała się do otwartych wrót, gdy jeden z mężczyzn złożył się do rzutu, podnosząc oszczep w prawej ręce, a lewą wskazując zwierzę. Przeniósł ciężar ciała na lewą stopę i oszczep zakreślił wysoki łuk. Trafił tuż przed zadem i wbił się głęboko. Grot musiał uszkodzić kręgosłup, bo tylne nogi ugięły się pod antylopą i stanęła, wsparta tylko na przednich.

Myśliwi zawyli triumfalnie i otoczyli okaleczone zwierzę. Nawet nie próbowali jej dobić, tylko wyrąbywali płaty żywego mięsa. Nubijczyk mieczem otworzył jej brzuch jak śliwkę. Z rany wypadł blady worek żołądka i splecionych trzewi. Ludzie wywlekali te frykasy i pożerali łapczywie. Żółta treść jelit, zmieszana z krwią, ściekała im z ust i podbródków.

Rebecca zakrzuszyła się i odwróciła głowę, ale Saffron patrzyła. Wreszcie antylopa upadła i ludzie zaatakowali zwłoki niczym stado ścierwojadów, zasłaniając je przed wzrokiem dziewczynki. Z bramy menażerii wybiegli inni, niosąc zakrwawione kawały mięsa większych zwierząt, a także rozszarpane ptaki i małpy. Próbowali uciec przed spóźnialskimi, którzy dopiero teraz docierali z ulic miasta. W całym kompleksie wybuchły dzikie kłótnie i bijatyki. Saffron zobaczyła, jak jakiś malec rzucił się na upuszczony ochłap. Wepchnął go do ust i próbował przełknąć, ale kobieta, poprzednia właścicielka, sprawiła mu takie lanie, że musiał wypluć mięso. Zanim podniosła łup z ziemi, ktoś inny porwał go i rzucił się do ucieczki. Kobieta pobiegła za nim.

Inna grupa wyłamała drzwi szopy, w której było przygotowane rankiem zielone ciasto. Nakładli brył w koszule, ale zanim zdążyli uciec, napadła na nich wiedźma. Wyglądało na to, że wyszła poza prostą potrzebę poszukiwania jedzenia, bo biegła wśród nich, na oślep smagając krowim ogonem i wrzeszcząc: — To trucizna szatana! Wrzucie ją do ognia! Wrzucie ją do dołów kloacznych, gdzie jej miejsce. — Kilka osób uciekło z łupem, ale większość posłuchała szalonej kobiety.

— Wszystko zniszczyła! To karygodna głupota — zawołała Rebecca z bólem w głosie. — I rozbija nasze kotły. Teraz wszyscy będziemy głodować.

Ryder patrzył bezradnie na jędzę. Wiedział, że jej niebezpieczna demagogia w każdej chwili może wywołać następny wybuch obłędu i żądzy mordy. Na szczęście tłum już się rozpraszał i wydawało się, że zamieszki umrą śmiercią naturalną.

Ale wiedźma wciąż grasowała po podwórzu, zatrzymując się co chwila, żeby krowim ogonem pogrozić białym twarzom, które spoglądały na nią z blokhauzu, i wywrzaskiwać klątwy i obelgi pod ich adresem. Kiedy stanęła przed drzwiami warsztatu, Ryder nie okazał zaniepokojenia. Paru innych szabrowników już tam zajrzało i wyszło z pustymi rękami, nie znajdując niczego, co miałyby dla nich jakąś wartość. Wiedźma wybiegła i wrzasnęła na nubijskiego zapaśnika. Podbiegł rozkołysanym klusem niczym oswojony goryl reagujący na polecenia tresera. Wprowadziła go do warsztatu. Gdy wyszedł, jego nogi ugięły się pod niesionym na plecach ciężarem.

— Patrzcie! — krzyknął Jock z przerażeniem. Nubijczyk dźwigał główny przewód parowy z Ibisu, zwykle przenoszony przez pięciu ludzi. Po miesiącach mozolnej pracy wreszcie był gotowy do zainstalowania na parowcu.

Wiedźma wrzasnęła w stronę blokhauzu: — Myślicie, że uciekniecie przed gniewem Mahdiego? Myślicie, że uciekniecie na swoim małym statku? Wrzucimy tę przeklętą rzecz do Nilu. Kiedy przyjdzie Mahdi, wasze białe, trędowate trupy będą gniły na ulicach Chartumu. Nawet sępy ich nie

zeżrą. — Pognała wielkiego Nubijczyka jak wołu w stronę bramy.

— On nie doniesie tego do rzeki! — zawołał Ryder. Ale wiedźma już zwoływała innych do pomocy. Wielu odpowiedziało na wezwanie.

— Daję ci uroczyste słowo honoru, że nigdzie nie zabierze tej rury — warknął Jock. Poderwał karabin do ramienia. Huk wystrzału w niewielkiej przestrzeni niemal ich ogłuszył, a dym z czarnego prochu zapiekł w oczy.

Nubijczyk dotarł do bramy, odległej o niespełna sześćdziesiąt jardów od strzelnicy. Ciężka kula trafiła go za uchem i przeszła mózg. Różowa chmura wilgotnej tkanki trysnęła z prawego oczodołu. Olbrzym upadł, a ciężar rury przyszpilił mu tors do spieczonej gliny.

— Zabiłeś go! — zawołał Ryder z niedowierzaniem.

— Celowałem w niego, no nie? — odparł Jock opryskliwie. — Jasne, że go zabiłem. — Stwardniałym kciukiem wprowadził następny nabój do komory. — I rozwalę każdego, kto tknie mój silnik.

Na podwórzu zapadła nagle głucha cisza. Buntownicy niemal zapomnieli o białych więźniach w blokhauzie. Patrzyli ze zgrozą na wielkiego, na wpół nagiego trupa.

Wiedźma jako jedyna nie straciła swobody ruchów. Wyrwała siekierę z rąk najbliższego człowieka i podbiegła do przewodu. Jednym z wielu obowiązków sudańskich kobiet jest rąbanie drewna na opał. Gdy rura zadźwięczała pod pierwszym ciosem siekiery, Jock poznał, że jędra jest ekspertem. Zamachnęła się drugi raz i ostrze spadło dokładnie w tym samym miejscu. Jock widział, że celuje w spaw. Metal w tym miejscu był wyżarzony przez palnik. Już się odkształcał. Jeszcze dwa, może trzy uderzenia, a pęknie. Naprawienie szkód, jakie już wyrządziła wiedźma, zajmie kilka dni. Jeśli nikt jej nie przeszkodzi, spowoduje nieodwracalne zniszczenia.

— Dość tych bzdur — mruknął Jock. Ryder zobaczył, że znowu podnosi strzelbę.

— Nie strzelaj! — krzyknął. — Jock, jej nie wolno zastrzelić!

— Za późno! — powiedział Jock bez cienia skrupułów. Karabin wierzgnął i ryknął w jego rękach.

Kula uderzyła kobietę w środek piersi. Zbiła ją z nóg i rzuciła na mur. Przez chwilę trwała z szeroko otwartymi ustami, ale wrzask na zawsze uwiązał jej w gardle. Osunęła się na ziemię, zostawiając na białonej ścianie długą, jaskrawą smugę.

Pozostali uczestnicy zamieszek patrzyli z konsternacją na zwłoki dwojga przewodników. Kara nastąpiła szybko i niespodziewanie. Kiedy padnie następny strzał? Kto zginie? Zawodząc trwożnie, rzucili się do bramy.

— Popędźmy ich! — Ryder pogodził się z decyzją Jocka.

Podniósł swoją strzelbę i wypalił nad głowami tłumu. Po paru minutach na opustoszałym podwórzu zostały tylko zwłoki wiedźmy i Nubijczyka.

Ryder ostrożnie uchylił drzwi blokhauzu i zawołał do Rebecki'.

— Czekaj na mnie z Saffron, dopóki nie sprawdzimy, czy można bezpiecznie wyjść. — Z załadowaną i uniesioną wysoko bronią, gotowi do szybkiego strzału, mężczyźni rozeszli się po kompleksie, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie czai się niebezpieczeństwo. Jock pobiegł prosto do rury, ukląkł obok niej i z niepokojem obejrzał ślady po siekierze. Ściągnął z głowy brudną, wyświechtaną czapkę i czule wypolerował zarysowaną powierzchnię. Nałożył czapkę i jeszcze raz przyjrzał się śladom. Odetchnął z ulgą.

— Nic poważnego. — Podniósł przewód z taką łatwością, jak wcześniej zrobił to Nubijczyk, i ostrożnie zaniósł do warsztatu.

Ryder podszedł do trupów. Wiedźma, oparta plecami o ścianę, miała otwarte oczy i usta, a jej

rysy zastygły w wyrazie lekkiego zdziwienia. Trącił ją czubkiem buta. Przewróciła się na twarz i znieruchomiła. Mógłby wsunąć pięść w głęboką, ciemną ranę po kuli między jej łopatkami.

Nubijczyka nie musiał sprawdzać. Leżał w kałuży własnego mózgu.

— Nie pochwalam cię, Jock, ale te strzały były niezłe — mruknął, po czym zawołał do Baczita: — Wrzuć ich do rzeki.

Krokodyle się nimi zajmą. Nie ma potrzeby meldować o zajściu.

Gordon Basza jest zapracowanym człowiekiem. Nie należy przysparzać mu zmartwień. — Zaczekał, aż Baczit i jego Arabowie wywloką ciała za bramę od strony kanału. Potem wrócił do blokhauzu i otworzył drzwi. — Jest bezpiecznie. Możecie wyjść.

Saffron przemknęła obok niego i pobiegła do bramy menażerii. Stary Ali leżał skulony przy słupku. Był jej przyjacielem. Kochał zwierzęta tak bardzo jak ona i nauczył ją, jak się nimi opiekować. Uklękła obok niego. Od początku oblężenia widziała śmierć w najbardziej okropnych formach, ale teraz żal ścisnął ją za gardło, gdy patrzyła na zwłoki starego przyjaciela. Buntownicy rozbili mu głowę na miazgę, już nawet nie przypominał człowieka.

— Biedny Ali — szepnęła. — Oddałeś życie za swoje zwierzęta.

Bóg kocha cię za to. — Znalazła przesiąknięty krwią turban i zakryła zmasakrowaną twarz. — Odejdź w pokoju — powiedziała po arabsku.

Zostawiła go i weszła do menażerii. Znowu się zatrzymała. Kolana ugięły się pod nią na widok zniszczeń. Wszystkie klatki zostały rozbite, wszystkie zwierzęta zniknęły. Chmary niebieskich much roiły się nad kałużami krwi krzepnącej w pustynnym słońcu. Z wysiłkiem wzięła się w garść i ruszyła wzdłuż rzędu pustych klatek.

— Lucy! — wołała i naśladowała szczebiotanie małpki. — Billy! Billy, malutki, gdzie jesteś? — Dotarła do zdewastowanej, pustej klatki Lucy. Stała przed nią zrozpaczona. Kiedy zmarła jej matka, była taka mała, że ledwo ją pamiętała, ale wiedziała, że nawet wtedy nie czuła się tak osierocona.

— Nie mogli tego zrobić. To okrutne. — Zdała sobie sprawę, że jeśli postoi tutaj trochę dłużej, zacznie się mazać i przyniesie wstyd ojcu. W menażerii zostało jeszcze jedno miejsce do przeszukania. Poszła do szopy z paszą na końcu wybiegu.

— Lucy! — zawołała. — Billy, gdzie jesteś, maleńki? — Zajrzała w mrok.

— Billy! — Zaczekała i maleńkie stworzonko wyskoczyło zza sterty słomy. Jednym susem wylądowało na jej udzie, wspięło się na ramię i zaszczebiotało cicho w odpowiedzi na zawołanie.

— Billy! — szepnęła Saffron. — Jesteś bezpieczny! — Osunęła się na ziemię i przytuliła zwierzątko do piersi. Na przekór wszystkiemu, co mówił jej ojciec, rozplakała się i długo nie mogła przestać.

Nazajutrz przed wschodem słońca, zaraz po tym, jak dzwony w misji oznajmiły koniec godziny policyjnej, Ryder usłyszał na podwórzu kobiece głosy i trzask drzwi szopy, w której jeszcze niedawno było zielone ciasto. Wytarł w ręcznik pianę z brzytwy i po raz ostatni przeciągnął ostrzem od jabłka Adama do czubka brody. Przejrzał się w ręcznym lusterku i westchnął z rezygnacją. Pomimo pocałunku brzytwy szczeka wciąż była niebieskawa. Nie wszyscy mogą nosić wąsy jak tamten śliczny żołnierz. Złożył brzytwę, umieścił ją pieczołowicie w wyłożonym aksamitem skórzanym etui i zamknął wieczko. Wyszedł z prywatnej kwatery na podwórze.

Gdy spojrzał na bramę menażerii, na nowo wezbrała w nim złość i żal z powodu bezsensownej rzezi zwierząt. Nie mógł się zmusić, żeby wejść do zagrody. Baczit zabrał ciało Alego i pochował je przed zachodem słońca, zgodnie z prawem islamu.

Teraz wraz z innymi Arabami zbierał ciosy spod muru i odnosił je do magazynu. Ryder zawołał

go i razem obejrżeli główną bramę. Zostało z niej kilka zwęglonych desek.

— Trzeba będzie porzucić wszystko, co znajduje się w obrębie zewnętrznych fortyfikacji — zdecydował Ryder. — Przeniesiemy się za wewnętrzny mur. Brama jest solidna. Zdołamy się obronić. — Zostawił Baczita, żeby wykonał polecenie.

Przez ostatnie pół godziny z warsztatu płynął huk kowalskiego młota, ale teraz panowała cisza. Ryder zajrzał do środka. Jock McCrump właśnie zapalał palnik acetylenowy. Spojrzał przez przyciemnione okulary.

— Stara megiera wywijala siekierą jak drwal i miała krzepę samego Johna L. Sullivana [amerykański bokser zawodowy, mistrz wagi ciężkiej od 1882 do 1892]. Naprawa zajmie dwa, może trzy dni. A teraz spływaj. — Pochylił się nad uszkodzoną rurą i skierował płomień na dziurę w metalu.

— Jesteśmy w paskudnym nastroju, co?

— Nie ma powodów do śmiechu ani do tańczenia. Trzeba było pozwolić mi zastrzelić ją, zanim narobiła szkód.

Ryder zachichotał. Długi czas spędzili razem i znali swoje dziwactwa. Zostawił Jocka i poszedł do szopy, w której przechowywano zielone ciasto. Zastał tam Nazirę i trzy siostry Benbrook. Ubrane we własnoręcznie uszyte fartuchy i rękawice, próbowały przywrócić porządek w zdemolowanej kuchni.

— Dzień dobry, Ryder. — Rebecca uśmiechnęła się do niego. Był zaskoczony tym ciepłym, poufałym powitaniem.

— Dzień dobry, panno Benbrook.

— Będę wdzięczna, jeśli zaczniesz mówić mi po imieniu. Nie musimy dłużej robić ceregieli po tym, jak wczoraj ochraniałeś mnie i Saffy.

— To był mój obowiązek.

— Cieszę się, że nie dopuściłeś do bezsensownego użycia siły. Człowiek mniejszego formatu szybko przekształciłby zamieszki w masakrę. Ty rozumiesz rozpaczliwą sytuację tych biednych ludzi. Współczuję ci z powodu poniesionych strat.

Saffron z niecierpliwością słuchała starszej siostry. Nie była zadowolona z ocieplenia stosunków między Rebeccą i Ryderem. Mówiła mi, że nim gardzi, ale teraz grucha jak gołębicą, pomyślała.

— Powinno się zastrzelić ich wszystkich, nie tylko tych dwoje — powiedziała kwaśno. — Wtedy może uratowalibyśmy Lucy.

— Przynajmniej Billy'emu nic się nie stało. — Surowa mina Saffron trochę złagodniała, więc Ryder natychmiast podjął temat: — Jak go karmisz? Jeszcze powinien ssać mleko matki — powiedział ze współczuciem.

— Nazira znalazła kobietę, której dziecko zmarło na cholere.

Płacimy jej, żeby karmiła Billego, a on ciągnie cycek jak prosię.

Rebecca zarumieniła się.

— Jestem pewna, że Rydera nie interesują te gorszące szczegóły — stwierdziła z pruderią.

— W takim razie nie powinien pytać — odparła Saffron rezolutnie. — Poza tym wszyscy wiedzą, jak karmi się dzieci, dlaczego więc się czerwienisz, Becky?

Ryder rozejrzał się, szukając pretekstu do zmiany tematu. I znalazł.

— Dzień dobry, Amber. Wczoraj minęło cię ciekawe doświadczenie.

Ale Saffron nie pozwoliła mu zająć się drugą siostrą.

— Nie zwracaj na nią uwagi. Dąsa się od wyjazdu kapitana Ballantyne'a. — Nim Amber zdążyła zaprotestować, niefrasobliwym tonem dodała: — Wszystkie Sudanki uciekły. Nie wrócą do pracy.

Wystraszyli je źli ludzie z miasta, którzy mówią, że zielone ciasto to dzieło szatana.

Ryder z z troskaniem popatrzył na Rebeccę.

— To prawda?

— Niestety tak. Są zbyt wystraszone, żeby przyjść i powiedzieć nam to osobiście. Ale jedna poszła do Naziry. Nawet wtedy podjęła wielkie ryzyko. Mówi, że sympatycy derwiszów w mieście odkryli znaczenie zielonego ciasta dla naszego przetrwania, i próbują przeszkodzić nam w jego wytwarzaniu. Prowodyrowie zamieszek, tamta kobieta i nubijski zapaśnik, byli mahdystami.

— To wiele wyjaśnia. — Ryder pokiwał głową. — Ale co teraz zrobisz?

— Poradzimy sobie same.

— We trzy?

— Cztery, z Nazirą. Ona się nie boi. My, Benbrookowie, nie poddajemy się tak łatwo.

Znalazłyśmy dwa całe kotły i pierwsza partia zielonego ciasta będzie gotowa przed wieczorem.

— Ubijanie roślin to ciężka praca.

— Wobec tego nie powinieneś nam przeszkadzać — oświadczyła Rebecca. — Może pomożesz panu McCrumpowi?

— Mężczyzna umie poznać, kiedy nie chcą go w kuchni. — Ryder stuknął palcem w rondo kapelusza i wrócił do warsztatu.

Krótko po południu Jock podniósł okulary ochronne na czoło i uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia.

— Ano, kapitanie, lepiej nie mogłem. Może nie wybuchnie pod ciśnieniem i nie sprawi nam kolejnej łaźni parowej. Pozostaje nam modlić się do wszechmogącego.

Załadowali wał napędowy i rurę na wóz, narzucili na wierzch plandekę, żeby ukryć części przed wzrokiem szpiegów. W mieście nie zostało ani jedno zwierzę pociągowe. Wszystkie padły z głodu albo zostały zjedzone. Ryder razem z Jockiem, Baczitem i Arabami zaciągnęli wóz do kei Ibisa. Pracowali w maszynowni długo w noc, przyświecając sobie latarniami. Kiedy nawet Jocka zmogło zmęczenie, wyciągnęli się na stalowym pokładzie, żeby złapać parę godzin snu.

Zbudzili się o świcie. W worku z prowiantem zostały resztki. Ryder kazał Baczitowi rozdzielić po kilka daktyli i skrawków wędzonej ryby, a po śniadaniu wrócili do pracy w maszynowni. Przed południem do portu przyszły bliźniaczki. Przyniosły dwa nieduże bochenki świeżego zielonego ciasta, ukryte w należącem do Saffron pudełku z przyborami do malowania.

— Włożyłyśmy je tam, bo nie chcemy, żeby ktoś wiedział, co robimy. To z pierwszej partii — oznajmiła Saffron z dumą. Podniosła rękę. — Patrz!

Amber wzięła z niej przykład.

Ryder ujrzał pęcherze na dłoniach dziewczynek.

— Moje małe bohaterki.

Mężczyznom przypadło tylko po kilka kęsów, ale to wystarczyło, żeby odzyskać energię. Saffron i Amber siedziały ze zwieszonymi nogami na skraju pokładu i patrzyły, jak Ryder się posila. Był poruszony kobiecą satysfakcją, jaką nawet w tym młodym wieku sprawiało im karmienie mężczyzny. Śledziły wzrokiem każdy kęs, jak jego matka przed laty.

— Przykro mi, ale to wszystko — powiedziała Saffron, gdy skończył. — Jutro zrobimy więcej.

— Było przepyszne — zapewnił. — Najlepsza partia.

Saffron zrobiła zadowoloną minę. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła rękami długie, chude nogi.

— Robi mi się niedobrze na myśl o wszystkich tych strasznych derwiszach pożerających swoje głowy. — Podniosła się niechętnie i wygładziła spódnice. — Chodź, Amber. Musimy wracać, bo

inaczej Becky powie nam do słuchu.

Długo po odejściu bliźniaczek mężczyźni zmagali się z wałem w ciasnej maszynowni. Ryder zastanawiał się nad rzuconą mimochodem uwagą Saffron.

Wreszcie przed wieczorem Jock z ostrożnym optymizmem oświadczył, że tym razem silnik sprawi się zgodnie z założeniami Boga i konstruktorów. Kazał załodze rozpaścić pod kotłem i gdy czekał, aż podniesie się ciśnienie pary, Ryder podzielił się z nim jednym z ostatnich cygar. Oparli się o reling, jednakowo zmęczeni i przygnębieni.

Ryder zaciągnął się głęboko i podał cygaro Jockowi.

— Za rzeką obozuje sto tysięcy mahdystów. Powiedz mi, Jock, czym Mahdi ich żywi? — zapytał.

Jock przytrzymał dym w płucach, aż twarz mu poczerwieniała. W końcu wydmuchnął siwą chmurę.

— Ano, na początku mieli tysiące sztuk zagrabionych zwierząt. Teraz pewnie sprowadzają durę z Abisynii.

— Na pokładach dau?

— Jasne, no bo jak?

— W nocy? — naciskał Ryder.

— Jasne. Przy księżycu widać żagle. W nocy na rzece panuje duży ruch.

— Jocku McCrumpie, najpóźniej do jutra wieczorem ta stara balia musi być pod pełną parą.

Nawet wcześniej, jeśli zdołasz.

Jock łypnął na niego podejrzliwie, po czym uśmiechnął się szeroko. Zęby miał wyszczerbione i nierówne jak stary rekin tygrysi.

— Gdybym nie znał cię lepiej, szefie, pomyślałbym, że coś kombinujesz.

Na pustynnym niebie nie było chmur, na których zachodzące słońce mogłoby wymalować paletę barw. Wielka czerwona tarcza opadła jak kamień, znikając za horyzontem, i prawie w tej samej chwili nad odurzoną przez upał ziemią zapadła noc. Ryder zaczekał, aż mrok zasnuje drugą stronę rzeki, i dopiero wtedy kazał Baczitowi odbić od brzegu.

Telegrafem okrętowym nadał „bardzo wolno naprzód” i wyprowadził Nieustraszonego Ibis z portu w koryto rzeki. Gdy tylko poczuł szarpnięcie nurtu, kazał zwiększyć moc do połowy. Płynęli pod prąd i Ryder z niepokojem wsłuchiwał się w tętnienie silnika. Czuł drżenie kadłuba pod nogami, ale nie wykrył niepokojących wibracji. Utrzymywał prędkość, dopóki nie pokonali pierwszego zakrętu Nilu Błękitnego.

Widząc przed sobą prosty, głęboki odcinek rzeki, odetchnął z ulgą i zadzwonił, nakazując „trzy czwarte naprzód”. Ibis zareagował z rozmachem toreadora wchodzącego na arenę. Ryder westchnął przeciągle.

— Przejmij ster, Baczit. Idę na dół.

Zsunął się po zejściówce do maszynowni. Stał obok Jocka, który oświetlał latarnią wał. Patrzyli, jak obraca się w nowych panwiach. Jock opuścił latarnię i w złotym świetle dokładnie przyjrzeni się srebrnej kolumnie, wypatrując najmniejszych odchyień. Obracała się jak żyroskop, tak równo, że wydawała się nieruchoma.

Jock przekrzywił głowę.

— Posłuchaj jej śpiewu, szefie. — Musiał podnosić głos, żeby Ryder mógł go usłyszeć w syku i szumie cylindrów. — Słodszy niż Lily McTavish!

— Do licha, a kto to taki?

— Barmanka spod Byka i Krzaka. Ryder ryknął śmiechem.

— Nie miałem pojęcia, Jock, że jesteś znawcą opery.

— Niewiele mi o tym wiadomo, szefie, ale umiem na pierwszy rzut oka poznać się na pięknej parze cycków.

— Możesz dać pełne obroty?

— Ibis, tak jak Lily McTavish, gotowy jest iść na całość.

— Chciałbym spotkać się z tą Lily.

— Stań za mną w kolejce, szefie.

Ryder ze śmiechem wrócił na mostek i zastąpił Baczita za kołem. Kiedy przesunął rączkę telegrafu na „cała naprzód”, Ibis skoczył, zmagając się z prądem.

— Dwanaście węzłów! — zawołał Ryder radośnie. Kamień spadł mu z serca. Już nie był więźniem trawionego przez gorączkę Chartumu. Znowu był panem trzech tysięcy mil Nilu, drogi do wolności i fortuny.

Przesunął dźwignię telegrafu na „pół naprzód” i płynął w górę rzeki. Przed następnym szerokim zakrętem naliczył pięć zagłowców, ciężko obciążonych dau handlowych, płynących z wyzyn Abisynii do Omdurmanu. Zawrócił i ruszył szybko z prądem rzeki. Przez tubę głosową zawołał do maszynowni: — Jock, chodź tutaj, musimy pogadać. Razem stanęli na mostku.

— Po wczorajszych zajściach w kompleksie nie będę ryzykował. Ludzie są w paskudnych, niebezpiecznych nastrojach. W mieście roi się od szpiegów i sympatyków Mahdiego. Do rana będziemy wiedzieli, czy Ibis znowu jest zdalny do żeglugi. Musimy liczyć się z sabotażem. Od tej pory uzbrojeni strażnicy będą czuwać na pokładzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Sam planowałem to zrobić. — Jock pokiwał głową. — Już przeniosłem koję i swój worek z powrotem na pokład. Będę spać z pistoletem pod materacem. Moi palacze będą czuwać na zmianę.

— Doskonale, Jock. Gdy tylko się rozwidni, przeprowadź Ibisa z portu do kanału i zacumuj przy kei za tylną bramą kompleksu. Tam statek będzie bezpieczniejszy, a załadunek łatwiejszy.

— Myślisz o kości słoniowej?

— A niby o czym? — Ryder uśmiechnął się. — Poza tym muszę mieć go pod ręką, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Będę czekać na ciebie o brzasku.

Co to za harmider? — Rydera zbudziło łomotanie. Baczit przestał tłuc w drzwi blokhauzu i zawołał: — Przyszedł egipski oficer z wiadomością od Gordona Baszy.

Ryder zmartwiał. Wieści od „Chińczyka” Gordona nigdy nie wróżyły niczego dobrego. Sięgnął po spodnie i buty.

Egipcjanin miał podbite oczy i pokrytą strupami, opuchniętą dolną wargę.

— Co się panu stało, kapitanie? — zapytał Ryder.

— Doszło do zamieszek przed arsenałem, kiedy generał zmniejszył racje durry. Dostałem kamieniem w twarz.

— Słyszałem, że wasi żołnierze zastrzelili dwudziestu uczestników.

— Niezupełnie — zaprzeczył oficer z żarem. — W celu przywrócenia porządku generał był zmuszony zastrzelić tylko dwunastu.

— Cóż za powściągliwość — mruknął Ryder.

— Pan również miał kłopoty z buntownikami i musiał strzelać — zaznaczył kapitan.

— Zginęły dwie osoby, ale najpierw zabili mojego człowieka. — Ryder odetchnął z ulgą, gdy usłyszał potwierdzenie pogłosek o strzałach pod arsenałem: generał nie miał prawa wytykać go palcem. — Jak zrozumiałem, ma pan dla mnie wiadomość od Gordona Baszy.

— Generał czeka w forcie Mukran. Mam panu towarzyszyć. Zechce pan natychmiast uszykować się do wyjścia?

Uczeń wezwany do gabinetu dyrektora, pomyślał Ryder z przekąsem. Zdjął kapelusz z kołka na

ścianie.

— Naturalnie. Jestem gotowy.

Gordon czekał na zwykłym stanowisku na murach fortu. Stał za teleskopem, patrząc w dół rzeki w kierunku przełomu Szabluka. Na wieży obserwacyjnej powiewały dwie kolorowe flagi, czerwono-biało-czarna egipska, a nad nią czerwono-biało-niebieska Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii.

Gordon wyprostował się i zobaczył zadzierającego głowę Rydera.

— Te flagi będą pierwszą rzeczą, jaką zobaczy odsiecz zmierzająca w górę rzeki. Będą wiedzieli, że miasto wciąż jest w naszych rękach, że stawiamy odpór siłom zła i ciemności.

— I cały świat się dowie, generale, że dokonał tego jeden Anglik niemal bez niczyjej pomocy. Ta historia zostanie zapisana złotymi zgłoskami w annałach imperium. — Ryder chciał, żeby słowa zabrzmiały ironicznie, ale nie wiedzieć czemu wypadły inaczej. Musiał przyznać, jakkolwiek niechętnie, że podziwia tego straszego, niedużego człowieka. Nie darzył go sympatią, ale Gordon zawsze budził w nim szacunek.

Generał uniósł srebrną brew, pod którą lśniło chłodne niebieskie oko, przyjmując do wiadomości kąśliwy komplement adwersarza.

— Słyszałem, że zeszłej nocy wyprowadził pan swój parowiec na rzekę i że próba wypadła pomyślnie — oznajmił rzeczowo.

Ryder z rezerwą pokiwał głową. Temu staremu diabłu nic nie umknie, pomyślał, znów odczuwając nienawiść.

— Mam nadzieję, że to nie znaczy, iż planuje pan odpłynąć przed przybyciem odsieczy? — zapytał Gordon.

— Przyznam, że taka myśl przeszła mi przez głowę.

— Panie Courtney, pomimo swoich merkantylnych instynktów wniósł pan, być może niechętnie, znaczący wkład do obrony mojego miasta. Już sama produkcja niesmacznego, ale pożywnego zielonego ciasta okazała się bardzo pomocna. Ma pan do dyspozycji również inne środki, które mogą ocalić wiele istnień ludzkich. — Gordon przeszył go wzrokiem.

Ryder spojrzał w szafirowe oczy i odparł: — W istocie, generale, zrobiłem, co mogłem. Mam jednak przecucie, że spróbuje pan mi wmówić, iż było inaczej.

— Musi pan zostać w mieście. Nie chcę konfiskować pańskiego statku, ale uczynię to bez wahania, jeśli pan się sprzeciwi.

— Aha. — Ryder pokiwał głową. — To nieodparty argument. Czy mogę zaproponować kompromis, generale?

— Jestem człowiekiem otwartym na propozycje — Gordon skłonił głowę — zawsze gotowym do wysłuchania głosu zdrowego rozsądku.

Niewielu podziela tę opinię, pomyślał Ryder, ale odrzekł spokojnie: — Jeśli dostarczę równowartość, czy zezwoli mi pan na swobodne wypłynięcie z Chartumu dokądkolwiek zechcę, z ładunkiem i pasażerami, których sam wybiorę?

— Ach tak, zdaje się, że jest pan zaprzyjaźniony z córkami Davida Benbrooka — Gordon uśmiechnął się pośepnie — i że ma pan w magazynie kilka ton kości słoniowej. To pańscy pasażerowie i ładunek, prawda?

— David Benbrook i trzy młode damy będą wśród tych, których zaproszę na pokład. Jestem pewien, że nie będzie to stało w sprzeczności z pańskim kodeksem rycerskim.

— Co proponuje pan w zamian?

— Minimum dziesięć ton durry, dość, by wyżywić mieszkańców do czasu przybycia odsieczy i

zapobiec kolejnym zamieszkom. Zapłaci pan po dwanaście szylingów za worek, gotówką.

Twarz Gordona pociemniała.

— Zawsze podejrzewałem, że ma pan ukryty zapas ziarna.

— Nie mam tajnych skrytek, ale zaryzykuję swój statek i życie, żeby zdobyć ziarno. Chcę, aby jako dżentelmen i oficer Jej Królewskiej Mości dał mi pan słowo honoru, że po dostarczeniu przeze mnie dziesięciu ton durry zapłaci pan uzgodnioną cenę i pozwoli mi wypłynąć z Chartumu. Myślę, że to uczciwa propozycja, a przystając na moje warunki, nic pan nie traci.

Ryder kazał narzucić czarny brezent na białą nadbudówkę Ibisa i rzeźnym błotem wysmarować kadłub nad linią wodną. Długimi bambusowymi tyczkami wypchnęli statek z płytkiego kanału na rzekę. Zakamuflowany parowiec stapał się z ciemnością tak dobrze, że nawet w jasnym świetle gwiazd był niemal niewidoczny z odległości stu jardów. Gdy wyszli na główny nurt i tyczki nie sięgały dna, Ryder zadzwonił do maszynowni, nakazując „pół naprzód”. Skręcił pod prąd i popłynął Nilem Błękitnym na wschód. Z rozmysłem ominął główną odnogę Nilu Białego, ponieważ artyleria derwiszów koncentrowała się na podejściach od północy, czekając na brytyjskie kanonierki. Odnogi na wschód i na południe nie były strzeżone. Dopóki derwisze nie uzmysłowili sobie tego błędu, Nieustraszony Ibis przepłynął tysiące mil.

Wszystkie handlowe żaglowce płynące w dół Nilu Błękitnego należały do Abisyńczyków, którzy podobnie jak Ryder byli uczciwymi, ciężko pracującymi kupcami, sprzedającymi ziarno temu, kto płacił najwięcej. Niestety ich głównym klientem był Mahdi.

Ryder prowadził zamaskowanego Ibisa pod prąd. Z oczywistych powodów kapitanowie dau z ziarnem trzymali się jak najbliżej omdurmańskiego brzegu. Ryder i Baczit patrzyli przed siebie, wypatrując pierwszego błysku płótna albo lśnienia światła gwiazd na splecionym z trzciny łańskim żaglu. Ryder miał tak wielką ochotę na cygaro, że aż płuca bolały go z pragnienia, ale cenny zapas szybko się kurczył. Abstynencja dobrze wpływa na serce, pomyślał ze smutkiem. Może dojdzie do tego, że będę palić nargile, używając czarnego tureckiego tytoniu. Oto jak upadają możni tego świata.

Baczit dotknął jego ramienia.

— Pierwsza rybka wpada w naszą sieć — mruknął.

Ryder spojrzał na statek wyłaniający się z mroku.

— Niewielka łódź rybacka — odparł z żalem. — Płytko zanurzona. Przepuścimy ją. — Zakręcił kołem i odsunął się w drugą stronę.

Z mniejszego statku dobiegło ciche zapytanie: — W imię Boga, kim jesteście?

— Płyńcie w pokoju, z błogosławieństwem Allaha — odpowiedział Baczit.

Płynęli dalej. Gdy pokonali pierwszy szeroki zakręt rzeki dwie mile powyżej miasta, z ciemności wyłoniła się następna łódź. Zbliżała się tak szybko, że Ryder miał tylko kilka sekund na podjęcie decyzji. Był to wielki dau, szeroki i głęboko zanurzony. Burty wystawały z wody tylko na stopę. Odkosy białeły w świetle gwiazd, niemal przelewając się przez nadburcia.

— Ciężka od ładunku — oznajmił Ryder z satysfakcją. — Ta jest dla nas. — Skręcił ostro w stronę ofiary i człowiek przy sterze krzyknął ostrzegawczo. Gdy stalowy kadłub zderzył się z drewnianą burtą dau, z Ibisa rzucono trzy ciężkie haki, które zagrzechotały na pokładzie, zahaczyły o nadburcia i złączyły oba statki. Ryder gwałtownie zakręcił kołem sterowym i obrócił dau dziobem pod prąd, pozbawiając go wiatru i sterowności. Grupa abordażowa przeskoczyła nad relingiem.

Zanim załoga dau spostrzegła, że dzieje się coś złego, została obezwładniona. Ryder zeskoczył na pokład i ujrzał wychodzącego ze sterówki kapitana.

— Ras Hajlu! — zawołał i przywitał go po amharsku: — Widzę cię w dobrym zdrowiu.

Wstrząśnięty Abisyńczyk rozpoznał go po chwili.

— Al-Sachawi! Więc zostałeś piratem.

— Nie jestem piratem, ale miałeś z takimi do czynienia. Słyszałem, że Mahdi kantuje cię na cenie durry. — Złapał rasa Hajlu za ramię. — Chodź na pokład mojego parowca. Napijemy się kawy i pogadamy o interesach.

Jock ustawił oba statki pośrodku koryta, gdy kapitanowie usiedli w kabinie Ibisa. Po zwyczajowej wymianie uprzejmości Ryder przeszedł do rzeczy.

— Jak to jest, że pobożny chrześcijanin i książe z rodu Menelika robi interesy z fanatykiem, który wypowiedział dżihad jego Kościołowi i rodakom?

— Okryłem się hańbą — przyznał ras Hajlu — ale pieniądź jest pieniądzem zarówno dla chrześcijanina, jak i muzułmanina... zysk pozostaje zyskiem.

— Ile płaci ci niegodziwy Mahdi?

Ras Hajlu zrobił zbolałą minę, jego oczy jednak błysnęły przebiegle.

— Osiem szylingów za worek dostarczony do Omdurmanu.

— Powiedz mi, jak chrześcijanin chrześcijaninowi, jak przyjaciel przyjacielowi, ile wzięłbyś ode mnie, gdybym zapłacił w srebrnych denarach Marii Teresy?

Obaj mieli smykałkę do handlu i lubili się targować, ale czas naglił, musieli więc skrócić tę przyjemność. Dobili targu, cena stanęła na dziewięciu szylingach, i obaj byli zadowoleni. Jock wziął dau na hol i zaciągnął ją do zacisznej zatoki zwanej Laguną Małej Ryby. Osłonięci przez wysokie papirusy, przenieśli worki durry na parowiec. Przeładunek zabrał cały dzień, bo łódź była wypełniona towarem po brzegi.

Po zmroku Ryder i ras Hajlu objęli się serdecznie i pożegnali. Wieczorny wiatr wypełnił żagiel i dau popłynął w górę Nilu Błękitnego ku abisyńskiej granicy. Ryder skierował Ibisa do Chartumu. Statek był tak głęboko zanurzony, że musieli holować go od brzegu do kei w kanale za kompleksem.

Gdy tylko dzwon obwieścił koniec godziny policyjnej, Ryder wysłał Baczita z wiadomością do generała Gordona. Niespełna godzinę później generał zjawił się na brzegu kanału. Towarzyszyło mu stu egipskich żołnierzy, którzy ustawili się w łańcuch i szybko wyładowali ziarno. Ryder liczył worki i sporządzał notatki w małym czerwonym notesie.

— Według moich rachunków, generale, durry jest znacznie więcej, niż przewidywała nasza umowa. — Z biegłością buchaltera podsumował kolumny cyfr. — Przyjmując nawet dziesięć procent niedowagi, mamy około dwunastu, nie dziesięciu ton.

Generał zaśmiał się — niewiele osób miało okazję usłyszeć ten dźwięk, bo „Chińczyk” Gordon nie hołdował manifestowaniu wesołości.

— Panie Courtney, chyba nie sugeruje pan, że powinienem przekazać nadwyżkę Mahdiemu?

— Nie, generale. Sugeruję, że mam prawo do dodatkowego wynagrodzenia — odparł Ryder.

Gordon przestał się śmiać.

— Nawet pańska chciwość musi mieć granice.

— Muszę zapłacić podatek cesarzowi. — Gordon ściągnął brwi, słysząc to nawiązanie do Biblii, ale Ryder ciągnął niewzruszenie: — I chciałbym zatrzymać tonę durry do swojej dyspozycji.

Buntownicy splądrowali mój kompleks. Moi ludzie przymierają głodem tak samo jak wszyscy inni w mieście. Mam obowiązek żywić ich jak własną rodzinę. Według mnie nie zostanie to policzone za chciwość.

Targowali się ostro. Wreszcie Gordon podniósł ręce w geście kapitulacji.

— Dobrze, niech pan zatrzyma dwieście worków dla siebie i będzie wdzięczny za moją hojność. Może pan przyjść do fortu po judaszowe srebrniki. — Odszedł w kierunku arsenału, ale za jego nagłym odejściem kryły się względy, których nikt nie mógłby się domyślić. Generał Gordon nie

chciał, żeby Ryder Courtney zobaczył jego złagodniałą minę albo cień uśmiechu w oczach. Wielka szkoda, że ten hultaj nas zostawi, pomyślał. Przydałby się w wojsku. Zrobiłbym z niego pierwszorzędnego oficera, ale już na to za późno. Zepsuła go mamona.

Ten tok rozumowania przywiódł generałowi na myśl drugiego obiecującego młodzieńca. Zatrzymał się przy bramie arsenału i popatrzył na północ.

Ballantyne wyjechał piętnaście dni temu. Przecież musiał już dotrzeć do obozu Stewarta w Gakdul i przekazać mu moją wiadomość, pomyślał Gordon. W głębi serca czuję, że Bóg nie pozwoli, aby wszystkie moje wysiłki okazały się nadaremne. Dobry Boże, daj mi siłę, żeby wytrzymać jeszcze trochę dłużej.

Jednakże był śmiertelnie znużony.

Od pięciu dni jechali przez pustynię w wielkiej gromadzie mężczyzn i zwierząt. Kolumna posuwała się niespiesznie na północ. Penrod Ballantyne przechylił się w siodle, żeby rzucić okiem przez ramię. Chmura pyłu ciągnęła się po horyzont i wzbijała w niebo.

Pięćdziesiąt tysięcy? — zastanowił się. Nigdy się nie dowiemy — nikt ich nie policzy. Wszyscy emirowie południowych plemion i wszyscy ich wojownicy. Jaką moc dźrzyży ten Muhammad Ahmad, że zjednoczył plemiona od pięciuset lat podzielone przez waśnie i krwawe porachunki?

Odwrócił się i spojrzał na północ, dokąd zmierzała ta ludzka chmara. Stewart miał tylko dwa tysiące żołnierzy. Czy kiedykolwiek na przestrzeni dziejów rozegrała się bitwa, w której pomimo rażącej dysproporcji sił to mniej liczni zdobyli przewagę?

Odsunął tę myśl i spróbował osądzić, jaka odległość dzieli ich od straży przedniej rozciągniętej kawalkady. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, przesuwali się z Jakubem coraz bardziej do przodu. Tylko stamtąd mogli się wyrwać i ruszyć do Gakdul. Derwisze nie forsowali wielbłądów, oszczędzając ich siły do bitwy. Brak pośpiechu przekonał Penroda, że Stewart wciąż obozuje w dotychczasowym miejscu.

Powoli wyprzedzali kolejną formację derwiszów, twardych pustynnych wojowników uzbrojonych w miecze, z tarczami na plecach, jadących głównie na wielbłądach. Wszyscy prowadzili juczne zwierzęta, które dźwigały namioty, skrzynki z amunicją, garnki, worki z żywnością i buklaki. Za wojownikami ciągnęli kupcy i drobni handlarze z Omdurmanu, a ich wielbłądy wiozły towary na sprzedaż. Liczyli na wysokie zarobki po bitwie, kiedy ansarowie zdobędą łupy.

Formację prowadziła niewielka grupa ansarów na pięknych arabach, wyszczotkowanych tak pieczołowicie, że lśniły w słońcu jak polerowany metal. Długie jedwabiste grzywy wierzchowców były wyczesane i zaplecione w warkoczyki z kolorowymi wstążkami. Skórzane rzędy wykonano z malowanej, pięknie zdobionej skóry. Jeźdźcy jechali dumnie, z wystudiowaną arogancją niezrównanych wojowników.

— Agadżerowie! — mruknął Jakub, gdy podjechali bliżej. — Zabójcy słońi.

Penrod podniósł wyżej luźny koniec zawoju, zasłaniając usta i nos, i skrzył w bok, żeby wyminąć tę grupę w bezpiecznej odległości. Gdy się z nimi zrównali, jeźdźcy odwrócili głowy i z ożywieniem rozmawiali o dwóch nieznanym.

— Bodaj szlag trafił Rydera Courtneya z jego przeklętym upodobaniem do wielbłądów. — Po raz pierwszy od opuszczenia Chartumu Penrod żałował, że mają takie wspaniałe zwierzęta, godne kalifa albo potężnego emira, za dobre dla szeregowych wyznawców Allaha. Nawet w tym ogromnym skupisku z daleka zwracały uwagę swoją szlachetnością. Jakub przyspieszył i Penrod upomniał go ostro: — Spokojnie, nieustraszony Jakubie. Patrzą na nas. Kiedy mysz ucieka, kot rzuca się w pogoń.

Jakub zwolnił i jechali dalej w stateczniejszym tempie, ale to nie uspiło ciekawości agadżerów. Dwóch oderwało się od grupy i ruszyło w ich stronę.

— Bedżowie — wychrypiał Jakub. — To nie wróży niczego dobrego.

— Spokojnie, wygadany i przebiegły Jakubie. Musisz omotać ich swoim obrotnym językiem. Pierwszy agadżer podjechał i zwolnił do stępa.

— Niech Allah was błogosławi i Jego Zwycięski Mahdi, nieznajomi. Do jakiego należycie plemienia i kto jest waszym emirem?

— Niech Allah i Mahdi, oby cieszył się Jego łaską, zawsze uśmiechali się do ciebie — odparł Jakub dźwięcznym, beztroskim tonem. — Jestem Hogal al-Kadir z Dżaalinów, a jedziemy pod sztandarem emira Salida.

— Ja jestem al-Nur z plemienia Bedżów. Moim panem jest sławny emir Osman Atalan, na którego niech spłyną wszystkie błogosławieństwa Allaha.

— Jest wielkim człowiekiem, umiłowanym Allaha i wiecznie Zwycięskiego Mahdiego, który niech żyje długo i szczęśliwie. — Penrod dotknął serca i czoła. — Jestem Sulejmani Iffara, Pers z Dżuddy. — Niektórzy Persowie mieli jasne włosy i oczy, dlatego Penrod podszywał się pod osobę tej narodowości. Rzekome pochodzenie miało również wyjaśnić drobne zacięcia i modulację mowy.

— Z Dżuddy kawał drogi, Sulejmani Iffaro. — Al-Nur podjechał bliżej i przyjrzał mu się z namysłem.

— Boski Mahdi ogłosił dżihad przeciwko Turkom i Frankom. Wszyscy prawdziwi wyznawcy muszą usłuchać jego wezwania i dołączyć do niego w pośpiechu, niezależnie od tego, jak długą i trudną drogę mają do przebycia.

— Witamy w naszym ordynku, ale jeśli jedzicie pod sztandarem emira Salidy, musicie przyspieszyć, żeby go dopędzić.

— Nie chcemy zmęczyć wielbłądów — wyjaśnił Jakub — ale za twoją radą pojedziemy szybciej.

— W istocie, wspaniałe zwierzęta -- przyznał al-Nur, choć patrzył nie na wierzchowca, lecz na Penroda. Widział tylko jego oczy, a były to oczy dżinna, na dodatek denerwująco znajome. Jednakże rozkaz odsłonięcia twarzy byłby śmiertelną zniewagą. — Mój pan, Osman Atalan, przysłała mnie z zapytaniem, czy nie chcecie ich odsprzedać. Zapłaciliby dobrą cenę w złotej monecie.

— Żywię wielki szacunek do twojego potężnego pana — odparł Penrod — ale prędzej sprzedałbym pierworodnego syna.

— Powiedziałem wcześniej i powtórzę znowu, to wspaniałe stworzenia. Mój pan będzie zasmucony twoją odpowiedzią. — Al-Nur podniósł wodze, żeby zawrócić, ale jeszcze dodał: — Coś w twoim głosie lub oczach, Sulejmani ItTaro, wydaje mi się znajome. Spotkaliśmy się kiedyś?

Penrod wzruszył ramionami.

— Może w meczecie w Omdurmanie.

— Może — mruknął al-Nur z powątpiewaniem — ale przypomnę sobie, jeśli widziałem cię wcześniej. Mam dobrą pamięć.

— Jedziemy znaleźć naszego dowódcę — wtrącił Jakub. — Niechaj synowie islamu zatriumfują w czekającej nas bitwie.

Al-Nur odwrócił się w jego stronę.

— Modlę się, żeby twoje słowa wleciały do uszu Boga. Zwycięstwo jest słodkie, ale to śmierć jest ostatecznym celem życia.

Jest kluczem do rajy. Jeśli Allah odmówi nam zwycięstwa, niech nagrodzi nas chwalebnym męczeństwem. — Dotknął serca w pożegnalnym salucie. — Idźcie z błogosławieństwem Allaha. — Odjechał galopem, żeby dołączyć do swojego oddziału.

— Emir Atalan — szepnął z grozą Jakub. — Jedziemy w towarzystwie twojego najzagorzalszego

wroga. To jak noszenie kobry na łonie.

— Al-Nur dał nam pozwolenie na odjazd spod jego sztandaru — przypomniał mu Penrod. — Uczyńmy to bez zwłoki.

Kijami pognali wielbłądy i ruszyli kłusem. Penrod obejrzał się na daleką już grupę agadzerów. Teraz, gdy wiedział, gdzie szukać, rozpoznał elegancką sylwetkę Osmana Atalana w białej jak kość dżibbie z naszytymi kolorowymi łatami, które przyciągały oko jak klejnoty. Na ślicznej jasnej klaczy jechał o kilka końskich długości przed resztą swojej bandy. Patrzył na Penroda i nawet z tej odległości jego spojrzenie wzbudzało niepokój.

Al-Nur wyciągnął karabin spod kolana i wycelował w niebo. Penrod zobaczył obłoczek niebieskiego dymu, a parę sekund później usłyszał huk wystrzału. Podniósł swój karabin i odwzajemnił feu dujoie. Potem pojechali dalej.

Zagadywano ich kilka razy przed końcem dnia. Wielbłądy i oczywisty pośpiech, z jakim jechali, wyróżniały ich w tym wielkim zbiorowisku ludzi i zwierząt. Za każdym razem, gdy pytali o czerwony sztandar emira Salidy z Dżaalinów, słyszeli w odpowiedzi: „Jest w straży przedniej”. Penrod naglił, bo od czasu spotkania z al-Nurem nie opuszczał go niepokój.

Zatrzymali się tylko raz. Zawołał na nich jeden z drobnych handlarzy, kiedy go wyprzedzali. Skręcili w bok, żeby obejrzeć jego towary. Miał okrągłe chleby z durry, pieczone na maśle z wielbłądziego mleka z sezamem. Pokazał im również suszone daktyle i morele, i ser z koziego mleka, od którego zapachu napływała ślina do ust. Napełnili worki i Penrod uścił wygórowaną należność denarami Marii Teresy.

Handlarz odprowadził ich wzrokiem, a gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, przywołał syna, który prowadził juczne osły.

— Znam dobrze tego człowieka. Maszerował z Hicksem Baszą do El Obejd na początku dżihadu. Sprzedałem mu wykładany złotem sztylet, a on targował się ostro. Nigdy go nie zapomnę. Jest niewiernym i efendim Franków. Nazywa się Abadan Ridzi. Idź, mój synu, do potężnego Osmana Atalana i powtórz mu moje słowa.

Powiedz, że nieprzyjaciel maszeruje w szeregach wojowników Allaha.

Słońce chyliło się ku zachodowi i wydłużone cienie wielbłądów pomykały po pomarańczowych wydmach, kiedy wreszcie w chmurze wzbitego pyłu Penrod dostrzegł długi czerwony sztandar emira Salidy.

— To straż przednia nieprzyjaciela — zgodził się Jakub. Jechali blisko jeden drugiego, żeby nie podnosić głosu, bo w pobliżu nie brakowało ansarów. — Wielu z nich jest Dżaalinami. Rozpoznałem dwóch, z którymi mam do wyrównania krwawe porachunki. Należą do rodziny, która wypędziła mnie z plemienia i uczyniła wyrzutkiem. Jeśli mnie zaczepią, honor nakazuje mi ich zabić.

— W takim razie rozstańmy się z tym towarzystwem.

Nil płynął zaledwie milę na lewo od nich. Cała armia od Berbera podążała wzdłuż brzegu. O tej porze dnia wielu jeźdźców skręcało ku rzece, żeby napić zwierzęta. Byli zbyt zajęci swoimi sprawami, by zwracać uwagę na dwóch nieznanym. Mimo to Penrod pilnował, żeby trzymać się od nich z daleka.

Trawa na brzegu rzeki była gęsta i soczysta, sięgająca kolan wielbłądów. Nagle pod kopytami wierzchowca Jakuba coś zatrzepotało i stado przepiórek wzbiło się w powietrze. Należały do niebieskiej syryjskiej odmiany, były większe od pospolitych i wysoko cenione z uwagi na walory smakowe. Jakub pochylił się w siodle i rzucił kij, który służył do poganiania wielbłąda. Kij zakręcił młynka w powietrzu i trafił ptaka. W wirze niebieskich, złotych i kasztanowych piór przepiórka spadła na ziemię.

— Patrz! Jakub... nieźrównany myśliwy! — zawołał.

Stado przemknęło przed pyskiem wielbłąda Penroda, który też zamachnął się do rzutu. Kij urwał łebek przewodnikowi stada i prawie nie zmieniając kierunku, uderzył pod skrzydłem pulchną młodą kurę. Ptak upadł ciężko i zaczął uciekać w wysokiej trawie.

Penrod zeskoczył z wielbłąda i rzucił się w pogoń. Kura biegła zygzakiem i podfruwiała, ale w końcu udało mu się ją dopaść. Złapał za łebek i skręcił jej kark. Wracając do wierzchowca podniósł kij i zabitego koguta.

— Patrz! Sulejmani Iffara, pokorny podróżnik z Dżuddy, który nigdy nie chełpi się swoją sprawnością.

— Wobec tego nie będę wprawiał cię w zakłopotanie, mówiąc o niej — burknął rozżalony Jakub.

Zjechali nad rzekę. Wzdłuż brzegu poily się setki koni i wielbłądów. Inne pasły się na zielonym pasie trawy. Jeźdźcy napełniali bukłaki, niektórzy kąpali się na płycznach.

Penrod wypatrzył miejsce z dala od ludzi. Spętali wielbłądy i pozwolili im ugasić pragnienie, napełniając w tym czasie bukłaki i ścinając pęki trawy. Potem puścili zwierzęta na odpas, a sami rozpalili niewielkie ognisko. Upiekli trzy przepiórki, złocisto-brązowe, ociekające aromatycznym sokiem. Jakub wydoił wielbłądzicę i podgrzał mleko. Popijali nim okrągłe bochenki chleba z durry z plasterkami sera cuchnącego gorzej od kozy, z której mleka został zrobiony. Na zakończenie zjedli po garści daktyli i moreli. Nawet w jadalni Klubu Gheziera Penrod nie spożył smaczniejszego posiłku.

Później leżeli pod gwiazdami, głowa przy głowie.

— Jak daleko do Abu Hamed? — zapytał Penrod.

Jakub wycelował w niebo rozpostarte palce.

— Dwie godziny. — Penrod przeliczył kąt na czas. — W Abu Hamed musimy odbić od rzeki i sćiąć pętlę do Gakdul.

— To dwa dni drogi.

— Kiedy wyminiemy straż przednią derwiszów, będziemy mogli przyspieszyć.

— Szkoda byłoby zajeździć te wielbłądy. — Jakub podparł się na łokciu i popatrzył na pasące się w pobliżu zwierzęta. Zagwizdał cicho i kremowa krowa podeszła do niego, stawiając krótkie kroki w pętach. Dał jej placek z durry i drapał po uchu, gdy przeżuwała poczęstunek.

— O litościwy Jakubie, podrzynasz ludziom gardła z taką radością, z jaką puszczasz wiatry, ale żal ci bydłęcia, które urodziło się po to, żeby zdechnąć? — Penrod legł na wznak i rozłożył ręce jak ramiona krzyża. — Ty czuwasz pierwszy, ja drugi. Będziemy odpoczywać, dopóki księżyc nie stanie w zenicie. Wtedy ruszymy w drogę. — Zamknął oczy i prawie natychmiast zaczął pochrapywać.

Kiedy Jakub go zbudził, chłód środka nocy już przenikał przez wełniany burnus. Penrod popatrzył w niebo. Prawie pora. Jakub był gotów. Wstali i bez słowa podeszli do wielbłądów, zdjęli pęta i wspięli się na siodła.

Kierowali się ogniskami wart śpiącej armii. Dym kładł się gęsto wzdłuż wadi i przysłaniał ruchy jeźdźców. Kopyta wielbłądów nie czyniły hałasu, a juki, owiązane z większą niż zazwyczaj starannością, nie poskrzypywały ani nie grzechotały. Nikt ich nie zatrzymał, gdy mijali kolejne stanowiska straży.

Po dwóch godzinach, zgodnie ze słowami Jakuba, ujrzeni wieś Abu Hamed. Okrążyli ją z daleka, ale ich zapach zbudził psy. Złe ujadanie ucichło, gdy odbili od rzeki na starożytny szlak karawan, który przecinał wielki łuk Nilu. O świcie zostawili armię derwiszów daleko za sobą.

Po południu kazali wielbłądom przykłęknąć w wydłużających się cieniach niewielkiego wulkanicznego wzgórze i nakarmili je paszą naciętą na brzegu rzeki. Pomimo zmęczenia zwierzęta

jadły łapczywie. Mężczyźni obejrzeni je, gdy odpoczywały. Nie znaleźli ani złowróznej opuchlizny na kończynach, ani skaleczeń od łupku na kopytach.

— Dobrze się spisały, ale czeka nas znacznie gorszy etap.

Penrod, który tym razem pierwszy pełnił wartę, wspiał się na szczyt wzgórza, żeby przez lunetę spojrzeć na przebytą drogę. Uważnie omiół południowy horyzont od strony Abu Hamed, ale nie spostrzegł chmury pyłu ani innych oznak pościgu. Ułożył wysoki do kolan murek z luźnych wulkanicznych skał, żeby mieć osłonę na nagim wierzchołku, i usadowił się za nim wygodnie. Po raz pierwszy od opuszczenia brzegów Nilu poczuł się spokojniejszy. Z utęsknieniem czekał na wieczorny chłód. Tuż przed zachodem słońca podniósł się i raz jeszcze spojrzął na południe.

Żółte piórko pyłu, małe i efemeryczne, po kilku minutach znikło, jakby było tylko złudzeniem lub grą rozgrzanego powietrza. Niedługo później znowu się pojawiło i wisiało w żarze jak maleńki żółty ptak.

— Na szlaku karawan, dokładnie na naszym tropie, pył wznosi się nad miękkim podłożem i opada w miejscach, gdzie szlak biegnie po łupku czy lawie. — Penrod głośno wytłumaczył sobie naprzemienne pojawianie się i znikanie obłoku pyłu. — Wygląda na to, że al-Nurowi wróciła pamięć. Ale to nie mogą być konni. W okolicy nie ma wody. Tutaj mogą przeżyć tylko wielbłądy.

W armii derwiszów nie ma wielbłądów, które mogłyby równać się z naszymi. Nasze wierzchowce są najszybsze i najlepsze.

Patrzył przez lunetę, lecz pył przysłaniał jeźdźców. Za daleko, pomyślał. Są siedem, osiem mil od nas. Szybko zbiegł ze wzgórza. Jakub zobaczył go i domyślił się, że zanoszą się na kłopoty. Nie czekając na niego, osiodłał i objuczył wielbłądy. Penrod skoczył na siodło, a wierzchowiec poderwał się z klęczek, postępując i plując. Jeździec kierował jego głowę ku północy i przynaglił do kłusa.

Jakub podjechał do niego.

— Co zobaczyłeś?

— Pył na szlaku. Wielbłądy.

— Skąd wiesz?

— Czy koń może przebyć taką drogę bez wody?

— Kiedy agadżerowie ruszają w pogoń za słoniem albo człowiekiem, zabierają wielbłądy i konie. Na początku polowania jadą na wielbłądach i na nich wiozą wodę. W ten sposób oszczędzają konie, na które przesiadają się dopiero wtedy, gdy mają zwierzynę w polu widzenia. Widziałeś ich rumaki. Żaden wielbłąd im nie dorówna. — Obejrzał się przez ramię. — Jeśli to agadżerowie Osmana Atalana, jutro o świcie będą nas mieli w zasięgu wzroku.

Jechali przez całą noc. Penrod nie myślał o oszczędzaniu wody w bukłakach. Krótco przed północą przystanęli, żeby dać zwierzętom po dwa wiadra. Penrod położył się na ziemi i przyłożył ucho do odwróconej do góry dnem miski, używając jej jak płyty rezonansowej. Nie usłyszał tętentu kopyt, ale nie pozwolił, żeby to uspiło jego czujność. Dopiero o świcie, kiedy zobaczą pościg, będzie wiadomo, jak dużą mają przewagę. Bez dalszej zwłoki ruszyli w głąb pustkowia przez syczącą ciszę pustyni.

W pierwszym nieśmiałym świetle brzasku, gdy można było odróżnić elementy krajobrazu, znowu się zatrzymali. Penrod również tym razem nie szczędził wody. Kazał Jakubowi dać wielbłądom po dwa wiadra i resztę paszy.

— W tym tempie przed wieczorem bukłaki będą puste — burknął Jakub.

— W tym czasie albo dotrzemy do Gakdul, albo będziemy martwi. Napój i nakarm je porządnie. To odciąży juki i przyda siły ich nogom.

Zawrócił o sto jardów i znów posłużył się odwróconą miską. Przez kilka minut panowała cisza i już odetchnął z ulgą, gdy jakiś głęboko zakorzeniony instynkt kazał mu nasłuchiwać jeszcze przez chwilę. Wtedy usłyszał odgłos tak cichy, że mógł być szmerem porannego powiewu wśród skał. Podniósł do góry zwilżony śliną palec. Powietrze było nieruchome.

Przyłożył głowę do dna miski, osłonił ucho ręką i zamknął oczy. Cisza. Nabrał powietrza i przytrzymał je w płucach. Coś słyszał, jakby cichutki szmer przesuwanego piasku lub oddech ukochanej śpiącej u jego boku. Nawet w tej pełnej napięcia chwili ujrzał w wyobraźni młodą, śliczną Rebecę, leżącą w łóżku obok niego, z włosami przykrywającymi ich oboje niczym złotogłów. Odsunął od siebie ten obraz, wstał i wrócił do wielbłądów.

— Są za nami — powiedział cicho.

— Jak daleko? — zapytał Jakub.

— Zobaczymy ich wyraźnie w pierwszych promieniach słońca. — Obaj popatrzyli ku wschodowi. Skryte za horyzontem słońce opromieniało aureolą kopulasty szczyt dalekiego wzgórza, jakby była to głowa pradawnego świętego.

— A oni zobaczą nas równie wyraźnie — wychrypiał Jakub i odchrząknął.

— Jak daleko do Gakdul?

— Ponad pół dnia jazdy. Za długo. Na koniach dopędzą nas jeszcze przed źródłami.

— Jak wygląda teren przed nami? Czy jest tam jakaś kryjówka?

— Zbliżamy się do Tirbi Kebir. — Jakub wyciągnął rękę. — Nie bez powodu to miejsce nazywają Wielkim Cmentarzyskiem. — Mówił o jednej z najgorszych przeszkód leżących wzdłuż cięciwy łuku rzeki, słonej niecce o średnicy dwudziestu mil. Jej powierzchnia była płaska niczym tafla mrożonego szkła, bez jednej zmarszczki czy szczeliny, pomijając szerokie wyżłobienie szlaku karawan. Po obu stronach szlaku leżały ludzkie i wielbłądzie szkielety, pochodzące nawet sprzed kilkuset lat. Blask słońca odbity od białych kryształów soli rozjaśniał niebo i był widoczny z odległości wielu dziesiątków mil. Z obwodu tej wielkiej białej płaszczyzny można było zobaczyć stojącego pośrodku wielbłąda. Ludzie i zwierzęta piekli się jak na wolnym ogniu w bezlitosnych promieniach, odbitych i wzmocnionych przez lśniąca powierzchnię.

— Nie ma innej drogi. Musimy jechać dalej. — Przygotowali wielbłądy do przeprawy. Pokrzepione wielkimi łykami wody i kęsami paszy szły różnym krokiem. Gdy się rozwidniło, niebo rozjarzyło się niczym metalowa tarcza rozgrzana w kuźni Wulkana. Zostawili za sobą wydmy i faliste zwirowe pagórki i zjechali do niecki. Z teatralnym dramatyзмом słońce wyłoniło się zza wzgórz i uderzyło ich w twarze palącym batem. Penrod czuł, jak wysysa wilgoć z jego skóry i smaży zawartość czaszki. Sięgnął do sakwy i wyjął zakrzywiony kawałek kości słoniowej, w którym wyciął szczeliny tak wąskie, że jedynie niewielka część odbitego blasku raziała oczy. Sporządził je na podstawie ilustracji z książki o ark-tycznej podróży Claveringa i Sabine'a, w której opisano podobne urządzenia, wyrzeźbione w kości wieloryba i noszone przez Eskimosów z Grenlandii dla ochrony przed śnieżną ślepotą.

Trącone kijami wielbłądy ruszyły krokiem, który Arabowie zwą „piciem wiatru”, wyciągniętym kłusem szybko pochłaniającym miler. Co jakiś czas jeźdźcy odwracali się w siodłach, patrząc w rozmigotany blask za plecami.

Nieprzyjaciel ukazał się z szokującą nagłością. W jednej chwili niecka za nimi była pusta i biała, bez śladu człowieka czy zwierzęcia. W następnej grupa derwiszów wyjechała pomiędzy zwirowych wzgórz na białą przestrzeń. Dziwna gra światła zniekształcała perspektywę i skracała odległość. Choć wciąż dzieliło ich kilka mil, Penrod miał wrażenie, że widzi twarze agadżerów.

Zgodnie z przewidywaniami Jakuba jechali na wielbłądach, jucznych wielbłądach: siedzieli

przed wielkimi balonami bukłaków. Każdy jeździec na długim postronku prowadził konia. Na czele jechał Osman Atalan. Dół twarzy miał przysłonięty końcem zielonego zawoju, ale zdradzała go charakterystyczna postawa, wysoko podniesiona głowa i dumnie wyprężone ramiona. Obok niego podążał al-Nur. Za nimi Penrod naliczył jeszcze sześciu agadżerów. Obie strony dostrzegły się w tej samej chwili. Jeśli jeźdźcy pościgu krzyknęli, odległość stłumiła słowa.

Bez zbytniego pośpiechu agadżerowie zsiadli z wielbłądów. Dwaj ludzie zebrali postronki i zajęli się zwierzętami. Pozostali napoili konie, zaciągnęli popręgi i skoczyli na siodła. Zmiana wierzchowców zajęła tyle czasu, ile potrzebuje nurek, żeby ze wstrzymanym oddechem zejść na głęboką rafę w Morzu Czerwonym i napelnić siatkę perłopławami. Potem gromada jeźdźców ruszyła przez rozmigotaną nieckę w zatrważającym tempie.

Penrod i Jakub pochyliłi się w siodłach i ruchami bioder przynaglili wierzchowce. Wielbłądy ruszyły wyciągniętym galopem. Przez milę, a potem jeszcze przez dwie odległość ani się nie zmniejszała, ani nie zwiększała. Później kremowa klacz Osmana wysforowała się przed grupę pościgową. Pędziła z grzywą i długim złotym ogonem rozwianym na wietrze, blada zjawa na tle oślepiającej solnej równiny.

Penrod zrozumiał, że żaden wielbłąd na żadnym dystansie nie ma najmniejszych szans z tym koniem, i przejrzał taktykę Osmana: podjedzie do nich i w galopie podetnie pęciny wielbłądom. Próbował wymyślić plan, który pokrzyżowałby mu szyki. Nie mógł liczyć na to, że szczęśliwa kula powali klacz. Może powinien podpuścić emira, a potem niespodziewanie zawrócić i wykorzystując przewagę wzrostu i ciężaru wielbłąda, zderzyć się z klaczą. W ten sposób mógłby wykluczyć ją z pościgu. Z drugiej strony wiedział, że plan jest beznadziejny: klacz była nie tylko rącza, ale również zwinna, a Osman zapewne zaliczał się do najlepszych jeźdźców w szeregach derwiszów. W tej sytuacji szarża byłaby śmiechu warta. Gdyby nawet jakimś cudem zdołał okulać klacz, w następnej chwili dopadliby go pozostali agadżerowie z długimi mieczami.

Penrod obejrzał się. Osman był już tak blisko, że wyraźnie widział jego oblicze. Pęd powietrza zdmuchnął ogon zielonego zawoju z twarzy emira i tarmosił długą, kędzierzawą brodę.

— Abadanie Ridzi! — zawołał Osman, patrząc mu prosto w oczy. — Nadeszła nasza chwila. Była nam pisana.

Penrod wyciągnął karabin z pochwy pod kolanem i wykręcił się w siodle. Nie mógł odwrócić się zupełnie i przyłożyć kolby do ramienia, bo zakłóciłby równowagę wielbłąda. Chwycił karabin w jedną rękę jak pistolet i spróbował wycelować. Wielbłąd kołysał się i podskakiwał, lufa zakreślała dziwne, nieprzewidywalne kręgi. Mięśnie wyprostowanej ręki szybko się męczyły. Nie mogąc celować dłużej, pociągnął za spust. Odrzut wykręcił mu nadgarstek, a osłona spustu uderzyła w palce. Strzelał niemal na oślep, więc nawet nie spojrzał, gdzie wylądowała kula. Usłyszał naturalny, swobodny śmiech Osmana. Tętent kopyt i szum powietrza już nie głużyły głosu kalifa.

— Schowaj karabin. Jesteśmy wojownikami stali, ty i ja. — Klacz zbliżała się szybko. Penrod widział płaty białej piany sfruwające z wędzidła. Osman sięgnął do pochwy przytroczonej pod lewym kolanem i wyjął miecz. Podniósł go wysoko, żeby Penrod mógł zobaczyć lśniącą głownię. — Oto oręż godny mężczyzny.

Penrod miał wielką ochotę odpowiedzieć na wyzwanie i zmierzyć się z nim na broń białą. Wiedział jednak, że na szali spoczywa coś więcej niż jego duma i honor. Los armii rodaków, miasta Chartumu i wszystkich w jego murach — także Rebecki Ben-brook — zależał od wyniku tego wyścigu. Obowiązek nakazywał wyrzeczenie się brawury. Wyrzucił łuskę z zamka i wyjął nabój z bandolieru. Zatrzasnął zamek, ale nim zdążył odwrócić się i strzelić do Osmana, Jakub zawołał nagłaco. Wyciągał palec przed siebie, wysoko podnosząc się w siodle, machał ręką nad głową i

wrzeszczał z podniecenia.

Penrod spojrział we wskazywanym kierunku i serce zamarło mu w piersi. Z białego blasku solnej niecki wyłonił się zwarty szwadron, wielbłądy pędziły pod takim kątem do ich trasy, że musiały przeciąć im drogę. Nie ulegało wątpliwości, że jeźdźcy są gotowi do walki. Ilu? — zastanowił się. Chmury białego pyłu utrudniały ocenę. Setka, jeśli nie więcej. Zbliżali się szybko, szereg za szeregiem. Kim są? Arabami? Nie. To pewne. Wezbrała w nim nadzieja. Jeźdźcy nie nosili arabskich strojów i mieli ogolone twarze.

Pędzili ku sobie. Penrod w końcu zobaczył bluzy w kolorze khaki i rozpoznał charakterystyczny kształt hełmów korkowych.

— Brytyjczycy! — zawołał z radością. — Zwiadowcy z korpusu wielbłądów Stewarta.

Obejrzał się za siebie. Osman stał w strzemionach, patrząc na zbliżające się szeregi. Jego agadżerowie ściągnęli wodze i kręcili się bezładnie, niepewni, co zrobić. Penrod odwrócił głowę i zobaczył, że dowódca zatrzymał oddział. Żołnierze zsiadli i sprawnie formowali klasyczny czworobok. Wielbłądy klękały, tworząc nieprzerwany mur, a jeźdźcy kucali za nimi, wysuwając nad grzbietów lufy karabinów. Ogorzałe twarze były gładko ogolone i spokojne. W piersiach Penroda wezbrała zapierająca dech fala dumy. Ci ludzie byli jego towarzyszami broni, kwiatem najwspanialszej armii na świecie.

Zerwał turban z głowy, żeby pokazać im swoją twarz, i pomachał rękami nad głową.

— Nie strzelać! — ryknął. — Brytyjczyk! Jestem Brytyjczykiem! — Zobaczył, że oficer, który z wyciągniętą szablą stał za pierwszym szeregiem żołnierzy, postąpił do przodu i poddał go długim, badawczym oględzinom. Tylko sto pięćdziesiąt kroków dzieliło ich od czworoboku. — Jestem brytyjskim oficerem!

Mężczyzna wykonał charakterystyczny gest szablą i Penrod usłyszał, jak sierżanci i podoficerowie powtarzają rozkaz: — Nie strzelać! Czuwaj, baczność! Nie strzelać!

Penrod obejrzał się i zobaczył Osmana niedaleko z tyłu. Agadżerowie wciąż nie wiedzieli, co począć, ale emir szarżował samotnie na brytyjską formację.

Penrod podniósł karabin i wycelował w klacz. Zdawał sobie sprawę, że tylko to może powstrzymać kalifa. Dzielili ich nie więcej niż trzy końskie długości i choć grzbiet galopującego wielbłąda kołysał się dziko, strzał z tego dystansu musiał oznaczać pewne trafienie. Wiedział jednak, że gdyby wziął na cel jeźdźca, Osman nie dałby się zastraszyć. Penrod poznał go już na tyle dobrze, żeby mieć pewność, iż emir nie poświęci klaczy. Osman ściągnął wodze, krzywiąc twarz z gniewu.

— Myliłem się co do ciebie, tchórze! — krzyknął. W Penrodzie narosła złość.

— Do następnego razu — obiecał.

— Modłę się do Boga, żebyśmy się spotkali! — Osman zawrócił sześćdziesiąt jardów od czworoboku Brytyjczyków. Zwolnił do kłusa, wracając do swoich agadżerów.

Żołnierze rozstąpili się, żeby wpuścić Penroda i Jakuba. Penrod podjechał do oficera i zsunął się z siodła.

— Dzień dobry, majorze. — Zasalutował Kenwickowi, który wlepił w niego zdumione oczy.

— Ballantyne, zjawiasz się jak spod ziemi. Mogliśmy cię zastrzelić.

— A pan nie mógł przybyć w lepszej chwili.

— Zauważyłem, że miałaś drobne kłopoty. Do diabła, skąd się tu wzięłaś?

— Wiozę wiadomość od generała Gordona do generała Stewarta.

— W takim razie masz szczęście. Jesteśmy strażą przednią. Generał Stewart z trzonym odsieczki jedzie niespełna godzinę za nami. — Popatrzył na wielbłądy i ludzi klęczących wzdłuż boku kwadratu. — Ale wszystko po kolei. Co za kanalia ściągała cię z takim zapalem?

— Jeden z emirów, niejaki Osman Atalan. Jest przywódcą ludu Bedża.

— A niech mnie kule biją! Słyszałem o nim. Wredny typ, jak wieść niesie. Lepiej się go pozbyć.

— Podeszedł do frontowych szeregów. — Sierzancie! Zastrzelić tego drania.

— Rozkaz! — Sierżant, krzepki mężczyzna z sumiastymi wąsami, wyznaczył dwóch najlepszych strzelców. — Webb i Rogers, rozwalcie tamtego derwisza.

Żołnierze pochyliłi się nad grzbietami klęczących wielbłądów i złożyli do strzału.

— Nie spieszcie się! — poradził sierżant.

Penrod wstrzymał oddech. Wyjawiał tożsamość i rangę Osmana, żeby zniechęcić Kenwicka do wydania takiego właśnie rozkazu. Miał niejasną nadzieję, że jakiś rycerski instynkt nie pozwoli majorowi zastrzelić emira. Pod Waterloo Wellington nie rozkazałby strzelcom wziąć na cel Bonapartego.

Padł pierwszy strzał, ale Osman jadący jednostajnym tempem oddalił się już na ponad pięćset jardów. Kula musiała przelecieć blisko, bo klacz machnęła ogonem, jakby odganiała się od muchy tse-tse. Osman Atalan nie tylko się nie obejrzał, ale z rozmysłem zwolnił do stępa. Strzelił drugi żołnierz i tym razem zobaczyli obłoczek wzbitego pyłu. Chybił o włos. Osman oddalał się powoli. Obaj strzelcy strzelili dwukrotnie, a potem cel znalazł się poza zasięgiem.

- Wstrzymać ogień, sierzancie - warknął Kenwick. Na stronie powiedział do Penroda: — Przeklęty facet ma lisie szczęście — uśmiechnął się nieznacznie — ale trzeba podziwiać jego zimną krew.

— W niedalekiej przyszłości prawie na pewno zostaniemy uraczeni innymi mistrzowskimi pokazami — zgodził się Penrod.

Major łypnął na niego, doszukawszy się nuty przygany w jego tonie.

— Szlachetne odczucie, Ballantyne. Sądzę jednak, że nikt nie powinien okazywać zbyt wielkiego szacunku wrogom. Musimy pamiętać, że przyszliśmy tutaj, żeby ich zabić.

I vice versa. Ale Penrod nie powiedział tego na głos. Patrzyli, jak w dali Osman Atalan dołącza do swoich agadżerów i odjeżdża na południe w kierunku Abu Hamed.

— Generał Stewart zapewne ucieszy się na twój widok — stwierdził Kenwick.

— I vice versa, panie majorze. — Tym razem Penrod wyraził myśl głośno.

Kenwick szybko skreślił notatkę w książce meldunków, wyrwał kartkę i podał Penrodowi.

— Jeśli będziesz jeździć po okolicy w takim stroju, zastrzelą cię jako szpiega. Poślę z tobą młodego Stapletona. Powiadom generała Stewarta, że posuwamy się w dobrym tempie i że poza tym Atalanem nie nawiązaliśmy kontaktu z wrogiem.

— Majorze, tylko proszę nie wmawiać sobie, że ten szczęśliwy stan rzeczy utrzyma się długo. Przez ostatnie siedem dni jechałem w wielkiej chmarze derwiszów. Zmierzają prosto w tę stronę.

— Ilu?

— Trudno powiedzieć. Zbyt wielu, żeby zliczyć. Oceniam, że od trzydziestu do pięćdziesięciu tysięcy.

Kenwick zatarł ręce z radości.

— A zatem, ogólnie rzecz biorąc, zanosi się na parę interesujących dni.

— A żeby pan wiedział.

Kenwick wezwał chorążego, najmłodszego stopniem oficera.

— Stapleton, wróćcie z kapitanem Ballantyne'em i przeprowadźcie go przez linie. Nie dajcie zastrzelić ani siebie, ani jego.

Percival Stapleton popatrzył na Penroda z wielkim nabożeństwem. Miał nie więcej niż siedemnaście lat, a na jego niemal dziecinnej twarzy malował się zapal szczeniaka. Pojechali razem

starożytną drogą karawan. Przez kilka pierwszych mil Percy milczał, bo uwielbienie dla bohatera odjęło mu mowę. Zaszczyt towarzyszenia kapitanowi Ballantyne'owi, kawalerowi Krzyża Wiktorii, stanowił uwieńczenie jego szesnastomiesięcznej służby. W końcu zdobył się na odwagę, z szacunkiem wygłaszając kilka uwag i pytań. Gdy Penrod odpowiedział po przyjacielsku, odprężył się i zaczął gadać jak najęty. Penrod uznał go za pierwszorzędne źródło informacji, zachęcał do mówienia i szybko poznał większość pułkowych plotek. Były podkolorowane przez dumę chłopaka i jego niemal chorobliwe pragnienie przejścia chrztu bojowego.

— Wszyscy wiedzą, że generał Stewart jest świetnym żołnierzem, jednym z najlepszych w kraju — oświadczył z namaszczeniem. — Wszyscy ludzie pod jego komendą zostali ściągnięci z liniowych formacji gwardii i fizyliarów. Ja służę w Drugim Pułku Grenadierów. — Mówił tak, jakby nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

— Czy dlatego generał Gordon tak długo musiał czekać na wasze przybycie? — Penrod z chirurgiczną precyzją wbił chłopakowi szpilkę.

Percy nastroszył się.

— Opóźnienie nie wynikało z winy generała. Każdy człowiek w kolumnie jest pełen entuzjazmu i rwie się do walki. — Gdy Penrod wznosił brew, dodał zapalczywie: — Z powodu pośpiechu, z jakim politycy z Londynu zmusili nas do opuszczenia Wadi Halfy, musieliśmy czekać w Gakdul na posiłki. Mieliśmy niespełna tysiąc ludzi, a wielbłądy chorowały i osłabły z braku paszy. Nie byliśmy w odpowiedniej kondycji na spotkanie z wrogiem.

— A w jakiej jesteście teraz?

— Dwa dni temu przybyły posiłki z Wadi Halfy. Dostarczono nam paszę, świeże wielbłądy i prowiant, którego nam brakowało.

General zarządził natychmiastowy wymarsz. Teraz mamy dość ludzi do wykonania zadania — dokończył z przekonaniem typowym dla bardzo młodej osoby.

— Ilu?

— Dwa tysiące.

— Czy wiesz, ilu jest derwiszów? — zapytał Penrod z zaciekawieniem.

— Och, nie zdziwiłbym się, gdyby było ich sporo. Ale my jesteśmy Brytyjczykami. Czy pan nie rozumie?

— Jasne, że tak! — Penrod uśmiechnął się. — Nic dodać, nic ująć, prawda?

Wjechali na szczyt wzniesienia i stamtąd ujrzeli trzon armii. Zmierzała po kamienistej równinie w zwartej formacji czworoboku, z jucznymi mułami w środku. Składała się z ponad dwóch tysięcy ludzi. Żołnierze posuwali się w dobrym tempie i było jasne, że dowodzi nimi zdeterminowany dowódca.

Mundur Percy'ego otworzył im drogę do wnętrza czworoboku. Za pierwszym szeregiem jechali oficerowie sztabowi. Penrod rozpoznał generała Stewarta. Widział go w Wadi Halfie, ale nie został mu przedstawiony. Był to przystojny mężczyzna, wysoki i prosty jak świeca, emanujący władczą pewnością siebie. Penrod lepiej znał jego towarzysza, majora Hardinge'a, starszego oficera wywiadu korpusu wielbłądów. Major wskazał na niego i powiedział parę słów do generała. Stewart pokiwał głową.

Hardinge podjechał do Penroda.

— Ballantyne, ty zawsze wracasz jak zły szeląg.

— Szeląg wart jest teraz co najmniej szylinga, panie majorze. Mam wiadomości od generała Gordona z Chartumu.

— Naprawdę? To warte gwinei. Chodźmy. Generał Stewart przyjmie pana z radością. —

Dołączyli do sztabu.

Generał Stewart gestem dał znać, że Penrod ma podjechać do jego wielbłąda. Penrod zasalutował.

— Kapitan Penrod Ballantyne z Dziesiątego Pułku Huzarów, z meldunkiem od generała Gordona z Chartumu.

— Gordon jeszcze żyje?

— Jak najbardziej, panie generale.

Stewart przyjrzał mu się uważnie.

— Dobrze usłyszeć potwierdzenie. Może pan przekazać meldunek Hardinge'owi.

— Generał Gordon nie napisał niczego na papierze, na wypadek gdybym wpadł w ręce Mahdiego. Mam tylko raport słowny.

— W takim razie proszę złożyć go bezpośrednio mnie. Hardinge sporządzi notatki. Śmiało.

— Moim naczelnym obowiązkiem jest poinformowanie pana o sile nieprzyjaciela, na tyle, na ile jesteśmy zorientowani.

Stewart słuchał w skupieniu, pochylony w siodle. Twarz miał pociągłą i opaloną, oczy spokojne i inteligentne. Nie przerywał, gdy Penrod przedstawiał stan obrony w Chartumie. Penrod zwięźle zakończył pierwszą część raportu: — Generał Gordon szacuje, że zdoła się utrzymać jeszcze przez trzydzieści dni. Jednakże zapasy żywności zostały zredukowane do poziomu niegwarantującego przeżycie. Nil szybko opada, odsłaniając umocnienia. Generał przykazał mi podkreślić, że z każdym dniem jego pozycja staje się coraz bardziej ryzykowna.

Stewart nie próbował tłumaczyć się z opóźnienia. Był człowiekiem czynu, nie próżnych dywagacji.

— Rozumiem — powiedział krótko. — Proszę mówić dalej.

— Dopóki miasto nie padnie, na wieży fortu Mukran będą wisiały flagi Egiptu i Wielkiej Brytanii, w dzień i w nocy. Przez lunetę widać je z wysokości przełomu Szabluka.

— Mam nadzieję, że niebawem sam się o tym przekonam. — Stewart pokiwał głową. Choć słuchał Penroda z uwagą, jego oczy wędrowały bezustannie po czworoboku, który miarowo posuwał się na południe.

— Jechałem z miasta w środku formacji nieprzyjaciela. Mogę podać panu swoją ocenę rozmieszczenia, jeśli uzna pan to za przydatne, generale.

— Słucham.

— Straż przednią derwiszów prowadzi emir Salida z plemienia Dżaalinów. Pod czerwonym sztandarem skupia około piętnastu tysięcy wojowników. Dżaalinowie to wysunięte najbardziej na północ plemię Sudanu. Salida zbliża się do siedemdziesiątki, ale wciąż ma straszną reputację. Środkiem dowodzi emir Osman Atalan z Bedzów. — Stewart zmrużył oczy, słysząc to nazwisko. Najwyraźniej nie było mu obce. — Osman prowadzi w przybliżeniu dwadzieścia tysięcy ludzi. Mają karabiny Martini-Henry, zdobyte na Egipcjanach, i wielki zapas amunicji. Z pewnością pan wie, panie generale, że derwisze wolą walkę wręcz na miecze.

— Artyleria?

— W Omdurmanie mają nordenfelty, krupy i mnóstwo amunicji. W tych siłach ekspedycyjnych nie widziałem armat.

— Wiem, Ballantyne, że jest pan starym wygą, gdy chodzi o taktykę Arabów. Jak pan myśli, gdzie się z nimi spotkamy?

— Sądzę, że będą chcieli odciąć panu dostęp do wody — odparł Penrod. Na pustyni prędzej czy później wszystko sprowadza się do wody. — Najbliższe źródła znajdują się w Abu Klea. Dają niewiele słonawej wody, ale derwisze postarają się, żeby nie mógł pan z niej skorzystać. Podejście do studni wiedzie przez skalisty wąwóz. Przypuszczam, że tam wydadzą bitwę, prawdopodobnie w czasie wychodzenia wojska na otwarty teren.

Hardinge miał mapę w pogotowiu. Stewart rozpostarł ją przed siodłem. Penrod podjechał bardzo blisko, żeby przestudiować ją razem z nim.

— Proszę pokazać, gdzie według pana mogą zaatakować — polecił Stewart, a potem przez jakiś czas przyglądał się ukształtowaniu terenu. — Zamierzałem rozbić obóz na północ od Tirbi Kebir. — Wskazał palcem to miejsce. — Ale w świetle nowych informacji może lepiej będzie kontynuować marsz i dotrzeć do wylotu wąwozu przed zmrokiem. W ten sposób rankiem będziemy mieli większą swobodę ruchów.

Penrod nie skomentował. Nie pytano go o zdanie. Stewart zwinął mapę.

— Dziękuję, kapitanie. Myślę, że najbardziej przydatny będzie pan w awangardzie z majorem Kenwickiem. Zechce pan ruszyć do przodu i oddać się pod jego rozkazy?

Penrod zasalutował, a gdy odjeżdżał, Stewart zawołał za nim: — Zanim dołączy pan do Kenwicka, proszę udać się do kwatermistrza. Wyda panu przyzwoity mundur. W tych łachmanach wygląda pan jak przeklęty derwisz. Któryś z chłopców może wziąć pana na cel.

Wczesnym rankiem Osman Atalan i Salida wspięli się na szczyt jednego z wypalonych wzgórz Abu Klea. Z tego punktu obserwacyjnego widzieli głęboki wąwóz. Siedzieli na pięknym wełnianym kobiercu, rozłożonym na czarnym bazalcie. Naprzeciwko nich wznosił się niemal identyczny grzbiet z tej samej ciemnej skały. W najwęższym punkcie wąwóz miał około czterystu kroków.

Emir Salida znał Osmana Atalana od czasu, gdy Osman był siedemnastoletnim podrostkiem. W tym wieku Osman z oddziałem swojego ojca wtargnął od wschodu na terytorium Dżaalinów. Zabili

sześciu wojowników Salidy i uprowadzili sześćdziesiąt pięć najlepszych wielbłądów. Podczas tego dawnego najazdu Osman zabił pierwszego człowieka. Bedżowie porwali również dwanaście dziewcząt i młodych kobiet, ale w oczach Salidy ta strata była niczym w porównaniu z utratą wielbłądów. Od tej pory przez dwanaście lat pustynię znaczyła krew przelana w trakcie wyrównywania porachunków.

Dopiero gdy Boski Mahdi, oby zawsze triumfował nad swoimi wrogami, zjednoczył plemiona Sudanu w świętym dżihadzie przeciwko niewiernym, Osman i Salida usiedli przy jednym ognisku i podzielili się fajką. W czasie dżihadu wszystkie rodowe i plemienne waśnie popadały w zapomnienie. Wszyscy jednoczyli się przeciwko wspólnemu wrogowi.

Niewolnica postawiła fajkę wodną między emirami. Srebrnymi szczypcami wyjęła z glinianego dzbanka węgielek i ostrożnie położyła go na czarnym tytoniu upchanym w główce fajki. Ssała ustnik z kości słoniowej, dopóki dym nie popłynął swobodnie. Zakasłała wdzięcznie i podała ustnik Salidzie, co było oznaką szacunku dla jego wieku. Woda w wysokim szklanym dzbanie zabulgotała, gdy emir wciągnął dym. Przytrzymał go w płucach, podając ustnik Osmanowi. Mahdi zakazał używania tytoniu, ale Mahdi był w Omdurmanie, a Omdurman daleko. Palili z zadowoleniem, omawiając plan bitwy. Kiedy w fajce został tylko popiół, uklękli do rytualnej porannej modlitwy.

Potem dziewczyna zapaliła drugą fajkę. Od czasu do czasu szejkowie podchodzili do emirów, żeby meldować o ruchach wroga i rozmieszczeniu swoich oddziałów.

— W imię Boga, szwadron szejka Haruna zajmuje pozycję — zameldował jeden.

Salida popatrzył na Osmana spod ciężkich, piegowatych od słońca powiek.

— Harun jest dobrym wojownikiem. Ma pod sobą dwa tysiące ludzi. Kazałem mu zająć pozycję przy wadi, gdzie wczoraj przysiadł myszołów. Stamtąd będzie mógł szarpać tyły wrogów, gdy wyjdą na równinę.

Niedługo później drugi, młodszy szejk wspiał się po stromym zboczu.

— W imię Boga i Zwycięskiego Mahdiego, niewierni wysłali zwiadowców. Patrol złożony z sześciu żołnierzy wyjechał z wąwozu. Patrzyli przez długie szkła na palmowy gaj wokół studni, potem zawrócili. Jak rozkazałeś, potężny emirze, nie zatrzymaliśmy żadnego.

Godzinę po wschodzie słońca nadszedł ostatni raport. Wszystkie oddziały derwiszów zajmowały wyznaczone pozycje.

— A co z niewiernymi? — zapytał Salida skrzypiącym, starczym głosem.

— Jeszcze nie zwinęli obozu. — Posłaniec wskazał wylot długiego wąwozu. Salida podniósł łokieć, żeby jego niegdysiejszy wróg pomógł mu wstać. Artretyzm zniekształcił mu stawy, ale gdy umieścił się w siodle, jeździł i walczył mieczem jak młody wojownik. Pilnując, żeby ich sylwetki nie zarysowały się na porannym niebie, Osman zaprowadził go na skraj urwiska, skąd spojrzeli w dół.

Obóz niewiernych leżał niespełna dwie mile dalej. Wieczorem żołnierze wzniesli zarebę z kamieni i kolczastych gałęzi. Jak zawsze obóz miał kształt kwadratu. Na każdym narożniku stały karabiny Nordenfelta, z których można było ostrzeliwać ogniem flankowym przedpola ze wszystkich stron.

— Co to za maszyny? — Salida nigdy nie walczył z Frankami. Turków znał dobrze, bo własnoręcznie zabił ich całe setki. Ci rośli, czerwoni na twarzach ludzie należeli do innego plemienia. Nie znał ich zwyczajów.

— To karabiny, które strzelają bardzo szybko. Ścinają ludzi jak kosa trawę i zostawiają pole zasłane martwymi, dopóki się nie rozgrzeją i nie zakleszczą. Trzeba nakarmić je trupami, żeby zamknąć im pyski.

Salida zachichotał.

— Nakarmimy je dzisiaj dobrze. — Szeroko machnął ręką. — Uczta gotowa. Czekamy na gości honorowych.

Wzgórza, doliny i płytkie wąwozy wyglądały na puste, ale tętniło w nich życie dziesiątków tysięcy ludzi i koni. Wojownicy siedzieli na tarczach, z cierpliwością myśliwego czekając na rozkazy.

— Co teraz robią niewierni? — zaciekawił się Salida, kierując uwagę na obóz wroga.

— Przygotowują się do odparcia naszego ataku.

— Wiedzą, że tu jesteśmy i czekamy na nich? Skąd?

- Mieli szpiega w naszych szeregach, oficera ferenghi. To bystry, przebiegły niewierny. Nauczył się słodkiego języka naszych matek i bez trudu uchodzi za syna Proroka. Od Berberu jechał wśród nas na północ. Bez wątpienia policzył nasze głowy i przewidział nasze zamiary, a potem uciekł do obozu niewiernych.

— Jak się nazywa? Skąd tyle o nim wiesz?

— Nazywa się Abadan Ridzi. Pod El Obejd zadał mi ranę, która omal nie wpędziła mnie do grobu — odparł Osman. — Ale to było wczoraj. Dziś to dziś, i policzymy martwych o zachodzie słońca.

— Niewierny może nie wydać nam bitwy — zaznaczył Salida.

— Patrz! — Osman podał mu lunetę. Starzec złapał ją na odwrót i spojrział przez dużą soczewkę. Choć zobaczył tylko puste błękitne niebo, zrobił mądrą minę. Osman wiedział, że stary emir nie wyznaje się na tych zabawkach niewiernych, więc zaoszczędził mu zakłopotania, opisując sceny w obozie brytyjskim.

— Widać, jak kwatermistrze idą wzdłuż szeregów, rozdając dodatkową amunicję.

— Na Boga, masz rację — powiedział Salida i przesunął lunetę o kilka stopni w niewłaściwą stronę.

— Widać, jak zabierają nordenfelty.

— Na święte imię Mahdiego, masz rację. — Salida uderzył się mosiężną oprawą w brew i opuścił lunetę, żeby potrzebować obolałe miejsce.

— Widać, jak niewierni wsiadają na wielbłądy i słyszą trąbki. — Bez przeszkadzającej mu lunety Salida po raz pierwszy wyraźnie zobaczył nieprzyjaciela.

— Na święte imię Mahdiego, masz rację! Idą tu w pełnej sile.

Patrzyli, jak Brytyjczycy wyjeżdżają z obozu. Karne szeregi natychmiast uformowały groźny czworobok. Ruszyli niespiesznie ku wylotowi wąwozu, a w ich liniach nie było luki. Ten pokaz dyscypliny i precyzji mroził krew w żyłach nawet Osmanowi i Salidzie.

— Nie mają odwrotu. Muszą przebić się do wody albo umrą jak inne armie, połknięte przez pustynię.

— Nie zostawimy ich pustyni — oznajmił Salida. — Zniszczymy wszystkich mieczem. — Odwrócił się w stronę Osmana. — Obejmij mnie, umiłowany wrogu — rzekł cicho — albowiem jestem stary i zmęczony. Wydaje się, że dzisiaj jest dobry dzień na śmierć.

Osman objął go i ucałował zwiędnięte policzki.

- Kiedy przyjdzie twoja pora, obydź umarł z mieczem w dłoni. — Odsunęli się i zeszli do podnóża stoku, gdzie wojownicy czekali na nich z końmi.

Penrod patrzył w górę na czarne urwiska, które wznosiły się po obu stronach. Były jałowe jak stosy popiołu wyrzucone z piekła. Gdy wchodzili w trzewia wąwozu, ściany zacieśniały się i deformowały sztyk, ale w bokach kwadratu nie pojawiły się luki. Penrod uważnie omiół wzrokiem skały. Nie dostrzegł śladu życia, wiedział jednak, że to iluzja. Popatrzył na Jakuba. — Osman Atalan

jest tutaj.

- Tak, Abadanie Ridzi. — Jakub uśmiechnął się i jego prawe oko uciekło w bok. — Jest tutaj. W powietrzu wisi słodka woń śmierci. -- Wciągnął głęboki oddech. — Wolę ją od zapachu świeżej cipki.

— Tylko ty, lubieżny i krwiożerczy Jakubie, możesz w jednym zdaniu połączyć miłość i walkę.

- Efendi, przecież to jedno i to samo.

Jechali wąskim wąwozem. Strach i podniecenie niczym upajające wino krążyły w żyłach Penroda. Patrzył na otaczające go proste, uczciwe twarze i był dumny, że jedzie w towarzystwie tych żołnierzy. Ciche rozkazy i potwierdzenia padały w znajomej ojczystej mowie, ale z tak różnym akcentem, że mogły być wypowiedzane w odrębnych językach: rozpoznał dialekty Szkocji i West Country, Walii i wyspy Emerald, Yorku i Kentu, Londynu i Newcastle, a także elegancką modulację Eton i Harrow.

- Czekają na nas po drugiej stronie przejścia — powiedział Jakub. — Osman i Salida będą chcieli wykorzystać swoją jazdę na otwartym terenie.

- Salida jest emirem twojego plemienia, więc znasz go dobrze.

- Był moim emirem, brałem udział w jego wyprawach i posiłałem się przy jego ognisku. Do dnia, w którym jego najstarszy syn zniewolił moją siostrę. Zabiłem ich oboje, bo to ona go skusiła. Teraz krew dzieli mnie i Salidę. Jeśli on nie zabije mnie pierwszy, pewnego dnia ja go zabiję.

- Ach, cierpliwy i mściwy Jakubie, to może być właśnie ten dzień.

Minęli zwężenie wąwozu i ściany skalne po obu stronach otworzyły się niczym szczęki potwora. Wciąż nie było śladu życia na martwych, spalonych wzgórzach — ani człowieka, ani ptaka, ani gazeli. Zatrąbiła sygnałówka i zniekształcony czworobok zatrzymał się nagle.

Sierzanci ruszyli, wyrównując szeregi.

— Zewrzeć szereg z prawej!

— Zachować odstępy!

— Zwrot w linii w lewo!

W ciągu paru minut szyk został przywrócony. Narożniki miały idealnie proste kąty, odstępy pomiędzy szeregami były precyzyjnie odmierzone. Rzędy bagnetów lśniły w nieubłaganym słońcu, twarze czekających ludzi spływały potem, ale nikt nie odpiął manierki od parcianego pasa. Na tym bezwodnym pustkowiu za picie bez rozkazu groził sąd wojenny. Penrod patrzył z grzbietu wielbłąda na leżący przed nimi teren. Za wzgórzami rozciągała się szeroka, płaska równina. Ziemię pokrywał kobierzec białych okruchów kwarcu, usiany gdzieniegdzie niskimi, spalonymi słońcem krzakami. Po drugiej stronie tej jałowej przestrzeni rosła maleńka kępa palm, które wyglądały na skamieniałe ze starości.

Dobry teren do kawaleryjskiej szarży, pomyślał Penrod i skupił uwagę na pułapce, jaką po obu stronach tworzyły wzgórza. Choć pozbawione oznak życia, zdawały się pulsować złem. Drżały w rozgrzanym powietrzu niczym psy myśliwskie zwabione zapachem zwierzyny, gotowe na rozkaz rzucić się do ataku.

Urwiska były rozcięte wąwozami i ujściami wadi, zasłanymi gruzem skalnym lub wysypanymi piaskiem jak arena. Jakub zaśmiał się cicho, wskazując czubkiem kija. Nie musiał nic mówić. Kopyta tysięcy koni zostawiły wyraźne tropy na piasku. Były świeże, jeszcze się nie osypały; w skośnych promieniach słońca zalegały w nich śmiałe niebieskie cienie.

Penrod podniósł głowę, patrząc na nierówne, poszarpane szczyty. Ostre jak kły sędziwego krokodyla, odcinały się od jasnego nieba. Nagle coś poruszyło się wśród skał, przykuwając jego uwagę. Maleńka kropeczka zlewała się z tłem niczym pchła na brzuchu czarnego kota.

Ze skórzanej sakwy wyjął małą lunetę i nastawił ostrość. Wtedy ujrzał głowę obserwującego ich człowieka. Czarny turban i czarna broda stapiały się ze skałami. Odległość nie pozwalała dostrzec rysów twarzy, ale zobaczył, jak mężczyzna odwrócił się, być może wydając rozkazy tym, którzy kryli się z tyłu. Obok pojawiła się druga głowa, a zaraz potem rząd innych, podobny do koralików nanizanych na sznurek.

Penrod opuścił lornetkę i otworzył usta, żeby wykrzyknąć ostrzeżenie, ale w tej chwili powietrze zadrżało od łoskotu wojennych bębnow i echo odbiło się od skalnych ścian. Wojsko Mahdiego jakby za sprawą czarów ukazało się jednocześnie na wszystkich półkach, galeriach i graniach wąwozu. Pośrodku na najwyższej iglicy stał mężczyzna w białej dżibbie, która skrzyła się w słońcu, i w turbanie o barwie ciemnej szmaragdowej zieleni. Uniósł karabin i wycelował w niebo. Szary dym rzygnął wysoko w powietrze jak oddech kaszalota, a parę sekund później poniósł się huk wystrzału. Potężny okrzyk wyrwał się z gardeł derwiszów: — La ilaha illallah! Jest tylko jeden Bóg! Rozeszło się echo: — Bóg! Bóg! Bóg!

Trąbka w brytyjskim czworoboku zagrała dziką fanfarę. Żołnierze zareagowali z płynną, wyćwiczoną precyzją. Wielbłądy ukłękły w uporządkowanych liniach, tworząc zewnętrzne szańce tej żywej fortecy. Juczne zabrano na środek czworoboku, gdzie zbiły się gęsto, tworząc wewnętrzną twierdzę. Strzelcy szybko zdjęli z wielbłądów karabiny maszynowe Nordenfelta i zanieśli je w narożniki, skąd mogli osłaniać ogniem skrzydłowym wszystkie boki kwadratu. Generał Stewart i jego sztab stanęli tuż za frontową ścianą. Obok nich przyklękli łącznicy, gotowi na rozkaz generała popędzić do narożników.

Martwa cisza zapadła nad zgromadzeniem wojowników. Derwisze patrzyli na nich z góry i wydawało się, że czas stanął w miejscu. Potem jeździec wyjechał z kamienistego ujścia wadi. Zatrzymał się na skraju zasięgu karabinu naprzeciwko czworoboku. Podniósł ombeja, zakrzywioną trąbę z kości słoniowej, i czysty, głęboki dźwięk rozszedł się wzdłuż urwiska.

Z ujść wszystkich wadi i dolin wylała się rzeka derwiszów, szereg płynął za szeregiem, tysiąc za tysiącem. Jechali na koniach i wielbłądach w luźnych szwadronach, ustawiając się naprzeciwko niewielkiego czworoboku. Nieliczni byli ubrani albo uzbrojeni w ten sam sposób; mieli lance i włócznie, topory i skórzane puklerze, strzelby i muszkiety Jezail, i straszne, długie miecze. Bębny znów zagrzmiały w powolnym, miarowym rytmie i szeregi derwiszów ruszyły do przodu.

— Czekajcie na nich, chłopcy. — Sierzanci przechadzali się za plecami żołnierzy.

— Nie strzelać, panowie.

— Bez pośpiechu. Starczy dla wszystkich. — Głosy brzmiały spokojnie, prawie żartobliwie.

Rytm bębnow przyspieszył i rzędy derwiszów ruszyły kłusem, ansarowie przepychali się, żeby jako pierwsi dotrzeć do celu. Zbite, dzikie, pędzące coraz szybciej masy zdawały się wypełniać dno doliny. Bębny łoskotały, kopyta dudniły. Pył wznosił się w duszących wyziewach. Okrzyki wojenne brzmiały przeraźliwie.

— Spokojnie, chłopcy, spokojnie! — padały słowa w angielskim języku, odpowiadając chłodno na pogańskie wrzaski.

— Nie strzelać, koledzy! — Penrod rozpoznał czysty, chłopięcy głos Percy'ego Stapletona, który wołał do swojego plutonu. Z trudem powściągał własną niecierpliwość. — Spokojnie, Niebiescy!

Pętał myśli, że to wyścigi łodzi. Penrod uśmiechnął się do siebie. Bębny huczały frenetycznie, ombeja piszczwały i szłochały. Jak wezbrana woda z pękniętej tamy, jazda derwiszów runęła na brytyjski czworobok.

— Gotuj się! Ruchoma salwa, chłopcy! — krzyknęli sierzanci.

— Jak w regulaminie, chłopaki. Pamiętajcie o drylu!

— Ruchome salwy! I niech każda kula trafi do celu!

Penrod obserwował szejka na smukłym rudym wielbłądzie.

Wysforował się spory kawałek przed pierwsze szeregi. Wrzeszczał, szeroko otwierając usta, pokazując czarną szczerbę między przednimi zębami. Sto jardów dzieliło go od czworoboku, potem siedemdziesiąt, potem pięćdziesiąt, i zbliżał się dzikim galopem. Trąbka zadzwieczała słodko i wysoko.

— Ruchome salwy! Pierwszy szereg, ognia!

Nastąpiła krótka pauza, charakterystyczna dla doskonale wyszkolonych żołnierzy, gdy każdy z nich brał cel. Penrod zdecydował się na szczerbatego szejka. Huknęła ogłuszająca palba. Pierwszy szereg szarżujących jeźdźców zatrząsł się z szoku. Szczerbaty szejka dostał ciężką kulą prosto w pierś i spadł z wysokiego siodła. Wielbłąd zwolnił, skręcił i zderzył się z dwoma końmi galopującymi za nim, jednego powalając na ziemię.

— Drugi szereg, ruchoma salwa! Ognia! — Znów huknęły karabiny. W szeregach derwiszów powstał chaos. Spłoszone zwierzęta bez jeźdźców miotały się we wszystkie strony. Brodaci wojownicy klęli, próbując przedrzeć się przez ten zamęt. Wierzchowce tratowały martwych i rannych. W tym momencie do panującego harmideru dołączył złośliwy jazgot nordenfeltów. Ich ogień zdusił szarżę. Jak barakuda ławicę sardynek, karabiny rozbiły derwiszów na małe, odizolowane grupy.

- Pierwszy szereg, ruchoma salwa! Ognia! — Powtórzono rozkazy. Żołnierze przeładowali, wycelowali i nacisnęli spusty z precyzją dobrze naoliwionej maszyny. Szarża zatrzymała się. złamała i ci, którzy przeżyli, bezładnie zawrócili w stronę urwisk. Ale zanim do nich dotarli, bębny i ombeja zaśpiewały: — Wracać! Dla Allaha i Mahdiego, wracać do boju!

Nowe szwadrony wypłynęły z rozpadlin, żeby uzupełnić zdziesiątkowane szeregi. Zbiły się, wołając do Boga, i ruszyły przez stratowane pole, na którym już leżało wielu ich towarzyszy. Szarżowali, żeby zrobić wyłom w brytyjskim czworoboku.

Ale brytyjski czworobok nie pękł. Sierzanci nadawali rytm tej regularnej palbie. Lufy karabinów maszynowych zaczęły jarzyć się jak podkowy w kuźni.

Osman Atalan powiedział Salidzie: „Trzeba nakarmić je trupami, żeby zapchać im pyski”.

Nordenfelty obżerały się ludzkim mięsem, krztusiły się nim i milkły jeden po drugim. Gdy ich jazgotanie ucichło, jazda derwiszów ruszyła prosto na gąszcz jasnych bagnetów. Uderzały w nią kolejne salwy. Ansarowie parli do przodu i ginęli, aż w końcu wyczerpała się ich odwaga i determinacja. Odstąpili, zawracając ku wzgórzom.

Salida patrzył z wysoka na nienaruszony czworobok. - To nie ludzie — powiedział — tylko dżinny. Jak człowiek może zabić diabła?

— Odwagą i mieczem — odparł Rufaar, jego najstarszy żyjący syn. Dwaj starsi zginęli w najazdach i plemiennych potyczkach, a jeden w zatargu o kobietę. Jego śmierć jeszcze nie została pomszczona.

Rufaar miał trzydzieści trzy lata, był dzieckiem z krwi wojownika. Mieczem zabił ponad pięćdziesięciu ludzi. Był taki jak ojciec w jego wieku: pełen nienasyconej żądzy krwi. Za nim stali trzej młodszy bracia, dzieci tych samych lędźwi.

— Pozwól mi poprowadzić następną szarżę, czcigodny ojcze — poprosił Rufaar. — Pozwól mi zgnieść tych zjadaczy świń. Pozwól mi wypalić ten ropiejący wrzód w sercu islamu.

Salida popatrzył na niego; widok syna ucieszył jego oczy.

— Nie! — Pokręcił głową. Krótkie przeczenie cięło głębiej niż miecz nieprzyjaciela. Rufaar skrzywił się z bólu. Osunął się na kolano i ucałował zakurzone stopy ojca.

— Nie proszę o inną nagrodę. Pozwól mi poprowadzić szarżę.

— Nie! — Salida odmówił drugi raz i twarz Rufaara pociemniała. — Nie postawię cię na czele, ale możesz jechać po mojej prawicy. — Oczy syna pojaśniały. Poderwał się z klęczek i uściskał ojca.

— A my? — Pozostali trzej synowie dołączyli do chóru. — Co z nami, umiłowany ojcze?

— Wy, szczeniaki, możecie jechać za nami. — Salida popatrzył na nich groźnie, żeby ukryć prawdziwe uczucia. — Może się zdarzy, że Rufaar i ja rzucimy wam ochłapy z tej uczy. Przeprowadźcie mojego wielbłąda.

Noszowi! — Okrzyk dobiegał z pół tuzina miejsc w ścianie czworoboku, gdzie żołnierzy trafił przypadkowy ogień derwiszów. Rannych szybko zaniecono na środek, a luki zamknięto. Lekarze operowali w kurzu i rojach much, z rękawami podwiniętymi do łokci, a krew szybko krzepła w upale. Ranni, którzy mogli utrzymać się na nogach, wracali w bandażach na stanowiska.

— Nosiwody! — Krzyk obiegnął niewielki czworobok. Chłopcy przybiegli z bukłakami i wstrzykiwali wodę do pustych, okrytych filcem manierek.

— Amunicja! — Kwatermistrzowie przesuwali się wzdłuż boków kwadratu, rozdając tekturowe pudełka.

Strzelcy mozolili się, próbując odblokować karabiny maszynowe. Wylewali cenną wodę, żeby ostudzić lufy. Woda parowała w syczących chmurach, a metal trzeszczał i pojękiwał. Ale mechanizmy zakleszczyły się i nawet nie drgnęły, choć obsługa nie szczędziła sił.

Nagle w samym środku tej gorączki odezwała się trąbka.

— Gotuj broń! — krzyknęli sierżanci.

— Wracają. — Jazda derwiszów wyjeżdżała z fortecy wzgórz. Jak wielka fala narastająca na płyciźnie, ustawiała się wzdłuż podnóża, przodem do czworoboku.

— Oto twój wróg — mruknął Penrod do Jakuba. Pośrodku szeregu łopotał czerwony sztandar, niesiony przez dwóch podrostków.

- Tak. — Jakub pokiwał głową. — Tam jest Salida w błękitnym turbanie. A ten parszywy szakał obok to jego syn Rufaar. Jego też muszę zabić. Dwóch młodszych bękartów trzyma sztandar. Zabicie ich przyniesie mi honor nie większy niż zgniecenie pcheł między paznokciami, ale trzeba to zrobić.

— W takim razie mamy dużo roboty. — Penrod uśmiechnął się, otwierając następne pudełko z nabojami i napełniając pętelki bandolieru.

— Salida to chytry stary szakał — mruknął Jakub. — Na słodki oddech Proroka, szybko się uczy. Zobaczył, jak odparliśmy pierwszą szarżę. Patrz! Umocnił środek.

Penrod wiedział, o co mu chodzi. Salida zmienił szyk. Linia nie była równa. Na flankach rozmieścił tylko dwa rzędy, a w środku utworzył młot, zбитy węzeł sześciu zwartych szeregów.

Po drugiej stronie czworoboku generał sir Herbert Stewart przez lornetkę przyglądał się emirowi.

— Stary i słaby.

— Stary, ale nie słaby, panie generale — zapewnił go Har-dinge. — Z pięćdziesięcioma ludźmi poprowadził szarżę, która rozbiła Egipcjan Valentine'a Bakera pod Suakinem. Zdarzyło się to niespełna dwa lata temu. Stary pies jeszcze nie stracił zębów.

— W takim razie trzeba mu je wyrwać.

— Nadciąga, panie generale.

— W istocie — zgodził się Stewart.

Szeregi derwiszów ruszyły, konie szły stępem, wielbłądy kroczyły dostojnie, mężczyźni na ich grzbietach potrzęsali bronią i wyśpiewywali okrzyki wojenne. Za nimi wlokły się tumany pyłu. Pokonali połowę drogi i ruszyli galopem. Pędzili skupieni jak zaciśnięta pięść. Ziemię już zaścielały

trupcy leżące gęsto niczym płatki pod wiśniami w sadzie. Na różnokolorowych dziłbach widniały świeższe, ciemniejsze łaty, nad którymi już krążyły chmary niebieskich much. Grzmot szarży wstrząsał ziemią. Kopyta pierwszego szeregu tratowały zwłoki, rozrzucając skrwawione stopy. Jeźdźcy nie poświęcali im jednego spojrzenia.

Salida jadący pośrodku pochylił się na siwym wielbłądzie. Strzelbę wciąż trzymał pod kolanem i wymachiwał ciężkim mieczem jak zabawką. Nie krzyczał, oszczędzając oddech przed ważnym zadaniem. Jego twarz miała ekstatyczny wyraz, a śluzowata wydzielina z przekrwionych oczu spływała po policzkach na srebrnoszarą brodę. Stanowił oczywisty cel dla czekających karabinów. Huknęła pierwsza salwa, ludzie i zwierzęta runęli na ziemię. Ale Salida i jego synowie nie ponieśli szwanku. Ansarowie z tylnych szeregów wysunęli się, wypełniając luki, i wtedy huknęła następna salwa, a po niej kolejna. Jednakże Salida jechał dalej.

Na lewym skrzydle karabin maszynowy siekł kulami front szarży derwiszów. Zaraz potem zakleszczył się i umilkł. Martini-Henry strzelały unisono, zachowując swój straszny, niespieszny rytm. Trafione wielbłądy z rykiem osuwały się na ziemię. Konie wierzgały, stawały dęba i przewracały się na grzbiet, miażdżąc jeźdźców. Ale na front podjeżdżali derwisze z tylnych szeregów, utrzymując impet szarży. Salida zbliżył się na dwadzieścia stóp do żywego muru, gdzie każda poprzednia szarża załamywała się i zawracała. Rufaar dotykał kolanem jego kolana, młodszy synowie jechali równie blisko. Choć trzy pierwsze szeregi młota zostały zdziesiątkowane, odważni ludzie wciąż parli do przodu, żeby rozbić kruchy mur czworoboku.

— Tym razem przełamiemy szeregi tych psów — zaśmiał się Rufaar.

A jednak linia brytyjska nie została rozerwana. Ustąpiła trochę, jak zgięta klinga z damasceńskiej stali, ale nie pękła. Derwisze zalali pierwszy szereg niczym fala uderzająca w rafę koralową. Żołnierze padali pod ciosami mieczy i gradem kul wystrzeliwanych z grzbietów wielbłądów. Młot Salidy stopniowo tracił impet. Zwolnił i zatrzymał się, wytraciwszy ciężar i furję na drugim szeregu. Rośli mężczyźni w przepoconych bluzach khaki zatrzymali ich, a potem odrzucili.

Kawaleria derwiszów zawróciła w kierunku urwisk.

Salida chwiał się w siodle. Bagnet wbił się głęboko ponad kością biodrową. Spadłby z wielbłąda, gdyby Rufaar nie objął go ramieniem, prowadząc do schronienia w wadi.

— Jesteś poważnie ranny, ojczu. — Chciał zsadzić go z wierzchowca.

— Bitwa dopiero się zaczęła. — Salida odepchnął rękę syna. — Pomóż mi owiązać to draśnięcie, a potem pojedziemy i dokończymy zadanie wyznaczone nam przez Boga i Mahdiego.

Jego własnym niebieskim zawojem okręcili ranę tak mocno, że krew przestała płynąć. Opatrunek usztywnił mu plecy, więc znów mógł siedzieć wyprostowany w siodle.

- Bić w bębny! — rozkazał Salida. — Zadać w ombeja\ Wracamy!

Osman Atalan podjechał na Słodkiej Wodzie, Hulu Majja. Oddział jego Bedżów czekał w odwodzie, gotów do jazdy i czynu, kiedy Salida i jego Dżaalinowie przerwą żywy mur czworoboku.

- Czcigodny i waleczny emirze, dokonałeś więcej niż wszyscy inni przed tobą. Pozwól teraz mnie i moim Bedżom dokończyć dzieła, które tak dobrze zaczęłeś.

— Ja uczynię wyłom — odparł Salida stanowczo. — Ty możesz podążyć za mną, jak uzgodniliśmy.

Osman popatrzył w nawiedzoną twarz starca i zrozumiał, że dyskusja nie ma sensu. Jeśli będą zwlekać choćby przez minutę, dotychczasowe wysiłki pójdą na marne. Brytyjski mur prawie pękł. Jeśli uderzą jeszcze raz w to samo miejsce, może osiągną cel.

— Jedź zatem, szlachetny emirze. Podążę zaraz za tobą.

Cała armia derwiszów, dwie pełne dywizje, wylała się z za wzgórz i ruszyła na niewielkie

skupisko ludzi na otwartej równinie. Na czele jechał starzec w zakrwawionej dżibbie, z gołą głową, z szarymi włosami spływającymi na ramiona. Jego oczy lśniły gorączkowo, jak oczy świętego lub szaleńca.

Panowie — Stewart zwrócił się do swojego sztabu — przeniesiemy stanowisko dowodzenia na drugą stronę, żeby godnie przyjąć tych przemiłych gości. Nie spodziewałem się takiego ataku na naszą tylną ścianę. Wydaje się, że wracają po kolejną nauzkę. Ruszyli całą grupą, gdy podjechał Hardinge z meldunkiem.

— Derwisze wyrządzili trochę szkód w czasie ostatniej szarży.

— Straciliśmy pięćdziesięciu pięciu ludzi. Trzech oficerów zginęło — Elliot, Cartwright i Johnson. Dwaj inni odnieśli rany.

— Amunicja?

— Zapas jest duży, ale wszystkie cztery nordenfelty są wyłączone z akcji.

- Cholerny złom. Prosiłem o gatlingi. Co z wodą?

- Kończy się, panie generale. Musimy dotrzeć do studni przed zmierzchem.

— Taki mam zamiar. — Stewart wskazał na zmasowaną jazdę derwiszów, rozciągniętą u stóp wzgórz. — Wygląda na to, że zaatakują pełną siłą. Ostatni desperacki rzut kości. Proszę przekazać pozostałym trzem bokom, że mają przygotować ćwierćkolumny stojące w odwodzie. Na wszelki wypadek, gdyby ci goście wdarli się do środka.

— Nie wedrą się, panie generale.

— Oczywiście, że nie, ale ćwierćkolumny mają czekać w pogotowiu.

W ciągu tej bitwy derwisze atakowali północną ścianę czworoboku. Ludzie z pozostałych trzech stron odparli tylko jedną, pierwszą szarżę. Teraz wydawali się niespokojni i sfrustrowani w obliczu nowego zagrożenia. Sierzanci ruszyli wzdłuż szeregów, wyznaczając co czwartego żołnierza do odwodu. Gdyby wróg przerwał któryś bok, nie wolno było dopuścić, żeby czworobok zapadł się do środka. Pozostałe boki musiały stać pewnie, podczas gdy ćwierćkolumny spieszyły zamknąć lukę i naprawić przerwana ścianę. Zanim się przygotowali, ryknęły ombeja i bębny wojenne zadudniły w gorączkowym rytmie. Jazda derwiszów ruszyła do ataku.

Nie mając żołnierzy pod swoją komendą, Penrod znalazł czas, żeby zmrużyć oczy i zmierzyć wysokość słońca. Już po południu, pomyślał ze zdumieniem. Bawimy się od ponad trzech godzin.

— Jeśli ja nie dopadnę Salidy, zabije go ktoś inny — denerwował się Jakub.

— Nie ma mowy, łagodny Jakubie. — Penrod podniósł hełm, otarł czoło chustką i nałożył hełm pod zawadiackim kątem. Patrzył przed siebie, gdy grzmot kopyt i głosy Arabów zlewały się w ogłuszającą uverturę bitwy. Jazda zbliżała się do czworoboku.

— Pierwszy szereg, ruchome salwy! Ognia! — Sierzanci zaczęli swoją pieśń i w regularnych odstępach czasu grzmiała zmasowana palba. Szeregi derwiszów drżały, darte ogniem karabinów, i ich tempo zmalało pod wpływem tej strasznej młócki, ale nie zatrzymali się, pokonali kilka ostatnich jardów i uderzyli w mur po raz drugi. Obie strony niczym wściekłe byki wzięły się za rogi, kołysały i napierały, dźgały i rąbały.

Brytyjczycy trochę ustąpili, ale potem odzyskali teren. Biali żołnierze wprawnie radzili sobie z bagnietami. Ich broń miała większy zasięg i była poręczniejsza od długich mieczy. Po raz drugi tego dnia dywizja Salidy zaczęła się załamywać. Żołnierze walczyli wręcz, niektórzy padali pod ciosami ciężkich mieczy krzyżowców, ale pozostali zwierali szeregi i powalali derwiszów jeszcze szybciej.

A potem na czele świeżego odwodu zza pleców ludzi Salidy nadjechał Osman Atalan i siła jego oddziału zaburzyła równowagę. Bedżowie pędzili jak lawina i nic nie mogło ich zatrzymać.

— Wdarli się! - - Wzdłuż brytyjskich szeregów przemknął przerażony okrzyk. Stało się to, co

było nie do pomyślenia. Brytyjski czworobok pękł. Derwisze niczym lawa włali się do środka. Zepchnęli linię żołnierzy i zapanował chaos, ludzie kotłowali się jak zawodnicy w czasie meczu rugby. Odizolowani żołnierze padali i umierali pod ostrzami derwiszów albo pod kopytami tratujących ich wierzchowców.

— Jest tylko jeden Bóg! — krzyczeli agadżerowie, zabijając bez końca.

Impet szarzy Atalana rozbił północny mur na kilkusobowe grupy. Gdy żołnierze się wycofywali, Penrod wybiegł im na spotkanie i zbierał pod swoimi rozkazami.

- Do mnie, chłopcy! Plecy w plecy, ramię przy ramieniu! -wrzeszczał.

Podporządkowali się i wywalczyli sobie drogę do niego. Skupili się, tworząc spójną całość, kłującego jeża bagnatów w szalejącym dokoła zamęcie.

Inni oficerowie także zbierali rozproszonych żołnierzy. Hardinge zebrał tuzin i dołączył do Penroda. Dwa małe jeże przemieniły się we wściekłego jeżozwierza grzechoczącego stalowymi kolcami.

Arab na wysokim czarnym wielbłądzie runął na nich i zanim go powalili, przeszył lancą brzuch Hardinge'a. Oficer upuścił szablę i oburącz chwycił drzewce. Arab trzymał z drugiej strony. Hardinge jednym ruchem wysadził go z siodła. Upadli razem w plątaninie kończyn. Penrod podniósł szablę i wbił sztych między łopatki derwisza. Hardinge chciał się podnieść, ale grot lancy tkwił głęboko w jego trzewiach. Daremnie próbował go wyciągnąć. Opadł na kolana, skłonił głowę i zamknął oczy, trzymając drzewce w obu rękach.

Penrod stanął przed nim, żeby go chronić, a żołnierze zajęli miejsca po bokach. Penrod pomyślał, że dobrze znów poczuć w ręce porządną szablę. Klinga, cudownie wyważona i zahartowana, zbudziła się do życia w jego dłoni. Nadszedł następny derwisz, wymachując mieczem nad głową. Penrod przyjął ciężką głównię w naturalnej linii i zmienił jej kierunek. Ostrze rozcięło mu rękaw, ale nie skaleczyło skóry. Zanim derwisz się spostrzegł, Penrod pchnął go sztychem w gardło. Miał chwilę, żeby rzucić okiem przez ramię: jego mała grupa trzymała się mocno. Ostrza bagnatów i ramiona żołnierzy poczerwieniały od arabskiej krwi.

— Naprzód, chłopcy! — zawołał do nich. — Zamknąć wyłom!

— Dalej, chłopaki! Trzeba odeprzeć tych gości! — rozległ się znajomy pisk przy jego łokciu. Percy Stapleton zgubił hełm, kędzierzawe włosy miał ciemne od pyłu i potu, ale szczyrzył zęby jak obłąkana małpa. Wprawnie ciął i pchnął szablą kolejnego derwisza, a potem przeszył mu pierś. Penrod natychmiast zrozumiał, że Percy jest urodzonym szermierzem. Kiedy derwisz zamachnął się mieczem, mierząc w jego kolana, chłopak bez wysiłku przeskoczył nad głównią i ciął go w szyję, niemal odcinając mu głowę. Mężczyzna upuścił miecz, chcąc poderwać rękę do gardła. Percy dobił go trzecim ciosem.

— Dobra robota, żołnierzu. — Penrod okazał umiarkowany podziw.

— Jest pan zbyt uprzejmy, kapitanie. — Percy odgarnął włosy z oczu i obaj rozejrzeli się, szukając następnych przeciwników.

Nagle szarża derwiszów wytraciła pęd, zwolniła i zawahała się, jeszcze raz ruszyła do przodu, a wtedy napotkała klęczące wielbłądy juczej karawany i stanęła w miejscu. Dwie strony zwały się i opierały jedna o drugą jak zmęczeni bokserzy w dziesiątej rundzie, zbyt wykończeni, żeby zadać ostateczny cios.

— Ćwierćkolumny, naprzód! — Generał Stewart przejął dowodzenie nad odwodem w tej krytycznej chwili, kiedy wszystko ważyło się na ostrzu noża. Ruszyli za nim. Z szablą w ręce, generał kroczył na długich nogach jak marabut. Poprowadził ich wokół bastionu klęczących wielbłądów i zaszedł derwiszów od lewej flanki. Rozproszone grupy zmęczonych brytyjskich żołnierzy na ten

widok z nowym duchem rzuciły się do walki. Rozerwany czworobok zaczął się kurczyć i naprawiać rozdarcie w zewnętrznym poszyciu.

Osman Atalan wiedziony instynktem wojownika rozpoznał chwilę, w której bitwa została przegrana. Zawrócił klacz i wraz ze swoimi agadżerami wyrąbał sobie drogę, zanim zamknęły się szczęki pułapki. Pogalopowali ku bezpiecznym wzgórzom, zostawiając Salidę i jego synów zamkniętych w czworoboku.

Salida wciąż siedział na wielbłądzie, ale rana nad biodrem otworzyła się i krew ściekała mu po nogach. Twarz miał żółtą jak błoto siarkowego źródła, a miecz wypadł z drżącej dłoni. Rufaar usiadł za nim, objął go w pasie i trzymał na skaczącym dziko, przestraszonym zwierzęciu. Salida był półprzytomny z upływu krwi i szoku, gdyż widział, jak jego młodszy synowie zginęli od brytyjskich bagnetów. Wypatrywał ich w oszołomieniu, ale okaleczone ciała zniknęły pod tratującymi kopytami.

Jakub dostrzegł lukę w szeregach derwiszów, gdy odwrócili się na spotkanie z odwozem Stewarta.

— Mam prywatne sprawy do załatwienia, efendi! — zawołał do Penroda, który wraz z Percym Stapletonem rozprawiał się z trzema kolejnymi oszalałymi derwiszami. Kapitan nie zwrócił na to uwagi.

Biegając w stronę wierzchowca Salidy, Jakub wyrwał miecz z ręki martwego Araba. Zwierzę wierzgało i skakało, ale Jakub uniknął kopyt, które mogły zadać śmiertelny cios. Chwycił miecz oburącz, zrobił potężny zamach i przeciął ścięgna w zadniej nodze. Wielbłąd ryknął i zaczął uciekać na trzech nogach, ale Jakub podciął mu drugą pęcinę. Okaleczone zwierzę przysiadło na zadzie. Salida i Rufaar spadli z jego grzbietu. Rufaar trzymał ojca i próbował złagodzić upadek, gdy obaj runęli na ziemię tuż przy stopach Jakuba.

Rufaar podniósł głowę i rozpoznał go.

— Jakub bin Affar! — zawołał, a gorzka nienawiść waśni wyostrzyła jego głos. Ponieważ wciąż obejmował ojca, nie mógł się bronić.

— Mój wróg! — krzyknął Jakub i wbił ostrze po samą rękojeść w pierś przeciwnika. Zostawił miecz i wyciągnął sztylet. Chwycił w garść srebrną brodę Salidy i odgiął mu głowę do tyłu, odsłaniając gardło. Nie uderzył w tchawicę, tylko przeciągnął ostrym jak brzytwa skrajem z boku pomarszczonej szyi. Przeciął arterię pod uchem. Nawet nie próbował uniknąć strumienia jasnej krwi, która trysnęła mu na rękę i ramiona.

- Została pomszczona — wyszeptał, wycierając krew z czoła. Nie wypowiedział imienia siostry, gdyż była dziwką i wielu dobrych mężczyzn umarło z jej powodu. Puścił brodę emira, który osunął się twarzą na ziemię. Zostawił go obok syna i wrócił do Penroda. Przerwa w brytyjskim czworoboku zamknęła się i derwisze zostali uwięzieni niczym rybka w mackach ukwiału. Ale nie prosili o łaskę. Męczeńska śmierć prowadziła do wiecznego życia, toteż witali ją z radością. Ludzie Stewarta wiedzieli, że wróg się nie podda. Jak jadowity wąż z przetrąconym karkiem miał kąsać wyciągniętą rękę, choćby kierowała nią litość.

Żołnierze nie ustawiali w niebezpiecznej, krwawej robocie, niezmordowanie wymachując szablami i bagnetami. Derwisze walczyli do ostatniego tchu, każdego trzeba było otoczyć i powalić. Rzeź trwała przez całe popołudnie.

Nawet kiedy wydawało się, że jest po wszystkim, zagrożenie nie przeminęło. Wśród zwalów trupów kilku ansarów udawało martwych, szykując się do skoku na nieostrożną ofiarę. Brytyjczycy stracili jeszcze pół tuzina ludzi, zanim generał Stewart dał rozkaz wymarszu. Zabrali ofiary rzezi, a było ich wiele. Nieśli dziewięćdziesięciu czterech rannych i siedemdziesięciu czterech martwych owiniętych w koce, gdy maszerowali w kierunku palmowego gaju Abu Klea na granicy równiny.

Wśród palm zbudowali zasiek i pogrzebali poległych, układając ich w rzędach w płytkim wspólnym grobie wykopanym pospiesznie w piaszczystej glebie. Był wieczór, kiedy Penrod odszukał Hardinge'a w szpitalnym biwaku.

— Przyszedłem oddać broń, panie majorze. — Wyciągnął piękną szablę.

— Dziękuję, Ballantyne — wyszeptał Hardinge słabo. — To prezent od mojej żony. — Twarz miał bladą jak wosk. Przenieśli jego nosze bliżej ognia, bo skarżył się na chłód. Z trudem podniósł rękę i dotknął broni, jakby na pożegnanie. — Wątpię, czy będę miał z niej pożytek. Proszę ją zatrzymać i używać tak jak dzisiaj.

— Nie mogę, panie majorze. Pomaszeruje pan z nami do Chartumu — zapewnił go Penrod, ale Hardinge bezwładnie opadł na nosze.

— Nie sędzę — mruknął. Miał rację: skonał przed wschodem słońca.

Ludzie byli zbyt wyczerpani, żeby podjąć marsz. Stewart, choć nie dawały mu spokoju myśli o człowieku czekającym samotnie na nich w Chartumie, nie mógł jeszcze bardziej forsować żołnierzy. Dał im całą noc i rano na odzyskanie sił. Odpoczywali do południa w skąpym cieniu gaju palmowego wokół źródła. Woda była brudna, słona niemal jak morska. Zaparzyli czarną herbatę, do której zużyli resztę cukru.

W południe, choć skwar był nieznośny, generał nakazał wymarsz. Nie śmiał już dłużej zwlekać. Załadowali ciężko rannych na wielbłądy i ruszyli na znak dany przez trębacza. Maszerowali przez spieczoną ziemię do końca dnia, a potem przez całą noc. Do wschodu słońca pokonali dwadzieścia trzy mile. Wreszcie się zatrzymali. Nie mogli kontynuować marszu. Byli kompletnie wyczerpani. Zostało tylko po kilka kubków wody na głowę. Nawet wielbłądy nie mogły iść, choć czuły już zapach rzeki. Ranni znajdowali się w rozpaczyliwym stanie. Stewart wiedział, że straci większość z nich, jeżeli nie da im wody. Posłał gońca po Penroda.

— Ballantyne, potrzebna mi pańska znajomość terenu. Jak daleko do rzeki?

— Jesteśmy bardzo blisko, panie generale, około czterech mil. Zobaczy pan rzekę z następnego wzniesienia.

- Cztery mile — mruknął Stewart. Popatrzył na wyczerpanych żołnierzy. Pokładał w nich wielkie nadzieje, ale cztery mile równie dobrze mogły być całą setką. Chciał znów przemówić, lecz Penrod go ubiegł: — Proszę spojrzeć, generale.

Na grzbiecie, który odgradzał ich od rzeki, pojawiła się grupa około pięćdziesięciu derwiszów. Wszyscy oficerowie sięgnęli po lunety. Penrod natychmiast rozpoznał sztandar Osmana Atalana. W środku grupy dostrzegł wysokiego, szczupłego mężczyznę na kremowej klaczy.

— Nie ma ich zbyt wielu — zauważył sir Charles Wilson, zastępca Stewarta, ale ton zdradzał powątpiewanie. — Powinniśmy zmieść ich bez większego wysiłku. Nie przypuszczałem, że starczy im śmiałości, by znów nas nękać. Nie po nauczce, jaką daliśmy im przy źródłach.

Penrod był innego zdania. Chciał powiedzieć, że Atalan jest przebiegłym taktykiem i w porę wyprowadził swoich ludzi z przegranej bitwy pod Abu Klea. W czasie wczorajszego dnia i nocy jego zwiadowcy szli jak cienie za znękanym brytyjskim czworobokiem, czekając na chwilę, kiedy żołnierzom zabraknie sił i wiary, a zmęczone wielbłądy odmówią posłuszeństwa. Z wysiłkiem pohamował się od komentarza.

— Ma pan jakieś uwagi, Ballantyne? — Stewart nie oderwał lunety od oka, ale był świadom jego reakcji.

— Tam, na kremowym koniu, siedzi sam Osman Atalan. Myślę, że ma znacznie więcej ludzi. W Abu Klea poniósł względnie niewielkie straty. Jego dywizje są prawie nietknięte.

— Prawdopodobnie ma pan rację.

— Po prawej widać chmurę pyłu. — Penrod wyciągnął rękę.

Wszystkie lunety zwróciły się w tamtą stronę. Grupa kilkuset jeźdźców pojawiła się na wzgórzu. Potem tuman wzbił się po lewej. Liczba jeźdźców szybko zwiększyła się od pięćdziesięciu do tysiąca. Posępne szwadrony stały na drodze do Nilu.

Stewart opuścił i złożył lunetę. Popatrzył prosto na sir Charlesa Wilsona.

— Proponuję zostawić tutaj tabor i rannych z pięciuset ludźmi do ochrony. Następnie lotna kolumna złożona z osmiuset czy dziewięciuset najsprawniejszych żołnierzy spróbuje przebić się do rzeki.

— Wielbłądy są zajęzione, panie generale — zaproponował Wilson. — Nie damy rady.

— Jestem tego świadom — odparł Stewart oschle. Osobiście uważał swojego zastępcę za człowieka, który potrafi wywęszyć gówno w grządce róż. — Zostawimy wielbłądy z rannymi i ruszymy pieszo. — Zignorował wstrząśnięte miny oficerów sztabu i popatrzył na Penroda. — Ile potrzebuje pan czasu, Ballantyne, żeby doprowadzić nas do rzeki?

— Bez rannych i taboru dwie godziny, panie generale — odrzekł Penrod z przekonaniem, jakiego wcale nie czuł.

— Dobrze. Dowódcy kompanii wybiorą najsilniejszych, najsprawniejszych ludzi. Wymarsz za czterdzieści minut, punktualnie o piętnastej.

Co to za ludzie? — zapytał al-Nur ze zdumieniem, gdy z końskich grzbietów patrzyli, jak uszczuplony brytyjski czworobok wymaszerowuje z zagajnika. — Nie mają zwierząt ani wody, a jednak idą dalej. Na święte imię Boga, co to za ludzie?

— Potomkowie tych, którzy osiemset lat temu pod Jerozolimą walczyli z naszym przodkiem Saladynem, Sprawiedliwym Wiary — odparł Osman Atalan. — To ludzie spod znaku czerwonego krzyża, jak dawni krzyżowcy. Ale są tylko ludźmi. Popatrzcie na nich i wspomnijcie bitwę pod Hittinem.

— Zawsze musimy pamiętać o Hittinie — zgodzili się agadżerowie.

— Pod Hittinem Saladyn wciągnął w pułapkę wyczerpaną, oszalałą z pragnienia armię i zmiotł ją jednym uderzeniem. Niewierni ponieśli tak wielkie straty, że wydarł z ich skrwawionych rąk całe królestwo Jerozolimy, które zagarnęli wiernym i trzymali przez osiemdziesiąt osiem lat. — Osman Atalan stanął w strzemionach i sztychem miecza wskazał kamienistą szarą równinę. — To nasze Hittin. Przed zachodem słońca zetrzemy tę armię. Nikt żywy nie dotrze do rzeki. Ku chwale Allaha i Mahdiego! Agadżerowie wyciągnęli miecze.

- Zwycięstwo należy do Boga i Mahdiego! — krzyknęli.

Gdy przemierzający się niespiesznie brytyjski czworobok ruszył po łagodnie nachylonym stoku w ich kierunku, derwisze zniknęli za grzbietem. Brytyjczycy posuwali się z mazołem. Zatrzymywali się co kilkaset jardów, żeby przywrócić porządek w łamiących się szeregach i zaczekać na maruderów. Nie mogli ich zostawić, bo padliby ofiarą kastrujących noży. Potem znowu ruszali dalej. W czasie jednego z tych postojów Stewart posłał po Penroda.

— Co leży za tym pasmem? Proszę opisać teren.

— Z grzbietu zobaczymy leżące na tym brzegu miasteczko Metemma — odparł Penrod. — Nad stromym brzegiem Nilu ciągnie się szeroki na jakieś pół mili pas gęstych krzaków i wydm.

- Boże, błagam, daj nam zobaczyć również parowce Gordona cumujące przy brzegu, żeby zabrać nas do Chartumu. — Gdy Stewart skończył mówić, grzbiet przed nimi uległ przeobrażeniu. Całą jego długość usiały białe obłoczki dymu, jakby dojrzałe torebki bawełny otwierały się w gorącym słońcu. Kule Boxer-Henry zaczęły świstać wokół nich, orząc czerwoną ziemię i odłupując białe kawałki kwarcu.

- Odpowiedzieć ogniem, generale? - zapytał Wilson. -Oczyścić grzbiet, zanim ruszymy?

- Nie ma czasu. Musimy iść dalej — warknął Stewart. -Powiadomić dudziarza.

Osobisty dudziarz sir Herberta Stewarta podobnie jak jego pan był szkockim góralem. Nosił klanowy tartan i beret, przekrzywiony pod zawadiackim kątem, ze wstążkami zwisającymi na plecach.

- Zagraj nam dobrą marszową melodię — rozkazał Stewart.

— Drogę na wyspy, panie generale?

— Znasz moje ulubione, prawda, młody Patricku Duffy?

Dudziarz wysunął się na dwadzieścia kroków przed przednią ścianę czworoboku i z jego dud popłynęła dzika, dziwaczna muzyka, która rozpalała bojowy zapach w sercach słuchających jej ludzi. Kule gwizdały, co parę minut padał człowiek. Towarzysze podnosili każdego i nieśli. Strzelcy derwiszów wycofali się przed nadciągającym czworobokiem i w końcu na grzbiecie zapadła cisza. Żołnierze maszerowali ku szczytowi.

Nagle bębny ukryte po drugiej stronie zahuczały basowo, aż zadrżało powietrze. Potem mogło się zdawać, że ziemia solidaryzuje się z nimi. W grzmocie kopyt na tle nieba ukazała się jazda Bedżów.

Czworobok zatrzymał się i zwarł szyki. Jeźdźcy cofnęli się, odrzuceni przez pierwszą salwę. Zdziesiątkowani przez drugą i trzecią, zawrócili galopem.

Żołnierze podnieśli rannych towarzyszy i znowu ruszyli do przodu. Zagrzmiała następna szarża Bedżów, bębny dudniły, om-beja wrzeszczały. Brytyjczycy położyli na ziemi rannych i martwych i utworzyli mur nie do przebycia. Szarża rozbiła się o niego i cofnęła jak fala odpływu. Zmęczeni żołnierze podjęli marsz. Przeszli nad ciałami derwiszów, kłując wszystkie bagnietami, żeby zapobiec zdradliwym samobójczym atakom wojowników, którzy mogli udawać martwych.

Wreszcie pierwszy szereg stanął na szczycie wzgórza. Chrapliwy okrzyk wyrwał się z suchych gardeł, żołnierze rozciągnęli w uśmiechach spękane, krwawiące usta. Przed nimi wił się szeroki nurt Nilu. Powierzchnia rzeki lśniła w słońcu jak tysiące wirujących srebrnych monet. Na drugim brzegu czekała mała flotylla parowców Gordona, żeby zabrać ich w górę rzeki do Chartumu.

Niektórzy żołnierze padli na kolana, ale dowódcy okrzykami poderwali ich na nogi. Penrod usłyszał krzyk jakiegoś podrostka: — Woda! Słodki Boże, woda! — Głos był stłumiony wskutek opuchniętego, fioletowego języka.

Kapral, który podtrzymywał młodego żołnierza, powiedział: — Manierki są puste, ale na dole jest woda, którą możecie pić do woli. Weź się w garść, chłopcze! Przyniesiemy wodę. Żaden czarnuch nas nie powstrzyma.

— Nie zatrzymywać się, chłopcy! — zawołał sierżant. — Najpierw musicie zmyć smród potu w tym strumyku.

Ci, którzy jeszcze mogli to zrobić, parsknęli śmiechem i wstąpił w nich nowy duch, gdy brnęli w kierunku Nilu. Przed nimi rozciągały się faliste niskie wydmy, ostatnia przeszkoda przed rzeką. Piasek miał wiele odcieni: cynamonowy i kasztanowy, fioletowobrazowy i czekoladowy. Zagłębienia pomiędzy wydmami były gęsto porośnięte cierniami i słonoroślami.

Za wydmami wzdłuż brzegu rozciągał się labirynt Metemmy.

Wąskie, kręte uliczki, chaty i rudery dochodziły do samej wody. Miasto było ciche i puste jak nekropolia.

— To miasto pułapka, panie generale. — Penrod nieśmiało wyraził swoje zdanie. — Może być pan pewien, że jest pełne derwiszów. Jeśli ludzie wejdą w te zaułki, zostaną porąbani na kawałki.

— Racja, Ballantyne — burknął Stewart. — Skierujmy się na otwartą przestrzeń poniżej miasta. — Derwisze wciąż strzelali ze szczytów wydm i z gęstych krzaków w dolinach. Generał zrobił krok i

okręcił się dokoła; trafiła go kula. Upadł jak połamana lalka. Penrod ukląkł obok niego i zobaczył, że ciężki pocisk uderzył w krocze i zmiażdżył główkę kości udowej. Odłamki kości sterczały z poszarpanego ciała, na którym pieniała się krew. Takiej rany nikt nie mógł przeżyć.

Stewart usiadł i wbił zaciśniętą pięść w ziejącą jamę.

— Dostałem! — zawołał nagłaco do sir Charlesa Wilsona. — Proszę przejąć dowodzenie i maszerować do rzeki. Nie może pan pozwolić, żeby coś stało wam na drodze. Niech pan prze do rzeki ze wszystkich sił.

Penrod chciał go podnieść.

— Do diabła, Ballantyne. Rób, co do ciebie należy, człowieku.

Zostaw mnie. Zaprowadź ich do rzeki. Musisz pomóc Wilsonowi.

Penrod wyprostował się. Dwóch krzepkich żołnierzy podbiegło do generała.

— Powodzenia, panie generale! — powiedział Penrod na pożegnanie. Przyspieszył, żeby dopędzić pierwszy szereg i poprowadzić żołnierzy przez wydmy.

Nie wyglądało na to, że w niskich zaroślach może ukryć się szwadron jazdy, ale gdy zeszli z grzbietu, w krzakach przed nimi zaroily się konie z jeźdźcami w łaciatych dżibbach. W ciągu paru sekund obie strony znów zwały się w dzikiej, krwawej walce. Za każdym razem, gdy żołnierze spychali wroga gradem kul, ansarowie przegrupowywali się i szarżowali ponownie. Żołnierze w pierwszym szeregu skłębionego czworoboku padali nie z ran, ale z wyczerpania i straszliwego pragnienia. Towarzysze podnosili ich i wlekli do przodu.

Okolone solą łaty potu na bluzach wyschły, bo ciała już się nie pociły. Żołnierze zataczali się jak pijani i resztkami sił dźwigali karabiny. Penrodowi ćmiło się w oczach i widział tylko niewyraźne, zamglone kształty. Wciąż mrugał, żeby poprawić widzenie, i za każdy krok płacił wysoką cenę.

Kiedy już się zdawało, że żaden śmiertelnik nie wytrzyma dłużej tej męki, gęste krzaki zatrzęsły się i zaszeleściły i wypadli z nich konni. Na czele jechała znajoma postać w zielonym turbanie. Sierść kremowej klaczy zmatowiała od potu, długa grzywa była zmierzwiona. Osman Atalan dostrzegł Penroda w pierwszym szeregu, zawrócił klacz kolanami i ruszył prosto na niego.

Penrod próbował utrzymać się na nogach, które gięły się pod nim jak z gumy. Lekki karabin przemienił się w ołów. Podniesienie go do ramienia wymagało tytanicznego wysiłku. Choć wciąż dzieliło ich pięćdziesiąt kroków, postać Osmana Atalana zdawała się wypełniać całe zniekształcone pole widzenia. Penrod strzelił. Huk był jakby stłumiony, a wszystko dokoła poruszało się z senną powolnością. Patrzył, jak kula trafia w czoło klaczy wysoko nad pięknymi ciemnymi oczami. Klacz stanęła dęba, przewróciła się i przekoziółkowała w chmurze piasku, spazmatycznie wierzgając nogami. Znieruchomiła z wykręconą szyją, z głową przyciśniętą tułowiem.

Osman wyrzucił nogi ze strzemion, gdy klacz padała, i wylądował z kocią zwinnością, nie tracąc równowagi. Stał i patrzył na Penroda ze śmiertelną nienawiścią w oczach. Penrod chciał przeładować, lecz palce miał drętwe i powolne, a wróg hipnotyzował go wzrokiem. Osman chwycił upuszczony miecz i pobiegł. Penrod wreszcie zdołał wsunąć nabój do otwartego zamka. Podniósł broń, ale drżały mu ręce. Desperacko próbował ustabilizować karabin. Przez ułamek sekundy miał na muszce pierś Osmana i strzelił. Kula musnęła prawą rękę i wyrysowała krwawą krechę na bicepsie, ale Osman ani się nie zatrzymał, ani nie puścił rękojeści miecza. Biegł pewnym krokiem. Żołnierze po obu stronach Penroda rozpoczęli ogień. Kule wzbijały piasek albo łamały gałęzie krzaków, ale jego się nie imały.

— Zabić tego człowieka! — wrzasnął Wilson pełnym napięcia, niespokojnym głosem.

Arabscy jeźdźcy zobaczyli, że emir stracił konia, i ich szeregi się złamały. Jeden z agadżerów ruszył w kierunku osamotnionego Atalana.

— Idę, panie!

— Zostaw mnie, Nur. To jeszcze nie koniec! — odkrzyknął Osman.

— Wystarczy na ten dzień. Znowu będziemy walczyć. — Nie zwalniając, al-Nur pochylił się w siodle, chwycił go za ramię i wciągnął na koński zad.

Odjeżdżając w gęste zarośla, Osman obrzucił Penroda gniewnym spojrzeniem.

— To jeszcze nie koniec. Na Boga, nie koniec.

Reszta kawalerii derwiszów zniknęła równie szybko i nad pobojobowiskiem zapadła martwa cisza. Kilku wycieńczonych brytyjskich żołnierzy osunęło się na ziemię, bo nogi odmówiły im posłuszeństwa, ale poderwały ich krzyki sierżantów.

— Powstać, chłopcy! Przed wami rzeka!

Dudziarz Stewarta nadmuchał miech i melodia Dzielna Szkocja popłynęła w pustynnym powietrzu. Ludzie zarzucili broń na ramię, podnieśli martwych i czworobok znowu ruszył do przodu. Idąc chwiejnym krokiem w pierwszym szeregu, Penrod zlizywał sól i zaschniętą krew ze splekanych ust. Krople potu piekły go w nabiegłe krwią oczy, gdy przeszukiwał krzaki, wypatrując następnej fali dzikich jeźdźców.

Ale derwisze odeszli, zdmuchnięci jak dym. Brytyjczycy wyszli na wysoki brzeg Nilu, machając rękami i wołając do parowców po drugiej stronie. Były śliczne jak modele, które w jasny niedzielny poranek pływają po Serpentine w London Town.

Przebili się. Dotarli do rzeki, a sto pięćdziesiąt mil na południe generał Charles Gordon wciąż trzymał się w Chartumie.

Osman Atalan czekał w Metemmie na zdziesiątkowane dywizje sprzymierzeńców Dżaalinów, bo ich szejkwowie przyszedli do niego i oddali się pod jego komendę. Ale po śmierci emira i jego synów dzielni dotychczas wojownicy stali się jak dzieci bez ojca. Allah ich opuścił. Sprawa została przegrana. Powrócili do swoich pustynnych fortec. Osman czekał na próżno.

Nazajutrz o brzasku wezwał gołębiarza.

— Przynieś mi trzy najszybsze i najsilniejsze ptaki — rozkazał. Własną ręką skreślił wiadomość dla Mahdiego w trzech egzemplarzach, po jednej na każdego ptaka. Jeśli jeden albo dwa zginą w szponach sokoła lub spotka je jakieś inne nieszczęście, wiadomość i tak dotrze do świętego człowieka w Omdurmanie.

„Do Mahdiego Muhammada Ahmeda, oby Allah strzegł go i otaczał opieką. Jesteś światłem naszych oczu i oddechem naszych ciał. Wstyd i smutek niczym kamień ciężą na mojej piersi, albowiem wiedz, że niewierni przeważyli nad nami w bitwie. Emir Salida poległ, jego armia poszła w rozsypkę. Niewierny dotarł do Nilu w Metemmie. Wracam w pośpiechu ze swoimi wojskami do Omdurmanu. Módl się za nas, o święty i potężny Mahdi”.

Pan Gołębi przywiązał złożone karteczki do nówek, włożył ptaki do kosza i zaniósł na brzeg rzeki. Osman siedł przed nim. Gołębiarz po kolei podawał mu ptaki. Osman brał każdego w dłoń i błogosławił przed wyrzuceniem w powietrze.

— Leć szybko i prosto, mały przyjacielu. Niech Allah ma cię w opiece. — Ptak wzbijał się z głośnym łopotem, zataczał krąg nad Metemmą, potem znajdował kierunek i odlatywał na południe, szybko bijąc skrzydłami. Osman wypuszczał gołębie w sporych odstępach czasu, żeby nie zbiły się w stado, które mogłoby przyciągnąć uwagę drapieżników.

Kiedy zniknęły mu z oczu, wrócił do wioski i wspiał się na glinianą kopułę meczetu. Z górnego balkonu minaretu, skąd muezin zwołuje wiernych na modlitwę, roztaczał się widok na oba brzegi rzeki. Skupisko niewielkich białych parowców wciąż kotwiczyło w Rozlewisku Krokodyli. Były poza zasięgiem, bo nie miał artylerii, żeby je ostrzelać. Skierował oczy na brytyjski obóz. Gołym

okiem dostrzegł ludzi w obrębie pospiesznie zbudowanej zareby. Nic nie świadczyło, że zamierzają wsiąść na parowce. Ten dziwny letarg był zastanawiający. Pozostawał w sprzeczności z energią i pilnością, jaką żołnierze wykazywali się do tej pory. Jeśli ich celem było jak najszybsze odbicie Chartumu, powinni zostawić rannych na brzegu rzeki, wsiąść na statki i bez chwili zwłoki popłynąć na południe.

— Możliwe, że Allah jeszcze nas nie opuścił i pomoże mi dotrzeć do miasta przed tymi nieobliczalnymi ludźmi — mruknął Osman.

Zszedł z wieży i udał się na obrzeża wioski, gdzie czekali jego wojownicy. Konie i wielbłądy już były osiodłane i objuczone, a al-Nur trzymał za uzdę nowego wierzchowca. Był to rostry kary ogier, najsilniejsze zwierzę w stadzie emira. Osman pogładził białą strzałkę na jego czole. Nazywał się al-Buk, Trąba Bojowa.

— Nie masz wad, Buku — szepnął — ale nigdy nie dorównasz Hulu Mai, Słodkiej Wodzie. — Popatrzył na wydmy, gdzie padła klacz. Sępy i wrony krążyły nad grzbietem. Czy kiedyś przyjdzie na świat zwierzę równie szlachetne jak ona? — zastanawiał się i wezbrała w nim czarna fala gniewu. Abadanie Ridzi, zapłacisz mi za to.

Skoczył na siodło i podniósł zaciśniętą pięść. - W imię Allaha, jedziemy do Omdurmanu! — zawołał i agadżerowie pogalopowali za nim.

Oslabiony przez choroby i głód Chartum pogrążył się w otępiełej rozpacz. Dziewczęce głosy ostro kontrastowały z posępną ciszą.

— Leci — zawołała śpiewnie Saffron.

— Wiem. Dostrzegłam go dawno temu — odparła Amber.

— Kłamiesz. Nie widziałaś!

— Widziałam!

— Przestańcie się kłócić, moje małe jędze — skarcił je surowo David Benbrook — i pokażcie gdzie. — Ich młode oczy były lepsze niż jego.

— Tam, tatusiu. Prosto nad wyspą Tutti.

— Trochę na lewo od tej małej chmurki.

— Aha, tak, oczywiście. — David wsunął kolbę dubeltówki pod pachę i skierował lufę w stronę zbliżającego się ptaka. — Tylko was sprawdzałem.

— Wcale nie!

— Sza, sza. Trochę szacunku, mój aniołku.

Nazira usłyszała ich głosy. Szła do kuchni, niosąc dzban wody zaczerpniętej ze studni na podwórzu stajennym. Zamierzała zagotować ją i przefiltrować, ale głosy ją rozproszyły. Postawiła dzban na stole przy frontowych drzwiach, obok szklanek na srebrnej tacy, podeszła do okna w jadalni i wyrzała na taras. Konsul stał na brązowym, wypalonym przez słońce trawniku. Patrzył w niebo. Nie było w tym nic niezwykłego. Od wielu tygodni każde popołudnie spędzał na tarasie, wypatrując ptaków, które przelatywały w zasięgu strzału. Wróciła do kuchni, ale zapomniała zabrać ze stolika dzban z surową wodą. Usłyszała huk strzału i podniecone piski bliźniaczek. Uśmiechnęła się czule i zamknęła za sobą drzwi kuchni.

— Trafieś, tato!

— Och, niezrównana głowo rodziny! — Był to najnowszy dodatek do słownika Saffron.

Gołąb przekoziółkował w powietrzu, gdy śrut wyrwał garść piór z jego piersi. Spadł na górne gałęzie tamaryndowca nad pałacowymi sypialniami. Utknął trzydzieści stóp nad ziemią. Bliźniaczki popędziły na wyścigi i wspięły się na drzewo, kłócąc się i przepychając.

— Uważajcie, małe diablance! — zawołał zaniepokojony David. — Zrobicie sobie krzywdę.

Pierwsza dotarła do ptaka Saffron, mająca naturę chłopczycy. Balansując na gałęzi, wepchnęła gorące truchelko za stanik sukienki i zaczęła schodzić.

— Ty zawsze musisz być lepsza — rzuciła oskarżycielsko Amber.

Saffron bez słowa przyjęła komplement i z wysokości kilku stóp zeskoczyła na ziemię. Podbiegła do ojca.

— Ma list! — pisnęła. — Ma list jak inne.

— Bóg jest dla mnie łaskawy — powiedział David. — Czy nie jesteśmy szczęściarzami?

Zobaczmy, co mają do powiedzenia džentelmeni zza rzeki. — Bliźniaczki tańczyły wokół niego, gdy niósł martwego gołębia do holu. Oparł strzelbę o ścianę, wyjął z kieszeni binokle i nałożył na nos. Scyzorykiem przeciął nitkę, która mocowała maleńki rulonik, i rozwinął go ostrożnie na stole obok dzbana i szklanek. Jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy odcyfrowywał arabskie pismo.

Dobroduszna mina powoli uległa zmianie. Stała się czujna i rzeczowa.

— To wspinała wiadomość. Odsiecz rozbiła armię derwiszów na północy. Będą tutaj za parę dni. Muszę zanieść list do generała — powiedział do córek. — Idźcie do Naziry i poproście, żeby was wykapała. Nie będzie mnie przez jakiś czas, ale przyjdę do waszego pokoju, żeby powiedzieć wam dobranoc. — Nałożył kapelusz i ruszył przez taras w kierunku kwatery Gordona.

Saffron pierwsza chwyciła strzelbę. Potrząsnęła nią jak trofeum przed nosem siostry.

— To nieuczciwe, Saffy. Zawsze ty wszystko robisz.

— Nie bądź dzieckiem.

— Nie jestem dzieckiem.

— Jesteś, i znowu się dąsasz.

Saffron zaniósła strzelbę do pokoju z bronią. Amber patrzyła za nią z pięściami zaciśniętymi na biodrach. Buzię miała zarumienioną, włosy przyklepione do spoconego czoła. Zobaczyła dzban zostawiony na stole przez Nazirę. Gniewnym ruchem nalala wody do szklanki, wypila i skrzywiła się.

— Ma dziwny smak — poskarżyła się. — Wcale nie jestem dzieckiem i wcale się nie dąsam. Jestem tylko trochę zła, to wszystko.

Ryder Courtney wiedział, że jego pobyt w Chartumie dobiega końca. Jeśli nawet odsiecz przybędzie na czas i bezpiecznie ewakuuje wszystkich, miasto wpadnie w ręce derwiszów. Opróżniał kompleks, gotów do wyruszenia w drogę przy pierwszej okazji. Rebecca na ochotnika pomagała mu robić inventaryzację i przygotowywać konosamenty dla towarów ładowanych na pokład Nieustraszonego Ibis.

Ryder coraz lepiej zdawał sobie sprawę z emocjonalnego zamętu, jaki panował w sercu dziewczyny. Niepewność jutra wszystkim działała na nerwy, warunki życia w mieście stale się pogarszały. Zagrożenie ze strony wielkiej armii derwiszów narastało, w miarę jak oblężeni mieszkańcy podupadali na duchu, a odsiecz nie przybywała. Od początku oblężenia minęło dziesięć miesięcy. Długi czas, gdy żyje się pod groźbą strasznej śmierci.

Ryder wiedział, jak bardzo Rebecce ciąży odpowiedzialność za młodsze siostry. Ojciec niewiele pomagał jej w tym względzie: był pełen dobrej woli i uczuć, ale podobnie jak bliźniaczki zdawał się na nią we wszystkim z niemal dziecięcą ufnością. Po ataku tłumy na kompleks ani jedna Sudanka nie wróciła do pracy. Produkcja zielonego ciasta zależała prawie zupełnie od Rebecki. Bliźniaczki pomagały jej chętnie, lecz ubijanie łądyg przekraczało ich siły. Ryder z coraz większym podziwem i uczuciem obserwował jej walkę o dobro rodziny. W wieku zaledwie osiemnastu lat została obarczona zbyt wielką odpowiedzialnością. Rozumiał, że czuje się samotna i odizolowana, dlatego próbował jej pomagać. Był jednak świadom, że jego nierozważny postępek zniszczył zaufanie, jakim

go darzyła. Musiał uważać, żeby znów jej nie spłoszyć, choć przecież pragnął wziąć ją w ramiona, pocieszyć i chronić. Czuł, że od wyjazdu Penroda Ballantyne'a poczynił spore postępy w naprawianiu szkód: w jego towarzystwie zachowywała się znacznie swobodniej. Ich rozmowy stały się bardziej naturalne i nie unikała go tak ostentacyjnie jak wcześniej.

Byli w blokhauzie, siedząc naprzeciwko siebie przy biurku. Liczyli stosy srebrnych denarów, ustawiali je w słupki po pięćdziesiąt, potem owijali w kawałki pergaminu i pakowali do drewnianych skrzynek po kawie, przygotowując do zabrania na pokład Ibisa. Ryder kątem oka patrzył, jak Rebecca odgarnia kosmyk pięknych, jedwabistych włosów. Zabolalo go serce, gdy zauważył odciski na jej dłoniach, a także drobne zmarszczki zmęczenia i trudów w kącikach oczu. Jej karnacja bardziej pasowała do przyjemnego klimatu Anglii, a nie do palącego słońca i suchego powietrza pustyni. Kiedy będzie po wszystkim, zwinę interesy i zabiorę ją do Anglii, pomyślał.

Nagle podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

— Co byśmy bez ciebie poczęli, Ryder?

Zaskoczyły go jej słowa i ton, jakim zostały wypowiedziane. - Moja droga Rebecco, poradzisz sobie w każdych okolicznościach. Daleko mi do twojej siły i determinacji.

— Byłam dla ciebie niemiła. — Zignorowała jego zaprzeczenie. — Zachowałam się jak mała dziewczynka. Kogo jak kogo, ale ciebie powinnam traktować uprzejmiej. Gdyby nie ty, już byłoby po nas.

— Teraz jesteś dla mnie zbyt miła. To z nawiązką wyrównuje wszystkie przykrości.

— Zielone ciasto jest tylko jednym z twoich bezcennych darów dla mojej rodziny. Nie sądzę, aby przesadne było stwierdzenie, że ocaliłeś nam życie. Jesteśmy zdrowi i silni, choć wokół ludzie umierają z głodu. Nigdy nie zdołam ci się za to odwdziaczyć.

— Twoja przyjaźń jest zapłatą, o jaką mogę prosić.

Jej uśmiech wygładził zmarszczki zmęczenia. Ryder chciał powiedzieć, jaka jest piękna, ale się powstrzymał. Ona wyciągnęła rękę nad biurkiem, rozsypując stos srebrnych monet, i chwyciła jego dłoń.

— Jesteś dobrym przyjacielem i dobrym człowiekiem, Ryderze Courtneyu.

Po raz pierwszy otwarcie przyjrzała się jego twarzy. Nie jest tak piękny jak Penrod, pomyślała, ale ma wyraziste, regularne rysy. Na taką twarz można patrzeć codziennie i nie być nią znudzonym. On nie zostawiłby mnie jak Penrod. On nie skrywa w pokoju na zapleczu żadnej tubylczej dziewczyny. Jest człowiekiem majątnym, nie ma w nim ostentacji czy pretensjonalności. Na jego stole nigdy nie zabraknie chleba. Jest twardy jak skała i potrafi ochronić swoją kobietę. Czuła, że jego ręka jest silna, pewna i stwardniała od pracy. Ramiona pod koszulą są szerokie i proste. Był mężczyzną, nie chłopcem.

Wtem przypomniała sobie, gdzie przebywają. Jej uśmiech zgasł. Przybiła ją niepewność ich losu. Co będzie, jeśli Ryder odpłynie na Ibisie, a ona zostanie tutaj z bliźniaczkami? Co się z nimi stanie, gdy Mahdi wtargnie do miasta ze swoją morderczą armią? Wiedziała, jaki los spotyka pojmane kobiety. Łzy zakręciły się jej w oczach i załśniły na rzęsach.

- Och, Ryderze, co z nami będzie? Czy umrzemy w tym okropnym miejscu? Czy umrzemy, zanim zakosztowaliśmy życia? — W głębi kobiecego serca wiedziała, że istnieje tylko jeden sposób na przywiązanie do siebie takiego mężczyzny. Czy była gotowa na ten krok?

— Nie, Rebecco. Przez tak długi czas byłaś dzielna i silna. Nie poddawaj się teraz. — Wstał i szybko obszedł biurko.

Patrzyła na niego, gdy stanął przy niej, i łzy spłynęły jej po policzkach.

— Nie chciałbym znów cię urazić — powiedział z wahaniem.

— Wtedy byłam dzieckiem, bezmyślną dziewczyną. Teraz jestem kobietą. Obejmij mnie jak kobietę.

Podniósł ją i delikatnie wziął w ramiona.

— Bądź silna!

— Pomóż mi — poprosiła i przywarła do niego. Przytuliła twarz do piersi Rydera i wdychała jego zapach. Strach i zwątpienie powoli traciły na znaczeniu. Stopniowo uświadomiła sobie, że emanuje z niej nowe, przyjemne uczucie. Nie było to boskie, trawiące szaleństwo, jakie zbudził w niej Penrod Ballantyne. Raczej rozgrzewający żar. Temu człowiekowi mogła zaufać. W jego ramionach czuła się bezpieczna. Łatwo będzie zrobić to, nad czym się zastanawiała.

Muszę to zrobić nie tylko dla siebie, ale dla mojej rodziny. W milczeniu podjęła decyzję i na głos powiedziała: — Pocałuj mnie, Ryderze. — Podniosła twarz. — Pocałuj mnie tak jak wtedy.

— Rebecca, moja kochana Becky, na pewno tego chcesz?

— Jeśli masz odzywać się tylko po to, żeby zadawać głupie pytania — uśmiechnęła się do niego — to lepiej nic nie mów. Pocałuj mnie, to wszystko.

Usta miał gorące, jego oddech mieszał się z jej oddechem. Język wsunął się między jej miękkie wargi. Kiedyś to ją przestraszyło i zakłopotало, ale teraz rozkoszowała się jego smakiem. Wezme Rydera na swojego mężczyznę, pomyślała. Odrzucę tamtego. Wezme Rydera Courtneya. Powziąwszy tę trzeźwą decyzję, pozwoliła, żeby zawaładnęły nią emocje. Spuściła ze smyczy wszystkie zahamowania, gdy poczuła, że coś ściska ją głęboko w brzuchu. Wrażenie było tak potężne, że graniczyło z bólem. Czuła, jak w niej pulsuje.

To moje łono, uświadomiła sobie ze zdumieniem. On pobudził istotę mej kobiecości. Mocno przycisnęła do niego biodra, próbując uśmierzyć ból albo go wzmocnić, nie była pewna. Gdy Ryder obejmował ją poprzednim razem, nie rozumiała, co nabrzmiewa i twardnieje pomiędzy nimi. Teraz wiedziała. Tym razem się nie bała. Opatrzyła nawet sekretną nazwą ten męski narząd. Nazwała go tarnik, od tamaryndowca, po którym tamtej pierwszej nocy wspiął się Penrod.

Jego tarnik śpiewa do mojej cipki, pomyślała, a mojej cipce podoba się ta melodia. Jej matka, wyemancypowana Sarah Isabel Benbrook, nauczyła ją tego niezwykłego słowa.

— Być może to ostatni dzień naszego życia. Nie zmarnuj go — wydyszała. — Weźmy tę chwilę, chwycimy ją i zatrzymajmy na zawsze. — Ale brakowało mu pewności siebie. Musiała złapać go za rękę i położyć je na piersiach. Miała wrażenie, że sutki puchną i płoną pod jego dotykiem.

Wplotła palce jednej ręki w jego włosy, a drugą rozpięła haftki stanika. Odśloniła pierś i przyciągnęła do niej jego głowę. Krzyknęła ze słodkiego bólu, jaki jego zęby zadały wrażliwemu ciału. Esencja kobiecości wezbrała w niej i spłynęła.

Nagle odczuła desperacki przymus i zaczęła go naglić: — Szybko, Ryderze, proszę. Umieram. Nie pozwól mi umrzeć.

Ocal mnie. — Wiedziała, że plecie bzdury, lecz nie dbała o to.

Zarzuciła mu rękę na szyję i próbowała wspiąć się na niego. On sięgnął za nią i podciągnął spódnicę do pasa. Nie miała nic pod spodem i jej krągłe pośladki bieleły w półmroku jak strusie jaja.

Chwycił je i podniósł ją.

Nogami objęła jego biodra i poczuła, jak wsuwa się w jedwabne gniazdko u zwieńczenia jej ud.

— Szybko! Nie przeżyję chwili dłużej, nie mając cię w sobie. — Nacisnęła mocno, mrużąc oczy z wysiłku, i poczuła, że opór ustępuje. Wbiła paznokcie w jego plecy i znów nacisnęła. Potem wszystko inne przestało się liczyć: wszystkie zmartwienia i lęki pierzchły, gdy wchodził w nią głęboko, a jej łono rozchyłało się na powitanie.

Naparła na niego desperacko. Czowała, jak drżą mu nogi, i widziała twarz krzywiącą się w ekstazy męce. Nogi zaczęły dygotać, gdy zdwoiła wysiłki, napierając coraz mocniej i szybciej. Otworzył usta i kiedy krzyknął, jej głos zawtórował mu niczym echo. Zwarli się w gwałtownym paroksyzmie, który trwał przez całą wieczność, ale w końcu ich głosy ucichły i naprężone mięśnie nóg się rozluźniły. Osunął się na kolana, a ona przywierała do niego kurczowo, obejmując go rękami i nogami tak mocno, że nie mógł z niej wyjść.

Miał taką minę, jakby wracał z jakiegoś dalekiego miejsca, gdy patrzył na nią ze zdumieniem i podziwem.

— Teraz jesteś moją kobietą? — W połowie było to pytanie, a w połowie stwierdzenie.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie. Wciąż tkwił w niej głęboko. Czowała się cudownie potężna, rozkosznie lubieżna i rozpustna. Ścisnęła go w środku i przytrzymała mocno. Nie zdawała sobie sprawy, że zna taką sztukę. On sapnął i szeroko otworzył oczy.

— Tak — przyznała — a ty jesteś moim mężczyzną. Będę trzymać cię tak zawsze, i nigdy nie puszcze.

— Jestem twoim dobrowolnym jeńcem — powiedział, a ona pocałowała go w usta.

Kiedy przerwała pocałunek, żeby złapać oddech, mówił dalej: - Czy wyświadczysz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Nie chcemy przecież gorszyć świata, prawda?

Nagle sprawy przyjęły bardzo szybki obrót. Choć miała zamiar się zgodzić, nie umiała wymyślić odpowiedzi skromnej, a jednocześnie wiążącej. Gdy się zastanawiała, ktoś zapukał do drzwi blokhauzu. Odepchnęła Rydera i spiesznie zapięła stanik, niespokojnie popatrując na drzwi.

— Zamknięte — przypomniał jej szeptem. Na biurku leżały setki funtów, więc wołał nie ryzykować. Podniósł głos: — Kto tam?

- To ja, Baczit. Przyniosłem nowy biuletyn od Gordona Baszy.

— Nie jest na tyle ważny, żeby mi przeszkadzać, kiedy jestem zajęty — odparł ze złością.

Gordon wydawał biuletyny prawie codziennie. Miały podnosić mieszkańców na duchu i umacniać ich wolę oporu. Z tego powodu kompozycje cechowała duża swoboda literacka, a ich treść w dużej mierze mijała się z prawdą.

— Ten jest ważny, efendi. — Ton Baczita zdradzał podniecenie. — Dobre wieści. Bardzo dobre wieści.

— Wsuń go pod drzwiami — polecił Ryder.

Wstał i podniósł Rebecę. Oboje doprowadzili ubrania do porządku: on zapiął spodnie, a ona wygładziła spódnice. Potem Ryder podszedł do drzwi i podniósł prymitywnie wydrukowaną ulotkę. Rzucił na nią okiem i podał Rebecce.

ARMIA DERWISZÓW ROZGROMIONA.

DROGA DO CHARTUMU JEST OTWARTA.

BRYTYJSKA ODSIECZ PRZYBĘDZIE LADA DZIEŃ.

Przeczytała dwukrotnie, za pierwszym razem szybko, potem powoli. W końcu popatrzyła na Rydera.

— Myślisz, że tym razem to prawda?

— Jeśli nie, to byłby okrutny żart. Z drugiej strony, „Chińczyk” Gordon nie przejmuje się zbytnio uczuciami innych.

Rebecca udawała, że jeszcze raz czyta ulotkę, ale w głowie miała gonitwę myśli. Jeśli odsiecz naprawdę jest w drodze, czy potrzeba wiązania się z Ryderem jest taka paląca? Jako jego żona zostanie skazana na pobyt w tym dzikim kraju do końca swoich dni. Czy kiedyś zobaczy zielone pola Anglii i będzie cieszyć się towarzystwem cywilizowanych ludzi? Czy musi wychodzić za człowieka,

którego lubiła i który miał się o nią troszczyć, ale którego nie kochała?

— Prawda czy nie — stwierdził Ryder — dowiemy się niebawem. Tak czy inaczej będziesz moją narzeczoną. Ibis czeka pod parą załadowany po brzegi... — urwał i ze zdziwieniem przyjrzał się jej twarzy. — Co się stało, kochanie? Coś cię trapi?

- Jeszcze nie odpowiedziałam na twoje pytanie — rzekła cicho.

— Och, jeśli tylko o to chodzi, powtórzę je z nadzieją na formalną odpowiedź. Czy ty, Rebecca Benbrook, wezmiesz mnie, Rydera Courtneya, za męża?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparła, a on wbił w nią zdumione oczy. — Proszę, daj mi trochę czasu do namysłu. To doniosła decyzja i nie mogę podjąć jej w pośpiechu.

W tej rozstrzygającej chwili, od której tyle zależało, nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Jeśli kolumna odsieczy przybędzie pojutrze, czy będzie w niej Penrod Ballantyne? To nie ma znaczenia, odpowiedziała sobie w duchu, bo przecież on już nic dla mnie nie znaczy. Popełniłam błąd, kiedy mu zaufałam, ale teraz niech wraca do swoich arabskich dziewcząt i dalej ugania się za spódniczkami. Nie zdołała jednak przekonać samej siebie i widziała twarz Penroda długo po tym, jak opuściła kompleks Rydera i ruszyła w drogę do pałacu.

Sprowadzenie wszystkich rannych i taboru zabrało Charlesowi Wilsonowi kilka dni. W tym czasie ufortyfikował obóz na brzegu rzeki poniżej Metemmy i podwyższył ściany zareby do sześciu stóp. Trzeciego dnia po bitwie naczelny chirurg zameldował mu, że w ranie generała Stewarta rozwinęła się gangrena. Wilson pobiegł do szpitalnego namiotu. W panującym gorącu słodka woń gnijącego ciała przyprawiała o mdłości. Stewart leżał w kałuży własnego potu pod moskitierą, po której łaziły wielkie kosmate muchy, zwabione odorem rany. Na opatrunku widniały musztardowożółte plamy ropy.

— Zdołałem wyjąć kulę — powiedział chirurg, potem ściszył głos do szeptu, żeby nie usłyszał go ranny: — Gangrena nie ustępuje, sir. Obawiam się, że nie ma nadziei.

Stewart był w delirium i gdy Wilson stanął przy łóżku, wziął go za generała Gordona.

— Dzięki Bogu zdążyliśmy na czas, Gordon. Niejeden raz bałem się, że przybędziemy za późno. Gratuluję panu odwagi i hartu, które ocaliły Chartum. Ten wyczyn będzie napawać słuszną dumą Jej Królewską Mość i każdego obywatela imperium brytyjskiego.

— Jestem Charles Wilson, nie Charles Gordon, sir — poprawił go Wilson.

Stewart spojrział na niego ze zdumieniem, potem przez moskitierę złapał go za rękę.

— Och, dobra robota, Charles! Wiedziałem, że wypełnisz swój obowiązek. Gdzie jest Gordon? Poproś go do mnie natychmiast.

Chcę osobiście mu pogratulować.

Wilson uwolnił rękę i odsunął się od łóżka. Zwrócił się do chirurga: — Czy dostaje dość środków uspokajających? Ten stan pobudzenia nie wyjdzie mu na dobre.

— Co dwie godziny podaję dziesięć granów laudanum, ale gdy wdała się gangrena, doskwiera mu nieznośny ból.

- Umieszczę go na pierwszym parowcu, który odpłynie w dół rzeki do Asuanu. Zapewne nastąpi to za dwa, trzy dni.

— Dwa, trzy dni? — Stewart słyszał tylko koniec zdania. — Dlaczego wysyłacie Gordona do Asuanu i dlaczego za dwa, trzy dni? Proszę odpowiedzieć.

— Parowce niedługo wyruszą do Chartumu, generale. Napotkaliśmy nieprzewidziane, nieuniknione przeszkody.

— Gordon? Gdzie jest Gordon?

— Mamy nadzieję, panie generale, że wciąż trzyma się w Chartumie, ale nie mieliśmy od niego

żadnych wiadomości.

Stewart rozejrzał się po namiocie z dziką, zdezorientowaną miną.

— To nie Chartum? Gdzie jesteśmy? Jak długo?

— To Metemma, panie generale — odparł chirurg łagodnie. — Przebywa pan tutaj od czterech dni.

— Cztery dni! — Głos Stewarta podniósł się do krzyku. — Cztery dni! Marnuje pan ofiarę poniesioną przez moich biednych chłopców. Dlaczego nie pędzicie jak najszybciej do Chartumu, tylko siedzicie tutaj?

— Majaczy — warknął Wilson do chirurga. — Proszę mu podać następną dawkę laudanum.

— Nie majacze! — krzyknął Stewart. — Jeśli natychmiast nie wyruszy pan do Chartumu, postawię pana przed sądem wojennym i oskarżę o zaniedbanie obowiązku i tchórzostwo w obliczu wroga. Zostanie pan rozstrzelany, sir. — Zachłysnął się i wyczerpany opadł na poduszkę. Mamrotał jeszcze przez chwilę, potem zamknął oczy i umilkł.

— Nieszczęśnik. — Wilson pokręcił głową z głębokim żalem. — Kompletnie stracił głowę i ma halucynacje. Nie zdaje sobie sprawy z sytuacji. Proszę opiekować się nim jak najlepiej.

Odwzajemnił salut lekarza i wyszedł z namiotu. Zamrugał w jasnym słońcu, potem ściągnął brwi, gdy spostrzegł, że w pobliżu grupka oficerów staje na baczność. Z pewnością słyszeli każde słowo. Ich miny świadczyły o tym ponad wszelką wątpliwość.

— Panowie, nie macie nic lepszego do roboty jak lenić się tutaj? — zapytał ostro. Nie patrząc mu w oczy, zasalutowali i odeszli.

Został tylko jeden. Penrod Ballantyne był młodszym oficerem. Postępował nierozsądnie. Stąpił po niebezpiecznie cienkiej linii przerzuconej nad przepaścią niesubordynacji. Wilson spiorunował go wzrokiem.

— O co chodzi, kapitanie?

— Zastanawiam się, czy mogę z panem porozmawiać, sir.

— Słucham.

— Wielbłądy w pełni odzyskały siły. Mamy mnóstwo wody i dobrego jedzenia. Za pańskim pozwoleniem, mógłbym stawić się w Chartumie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— W jakim celu, kapitanie? Czy proponuje pan jednoosobowe wyzwolenie miasta? — Wilson pozwolił sobie na drwiący uśmiezek. W porównaniu z poprzednim marszem to niewielka poprawa, pomyślał Penrod.

— Mógłbym dostarczyć meldunki generałowi Gordonowi i poinformować go o pańskich zamiarach, sir. Miasto znajduje się w tragicznej sytuacji, na granicy wytrzymałości. W jego murach przebywają angielskie kobiety i dzieci. Za parę dni Chartum może wpaść w ręce Mahdiego. Miałem nadzieję, że będzie mi wolno zapewnić generała Gordona, iż jego wysiłki i niedola mieszkańców nie są panu obojętne.

— Nie pochwała pan mojego sposobu prowadzenia kampanii, prawda? A propos, jak pańska godność? — Oczywiście Wilson znał jego nazwisko, była to wyrachowana obraza.

— Penrod Ballantyne, Dziesiąty Pułk Huzarów, sir. I nie, sir, nie ośmieliłbym się czynić uwag na temat prowadzenia kampanii. Przedłożyłem tylko pod pańską rozważę moje ograniczone rozeznanie w sytuacji.

— Nie omieszkać pana wezwać, gdy poczuję się w potrzebie skorzystania z pańskiej mądrości. Wspomnę o pańskiej subordynacji w raportach, które napiszę po zakończeniu kampanii. Pozostanie pan w tym obozie. Nie odkomenderuję pana na żadną niezależną misję. Nie włączę pana do sił, które poprowadzę na odsiecz Chartumowi. Przy pierwszej okazji wyruszy pan do Kairu. Nie będzie pan

uczestniczyć w tej kampanii. Czy wyraziłem się jasno, kapitanie?

— Absolutnie jasno, sir. — Penrod zasalutował.

Wilson nie oddał salutu i oddalił się sztywnym krokiem.

W ciągu następnych dni większość czasu spędzał w swoim namiocie, zajęty pisaniem raportów. Rozkazał zinwentaryzować zapasy prowiantu i amunicji. Przeprowadzał inspekcje fortyfikacji. Musztrował ludzi. Codziennie odwiedzał rannych, ale generał Stewart już nie był przytomny. Parowce czekały pod pełną parą. W regimencie panował nastrój niezdecydowania i niepewności. Nikt nie wiedział, jaki będzie następny krok ani kiedy nastąpi. Sir Charles Wilson nie wydawał znaczących rozkazów.

Wieczorem trzeciego dnia Penrod poszedł do zagrody wielbłądów i odszukał Jakuba. Udając, że ogląda zwierzęta, wyszeptał: — Przygotuj wielbłądy i pełne bukłaki. Dzisiaj obowiązuje hasło Waterloo. Podasz je wartom, gdy będziesz wyjeżdżać z zareby. Spotkamy się o północy przy małym meczecie po drugiej stronie Metemmy. — Jakub spojrział na niego nieufnie. — Mamy rozkaz przekazać wiadomość Gordonowi Baszy.

Jakub czekał w umówionym miejscu. Ruszyli na południe w tempie, które gwarantowało, że o świcie znajdą się poza zasięgiem pościgu.

Dwa dni drogi do Chartumu, pomyślał Penrod ponuro, i moja kariera legła w gruzach. Wilson rzucił mnie lwom na pożarcie. Mam nadzieję, że Rebecca Benbrook doceni moje starania, bo robię to dla niej.

Osman Atalan pędził co koń wyskoczy z niewielką grupą agadżerów, wiele mil za sobą zostawiając trzon swojej jazdy. Wjechał w trzewia przełomu Szabluka. Na górze ściągnął wodze i wskoczył na siodło. Balansując bez trudu na niespokojnym ogierze, wycelował lunetę w leżące na horyzoncie Miasto Trąby Słoniowej, Chartum.

— Co widzisz, panie? — zapytał niecierpliwie al-Nur.

— Flagi niewiernego i Turka powiewają na wieży Fortu Muk-ran. Wróg Boga, Gordon Basza, wciąż rządzi Chartumem — odparł Osman, a słowa paliły mu język niczym gorzki sok aloesu. Opadł na siodło i wsunął stopy w strzemiona. Korbaczem smagnął po zadzie ogiera i al-Buk ruszył z kopyta. Pojechali na południe.

Kiedy dotarli do wzgórz Kerreri, napotkali pierwszą falę kobiet i starców, uciekających z Omdurmanu. Uchodźcy nie rozpoznali Osmana w czarnym turbanie i jeden ze starców zawołał do niego: — Zawracaj, nieznajomy! Miasto jest stracone. Niewierny zatriumfował w wielkiej bitwie pod Abu Klea. Salida i Osman Atalan zginęli, ich wojska zostały rozbite.

— Czcigodny ojciec, powiedz nam, co się stało z Boskim i Zwycięskim Muhammadem, Mahdim, następcą Proroka?

— Jest światłem naszych oczu, ale wydał rozkaz, żeby wszyscy jego wyznawcy opuścili Omdurman, zanim przybędzie Turek z niewiernymi. Mahdi, oby Allah wciąż go kochał i otaczał opieką, wyjdzie na pustynię z całym swoim wojskiem. Podobno zamierza pomaszerować do El Obejd.

Osman odrzucił pas materiału, który zasłaniał jego twarz.

— Spójrz na mnie, starcze! Czy wiesz, kim jestem? Mężczyzna szeroko otworzył oczy, załkał i osunął się na kolana.

— Wybacz mi, potężny emirze, że ogłosiłem cię martwym.

— Niedaleko za mną podąża moja armia. Jedziemy do Omdurmanu. Dżihad trwa! Będziemy walczyć z niewiernymi wszędzie, gdzie tylko ich spotkamy. Powiedz to wszystkim, których spotkasz w drodze. — Osman uderzył piętami w boki al-Buka i odjechał galopem.

Na ulicach Omdurmanu panował zamęt. Uzbrojeni po zęby ansarowie przemykali jak wicher wąskimi ulicami, zawożące kobiety ładowały dobytek na wózki zaprzężone w osły i wielbłądy, tłumy spieszyły do meczetów, by słuchać kazań imamów głoszących pocieszające słowo Allaha w tym strasznym czasie klęski i rozpacz. Ludzie rozbiegali się przed koniem Osmana Atalana, który jechał prosto do pałacu Mahdiego.

Znalazł Mahdiego na tarasie pod chroniącym od słońca daszkiem, gdzie siedział z kalifem Abdallahim, obsługiwany przez tuzin młodych kobiet z haremu. Padł przed nim na twarz. Niemal żałował, że postanowił jechać do Omdurmanu i spojrzeć w oczy następcy Proroka, zamiast zabrać swoich agadżerów i rozplątać się na wschodnich pustyniach Sudanu. Wiedział, że gdyby tak zrobił. Mahdi wysłałby za nim armię, ale na swoim terenie miałby przewagę nad najliczniejszym i najbieglej dowodzonym pościgiem. Z drugiej strony, wypowiadając wojnę Mahdiemu, przedstawicielowi Allaha na ziemi, byłby skończony jako muzułmanin. Wolał ryzyko śmierci niż groźbę, że Mahdi ogłosi go niewiernym, gdyż to na wieki zamknęłoby przed nim bramy raj.

— Jest tylko jeden Bóg i nie ma innego Boga prócz Allaha — powiedział cicho — a Muhammad, Mahdi, jest następcą jego Proroka na ziemi.

— Spójrz mi w twarz, Osmanie Atalanie — rozkazał Mahdi. Osman popatrzył na niego. Mahdi uśmiechał się słodko, odsłaniając małą przerwę w kształcie klina między zębami. Osman poczuł, jak zimna ręka śmierci zaciska się na sercu, bo wiedział, że uśmiech nie oznacza wybaczenia. Mahdi musiał wrzeć z gniewu, rozwścieczony porażką, jaką zakończyła się próba zatrzymania odsieczy. Wystarczył jeden ruch jego ręki, a Osman zostałby skazany na śmierć lub okaleczenie. Mahdi często proponował skazańcowi wybór. W czasie długiej jazdy z Metemmy Osman zdecydował, że wybierze ścięcie głowy zamiast amputacji rąk i stóp.

- Pomodlisz się ze mną, Osmanie Atalanie? — zapytał Mahdi. Osman zmartwiał. Zaproszenie brzmiało złowieszczo i nierzadko poprzedzało wyrok śmierci.

— Całym sercem i do ostatniego tchu — odparł.

— Wygłosimy razem Al-Fatiha, pierwszą surę świętego Koranu.

Osman znów uderzył czołem w ziemię i wspólnie zaczęli: — W imię Boga, Miłosiernego, Litościwego... — wyrecytowali cztery pozostałe wersy i zakończyli: — Oto Ciebie czcimy i Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą.

— Osmanie Atalanie, pokładałem w tobie wielką wiarę i wyznaczyłem ci ważne zadanie — powiedział Mahdi.

— Jesteś biciem mojego serca i oddechem w moich płucach — podziękował mu Osman.

— Ale zawiodłeś mnie. Pozwoliłeś, by niewierny zatriumfował. Wydałeś mnie w ręce wroga.

Teraz wszystko skończone.

— Nie, panie. Nie wszystko skończone. Zawiodłem w tej jednej sprawie, lecz nie we wszystkim.

— Wyjaśnij, co przez to rozumiesz.

— Allah powiedział, że koniec nie nastąpi, póki człowiek nie przyniesie ci głowy Gordona Baszy. Allah powiedział ci, że ja, Osman Atalan, jestem tym człowiekiem.

— Nie wypełniłeś proroctwa. Tym samym zawiodłeś swojego Boga i jego proroka.

— Proroctwo Boga i Muhammada, Mahdiego, nie może się nie ziścić — odparł Osman cicho, czując oddech czarnego anioła na karku, gdzie miał spaść miecz kata. — Twoje proroctwo jest potężną skałą w rzece czasu, i skała ta nie może zostać zmyta. Wróciłem do Omdurmanu, żeby je wypełnić. — Wskazał surową sylwetkę fortu Mukram po drugiej stronie rzeki. — Gordon Basza wciąż czeka w tych murach, aż jego los się dopełni, a pora Niskiego Nilu działa na naszą korzyść. Błagam, o święty, udziel mi błogosławieństwa.

Mahdi siedział w milczeniu i bez ruchu przez sto uderzeń serca, zastanawiając się szybko. Emir Osman Atalan był mądrym człowiekiem i przebiegłym taktykiem. Odrzucenie jego prośby byłoby równoznaczne z przyznaniem, że on, Muhammad, Mahdi, jest omylny. Wreszcie uśmiechnął się i położył emirowi rękę na głowie.

— Idź i zrób tedy, co jest zapisane. Wróć, gdy wypełnisz moje proroctwo.

Godzinę przed północą mała feluka wpłynęła do wschodniego kanału Nilu, gdzie zatrzymał ją nocny wiatr i prąd. Al-Nur siedział na ławce obok Osmana Atalana. Obaj patrzyli na chartumski brzeg. Tej nocy pokaz fajerwerków był wyjątkowo wspaniały. Od zachodu słońca race wciąż wzlatywały w niebo i wybuchały w kaskadach wielobarwnych iskier. Orkiestra grała z nowym animuszem, a w przerwach słyszeli śpiewy i śmiechy, niosące się cicho nad ciemną wodą.

— Gordon Basza dowiedział się o Abu Klea — szepnął al--Nur. — On i jego pachołkowie radują się w swoich pogańskich sercach. Spodziewają się, że lada chwila przyplyną parowce z południa.

Odgłosy świętowania ucichły długo po północy. Osman wydał rozkaz przewoźnikowi. Mężczyzna ustawił łaćniński żagiel i łódź podpłynęła do brzegu pod murami Chartumu. Kiedy dotarli do miejsca leżącego naprzeciwko majdanu, al-Nur dotknął ramienia swojego pana i wskazał maleńką plażę odsłoniętą przez cofającą się wodę. Wilgotne błoto lśniło w świetle gwiazd jak lód. Osman szepnął słowo do przewoźnika, który przełożył żagiel na drugą burtę i podpłynął jeszcze bliżej. Osman przeszedł na dziób i tyczką gruntował nachylone dno, gdy płynęli wzdłuż plaży. Potem siedzieli cicho, nasłuchując wart na obchodzie albo innych wrogich odgłosów. Usłyszeli tylko pohukiwanie sowy w wieży misji katolickiej. Na piętrze brytyjskiego konsulatu paliło się światło i raz zobaczyli cienistą sylwetkę za oknem, ale ogólnie rzecz biorąc, w mieście panował spokój.

— Zwycięstwo uspiło czujność niewiernych. Gordon Basza jest mniej ostrożny niż zwykle — szepnął al-Nur.

— Znaleźliśmy plażę, na której można wylądować. Wrócimy do Omdurmanu, aby poczynić przygotowania — zdecydował Osman. Wydał cichy rozkaz przewoźnikowi i zawrócili na drugą stronę rzeki.

Wstawał świt, kiedy Osman i al-Nur dotarli do południowej dzielnicy, która leżała pomiędzy skarbcem Bejt el Mai a targiem niewolników. Na dziedzińcu za piętrowym domem siedziało dwunastu agadżerów, częstowanych przez niewolnice pieczoną w miodzie jagnięciną, plackami z durry i parującymi kubkami gęstej, czarnej jak smoła abisyńskiej kawy.

— Szlachetny panie, przybyliśmy o zmierzchu — zameldowali.

— Co zatrzymało was tak długo? — zapytał.

- My nie jeździmy na wierzchowcach miary al-Buka, który jest księciem wśród koni.

— Dobrze was widzieć. — Osman objął każdego z przybyłych. — Praca czeka wasze miecze. Musimy odzyskać honor, z którego niewierny odarł nas na równinach Abu Klea.

David Benbrook uparł się, że należy urządzić przyjęcie dla uczczenia zwycięstwa pod Abu Klea i rychłego wyzwolenia miasta. Z powodu niedostatku pożywienia i napojów Rebecca postanowiła podać kolację na świeżym powietrzu, rezygnując z kryształów i sreber. Siedzieli na składanych płóciennych krzesłach na tarasie od strony ogrodu i słuchali orkiestry wojskowej, chórem odśpiewując bardziej znane piosenki. W przerwach, gdy muzycy odpoczywali, uczestnicy przyjęcia wznosili toasty za królową, generała Wolseleya i robiąc ukłon w stronę konsula Le Blanca, za króla Leopolda.

Po długiej wewnętrznej walce z sumieniem David postanowił przynieść z piwnic jedyną już skrzynkę szampana Krug, której strzegł przez wszystkie długie miesiące.

— Może ciut przedwcześnie, ale gdy się zjawią, zapewne będziemy zbyt zajęci, żeby o tym pomyśleć.

Generał Gordon po raz pierwszy przyjął zaproszenie na kolację i towarzyszące jej atrakcje. Na tę okazję włożył nieskazitelny mundur galowy z czerwonym fezem. Buty miał wyglansowane na wysoki połysk, a na piersi lśniła egipska Gwiazda Iszmaela. Był odprężony i wylewny, choć Rebecca zauważyła nerwowy tik pod okiem. Skosztował po odrobinie oferowanych dań: zielonego ciasta, chleba z durry i zimnego pieczystego z ptaka nieokreślonego bliżej gatunku, upolowanego przez gospodarza. Palił jednego tureckiego papierosa za drugim, nawet kiedy wstał, żeby wygłosić krótką mowę. Zapewnił towarzystwo, że statki z brytyjskimi żołnierzami mimo późnej pory płyną pełną parą, pokonując bystrza na przełomie Szabluka, i że spodziewa się ich w mieście nazajutrz wieczorem. Pochwalił innych gości i wszystkich mieszkańców, niezależnie od koloru skóry i nacji, za heroiczną postawę i poświęcenie, a także podziękował Bogu wszechmogącemu za to, że ich wyrzeczenia nie poszły na marne. Następnie podziękował konsulowi i jego córkom za gościnę, pożegnał się i wyszedł. Nastrój gości natychmiast się poprawił.

Bliźniaczki otrzymały specjalną dyspensę i mogły położyć się do łóżek dopiero o północy, a także wypić odrobinę bezcennego szampana z kieliszka do sherry. Saffron wychyliła swój jak marynarz na przepustce, a Amber pociągnęła łyceczek i skrzywiła się. Kiedy Rebecca patrzyła w inną stronę, przelała resztę do kieliszka siostry, ku jej wielkiej radości.

W miarę upływu godzin Amber stawała się coraz bardziej cicha i blada. Nie brała udziału w śpiewach, co Rebecca uznała za dziwne, bo miała słodki, czysty głos i uwielbiała popisy wokalne. Odmówiła, kiedy David poprosił, żeby zatańczyła z nim polkę.

— Jesteś taka milcząca. Źle się czujesz, maleńka?

— Trochę, tatusiu, ale tak bardzo cię Kocham.

- Chciałabyś pójść do łóżka? Podam ci dawkę soli. To wszystko naprawi.

— Nie, Boże drogi, tylko nie to! Nie jest tak źle. — Amber zmusiła się do uśmiechu. David był zmartwiony, ale nie drażył tematu. Odszedł, żeby zatańczyć z Saffron.

Konsul Le Blanc także zwrócił uwagę na niezwykle zachowanie Amber. Usiadł obok niej, złapał ją za rękę jak dobry wujaszek i zaczął opowiadać długą, skomplikowaną dykteryjkę o Niemcu, Angliku i Irlandczyku. Kiedy dotarł do punktu kulminacyjnego, ryknął śmiechem i łzy spłynęły mu po różowych policzkach. Amber nie doszukała się niczego zabawnego w historyjce, ale roześmiała się, jak wypadało, i zaraz potem podeszła do Rebecki, która tańczyła z Ryderem Courtneyem. Wyszepiała jej coś do ucha. Rebecca zostawiła Rydera, chwyciła ją za rękę i zaprowadziła do domu. David poszedł za nimi razem z Saffron. Kiedy dotarł do stóp schodów, Rebecca i Amber już były na pierwszym podejściu.

— Dokąd idziecie?! — zawołał za nimi. — Co się stało?

Wciąż trzymając się za ręce, Rebecca i Amber odwróciły się w jego stronę. Nagle Amber jęknęła i zgięła się wpół. Jej wnętrzności zaczęły się opróżniać w gwałtownych wybuchach gazów i płynu. Rzadki kał lał się jak żółty wodospad, bez końca, tworząc kałużę u jej stóp. David pierwszy zorientował się w sytuacji.

— Cholera!

Słyszając to straszne słowo, Saffron podniosła ręce do ust i wrzasnęła.

— Przestań! — poleciła Rebecca, podnosząc głos do krzyku.

Chciała wziąć Amber na ręce, ale żółty potok nie przestawał płynąć i bryzgał na jej długą wieczorową suknię z atlasu.

Ryder usłyszał krzyk Saffron i przybiegł z tarasu. Natychmiast zrozumiał znaczenie tej sceny.

Wrócił na dwór i z długiego stołu ściągnął ciężki adamaszkowy obrus, zrzucając na podłogę srebrne świeczniki i stołowe ozdoby. Popędził ku schodom.

Amber wciąż się wypróżniała. Wydawało się niemożliwe, że takie małe ciało może zawierać tak wielką ilość płynu. Spływał po schodach jak strumyk. Ryder strzepnął obrus i owinał ją, podniósł jak lalkę i pobiegł z nią na górę.

— Puść mnie, Ryderze — prosiła Amber. — Pobrudzę ci ten śliczny nowy garnitur. Nie mogę się powstrzymać. Tak mi wstyd.

— Jesteś dzielną dziewczynką. Nie ma się czego wstydzić — zapewnił ją. Rebecca biegła u jego boku. — Gdzie jest łazienka? — zapytał.

— Tędy. — Popędziła pierwsza i otworzyła drzwi.

Ryder ułożył Amber w ocynkowanej wannie.

— Rozbierz ją i umyj gąbką w chłodnej wodzie — polecił. — Mała płonie z gorączki. Potem zmusz ją do picia. Słaba ciepła herbata.

Całe galony. Musi pić. Musi uzupełnić utracony płyn co do kropli. — Popatrzył na Davida i Saffron, którzy stali w wejściu. — Zawołajcie Nazirę do pomocy. Ona zna się na tej chorobie. Ja muszę przynieść z Ibisa apteczkę. Pod moją nieobecność zmuszajcie ją do picia.

Ryder pobiegł ulicami. Miał szczęście, że tej nocy generał Gordon zniósł godzinę policyjną, żeby wszyscy mieszkańcy mogli uczcić przybycie odsieczy.

Baczit schował apteczkę w zwykłym miejscu pod koją w głównej kabinie. Ryder szybko przejrzał zawartość, szukając czegoś, co zahamowałoby biegunkę i uzupełniło zapas utraconych minerałów. Wiedział, że ma niewiele czasu. Cholera zabija szybko. Nazywali ją „psią śmiercią”. Potrafiła w ciągu godziny zabić silnego mężczyznę, a Amber była dzieckiem. Jej organizm już został odwodniony. Niebawem mięśnie i ścięgna zaczną domagać się płynów, czemu towarzyszyć będą bardzo bolesne skurcze, i dziewczynka umrze z wyczerpania.

Przez jedną straszną chwilę myślał, że paczki życiodajnego brudnobiałego proszku zginęły, potem przypomniał sobie, że ze względów bezpieczeństwa przełożył je do szuflad w kambuzie. W nękanym przez cholere mieście były cenniejsze niż diamenty. Proszek, zapakowany w woreczek z sizalu, kupił za wyśrubowaną cenę od opata koptyjskiego monasteru daleko w górze Nilu Błękitnego. Opat powiedział mu, że kredowy proszek został wydobyty przez mnichów z leżącego w górach sekretnego złoża. Nie tylko powstrzymywał biegunkę, ale również pod względem charakteru i składu przypominał związki utracone przez organizm wskutek odwodnienia. Ryder podchodził do tego sceptycznie, dopóki cholera nie złożyła Baczita, którego uratował szczodrymi dawkami proszku.

Upchnął wszystkie potrzebne rzeczy do worka po sorgo i pobiegł do konsulatu. Wszedł do łazienki i zobaczył, że Amber wciąż leży w wannie. Była naga, a Rebecca i Nazira myły ją, zanurzając gąbki w misce z ciepłą mydlaną wodą, którą trzymała Saffron. David krążył bezcelowo w tle, trzymając w ręku kubek ciepłej czarnej herbaty. W pomieszczeniu zalegał smród wymiocin i fekaliów, ale Ryder pilnował się, żeby nie okazać odrazy.

— Wymiotowała?

- Tak — odparł David — ale zwróciła tylko trochę herbaty. Nie sądzę, żeby miała czym wymiotować.

— Ile wypła? — zapytał Ryder, wrywając kubek Davidowi z ręki i wsypując do niego garść proszku.

— Dwa kubki i trochę — oznajmił David z dumą.

— Za mało — warknął Ryder. — O wiele za mało.

— Już więcej nie wypije.

— Wypije. Jeśli nie, podam jej to przez wężyk od lewatywy. — Podszedł z kubkiem do wanny. — Amber, słyszałaś, co powiedziałem? — Pokiwała głową. — Nie lubisz lewatywy, prawda? — Gwałtownie pokręciła głową i mokre loki spadły jej na oczy. — W takim razie pij! — Podłożył rękę pod jej głowę i przysunął kubek do ust. Wypiła z wysiłkiem, potem położyła się, zasapana. Osłabiona długotrwałym niedożywieniem teraz dosłownie nikła w oczach. W ciągu godzinnej nieobecności Rydera zaszła w niej dramatyczna zmiana. Nogi miała cienkie jak patyki, żebra odznaczały się pod skórą niczym kościste palce. Przez niemal przejrzystą skórę na zapadniętym, bladym jak księżyc brzuchu widać było siatkę niebieskich żył.

Ryder wsypał do kubka następną garść proszku i nalał ciepłej herbaty z czajnika, który stał w pogotowiu.

— Pij! — rozkazał i Amber zmusiła się do wypicia. Oddychała płytko, jej oczy zapadły się w sinych oczodołach.

— Nie mam ubrania. Proszę, Ryderze, nie patrz na mnie. Zdjął marynarkę z moleskinu i okrył ją.

— Obiecuję, że nie będę patrzeć, jeśli ty obiecasz pić. — Dolał herbaty i wsypał proszek. Gdy wypiła, jej brzuch wydał się niczym balon. Zaburczały gazy, ale już się nie wypróżniła. Ryder napełnił kubek.

— Nie mogę wypić więcej. Błagam, nie zmuszaj mnie — poprosiła.

— Możesz. Obiecałaś.

Wmusiła w siebie tę i następną porcję. Potem w powietrzu rozszedł się silny zapach amoniaku i żółty strumyczek moczu spłynął dnem wanny do odpływu.

— Przez ciebie zmoczyłam się jak dziecko. — Pochlipywała cichutko ze wstydu.

— Grzeczna dziewczynka. To znaczy, że masz w sobie więcej wody, niż tracisz. Jestem z ciebie dumny. — Rozumiał, że naraził na szwank jej poczucie przyzwoitości, dlatego odsunął się od wanny. — Teraz zajmą się tobą Rebecca i Saffy, ale nie zapominaj o swojej obietnicy. Musisz pić. Zaczekam na zewnątrz. Przed wyjściem z łazienki szepnął do Rebecki: — Chyba pokona chorobę. Największe niebezpieczeństwo minęło. Ale niebawem zaczną się skurcze. Zawołaj mnie natychmiast. Trzeba będzie masować jej ręce i nogi, inaczej ból stanie się nie do zniesienia. — Wyjął z worka butelkę oleju kokosowego, którą przyniósł z Ibisa. — Powiedz Nazirze, żeby zabrała to do kuchni i rozgrzała do temperatury ciała, nie bardziej. Będę w pobliżu.

Inni goście wyszli już dawno i w domu panowała cisza. Ryder i David usiedli na najwyższym stopniu schodów. Rozmawiali bez większego zaangażowania. Omówili wiadomości o kolumnie odsieczy i posprzeczali się w kwestii terminu przybycia parowców. David zgadzał się z oceną „Chińczyka” Gordona, Ryder zaś był jej przeciwny.

— Gordon lubi mijać się z prawdą. Zawsze mówi to, co jak najlepiej służy jego celom. Uwierzę w parowce, kiedy zacumują w porcie. Tymczasem będę trzymał Ibisa pod parą.

Gdzieś żałośnie zahukała sowa, potem drugi raz i trzeci. David podniósł się i niespokojnie podszedł do okna. Wsparł ręce na parapecie, patrząc na rzekę, i wyrecytował: Kiedy o północy sowa trzy razy zahuka jednym tchem, to znaczy, że zapowiada nadciągającą śmierć.

— Zabobonna bzdura — skomentował Ryder. — Co więcej, ani porządnego rytmu, ani rymu.

— Pewnie ma pan rację — zgodził się David. — Niania nauczyła mnie tej rymowanki, gdy miałem pięć lat. Była złośliwą jędzą i uwielbiała straszyć dzieci. — Wyprostował się i spojrzał na brzeg rzeki. — Tam jest łódź, blisko plaży.

Ryder zbliżył się do okna.

— Gdzie?

— Tam! Nie, już zniknęła. Przysięgam, to była łódź, mała feluka.

Z łazienki dobiegł krzyk bólu. Pobiegli do Amber. Leżała zwinięta w kłębek. Wymizerowane mięśnie w jej kończynach prężyły się jak rzemienie, napinane przez skurcze do granic wytrzymałości. Wyjęli ją z wanny i położyli na czystych ręcznikach, które Rebecca z Nazirą rozesały na kafelkach posadzki.

Ryder podwinął rękawy i ukląkł obok chorej. Gdy Nazira wlała rozgrzany olej kokosowy w jego złęczone dłonie, zaczął masować powykręcane nogi Amber. Czuł pod skórą zawężłone mięśnie.

— Rebecco, zajmij się drugą nogą. Nazira i Saffy, rękami — polecił. — W ten sposób. — Podczas gdy pracowali, David wlał do ust chorej dziewczynki jeszcze trochę herbaty z proszkiem. Rebecca patrzyła na dłonie Rydera. Były szerokie i mocne, ale delikatne. Mięśnie Amber stopniowo się rozluźniały.

— To jeszcze nie koniec — przestrzegł Ryder. — Pojawią się kolejne skurcze. Musimy być gotowi, gdy tylko chwyci ją następny spazm.

Jakie głębie kryją się w tym człowieku, pomyślała Rebecca. Jakże fascynujące sprzeczności. Czasami jest bezwzględny, kiedy indziej pełen współczucia i wspaniałomyślności. Czy nie postąpię niemądrze, pozwalając mu odejść?

Niespełna godzinę później zaczął się następny atak i musieli podjąć masaż. Ten stan rzeczy trwał przez resztę nocy. Tuż przed świtem, gdy byli już u kresu wytrzymałości, skurczone członki rozprostowały się powoli, węzły mięśni zmiękły i rozluźniły się. Amber zasnęła.

— Nastąpiło przesilenie — szepnął Ryder — ale trzeba otoczyć ją troskliwą opieką. Zaraz po przebudzeniu musi wypić herbatę z proszkiem. Jeść też musi. Możecie podać jej kleik z durry i zielonego ciasta. Szkoda, że nie mamy niczego bardziej pożywnego, na przykład bulionu z kury, ale nic na to nie poradzimy. Przez kilka dni będzie słaba jak noworodek, może nawet przez kilka tygodni. Ponieważ biegunka nie powtórzyła się od północy, mam więc nadzieję, że zarazki, jak Joseph Lister nazwał maleńkich sprawców kłopotu, zostały z niej wymyte. — Podniósł z podłogi mokrą, zabrudzoną marynarkę. — Wiesz, gdzie mnie znaleźć, Rebecco. Jeśli przyślesz wiadomość, przybędę bez chwili zwłoki.

— Odprowadzę cię do drzwi. — Rebecca wstała. Gdy wyszli na korytarz, chwyciła go za ramię. — Jesteś czarodziejem, Ryderze. Dokonałeś magicznej sztuki. Nie wiem, jak nasza rodzina ci się za to odwdzięczy.

— Nie dziękuj mi, tylko zmów modlitwę za starego opata Michaela, który oskubał mnie z pięćdziesięciu denarów Marii Teresy za worek kredy.

Przy drzwiach zatrzymała go i pocałowała, ale odsunęła się, gdy tylko poczuła reakcję jego ciała.

— Jesteś w równym stopniu czarodziejem i satyrem. — Zdobyła się na nikły uśmiech. — Ale nie teraz. Wrócimy do tej sprawy przy pierwszej okazji. Może jutro, po przybyciu odsiecz, kiedy wszyscy będziemy bezpieczni.

— Będę trzymać się na wodzy — obiecał — ale powiedz mi, najdroższa, czy poświęciłaś choć jedną myśl moim oświadczeniom?

— Z pewnością rozumiesz, że w tym trudnym czasie muszę myśleć przede wszystkim o Amber i reszcie rodziny, ale wiedz, iż moje uczucie do ciebie wzrasta z każdym dniem. Jestem przekonana, że kiedy tylko ta okropna wojna dobiegnie końca, będziemy mieli coś cennego do podzielenia, może do końca naszych dni.

— W takim razie będę żyć nadzieją.

Do ostatecznego ataku na Chartum Osman Atalan wybrał dwa tysiące najlepszych wojowników. Wymaszerował z Omdurmanu, nie próbując kryć swoich ruchów. Z wyżyn blanków fortu Mukran Gordon Basza miał zobaczyć exodus i uznać go za kolejną wskazówkę, że Mahdi opuszcza miasto i

ucieka ze wszystkimi swoimi siłami do El Obejd. Gdy tylko jego ludzie znaleźli się pod osłoną wzgórz Kerreri, poza zasięgiem lunet z wież i minaretów Chartumu, Osman podzielił pułk na pięć batalionów po mniej więcej czterystu ludzi.

Wiedział, że ruch wielkiego skupiska łodzi na omdurmańskim brzegu ostrzeże Gordona Baszę, iż coś się szykuje. Gdyby spróbował przerzucić swoich ludzi jednocześnie, stłoczyliby się na wąskiej plaży poniżej majdanu i w ciemności powstałby chaos. Zdecydował, że do przeprawy użyje tylko dwudziestu łodzi, przy czym każda z nich zabierze dwudziestu mężczyzn. Po przewiezieniu pierwszych czterech setek łodzi zawrócą po następny batalion. Pierwsza fala napastników jak najszybciej opuści plażę, tworząc miejsce dla następnej. Osman ocenił, że transport całego pułku na drugą stronę Nilu zajmie nieco ponad godzinę.

Dobrze znając swoich ludzi, wydał szejkom dowodzącym batalionami rozkazy na tyle proste, żeby nie zapomnieli ich w gorączce bitwy i w czasie podniecającego plądrowania miasta.

Szpiedzy derwiszów wyrysowali szczegółowe plany systemów obronnych w mieście. Nadrzędnym celem Osmana były stanowiska gatlingów. Ostatnie spotkanie z tą bronią głęboko wryło mu się w pamięć. Nie chciał, żeby ta rzeź się powtórzyła. Pierwszy batalion miał ruszyć prosto do gniazd karabinów maszynowych i wyłączyć je z akcji.

Kiedy karabiny zostaną przejęte lub zniszczone, ansarowie wedrą się przez nadbrzeżne umocnienia, a następnie wybiją egipskich żołnierzy w koszarach i arsenale. Dopiero wtedy będzie mógł bezpiecznie spuścić swoich ludzi ze smyczy, pozwalając im rozprawić się z cywilami.

Zeszej nocy Mahomet, pierwszy Prorok Allaha, odwiedził Muhammada, Mahdiego, swojego następcę. Oznajmił, że wiara i poświęcenie ansarów zostaną nagrodzone. Kiedy dostarczą Mahdiemu głowę Gordona Baszy, przez dziesięć dni wolno im będzie bez przeszkód łupić Chartum. Następnie miasto zostanie spalone, a wszystkie główne budowle — przede wszystkim kościoły, misje i konsulaty — zburzone. Z ziemi Sudanu muszą zniknąć wszystkie ślady niewiernych.

O zmroku Osman wyprowadził dwa tysiące ludzi zza wzgórz Kerreri i wrócił do Omdurmanu. Nocnemu pokazowi fajerwerków i występowi orkiestry wojskowej po drugiej stronie rzeki w Chartumie brakowało wcześniejszego ferworu. W mieście panowało powszechne rozczarowanie, bo parowce jeszcze nie przybyły. Kiedy zgasła ostatnia raca i zapadła cisza, Osman poprowadził pierwszy batalion w dół brzegu rzeki, gdzie cumowało dwadzieścia łodzi. Mała flotylla składała się z feluk i dau handlowych. Przeprawa przez Nil w tumanach mgły odbywała się w niesamowitej ciszy. Osman pierwszy wyszedł na brzeg. Z al-Nurem i tuzinem zaufanych agadżerów pomknął w górę plaży.

Zaskoczenie było kompletne. Egipscy wartownicy spali snem sprawiedliwego w przekonaniu, że o świcie zobaczą parowce odsieczy zakotwiczone pod murami. Nikt nie zatrzymał napastników, nikt nie wystrzelił ani nie krzyknął na alarm, gdy agadżerowie Osmana dotarli do pierwszej linii okopów. Ich miecze wznosiły się i opadały w straszliwie znajomym rytmie. W ciągu paru minut okopy zostały oczyszczone. Martwi i ranni egipscy żołnierze tworzyli sterty. Osman i jego agadżerowie pomknęli do arsenału. Nie zdążyli dotrzeć do celu, gdy na plaży wylądował drugi batalion.

Nagle strzał karabinowy zmałował ciszę, potem huknął drugi. Rozległy się krzyki, ryknęła trąbka, wzywając do broni. Nieskoordynowany, punktowy ostrzał z karabinów zmienił się w grzmiącą palbę i echa rozchodziły się po mieście, gdy przerażeni Egipcjanie strzelali do cieni albo tchórzliwie w powietrze. Niedaleko małej plaży ryknęła ombeja i zadudnił bęben wojenny, gdy następny batalion wylądował na plaży i wpadł przez wyłom do miasta.

— Jest tylko jeden Bóg, a Muhammad, Mahdi, jest jego prorokiem. — Zawołanie bojowe niosło się przez miasto i nagle na ulicach zaroily się uciekające postacie. Ich błagalne wrzaski zlewały się

w bełkot przerażenia i bólu, niczym głosy z piekielnej otchłani.

— Litości, w imię Allaha!

— Łaski! Oszczędźcie nas!

— Derwisze są w mieście! Uciekać! Uciekajcie, inaczej umrzecie!

Wszystkie wspaniałe forty i reduty Gordona były przygotowane do obrony przed napaścią od strony rzeki. Zaatakowane od tyłu, szybko zostały zdobyte. Agadżerowie Osmana masakrowali zaskoczonych obrońców albo ścigali ich po ulicach i zaułkach, gdy zmykali jak króliki przed wilczą watahą.

David siedział za biurkiem, pracując nad swoim dziennikiem. Uzupełniał wpisy na bieżąco przez dziesięć długich miesięcy oblężenia. Wiedział, że to bezcenny dokument. Miasto niebawem zostanie wyzwolone, więc prawdopodobnie już za parę tygodni znajdzie się wraz z dziewczętami na pokładzie zmierzającego do Anglii parowca kompanii P&O. Jednym z pierwszych zadań, jakie chciał zrealizować po powrocie, miało być rozwinięcie dziennika w długi rękopis. Zapotrzebowanie społeczeństwa na książki o przygodach i zdobywaniu Czarnego Kontynentu wciąż nie było zaspokojone. Baker, Button i Stanley zarobili po kilka tysięcy funtów na swoich publikacjach. Sam Baker otrzymał nawet tytuł szlachecki od królowej za dokonania literackie. David nie miał wątpliwości, że pamiętniki naocznego świadka męskiej obrony miasta zainteresują wielu czytelników, a relacja o odwadze i cierpieniach trzech córek chwyci za serca każdą czytelniczkę. Miał nadzieję, że miesiąc po przybyciu do Anglii książka będzie gotowa do druku. Zanurzył pióro w srebrnym kałamarzu i starannie wytarł nadmiar atramentu. Potem rozmarzonym wzrokiem zapatrzył się w płomień biurkowej lampy.

Książka może mu przynieść z pięćdziesiąt tysięcy. Ta myśl ogrzała mu serce. Czy mogę liczyć na sto? Pokręcił głową. O wiele za dużo. Będę szczęśliwy, gdy dostanę dziesięć tysięcy. To pomoże nam się urządzić. Jak dobrze będzie znowu być w domu!

Rozmyślenia przerwał wystrzał. Padł niedaleko, gdzieś przy majdanie. David rzucił pióro, robiąc kleks na stronicy, i podszedł do okna. Rozległy się kolejne strzały, cała kanonada, trzeszczący huragan karabinowego ognia.

— Boże! Co się tam dzieje? — Otworzył okno i wysunął głowę.

W pobliżu trębacz wygrywał przenikliwy, nagłący sygnał „do broni”.

Z dali dobiegał cichy, ale triumfalny chór arabskich głosów: — La ilaha illallah! Jest tylko jeden Bóg!

Przez krótką chwilę David stał jak wrośnięty w ziemię, zbyt wstrząśnięty, by nabrać powietrza w płuca, a potem wyszeptał: — Wdarli się! Derwisze wdarli się do miasta!

Wrócił biegiem do biurka i podniósł dziennik. Był zbyt ciężki, żeby zabierać go z sobą, dlatego zamknął książkę w sejfie ukrytym za boazerią w gabinecie. Na ścianie za biurkiem wisiała jego ceremonialna szabla. Nie nadawała się do walki, a on nie był szermierzem, lecz mimo to przypiął ją do pasa. Potem wyjął z szuflady webleya i wsunął go do kieszeni. Poza bronią w pokoju nie było nic wartościowego. Wybiegł do holu i popędził po schodach do sypialni.

Rebecca zabrała Amber do swojego pokoju, żeby opiekować się nią w nocy. Nazira rozłożyła sobie angareb w kącie. Obie kobiety zbudziły się i stały niezdecydowanie na środku pomieszczenia.

— Ubierać się natychmiast! — rozkazał David. — Amber też. Nie traćcie ani chwili.

— Co się dzieje, tato? — Rebecca była zdezorientowana.

— Myślę, że derwisze wdarli się do miasta. Musimy uciekać do kwatery Gordona. Tam będziemy bezpieczni.

— Amber nie wolno ruszać. Jest zbyt osłabiona, to może ją zabić.

— Jeśli derwisze ją znajdą, jej los będzie znacznie gorszy — powiedział ponuro. — Obudź Amber. Ja ją zaniosę. — Zwrócił się do Naziry: — Biegnij do pokoju Saffron, szybko. Każ jej się ubrać. Przyrowadź ją tutaj. Musimy natychmiast uciekać.

Po paru minutach wszyscy byli gotowi. David niósł Amber, a kobiety deptały mu po piętach, gdy zbiegał ze schodów. Zanim dotarł na dół, rozległ się brzęk tłuczonego szkła, trzask wyłamywanych płycin w głównych drzwiach i dzikie arabskie okrzyki.

— Znaleźć kobiety!

— Zabić niewiernych!

— Tędy — warknął David i razem pobiegli do pokojów na tyłach. Usłyszeli huk, gdy wyważone drzwi upadły na posadzkę.

— Trzymać się blisko mnie! — David poprowadził je do drzwi wychodzących na dziedziniec. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowała się kwatera główna Gordona. Wysunął rygiel i uchylił lekko drzwi. Wyrżał ostrożnie. — Droga wolna, przynajmniej w tej chwili.

— Jak Amber to znosi? — zapytała Rebecca z z troskaniem.

— Spokojnie — odparł David. Była lekka jak ptaszek. Nie poruszała się. Gdyby nie czuł pod rękaję bijącego serca, mógłby uznać, że zmarła. Raz usłyszał jej cichy jęk.

Do kwatery Gordona mieli około stu kroków. Główna brama po drugiej stronie dziedzińca była zaryglowana. Zewnętrzne schody na bocznych ścianach prowadziły na piętro, do prywatnych pokoi generała. Nigdzie nie było śladu egipskich żołnierzy.

— Gdzie jest Gordon? — zapytał David z konsternacją. Wyglądało na to, że nawet w twierdzy generała nie znajdą schronienia. W tej chwili rozległ się głuchy huk i brama zadygotała. Straszny chór arabskich okrzyków wojennych narósł do ryku. Podczas gdy David próbował podjąć decyzję, co zrobić, z budynku kwatery głównej wybiegło trzech egipskich żołnierzy, kierując się ku bramie.

— Dzięki Bogu! Wreszcie się pobudzili! — zawołał David i już miał wyprowadzić kobiety z pałacu, gdy ku jego zdumieniu żołnierze podnieśli ciężkie belki, żeby otworzyć bramę. — Tchórzliwe kanalie poddają się, wpuszczają derwiszów bez walki — warknął.

Żołnierze krzyczeli: — Jesteśmy zwolennikami Boskiego Mahdiego!

— Jest jeden Bóg, a Muhammad, Mahdi, jest jego prorokiem.

— Wejdźcie, wierni, i oszczędźcie nas, bo jesteśmy waszymi braćmi w Allahu.

Otworzyli bramę i horda mężczyzn w łaciatych dżibbach wlała się na dziedziniec. Pierwsi derwisze bez litości wymordowali egipskich zdrajców i setki stóp stratowały ich ciała. Wielu napastników niosło zapalone pochodnie i migotliwe żółte światło oświetlało przerażającą scenę. David miał zamiar zamknąć i zaryglować drzwi, zanim zostaną odkryci, ale w tej chwili ktoś się pojawił na szczycie kamiennych schodów. Przeważała ciekawość i David z fascynacją patrzył przez szczelinę.

Generał Charles Gordon był ubrany w galowy mundur. Chlubił się swoją umiejętnością wywierania wrażenia na dzikusach i barbarzyńcach. Nie spieszył się z ubieraniem nawet wtedy, kiedy usłyszał odgłosy pandemonium, które rozpętało się na ulicach.

Przypiął wszystkie odznaczenia, ale zamiast broni wziął lekką trzcinkę: doskonale wiedział, czym grozi sprowokowanie ludzi, których chciał ugłaskać.

Spokojne, hipnotyczne spojrzenie jego szafirowych oczu lśniło w świetle pochodni, kiedy podniósł ręce, żeby uciszyć wrzawę. Zdaniem Davida był to próżny gest, ale, zadziwiające, po chwili na dziedzińcu zapadła nienaturalna cisza. Gordon nie opuszczał rąk, jak dyrygent, który chce zapanować nad niezgodnie brzmiącą orkiestrą. Głos miał silny i niewzruszony, gdy przemówił po arabsku z silnym obcym akcentem: — Pragnę pomówić z waszym panem, Mahdim.

Derwisze zafalowali niczym pole durry na wietrze, ale żaden nie odpowiedział. Jego głos zabrzmiał ostrzej i bardziej władczo, gdy znów się odezwał — wydawało się, że zapanował nad sytuacją.

— Kto pośród was jest przywódcą? Niech wystąpi.

Z tłumu wyszedł wysoki, uderzająco przystojny mężczyzna w zielonym turbanie emira. Stał na pierwszym stopniu schodów.

— Jestem emir Osman Atalan z Bedżów, a to są moi agadżerowie.

— Słyszałem o tobie — powiedział Gordon. — Podejdź do mnie.

— Gordonie Baszo, nie będziesz wydawać rozkazów żadnemu synowi islamu, bo to jest ostatni dzień twojego życia.

— Nie rzucaj gróźb, emirze Atalanie. Śmierć wcale mnie nie przeraża.

— W takim razie zejdziesz ze schodów i spotkaj się z nią jak mężczyzna, a nie jak tchórzliwy niewierny pies.

Przez kilka sekund „Chińczyk” Gordon patrzył na niego wyniośle. Obserwując tę scenę z mroku za uchylonymi drzwiami, David zastanawiał się, co się dzieje w tym zimnym, precyzyjnym umyśle. Czy nawet teraz nie było w nim cienia wątpliwości ani drżenia strachu? Gordon nie okazywał żadnych emocji, gdy ruszył w dół schodów. Stąpał pewnym, miarowym krokiem, jak na placu musztry. Zatrzymał się na stopniu nad Atalanem.

Osman przyjrzał się jego twarzy, potem rzekł cicho: — Tak, Gordonie Baszo. Widzę, że rzeczywiście jesteś odważnym człowiekiem. — I wbił sztych w brzuch Gordona. Prawie tym samym ruchem wyciągnął miecz i chwycił go oburącz. Bładoniebieskie światło w oczach generała zamigotało jak płomień świecy na wietrze, zimne granitowe rysy roztopiły się niczym wosk. Starał się stać prosto, ale płomień burzliwego żywota przygasał. Nogi powoli ugięły się w kolanach. Osman czekał z podniesionym mieczem. Gdy Gordon się pochylił, zrobił zamach, mierząc w podstawę szyi. Ostrze pomknęło jak błyskawica, przecinając kręgosłup, i głowa generała spadła niczym ciężki owoc z drzewa durianu. Z głośnym łoskotem uderzyła w kamienne schody i stoczyła się na dziedziniec. Osman pochylił się, złapał w garść gęste włosy i nie zwracając uwagi na krew bryzgającą na dżibbę, podniósł ją wysoko, aby pokazać swoim agadżerom.

— Ta głowa jest naszym darem dla Boskiego Mahdiego. Proroctwo zostało wypełnione. Wola i słowo Allaha panują nad całym stworzeniem.

Jeden ryk wzbił się w nocne niebo: — Bóg jest wielki!

Kiedy zapadła cisza, Osman przemówił: — Macie dar dla Muhammada, Mahdiego. Teraz kolej na dar dla was. Przez dziesięć dni to miasto, wszystkie jego skarby i ludzie należą do was. Możecie robić z nimi, co chcecie.

David nie czekał na rozwój wypadków. Podczas gdy derwisze skupiali uwagę na emirze, zamknął i zaryglował drzwi. Ułożył Amber wygodniej na ramieniu i poprowadził kobiety przez komórkę przy kuchni, obok spiżarni i wejścia do piwnic na wino do małych drzwi, które prowadziły do kwater służby. Ścigał ich trzask łamanych mebli. Kobiety lekko podniosły głowy, słysząc tupot stóp na piętrze. Derwisze demolowali pałac. David przez chwilę nie mógł otworzyć drzwi wyjściowych, ale wreszcie wyprowadził je na nocne powietrze.

Dotarli do cuchnącej drogi sanitarnej, która biegła za tylnym murem pałacu. Wzdłuż wąskiej uliczki stały rzędy kubłów z nieczystościami. Nie zabierano ich od miesięcy i odór ekskrementów przyprawiał o mdłości. Mogli zatrzymać się na chwilę, żeby złapać oddech; żaden pobożny muzułmanin nawet nie zajrzy w takie nieczyste miejsce. Zza granicznego muru i z pałacu, z którego przed chwilą uciekli, płynęły krzyki i huk strzałów.

— Co teraz zrobimy, tato? — zapytała Rebecca.

— Nie wiem — przyznał David. Amber jęknęła, więc pogłaskał ją po głowie. — Są wszędzie dokoła. Chyba nie ma drogi ucieczki.

— Parowiec Rydera Courtneya czeka pod parą w kanale. Ale musimy się pospieszyć, bo odpłynie bez nas.

— Tak, oczywiście. Masz rację.

— Musimy przejść przez dzielnicę tubylców.

— Prowadź!

Rebecca chwyciła Saffron za rękę.

— Naziro, złap ją za drugą.

Kobiety pobiegly pomiędzy kubłami. Zasapany David spieszył za nimi. Kiedy dotarli do wylotu zaułka, Rebecca zatrzymała się i popatrzyła, czy ulica przed nimi jest pusta. Pobiegli do następnego skrzyżowania, gdzie znów sprawdziła teren. Biegli etapami, od skrzyżowania do skrzyżowania. Dwa razy Rebecca zauważyła zmierzające w ich stronę grupy derwiszów, ale zdążyli skręcić w boczną uliczkę. Wreszcie dotarli na tyły konsulatu belgijskiego. Musieli się zatrzymać, żeby nie wpaść na kolejną bandę derwiszów, włamującą się do budynku. Jako tarana używali ławki z katolickiej katedry. Wysokie rzeźbione drzwi ustąpiły z trzaskiem i derwisze wpadli do środka.

Rebecca rozejrzała się, szukając innej drogi ucieczki. W tym czasie agadżerowie wyciągnęli na ulicę korpulentnego konsula. Le Blanc kwiczał jak prosię wleczone do rzeźni. Walczył i próbował się wyrwać, ale nie miał szans ze szczupłymi, żyłastymi wojownikami. Rzucili go na wznak pośrodku drogi i odarli z ubrania. Kiedy był nagi, jeden ukląkł przy nim z wyciągniętym sztyletem. Złapał w garść włochatą mosznę i rozciągnął tak, jakby była z gumy arabskiej. Odciał ją jednym ruchem, pozostawiając krwawą jamę pod bladym, obwisłym brzuchem. Ci, którzy trzymali konsula, rycząc ze śmiechu, rękojeściami sztyletów podważyli mu szczękę i wepchnęli jądra w usta, uciszając jego wrzaski. Potem dopełnili rytualnego okaleczenia, odcinając ręce w nadgarstkach i stopy w kostkach. Zostawili go, wijącego się na ziemi, i wrócili do budynku, żeby dołączyć do grabieży. Le Blanc usiadł jak jakiś groteskowy posąg Buddy i krwawiącymi kikutami próbował wyjąć z ust zwiotczałą mosznę.

— Słodki Jezu, to straszne! — zawołała Rebecca stłumionym, współczującym głosem. — Biedny monsieur! — Zrobiła krok w jego stronę, żeby udzielić pomocy.

— Nie! Ciebie też dopadną. — Głos Davida również był zdławiony, nie tyle z litości, ile ze zmęczenia. Długi bieg z Amber w ramionach pozbawił go sił. — Nie możemy nic dla niego zrobić. Możemy tylko próbować uratować siebie. Becky, kochanie, idziemy dalej. Nie oglądaj się.

Skoczyli w następną uliczkę, wchodząc coraz głębiej w labirynt dzielnicy tubylców, coraz bardziej odbijając od bezpośredniej drogi do kompleksu Rydera Courtneya. Po pokonaniu kilkuset jardów David stanął jak jeleń osaczony przez ogary. Twarz miał wykrzywioną z bólu, krople potu ściekały mu po brodzie.

— Tato, nic ci nie jest? — Rebecca odwróciła się w jego stronę.

— To tylko zadyszka — wysapał. — Nie jestem już taki młody. Daj mi chwilę na złapanie oddechu.

— Podaj mi Amber.

— Nie! To kruszynka, ale dla ciebie za ciężka. Za chwilę dojdę do siebie. — Osunął się na ziemię, wciąż tuląc Amber do piersi. Kobiety czekały, ale każdy strzał czy krzyk sprawiał, że rozglądały się ze strachem i tuliły do siebie. Od strony konsulatu belgijskiego płomienie wzbily się w niebo i oświetliły otoczenie żółtym, migotliwym blaskiem. David dźwignął się na nogi i stanął chwiejnie. — Możemy iść.

— Proszę, pozwól mi wziąć Amber.

— Nie bądź niemądra, Becky. Nic mi nie jest. Ruszaj!

Przyjrzała mu się z bliska. Był blady i jego twarz lśniła od potu, ale wiedziała, że sprzeczenie się z nim będzie stratą cennego czasu. Chwyciła ojca pod rękę, żeby nie stracił równowagi, i poszli, choć teraz znacznie wolniej.

Po przejściu kilku kroków David znów musiał przystanąć.

— Jak daleko do Ibisa?

— Niedaleko — skłamała. — Tuż za tym małym meczetem na końcu ulicy. Dasz radę.

— Oczywiście. — Ruszył chwiejnie.

Nagle usłyszeli krzyk i arabskie głosy. Obejrzeli się. Dostrzegła ich kolejna banda. Co najmniej dwudziestu derwiszów potrząsało bronią i wyło z podniecenia na widok kobiet.

Rebecca pociągnęła Davida za róg najbliższego budynku, na chwilę niknąc im z oczu. David ciężko oparł się o ścianę.

— Nie pójdę dalej, nie mogę. — Podał Amber Rebecce. — Weź ją i uciekajcie. Ja zatrzymam ich tutaj.

— Nie zostawię cię — oświadczyła Rebecca stanowczo. Ojciec chciał się z nią kłócić, ale nie zwracając na niego uwagi powiedziała do Naziry: — Zabierz Saffron i uciekaj. Nie oglądaj się! Biegnij do statku.

— Zostanę z tobą, Becky! — krzyknęła Saffron.

— Jeśli mnie kochasz, zrobisz, co każę.

— Kocham cię, ale...

— Idź! — rozkazała Rebecca.

— Proszę, Saffy, posłuchaj siostry. — Głos Davida był ochrypły z bólu. — Zrób to dla mnie.

Saffron wahała się jeszcze przez chwilę.

— Zawsze będę cię kochać, tatusiu, i Becky, i Amber — powiedziała i złapała rękę Naziry. Obydwie pobiegły w głąb zaułka. David i Rebecca odwrócili się w stronę derwiszów, którzy wypadli zza rogu. Ich dżibby i miecze były czerwone od krwi, a twarze wykrzywione żądzą mordy. David wyciągnął szablę. Stał przed Rebeccą i Amber, żeby je bronić.

Derwisze ustawili się przed nim półkolem, tuż poza zasięgiem jego broni. Jeden wyskoczył do przodu i zamarkował cios w głowę. Kiedy David poderwał szablę, odskoczył ze śmiechem. David chwiejnie ruszył za nim. Pozostali dołączyli do zabawy. Drażnili się z Davidem, zmuszając do obracania się to w jedną stronę, to w drugą.

Tymczasem jeden napastnik zaszedł Rebeccę od tyłu. Chwycił ją w talii i zadarł jej spódnicę. Nie miała bielizny. Inni Arabowie ryczeli z uciechy, gdy trącał biodrami pośladki, naśladując akt spółkowania. Rebecca wrzasnęła z oburzenia i próbowała się wyrwać, ale miała ograniczoną swobodę ruchów, bo wciąż trzymała Amber. David cofnął się, żeby chronić córki.

Derwisz puścił Rebeccę.

— Wszyscy na niej pojeździmy, a ona da nam dwudziestu muzułmańskich synów — powiedział ze śmiechem, patrząc na nią lubieżnie.

Ból w piersi i szyderstwa doprowadziły Davida do szału. Przypuszczał atak za atakiem, ale ansarowie byli szybcy i zwinni. Osłepiony przez pot i okulawiony przez nasilający się ból, w końcu wypuścił szablę z ręki i upadł na kolana. Twarz miał spuchniętą i wykrzywioną, otwartymi ustami chwycił powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. Jeden z agadżerów stanął za nim i z wprawą chirurga odciął mu ucho. Krew trysnęła na koszulę, ale zdawało się, że David nie czuje bólu.

Rebecca podbiegła do ojca i uklękła przy nim. Objęła go ramieniem.

— Proszę! — odezwała się po arabsku. — On jest moim ojcem.

Proszę, oszczędźcie go. — Krew z rany spływała na nich oboje.

Derwisze parsknęli śmiechem.

— Proszę, oszczędź go! — przedrzeźniali ją. Jeden złapał dziewczynę za włosy, odciągnął od ojca i pchnął na drogę.

Usiadła, trzymając Amber na kolanach. Szlochała rozdzierająco.

— Zostawcie go w spokoju!

David drżącą ręką sięgnął do kieszeni po rewolwer. Zataczał nim błędne kręgi.

— Cofnijcie się, bo zacznę strzelać.

Agadżer, który odciął mu ucho, znowu się przysunął i kolejnym szybkim, kontrolowanym ruchem odrąbał mu rękę w nadgarstku.

— Ulituj się nad nami, o potężny niewierny, albowiem wielce się ciebie boimy — zadrwił.

David przyglądał się kikutowi ręki, z którego tryskał strumień jasnej krwi.

— Boże, co oni ci zrobili! — krzyknęła Rebecca.

David przycisnął okaleczoną rękę do piersi i pochylił głowę jak do żarliwej modlitwy. Arabski szermierz znów się przybliżył i lekko dotknął ostrzem jego karku, przymierzając się do ciosu.

Rebecca wrzasnęła rozpaczliwie, gdy podniósł miecz. Głownia płynnie, bezdźwięcznie przecięła szyję i głowa spadła z ramion Davida. Ciało przewróciło się, nogi odtoczyły konwulsyjną gige.

Arab podniósł głowę za siwe włosy. Podszedł do skulonej Rebecki i przysunął głowę Davida do twarzy dziewczyny.

— Jeśli jest twoim ojcem, pocałuj go na pożegnanie, zanim pójdzie gotować się w wodach piekielnych.

Rebecca szlochała histerycznie, próbując zasłonić oczy siostry i odwrócić jej buzię. Ale Amber wykręciła się i wrzasnęła, gdy spojrzała w twarz ojca. Spomiędzy obwisłych warg wystawał koniuszek języka, oczy były otwarte, puste i niewidzące.

Wreszcie derwisza znudziła ta rozrywka. Odrzucił głowę i wytarł zakrwawione ręce w stanik sukni Rebecki. Przez ubranie szczypał i wykręcał jej sutki, i śmiał się, gdy krzyczała z bólu.

— Weźcie je! — rozkazał. — Zabierzcie do kojca te dwie brudne niewierne suki. Nauczą się służyć swoim nowym panom.

Poderwali na nogi Rebecę, która wciąż trzymała Amber w ramionach, i pociągnęli ją w kierunku rzeki.

Saffron kuciała w kącie zrujnowanej chałupy. Nazira klęczała przy niej, gdy razem patrzyły, jak w głębi uliczki derwisze znęcają się nad ojcem dziewczynki i Rebecą. Saffron była zbyt przerażona, żeby krzyczeć czy płakać. Kiedy oprawca podszedł do Davida i podniósł miecz, zakryła usta rękami, żeby nie zdradzić się krzykiem, ale nie mogła oderwać oczu od strasznego widoku. Lecz gdy derwisz zadał śmiertelny cios i zwłoki ojca upadły, wstrząs uwolnił emocje. Zaczęła szlochać bezgłośnie.

Patrzyła, jak dręczą Amber, podsuwając jej głowę ojca, i nie mogła zapanować nad łzami. A kiedy Arabowie powlekli siostry ku rzece, poderwała się i złapała Nazirę za rękę. Pobiegły w stronę kompleksu Rydera Courtneya.

Rozwidniało się, kiedy tam dotarły. Zewnętrzna brama była otwarta na oścież, a zabudowania wyglądały na wyludnione. Jak dotąd derwisze jeszcze nie opuścili centrum miasta. Wbiegły na wewnętrzne podwórze. Saffron zatrzymała się, żeby przez otwarte drzwi zajrzeć do blokhauzu. Wnętrze było puste, ogołocone ze wszystkich wartościowych rzeczy.

— Spóźniłyśmy się! Ryder odszedł! — zawołała do Naziry. Z rozpaczą w sercu pobiegła do bramy od strony kanału. Była zamknięta, ale niezaryglowana. Uchylenie skrzydła wymagało ich wspólnego wysiłku. Saffron wyszła pierwsza i stanęła jak wryta. Miejsce, w którym zwykle cumował Nieustraszony Ibis, było puste.

— Gdzie jesteś, Ryderze? Gdzie się podziałeś? Dlaczego mnie zostawiłeś? — Z trudem wciągnęła powietrze, walcząc z narastającymi falami paniki. Wzięła się w garść i pobiegła ścieżką holowniczą w kierunku Nilu Błękitnego. Była w połowie drogi do pierwszego zakrętu, gdy poczuła

dym z komina Ibis. — Nie może być zbyt daleko — powiedziała do siebie i wezbrała w niej nadzieja. Szybko wyprzedziła Nazirę, która miała kłopoty z dotrzymaniem jej kroku. Przy pierwszym zakręcie wrzasnęła co sił w piersiach: — Zaczekaj na mnie! Idę! Zaczekaj, Ryderze! — Oddalony o dwieście jardów Ibis był coraz bliżej rzeki. Saffron zebrała siły i popędziła za nim. Mały parowiec jeszcze nie płynął pełną mocą, bo kanał był płytki i kręty. Zdesperowana Saffron zaczęła go dopędzać.

— Zaczekaj! Ryderze, zaczekaj! — W blasku iskier strzelających z komina dostrzegła na mostku ciemną sylwetkę, ale Ryder patrzył przed siebie. Pracujące maszyny zagłuszały jej głos.

— Ryderze! — krzyknęła. — Błagam, odwróć się! — Potem uznała, że lepiej oszczędzać oddech, i tylko biegła jak najszybciej. Ibis dotarł do rzeki i przyspieszył porwany przez nurt Nilu. Saffron zatrzymała się na brzegu. Parowiec oddalał się szybko w kłębach srebrnej mgły, która wisiała nisko nad wodą. Dziewczynka opuściła ręce i stała nieruchomo. Nazira podeszła do niej i objęły się, zrozpaczone. Nagle na ścieżce holowniczej za nimi huknął strzał. Obejrzały się i zobaczyły czterech biegnących derwiszów. Jeden zatrzymał się i podniósł karabin. Strzelił drugi raz. Kula wzbija obłoczek pyłu ze ścieżki i wpadła do rzeki. Saffron odwróciła się w stronę szybko oddalającego się parowca.

Ryder usłyszał strzały i patrzył za rufę. W sercu Saffron wezbrała fala nadziei: zaczęła krzyczeć i machać rękami. Parowiec zawrócił. Saffron spojrzała na derwiszów. Cała czwórka biegła. Zrozumiała, że dopadną ją, zanim Ibis dotrze do ujścia kanału.

— Chodź! — zwróciła się do Naziry. — Musimy popłynąć.

— Nie! — Nazira pokręciła głową. — Al-Sachawi zajmie się tobą. Ja muszę wrócić do moich dziewczynek. — Saffron klóciłaby się z nią, mimo że pościg zbliżał się szybko, ale Nazira uprzedziła jej protesty i skrzyknęła ze ścieżki. Zniknęła w trzcinach rosnących wzdłuż brzegu.

— Naziro! — krzyknęła za nią Saffron, ale wrzaski derwiszów były głośniejsze. Dziewczynka zdjęła buty, podkasała spódnicę i pobiegła na skraj kanału. Zaczepiła powietrze i skoczyła. Kiedy jej głowa wyłoniła się z wody, z determinacją popłynęła pieskiem w kierunku zbliżającego się parowca.

— Dzielna mała! — usłyszała głos Rydera, dziko wierzgając nogami i zgarniając wodę rękami. Padł kolejny strzał i kula wzbija fontannę, która zalała jej oczy.

— Szybciej, Saffy. — Ryder wychylał się przez burtę, gotów złapać ją w każdej chwili. — Płyn. — Wreszcie poczuła, jak chwyta ją prąd, i przyspieszyła. Potem zobaczyła nad sobą twarz Rydera i wyciągnęła ręce.

— Trzymam cię! — Jednym ruchem wyciągnął ją z rzeki, jak tonące kocię, i postawił na pokładzie. — Zawracaj! — polecił Baczitowi.

Baczit zakręcił kołem i pokład pochylił się, gdy parowiec wykonywał zwrot. Wrócili na środek nurtu. Derwisze wciąż strzelali ze ścieżki, ale rzeczna mgła szybko zamknęła się wokół statku i choć kule burzyły wodę w pobliżu albo odbijały się od stalowej nadbudówki, napastnicy już ich nie widzieli. W końcu strzały ucichły.

Co się stało, Saffy? — Ryder zaniósł ją do kabiny. — Gdzie wszyscy inni? Gdzie Rebecca i Amber, i wasz ojciec? Próbując zapanować nad płaczem, objęła go za szyję.

— To zbyt straszne, Ryderze, żeby o tym mówić. Wydarzyły się okropne rzeczy. Potworne rzeczy. Posadził ją na koi. Chciał dać jej trochę czasu na dojście do siebie. Podał jej brudny, ale suchy ręcznik.

— Dobrze, najpierw doprowadzimy cię do porządku. Potem mi wszystko opowiesz. — Ze sznura nad koją zdjął spłowiałą niebieską koszulę. — Powieś tu sukienkę. Jak się wytrzesz, włóż tę koszulę

i przyjdź na mostek. Tam będziemy mogli porozmawiać.

Koszula sięgała jej za kolana, jak swobodna sukienka. Saffron znalazła w szufladzie pod koją krawat Rydera i przewiązała się nim jak paskiem. Szylkretowym grzebieniem uczesała mokre włosy i związała je w kucyk. Parę minut później poszła na mostek. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte od płaczu.

— Zabili mojego tatę — powiedziała bezradnie i podbiegła do Rydera.

Chwycił ją i przytulił mocno.

— To niemożliwe. Jesteś pewna, Saffy?

— Widziałam. Odcięli mu głowę, jak generałowi Gordonowi. Potem zabrali Rebeccę i Amber.

— Zdusiła szloch. — Nienawidzę ich. Dlaczego są tacy okrutni?

Ryder posadził ją na zrębnicy luku maszynowni. Objął jedną ręką.

— Opowiedz mi wszystko dokładnie.

Jock McCrump usłyszał jej głos i wyszedł z maszynowni. Obaj z Ryderem w milczeniu słuchali opowieści. Nim Saffron skończyła, słońce wyłoniło się zza horyzontu i wypalało rzeczną mgłę. Miasto ukazywało się powoli w surowych szczegółach. Ryder naliczył osiem płonących budynków, w tym belgijski konsul. Gęsty dym płynął nad rzeką.

Potem skierował lunetę na przysadzistą sylwetkę fortu Mukran. Flagi zostały ściągnięte, goły maszt wyglądał jak szubienica. Powoli obejrzał resztę miasta. Tłumy w łaciatych dziłbach tańczyły na ulicach, tłoczyły się na nabrzeżu. Obłoki czarnego dymu wzbijały się w powietrze, gdy zwycięzcy strzelali na wiwat. Wielu dźwigało tobołki z łupami. Inni polowali na tych, którzy przeżyli atak. Ryder wypatrzył niewielkie grupy kobiet prowadzonych w kierunku komory celnej.

— Jaki kolor miała suknia Rebecki? — zapytał, nie opuszczając lunety. Nie chciał oglądać bólu, który musiał odmalować się na twarzy Saffron.

— Niebieska góra z żółtą spódnicą.

Choć wypatrywał oczy do bólu, nie dostrzegł niebiesko-żółtej sukni ani jasnej głowy wśród pojmanych kobiet. Ale były daleko, a dym z płonących budynków i pył wzbijany przez ludzi przysłaniały widok.

— Dokąd zabiorą kobiety, Baczit?

— Zagonią je do zagrody, jak jałówki na targu bydłowym. Będą przebywać w zamknięciu, dopóki Mahdi nie znajdzie czasu, żeby je obejrzeć. Najpierw on, a potem jego kalifowie i emirowie wybiorą te, które im się spodobają.

— Co się stanie z Rebeccą i Amber?

— Z żółtymi włosami i białą skórą są cenną zdobyczą. Na pewno zabierze je Mahdi. Zostaną jego pierwszymi nałożnicami.

Ryder opuścił lunetę. Zrobiło mu się niedobrze. Myślał o Rebecce, którą kochał i miał nadzieję poślubić, a która miała zostać zabawką zbrodniczego fanatyka. Myśl była zbyt bolesna, dlatego na siłę przepędził ją z głowy. I natychmiast pomyślał o słodkiej małej Amber, którą pielęgnował i wyrwał ze szponów cholery. W wyobraźni zobaczył blade dziecięce ciało, które masażem przywracał do życia — ciało gwałcone i rozdzierane, z nasieniem spływającym po niedojrzałym łonie. Żółć podeszła mu do gardła.

— Podpłyn bliżej brzegu — polecił Baczitowi. — Muszę zobaczyć, gdzie one są, żeby obmyślić ratunek.

— Teraz tylko Allah może je uratować — powiedział Baczit cicho. Saffron usłyszała i znowu łzy spłynęły jej po policzkach.

— Niech cię diabli, Baczit, rób, co każe — warknął Ryder.

Baczit skrzył i ostrożnie zbliżyli się do nabrzeża. Z początku przyciągali niewielką uwagę. Derwisze byli zbyt zajęci plądrowaniem miasta. Od czasu do czasu ktoś strzelił w ich kierunku, ale na tym koniec. Dopłynęli do zbiegu dwóch wielkich rzek, potem zawrócili, trzymając się jak najbliżej chartumskiego brzegu. Nagle huknęła armata i pocisk spadł przed dziobem. Gejzer wody zalał pokład. Ryder zobaczył dym nad murem portu. Derwisze skierowali na nich zdobyte działa. Chwilę później do akcji włączono armatę z reddy poniżej majdanu. Pocisk z wyciem przemknął nad mostkiem i wybuchł na środku rzeki.

— Nic tu po nas, służymy im tylko za cel. — Ryder spojrział na Baczita. — Wróc na środek nurtu i płyn w górę rzeki. Znajdziemy spokojne miejsce do zakotwiczenia, zbierzemy więcej informacji.

Gdy się dowiemy, co zrobili z Rebeccą i Amber, będę mógł z sensem zaplanować ratunek.

Cztery mile w górę Nilu Błękitnego brzegi były puste. Ryder skrzył do Laguny Małej Ryby, w której kiedyś przeładował durę z dau rasa Hajlu. Rzucił kotwicę w kępie papirusu, zasłaniającej Ibis przed ciekawskimi oczami z brzegu.

Gdy pokład został sklarowany, zawołał Baczita do maszynowni, gdzie mogli porozmawiać bez ryzyka, że podsłucha ich ktoś z załogi. Nie tracąc czasu, wyłożył swój pomysł.

— Jak sądzisz, dasz radę wmieszać się w tłum i bez wzbudzania podejrzeń dowiedzieć się, co spotkało al-Dżamal i al-Zahrę?

Baczit ściał usta i wydał policzki, upodabniając się do chomika.

— Jestem taki jak oni. Czemu ktoś miałby mnie podejrzewać?

— Chciałbyś to zrobić?

— Nie jestem tchórzem, ale nie jestem też lekkomyślny. Czemu miałbym chcieć? Nie, al-Sachawi. Nie chcę. Zrobię to z wielką niechęcią. — Z wyrazem strapienia pociągnął się za brodę. — Zaraz ruszam.

— Dobrze. Zaczekam tu na ciebie, a gdybym został odkryty, znajdziesz mnie w ujściu rzeki Saruad. Idź do miasta i jeśli będzie trzeba, przepraw się do Omdurmanu. Jak tylko czegoś się dowiesz, wracaj, żeby mi opowiedzieć.

Baczit westchnął dramatycznie i udał się do swojej maleńkiej kajuty na dziobie. Wszedł w dżibbie derwiszów. Ryder powstrzymał się od zapytania, skąd ją wytrzasnął. Baczit wyskoczył za burtę, pobrnął do brzegu i ruszył do Chartumu.

Nie zwracając na siebie uwagi, Nazira wtopiła się w tłum derwiszów, w którym nie brakowało kobiet. Nie różniła się od nich, ubrana w czarną, długą do kostek szatę i chustkę zasłaniającą połowę twarzy. Kobiety przybyły z Omdurmanu, gdy tylko usłyszały, że miasto zostało zdobyte. Zwabiła je perspektywa triumfalnego świętowania i łupów, a także egzekucji i tortur. Zamożni obywatele Chartumu mieli skrytki, w których chowali swoje cenne rzeczy, złoto, klejnoty i pieniądze. Kobiety wiedziały, że trzeba będzie zmusić ich do mówienia, a wydobywanie informacji było sztuką, której nauczyły się od swoich matek i doprowadziły do perfekcji.

Nazira dołączyła do przepychającej się, podskakującej, wrzeszczącej ludzkiej rzeki, która płynęła nabrzeżem. Tłum rozdzielił się, żeby przepuścić zakuty w łańcuchy egipskich żołnierzy. Odarto ich z mundurów, a potem wychłostano, więc ich gołe plecy wyglądały jak podrapane przez rozjuszony lwy. Krew z pociętej przez bicze skóry wsiąkała w spodnie i ściekała po nogach. Gdy szli w kierunku plaży, kobiety biły ich wszystkim, co miały pod ręką. Strażnicy śmieli się pobłażliwie, a kiedy któryś jeniec padał pod ciosami, sztychami mieczy podnosili go z ziemi.

Nazira rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, dokąd zostały zabrane jej podopieczne, ale była uwięziona w rzeszy kobiet. Zobaczyła plażę, gdzie w pośpiechu wznoszono szubienice z byle jak ociosanych słupów. Inne uginały się już pod ciężarem wisielców, a na plażę wleczono za pętle

zarzucone na szyję kolejnych jeńców. Oprawcy grupami wpychali ich na łóżka ustawione pod szubienicami. Po przywiązaniu sznurów do poprzecznej belki wyciągali je i ofiary wierzgały nogami w powietrzu.

Był to żmudny proces, dlatego inna banda załatwiała sprawę mieczami. Rzucali ofiary na kolana w długich rzędach, z rękami związanymi na plecach, z pochylonymi głowami. Potem dwaj kaci ruszali z przeciwnych stron szeregu i szli powoli ku sobie, po drodze ścinając głowy. Obserwatorzy krzyczeli, gdy kolejne głowy upadały w błoto. Klaskali i pohukiwali szyderczo, kiedy jednemu z katów zmęczyła się ręka i tylko nadciął szyję ofiary.

Wreszcie Nazira zdołała wyrwać się z tłumu i ruszyła w stronę brytyjskiego konsulatu. Brama była otwarta i niestrzeżona. Wśliznęła się na tereny pałacowe. Budynek był poważnie zniszczony, szyby wybite, drzwi wyłamane. Przemknęła chyłkiem na frontowy taras i zobaczyła kolejne zniszczenia. W strachu, że może natknąć się na szabrowników, weszła do wnętrza przez francuskie okno i w rumowisku znalazła drogę do gabinetu Davida. Pokój był zasłany papierami i dokumentami.

Jednakże dębowa boazeria była nietknięta. Podeszła szybko i wcisnęła sprężynę wbudowaną w rzeźbioną listwę. Panel odskoczył z cichym szcęknięciem, odsłaniając drzwiczki sejfu. Ojciec pozwalał Rebecce trzymać tam biżuterię, a Rebecca nauczyła Nazirę kombinacji, żeby nie musiała sama wyjmować i odnosić klejnotów. Kombinacją była jej data urodzenia. Nazira odpowiednio pokręciła tarczą, nacisnęła rączkę i otworzyła drzwiczki.

Na górnej półce leżał oprawiony w skórę dziennik Davida. Dolne były wypełnione rodzinnymi precjozami, łącznie z biżuterią, którą Rebecca odziedziczyła po matce. Kosztowności spoczywały w etui z czerwonej skóry. Wśród nich leżały płócienne woreczki, zawierające ponad sto funtów w złotych i srebrnych monetach. Zabieranie wszystkiego byłoby niebezpieczne. Nazira zostawiła w sejfie całą biżuterię i większość gotówki, zamknęła drzwiczki i wsunęła na miejsce maskujący panel. Tutaj miał być jej tajny bank, gdyby potrzebowała pieniędzy. W kieszeni w rękawie schowała kilka drobnych monet, przeznaczonych na bieżące potrzeby.

Podniosła szatę i opasała wydatny brzuch sznurkiem, do którego przywiązała płócienną sakiewkę, a potem wygładziła materiał.

Z gabinetu poszła na piętro, do sypialni Rebecki. Mimo woli przystanęła w drzwiach, wstrząśnięta rozmiarem zniszczeń. Szabrownicy strzaskali wszystkie meble, a książki i ubrania rozrzucili po podłodze. Zaczęła szukać w tym bałaganie.

Była bliska rozpacz, gdy w końcu wypatrzyła szalony woreczek pod wywróconym łóżkiem. Sznurek był rozwiązany i znaczna część lekarstwa przeciw cholerze wysypała się na podłogę. Zgarnęła proszek do woreczka. Uratowała tyle, ile mogła, zaciągnęła sznurek i zawiesiła woreczek na szyi, chowając go pod ubraniem. Zabrała też parę kobiecych drobiazgów, które mogły się przydać.

Zeszła na parter i wymknęła się z pałacu. Opuściła ogrody przez furtkę na końcu tarasu i zniknęła w tłumie świętujących derwiszów. Odkrycie, gdzie trzymani są więźniowie, nie zabrało jej dużo czasu: wieści wykrzykiwano na ulicach i ciekawscy ciągnęli gromadnie do komory celnej. Wielu wspięło się na mury i wisiało przy oknach, oglądając jeńców. Nazira podkasała spódnicę i po skarpie wdrapała się do najwyższego rzędu zakratowanych okien, łokciami odpychając z drogi dwóch małych uliczników. Kiedy zaprotestowali, zwymyślała ich tak, że uciekli jak niepyszni. Chwyciła się krat i przycisnęła twarz do kwadratowego otworu.

Po minucie jej oczy przyzwyczyły się do przytłumionego światła. Egipskie więźniarki były żonami i córkami oficerów Gordona Baszy, którzy prawdopodobnie leżeli bez głów na plaży albo wisieli na szubienicach. Kobiety kucaly w żalonych grupkach, tuląc swoje dzieci. Wiele z nich było zbryzganych krwią zamordowanych mężczyzn. Nazira dostrzegła kilka białych kobiet: zakonnice z

katolickiej misji, austriacką lekarkę, żony kilku zachodnich handlarzy i podróżników, których wybuch wojny zastał w mieście.

Nagle serce załomotało jej w piersi. Zauważyła Rebecę siedzącą na kamiennej podłodze, opartą plecami o ścianę, z Amber na kolanach. Była w żałosnym stanie, pobrudzona kurzem i sadzą. Włosy miała w nieładzie, pozlepiane potem, bosa stopy zapylone, podrapane i posiniaczone. Krew ojca zaschła w ciemnych plamach na jej żółtej spódnicy. Siedziała z dala od innych, próbując odpierać fale rozpacz. Nazira rozpoznała stoicką minę, która maskowała odwagę dziewczyny, i była z niej dumna.

— Dżamal! — zawołała, ale głos utonął w harmiderze wzniesionym przez inne kobiety. Zawodziły i oplakiwały zabitych mężczyzn, modliły się głośno o ratunek, błagały zwycięzców o łaskę, a przede wszystkim o wodę.

— Wody. W imię Allaha, dajcie nam wody. Nasze dzieci konają z pragnienia. Wody!

— Dżamal, moja piękna! — krzyknęła Nazira. Rebecca nie podniosła głowy, kołysząc Amber w ramionach.

Nazira oderwała kawałek tynku ze zmurszałego parapetu i wrzuciła go przez kraty. Okruch spadł tuż przed Rebecą, przeturlał się po kamiennych płytach i uderzył ją w kostkę. Dziewczyna podniosła głowę i rozejrzała się.

— Dżamal, moja dziewczynko!

Rebecca spojrzała w górę, dostrzegła twarz w oknie umieszczonym wysoko nad podłogą i szeroko otworzyła oczy, gdy ją rozpoznała. Wstała z Amber w ramionach i powoli zbliżyła się do ściany. Zadarła głowę i wypowiedziała jedno słowo: — Majja! Wody! — Pokazała buzię Amber i dotknęła jej opuchniętych, spierzchniętych ust. — Wody!

Nazira pokiwała głową i zsunęła się z muru. Przepychała się przez tłum, dopóki nie znalazła wypatrzonej wcześniej staruszki z osłem. Nogi zwierzęcia dosłownie gięły się pod ciężarem bukłaków i worków z chlebem. Staruszka robiła doskonale interesy z głodnymi i spragnionymi ludźmi na nabrzeżu.

— Matko, chcę kupić jedzenie i jeden z twoich bukłaków.

— Mam trochę chleba i suszonego mięsa na sprzedaż, i za trzy pice możesz napić się do syta, ale bukłaka nie odstąpię — powiedziała kobieta stanowczo. Zmieniła zdanie, kiedy Nazira pokazała jej srebrnego denara.

Z małym bukłakiem na ramieniu Nazira wróciła pod komorę celną. Przy głównym wejściu stało pięciu strażników z wyciągniętymi mieczami, trzymając ciekawskich w pełnej respektu odległości. Nazira stwierdziła, że wszyscy są Bedżami, jej współplemieńcami. Z dreszczykiem podniecenia rozpoznała jednego z nich. Pochodził z tego samego klanu i został obrzezany w tym samym czasie co jej zmarły mąż. Obaj jeździli pod sztandarem emira Osmana Atalana, przed wzlodem Mahdiego, kiedy ich świat był zdrowy i uporządkowany, jeszcze nieopętany nowym fanatyzmem.

Przysunęła się bliżej drzwi. Człowiek, którego znała, groźnie potrząsnął mieczem.

— Ali Wad! — zawołała cicho. — Mój mąż też brał udział w słynnej wyprawie do Gonderu, kiedy to zabiliście pięćdziesięciu pięciu abisyńskich chrześcijan i zagarnęliście dwieście pięćdziesiąt świetnych wielbłądów.

Opuścił miecz i popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Jak ma na imię twój mąż, kobieto? — zapytał.

— Nazywał się Taher Szerif, zginął z rąk Dżaalinów w Tuszkicie.

— W takim razie ty jesteś Nazira, kiedyś uważana za piękną. — Jego surowa mina złagodniała. A w niej budziły się uczucia, jakimi niegdyś go darzyła.

— Kiedyś wszyscy byliśmy młodzi — powiedziała i opuściła chustkę, żeby mógł zobaczyć jej twarz. — Wygląda na to, Ali Wadzie, że zostałeś człowiekiem władzy. Który wciąż roznieca płomień w brzuchu każdej kobiety.

Roześmiał się.

— Srebrnosta Nazira! Lata zmieniły nas trochę. Czego chcesz ode mnie? — Wyjaśniła mu, i jego uśmiech zgasł. Znów miał marsową minę. — Prosisz, żebym ryzykował życie.

— Jak mój mąż narażał je dla ciebie... jak kiedyś młoda wdowa zaryzykowała coś więcej dla twojej przyjemności. Zapomniałeś?

— Nie. Ali Wad nie zapomina o przyjaciółach. Chodź ze mną.

Wprowadził ją do głównej sali, a strażnicy odnosili się do niego z szacunkiem. Rebecca podbiegła do Naziry. Uściskały się z radością i ze łzami w oczach. Amber, choć wycieńczona, poznała ją i szepnęła: — Kocham cię, Naziro. Czy ty wciąż mnie kochasz?

— Całym sercem, Zahro. Przyniosłam wodę i jedzenie. — Zaprowadziła siostry w ką, gdzie uklękły blisko siebie. Nazira zmieszała z wodą trochę proszku przyniesionego z pałacu. Podniosła kubek do ust Amber, która wypła łąpczywie.

W tym czasie Ali Wad patrzył groźnie na inne więźniarki.

— Te trzy kobiety — wskazał Nazirę i jej podopieczne — są pod moją ochroną. Która wejdzie im w drogę, zrobi to na własne ryzyko, bo jestem człowiekiem popędliwym. Okładanie kobiet korbaczem sprawia mi wielką przyjemność. — Pokazał im bicz ze skóry hipopotama. — Uwielbiam słuchać ich pisków.

Skuliły się lękliwie. Ali Wad pochylił się i szepnął coś do ucha Naziry. Opuściła oczy i zachichotała kokieteryjnie. Ali Wad wrócił na posterunek przy drzwiach, uśmiechając się szeroko i gładząc brodę.

Woda wywarła cudowny efekt. Amber natychmiast się ożywiła.

— Co się stało z moją siostrzyczką? — zapytała. — Gdzie jest Saffy?

— Jest bezpieczna z al-Sachawim — zapewniła ją Nazira. — Zanim do was wróciłam, widziałam, jak dostała się na pokład parowca.

Rebecce odjęło mowę, gdy usłyszała tę cudowną nowinę. Zarzuciła ręce na szyję Naziry i uściskała ją serdecznie.

— Przestań płakać, Dżamal — powiedziała Nazira surowo. — Wszystkie musimy być mądre, silne i ostrożne, jeśli chcemy przeżyć ciężkie dni, które nas czekają.

— Dzięki tobie wiem, że Saffy jest bezpieczna, a więc mogę stawić czoło przyszłości. Co zrobiam z nami derwisze?

Nazira nie odpowiedziała, tylko spojrzała znacząco na Amber.

— Najpierw musicie się najeść i napić, żeby odzyskać siły.

Porozmawiamy potem.

Dała im po kawałku chleba z durry. Amber zjadła kilka kęsów i nie zwymiotowała. Nazira z satysfakcją pokiwała głową i wzięła ją na kolana, żeby Rebecca mogła najeść się i odpocząć. Gładziła włosy dziewczynki i nuciła cicho, i Amber prawie od razu zasnęła.

— Wydobrzeje za kilka dni. Młodzi są najbardziej odporni.

— Co się z nami stanie? — Rebecca powtórzyła pytanie.

Nazira ściągnęła usta, zastanawiając się, co jej powiedzieć. Tyle prawdy, ile będzie konieczne, zdecydowała.

— Wszystkie kobiety stanowią łupy wojenne, jak konie i wielbłądy. — Rebecca popatrzyła na otaczające ją żałosne postacie i litowała się nad nimi, dopóki nie przypomniała sobie, że ona i

Amber są w tym samym położeniu. — Derwisze zrobią z nimi, co zechcą. Stare i brzydkie zostaną domowymi i kuchennymi niewolnicami. Młode i ponętne zostaną nałożnicami. Ty jesteś młoda i niezwykle piękna.

Twoje włosy i jasna skóra zaintrygują wszystkich mężczyzn.

Rebecca zadrżała. Nigdy nie zastanawiała się, co to znaczy należeć do mężczyzny innej rasy. Teraz na tę myśl zrobiło się jej niedobrze.

— Będą ciągnąć o nas losy? — W Zmierzchu cesarstwa rzymskiego autorstwa Gibbona wyczytała, że tak robili żołnierze.

— Nie. Przywódcy derwiszów będą wybierać. Mahdi pierwszy dokona wyboru, potem przyjdzie kolej na innych, wedle rangi i ważności. Ciebie wybierze Mahdi, co do tego nie ma wątpliwości. I dobrze. On jest dla nas najlepszy, znacznie lepszy niż inni.

— Powiedz mi dlaczego. Wyjaśnij mi to. Skąd możesz wiedzieć, jaki jest w zenanie?

— Już ma ponad trzysta żon i nałożnic, a one są gadatliwe. Powszechnie wiadomo, jaki ma gust i co lubi robić z kobietami.

Rebecca nie kryła zdumienia.

— Nie wszyscy mężczyźni robią to tak jak... Urwała, ale Nazira dokończyła za nią: — Jak Abadan Ridzi i al-Sachawi z tobą? Rebecca oblała się szkarłatnym rumieńcem.

Zakazuję ci mówić do mnie w ten sposób. - Postaram się pamiętać — odparła Nazira z błyskiem w oku — ale odpowiedź na twoje pytanie jest taka, że niektórzy mężczyźni chcą od swoich kobiet czegoś innego.

Rebecca zastanowiła się i wstydliwie opuściła wzrok.

— Czegoś innego. Czego chce Mahdi? Co ze mną zrobi?

Nazira zerknęła na śpiącą Amber, potem przysunęła się do Rebecki, przyłożyła rękę do jej ucha i szepnęła. Rebecca gwałtownie odsunęła głowę.

— W usta! — zachnęła się. — W życiu nie słyszałam bardziej odrażającej rzeczy!

— Niemądra dziewczyno, tylko pomyśl. Z mężczyzną, którego nie kochasz albo nienawidzisz, ten sposób jest szybszy, łatwiejszy i mniej nieprzyjemny. Nie stracisz swojego cennego dziewictwa, a jeśli już straciłaś, nikt się o tym nie dowie. Co ważniejsze, nie będzie niepożądanych następstw.

- Rozumiem, że z pewnymi mężczyznami tak może być lepiej. — Potem kolejna myśl wpadła jej do głowy. Zrobiła zaciekawioną minę. — Jak to jest... zrobić to mężczyźni albo pozwolić, żeby to zrobił?

- Przede wszystkim pamiętaj. Masz słuchać Mahdiego we wszystkim, udając przyjemność i radość. Jedna rzecz jest nadzwyczaj ważna. Nie wolno ci okazać odrazy. Jest święty, ale w tych sprawach próżny jak wszyscy mężczyźni. W przeciwieństwie do innych ma władzę nad życiem i śmiercią i nie waha się z niej korzystać, gdy ktoś sprawia mu zawód. Dlatego nie możesz krztusić się czy spluć. Wyrzucanie nasienia jest dla niego śmiertelną obrazą.

- Ale, Naziro, jeśli smak mi się nie spodoba? Co będzie, jeśli nie zdołam się powstrzymać?

- Przełknij natychmiast i będzie po krzyku. Z czasem przywykniesz. My, kobiety, uczymy się i przyzwyczajamy bardzo szybko.

Rebecca pokiwała głową. Pomysł już nie wydawał się taki szokujący.

O czym jeszcze muszę pamiętać?

— Jestem pewna, że Mahdi cię wybierze. Masz powitać go jako wybrańca Boga i następcę Proroka. Musisz powiedzieć mu, że poznanie go jest dla ciebie wielką radością i zaszczytem. Możesz dodać, że jest światłem twoich oczu i tchnieniem w twoich płucach. Potem masz mu powiedzieć, że al-Zahra jest twoją osieroconą siostrą. Święte prawo zobowiązuje go do opieki nad sierotą, więc nie

zostaniecie rozdzielone. O sierotach mówią cytaty ze świętych pism. Nauczysz się ich na pamięć, żebyś mogła je powtórzyć. Nauczę cię. — Rebecca pokiwała głową, a Nazira mówiła dalej: — Jedna rzecz jest ważniejsza od wszystkich innych. Nie wolno ci zrobić ani powiedzieć niczego, co mogłoby sprawić, że Mahdi cię nie zechce. Nie okazuj złości, urazy ani lekceważenia. Jeśli cię odrzuci, trafisz do kalifa Abdallahiego.

— Byłoby gorzej?

— Abdallahi jest najokrutniejszym, najbardziej niegodziwym człowiekiem islamu. Lepiej, żebyśmy wszystkie pomarły, niż gdyby miał wybrać ciebie czy al-Zahrę na swoją nałożnicę.

Rebecca zadrżała.

— Naucz mnie tych cytatów.

Była pojętną uczennicą i zanim Amber się zbudziła, Nazira uznała, że Rebecca zachowa się jak należy w obecności boskiego proroka.

Osman Atalan wrócił na drugą stronę Nilu ze zdobytego miasta. Zjawił się w chwale na czele flotylli łodzi, które przewiozły jego armię do Chartumu. Wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, wylegli na brzeg rzeki, żeby go powitać. Bębny wojenne huczały i dudniły, ombeja ryczały. Jeden z wojowników trzymał broń Osmana — lancę, oszczepy i miecz. Inny podprowadził jego bojowego rumaka al-Buka, w strojnym rzędzie, z karabinem w pochwie za siodłem.

Al-Nur pierwszy wysiadł z dau na brzeg, niosąc na ramieniu skórzany worek po sorgo, z dnem pokrytym plamami koloru ciemnego wina. Ludzie krzyknęli, bo odgadli jego zawartość. Krzyknęli drugi raz na widok Osmana, wysokiego i dostojnego w białej dżibbie ozdobionej kolorowymi łatami.

Osman dosiadł al-Buka i ruszył przez miasto. Tłumy wiwatowały po obu stronach wąskich, krętych ulic zasłanych palmowymi liśćmi. Dzieci biegły przed wierzchowcem, a matki wysoko podnosiły oseski, żeby mogły zobaczyć bohatera islamu i opowiedzieć o tym swoim potomkom. Dzielni mężczyźni i potężni wojownicy próbowali dotknąć jego stóp, gdy przejeżdżał, a kobiety zawodziły jego imię.

W pałacu Mahdiego Osman zsiadł z konia i wziął od al-Nura zaplamiony worek. Wszedł po zewnętrznych schodach na taras na dachu, gdzie na angarebie siedział prorok Allaha. Mahdi dał znak towarzyszącym mu młodym kobietom, a one szybko padły przed nim na twarz, po czym wycofały się z wdziękiem, zostawiając mężczyzn samych.

Osman podszedł do Mahdiego i położył przed nim worek. Ukląkł, żeby ucałować ręce i stopy proroka.

- Jesteś światłem i radością naszego świata. Oby Allah zawsze uśmiechał się do ciebie, który jesteś Jego wybranym.

Mahdi dotknął czoła Osmana.

— Obyś zawsze radował Boga tak, jak radujesz Jego pokornego proroka. - Chwycił rękę Osmana i podniósł go z klęczek. - Jak poszła bitwa?

— Z twoją obecnością czuwającą nad nami i z twoim obliczem przed nami, poszła dobrze.

— Co z moim wrogiem i wrogiem Allaha, krzyżowcem, Gordonem Baszą?

— Twój wróg nie żyje i jego dusza po wieczne czasy będzie się gotowała w wodach piekielnych. Nastał dzień, który przepowiedziałeś, i spełniło się twoje prorocstwo.

— Wszystko, co mi mówisz, Osmanie Atalanie, sprawia przyjemność Bogu. Twoje słowa są niczym miód na twoich wargach i słodka muzyka w moich uszach. Ale czy przyniosłeś mi dowód na potwierdzenie?

— Przyniosłem ci dowód, w który nikt nie zwątpi, dowód, który wywoła oddźwięk w sercu każdego syna Proroka w całym świecie islamu. - Osman pochylił się, chwycił za róg worka i

podniósł go. Zawartość wytoczyła się na gliniany taras. - Oto głowa Gordona Baszy.

Mahdi pochylił się, wspierając łokcie na udach, i spojrzał na głowę. Już się nie uśmiechał. Twarz miał zimną i beznamiętną, ale żar płonący w oczach wzbudził strach nawet w nieustraszonym sercu Osmana Atalana. Cisza przedłużała się, Mahdi przez długi czas trwał w bezruchu. Wreszcie popatrzył na Osmana.

- Sprawileś radość Allahowi i Jego Prorokowi. Zostaniesz hojnie nagrodzony. Dopilnuj, żeby głowę niewiernego nadziano na szpic przy bramie wielkiego meczetu, aby wszyscy wierni mogli ją zobaczyć i poczuć strach przed potęgą Allaha i Jego sprawiedliwego sługi Muhammada, Mahdiego.

— Tak zrobię, panie. — Osman po raz pierwszy użył tytułu rabb, oznaczającego nie tyle „pana”, ile „pana wszystkiego”. Było to również jedno z dziewięćdziesięciu dziewięciu pięknych imion Allaha. Czy nie przekroczył granic pochlebstwa? Czy nie popełnił świętokradztwa? Osman zadrzał, przestraszony własnymi przypuszczeniami. Pochylił głowę i czekał na wybuch gniewu.

Niepotrzebnie się obawiał. Miał bezbłędny instynkt. Pogodny uśmiech rozkwitł na twarzy umiłowanego Mahdiego. Wyciągnął rękę do Osmana.

— Zabierz mnie do miasta, które zdobyłeś ku chwale Allaha.

Pokaż mi łupy wielkiego zwycięstwa, które doprowadziło dżihad do pełnego rozkwitu. Zabierz mnie za rzekę Nil i pokaż mi wszystko, czego dokonałeś w moim imieniu.

Osman ujął go za rękę i pomógł mu wstać. Zeszli na brzeg rzeki i wsiedli do czekającego na nich dau. Przeprawiwszy się przez rzekę, wysiedli w chartumskim porcie. Kiedy szli nabrzeżem do pałacu gubernatora, tłumy rozwijały przed Mahdim bele zrabowanego jedwabiu, delikatnego płótna i wełny, żeby nie musiał stąpać po brudzie i pyłe zdobytego miasta. Chór modłów wznoszony przez wiernych, którzy bili przed nim czołem, ogłuszał.

W sali audiencyjnej gubernatora Mahdi zajął miejsce obok Abdallahiego. Kalif z pomocą czterech kadich, odzianych na czarno sędziów islamskich, przepypywał zamożnych obywateli Chartumu, stojących przed nimi w łańcuchach. Kazano im wyjawić, gdzie ukryli swoje skarby. Był to długi proces, bo wyznanie prawdy na samym początku niewiele dawało. Kalif Abdallahi i kadiowie musieli mieć pewność, że ofiary niczego nie zataiły. Odpowiedzi wydobywano z nich ogniem i wodą. W koszach z węglem rozgrzewano żelazo do piętnowania, a następnie na brzuchach i plecach ofiar wypalano teksty odpowiedniej sury Koranu. Krzyki udręki odbijały się od wysokiego sufitu.

— Niech Allah poczyta wasze krzyki za modlitwy i słowa pochwały — powiedział Mahdi. — Niech wasze bogactwo stanie się ofiarą ku Jego chwale.

Kiedy na poparzonej skórze nie było już miejsca na kolejne teksty religijne, rozgrzane do czerwoności żelazo przykładano do genitaliów. W końcu zaniecono nieszczęśników do fontanny pośrodku atrium pałacu. Przywiązano ich do stołków i przechylano do tyłu nad murkiem fontanny, zanurzając głowy w wodzie. Kiedy tracili przytomność, wyciągano ich, ze śluzem płynącym z ust i nosów, cucono i znowu podtapiano. Zanim wyzionęli ducha, sędziowie mieli pewność, że poznali wszystkie ich sekrety.

Abdallahi zaprowadził swojego pana do garderoby gubernatora, pełniącej funkcję tymczasowego skarbcza, i pokazał mu dotychczasowe zdobycze. Znajdowały się tam worki i skrzynie pełne monet, stery tac oraz srebrnych i złotych kielichów mszalnych; niektóre były rżnięte w kryształach górskim albo ametyście, zdobione szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami. Skarbiec zawierał stopy bel jedwabiu, delikatnej wełny i atlasu haftowanego złotą nicią, szkatułki z klejnotami, fantastyczne wyroby z Azji, Indii i Afryki, kolczyki, naszyjniki, obróżki i brosze wysadzone ognistymi diamentami, szmaragdami i szafirami. Były tam nawet posązki dawnych bóstw, pochodzące sprzed tysięcy lat i zrabowane z grobów starożytnych. Mahdi ze złością ściągnął brwi, kiedy je zobaczył.

— Są wstrętne w oczach Boga i każdego prawdziwego muzułmanina. — Jego zwykle łagodny ton grzmiał w salach tak, że nawet kalif zadrżał. — Zabierzcie je stąd, rozbijcie na sto kawałków i wrzucie do rzeki.

Podczas gdy inni ruszyli się, żeby wykonać rozkaz, Mahdi z uśmiechem zwrócił się do Osmana: — Myślę tylko to, co Allah każe mi myśleć. Moje słowa nie są moimi słowami. To słowa Boga.

— Czy błogosławiony Mahdi pragnie obejrzeć kobiety? Jeśli któraś uraduje jego oczy, zabierze ją do swojej zenany. — Kalif próbował go ułagodzić.

— Obyś był radością Allaha, Abdallahi — powiedział Mahdi — ale najpierw chciałbym się odświeżyć. Potem pomodlimy się i dopiero później pójdziemy zobaczyć nowe kobiety.

Abdallahi przygotował pawilon w pałacowym ogrodzie, z którego roztaczał się widok na rzekę i plażę przy porcie, gdzie wzniesiono szubienice. Spoczęli najedwabnych poduszkach i kobierczykach z najdelikatniejszej wełny pod przewiewnym, zawieszonym na słupkach trzciniowym daszkiem. Z porowatych glinianych dzbanów, przez które przesączał się płyn, chłodząc resztę zawartości, popijali ulubiony napój Mahdiego, syrop daktylowy z mielonym imbirem. Z umiarkowanym zainteresowaniem przyglądali się egzekucji ludzi Gordona. Niektórych ściągano z szubienicy, gdy wili się jeszcze na stryczkach, i wrzucano do rzeki z rękami związanymi na plecach.

— Szkoda, że wielu z nich jest muzułmanami — rzekł Osman — ale są również Turkami i sprzeciwili się twojemu džihadowi.

— Zapłacili za to, a szczerłość wiary pozwoli im odnaleźć spokój wieczny — odparł Mahdi i wyciągnął palec wskazujący prawej ręki na znak błogosławieństwa. Potem podniósł się i poprowadził ich w kierunku komory celnej.

Kiedy weszli do głównej sali, pojmane kobiety stały już pod ścianą. Padły na twarze, sławiąc imię Mahdiego.

Naprzeciwko klęczących kobiet strażnicy wzniesli podwyższenie zasłane perskimi dywanami. Mahdi usiadł i skinął na kalifa, by zasiadł po jego prawicy, a emirowi Osmanowi Atalanowi wskazał miejsce z lewej strony.

— Niech przyprowadzą branki, po jednej.

Ali Wad, który odpowiadał za kobiety, prezentował je w kolejności odwrotnej do zainteresowania, jakie miały wzbudzić. Zaczął od starych i brzydkich, potem pokazywał coraz młodsze i ładniejsze. Mahdi odprawił pierwszą dwudziestkę lekkim ruchem lewej ręki. Ali Wad podprowadził dziewczynę z plemienia Galla. Mahdi dał znak prawą ręką. Ali Wad zdjął jej suknię przez głowę. Wszyscy trzej mężczyźni pochyłili się, żeby ją obejrzeć. Mahdi prawą ręką wykonał kolisty gest i dziewczyna obróciła się dokoła, pokazując swoje wdzięki.

— Za chuda oczywiście — powiedział w końcu Mahdi. — Niewiele jadła w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy, ale ślicznie się zaokrągli. Jest ładna, lecz ma śmiałe oko i będzie trudna. Należy do tych, które sprawiają kłopoty w zenanie. — Lewą ręką zrobił gest odrzucenia i uśmiechnął się do kalifa. — Jeśli uważasz, że jest warta zachodu, weź ją sobie, i obyś zaznał z nią radości.

— Jeżeli narobi kłopotów w moim haremie, będzie nosić pręgi na lśniących pośladkach. — Kalif Abdallahi smagnął packą na muchy po rzeczonyj części ciała. Dziewczyna pisnęła i podskoczyła jak młoda gazela. Abdallahi prawą ręką wykonał znak akceptacji i dziewczynę odprowadzono. Wyborów dokonywano niespiesznie, mężczyźni drobiazgowo omawiali cechy prezentowanych kobiet.

Córka perskiego kupca przyciągnęła wyjątkową uwagę. Zgodzili się, że jej koścista, kanciasta twarz jest brzydka, ale miała rude włosy. Mahdi zakończył dyskusję na temat autentyczności koloru, każąc Ali Wadowi zdjąć jej ubranie. Zachwycający rdzawy odcień gęstych loczków na podbrzuszu

rozwiął ich wątpliwości.

— Jest nadzieja, że urodzi czerwono włosów synów — powiedział Mahdi. Pierwszy posłaniec Allaha, Mahomet, miał rude włosy. Dlatego dziewczyna była cenna jako materiał rozplodowy. Zdecydował, że da ją jednemu ze swoich emirów na znak boskiej łaski. To umocni jego lojalność i więzi pomiędzy nimi. Skinął prawą ręką. Potem Ali Wad przyprowadził Rebecę Benbrook. Nazira zakryła jej głowę lekkim szalem. Amber miała dość siły, żeby iść u boku siostry. Trzymała ją za rękę, szukając otuchy i wsparcia.

— Kim jest to dziecko? — zapytał kalif Abdallahi. — Czy to córka tej kobiety?

— Nie, potężny kalifie — odparł Ali Wad, jak nauczyła go Nazira. — To jej młodsza siostra.

Obie są dziewczynkami i sierotami.

Mężczyźni nie kryli zainteresowania. Błona dziewicza miała wielką wartość, bo wywierała magiczny i dobroczynny wpływ na mężczyznę, który ją przerwie. Ali Wad, zgodnie z przykazaniem Naziry, zdjął szal z głowy Rebecki. Mahdi głośno wciągnął oddech, a kalif i Osman Atalan wyprostowali się, patrząc w zdumieniu na jej włosy, uczesane starannie przez Nazirę. Promień słońca wpadł przez umieszczone wysoko okno, przemieniając włosy w złotą koronę. Mahdi skinął na Rebecę, żeby podeszła bliżej. Uklękła przed nim, a on pochylił się i okręcił na palcu luźny kosmyk.

— Miękki jak skrzydło nektarnika — wymruczał z podziwem.

Rebecca pamiętała, żeby nie patrzeć mu prosto w twarz, gdyż byłoby to oznaką braku szacunku. Ze spuszczonej oczami szepnęła ochryplym głosem: — Słyszałam, jak wszyscy sławią twoją łaskawość i świętość.

Tęskniłam za widokiem twojego pięknego oblicza tak, jak podróżny na wielkiej pustyni pragnie ujrzeć Matkę Nil.

Odrobinę szerzej otworzył oczy. Palcem podniósł jej podbródek i spojrzał w twarz.

— Dobrze mówisz po arabsku.

— To święty język. Język wiernych.

— Ile masz lat, dziecko? Jesteś dziewczynką, jak powiedział nam Ali Wad? Czy kiedykolwiek zaznałaś rozkoszy z mężczyzną?

— Modłę się, żebyś ty był moim pierwszym i ostatnim — skłamała bez zająknięcia, świadoma, ile zależy od jego decyzji. W czasie wybierania innych kobiet obserwowała kalifa i wyczuła, że Nazira powiedziała prawdę: Abdallahi był śliski jak piskorz i jadowity jak skorpion. Uznała, że lepiej umrzeć, niż wpaść w jego ręce.

Kiedy kalif szeptał do Mahdiego, w jego głosie pobrzmiwały pochlebne, nadskakujące tony.

— Wysławiany, pozwól nam obejrzeć ciało. Czy krzak jej łona ma ten sam kolor i miękkość co włosy na głowie? Czy jej piersi są białe niczym mleko wielbłądzicy? Czy wargi jej cipki są różowe jak płatki pustynnej róży? Pozwól nam odkryć te słodkie sekrety.

— Te widoki przeznaczone są wyłącznie dla moich oczu. Ta mi odpowiada. Zatrzymam ją dla siebie. — Prawą ręką uczynił znak akceptacji nad głową Rebecki.

— Nie posiadam się z radości i wdzięczności, że uznałaś mnie za godną siebie, Wielki i Boski. — Rebecca pochyliła głowę. — Ale co będzie z moją siostrzyczką? Błagam, weź ją pod swoją ochronę.

Mahdi popatrzył na Amber, która wtulała się w zakurzoną, poplamioną krwią spódnice Rebecki. Spojrzała na niego z drżeniem, a on zauważył, jaka jest młoda, słaba i chora. Oczy miała zapadnięte, otoczone sinymi kręgami, i ledwo trzymała się na nogach. Mahdi był pewny, że dziewczynka w tym stanie będzie utrapieniem i wprowadzi zamęt w jego domu. Nie pociągały go dzieci, ani dziewczynki, ani chłopcy, ale wiedział, że kalif znajduje w nich upodobanie. Niech on sobie weźmie

tę nieszczęsną małą. Już chciał zrobić gest odrzucenia, lecz Rebecca go ubiegła. Nazira nauczyła ją, co ma powiedzieć. Tym razem Rebecca przemówiła dźwięcznym głosem: — Święty Abu Szuraih spisał słowa Mahometa, posłańca Allaha, oby Allah kochał go wiecznie. Oto one: „Ogłaszam nienaruszalnymi prawa słabych, sierot i kobiet”. Powiedział także: „Allah przyjmie was tak samo, jak wy będziecie chronić sieroty pośród was”.

Mahdi opuścił lewą rękę i popatrzył na nią z namysłem. Uśmiechnął się, ale w jego oczach kryło się coś niezgłębionego. Prawą ręką zrobił znak akceptacji nad Amber i oznajmił Alemu Wadowi: — Oddaję te kobiety pod twoją opiekę. Dopilnuj, żeby nie spotkała ich krzywda. Dostarcz je do mojego haremu.

Ali Wad wraz z dziesięcioma wojownikami zaprowadził Rebecę, Amber i inne kobiety wybrane przez Mahdiego do portu. Nazira szła za nimi, nie zwracając niczyjej uwagi, i wsiadła na pokład dużego handlowego dau, żeby popłynąć na drugi brzeg do Omdurmanu. Kiedy jeden z członków załogi zgłosił zastrzeżenia w związku z jej obecnością, Ali Wad warknął na niego groźnie. Mężczyzna odszedł szybko, żeby pomóc postawić łaćniński żagiel. Od tej pory Nazira uchodziła za służbę al-Dżamal i al-Zahry, nałożnic Mahdiego. Razem przykucnęły na dziobie łodzi.

Gdy Nazira poła Amber z buklaka, Rebecca zapytała niespokojnie: — Co ja mam począć, Naziro? Nie mogę zostać własnością kolorowego tubylca, który na dodatek nie jest chrześcijaninem. — Zaczęła w pełni pojmować swoje położenie. — Prędzej umrę, niż do tego dopuszczę.

— Twoje poczucie przyzwoitości jest godne pochwały, Dżamal, ale ja też jestem kolorową mieszkanką tej ziemi — odparła Nazi-ra. — I nie jestem chrześcijanką. Skoro stałaś się taka wybredna, może będzie lepiej, gdy każesz mi odejść.

— Naziro, przecież cię kochamy. — Rebecca natychmiast okazała skruchę.

— Posłuchaj, Dżamal. — Nazira złapała ją za ramię i zmusiła do spojrzenia w oczy. — Wiatr łamie gałąź, która się nie ugina. Jesteś giętką gałązką. Musisz nauczyć się zginać.

Rebecca miała wrażenie, że miażdży ją wielki ciężar. Dokądkolwiek zwracały się jej myśli, wszędzie napotykały smutek, żal i strach. Pomyślała o ojcu i dotknęła czarnych plam na sukni. Wiedziała, że do końca życia zachowa w pamięci wspomnienie jego strasznej śmierci. Rozpacz była prawie nie do zniesienia. Pomyślała o Saffron i wiedziała, że już nigdy jej nie zobaczy. Przytuliła Amber do serca, ale zastanowiła się, czy dziewczynka przeżyje chorobę, która już wyniszczyła jej wątłe ciało. Pomyślała o czekającej je przyszłości, otwierającej się niczym czarna, nienasycona paszcza potwora.

Nie ma ratunku dla żadnej z nas. Akurat w chwili gdy to pomyślała, ktoś z załogi krzyknął nagłaco. Rozejrzała się nieprzytomnie, jak osoba brutalnie zbudzona z koszmaru. Dau dotarło na środek rzeki i zeglowało na lekkim wietrze. Cała załoga okazywała poruszenie. Mężczyźni tłoczyli się przy relingu i gadali jeden przez drugiego, wskazując w dół rzeki.

Nad wodą niósł się huk armatniego wystrzału, potem drugi. Niebawem wszystkie działa derwiszów zagrały na obu brzegach. Rebecca podała Amber Nazirze i skoczyła na równe nogi. Spojrzała w kierunku, w którym wszyscy patrzyli, i to, co ujrzała, podniosło ją na duchu. Wszystkie obawy i niepewności uleciały w jednej chwili. Zobaczyła flagę Wielkiej Brytanii, łopoczącą dumnie w jasnym słońcu.

Szybko wzięła na ręce Amber i wskazała w dół rzeki. Niespełna pół mili dalej środkiem nurtu płynęła eskadra statków. Na pokładach tłoczyli się brytyjscy żołnierze.

— Przybywają nam na ratunek, Amber. Patrz! — Odwróciła jej głowę. — Czy widziałaś w życiu coś piękniejszego? Przybyła odsiecz. — Po raz pierwszy nie hamowała łez. — Jesteśmy bezpieczne, kochanie. Będziemy bezpieczne.

Penrod Ballantyne trzymał się w pewnej odległości od rzeki, jadąc wzdłuż wschodniego brzegu w kierunku zasnutego dymem Chartumu. Każda przebyta mila utwierdzała go w przekonaniu, że miasto padło. Flagi zniknęły z wieży fortu Mukran. „Chińczyk” Gordon został pokonany. Odsiecz przybyła za późno.

Penrod próbował zdecydować, co ma obecnie zrobić. Wszystkie jego dotychczasowe kalkulacje opierały się na przetrwaniu miasta. Teraz wydawało się, że kontynuowanie jazdy pozbawione jest logiki, stało się bezcelowe. Już kiedyś widział miasto zajęte i złupione przez derwiszów. Gdy przybędzie na miejsce, jedynymi żywymi istotami w murach Chartumu będą wrony i sępy.

Ale coś pchało go dalej. Próbował przekonać sam siebie, że wynika to ze świadomości, iż zamknął za sobą drzwi. Kiedy złamał bezpośredni rozkaz sir Charlesa Wilsona, który zakazał mu opuszczać obóz w Metemmie, zawisła nad nim groźba oskarżenia o niesubordynację. Gdyby zawrócił, sir Charles Wilson natychmiast postawiłby go przed sądem wojennym.

Z drugiej strony, jaki sens ma jazda do przodu? — zadawał sobie pytanie. Byli inni, którzy być może żyli i potrzebowali jego pomocy: generał Gordon i David Benbrook, bliźniaczki i Rebecca. Przynajmniej starał się być uczciwym wobec siebie. Uwiedzenie Rebecki Benbrook ciążyło mu na sumieniu, odkąd wyjechał z Chartumu. Prawdopodobnie wracał z jej powodu. Musiał dowiedzieć się, co się z nią stało, bo inaczej do końca życia będzie dręczyć go jej wspomnienie.

Nagle zatrzymał wielbłąda i spojrzał w stronę rzeki. Huk wystrzału był bliski i wyraźny. Po nim nastąpiło kilka kolejnych, które szybko przerodziły się w zmasowaną kanonadę.

— Co się dzieje?! — krzyknął do Jakuba, który jechał niedaleko za nim. — Do czego strzelają?

Wzdłuż brzegu rósł las kolczastych akacji i palm, zasłaniając rzekę. Penrod przynaglił wielbłąda do galopu. Przejechali przez pas drzew i wypadli na brzeg Nilu. Ujrzeni żałosny widok. Parowce dywizji Wilsona parły w górę rzeki w kierunku Chartumu, którego dachy rysowały się wyraźnie na tle nieba. Z masztów spływały czerwono-biało-niebieskie flagi brytyjskie. Na pokładach tłoczyli się żołnierze, ale Penrod wiedział, że każdy statek wiózł ich nie więcej niż dwustu lub trzystu. Przez lunetę zobaczył, że w większości są to nubijscy piechurzy. Na mostku prowadzącego statku skupiła się gromadka białych oficerów. Wszyscy patrzyli przez lunety w górę rzeki. Nawet z tej odległości Penrod rozpoznał wysoką, niezgrabną sylwetkę Wilsona, z twarzą przysłoniętą wielkim hełmem korkowym.

— Za późno, Charlesie Płochliwy — szepnął z goryczą. — Gdybyś postąpił zgodnie z wolą generała Stewarta i jego oficerów, zdążyłbyś na czas, żeby przechylić szalę i ocalić życie nieszczęsnym, którzy dziesięć miesięcy czekali na twoje przybycie.

Pociski spadały gęsto wokół małych statków. Hordy arabskiej kawalerii nadciągały galopem od strony Omdurmanu i Chartumu, pędząc na spotkanie flotylli. Derwisze strzelali z siodła, dotrzymując tempa parowcom.

— Musimy do nich dołączyć! — krzyknął Penrod do Jakuba i razem wmieszali się pomiędzy derwiszów. Była to dla nich idealna przykrywka. Szybko zgubili się w pyłe i zamęcie arabskich szwadronów. Strzelali z równym entuzjazmem jak otaczający ich jeźdźcy, ale mierzyli tak nisko, że ich kule trafiały do rzeki, nikomu nie wyrządzając krzywdy.

Pociski armatnie smagały wodę wokół dwóch parowców i wzbijały wysokie fontanny. Kule dziobały białe kadłuby i dziurawiły cieńszą stal kominów. Nagle rozległ się głośny wybuch i chmura srebrnej pary wystrzeliła w niebo nad drugim statkiem. Derwisze jadący wokół Penroda zawyli triumfalnie i potrząsnęli bronią.

— Pocisk trafił prosto w kocioł — jęknął Penrod. — Na wszystkich bogów wojny, ten dzień należy do Mahdiego.

Trafiony statek, wciąż spowity obłokami pary, bezradnie obrócił się i zaczął dryfować w dół rzeki. Płynący na czele parowiec Wilsona bezzwłocznie zwolnił i zawrócił, żeby pospieszyć z pomocą, a reszta eskadry poszła w jego ślady.

Arabscy jeźdźcy wykrzykiwali pogroźki i szyderstwa: — Nie przezwycięzycie wojsk Allaha!

— Allah jest jeden! Mahdi jest Jego posłańcem. Jest wszechmocny przeciwko niewiernym!

— Wracajcie do szatana, który jest waszym ojcem! Wracajcie do piekła, które jest waszym domem!

Penrod krzyczał wraz z nimi i okazywał tę samą radość, strzelając z karabinu w powietrze, ale w duchu wrzał z gniewu i miał pogardę dla Wilsona. Piękna wymówka, żeby przerwać atak i zabrać tchórzliwe dupsko z powrotem do Kairu, na wygodny fotel na werandzie Klubu Gheziera! Wątpię, sir Charlesie, czy zobaczymy pana jeszcze pod tymi szerokościami.

W nadziei, że rzeka wyniesie unieruchomiony statek na przybrzeżną mieliznę, setki derwiszów spieszyły za eskadrą w dół rzeki, nie przerywając ostrzału. Gdy parowce zdryfowały pod przeciwny brzeg, wychodząc z zasięgu karabinów, wielu jeźdźców zrezygnowało z pościgu i zawróciło do Omdurmanu. Penrod pojechał z nimi i żaden z upojonych zwycięstwem, triumfujących ansarów nie zwrócił na niego uwagi. Ponieważ droga zajęła prawie godzinę, miał okazję przysłuchać się głośnym rozmowom, które dotyczyły miażdżącego nocnego ataku na Chartum pod wodzą emira Osmana Atalana, a także grabieży. W pewnym momencie usłyszał wzmiankę o pojmanyh białych kobietach, które zaprowadzono do komory celnej w Chartumie.

Musieli mówić o Rebecce i bliźniaczkach. Nadzieja została wskrzeszona. Poza siostrami, zakonnkami i austriacką lekarką z kolonii trędowatych w Chartumie przebywało niewiele białych kobiet. Błagam, Boże, żeby mówili o Rebecce. Byłaby w niewoli, ale przynajmniej żywa.

W długim, bezładnym szeregu jeźdźców Penrod i Jakub wjechali do Omdurmanu. Jakub znał mały karawanseraj na skraju pustyni, prowadzony przez starca z plemienia Dżaalinów, dalekiego krewnego, którego nazywał wujem. Człowiek ten często udzielał mu schronienia i osłaniał przed krwawymi porachunkami z innymi potężnymi członkami plemienia. Starzec spojrzał ciekawie na Penroda, ale o nic nie dopytywał i dał im do dyspozycji brudną komórkę z umieszczonym wysoko okienkiem. Jedynym meblem był rozklekotany angareb, okryty szorstką jutą, w której gnieździły się niezliczone krwiopijcze insekty. Wydawało się, że mają za złe każdemu, kto narusza ich terytorium.

— W nagrodę za lata służby, wierny Jakubie, pozwolę ci spać na łóżku, a sam zadowolę się podłogą. Ale powiedz mi, czy możemy ufać naszemu gospodarzowi, temu Wad Hagnie.

— Przypuszczam, że wuj domyśla się, kim jesteś, bo kiedyś mu powiedziałem, dawno temu, że byłeś moim panem. Jednakże Wad Hagma jest z mojego klanu i łączą nas więzy krwi. Choć złożył Mahdiemu przysięgę Beja, jestem przekonany, że uczynił to tylko ustami, nie sercem. On nas nie zdradzi.

— Paskudnie zezuje jednym okiem, ale wydaje się, że to u was rodzinne.

Zanim napoili i nakarmili wielbłądy, a potem zamknęli je w kraalu na tyłach karawanseraju Wad Hagmy, zapadły ciemności. Weszli w rozległy labirynt świętego miasta i krążyli na pozór bez celu, ale w rzeczywistości szukali wieści o rodzinie Benbrooków. Po zmroku Omdurman nie przestał być świętym miastem, w którym obowiązywał surowy kodeks moralny Mahdiego, lecz mimo to znaleźli kilka marnie oświetlonych kawiarni. Właściciele niektórych proponowali im nargile i towarzystwo młodych, pięknych kobiet albo gdyby mieli inne upodobania, jeszcze piękniejszych chłopców.

- Z mojego doświadczenia wynika, że w każdym obcym mieście najbardziej wiarygodnym źródłem informacji są kobiety w przybytkach rozkoszy. — Jakub na ochotnika zaoferował swoje usługi.

— Wiem, że kierują tobą chwalebne pobudki, Jakubie cnotliwy. Jestem ci wdzięczny za poświęcenie.

— Brakuje mi tylko paru nędznych monet, żeby wykonać dla ciebie to uciążliwe zadanie.

Penrod wcisnął mu w rękę potrzebną sumę i ulokował się w ciemnym kącie kawiarni, skąd mógł podsłuchiwać rozmowy klientów.

— Słyszałem, że kiedy Osman Atalan położył głowę Gordona Baszy u stóp Boskiego Mahdiego, u jego boku pojawił się archanioł Gabriel i uczynił znak uświęcenia nad głową Wysławianego — mówił jeden.

— Ja słyszałem, że były dwa anioły.

— A ja słyszałem, że dwa anioły i wysłannik Allaha, pierwszy Muhammad — rzekł trzeci.

— Oby po wsze czasy żył po prawicy Allaha — powiedzieli chórem.

Aha, więc Gordona już nie ma. Penrod popijał kleistą gorzką kawę z mosiężnej czarki, żeby ukryć emocje. Dzielny człowiek. Teraz będzie miał więcej spokoju niż za życia. Chwilę później Jakub przyszedł z zaplecza, wyraźnie zadowolony z siebie.

— Nie była piękna — wyznał Penrodowi — ale życzliwa i pracowita. Poprosiła mnie, żebym pochwalił ją przed właścicielem, bo inaczej dostanie cięgi.

— Jakubie, wybawicielu brzydkich dziewczec, spełniłeś pokładane w tobie nadzieje, prawda? — zapytał Penrod, a Jakub wymownie przewrócił jednym okiem, drugie skupiając na swoim panu. — A czy poza tym dowiedziałaś się czegoś, co może być dla nas ważne? — Penrod nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Powiedziała, że wczesnym popołudniem, zaraz po tym jak parowce niewiernych sromotnie uciekły przed niezwycięzonymi ansarami Mahdiego, oby Allah kochał go po wsze czasy, na pokładzie dau wypłynęło z Chartumu pięć branek. Odpowiadał za nie Ali Wad, agadżer, dobrze tutaj znany ze swojej srogości i paskudnego charakteru. Zaraz po wylądowaniu Ali Wad zaprowadził kobiety do zenany Muhammada, Mahdiego, oby Allah kochał go wiecznie. Nikt później ich nie widział i pewnie już nie zobaczy. Mahdi dobrze strzeże swojej własności.

— Twoja uczynna młoda przyjaciółka zauważyła może, czy któraś z kobiet miała żółte włosy?

— Moja przyjaciółka, która nie jest szczególnie młoda, w tej kwestii nie ma pewności. Kobiety miały zakryte głowy.

— W takim razie musimy mieć oko na pałac Mahdiego, dopóki nie przekonamy się, czy chodzi o kobiety, na których nam zależy.

— Kobietom z haremu nie wolno opuszczać zenany — zaznaczył Jakub. — Al-Dżamal już nigdy nie pokaże się za bramą.

Nazajutrz wczesnym rankiem Jakub dołączył do wielkiej grupy wiernych i suplikantów, którzy zawsze gromadzili się przed bramami pałacu Mahdiego, gotowi paść przed nim na twarz, kiedy Wybrany uda się do meczetu, aby poprowadzić rytualne modły i wygłosić kazanie nie swoimi słowami, lecz Allaha. Tego dnia Mahdi wyszedł, jak miał w zwyczaju, punktualnie na pierwsze modlitwy, ale wokół niego panował taki ścisk, że Jakubowi udało się zobaczyć tylko haftowaną czapkę kufi. Poszedł za nim do meczetu, a po modlitwach wrócił pod mury pałacu. Przez następne trzy dni po pięć razy pokonał tę trasę, nie otrzymując żadnej wskazówki dotyczącej istnienia czy miejsca pobytu poszukiwanych kobiet. Trzeciego dnia po południu jak zwykle usadowił się w skąnym cieniu oleandra, skąd mógł obserwować bramę pałacu. Zaczął drzemać w sennym skwarze, kiedy ktoś lekko dotknął jego rękawa. Usłyszał kobiecy głos: — Szlachetny i umiłowany wojowniku Boga, mam czystą słodką wodę, która ugasi twoje pragnienie, i świeżo upieczoną asida z sosem chili, ostrym jak płomień piekła, i wszystko to za bardzo rozsądną cenę pięciu miedzianych pice.

— Obyś Bogu sprawiła taką radość, jaką sprawiasz mnie, siostró.

Kobieta nalała wody z bukłaka do emaliowanego kubka i roz-smarowała sos na okrągłym chlebie z durry. Podała mu jedno i drugie, po czym cichym głosem, stłumionym przez chustkę, przysłaniającą twarz, powiedziała: — O, wierny, przysięgłeś, że będziesz pamiętać mnie zawsze, ale już zapomniałeś.

— Nazira! — Jakub nie krył zdumienia.

- Tępaku! Przez trzy dni patrzyłam, jak paradujesz przed oczami swoich wrogów, a teraz powiększasz swoją głupotę, głośno wykrzykując moje imię.

— Jesteś światłem mojego życia — zapewnił. — Codziennie będę dziękować Allahowi, że nie ci się nie stało. Co z twoimi podopiecznymi? Czy al-Dżamal i jej dwie siostrzyczki są z tobą w pałacu? Mój pan chce to wiedzieć.

— Żyją, ale ich ojciec zginął. Tutaj nie możemy rozmawiać. Po południowych modlitwach będę na wielbłądzym targu. Tam mnie odszukaj. — Nazira odeszła, żeby zaproponować wodę i chleb innym, którzy czekali przy bramie.

Jak obiecała, znalazł ją przy studni na środku targu. Czerpała wodę do wielkiego glinianego dzbana. Dwie kobiety podniosły naczynie i postawiły jej na głowie. Nazira poprawiła dzban jedną ręką i ruszyła przez targowisko. Jakub szedł za nią w takiej odległości, aby ją słyszeć i jednocześnie nie sprawiać wrażenia, że są razem.

— Powiedz swojemu panu, że al-Dżamal i al-Zahra są w pałacu. Mahdi uczynił z nich swoje nałożnice. Saffron uciekła na parowcu al-Sachawiego. Widziałam ją na pokładzie. Ich ojciec został ścięty przez ansarów. Widziałam, jak to się stało. — Nazira szła wyprostowana, kołysząc biodrami pod ciężarem dzbana. — Jakie są zamiary twojego pana?

— Myślę, że chce uratować al-Dżamal i wziąć ją na swoją kobietę.

— Jeśli myśli, że zdoła dokonać tego w pojedynkę, to chyba słońce go poraziło. Zostaną odkryci i oboje umrą. Przyjdź tutaj jutro o tej samej porze. Jest ktoś, z kim musisz się spotkać — powiedziała. — A teraz odejdz i nie pokazuj się więcej pod bramą pałacu.

Jakub skręcił, żeby obejrzeć wielbłądy wystawione na sprzedaż, ale kątem oka spoglądał za Nazirą. Jest kobietą mądrą i wprawną w sztuce zadowalania mężczyzny, dumął. Szkoda, że nie ogranicza swoich uczuć tylko do jednego.

Następnego dnia stawił się na targu o tej samej porze. Znalezienie Naziry zabrało mu trochę czasu. Ubrana jak beduinka, pichciła coś przy koszu z węglami. Nie rozpoznałby jej, gdyby nie zawołała: — Pieczona szarańcza, panie, prosto z pustyni. Słodka i soczysta. — Przysiadł na pniaku akacji, ustawionym przy ogniu i służącym za stół. Nazira przyniosła mu garść szarańczy. — Jest tutaj ten, o którym mówiłam — szepnęła.

Jakub dotąd nie zwrócił uwagi na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie ognia. Choć nosił dżibbę i miecz, był zbyt pulchny i zbyt dobrze odkarmiony jak na agadžera. Zamiast męskiej brody jego szczękę porastało kilka kędzierzawych kosmyków. Jakub przyjrzał mu się uważniej i rozpoznał go z drzeniem zazdrosnego gniewu.

— Baczit, dlaczego nie wciskasz swoich tandetnych towarów uczciwym mężczyznom albo nie trykasz ich żon swoim niedorozwiniętym członkiem? — wycodził zimno.

— A, Jakub szybki nóż! Ile gardeł poderżnąłeś ostatnimi czasy? — Ton Baczita był równie lodowaty.

— Twoje wygląda dość miękko, żeby mnie skusić.

— Skończcie tę dziecinną sprzeczkę — odezwała się Nazira surowo, chociaż była rada, że jej przemijające wdzięki wciąż są przedmiotem zacieklej rywalizacji. — Mamy ważne rzeczy do

omówienia. Baczit, powtórz mu to, co mnie powiedziałeś.

— Mój pan, al-Sachawi, i ja uciekliśmy z Chartumu parowcem w tę noc, w którą derwisze zaatakowali i zdobyli miasto. Znaleźliśmy dziewczynkę, Filfil, i zabraliśmy ją z sobą. Po wypłynięciu z miasta zakotwiczyliśmy w Lagunie Małej Ryby. Mój pan przysłał mnie tutaj, żebym odszukał al-Dżamal. Ale nie może dłużej czekać w lagunie. Derwisze skrupulatnie przeszukują brzegi i jeśli nie ucieknie, niedługo go odkryją. Mój pan popłynie w górę Nilu Błękitnego, do cesarza Jana w Abisynii, gdzie jest znany i szanowany jako kupiec. W bezpiecznym miejscu obmyśli, jak uratować al-Dżamal i al-Zahrę. Mój pan jeszcze nie wie, że ty i twój pan jesteście w Omdurmanie, ale kiedy go powiadomię, z pewnością będzie chciał połączyć siły i razem z twoim panem ocalić dwie białe kobiety.

— Twojego pana zważ al-Sachawi z powodu hojności i tolerancji. Chodzą słuchy, że odwagą przewyższa bawołu, choć nikt nigdy nie widział go w walce. Teraz ty mówisz mi, że ten słynny wojownik zamierza uciec i zostawić dwie bezradne niewiasty na łasce losu. Ja natomiast wiem, że Abadan Ridzi nie ruszy się na krok z Omdurmanu, dopóki nie wyrwie ich ze skrwawionych szponów Mahdiego — oznajmił Jakub z pogardą.

— Ha, Jakubie, jakże budująco brzmią twoje słowa... skrwawione szpony — powiedział Baczit gładko. Wstał i wciągnął brzuch. — Ujadania szczeniaka nie sposób pomylić ze szczekaniem psa — dodał tajemniczo. — Jeśli Abadan Ridzi będzie życzył sobie pomocy al-Sachawiego w ratowaniu al-Dżamal, niech przyśle wiadomość mojemu panu. Może zrobić to za pośrednictwem rasa Hajlu, abisyńskiego handlarza ziarnem z Gonderu, którego dau regularnie przyplływają do Omdurmanu. Ras Hajlu jest zaufanym przyjacielem i współnikiem mojego pana. Nie będę tracił więcej czasu i oddechu na wyklócanie się z tobą. Zostań z Bogiem.

Baczit odwrócił się plecami do Jakuba i odszedł sztywnym krokiem.

— Jesteś jak dziecko, Jakubie. Dlaczego ja pozwalam, żebyś marnował mój czas i oddech? — To pytanie Nazira skierowała w niebo. — Baczit mówił z sensem. Trzeba czegoś więcej niż nieustraszonej odwagi, żeby wyprowadzić moje dziewczęta z haremu Mahdiego i przewieźć je tysiące mil przez pustynię w bezpieczne miejsce. Będiesz potrzebować pieniędzy na łapówki, więcej pieniędzy na zakup wielbłądów i prowiantu, jeszcze więcej na urządzenie stacji z rozstawnymi wielbłądami wzdłuż drogi ucieczki. Czy twój pan ma takie pieniądze? Nie sądzę. Al-Sachawi ma, ma także cierpliwość, której brakuje twojemu panu. A jednak w swojej arogancji i zarozumiałstwie odrzucasz propozycję pomocy, która oczywistą porażkę przedsięwzięcia twojego pana zmienia w powodzenie.

— Skoro al-Sachawi jest tak wartościowym, cnotliwym człowiekiem, dlaczego nie wydasz swojej ukochanej al-Dżamal za niego zamiast za mojego pana, Abadana Ridziego? — zapytał Jakub ze złością.

— To pierwsza sensowna rzecz, jaką powiedziałeś przez cały dzień — przyznała Nazira.

— Jesteś przeciwko nam? Nie pomożesz nam uwolnić tych kobiet? Wiesz, jak bardzo cię kocham, Naziro. Czy odrzucisz mnie dla tej bezbrodej kreatury, Baczita? — Jakub zrobił żalospną minę.

— Dopiero niedawno przybyłam do Omdurmanu. Znam niewiele osób w tym mieście. Nie mam dojścia do ludzi władzy i wpływów. W niewielu rzeczach mogę ci pomóc. Ale jedno jest pewne. Nie zaryzykuję życia dziewcząt, które kocham, dla jakiegoś dzikiego, nieprzemyślanego planu. Jeśli chcesz, żebym wam pomogła, musicie opracować plan, który ma więcej szans na powodzenie niż porażkę. Ten plan musi przede wszystkim uwzględniać ich bezpieczeństwo. — Nazira zaczęła pakować garnki i talerze. — Ten plan musi wzbudzić moje zaufanie. Kiedy go wymyślisz, możesz

mnie tu znaleźć w każdy święty piątek rano.

— Naziro, powiesz al-Dżamal, że mój pan jest w Omdurmanie i wkrótce ją uratuje?

— Czemu miałabym rozniecać fałszywą nadzieję w jej sercu, które już zostało złamane przez niewolę, śmierć ojca, utratę małej Filfil i chorobę drugiej siostry, al-Zahry?

— Ale mój panjąkocha i gotów jest oddać za nią życie, Naziro.

— Tak samo jak kocha tamtą kobietę, Bachitę, i pięćdziesiąt innych. Nie obchodzi mnie, czy odda za nią życie, ale nie pozwolę, żeby ona oddała życie za niego. Nigdy nie widziałeś kobiety ukamienowanej za cudzołóstwo, Jakubie? To właśnie spotka al-Dżamal, jeśli twój plan zawiedzie. Mahdi nie zna litości. — Zawiązała ścierkę z naczyniami i położyła tobolek na głowie. — Przyjdź do mnie tylko wtedy, gdy będziesz miał coś rozsądnego do powiedzenia. — Nazira odeszła, z gracją kołysząc biodrami.

Ile masz pieniędzy? — zapytał domniemany wuj Jakuba, Wad Hagma. Penrod spojrział w jego niewinne oczy i odparł pytaniem: — Ile potrzebujesz?

Wad Hagma z namysłem ściągnął usta.

— Będę musiał dać łapówkę znajomym w pałacu Mahdiego, żeby utorować drogę, a oni są ważnymi ludźmi, których nie mogę obrazić psim groszem. Potem będę musiał znaleźć i wynająć wielbłądy do przewiezienia tylu ludzi. Muszę urządzić stacje z paszą i prowiantem wzdłuż drogi ucieczki, a także zapłacić strażnikom na granicy. Wszystko to będzie kosztować bardzo dużo, ale rzecz jasna nie wezmę nic za fatywę. Jakub jest dla mnie jak syn, a jego przyjaciele są moimi przyjaciółmi.

Oczywiście, zrobi to chętnie i bez myśli o własnych korzyściach — Jakub potwierdził altruistyczną postawę wuja. Siedzieli razem przy niewielkim ognisku w czarnej od sadzy kuchni karawanseraju, jedząc duszoną baraninę z dziką cebulą i chili. Biorąc pod uwagę urągające higienie warunki, w jakich jedzenie zostało przyrządzone, i matuzalemowy wiek upstrzonych przez muchy składników, danie było smaczniejsze, niż Penrod się spodziewał.

— Jestem wdzięczny Wad Hagma za pomoc, ale pytałem, ile potrzebuje? — Dopiero w ostateczności zgodził się na dopuszczenie starego Araba do tajemnicy.

Jakub przekonywał, że Wad Hagma zna wielu członków świty i domowników Mahdiego. Uznał, że skoro mogą liczyć na pomoc wuja, nie powinien zwracać głowy swojemu panu propozycją, którą Baczit złożył w imieniu al-Sachawiego. Zresztą jego niechęć do rywala była tak wielka, że nie był w stanie zmusić się do zrobienia czegokolwiek, co mogłoby obrócić się na korzyść tamtego. Z powyższych względów nie wspomniał Penrodowi o spotkaniu z Baczitem.

— Nie mniej niż pięćdziesiąt angielskich suwerenów — oznajmił Wad Hagma z głębokim żalem, pilnie obserwując reakcję Penroda.

— To mała fortuna! — zawołał Penrod.

Taka odpowiedź zachęciła Hagemę. Miał do czynienia z człowiekiem, który pięćdziesiąt suwerenów uważał tylko za małą fortunę, a nie za sumę niewyobrażalną. Natychmiast podniósł stawkę.

— Niestety, może być znacznie więcej — dodał smętnie. — Jednakże los tych biedaczek wzruszył moje serce, a Jakub jest mi droższy od syna. Ty jesteś potężnym i sławnym człowiekiem. Zrobię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy. Przysięgam na imię Boga!

— Na imię Boga! — powtórzył Jakub automatycznie.

— Dam ci teraz dziesięć funtów — powiedział Penrod — i dołożę więcej, kiedy okażesz dobrą wolę w czynach, nie tylko w pięknych słowach.

— Zobaczysz, że obietnice Wad Hagma są jak Wielki Ararat, na którego szczycie spoczęła arka

Noego.

— Jakub jutro przyniesie ci pieniądze. — Penrod nie chciał zdradzać, gdzie przechowuje sakiewkę. Dokończyli posiłek i kawałkami chleba wytarli ostatnie krople tłuszczu z dna misek. Penrod podziękował wujowi i życzył mu dobrej nocy, a potem dał znak Jakubowi i razem odeszli na pustynię.

— W Omdurmanie jest zbyt wielu ludzi, którzy wiedzą, kim jesteśmy. Dłuższy pobyt w domu twojego wuja jest niebezpieczny. Odtąd każdą noc spędzimy w innym miejscu. Sprawdzajmy, czy nikt nas nie śledzi. Musimy widzieć, ale nie być widziani.

Minęło kilka miesięcy pobytu w haremie, zanim Mahdi przypomniał sobie o Rebecce. Posłał jej i Amber, która prawie zupełnie wyzdrowiała, nową garderobę. Amber dostała trzy proste bawełniane sukienki i lekkie sandały. Stroje Rebecki były bardziej wyszukane, choć skromne, jak przystało na nałożnicę posłańca Allaha.

Podarunki urozmaiciły nudne życie w haremie. Obie siostry z wielkim zainteresowaniem przymierzały suknie, pokazując się jedna drugiej i Nazirze.

Zenana, wielkości niedużej wioski, otoczona była murem zjedną tylko bramą, murem wysokim na dziesięć stóp i wzniesionym z suszonej na słońcu cegły. W jej obrębie w setkach krytych strzechą chat mieszkały wszystkie żony i nałożnice Mahdiego, a także usługujące im niewolnice i służące. Kobiety żywiły się we wspólnej kuchni; na monotonną dietę składały się placki z durry, rzeczne ryby smażone na ghi, sklarowanym maśle, i piekielnie ostre chili. Mając tyle gęb do wykarmienia, Mahdi najwyraźniej uważał, że oszczędne gospodarowanie jest jak najbardziej wskazane.

Kobiety, które miały pieniądze, zaopatrywały się w dodatkową żywność i smakołyki u handlarek codziennie rano na kilka godzin wpuszczanych do haremu. Za monety ze skrytki w konsulacie Nazira kupowała baranie udźce, grube plastry wołowiny, tykwy kwaśnego mleka, a także cebulę, dynie, daktyle i kapustę. Przyrządzały te produkty na małym ogrodzonym podwórku za chatą, którą zbudowali dla nich ludzie Ali Wada. Na tej pożywej diecie ich kościste ciała, spuścizna długiego oblężenia, szybko się zaokrągliły, policzki im poróżwiały i iskry wróciły do oczu. W tym czasie Nazira dwa razy odwiedziła ukradkiem ruiny brytyjskiego konsulatu za rzeką w opustoszałym Chartumie. Z pierwszej wyprawy przyniosła nie tylko pieniądze, ale także dziennik Davida Benbrooka.

Rebecca spędzała dni na lekturze. Czuła się niemal tak, jakby znów słuchała głosu ojca, czytając zawarte na kartkach poglądy i opisane wrażenia. W dzienniku znalazła testament podpisany dziesięć dni przed śmiercią i poświadczony przez generała Charlesa Gordona. Ojciec podzielił majątek na trzy równe części i przekazał je pod zarząd powierniczy niejakiemu Sebastianowi Hardy'emu, swojemu prawnikowi z Lincolns Inn, dopóki córki nie ukończą dwudziestego pierwszego roku życia. Newbury wydawało się równie odległe jak księżyc, a szanse na to, że któraś z nich tam wróci, były tak znikome, że Rebecca nie poświęciła dokumentowi większej uwagi i odłożyła go z powrotem pomiędzy kartki dziennika.

Czytała drobne, eleganckie pismo ojca, często uśmiechając się do siebie i kiwając głową, czasami śmiejąc się lub płacząc. Gdy doczytała do końca, zobaczyła, że w grubej książce jest kilkaset czystych stron. Postanowiła kontynuować relację rodzinnych radości i tragedii. Kiedy Nazira znowu wyprawiała się za rzekę, poprosiła ją o przyniesienie przyborów do pisania.

Nazira wróciła z piórami, zapasowymi stalówkami i pięcioma butelkami doskonałego indyjskiego atramentu. Przyniosła również pieniądze i kilka zbytekownych drobiazgów, które przeoczyli szabrownicy. Było wśród nich lusterko w szylkretowej oprawce.

— Zobacz, Becky, jesteś taka piękna. — Amber podniosła lusterko, żeby obie mogły podziwiać

przysłaną przez Mahdiego długą suknię z jedwabiu przetykanego srebrną nicią. — Czy będę kiedyś podobna do ciebie?

— Już jesteś ładniejsza ode mnie i z dnia na dzień piękniejesz.

Amber przekręciła lusterko i przyjrzała się swojej buzi.

— Mam za duże uszy i zbyt szeroki nos. I jestem płaska jak chłopak.

— To się zmieni, możesz mi wierzyć. — Rebecca przytuliła ją czule. — Och, jak dobrze, że znów jesteś zdrowa.

Amber szybko otrząsnęła się z niedawnych koszmarów. Rebecca pozwoliła jej czytać dziennik, co pomogło w rekonwalescencji i złagodziło straszliwą tęsknotę za ojcem i Saffron. Dzięki lekturze Amber mogła wspominać spędzone razem szczęśliwe czasy. Poza tym okazywała żywe zainteresowanie otoczeniem, w jakim przyszło im żyć. Wrodzony wdzięk i miły charakter ułatwiły jej nawiązanie znajomości z innymi kobietami i dziećmi w haremie. Dzięki pieniądzom przyniesionym przez Nazirę mogła dawać drobne prezenty najbiedniejszym kobietom. Szybko stała się ulubienicą haremu, zyskując wiele nowych przyjaciółek i towarzyszy zabaw.

Nawet Ali Wad złagodniał pod jej wpływem. Groźny wojownik odnowił dawną, zażyłą przyjaźń z Nazirą. Niejeden raz wychodziła z chaty, zaraz po tym, jak Ali Wad skończył wieczorny posiłek, i wracała dopiero o świcie. Amber wyjaśniła Rebecce powód jej nocnej nieobecności: — Widzisz, biedny Ali Wad ma chore plecy, bo spadł z konia w czasie bitwy. Nazira musi go prostować, żeby uśmierzyć ból. Tylko ona wie, jak to robić.

Rebecca uciekała przed nudą, próbując zaprowadzić choć pozory porządku w otaczającym ją chaosie. Najpierw zajęła się sprawą higieny w haremie. Kobiety, w większości pochodzące z pustyni, nigdy dotąd nie mieszkały w takim ścisku. Wyrzucały śmieci wprost przed drzwi chaty, gdzie rozgrzebywały je wrony, szczury, mrówki i zbłąkane psy. W zenanie nie było ustępów i wszystkie mieszkanki odpowiadały na zew natury tam, gdzie go usłyszały. Omijanie cuchnących brązowych kopczyków na ścieżkach pomiędzy chatami wymagało nie lada wprawy. Dla Rebecki kroplą, która przelała czarę, był widok zawodów, jakie urządziły sobie dwa małe nagusy płci męskiej. Otóż chłopcy postanowili sprawdzić, który zdoła wysikać się ponad cembrowiną jedynej studni zaopatrującej całą zenanę. Żaden nie dopiął swego i strużki moczu trafiły do studni.

Rebecca z poparciem Naziry nakłoniła Ali Wada, żeby kazał swoim ludziom wykopać latryny i głębokie doły do palenia śmieci, a potem dopilnował, by kobiety korzystały z tych udogodnień. Odwiedzała też z Nazirą matki, których dzieci wyniszczała dyzenteria i ataki cholery. Pamiętała nazwę monasteru, z którego Ryder przywiózł proszek przeciw cholercie, i Nazira namówiła Ali Wadę, żeby wysłał trzech ludzi do Abisynii po świeży zapas lekarstwa. Do ich powrotu oszczędnie i roztropnie gospodarowała resztkami daru Rydera Courtneya, ratując życie kilkorgu dzieciom. W ten sposób obie z Nazirą wyrobiły sobie reputację nieomylnych lekarek. Kobiety posłusznie gotowały wodę przed podaniem jej dzieciom lub zanim napiły się same. Wysiłki niebawem zostały nagrodzone i epidemia czerwonej wygaśla.

Dzięki tym wszystkim zajęciom Rebecca nie myślała o wiszącej nad nimi groźbie. Żyły o krok od śmierci. Nad zenaną unosił się zapach wzdętych ludzkich zwłok, ale ich zmysł powonienia szybko do tego przywyknął. Rebecca i Nazira wymogły na Ali Wadzie przestrzeganie islamskiego obyczaju, który nakazywał grzebanie ofiar cholery i innych chorób w dniu zgonu. Nie miały jednak kontroli nad placem egzekucji, oddzielonym od zenany tylko murem granicznym.

Wzdłuż muru rósł rząd eukaliptusów. Dzieci i nawet niektóre kobiety wspinały się na gałęzie, ilekroć trąby ombeja oznajmiały kolejną egzekucję. Z tych punktów obserwacyjnych patrzyły na szubienice i szafot. Pewnego ranka Rebecca przytapała Amber, gdy z chorobliwą fascynacją patrzyła

na kamienowanie młodej kobiety, niespełna pięćdziesiąt kroków od drzewa, na które się wspięła. Zawlokła ją do chaty i zagroziła laniem, jeśli zrobi to jeszcze raz.

Codziennie rano po przebudzeniu myślała ze zgrozą, że dziś zostanie wezwana do prywatnych komnat w pałacu Mahdiego. Przysłanie daru w postaci ubrań uczyniło tę groźbę bardziej realną.

Nie musiała długo czekać. Cztery dni później Ali Wad powiadomił ją o pierwszej audiencji u Wybranego. Nazira oddaliła to, co nieuchronne, tłumacząc, że jej podopieczną złożyła miesięczna choroba. Wymówka miała zadziałać tylko raz. Ali Wad wrócił po tygodniu i uprzedził, że zjawi się niedługo później, aby zabrać Rebecę.

Na małym osłoniętym podwórku za chatą Nazira rozebrała Rebecę, kazała jej stanąć na trzcinowej macie i polewała dziewczynie głowę ciepłą wodą z dzbana. Woda była perfumowana mirrą i sandałowym drewnem, które kupiła na rynku. Dobrze wiedziała, że Mahdi nie cierpi nieczystych zapachów. Osuszyła Rebecę, natarła olejkiem z kwiatów lotosu i ubrała w jedną z nowych szat. Niedługo później przyszedł Ali Wad, żeby zaprowadzić ją przed majestat Wybranego.

Było zupełnie inaczej, niż Rebecca się spodziewała. Nie zobaczyła ani wspaniałych mebli, ani gobelinów, ani marmurowych posadzek, ani szemrzących fontann. Znalazła się na otwartym tarasie na dachu, zasłanym perskimi kobiercami i poduszkami, zastawionym zwyczajnymi angarebami. Oprócz samego wielkiego Mahdiego, na łóżkach siedzieli dwaj inni mężczyźni. Rebecca była zaskoczona i niepewna, czego od niej oczekują. Mahdi skinął na nią.

— Podejź, al-Dżamal. Usiądź tutaj. — Wskazał stos poduszek u stóp swojego łoża. Potem podjął rozmowę z pozostałymi mężczyznami. Dyskutowali o handlu niewolnikami w górnym biegu Nilu i dziesięciokrotnym wzroście zysków, od czasu gdy Gordon Basza umarł wraz ze swoją dziwną frankijską awersją do tego typu działalności.

Rebecca skromnie zwieszała głowę, jak kazała Nazira, ale spod opuszczonych rzęs przyglądała się mężczyznom. Bała się kalifa Abdallahiego, choć nie chciała przyznać tego nawet przed sobą. Miał zimne i nieubłagane oczy jadowitego węża; przywodził jej na myśl lśniąca, mieniącą się mambę. Zadrżała i popatrzyła na trzeciego mężczyznę.

Po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się z bliska emirowi Osmanowi Atalanowi. W czasie pierwszego spotkania była zbyt zajęta prowadzoną z Mahdim grą o życie swoje i Amber. Oczywiście w zenanie słyszała, jak kobiety rozprawiają o jego sławie wojownika. Od czasu ostatecznego zwycięstwa nad Gordonem Baszą Osman był starszym dowódcą armii derwiszów. Pod względem władzy i wpływów ustępował tylko kalifowi Abdallahiemu.

Przyjrzała mu się kątem oka i stwierdziła, że jest interesujący. Nie zdawała sobie sprawy, że Arab może być taki przystojny. Jego skóra nie miała zwyczajnego koloru wyblakłej umbry i widać było, że dbał o brodę, lśniąca i falista. Ciemne oczy, bystre i czujne, z gwiazdkami światła w głębi, przypominały polerowane czarne korale. W porównaniu z nimi jego równe zęby wydawały się bardzo białe. Rebecca odniosła wrażenie, że emir czeka na pierwszą okazję, żeby podzielić się z mężczyznami jakimiś ważnymi informacjami.

Mahdi też musiał wyczuć jego skrywaną niecierpliwość, bo zwrócił się do niego z uśmiechem.

— Mówiliśmy o południu, ale powiedz mi teraz, jakie masz wieści z północy domeny. Czy słyszałeś o niewiernych, którzy wtargnęli w granice moich posiadłości?

— Potężny Mahdi, mam dobre nowiny. Godzinę temu przyleciał gołąb z Metemmy. Ostatni niewierni krzyżowcy, którzy ośmielili się pomaszerować na twoje miasta i ratować Gordona Baszę, umknęli z twoich świętych ziem niczym stado parszywych hien przed gniewem wielkiego czarnogrzywego lwa. Porzucili parowce, którymi dopłynęli do Chartumu, a które odparła twoja niezwyciężona armia. Z Wadi Halfy uciekli do Egiptu. Zostali rozgromieni i już nigdy nie postawią

stopy na twoich terenach. Cały Sudan należy do ciebie i na twój rozkaz niezwyciężone wojska staną pod bronią, żeby zagarnąć jeszcze więcej ziem, abys miał je pod swoim władaniem, a potem rozprzestrzenić twoje boskie słowa i nauki na cały świat. Oby Allah zawsze cię kochał i otaczał opieką.

— Wszystkie podziękowania należą się Allahowi, który obiecał mi te rzeczy — powiedział Mahdi. — Niejeden raz mi mówił, że islam będzie kwitł w Sudanie przez tysiące lat, a wszyscy monarchowie i władcy świata zstąpią z drogi niewiernych i zostaną moimi wasalami, pokładając wiarę w jedynym prawdziwym Bogu i Jego Proroku.

— Chwała niech będzie Bogu w jego nieskończonej potędze i mądrości — wyrecytowali z żarem dwaj mężczyźni.

Więści o wycofaniu się armii brytyjskiej z Sudanu były druzgoczące. Pomimo upadku Chartumu i odparcia parowców Rebecce przyświecał płomyk nadziei, że pewnego dnia brytyjscy żołnierze wmaszerują do Omdurmanu i obie z Amber zostaną uwolnione. Płomyk został brutalnie zgaszony. Nigdy nie wymkną się ze szponów tego uśmiechniętego potwora, do którego teraz należały ciałem i duszą. Spróbowała odeprzeć ogarniającą ją czarną rozpacz.

Muszę wytrzymać, powtarzała sobie w duchu, nie tylko dla mojego dobra, ale przede wszystkim dla Amber. Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić, niezależnie od wynaturzeń, do jakich mnie zmuszą, muszę przetrwać.

Z drgnieniem uświadomiła sobie, że Mahdi zwraca się do niej. Choć odrętwiała ją rozpacz, wzięła się w garść i wysłuchiwała jego słów uważnie.

— Chcę wysłać list do twojego władcy — oznajmił. — Napiszesz go dla mnie. Jakich materiałów potrzebujesz?

Rebecca była zaskoczona. Spodziewała się, że będzie traktowana jak ladacznica, nie jak sekretarka. Skupiła się i powiedziała, czego potrzebuje. Mahdi uderzył w mosiężny gong wiszący przy łóżku. Wezyr wbiegł po schodach i padł na twarz przed swoim panem. Wysłuchał rozkazów i wycofał się, sławiąc Mahdiego. Po krótkiej chwili wrócił z trzema niewolnikami, którzy nieśli sekretarzyk złupiony z belgijskiego konsulatu. Postawili mebel przed Rebeccą, a ponieważ słońce zachodziło, ustawili wokół cztery lampki oliwne, żeby miała jasno przy pracy.

— Napisz w swoim języku słowa, które ci powiem. Jak nazywa się twoja królowa? Słyszałem, że twoim krajem włada kobieta.

— Królowa Wiktorja.

Mahdi przez chwilę zbierał myśli, po czym podyktował: — „Wiktorio z Anglii, wiedz, że przemawia do Ciebie Muhammad, Mahdi, posłaniec Boga. Postąpiłaś niemądrze, wysyłając armię krzyżowców przeciwko mojej potędze, albowiem nie wiedziałaś, że pozostaję pod boską ochroną Allaha i tym samym zatriumfuję w bitwie. Twoje armie zostały rozgromione i rozproszone niczym plewy na wietrze. Twoja władza w tym świecie została zniszczona.

Dlatego oznajmiam, że odtąd jesteś moim niewolnikiem i wasalem”. — Urwał i powiedział do Rebecki: — Masz pisać tylko to, co ci mówię. Jeśli dodasz coś więcej, zostaniesz wychłostana.

— Rozumiem twoje słowa. Jestem twoim stworzeniem i twoje najbliższe życzenie jest dla mnie rozkazem.

— Napisz zatem do swojej królowej: „Żyłaś w nieświadomości. Nie wiedziałaś, że moje słowa i myśli są słowami i myślami Boga. Nie wiesz nic o prawdziwej Wierze. Nie rozumiesz, że Allah jest jedynym Bogiem, i że Muhammad, Mahdi, jest Jego prawdziwym prorokiem. Jeżeli nie odkupisz w pełni swoich grzechów, będziesz po wsze czasy gotować się w wodach piekielnych. Bądź wdzięczna za miłosierdzie Allaha, albowiem powiedział mi, że jeśli bezzwłocznie przybędziesz do Omdurmanu

i ukorzysz się przede mną, jeśli oddasz pod moją władzę siebie, wszystkie swoje armie i cały swój lud, jeśli złożysz u moich stóp swoje bogactwo i majątek, jeśli wyrzekniesz się fałszywych bogów i dasz świadectwo, iż Allah jest jeden i że ja jestem Jego prorokiem, wtedy zostanie ci wybaczone. Wezmę Cię za żonę, a Ty dasz mi wielu pięknych synów. Rozpostrę nad Tobą swoje ochronne skrzydła. Allah przygotowuje dla Ciebie miejsce w raju. Jeżeli odrzucisz to wezwanie, Twój naród zostanie upokorzony, Ty zaś przez całą wieczność płonąć będziesz w ogniu piekielnym. Tako rzecze ja, Muhammad, Mahdi. Nie są to moje słowa, lecz słowa, które Bóg włożył w moje usta".

Mahdi wyprostował się, zadowolony z siebie i machnął prawą ręką na znak, że skończył.

— Stworzyłeś arcydzieło — pochwalił go kalif Abdallahi. — Te słowa dają wyraz potędze i majestatowi Boga. Powinny zostać wyhaftowane na sztandarze, aby cały świat mógł je przeczytać i uwierzyć.

— To słowa, które Allah wypowiedział twoimi ustami — stwierdził Osman Atalan z powagą. — Będę wdzięczny po wsze czasy, że miałem zaszczyt ich wysłuchać.

Jeśli kiedyś wyjdzie na jaw, że ja napisałam te idiotyczne, zdradzieckie słowa, pomyślała Rebecca, zostaną zamknięta w Tower w Londynie do końca życia. Nie odrywając oczu od kartki, w przekonaniu, że nikt w Omdurmanie nie umie czytać po angielsku, dodała własne zdanie: „Napisane pod wielkim przymusem przez Rebeccę Benbrook, córkę brytyjskiego konsula Davida Benbrooka, który został zamordowany przez derwiszów wraz z generałem Gordonem. Boże, chroń królową". Wytłumaczenie swojego postępuku i powiadomienie świata o swoim położeniu warte było ryzyka.

Posypała piaskiem kartkę i ze spuszczonej oczami podała ją Mahdiemu.

— Święty, czy tak sobie życzyłeś? — zapytała pokornie. Wziął od niej list, a ona patrzyła, jak jego oczy wędrują od prawego dolnego rogu do górnego lewego, w odwrotnym kierunku. Z ulgą zrozumiała, że próbuje odczytać litery jak pismo arabskie. Wiedziała, że sam tego nie przeczyta i nie da nikomu innemu do przetłumaczenia.

— Jest tak, jak sobie życzyłem. — Pokiwał głową, a ona zdusiła odruchowe westchnienie ulgi. Mahdi podał list kalifowi Abdallahiemu. — Zapieczętuj pismo i dopilnuj, żeby zostało dostarczone wraz ze wszystkimi innymi do chedywa w Kairze. — Machnął ręką, odpowiadając kalifa i emira. — Teraz możecie odejść, gdyż pragnę zabawić się z tą kobietą.

Wstali, złożyli głęboki ukłon i odeszli.

Przeżrana Rebecca została sama z prorokiem. Świadoma, że drżą jej ręce, zacisnęła je w pięści.

— Podejdź bliżej! — rozkazał Mahdi, a ona wyszła zza sek-retarzyka i uklękła przed nim.

Pogładził ją po głowie niezwykle delikatnymi palcami. — Jesteś albinoską? — zapytał. — A może w twoim kraju żyją kobiety z takimi włosami i oczami błękitnymi jak bezchmurne niebo?

— W moim kraju jestem jedną z wielu — odparła. — Przykro mi, jeśli sprawiłam ci zawód.

— Jestem zadowolony. — Gdy usiadł na łóżku, jej oczy znalazły się na poziomie jego talii.

Widziała, jak pręży się pod lśniąca, białą tkaniną dziłby nadzwyczajne męskie nabrzmienie, wciąż dla niej niepojęte... stworzenie obdarzone własnym życiem.

Jego tarnik się budzi, pomyślała i z trudem powstrzymała się od śmiechu. Myśl wydawała się niedorzeczna: prorok Boga ma tarnik między nogami, jak wszyscy inni, mniej boscy mężczyźni. Uświadomiła sobie, że jest bliska hysterii, i z wysiłkiem zapanowała nad sobą.

— Widzę światło lampy poprzez twoje ciało. — Mahdi chwycił w palce płatek jej ucha i uniósł lekko, żeby podświetlił go blask lampy. Przez chwilę podziwiał różaną świetlistość. Rebecca zarumieniła się z zakłopotania, a on natychmiast to zauważył.

— Jesteś niczym mały kameleon. Twoja skóra zmienia kolor wraz z nastrojem. To niezwykle... i powabne. — Wziął w zęby płatek ucha i przygryzł na tyle mocno, że sapnęła, ale nie przebił skóry

ani nie puścił krwi. Ssał płatek jak osesek pierś. Nie była przygotowana na reakcję swojego ciała. Wbrew sobie poczuła zwiększoną wrażliwość sutków, które ocierały się o jedwab sukni.

— Ach! — Spostrzegł nieumyślną reakcję i uśmiechnął się. — Każda kobieta jest inna i wszystkie są takie same. — Nakrył ręką jej pierś i uszczypnął nabrzmiewającą brodawkę. Znowu sapnęła.

Przysiadł na piętach i rozsznurował stanik jej sukni. Nie spieszył się. Jak doświadczony stajenny, który ma do czynienia z nerwową klaczą, nie wykonywał gwałtownych ruchów, żeby jej nie spłoszyć.

Zrozumiała, że jest mistrzem w sztuce miłości. Nic dziwnego, miał dużą praktykę, setki nałożnic. Postanowiła, że pozostanie wyniosła i nieporuszona, ale kiedy wysunął jej pierś z wycięcia stanika i ścisnął zębami brodawkę, zdecydowanie dziewczyny mocno się zachwiało. Próbowwała ignorować fale rozkoszy, które z sutka promieniowały na całe ciało. Kiedy chciała się odsunąć, przytrzymał ją lekkim naciskiem zębów. Przyjemne wrażenie zostało spotęgowane przez poczucie winy i przekonanie, że to, co się dzieje, jest grzeszne. Nie po raz pierwszy w swoim krótkim życiu zdała sobie sprawę, że grzech, tak jak świętość, ma swój urok. Nie chcę tego, pomyślała, ale nie mogę temu zapobiec.

Jego usta wędrowały po jej piersi, wargi ugniały i skubały ciało, język wił się badawczo. Poczula wilgoć między nogami i wstyd zniknął bez śladu. Ogarnęło ją dziwne zniecierpliwienie. Chciała, żeby stało się coś więcej, chociaż nie była pewna co.

— Wstań! — polecił, a ona przez chwilę nie rozumiała. — Wstań! — powtórzył ostrzej. Powoli podniosła się na nogi. Pierś wciąż wyglądała z rozchełstanego stanika. Mahdi uśmiechnął się, gdy stanęła nad nim, a jego uśmiech był pełen słodczy i niemalże święty.

— Rozbierz się! — rozkazał. Zawahała się. Uśmiech zgasł. — Natychmiast! Rób, co każe.

Zsunęła suknię z ramion i opuściła ją do pasa. Patrzył na nią, a jego oczy zdawały się pieścić jej skórę. Wokół brodawek pojawiła się gęsia skórka. Przeciągnął po niej paznokciem palca wskazującego prawej ręki, drapiąc leciutko. Pod Rebeccą ugięły się kolana. Choć od początku wiedziała, że to musi się stać, zalała ją fala wstydu. Była Angielką i chrześcijanką. On był Arabem i muzułmaninem. Wszystko przeczyło jej wychowaniu i wierze.

— Rozbierz się! — powtórzył. Była w rozterce, dopóki nie przypomniała sobie słów ojca, niedawno przeczytanych w dzienniku: „Zawsze należy pamiętać, że to kraj dziki i pogański. Nie wolno nam osądzać tych ludzi wedle norm, jakie stosujemy w domu. Zachowanie w Anglii uważane za dziwaczne, a nawet przestępcze, tutaj jest powszechnie aprobowane i normalne. Nie wolno nam o tym zapominać i trzeba zawsze brać na to poprawkę”. Tatuś napisał to dla mnie! — pomyślała. Potulnie opuściła głowę.

— Żaden mężczyzna nie widział tego, co kryje się pod tym jedwabiem. — Wstydliwie dotknęła wzgórek łonowego. — Jeśli jednak ty zdejmiesz moje ubranie, będę wiedziała, że uczyniła to ręka Allaha, a nie zwyczajnego mężczyzny. Wtedy się uraduję.

Mimowolnie trafiła w samo sedno. Zrzuciła odpowiedzialność na niego. Uznała jego władzę i zobaczyła, że sprawiła mu tym wielką przyjemność.

Mahdi wyciągnął ręce i zsunął suknię z jej bioder. Gdy szata opadła jej do stóp, Rebecca zakryła rękami wzgórek Wenery. Nie miał jej za złe tej ostatniej demonstracji przyzwoitości. Takiego zachowania spodziewał się po dziewicy. Polecił cicho: — Odwróć się. — Zrobiła to powoli i poczuła, jak jego palec sunie wzdłuż miejsca, w którym krągły pośladek spotyka się z udem.

— Takie miękkie, takie białe, ale z różowym odcieniem, jak chmura muśnięta pierwszymi promieniami wstającego słońca. — Dotykem i naciskiem palca kierował nią, kładąc jej się pochylić na wyprostowanych nogach, aż czołem niemal dotknęła kolan. Czuła jego ciepły oddech z tyłu ud, gdy

przysunął się bliżej, żeby ją obejrzeć. Palec znowu nacisnął, więc rozsunęła nogi. Czowała, jak jego spojrzenie wnika w jej najbardziej sekretne miejsca. Widział rzeczy, na jakich nie spoczęło oko innej osoby — niani, rodziców, kochanka czy jej samej. Pod tym względem naprawdę była dziewicą. Wiedziała, że te drobiazgowo oględziny powinny ją oburzyć, ale zaszła za daleko, a jego wpływ był zbyt potężny. Ubezwłasnowolnił ją swoim ciemnym, hipnotyzującym spojrzeniem.

— Trzy rzeczy na świecie są nienasycone — mruknął Mahdi. — Pustynia, grób i cipka pięknej kobiety. — Odwrócił ją twarzą do siebie i delikatnie odsunął ręce, które dotąd zaciskała na podbrzuszu. Dotknął włosów łonowych. — To nie włosy, tylko złote nici. Są jedwabiste, cienkie niczym pajęczyna i miękkie jak promienie porannego słońca.

Jego podziw był tak oczywisty i poetycko wyrażony, że z zadowoleniem, bez cienia wstydu powitała palce, które delikatnie rozchyliły jej dolne wargi. Z własnej woli i bez ponagrania szerzej rozstawiła stopy.

— Nigdy się tutaj nie skub — powiedział. — Udzielam ci specjalnej dyspensy. Ten jedwab jest zbyt piękny i cenny, żeby go marnować.

Ujął jej ręce, pociągnął na angareb i położył na plecach. Podniósł jej kolana i ukląkł pomiędzy nimi. Opuścił głowę, a ona zdumiała się, gdy zrozumiała, do czego zmierza. Nazira o tym nie wspominała. Twierdziła, że będzie na odwrót.

To, co się wydarzyło, przeszło jej najśmielsze wyobrażenia. Mahdi miał niewątpliwy talent i bezbłędny instynkt. Czowała się tak, jakby pożerał ją żywcem. Jakby umierała i rodziła się na nowo. W końcu krzyknęła niczym w śmiertelnych katuszach i bezwładnie opadła na angareb. Złana potem i rozdygotana straciła władzę nad myślą i ciałem. Stała się naczyniem, które wypełniały tylko cielesne doznania. Minęły całe wieki, zanim ustąpiły ostatnie skurcze, a wtedy usłyszała szept. Choć brzmiał tuż przy jej uchu, napływał jakby z daleka: — Jak pustynia i grób. — Mahdi zaśmiał się cicho. Leżała przez długi czas i zbudziła się, kiedy znów zaczął ją pieścić. Otworzyła oczy i z umiarkowanym zdziwieniem stwierdziła, że on też jest nagi. Podniosła się i wsparła na łokciu, patrząc na niego. Leżał na plecach. Jego wcześniejsze poczynania wymazały resztki poczucia przyzwoitości i wstydu. Przyglądała mu się prawie z taką samą uwagą, jaką wcześniej on jej poświęcał. Uderzyło ją, że jego ciało jest prawie bezwłose, miękkie i niemal kobiece. Pod tym względem nie przypominał umięśnionego Penroda czy Rydera. Przeniosła spojrzenie na tarnik. Choć sterczał dumnie, był mały, gładki, bez sznurów brzydkich niebieskich żył, zwieńczony lśniącą, obrzezaną głową. Wyglądał dziecinnie i niewinnie. Wzbudził w niej niemal macierzyńskie uczucia.

— Jaki śliczny! — zawołała i natychmiast przestraszyła się, że Mahdi uzna to stwierdzenie za uwłaczające, za obelgę dla swojej męskości. Niepotrzebnie się martwiła. Instynkt ponownie jej nie zawiodł. Mahdi uśmiechnął się do niej. Wtedy przypomniała sobie nauki Naziry. — Panie i władco, czy nie poczujesz się obrażony, jeśli ośmielę się uczynić to, co ty w swojej łaskawości raczyłeś zrobić dla mnie? Uznam to za niewyobrażalny zaszczyt. — Mahdi uśmiechnął się, ukazując przerwę pomiędzy zębami.

Z początku była niezdarna i niepewna, co Mahdi chyba uznał za kolejny dowód jej dziewictwa. Zaczął nią kierować. Kiedy robiła to, co sprawiało mu przyjemność, zachęcał ją pomrukami i szeptami, a także gładził po głowie. Kiedy wykazywała zbyt wielki zapał, powstrzymywał ją lekkim dotknięciem. Pochłonięto ją to zadanie, a nagrodą było satysfakcjonujące poczucie władzy i kontroli, jakkolwiek ulotne. On stopniowo nakłaniał ją do zwiększenia tempa i nagle dał jej niezaprzeczalny dowód, że sprawiła mu rozkosz. Przez chwilę nie wiedziała, co zrobić. Potem przypomniała sobie radę Naziry: Połknij natychmiast i będzie po krzyku.

Jak wąsaty sum niknie w błotnistych wodach Nilu, Penrod Ballantyne zginął wśród rojnych

uliczek, zaułków i chałup Omdurmanu. Stał się niewidoczny. Prawie codziennie zmieniał ubranie i wygląd, przeobrażając się w poganiacza wielbłądów, pokornego żebraka albo roztrzęsionego, śliniącego się półgłówek. Wiedział, że nie może w nieskończoność przebywać w mieście, bo w końcu zwróci na siebie uwagę. Dlatego na kilka tygodni opuszczał Omdurman. Raz najął się jako poganiacz u handlarza, który gnał wielbłądy w dół rzeki, aby sprzedać je w nadbrzeżnych wioskach. Kiedy indziej dołączył do załogi dau handlowego, który płynął w górę Nilu Błękitnego do abisyńskiej granicy.

Po powrocie do Omdurmanu nigdy nie spał dwa razy w tym samym miejscu. Ostrzeżony przez Jakuba, nie próbował spotykać się z Nazirą ani z nikim innym, kto go znał. Z Wadim Hagma kontaktował się tylko za pośrednictwem Jakuba.

Przygotowania do udzielenia ratunku Rebecce przeciągały się bez końca. Wad Hagma napotykał wiele przeszkód, które można było pokonać tylko za pomocą pieniędzy i cierpliwości. Jakub co rusz zjawiał się z żądaniem gotówki, a to na zakup wielbłądów i wynajęcie przewodników, a to na przekupienie straży i drobnych urzędników. Zawartość niegdyś ciężkiego pasa na pieniądze szybko topniała. Tygodnie przemieniały się w miesiące. Penrod złościł się i wściekał. Wiele razy rozważał przypuszczenie błyskawicznego ataku, wykradnięcie kobiet i ucieczkę z nimi do egipskiej granicy. Wiedział, że niewiele by zdziałał. Zenana Mahdiego była niedostępna bez pomocy z wewnątrz, a derwisze z dnia na dzień coraz większą uwagę zwracali na obcych wchodzących do Omdurmanu lub wychodzących z miasta. Penrod mógł poruszać się ze względną swobodą, ale w towarzystwie kobiet byłoby to niemożliwe, jeśli droga ucieczki nie zostanie starannie przygotowana.

Pewnego dnia znalazł niewielką jaskinię w wapiennej skale na pustyni kilka mil od miasta. Niegdyś było tutaj mieszkanie religijnego eremity. Staruszek zmarł kilka lat temu, a ponieważ pustelnia miała złą sławę wśród miejscowych, Penrod czuł się w niej dość bezpiecznie. W głębi jaskini sączyło się źródółko, wystarczające na potrzeby dwóch osób i niewielkiego stada kóz, które kupił od napotkanego po drodze pasterza. Droga na pieszo z jaskini do Omdurmanu zabierała tylko dwie, trzy godziny, dzięki czemu pozostawał w ciągłym kontakcie z Jakubem, który w nocy przywoził mu jedzenie i najświeższe wieści od wuja.

Jakub często zostawał w jaskini na parę dni, a Penrod był rad z jego towarzystwa. Nie mógł nosić europejskiej szabli, którą dostał w Metemmie od majora Hardinge'a, bo przyciągałby zbyt wiele uwagi. Zakopał broń na pustyni, z myślą, że być może pewnego dnia zwróci ją żonie majora. Kazał Jakubowi znaleźć sudański miecz, a potem ćwiczył codziennie.

Ilekcio Jakub go odwiedzał, fechtowali się w wadi przed jaskinią, ukryci przed wzrokiem przypadkowego podróżnego czy zbłąkanego pasterza. Penrod wykazywał się takim talentem, że zwykle po paru godzinach ćwiczeń Jakub rezygnował z walki, potrząsając mokrą od potu brodą.

— Dość, Abadanie Ridzi! — zawołał. — Przysięgam na Boga, że żaden człowiek w tym kraju nie pokona cię w walce na miecze.

Sam jesteś jak długa stal.

Gdy odpoczywali w wejściu jaskini, Penrod zapytał: — Jakieś wieści od wuja? — Wiedział, że nie mogą być dobre, bo w przeciwnym wypadku Jakub przekazałby mu je w chwili przybycia.

— Wuj dogadał się z pewnym wezyrem i wreszcie wszystko było przygotowane. Trzy dni temu wezyr podpadł swojemu panu w innej sprawie. Ukradł pieniądze ze skarbca. Na rozkaz Mahdiego został aresztowany i ścięty. — Jakub bezradnie rozłożył ręce. Zobaczył, że twarz jego pana pociemniała z gniewu. — Ale nie rozpaczaj. Jest inny człowiek, bardziej wiarygodny, który ma bezpośredni nadzór nad haremem. Jest skłonny udzielić pomocy.

— Niech zgadnę. Twój wuj potrzebuje tylko pięćdziesięciu funtów.

— Nie, panie. — Jakub poczuł się zraniony tą sugestią. — Potrzebuje tylko trzydziestu do przypieczętowania sprawy.

— Dam mu pięćdziesiąt, a jeśli wszystko nie będzie gotowe najpóźniej do nowego księżyca, wrócę do Omdurmanu, żeby z nim pomówić. Zjawię się z długą stalą w prawicy.

Jakub na chwilę pogrążył się w głębokiej zadumie, po czym z powagą oznajmił: — Sądzę, że wuj prawdopodobnie przystanie na twoją propozycję.

Jego przeczucia okazały się trafne. Cztery dni później wrócił do jaskini pustelnika. Już z daleka radośnie machał rękami, a gdy tylko znalazł się w zasięgu głosu, krzyknął: — Efendi, wszystko gotowe!

Podjechał do Penroda, zsunął się z siodła i uściskał swojego pana.

— Mój wuj, jakże uczciwy i godny zaufania, załatwił wszystko zgodnie z obietnicą. Za trzy noce od dzisiaj Al-Dżamal, jej siostrzyczka i Nazira będą czekały za starym meczetem przy placu straceń od strony rzeki. Tego dnia powinieneś wrócić do Omdurmanu. Najlepiej, żebyś przyszedł sam i na pieszo, pędząc przed sobą kozy. Spotkam się z tobą i trzema kobietami w umówionym miejscu. Przyprawdę sześć wypoczętych wielbłądów obładowanych bukłakami, prowiantem i paszą. Potem ja, Jakub nieustraszony, poprowadzę cię do miejsca, w którym pojawi się pierwsza zmiana wielbłądów. Będzie ich pięć w drodze do egipskiej granicy, więc popędzimy jak wicher. Ulotnimy się, zanim Mahdi się dowie, że jego białe nałożnice zniknęły z haremu.

Siedzieli w cieniu jaskini i omawiali szczegóły planu, który Wad Hagma nakreślił Jakubowi.

— Zobaczysz, Abadanie Ridzi, że wszystkie twoje pieniądze wydane zostały mądrze i że nie było powodu, aby nie ufać mojemu umiłowanemu wujowi, który jest świętym i księciem wśród ludzi.

Trzy dni później Penrod zebrał swój skromny dobytek, wsunął pochwę z mieczem na plecy pod szatę, okręcił zawojem głowę i twarz, gwizdnął na kozy, po czym ruszył w kierunku rzeki i miasta. Jakub dał mu fujarkę wyciętą z pędu bambusu i w ciągu paru miesięcy Penrod nauczył się grać. Kozy przyzwyczyły się do niego i szły za nim posłusznie, pobekując z zachwytu nad wygrywanymi melodiami.

Szedł w takim tempie, aby zjawić się na przedmieściach Omdurmanu mniej więcej godzinę przed zachodem słońca, ale przybył trochę przedwcześnie. Pół mili od pierwszych zabudowań pozwolił kozom skubać suche kolczaste krzaki, a sam usadowił się przy drodze. Owinął się w szatę i udawał, że drzemie. Minął go starzec prowadzący sześć osłów obładowanych drewnem na opał. Nie odpowiedział na jego niepewne powitanie, więc staruszek poszedł dalej.

Nieco później Penrod usłyszał śpiew z akompaniamentem bębenków, w które uderzano palcami. Rozpoznał tradycyjne wiejskie pieśni weselne. Niedługo potem z wioski leżącej na południe od miasta wyległa na drogę liczna grupa gości. W środku szła panna młoda, od stóp do głów okryta woalami i obwieszona dzwoniącą biżuterią ze złotych i srebrnych monet, które stanowiły część jej posagu. Goście i krewni śpiewali, klaskali i pomimo ograniczeń nałożonych przez Mahdiego tańczyli, śmiali się i wykrzykiwali sprośne rady. Kiedy zobaczyli Penroda kucającego przy drodze, zawołali do niego: — Chodź z nami, nieznanjomy. Zostaw te zapchlone bydlęta i dołącz do zabawy.

— Jedzenia będzie więcej, niż zdołasz zjeść, a może nawet znajdzie się kapka araku. To cymes, jakiego nie smakowałeś od wielu lat. — Z konspiracyjnym uśmiechem mężczyzna poklepał mały bukłak.

— Sam kiedyś byłem żonaty i nie chcę oglądać, jak inny niewinny człowiek wkracza na tę trudną drogę — odparł Penrod drżącym, niepewnym głosem.

Weselnicy ryknęli śmiechem.

— Szelma z ciebie!

— Możesz poradzić naszemu biednemu kuzynowi, jak najlepiej zaspokoić wymagającą kobietę.

Nagle Penrod zauważył, że wszyscy goście mają szerokie, umięśnione ramiona i pomimo skromnych ubiorów zachowują się nie jak zahukani wieśniacy, lecz pewni siebie, butni agadżerowie. Zerknął na białe stopy panny młodej. Były szerokie i płaskie, niepomalowane henną, z połamanymi, nierównymi paznokciami.

Nie są to stopy młodej dziewczycy, pomyślał. Sięgnął do rękojeści miecza ukrytego pod szatą. Gdy ostrze wysunęło się z pochwy, zerwał się na nogi, ale weselnicy już go otoczyli. Oni też wyciągnęli broń, nacierając na niego ze wszystkich stron. Z zaskoczeniem spostrzegł, że są uzbrojeni nie w miecze, lecz w ciężkie pałki. Miał niewiele czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo rzucili się na niego gromadnie.

Zabił pierwszego pchnięciem w gardło, ale nim wyciągnął miecz, pałka spadła na jego ramię. Poczł, że pękła kość. Mimo to jedną ręką sparował następny cios, wymierzony w głowę. Inny napastnik uderzył go w nerki i nogi się pod nim ugięły. Zdażył jeszcze dźgnąć sztychem w pierś człowieka, który złamał mu bark. Potem wielkie żelazne drzwi zatrzasnęły się w jego czaszce i ciemność zalała go niczym przygnana przez sztorm oceaniczna fala.

Po odzyskaniu przytomności Penrod nie był pewien, gdzie jest ani co mu się stało. Niedaleko miejsca, w którym leżał, jęczała rodząca kobieta.

Dlaczego ta głupia suka nie stuli pyska albo nie pójdzie szczenić się gdzie indziej? — zastanawiał się. Powinna mieć trochę szacunku dla mojej obolałej głowy. Pewnie wczoraj spałem się tanim trunkiem. Nagle poczuł wzrastającą bolesność w okolicy ciemienia. Zdał sobie sprawę, że jęki płyną z jego własnych wysuszonych ust. Pomimo bólu otworzył oczy i zobaczył, że leży na glinianej podłodze w śmierdzącej komórce. Spróbował podnieść rękę, żeby dotknąć bolącej głowy, ale ręka nie chciała go słuchać. Starał się zrobić to samo drugą, a wtedy usłyszał szcęk i zrozumiał, że ręce ma skute łańcuchami. Ostrożnie, z wysiłkiem, przewrócił się na zdrowy bok.

Dobro jest pojęciem względnym, pomyślał na wpół przytomnie. Wszystkie mięśnie i ścięgna pulsowały z bólu. Jakoś udało mu się usiąść. Przeczekał wywołany ruchem oślepiający ból w głowie, a potem mógł ocenić swoje położenie.

Na rękach i nogach miał żelaza służące do zakuwania niewolników, w tym kraju będące wszechobecnymi narzędziami handlu. Okowy przymocowane były do żelaznego pręta wbitego w polepę. Krótki łańcuch nie pozwalał mu zbliżyć się do drzwi ani do jedyne go wysoko umieszczonego okienka. Ciała cuchnęła ekskrementami i wymiocinami, których resztki otaczały go kręgiem, na jaki pozwalała długość łańcucha.

Usłyszał cichy szelest. Wielki szary szczur pożywiał się kromkami chleba z durry, zostawionymi na brudnej polepie. Penrod uderzył łańcuchem i szczur uciekł z piskiem. Obok chleba stał gliniany dzban, którego widok uświadomił mu ogrom pragnienia. Spróbował przełknąć ślinę, lecz nie znalazł jej w ustach, a gardło miał wyschnięte. Sięgnął po dzban, obiecująco ciężki. Przed wypiciem podejrzliwie powąchał zawartość. Uznał, że to woda z rzeki, i poczuł dym z węgla drzewnego, na którym została przegotowana. Pociągnął łyk, potem drugi.

Chyba przeżyję, pomyślał cierpko i zamrugał, próbując pozbyć się bólu głowy. Usłyszał szmer i spojrział w okno. Ktoś patrzył na niego przez kraty, ale zniknął, gdy tylko podniósł głowę. Napił się znowu i poczuł się trochę lepiej.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i do celi weszło dwóch mężczyzn. Nosili dżibby i turbany, a w rękach trzymali miecze.

— Kim jesteście? — zapytał Penrod. — Kto jest waszym panem?

— Nie zadawaj pytań — powiedział jeden. — Nie odzywaj się, póki nie każemy.

Za nimi wszedł trzeci mężczyzna, starszy i siwobrody, z torbą tradycyjnego wschodniego lekarza. — Pokój niech będzie z tobą. Oby Allah był z ciebie zadowolony — powitał go Penrod.

Przybysz bez słowa lekko skinął głową. Odłożył torbę i stanął nad więźniem. Obmacał wielkiego guza na głowie, najwyraźniej szukając pęknięcia czaszki. Zrobił zadowoloną minę i kontynuował oględziny. Od razu zauważył, że Penrod oszczędza lewy bok. Złapał go za łokieć i spróbował podnieść rękę. Ból był straszliwy, ale Penrod zdołał powstrzymać się od krzyku. Nie chciał sprawiać strażnikom satysfakcji. Skrzywił twarz w grymasie i krople potu wystąpiły mu na czoło. Arabski lekarz opuścił rękę i przesunął dłonią po bicepsie. Kiedy mocno nacisnął palcami miejsce złamania, Penrod sapnął wbrew postanowieniu. Lekarz pokiwał głową. Odciął rękaw galabii i owiązał ramię płóciennymi bandażami. Następnie sporządził temblak do podtrzymywania ręki. Ból natychmiast zelżał.

— Niech Allah i Jego Prorok cię błogosławią — powiedział Penrod, a lekarz uśmiechnął się lekko.

Z małej alabastrowej flaszeczki wlał trochę ciemnego, lepkiego płynu do rogowego kubka i dał go Penrodowi. Penrod wypił napój gorzki jak żółć. Lekarz bez słowa spakował torbę i wyszedł. Wrócił nazajutrz, i przychodził codziennie przez cztery dni. W czasie każdej wizyty strażnicy nalewali wodę do dzbana i zostawiali miskę jedzenia: kawałki chleba i suszonej na słońcu ryby. W czasie tych odwiedzin nikt się nie odzywał ani nie odpowiadał na powitania i życzenia Penroda.

Gorzkie mikstury działały uspokajająco, uśmierzały ból, zmniejszały opuchliznę na głowie i ramieniu. Piątego dnia lekarz wyglądał na zadowolonego z siebie. Poprawił temblak, ale kiedy Penrod poprosił o kolejną dawkę mikstury, przecząco pokręcił głową. Gdy wyszedł, Penrod usłyszał, jak cicho rozmawia ze strażnikami. Nie zrozumiał słów.

Do rana lekarstwo przestało działać i znowu miał jasno w głowie. Ból doskwierał mu tylko wtedy, kiedy próbował podnieść rękę. Sprawdził, czy nie ma wstrząsu po uderzeniu w głowę, zamykając najpierw jedno, potem drugie oko i patrząc na kratę w oknie. Nie miał zaburzeń wzroku. Potem starał się ćwiczyć zranioną rękę, zaczynając od zaciskania pięści i zginania łokcia. Z czasem mógł unieść rękę do poziomu.

Wizyty milkiwego lekarza ustały. Uznał to za pomyślny znak. Przychodzili tylko strażnicy, przynosząc wodę i jedzenie. Miał dużo czasu na zastanawianie się nad swoim położeniem. Obejrzał zamki kajdan. Były prymitywne, ale spełniały swoje zadanie. Mechanizm został rozwinięty i udoskonalony przez stulecia. Bez klucza czy wytrycha próby otworzenia kajdan byłyby stratą czasu. Następnie postanowił drogą dedukcji określić miejsce pobytu. Przez nachylone okno widział tylko małeńki skrawek nieba. Musiał wyciągać wnioski na podstawie dźwięków i zapachów. Wiedział, że wciąż jest w Omdurmanie: czuł smród zwałów śmieci i odchodów, a wieczorami słodki zapach nad rzeki. Słyszał nawet ciche zawołania kapitanów dau, gdy halsowali i przekładali żagle. Pięć razy dziennie muezin wzywał wiernych na modlitwę z na wpół zbudowanej wieży nowego meczetu.

— Spieszcie się dla własnego dobra! Spieszcie na modlitwę! Allah jest wielki! Nie ma Boga prócz Allaha!

Na podstawie tych wskazówek dość precyzyjnie określił swoją pozycję. Więziono go w miejscu oddalonym mniej więcej trzysta jardów od meczetu i połowę tej odległości od brzegu rzeki, prosto na wschód od placu straceń, w przybliżeniu w tej samej odległości od pałacu Mahdiego i haremu. Od czasu do czasu, widząc żeglujące wysoko chmury, oceniał kierunek przeważającego wiatru. Kiedy wiatr dmuchał, smród gnijących zwłok na placu straceń był silny. Łącząc wszystkie informacje, z mdlącym ssaniem w dołku zrozumiał, że znajduje się przy Bejt el Mai, w kompleksie plemienia Bedżów, w warowni swojego starego wroga Osmana Atalana. Musiał się zastanowić, jak do tego

doszło.

Najpierw pomyślał, że Jakub go zdradził. Zmagał się z tą teorią przez kilka dni, ale nie mógł się do niej przekonać. Zbyt wiele razy powierzałem życie temu zezowatemu nicponiowi, żeby teraz w niego zwątpić, zdecydował. Jeśli Jakub sprzedał mnie derwiszom, to nie ma Boga.

Kółkiem łańcucha wyrysował na podłodze prymitywny kalendarz, żeby rachować dni. Naliczył pięćdziesiąt dwa, zanim po niego przyszli.

Dwaj strażnicy odpięli łańcuchy od żelaznego pręta. Nie zdjęli mu kajdan z rąk ani z nóg. Łańcuch łączący kostki pozwalał mu iść, szurając nogami, ale nie biec.

Przez małe podwórze zaprowadzili go na większy dziedziniec otoczony murem, na którym siedziała ponad setka wojowników ludu Bedża. Ich włócznie i lance stały pod ścianami, a miecze w pochwach spoczywały na kolanach. Przyglądali mu się z żywym zainteresowaniem. Rozpoznał kilku z nich z wcześniejszych spotkań. Potem jego oczy zatrzymały się na znajomej postaci, siedzącej samotnie na podwyższeniu pod murem. Nawet wśród zgromadzenia wojowników Osman Atalan przykuwał uwagę.

Strażnicy pchnęli więźnia do przodu i w łańcuchach krępujących ruchy Penrod brnął przez dziedziniec. Kiedy stanął przed Osmanem, strażnik warknął mu do ucha: — Na kolana, niewierny! Okaż szacunek emirowi Bedżów.

Penrod stanął na baczność.

— Osman Atalan wie, że nie należy kazać mi klękać — powiedział cicho i spokojnie wytrzymał spojrzenie emira.

— Na kolana! — powtórzył strażnik. Końcem włóczni uderzył go w nerki z taką siłą, że nogi się pod nim ugięły i osunął się na ziemię. Z najwyższym wysiłkiem trzymał podniesioną głowę, przez cały czas patrząc w oczy Osmanowi.

— Głowa na dół! — ryknął strażnik i podniósł drzewce, żeby znów go uderzyć.

— Dość! — rozkazał Osman i strażnik odstąpił. — Witaj w moim domu, Abadanie Ridzi. — Dotknął ust i serca. — Już od naszego pierwszego spotkania pod El Obejd wiem, że łączy nas więź, którą niełatwo będzie zerwać.

— Tylko śmierć jednego z nas może tego dokonać — przyznał Penrod.

— Czy mam uczynić to w tej chwili? — mruknął Osman i skinął na człowieka, który siedział tuż przy podwyższeniu. — Jak myślisz, al-Nurze?

Al-Nur zastanawiał się długą chwilę.

— Potężny panie, rozsądnie jest uciąć głowę kobrze, zanim znowu ukąsi — odpowiedział.

— Czy wyświadczysz mi tę przysługę? — zapytał Osman.

Al-Nur płynnym ruchem podniósł się i stanął nad klęczącym więźniem, wznosząc miecz nad jego karkiem.

— Wystarczy jeden ruch małym palcem, wielki Atalanie, a strącę tę bezbożną głowę niczym zgniły owoc.

Osman przyglądał się twarzy Penroda, szukając w niej oznak strachu, ale spojrzenie więźnia pozostało niewzruszone.

— Co ty na to, Abadanie Ridzi? Mamy skończyć to tutaj?

Penrod chciał wzruszyć ramionami, lecz gest wypadł nieprzekonująco, bo kość się jeszcze nie zrosła.

— Nie dbam o to, emirze Bedżów. Wszyscy ludzie winni są życie Bogu. Na każdego przychodzi pora, jeśli nie teraz, to później. — Uśmiechnął się beztrosko. — Ale skończ z tą dziecinną grą. Obaj dobrze wiemy, że emir Bedżów nie pozwoli, by jego śmiertelny wróg zmarł w łańcuchach bez miecza

w rękę.

Osman zaśmiał się ze szczerym zadowoleniem.

— Jesteśmy wykuci z tego samego metalu, ty i ja. — Skinął na al-Nura, każąc mu wrócić na miejsce. — Najpierw musimy znaleźć ci imię odpowiedniejsze niż Abadan Ridzi. Będę zwać cię Abd, bo teraz jesteś niewolnikiem.

— Być może niedługo.

— Może — zgodził się Osman. — Zobaczymy. Ale na razie jesteś Abdem, moim niewolnikiem. Będziesz siedział u moich stóp i biegł obok mojego konia, kiedy wyjadę. Czy nie chcesz wiedzieć, komu zawdzięczasz swój marny los? Czy mam podać ci imię zdrajcy? — Przez chwilę Penrod był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć, i tylko sztywno pokiwał głową. Osman krzyknął do ludzi strzegących bramy: — Przeprowadźcie informatora, żeby odebrał obiecaną nagrodę.

Rozstąpili się i w bramie stanęła znajoma postać, rozglądająca się nerwowo. Wad Hagma poznał Osmana Atalana. Rzucił się na ziemię i czołgał w jego stronę, wysławiając go i zapewniając o swoim oddaniu, posłuszeństwie i wierności. Pokonanie dziedzińca zabrało mu trochę czasu, bo zatrzymywał się co pięć jardów, żeby bić czołem o ziemię. Agadzerowie rechotali i wykrzykiwali słowa zachęty.

— Nie ciągnij w kurzu tego wielkiego brzucha.

— Nie trać wiary! Twoja pielgrzymka dobiega końca!

Wreszcie Wad Hagma dotarł do stóp podium i legł plackiem, rozpościerając ręce i nogi.

Przypominał rozgwiadę.

— Wyświadczyłeś mi wielką przysługę — powiedział Osman.

— Radość przepelnia moje serce, gdy słyszę te słowa, potężny emirze. Rad jestem, że mogłem wydać wroga w twoje ręce.

— Jaką zapłatę uzgodniłszy?

— Dostojny panie, w swojej szczodroblewości wspomniałeś o pięciuset denarach Marii Teresy.

— Zarobiłeś je. — Osman rzucił sakiewkę tak ciężką, że wzbija obłoczek pyłu, gdy uderzyła o ziemię.

Wad Hagma przytulił ją do piersi i wyszczerzył zęby jak idiota.

— Chwała ci, niezwycięzony emirze. Niech Allah zawsze uśmiecha się do ciebie! — Podniósł się, pochylając głowę na znak głębokiego szacunku. — Czy wolno mi odejść sprzed twojego oblicza? Twoja świetność niczym słońce oślepia mi oczy.

— Nie możesz zostawić nas tak szybko. — Ton Osmana zmienił się. — Chciałbym wiedzieć, co czułeś, kiedy zakuleś w niewolnicze kajdany dzielnego wojownika. Powiedz mi, mój mały tłusty karczmarzu, co czuje chytry i zdradliwy pawian, kiedy wabi wielkiego słonia w zasadzkę?

Trwoga przemknęła przez twarz Wad Hagmy.

— To nie słoń, potężny emirze. — Wskazał na Penroda. — To parszywy pies. Jest tchórzliwym niewiernym. To naczynie o kształcie tak bezbożnym, że zasługuje na rozbicie.

— W imię Boga, Wad Hagma, widzę, że jesteś mówcą i poetą. Proszę cię tylko o jeszcze jedną przysługę. Zabij dla mnie tego parszywego psa! Strzaskaj ten zdeformowany garnek, żeby świat islamu mógł stać się lepszy! — Wad Hagma patrzył na emira z wielką konsternacją. — Al-Nurze, daj dzielnemu karczmarzowi swój miecz.

Al-Nur włożył miecz w rękę Hagmy, który z wahaniem popatrzył na Penroda. Ostrożnie położył na ziemi worek z denarami, zrobił krok do przodu. Penrod podniósł się na nogi. Wad Hagma odskoczył.

— Śmiało! Jest skuty i ma złamaną kość ramieniową — zachęcił go Osman. — Parszywy pies

stracił zęby. Jest niegroźny. Zabij go. — Wad Hagma rozejrzał się po dziedzińcu, jakby prosząc o łaskę, ale usłyszał tylko krzyki agadżerów: — Słyszysz słowa emira, czy może jesteś głuchy?

— Rozumiesz rozkazy, czy jesteś głupi?

— Śmiało, dzielny, wielki mówco, pokaż nam, że twoje czyny dorównują słowom.

— Zabij niewiernego psa!

Wad Hagma opuścił miecz i wbił oczy w ziemię. Potem, nagle i niespodziewanie, w nadziei, że uspił czujność ofiary, z mrozącym krew w żyłach wrzaskiem rzucił się na Penroda, wysoko wznosząc miecz w obu dłoniach. Penrod stał bez ruchu, gdy Wad Hagma wyprowadzał cios w głowę. W ostatniej chwili poderwał ręce i pochwycił opadającą głównię skuwającym je łańcuchem. Siła zderzenia ze stalowymi ogniwami była tak wielka, że niewyćwiczone ręce Wad Hagmy zdrętwiały po łokcie. Mimowolnie otworzył dłonie i miecz upadł na ziemię. Wad Hagma cofnął się, pocierając nadgarstki.

— Na święte imię Boga! — pochwalił go Osman. — Jakże potężny cios! Żle cię osądziliśmy. W sercu jesteś wojownikiem. Podnieś miecz i spróbuj jeszcze raz.

— Potężny emirze! Wielki i szlachetny Atalanie! Ulituj się nade mną. Oddam nagrodę. — Podniósł trzos i podbiegł, żeby złożyć go u stóp Osmana. — Proszę! To twoje. Błagam, pozwól mi odejść! O potężny i litościwy panie, miej dla mnie miłosierdzie.

— Podnieś miecz i wykonaj moje rozkazy — powiedział Osman cichym tonem, który zabrzmiał groźniej od krzyku.

— Okaż posłuszeństwo emirowi Atalanowi! — zawołali agadżerowie. Wad Hagma odwrócił się i pospieszył do upuszczonego miecza. Pochylił się, ale gdy jego dłoń zamknęła się na rękojeści, Penrod nastąpił na głównię.

Wad Hagma bez skutku szarpał broń.

— Zejdź! — jęczał. — Daj mi odejść! Nie chciałem nikogo skrzywdzić. — Pochylił ramię i całym ciężarem ciała naparł na Penroda, próbując odepchnąć go od miecza. Penrod zamachnął się łańcuchem, uderzył go w szczękę. Wad Hagma zawył i odskoczył, trzymając się za zraniony policzek. Kołysząc złowieszczą łańcuchem, Penrod szedł za nim. Arab odwrócił się i pomknął w stronę bramy, ale dwóch agadżerów skrzyżowanymi mieczami zagrodiło mu drogę. Wad Hagma poddał się i odwrócił do Penroda, który wciąż podążał za nim, wymachując łańcuchem. — Nie! — Arab miał zniekształconą twarz i mamrotał niewyraźnie. Łańcuch złamał mu szczękę. — Nie chciałem cię skrzywdzić. Potrzebowałem pieniędzy. Mam żony i wiele dzieci... — Próbował ominąć Penroda, zataczając łuk, ale agadżerowie siedzący na murze kłuli go mieczami i ryczeli ze śmiechu, gdy kicał niczym królik. Nagle znowu skoczył do leżącego miecza. Kiedy pochylił się, żeby chwycić rękojeść, Penrod zaszedł go od tyłu i zarzucił mu łańcuch na głowę. Szybkim ruchem opuścił skute dłonie, tak że ogniwa wisiały pod brodą i okalały szyję. Gdy ręce Wad Hagmy dotknęły rękojeści miecza, Penrod pociągnął łańcuch i podniósł Araba wysoko. Wad Hagma zatańczył na czubkach palców, szarpiąc łańcuch i miaucząc jak kocię.

— Módl się! — szepnął Penrod. — Módl się do Allaha o wybaczenie. To twoja ostatnia szansa, bo zaraz przed nim staniesz. — Powoli skręcił łańcuch i zacisnął nim tchawicę. Wad Hagma nie mógł krzyczeć ani nawet jęczeć. — Żegnaj, zdrajco. Niech świadomość, że dla ciebie już nic nie ma znaczenia, będzie ci pociechą. Już nie należysz do tego świata.

Agadżerowie uderzali mieczami w skórzane tarcze w coraz szybszym tempie. Taniec Hagmy stał się bardziej ożywiony. Jego stopy już nie dotykały ziemi. Wierzgał nogami w powietrzu. Zraniona twarz nabrzmiała i posiniała. Nagle rozległ się ostry trzask, jakby pękła sucha gałązka. Wszyscy agadżerowie krzyknęli, gdy Wad Hagma zeszytniał, a potem zawisł bezwładnie na łańcuchu. Penrod

opuścił go na ziemię i ruszył w stronę Osmana Atalana. Agadżerowie śmieli się i krzyczeli, niektórzy naśladowali przedśmiertne drgawki Wad Hagmy. Nawet Osman uśmiechał się z rozbawieniem.

Penrod podszedł do miecza, podniósł go jednym płynnym ruchem i rzucił się prosto na emira, mierząc długą głownią w serce. Wszyscy mężczyźni na dziedzińcu krzyknęli, tym razem z zaskoczenia i trwogi. Penrod miał do pokonania dwadzieścia kroków. Na dziedzińcu zapanował ruch. Kilkunastu agadżerów znajdujących się najbliżej podwyższenia poderwało się z obnażonymi mieczami. Jeszcze chwila, a palisada lśniącej stali oddzieli Penroda od celu. Al-Nur też wkroczył do akcji, ale wcale nie chciał zetrzeć się z Penrodem. Podbiegł od tyłu, chwycił wlokący się łańcuch i pociągnął, zbijając go z nóg. Gdy Penrod upadł, agadżerowie przyskoczyli z podniesionymi mieczami.

— Nie! — krzyknął Osman. — Nie zabijać go! Trzymać mocno, ale nie zabijać!

Al-Nur puścił łańcuch skuwający nogi i chwycił ten przy nadgarstkach. Złośliwie szarpnął na wpół zagojone ramię. Penrod zgrzytnął zębami, żeby powstrzymać się od krzyku. Miecz wypadł mu z rąk. Al-Nur zabrał broń.

— Na Boga! — zaśmiał się Osman Atalan. — Zapewniłeś mi przednią rozrywkę, Abd! Wiem teraz, że potrafisz walczyć, a jutro zobaczę, czy umiesz biegać. Wątpię, czy wieczorem będziesz miał dość siły na swoje harce. Za tydzień zaczniesz błagać, żebym cię zabił. — Osman Atalan popatrzył z podium na al-Nura.

— Tobie zawsze mogę ufać. Zawsze jesteś zdecydowany mi służyć. Jesteś moją prawą ręką. Zabierz mego Abda do celi, ale niech będzie gotów o świcie. Pojedziemy polować na gazy.

Więści szybko rozeszły się po zenanie. Po paru godzinach wszyscy wiedzieli, łącznie z Alim Wadem i strażnikami, że Mahdi wyraził się pochlebnie o kobiecie niewiernych, al-Dżamal. Status Rebecki natychmiast się poprawił. Strażnicy traktowali ją tak, jakby była starszą żoną, a nie poślednią nałożnicą. Przydzielono jej trzy niewolnice do posługi. Inne kobiety Mahdiego, żony i nałożnice, na jej widok wykrzykiwały słowa powitania i błogosławieństwa, a także przychodziły do jej chaty z petycjami i prośbami, błagając o przekazanie ich Mahdiemu. Żywność przysyłana z kuchni zmieniła się pod względem jakości i ilości: duże świeże ryby prosto z rzeki, tykwy kwaśnego mleka, plastry miodu dzikich pustynnych pszczoł, najdelikatniejsza baranina, gicze cielece, żywe kurczęta i jaja, i wszystko w takich ilościach, że Rebecca mogła dokarmiać kilkoro chorych dzieci najniżej postawionych nałożnic.

Nowy status objął również pozostałe kobiety w jej domu. Nazirę tytułowano teraz Ammi, czyli ciocia. Strażnicy oddawali jej honory, gdy przechodziła przez bramę. Ponieważ było wiadomo, że Amber jest siostrą jednej z faworyt Mahdiego, ona również otrzymała specjalne przywileje. Była dzieckiem i jeszcze nie widziała swojego pierwszego księżyca, więc żaden ze strażników nie zgłaszał sprzeciwu, kiedy towarzyszyła Nazirze w wyprawach za bramę.

Pewnego ranka Nazira i Amber wyszły wcześniej, żeby iść na targ na brzegu rzeki, dokąd wieśniacy przywozili świeże zbiory. Zaczął się sezon na figi i granaty i Nazira chciała wybrać najładniejsze sztuki. Gdy minęły wielką budowlę Bejt el Mai, na ulicy przed nimi powstało zamieszanie. Zebrał się tłum, huczały bębny wojenne i grzmiały rogi z kości słoniowej.

— Co się dzieje, Naziro?

— Nie jestem wszechwiedząca — odparła Nazira cierpko. — Zawsze musisz mnie pytać?

— Bo ty wiesz wszystko. — Amber podskoczyła, żeby spojrzeć nad głowami tłumu. — Patrz! To sztandar emira Atalana. Pospieszmy się, bo inaczej go nie zobaczymy. — Pobiegnęła pierwsza i Nazira musiała przyspieszyć do truchtu, żeby dotrzymać jej kroku. Amber kluczyła pomiędzy nogami ludzi, aż znalazła się w pierwszym szeregu. Nazira przebijała się za nią, nie bacząc na protesty.

— Idzie! — ryknęli zgromadzeni. — Bądź pozdrowiony, potężny emirze ludu Bedża! Bądź

pozdrawiony, zwycięzco z Chartumu i zabójco Gordona Baszy! — Za chorążym, z czterema najbardziej zaufanymi agadżerami po bokach, jechał Osman Atalan na wielkim karym ogierze, al-Buku. Nazira i Amber zobaczyły, że przy strzemienu emira biegnie jakiś człowiek. Był ubrany w krótką koszulę bez rękawów i przepaskę biodrową. Nogi miał gołe, a stopy bose.

— To biały! — zawołała Nazira, a ludzie wokół niej roześmieli się i krzyknęli na wiwat.

— To szpieg niewiernych, pacholek Gordona Baszy.

— Kiedyś zwali go Abadan Ridzi. Ten, który nigdy nie odwraca się plecami.

— Jest teraz więźniem emira.

— Osman Atalan nauczy go nowych sztuczek. Nie tylko odwracać się plecami, ale krążyć w małych kółkach i podskakiwać.

Amber pisnęła z podniecenia.

— Naziro! To kapitan Ballantyne!

Nawet w panującym rejwachu Penrod usłyszał, jak wykrzyknęła jego nazwisko. Odwrócił głowę i popatrzył prosto na nią. Gorączkowo pomachała rękami, ale kawalkada już się oddalała. Zanim zniknęła, Amber dostrzegła na szyi Penroda sznur przywiązany do strzemięcia emira.

— Dokąd go zabierają? — jęknęła. — Czy go zabijają?

— Nie! — Nazira objęła dziewczynkę, żeby ją uspokoić. — Jest dla nich zbyt cenny. Teraz musimy wrócić i powiedzieć twojej siostrze, co widziałyśmy. — Pospieszyły do zenany, ale kiedy weszły do chaty, stwierdziły, że Rebecca zniknęła.

Nazira natychmiast wypytała niewolnice.

— Gdzie wasza pani?

— Ali Wad po nią przyszedł. Zabrał ją do pałacu Mahdiego.

— Za wczesna pora na męskie przyjemności.

— Mahdi jest chory. Ali mówi, że śmiertelnie chory. Powaliła go cholera. Wiedzą, że al-Dżamał uratowała swoją siostrę al-Zahrę i wielu innych. Chcą, żeby uratowała Wybranego.

Gdy wieści o chorobie Mahdiego rozchodziły się po haremie, w ślad za nimi podążała fala płaczu, lamentów i modłów.

Kiedy kawalkada dotarła na skraj pustyni, Osman lekko ściągnął wodze al-Buka i jednocześnie ścisnął go kolanami. Był to znak, że ogier ma ruszyć gładkim, płynnym trzytaktowym krokiem. Ten chód, łatwy dla konia i jeźdźca, nie jest naturalny, wierzchowiec musi być przyuczony. Agadżerowie wzięli przykład z emira i jechali w tempie szybszym od kłusa, ale wolniejszym od galopu.

Penrod, ze smyczą na szyi, musiał dotrzymywać im kroku. Skręcili na południe, jadąc równoległe do rzeki. Upał narastał. Dotarli do wioski Al Malaka. Naczelnik i wioskowa starszyzna spieszenie wylegli na powitanie emira, błagając, żeby wyświadczył im łaskę i zatrzymał się na skromny poczęstunek. Gdyby naprawdę byli na polowaniu, Osman nie traciłby czasu na takie przyjemności, ale wiedział, że jeśli jeniec nie odpocznie i nie dostanie pić, to umrze. Koszulę miał mokrą od potu, a stopy pokaleczone przez ciernie i ostre krzemienie.

Siedząc pod drzewem w centrum wioski i rozmawiając o możliwości znalezienia zwierzyny w okolicy, emir z satysfakcją zauważył, że al-Nur odgadł jego życzenia, bo pozwolił Penrodowi usiąść i napić się z bukłaka. Kiedy podniósł się wreszcie i kazał siadać na konie, Penrod odzyskał siły. Wyjął lewą rękę z temblaka, choć jeszcze niezupełnie wydobrzała; unieruchomiona zakłócała równowagę w czasie biegu.

Zatrzymali się po godzinie jazdy. Osman wyjął lunetę i rozejrzał się po pustyni, wypatrując śladów gazeli. Al-Nur tymczasem dał Penrodowi pić i pozwolił mu przykucnąć, gdy chytał oddech. Osman zbyt szybko rozkazał ruszać dalej. Do końca dnia zatoczyli szerokie koło po piaszczystych

wydmach, zwirowych równinach i wapiennych skałkach, przystając od czasu do czasu, żeby napić się wody z bukłaków.

Godzinę przed zachodem słońca wrócili do Omdurmanu. Konie zwolniły do stępa. Penrod zataczał się na końcu sznura. Niejednokrotnie przewracał się i był wleczony po ziemi. Za każdym razem al-Nur zatrzymywał wierzchowca, żeby niewolnik mógł wstać i iść dalej. Kiedy przejechali przez bramę i zsiadli z koni na dziedzińcu, Penrod słał się na pokaleczonych, zakrwawionych nogach. Był półprzytomny z wyczerpania i musiał mobilizować resztkę pozostałych mu sił, żeby nie runąć na ziemię.

Osman zawołał do niego: — Zawiodłeś mnie, Abd. Chciałem, żebyś znalazł dla nas stado gazeli, a ty wolałeś tarzać się w kurzu i szukać żuków gnojaków.

Wojownicy krzyknęli zadowoleni z żartu.

— Żuk gnojak jest lepszym imieniem niż Abd — zaproponował al-Nur.

— Niech więc tak będzie — zgodził się Osman. — Odtąd znany będziesz jako Dżiz, niewolnik, który stał się żukiem gnojakiem.

Gdy Osman wrócił do swojej kwatery, jeden z niewolników padł przed nim na twarz.

— Potężny emirze, umiłowany Allaha i jego prawdziwy prorok.

Boski Mahdi poważnie zachorował. Przysłał wieści, że masz natychmiast stawić się u niego.

Osman skoczył na siodło al-Buka i wyjechał galopem przez bramę.

Dozorcy przyszedli po Penroda i zawlekli go do celi. Jak wcześniej, przykuli go do żelaznego pręta. Zanim zamknęli drzwi, jeden uśmiechnął się do niego.

— Wciąż masz siły, żeby atakować wielkiego emira?

— Nie — szepnął Penrod. — Ale może mógłbym ukręcić głowę któremuś z jego kurczaków. — Pokazał ręce dozorczy. Mężczyzna szybko zatrasnął drzwi i zamknął je na klucz.

W zwyczajnym miejscu stały trzy duże dzbany wody, a posiłek w porównaniu z poprzednimi był wystawną ucztą. Jedzenie nie leżało na gołej polepie, tylko na talerzu. Penrod ledwo miał siłę żuć, ale wiedział, że aby przeżyć, musi jeść. Dostał pół łopatki pieczonego jagnięcia, gomółkę twardego sera oraz kilka fig i daktyli. W trakcie posiłku zastanawiał się, kto dostarczył żywność i czy zrobił to na rozkaz Osmana Atalana. Jeśli tak, jaką grę planował emir? Następnego dnia pozwolili mu odpoczywać, ale trzeciego dnia dozorczy zbudzili go przed wschodem słońca.

— Wstawaj, Abd Dżiz! Emir kazał cię przeprosić. Dziś nie może towarzyszyć ci w polowaniu na gazy. Pilna sprawa zatrzymała go w pałacu Mahdiego. Lecz al-Nur, słynny agadżer, zaprasza cię na polowanie. — Założyli mu sznur na szyję i zdjęli łańcuchy.

Penrod miał tak opuchnięte, pozdzierane stopy, że chodzenie sprawiało mu katusze, ale po paru pierwszych milach ból zmalał i mógł biec. Nie znaleźli ani jednej gazeli, choć przeszukali wiele mil pustyni. Nim wrócili, paznokcie trzech palców u stóp zrobiły się sine.

Polowali dzień po dniu bez Osmana Atalana. Nie zabili ani jednej gazeli, ale al-Nur nie popuszczał. Paznokcie odpadły z poranionych palców. W ciągu paru następnych tygodni Penrod wiele razy myślał, że w zainfekowane rany na stopach wda się gangrena i straci obie nogi.

Z początkiem nowego księżyca, który oznaczał początek ramadanu, stopy wygoiły się, a podeszwy znieczuliły i stwardniały, jakby nosił sandały. Tylko najostrzejsze ciernie mogły je przebić. Wyglądał chudo, ciało miał sprężyste, a miejsce tłuszczu zajęły wyrobione mięśnie i mógł dotrzymać kroku wierzchowcowi al-Nura.

Penrod nie widział Osmana Atalana od pierwszego nieudanego polowania na gazy. Kiedy wrócili do Omdurmanu trzeciego dnia ramadanu, biegł bez wysiłku obok strzemięcia al-Nura. Przypominał teraz pustynnego Araba: był chudy i brodaty, opalony i twardy.

Gdy dotarli na przedmieścia świętego miasta, al-Nur ściągnął wodze.

— Coś się stało — powiedział. — Słuchajcie! — Usłyszeli bicie w bębny i ryk ombeja. Muzyka nie była hymnem wojennym ani wyrazem radości. Potem huknęły strzały i al-Nur oświadczył: — To złe wieści.

Jeźdźcy podjechali galopem i poznali agadżerów Osmana Atalana.

- Biada nam! — krzyczeli. — Nasz ojciec nas zostawił. Biada nam wszystkim!

— Emir?! — zawołał al-Nur. — Osman Atalan nie żyje?

— Nie! Święty, umiłowany Boga, światło naszego życia, Muhammad, Mahdi, został nam zabrany! Jesteśmy dziećmi bez ojca.

Tygodniami czekali przy łóżku Mahdiego. Przewodził im kalif Abdallahi. Następni byli aszrafowie, czyli bracia, wujowie i kuzyni Mahdiego, oraz emirowie plemion: Dżaalinów, Hadendoa, Bedżów i innych. Mahdi nie miał synów, sukcesja po jego śmierci nie była pewna. W pokoju przebywały tylko dwie kobiety, obie w woalach, siedzące cicho w kącie. Jedną była Aisza, pierwsza żona Mahdiego, a drugą nałożnica al-Dżamal. Ta ostatnia była nie tylko jego obecną faworytą, ale zasłynęła także z medycznych umiejętności. Kobiety razem czuwały w trakcie długiej choroby.

Na początku abisyńskie lekarstwo wydawało się skuteczne. Rebecca mieszała proszek z gotowaną wodą i wraz z Aiszą zmuszały Mahdiego do wypijania ogromnych ilości mikstury. Podobnie jak w przypadku Amber biegunka odwodniła ciało, ale wspólnymi siłami zdołały uzupełnić niedobory płynów i soli mineralnych. Czternastego dnia, gdy pacjent był na jak najlepszej drodze do wyzdrowienia, co godzina w nowym meczecie za oknem odmawiano modlitwy dziękczynne.

Kiedy mógł siadać i jeść, w mieście zagrzmiały bębny i entuzjastyczne wystrzały. Nazajutrz Mahdi poskarżył się, że swędzą go ukąszenia insektów. Jak większość innych budynków w mieście pałac był zawoszony i zapchlony. Na rękach i nogach rekonwalescenta pojawiły się czerwone obrzmienia. Kobiety odkaziły pokój, paląc w koszu gałęzie terpentynowca, ale Mahdi rozdrapał miejsca ukąszeń i wiele z nich zostało zainfekowanych odchodami insektów. Temperatura ciała wzrosła, cierpiał na naprzemienne ataki gorączki i zimnych dreszczy. Nie chciał jeść. Nękały go mdłości. Lekarze uznali, że są to powikłania po cholera.

Szesnastego dnia ciało pokryła charakterystyczna wysypka tyfusu. W tym czasie Mahdi był tak osłabiony, że poddał się chorobie. Blisko końca poprosił kobiety, żeby pomogły mu usiąść, i słabym, drżącym głosem przemówił do wszystkich ważnych mężczyzn, którzy otaczali jego angareb.

— Prorok Mahomet, który siedzi po prawicy Allaha, przyszedł do mnie i powiedział mi, że kalif Abdallahi ma zostać moim następcą na ziemi. Abdallahi jest mną, a ja jestem nim. Jak słuchaliście i traktowaliście mnie, tak macie słuchać i traktować kalifa. Allah jest wielki i nie ma Boga prócz Allaha. — Opadł na łóżko i już się nie odezwał.

Mężczyźni czekali. Napięcie panujące w zatłoczonym pokoju było gorsze od gorąca i odoru choroby. Aszrafowie poszeptowali między sobą i ukradkiem zerkali na kalifa Abdallahiego, Uważali, że więzy krwi z Mahdim przewyższają wszystko inne: prawo do objęcia władzy musiało przypaść jednemu z nich. Z drugiej strony wiedzieli, że ich roszczenia zostały nadwątlone przez ostatni edykt Mahdiego i kazanie, które wygłosił w nowym meczecie kilka tygodni przed chorobą. Skarcił wtedy krewnych za zbyt długie życie, za jawną pogoń za bogactwem i przyjemnością.

— Nie stworzyłem nowego ładu dla waszej korzyści. Macie wyrzec się słabości i niegodziwości. Wróćcie do cnót, których was nauczyłem i które są miłe Allahowi — perorował, a ludzie zapamiętali jego słowa.

Wprawdzie pretensje aszrafów do sukcesji po Mahdim zostały podkopane, ale gdyby

opowiedziało się za nimi kilku potężnych emirów wojowniczych plemion, Abdallahi zostałby posłany na plac straceń za meczetem, żeby spotkać się z Bogiem i podążyć za Wybranym na rajskie pola.

Siedząc cicho obok Aiszy w kącie pokoju, Rebecca dowiedziała się o polityce derwiszów dostatecznie dużo, żeby orientować się w niuansach i podtekstach, które ekscytowały mężczyzn. Odsunęła fałdy woalu, aby zapytać Aiszę, czy może umyć rozgorączkowaną twarz umierającego Mahdiego.

— Zostaw go w spokoju — odparła cicho Aisza. — Jest już w drodze do Allaha, który lepiej od nas będzie kochać go i opiekować się nim przez całą wieczność.

W pokoju było gorąco i duszno, więc Rebecca opuściła welon, żeby powietrze wpadające przez małe okna po drugiej stronie pokoju ochłodziło jej twarz. Poczowała na sobie czyjeś spojrzenie. Osman Atalan, emir Bedżów, spokojnie przyglądał się jej twarzy. Jego ciemne oczy były nieodgadnione, ale wiedziała, że patrzy na nią jak na kobietę, młodą i piękną kobietę, która niedługo zostanie bez mężczyzny. Nie mogła odwrócić wzroku: jego oczy działały na nią jak żelazo na igłę kompasu.

Choć wydawało się, że minęły wieki, już po chwili Abdallahi pochylił się w stronę Osmana Atalana i wyszeptał coś cicho, ledwo poruszając ustami. Osman odwrócił głowę i przerwał czar, który łączył go z młodą kobietą.

— Jak będzie, szlachetny emirze Atalanie? — zapytał Abdallahi cicho, żeby nikt inny w pokoju nie usłyszał.

— Wschód jest mój — odparł Osman, — Wschód jest twój — zgodził się Abdallahi.

— Hadendoa, Dżaalinowie i Bedżowie są moimi wasalami.

— Są twoimi wasalami — przyznał Abdallahi. — A ty jesteś moim?

— Jeszcze jedno. — Osman zwlekał przez chwilę i Abdallahi go uprzedził.

— Kobieta z żółtymi włosami?

A zatem spostrzegł wymianę spojrzeń pomiędzy Osmanem i al-Dżamał. Osman pokiwał głową. Jak wszyscy inni Abdallahi pożądał tej egzotycznej istoty o złotych włosach, niebieskich oczach i skórze barwy kości słoniowej, ale dla niego nie była warta ceny imperium.

— Jest twoja — obiecał.

— W takim razie jestem wasalem Abdallahiego, następcy Mahdiego. Będę tarczą na jego ramieniu i ostrzem w jego prawicy.

Nagle Mahdi otworzył oczy i wbił je w sufit. Krzyknął: — O Allahu! — Powietrze uciekło z płuc. Zakryli mu twarz białym płótnem i przeciwne frakcje spojrzwały na siebie nad stygnącym ciałem.

Aszrafowie przedstawili swoje racje oparte na świętości ich krwi. Stanowisko kalifa Abdallahiego było jasne: nie miał w żyłach krwi Mahdiego, ale miał jego słowo i błogosławieństwo. Panowała równowaga. Nowo powstałe imperium chwiało się na krawędzi wojny domowej.

— Kto opowiada się za mną? — zapytał kalif Abdallahi.

Osman Atalan wstał i popatrzył spokojnie w twarze emirów plemion, które tradycyjnie winne mu były posłuszeństwo. Jeden po drugim kiwali głowami.

— Opowiadam się za słowem i życzeniem Mahdiego, oby Allah kochał go wiecznie! — powiedział Osman. — Opowiadam się za kalifem Abdallahim.

Wszyscy mężczyźni oddali hołd nowemu władcy, kalifowi Sudanu, choć głosy aszrafów były stłumione, bez krzty entuzjazmu.

Kiedy Rebecca wróciła do chaty w zenanie, Amber przywitała ją radośnie. Choroba Mahdiego rozdzieliła je na długie tygodnie. Położyły się na łóżku, tuląc się i rozmawiając. Miały sobie wiele

do powiedzenia.

Rebecca opisała śmierć Mahdiego i objęcie władzy przez Ab-dallahiego.

— To dla nas bardzo niebezpieczne, kochanie. Mahdi był twardy i okrutny, ale zdołaliśmy wkraść się w jego łaski. — Rebecca nie wchodziła w szczegóły, jak do tego doszło, tylko mówiła dalej: — Teraz, gdy umarł, jesteśmy zdane na łaskę tego niegodziwego człowieka.

— Spodobasz mu się — zapewniła Amber. Jest wyrośnięta jak na swój wiek i tak dużo rozumie, pomyślała Rebecca. — Jesteś taka piękna. Spodobasz mu się jak Mahdiemu — powtórzyła dziewczynka z przekonaniem. — Na pewno przyśle po ciebie za kilka dni.

— Tak, słodka siostrzyczko, ale nie wybiegajmy w przyszłość w poszukiwaniu kłopotów. Same nas znajdują.

— Może kapitan Ballantyne nas uratuje.

— Kapitan Ballantyne jest daleko — zaśmiała się Rebecca. — Pewnie u siebie w domu, w Anglii, już od wielu miesięcy.

— Nie, jest w Omdurmanie. Widziałyśmy go z Nazirą. Całe miasto o nim mówi. Został pojmany przez tego niegodziwego człowieka, Osmana Atalana. Trzymają go na sznurze i każą mu biegać przy koniu emira jak psu. — Łzy zalśniły w oczach Amber. — To okrutne. Jest takim pięknym dżentelmenem.

Rebecca była zdumiona i skonsternowana. Jej krótki związek z Penrodem wydawał się snem. Tak wiele wydarzyło się od czasu, kiedy ją zostawił, że wspomnienia o nim spłwiały, a jej uczucia zabarwiła uraza. Teraz wszystko powróciło.

— Szkoda, że przybył do Omdurmanu — wybuchła. — Chciałabym, żeby trzymał się z daleka. Wolę więcej go nie widzieć. Jeśli jest więźniem derwiszów tak jak my, nijak nie może nam pomóc. Nie chcę nawet o nim myśleć.

Przez większą część następnego dnia Rebecca uzupełniała zapiski w dzienniku, który odziedziczyła po ojcu. Drobnym, zbitym pismem zanotowała wszystko, co widziała przy łożu śmierci Mahdiego, a potem przelała na papier swoje odczucia na wieść, że Penrod Ballantyne znów wkroczył w jej życie.

Od czasu do czasu przeszkadzały jej krzyki wielkich tłumów w meczecie, niosące się nad murem zenany. Zdawało się, że do Omdurmanu ściągnęli wszyscy mieszkańcy kraju. Rebecca kazała Nazirze zasięgnąć języka i zabroniła Amber udziału w wyprawie do miasta. Nie chciała tracić jej z oczu w tych niebezpiecznych, niepewnych czasach.

Nazira wróciła po południu.

— Wszystko dobrze. Mahdi został pochowany, kalif uznał go za świętego, a jego grób za święte miejsce. Stanie tam wielki nowy meczet.

— Ale co to za hałasy w meczecie? Trwają przez cały dzień.

— Nowy kalif zażądał, żeby wszyscy złożyli Beja, przysięgę wierności. Emirowie, szejkowie i inni ważni ludzie zrobili to pierwsi. Nawet aszrafowie przysięgli. Zebrał się taki tłum, że meczet pęka w szwach. Składają przysięgę po pięciuset naraz. Podobno kalif opłakuje Mahdiego jak wdowa w żałobie, ale ludzie wciąż tłoczą się wokół niego. Wszędzie na ulicach słyszałam, jak tłum wysławia kalifa i obiecuje mu posłuszeństwo, zgodnie z nakazem Mahdiego. Powiadają, że odbieranie przysięg potrwa wiele dni, może nawet tygodni.

A potem kalif przyśle po mnie, pomyślała Rebecca, i jej serce zakołatało ze strachu.

Myliła się, to nie trwało tak długo. Dwa dni później Ali Wad przyszedł do ich chaty. Towarzyszyło mu sześciu obcych mężczyzn.

— Spakuj swoje rzeczy i idź z tymi ludźmi — powiedział Ali Wad. — To rozkaz kalifa

Abdallahiego, który jest światłem świata i oby zawsze sprawiał radość Allahowi.

— Kim oni są? — Rebecca niespokojnie popatrzyła na przybyszów. — Nie znam ich.

— To agadżerowie potężnego emira Osmana Atalana. Nazira i al-Zahra pójdą z tobą.

— Ale dokąd nas zabierają?

— Do jego haremu. Teraz, gdy Wybrany odszedł, on został twoim panem.

Nowego władcę Sudanu czekało wiele zadań. Kalif Abdallahi był inteligentnym człowiekiem.

Rozumiał, że odziedziczył potężne, zjednoczone imperium, u podstaw którego leżał religijny i duchowy mistycyzm Mahdiego oraz polityczny imperatyw wypędzenia Turków i niewiernych. Teraz, po śmierci Mahdiego, niewierni zbiorą się na granicach, a wrogowie wewnętrzni zaczną podgryzać jak termity centralne filary władzy. Abdallahi był nie tylko inteligentny — był również bezlitosny.

Wezwał do siebie wszystkich potężnych wodzów. Było ich tak wielu, że ledwo zmieścili się w nowym meczecie. Najpierw przypomniał im o przysiędze złożonej przed kilkoma dniami. Potem odczytał oświadczenie, które Mahdi wydał w ubiegłym roku i w którym jasno dał do zrozumienia, że darzy zaufaniem kalifa Abdallahiego: „On jest mną, a ja nim — napisał Mahdi własną ręką. — Odnście się do niego z szacunkiem jak do mnie. Poddajcie mu się tak, jak mnie się poddaliście. Wierźcie w niego tak, jak wierzyście we mnie. Liczcie się z jego słowem i nigdy nie kwestionujcie jego decyzji. Wszystko, co czyni, czyni na mocy rozkazu lub zezwolenia proroka Mahometa. Jeśli któryś człowiek będzie źle o nim myślał lub mówił, spotka go śmierć. Kalif został obdarzony mądrością we wszystkich sprawach. Jeśli skaże człowieka na śmierć, to dla dobra was wszystkich”.

Kiedy z powagą wysłuchali tego obwieszczenia, Abdallahi rozkazał emirom i aszrafom napisać listy, które jeźdźcy na rączych koniach i wielbłądach zawieźli do najdalszych zakątków imperium, aby uspokoić i podnieść na duchu mieszkańców. Mianował sześciu nowych kalifów, którzy mieli tworzyć jego rząd. Do tej rangi wyniósł swoich braci, a także Osmana Atalana. Kalif Osman uhonorowany został również nową zieloną chorągwią wojenną, pasującą do dotychczasowej szkarłatno-czarnej, a także zaszczytem umieszczenia jej przy bramie pałacu Abdallahiego w czasie bytności w Omdurmanie. Pod jego sztandarem skupiły się wszystkie wschodnie plemiona; dowodził prawie trzydziestoma tysiącami doborowych wojowników.

Załatwianie tych spraw zajęło kilka miesięcy, a kiedy wszystko uznano za zakończone, Abdallahi zaprosił Osmana Atalana na polowanie. Wyjechali na pustynię, na szerokie, bezludne przestrzenie, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać. Wysforowali się na milę przed swoją świtę, a wtedy Abdallahi roztoczył przed Osmanem swoją wizję przyszłości.

— Mahdija została poczęta w wojnie i płomieniach dżihadu. W czasie pokoju i zadowolenia zardzewieje i rozsypie się niczym nieużywany miecz. Jak rozpuszczone dzieci, plemiona wrócą do starych waśni, a szejkwowie będą kłócić się pomiędzy sobą niczym zazdrosne kobiety — powiedział. — Bóg świadkiem, nie brakuje nam prawdziwych wrogów. Otaczają nas poganie i niewierni. Gromadzą się jak chmary szarańczy na naszych granicach. Ci wrogowie zapewnią jedność i siłę naszemu imperium, bo zagrożenie z ich strony daje nam powód do kontynuowania dżihadu. Moje imperium musi się rozszerzać, bo inaczej runie pod własnym ciężarem.

— Twoja mądrość nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, potężny Abdallahi. Przy tobie jestem jak niewinne dziecko. Ty jesteś moim ojcem i ojcem narodu. — Osman dobrze znał tego człowieka: Abdallahi uwielbiał pochlebstwa. A jednak ta szeroko zakrojona wizja naprawdę zrobiła na nim wrażenie. Zrozumiał, że Abdallahi marzy o stworzeniu mocarstwa, które mogłoby rywalizować z imperium osmańskim.

— Osmanie Atalanie, jeśli jesteś dzieckiem, a Allah wie, że nie, to wojowniczym dzieckiem. — Abdallahi uśmiechnął się. — Wysyłam Abdela Kerima na północ, żeby zaatakował Egipcjan na

granicy. Jeśli zwycięży, cały Egipt od pierwszej katarakty po deltę powstanie i dołączy do naszego dżihadu.

Osman w milczeniu rozważał te doniosłe informacje. Uznał, że Abdallahi mocno przecenia wpływ mahdystów na mieszkańców Egiptu. Prawda, w większości byli muzułmanami, ale znacznie mniej żarliwymi niż derwisze. W Egipcie mieszkała również liczna grupa koptyjskich chrześcijan, którzy fanatycznie sprzeciwiają się sudańskim mahdystom. Co więcej, byli tam Brytyjczycy. Dopiero niedawno zdobyli władzę w tym kraju i nie zrezygnują z niej bez zacieklej walki. Osman znał dobrze wartość białych ludzi: walczył z nimi pod Abu Klea, gdzie była ich tylko garstka. Słyszał, że tworzyli armie na północy. Ich okręty wojenne kotwiczyły w porcie Aleksandrii. Wojska kalifa nie zdołają wywalczyć sobie drogi do odległej o tysiące mil delty. Nawet gdyby za sprawą szczęśliwego trafu dokonały tej sztuki, spotka ich pewna śmierć z ręki Brytyjczyków. Osman próbował znaleźć dyplomatyczne słowa, żeby wypowiedzieć swoje zdanie bez wzbudzania gniewu Abdallahiego, gdy dostrzegł chytry błysk w jego oku.

Wtedy zrozumiał, że sprawa przedstawia się zupełnie inaczej, niż może się wydawać. Wreszcie przejrzał zamysły Abdallahiego: wcale nie chodziło mu o podbój i okupację Egiptu, tylko o zastawienie sideł na swoich wrogów. Aszrafowie stanowili główne zagrożenie jego władzy; Abdel Kerim był kuzynem Mahdiego i jednym z przywódców. Dowodził wielką armią, łącznie z regimentem Nubijczyków, którzy byli doskonałymi żołnierzami. Jeśli Abdel Kerim przegra wojnę z Egipcjanami, Abdallahi oskarży go o zdradę i każe stracić albo przynajmniej zdegradować i sam obejmie komendę nad armią aszrafów.

— Genialny plan, wielki kalifie! — Osman nie krył szczerego podziwu. Zrozumiał, że Abdallahi, z racji swojej przebiegłości i bezwzględności, jak najbardziej nadaje się na jedynowładcę Sudanu.

— Dla ciebie, Osmanie Atalanie, też mam zadanie.

— Panie, wiesz, że jestem twoim psem myśliwskim — odparł Osman. — Wystarczy, że wydasz rozkaz.

— A zatem, moje wojownicze dziecię, mój wierny psie myśliwski, zdobędziesz dla mnie sporne ziemie. — Mówił o rozległych terenach wokół Gonderu, o dobrze nawodnionej, żyznej ziemi w górnym biegu rzeki Atbary, sięgającej od Gallabatu po zbocza góry Horrea. Sudańscy i abisyńscy władcy od setek lat walczyli o tę ceną zdobycz.

Osman zastanawiał się nad zadaniem. Wypatrywał pułapek i sideł, które mógł zastawić Abdallahi, jak wcześniej na Abdela Kerima, ale nie znalazł żadnych. Osiągnięcie celu miało być trudne i niebezpieczne, lecz nie niemożliwe. Dysponował siłami wystarczającymi do wykonania zadania. Ryzyko było do przyjęcia. Wiedział, że jest lepszym generałem niż abisyński cesarz Jan. Nie będzie musiał walczyć w górach, gdzie przewaga leżałaby po stronie przeciwnika. Zdobycz miała ogromną wartość, a zajęte ziemie wejdą w skład jego domeny. Myśl o przeniesieniu osobistej siedziby władzy do Gonderu, starożytnej stolicy Abisynii, była kusząca. Gonder leżał tak daleko od Omdurmanu, że mógłby uzyskać pełną niezależność, a Abdallahiemu składać gołosłowne deklaracje poparcia.

— Czuję się zaszczycony, dostojny panie! — Osman Atalan potwierdził przyjęcie rozkazu. — Przed wschodem nowego księżyca wyjadę z Omdurmanu i ruszę w górę rzeki Atbary, żeby przeprowadzić rozpoznanie na rubieżach i opracować plany bitwy. — Po chwili namysłu dodał: — Będę potrzebował pretekstu, żeby podróżować wzdłuż granicy, a może nawet zawitać do Gonderu. Jeśli wielki Abdallahi skreśli list z pozdrowieniami i życzeniami dla cesarza, z rozkazem doręczenia abisyńskiemu gubernatorowi w Gonderze, będę mógł bez wzbudzania podejrzeń przyjrzeć się umocnieniom miasta i rozmieszczeniu wrogich wojsk na granicy. — Niech Allah ci sprzyja —

powiedział Abdallahi łagodnie. — Ty i ja jesteśmy bliźniakami, Osmanie Atalanie. Myślimy jedną głową i uderzamy tym samym mieczem.

Flotylla dau, wioząca Osmana Atalana i jego świętę, dotarła do Bahr al-Azrak, Nilu Błękitnego i do miasteczka Aligail. Tutaj do Nilu wpadał jeden z głównych dopływów, rzeka Rahad, żeglowna na długości nie większej niż kilkanaście mil. Agadżerowie, kobiety i niewolnicy, prawie trzysta osób, wysiedli na brzeg. Konie też przyplęły na dau z Omdurmanu. Osman rozesał agadżerów na pięćdziesiąt mil we wszystkie strony, żeby u lokalnych szejków wynajęli wielbłądy i poganiaczy. Kiedy wszystko było gotowe, ruszyli na wschód wzdłuż Rahadu. Karawana rozciągała się na kilka mil. Osman wraz z wybraną grupą agadżerów znacznie wyprzedzał główną kolumnę. Penrod biegł obok jego konia ze sznurem na szyi.

W miarę jak zbliżali się do gór, przybywało lasów i powietrze stawało się bardziej rześkie. Nad rzeką leżały małe wioski, ale dzieliły je duże odległości i na terenach pomiędzy nimi nie brakowało zwierzyny i ptactwa. Napotykali nosorożce i żyrafy, bawoły, zebry i antylopy wszelkiego rodzaju. Osman zarządzał łowy w trakcie podróży. Niektóre dni schodziły na polowaniu na antylopy określonego gatunku. Nie zniżając się do używania broni palnej, agadżerowie posługiwali się oszczepami i powalali ofiarę z końskiego grzbietu. Były to szalone pościgi i Penrod nadażał tylko dzięki temu, że przytrzymał się puśliska, gdy al-Buk galopował, i jego stopy stykały się z ziemią co tuzin kroków. W tym czasie był już w nadzwyczajnej formie fizycznej i wyprawy myśliwskie bawiły go jak agadżerów. W czasie polowania czuł się wolny i pełen życia, dzięki czemu niewola stawała się znośniejsza.

Większość nocy spędzali pod gwiazdzistym niebem, tam gdzie zastał ich zmierzch. Zwykle znacznie wyprzedzali główną kolumnę, ale gdy zabili jakieś duże zwierzę, takie jak żyrafa czy nosorożec, obozowali przy nim i czekali. Kiedy przybywała karawana, pośrodku zasieków z ciernistych krzaków niewolnicy rozbijali ogromny skórzany namiot Osmana, wyposażony w poduszki i perskie dywany. Dokoła wznosili mniejsze, lecz nie mniej luksusowe namioty jego żon i nałożnic.

W przeciwieństwie do Mahdiego i kalifa Abdallahiego Osman miał tylko cztery żony, zgodnie z nakazem Koranu. Liczba jego nałożnic również była skromna i choć się zmieniała, nie przekraczała dwudziestu lub trzydziestu. Na wyprawę zabrał z sobą tylko najmłodszą żonę: jeszcze nie urodziła mu dziecka i musiał ją zapłodnić. Z nałożnic wybrał siedem najbardziej pociągających, w tym tę, którą miał od niedawna, białą dziewczynę al-Dżamal. Dotąd był zbyt zajęty sprawami stanu i polityką, dlatego jeszcze nie posmakował jej owoców. Nie spieszył się do tego; oczekiwanie na konsumpcję wyostrzało apetyt.

Penrod wiedział, że Rebecca uczestniczy w ekspedycji. Widział ją na pokładzie dau, gdy wsiadali na łódzie w Omdurmanie, a potem z daleka przy czterech innych okazjach. Za każdym razem nawet nie spojrzała w jego stronę, ale towarzysząca jej Amber machała do niego i posyłała mu zalotne uśmiechy. Oczywiście nie miał możliwości, żeby zamienić z nią słowo. Kobiety Atalana były pilnie strzeżone, podobnie jak on, niewolnik kalifa. W ciągu dnia prowadzano go na smyczy, a wieczorem zakuwano w kajdany i zamykano w zarebie al-Nura i innych agadżerów.

Choć zwykle padał ze zmęczenia na baranią skórę służącą mu za posłanie, w czasie długich nocy miewał czas na rozmyślanie o Rebecce. Kiedyś był przekonany, że ją kocha, że z jej powodu złamał rozkaz sir Charlesa Wilsona i wrócił do Chartumu po bitwie pod Abu Klea. Od tej pory jego uczucia stały się ambiwalentne. Oczywiście wciąż była jego rodaczką, a poza tym oddała mu swoje dziewictwo i czuł się za nią odpowiedzialny. Jednakże jej cnota, która z początku tak bardzo go pociągała, została trwale zszargana. Chociaż nie z własnej woli, została dziwką nie jednego, lecz co najmniej dwóch mężczyzn. Surowy kodeks honorowy nie pozwoliłby mu na poślubienie flamy innego

mężczyzny, zwłaszcza że mężczyzna ten był jego zaprzysięgłym wrogiem i należał do kolorowej, obcej rasy.

Nawet gdyby potrafił zdusić te uczucia i wziąć ją za żonę, co dobrego by z tego wynikło? Po powrocie do Anglii historia jej zhańbienia i poniżenia przez derwiszów prędzej czy później wyszłaby na jaw. Angielska socjeta była bezwzględna. Rebecca do końca życia nosiłaby piętno nierządniczy. Nie mógłby przedstawić jej przyjaciółom i rodzinie. Jako para zostaliby wykluczeni z towarzystwa. Pułk nie zaakceptowałby jego żony. Zostaliby pozbawiony możliwości awansu i zmuszony do złożenia patentu. Jego reputacja i pozycja ległyby w gruzach. Zdawał sobie sprawę, że z czasem zaczęłby nią gardzić, a później znienawidził.

Jako ambitny człowiek z dobrze rozwiniętym instynktem samozachowawczym wiedział, co musi zrobić. Najpierw spełnić swój obowiązek i uratować Rebeccę. Potem, jakkolwiek będzie to bolesne, rozstać się z nią i wrócić do świata, z którego ona miała na zawsze zostać wykluczona.

Jeśli chciał zrealizować swoje zamierzenia, najpierw sam musiał odzyskać wolność. W tym celu powinien zdobyć zaufanie Osmana Atalana i jego agadżerów, a także uspić podejrzenia, że jedynym celem jego życia jest albo zabicie kalifa, albo wyrwanie się z jego szponów. Wiedział, że nadarzy się okazja, kiedy tylko doprowadzi do złagodzenia warunków niewoli.

Im bardziej zbliżali się do abisyńskiej granicy, tym dzikszy i wspanialszy stawał się krajobraz. Widne sawanny ustąpiły lasom statecznych drzew, przerywanych polanami porośniętymi zieloną trawą. Dwadzieścia pięć dni drogi od Nilu natknęli się na pierwsze stado słońi. Bliżej miast i wiosek grasowali bezlitośni łowcy kości słoniowej, dlatego wielkie zwierzęta wycofały się w głąb jeszcze dzikich obszarów.

To stado poilo się i kapało w rozlewisku nad rzeką Rahad. Woda była głęboka i szeroka, otoczona drzewami o kanarkowożółtych pniach. Z dużej odległości usłyszeli kwiczenie i chlupot i pojechali pod wiatr, żeby wspiąć się na niewysoki pagórek w pobliżu sadzawki. Z wierzchołka ujrzeli niczego niepodważające stado. Składało się z około pięćdziesięciu samic z potomstwem i trzech niedojrzałych samców z małymi ciosami.

Jeden z wojowników Osmana Atalana jeszcze nie zabił słońia w klasyczny sposób, pieszo, uzbrojony tylko w miecz. Osman opisał mu technikę. Była to mistrzowska dysertacja.

Penrod słuchał z fascynacją. Dochodziły go wieści o tej niebezpiecznej rozrywce, w której agadżerowie zdobywali swój tytuł, ale nigdy nie widział jej na własne oczy. Pod koniec, kiedy Osman tłumaczył, w jakim dokładnie miejscu trzeba zadać cios, żeby przeciąć ścięgno w nodze słońia, przyszło mu na myśl, że wykład skierowany jest nie tyle do arabskiego nowicjusza, ile do niego. Uznał ten pomysł za niedorzeczny.

Słonie napiły się i weszły do lasu. Osman pozwolił im odejść. Nie były godne jego stali. Na jego rozkaz siedli na koń i zawrócili do obozu.

Trzy dni później napotkali kolejne świeże tropy słońi. Agadżerowie zeskoczyli z wierzchowców i stwierdzili, że zostawiły je dwa samce, w tym jeden bardzo duży. Z ożywieniem rozprawiali o wielkości i ciężarze ciosów starszego słońia. Osman rozkazał dosiąść koni i poprowadził jeźdźców stępem, żeby tętent galopujących kopyt nie ostrzegł i nie spłoszył zwierzyny.

— Rankiem napiły się nad rzeką i teraz wracają na wzgórze, żeby ukryć się w gąszczu, gdzie czują się bezpiecznie — oznajmił. Zbliżywszy się do wzgórz, zobaczyli, że w dole zbiega porośnięte gęstymi kolczastymi krzakami kittaru, kontrastującymi barwą z jaśniejszą, świeższą zielenią rosnącego wyżej lasu liściastego. Na skraju gąszczu stał samotnie rosły samiec.

— Dwa słońie rozdzieliły się i podążyły własnymi ścieżkami. Polowanie będzie łatwiejsze — stwierdził Osman cicho i poprowadził ich dalej. Słoń drzemał, wachlując się wielkimi uszami,

przestępując z nogi na nogę. Stał względem nich pod skosem i zwieszał głowę tak, że krzaki sięgały mu do pyska, zasłaniając ciosy. Agadżerowie zatrzymali wierzchowce, żeby odpoczęły przed polowaniem. Wiatr dmuchał im w twarze, nie mieli powodów do pośpiechu. Penrod odpoczywał razem z końmi. Siedział na piętach i pił z bukłaka, który al-Nur zdjął z łęku i rzucił obok niego na ziemię.

Nagle słoń potrząsnął głową, aż uszy głośno zaklaskały o szyję, i wyciągnął trąbę, żeby zerwać kiść kwiatów kittaru. Podniósł głowę, wsuwając żółte kwiaty do pyska, i wówczas zobaczyli ciosy. Były idealnie symetryczne, długie i grube.

Myśliwi westchnęli i zamruczeli z zadowolenia.

— Piękne zwierzę.

— Czcigodny samiec.

Wszyscy popatrzyli na Osmana Atalana, żeby zobaczyć, komu wyznaczy zaszczytne zadanie, i każdy miał nadzieję, że wybór padnie na niego.

— Al-Nurze — powiedział Osman i jeździec już pchnął wierzchowca, gotów pochylić się w siodle, gdy jego pan dodał: — spuść Abd Dżiza ze smyczy.

Zaskoczony Penrod poderwał się z ziemi, a al-Nur zdjął mu pętlę z szyi.

— To zbyt wielki honor dla niewiernego niewolnika — szepnął al-Nur zawistnie.

Osman nie baczył na jego protesty. Wyciągnął miecz i podał Penrodowi, rękojeścią do przodu.

— Zabij dla mnie słonia — rozkazał.

Penrod wypróbował wyważenie i ciężar broni, tnąc od przodu i z tyłu. Zakręcił młynka w powietrzu, przerzucił miecz do lewej ręki, potem wykonał parę sztychów i pchnięć. Odwrócił się w stronę Osmana, który wciąż siedział na al-Buku. Penrod stał, trzymając miecz w obronnej pozycji. Miał ponurą minę. Głownia tkwiła nieruchomo, jak w szczękach stalowego imadła, mierząc w pierś kalifa. Osman Atalan nie był uzbrojony i znajdował się w zasięgu broni. Mężczyźni zwarli się wzrokiem. Agadżerowie podjechali bliżej, z dłońmi na rękojeściach mieczy.

Penrod powoli podniósł miecz do ust i pocałował płaz.

— Piękna broń.

— Użyj jej mądrze — poradził Osman cicho.

Penrod ruszył w górę zbocza, gdzie stał samotny samiec. Stąpał lekkim krokiem, jego bose stopy nie czyniły szmeru na kamienistym gruncie. Czuł, jak ruch powietrza chłodzi mu pot na karku. Szedł pod wiatr, zachodząc słonia od tyłu. Zwierzę było ogromne, dwa razy wyższe od niego.

Dokładnie pamiętał rady Osmana, przyglądając się zadnim nogom kolosa. Wyraźnie widział ścięgna pod szarą, spękaną skórą. Dwa razy grubsze od jego kciuka, napinały się i rozluźniały, gdy słoń kołysał się łagodnie. Wbił w nie oczy i podszedł szybko. Niespodziewanie samiec przygarbił się i naprężył obie tylne nogi. Z worka luźnej skóry pomiędzy nimi wysunęło się prącie, końcem niemal dotykając ziemi. Było dłuższe niż rozpiętość ramion Pen-roda i grube jak jego przedramię. Słoń zaczął oddawać mocz i potężny żółty strumień wyłobił płaski rów w twardej ziemi. W skwarze południa rozeszła się silna, ostra woń.

Penrod zbliżył się na trzy jardy do zadu i stanął z podniesionym mieczem. Nagle skoczył i uderzył, celując w miejsce leżące o dwie szerokości dłoni nad prawą stopą. Przeciął ciało do kości i ścięgno rozeszło się z młasnieniem. Penrod przysunął się do drugiej nogi, zamachnął i uderzył ponownie. Zobaczył ruch przeciętego ścięgna pod grubą skórą i odskoczył. Okulawiony słoń zakwiczał i ciężko przysiadł na zadzie.

Agadżerowie krzyknęli na wiwat. Penrod patrzył, jak strumienie krwi tryskają z ran. Wysiłki słonia, który próbował utrzymać się na nogach, zwiększały potok. Śmierć miała nadejść szybko.

Samiec dostrzegł go kątem oka. Chciał się odwrócić, ale poruszał się niezdarnie. Penrod cofał się, nie spuszczając go z oka, dopóki nie zyskał pewności, że rany są śmiertelne. Wtedy niespiesznym krokiem ruszył do grupy obserwujących go jeźdźców.

Pokonał połowę drogi, gdy na prawo od niego rozległ się ryk. Zaskoczony okręcił się na pięcie. Przez cały czas drugi, młodszy słoń stał w pobliżu, drzemiąc w gęstwinie ciernistych krzewów. Słyszając trąbienie swojego towarzysza, pędem wypadł z gąszczu, wojowniczo szukając celu, na którym mógłby wylądować gniew i strach. Zobaczył Penroda i odwrócił się w jego stronę, kuląc końce wielkich uszu i groźnie przyciskając zwiniętą trąbę do piersi. Z dzikim trąbieniem przypuścił szarżę, a ziemia zadrżała pod jego ciężarem.

Penrod rozejrzał się szybko w poszukiwaniu drogi ucieczki. Bieg ku jeźdźcom nie miał sensu. Nie zaoferują mu pomocy i pierzchną, zanim do nich dotrze. Wspinaczka na wysokie drzewo też nie zda się na wiele. Stojąc na tylnych nogach, słoń dosięgnie do górnych gałęzi i ściągnie go na ziemię albo bez większego wysiłku przewróci całe drzewo. Przyszedł mu na myśl parów, który mijali niedaleko stąd. Był wąski i głęboki; słoń nie da rady ani za nim wejść, ani dostać go trąbą. Odwrócił się i pobiegł. Słyszał rubaszne okrzyki agadżerów.

— Uciekaj, Żuku Gnojaku! Rozpostrzyj skrzydła i leć!

— Módl się do swojego chrześcijańskiego Boga, niewierny.

— Patrz, rajskie pola otwierają się przed tobą.

Słyszał, jak słoń tratuje krzaki za jego plecami. Przed sobą widział oddalony o sto jardów wylot wąwozu. Pędził co sił w nogach, zahartowane, stwardniałe stopy niosły go tak szybko, że słoń bardzo powoli zmniejszał dystans. Ale w głębi duszy Penrod czuł, że nie zdoła uciec.

Rozległ się grzmot kopyt. Penrod nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem przez ramię. Słoń piętrzył się za nim niczym ciemne urwisko, już rozwijając trąbę, żeby go powalić. Penrod wiedział, że uderzenie strzaska mu kości, a kiedy padnie na ziemię, słoń uklęknie na nim i rozgniecie go na miazgę, którą potem będzie dźgać długimi ciosami.

Oderwał spojrzenie od ścigającego go zwierza i spojrzał przed siebie. Wciąż słyszał tętent. Nie zwalniając kroku, spał się w przygotowaniu na uderzenie trąbą. Nagle kopyta zagrzmiały tuż obok niego i dostrzegł ruch kątem oka. Wyprzedzał go al-Buk. Osman pochylał się nad kłębem i przynaglał rumaka do szybszego biegu. W koński bok uderzało puste strzemień.

— Łap, Abd Dziz! — zawołał Osman. — Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Penrod prawą ręką chwycił puślisko i okręcił je wokół nadgarstka. W jednej chwili został zбитy z nóg i poniesiony przez cwałującego ogiera. Obejrzał się, wisząc na strzemieniu. Słoń nie zrezygnował z pościgu, ale odległość pomiędzy nimi stale się zwiększała. Wreszcie, trąbiąc z wściekłości, skręcił w gąszcz krzewów. W biegu zdzierał gałęzie z drzew i wyrzucał je w powietrze. Zniknął za grzbietem wzgórza.

Osman ściągnął wodze i Penrod puścił strzemień. W lewej ręce wciąż trzymał miecz. Osman przerzucił nogę nad grzbietem ogiera i zeskoczył na ziemię, lądując zwinnie jak kot. Jego agadżerowie rozproszyli się i przez chwilę dwaj mężczyźni byli sami. Osman wyciągnął rękę.

— Już nie potrzebujesz tej stali — rzekł cicho.

Penrod spojrział na miecz.

— Oddaję go z żalem. — Odwrócił miecz i włożył rękojeść w wyciągniętą dłoń Osmana.

— Na Boga, jesteś dzielnym człowiekiem. I mądrym — powiedział Osman. Zza pleców wyjął lewą rękę. Trzymał w niej pistolet gotowy do strzału. Spuścił kurek w chwili, gdy zjawił się al-Nur. Al-Nur zeskoczył z konia, podbiegł do Penroda i uściskał go spontanicznie.

— Dwa czyste uderzenia — pochwalił go. — Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Nie mieli czasu, żeby czekać, aż postępujący rozkład uwolni ciosy, więc musieli je wyrąbać. Wyciąganie długich siekaczy z jam, w których były osadzone, trwało do południa następnego dnia. Praca była żmudna, bo musieli uważać, żeby siekierami nie uszkodzić kości, gdyż to drastycznie zmniejszyłoby jej wartość pieniężną i estetyczną.

Załadowali ciosy na juczne konie i pojechali do obozowiska. Powitały ich bębny i ryk rogów. Kobiety, nawet żona i nałożnice kalifa, wyległy im na spotkanie. Mężczyźni strzelali w powietrze z karabinów, a potem skupili się wokół juczych koni, żeby podziwiać zdobycz.

— To musiał być ojciec i dziad wielu wielkich słoni — mówili. — Powiedz nam, dostojny kalifie, co za myśliwy powalił tę potężną bestię? — zwrócili się do Osmana Atalana.

— Ten, który kiedyś znany był jako Abd Dżiz, a który teraz jest agadżerem i nosi imię Abadan Ridzi.

Od tej pory już nikt nie nazwał Penroda Abd Dżizem. Uwłaczające imię zostało zapomniane.

— Rozkazuj, panie. Co mamy zrobić z ciosami?

— Jeden zatrzymam w swoim namiocie, żeby przypominał mi o dzisiejszej rozrywce. Drugi należy do agadżera, który zabił słonia.

Nazajutrz wczesnym rankiem Osman Atalan wyszedł z namiotu, żeby przywitać czekających na niego agadżerów i omówić z nimi plan dnia, trasę, jaką zamierzał podążyć, i cel dziennej jazdy. Penrod kucał w pobliżu przy koniach, nie biorąc udziału w rozmowie, dopóki Osman nie zawołał: — Twój ubiór przynosi wstyd twoim towarzyszom!

Penrod podniósł się, zaskoczony, i popatrzył na swój znoszony przyodziewek. Prał go, ilekroć nadarzała się okazja, ale nie miał igły ani nici, żeby naprawiać materiał wystrzępiony przez ciernie i gałęzie.

— Przyzwyczailem się do tego munduru. Odpowiada mi, wielki Atalanie.

— Mnie nie — odrzekł Osman i klasnął w dłonie. Jeden z domowych niewolników przybiegł do niego z niewielkim tobołkiem.

— Daj to Abadanowi Ridziem — polecił Osman. Niewolnik ukląkł przed Penrodem i podał mu zawiniątko.

Penrod zobaczył, że to czysta, nowa dżibba i sandały z wyprawionej wielbłądziej skóry.

— Włóż — powiedział Osman.

Penrod nie włożyłby łaciatej dżibby, ale ta była prosta, bez rytualnych wielobarwnych łat, które miały tak wielkie znaczenie polityczne i religijne, że stały się atrybutem derwiszów. Zrzucił łachmany i włożył dżibbę przez głowę. Pasowała całkiem dobrze, podobnie jak sandały. Ktoś trafnie ocenił jego rozmiar.

— Tak jest znacznie lepiej — stwierdził Osman i skoczył na siodło al-Buka. Pokręcił głową, gdy Penrod jak zwykle zajął miejsce przy jego strzemieniu. — Agadżer jest jeźdźcem. — Ponownie klasnął i koniuch wyprowadził zza namiotu osiodłanego wierzchowca. Był to krzepki dereszowaty wałach, którego Penrod widział w tabunie rezerwowych koni.

— Wsiadaj! — rozkazał Osman. Penrod skoczył na siodło i pojechał w las za grupą jeźdźców. Dobrze znał swoje miejsce, dlatego trzymał się z tyłu.

Przez parę pierwszych mil oceniał walory deresza. Wałach miał pewny krok i był spokojny, choć nieszczęśliwie rączy. Nie prześcignąłby wierzchowców agadżerów. Gdyby chciał na nim uciec, szybko zostałby złapany. Urodą nie grzeszy, ale jest wytrzymały i ma dobry temperament, zdecydował. Dobrze jest znowu poczuć koński grzbiet między kolanami.

Jechali w kierunku niebieskawych gór, wśród których leżał Gallabat, ostatnia warownia derwiszów przed abisyńską granicą. Góry wydawały się bliskie, ale mieli przed sobą jeszcze

dziesięć dni drogi. Wkrótce dzikie obszary zostały za nimi. Nie napotykali już słoni ani innego grubego zwierza, mijali za to pola durry i innych roślin uprawnych wokół małych sudańskich wiosek. Potem zaczęli wspinaczkę na pogórze centralnego masywu.

Kiedy zsiadali z koni, żeby odmówić południową modlitwę, Osman Atalan zawsze odchodził i rozkładał swój dywanik modlitewny w ocienionym miejscu, z którego roztaczał się widok na następną dolinę. Po modlitwie zwykle jadał w samotności, ale tego dnia przywołał Penroda i gestem kazał mu usiąść naprzeciwko siebie na perskim kobiercu.

— Przełam ze mną chleb — zaprosił. Al-Nur ustawił pomiędzy nimi talerze z prażonymi plackami z durry, asida i wędzonym mięsem antylopy na zimno; myśliwi szybko podcinali gardła upolowanych oszczepami zwierząt, żeby mięso było halal. Na mniejszym talerzyku leżała gruba sól. Osman podziękował Al- lahowi i poprosił o pobłogosławienie strawy. Potem oderwał kawałek mięsa i prawą ręką umoczył go w soli. Pochylił się i podniósł kęs do ust Penroda.

Penrod zawahał się. Stał przed poważną decyzją. Jeśli przyjmie jedzenie i sól z ręki Osmana, ukonstytuuje pakt między nimi. W tradycji plemiennej będzie to odpowiednikiem parolu. Tym samym, jeśli spróbuje uciec albo wystąpić przeciwko Osmanowi, złamie słowo honoru.

Szybko podjął decyzję. Jestem chrześcijaninem, nie muzułmaninem. Poza tym nie należę do Bedżów. Dla mnie przysięga nie jest wiążąca. Przyjął poczęstunek, przeżuł i przełknął, potem skubnął kawałek dziczyzny, posolił i podsunął Osmanowi. Kalif zjadł i pokiwał głową na znak podziękowania.

Posilali się niespiesznie, rozkoszując się posiłkiem i prowadząc swobodną rozmowę dotyczącą spraw, które interesowały ich obu — wojny, polowania i broni. Szeroki początkowo wachlarz tematów zawęził się, gdy Osman zapytał, jak Brytyjczycy szkolą swoich żołnierzy i jakich cech wymagają dowódcy od oficerów.

— Jak wy, jesteście bitnym ludem. Większość naszych królów była wojownikami — wyjaśnił Penrod.

— Tak słyszałem. — Osman pokiwał głową. — Widziałem też na własne oczy, jak walczą twoi ludzie. Gdzie nabyli wprawy?

— Sąsiaduje z nami plemię zwane Francuzami. Zabawiamy się z nimi od czasu do czasu. Poza tym w różnych częściach imperium wybuchają niepokoje, które trzeba uciszać zbrojnie. W czasie pokoju oficerowie liniowi i sztabowi uczą się w szkołach, które istnieją od wielu pokoleń. Dwie są najśłynniejsze, Królewska Akademia Wojskowa w Woolwich i Królewskie Kolegium Wojskowe w Camberley.

— My też mamy szkołę dla naszych wojowników. — Osman pokiwał głową. — Nazywamy ją pustynią.

Penrod ze śmiechem przyznał mu rację.

— Pole bitwy jest najlepszą szkołą, chociaż my uważamy, że teoretyczne studia sztuki wojennej też są cenne. Widzisz, większość największych generałów w dziejach, od Aleksandra po Wellingtona, opisała swoje kampanie. W opisach tych można znaleźć wiele pożytecznych rzeczy.

Kiedy znowu ruszyli na wschód, Osman wezwał Penroda. Z ożywieniem kontynuowali dyskusję, która momentami stawała się bardzo gorąca. Gdy Penrod opisał, jak Bonaparte nie zdołał rozbić brytyjskiego czworoboku pod Waterloo, Osman zadrwił: — My, Arabowie, nie pobieramy nauk w żadnych szkołach, a jednak w przeciwieństwie do tego Francuza rozbiliśmy wasz czworobok pod Abu Klea.

Penrod chwycił przynętę, zgodnie z zamysłem kalifa.

— Wcale nie. Wdarliście się tylko w jednym miejscu, a sam czworobok wytrzymał i zamknął się

szczelnie. Stał się pułapką dla waszego emira al-Salidy, jego synów i tysiąca ludzi. — Sprzeczekali się ze swobodą braci krwi, ale kiedy podnieśli głosy, zaniepokojeni agadżerowie popatrzyli jeden na drugiego i podjechali bliżej, gotowi do interwencji, gdyby kalif był zagrożony. Osman odpędził ich ruchem ręki. Ściągnął wodze na wierzchołku następnego wzniesienia, których ciąg tworzył ogromne schody wznoszące się ku góróm.

— Przed nami leży kraj Abisyńczyków, naszych odwiecznych wrogów. Jesteś uczonym oficerem. Powiedz mi, jak wykonałbyś zadanie, gdybyś był moim generałem, a ja kazałbym ci zająć Gonder i utrzymać zdobyte ziemie pomimo gniewu cesarza Jana.

Tego typu zagadnienia Penrod rozwiązywał w szkole oficerów sztabowych. Z entuzjazmem podjął wyzwanie.

— Ilu dasz mi ludzi?

— Dwadzieścia pięć tysięcy — odparł Osman.

— Ilu cesarz wystawi przeciwko mnie?

— W Gonderze jest ich może z dziesięć tysięcy, ale w Aksum, na wyżynach za górami, ma trzysta tysięcy.

— Będą musieli przejść przez przełęcz, żeby wydać mi bitwę, prawda? W takim razie szybko okrążę Gonder, a gdy miasto padnie, nie będę marnować czasu na jego niszczenie. Popędzę w góry, żeby zamknąć drogę przez przełęcz, zanim główne wojska wyjdą na otwarty teren.

Omawiali problem szczegółowo, rozważając wszelkie możliwe reakcje Abisyńczyków na atak, przez całą drogę do Gallabatu. Dopiero gdy zobaczyli miasto, Penrodowi przyszło na myśl, że to wcale nie była dyskusja akademicka. Doszedł do wniosku, że ta wyprawa stanowi preludium do najazdu derwiszów na królestwo Abisynii. Osman sprowokował rozmowę, wykorzystując go jako doświadczonego doradcę wojskowego.

A zatem dżihad Mahdiego nie skończył się w Chartumie, pomyślał Penrod. Abdallahi wie, że musi walczyć, bo inaczej straci rozmach i skończy marnie. Zastanowił się, jakie wyrządził szkody, nieumyślnie zachęcając Osmana i służąc mu radą.

Nawet jeśli derwisze zatriumfują w Gonderze, Abdallahi nie będzie usatysfakcjonowany. Zwróci oczy na Erytreę, i tam też się nie zatrzyma. Nie może. Będzie parł coraz dalej, dopóki nie zostanie zatrzymany siłą. A to nastąpi dopiero wtedy, gdy wzbudzi gniew cywilizowanego świata. Na swój skromny sposób zrobiłem coś, aby przyspieszyć jego koniec. Penrod uśmiechnął się zimno. Czekwały ich ekscytujące dni.

Zaszczyt goszczenia potężnego Osmana Atalana okazał się niemal zbyt wielki dla gubernatora derwiszów w Gallabacie. Natychmiast zwolnił swój gliniany pałac i oddał go do dyspozycji gości. Przeniósł się do mniejszego, skromniejszego budynku na przedmieściach.

Osman postanowił zamieszkać w Gallabacie do końca pory monsunowej, bo obfite deszcze prawie uniemożliwiały podróże w górzystym kraju wokół Gonderu. To oznaczało kilka miesięcy czekania, ale kalif nie zamierzał spędzić ich beczynnie. Chciał zebrać wszystkie informacje, które mogły okazać się pomocne w zaplanowaniu kampanii. Rozesłał wieści, wzywając do miasta miejscowych przewodników, którzy przeprowadzali karawany przez przełęcz do Gonderu, i wojowniczych szejków, zapuszczających się na etiopskie terytoria po bydło i niewolników. Gdy stawili się na jego wezwanie, wypytywał ich szczegółowo i zapisywał wszystko, co mówili. Informacje miały złożyć się na raport, który przedstawi kalifowi Abdallahiemu po powrocie do Omdurmanu.

Osman przypomniał sobie, że Mahdi korzystał z usług białej nałożnicy, al-Dżamal, która władała kilkoma językami i świetnie się sprawiała w roli skryby. Rozkazał jej uczestniczyć w

przesłuchaniach i zapisywać fakty ujawniane przez świadków. Od początku wyprawy widywał ją nieczęsto, bo miał małżeńskie zobowiązania. Ale gdy tylko urządził się w pałacu gubernatora, starsze niewolnice z haremu przyszły do niego z nowiną, że najmłodsza żona wreszcie nagrodziła jego starania, gubiąc swój księżyc. Powiadomiły go, że od dwóch miesięcy nie spłynął jej czerwony sztandar.

Osman nie krył zadowolenia. Jego czwarta żona była bratanicą kalifa Abdallahiego i tym samym jej ciąża miała wielkie znaczenie polityczne. Zamatta miała ładną buzię, ale lubiła jeść, wskutek czego jej uda stały się grube, brzuch pękaty, a piersi obwisłe i miękkie jak krowie wymiona. W tym okresie życia Osman Atalan oczekiwał po swoich kobietach czegoś więcej niż melodyjnego chichotu i skwapliwego rozkładania nóg. Zrobił to, co musiał, i stracił ochotę na spędzanie czasu w towarzystwie tępawej żony.

W ciągu paru pierwszych dni przesłuchań al-Dżamal zajmowała nierzucające się w oczy miejsce za podium gubernatora w sali audiencyjnej. Trzeciego dnia Osman kazał jej przenieść się do przodu. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, z tabliczką do pisania na kolanach, na jego linii wzroku. Gdy pisała, kalif lubił patrzeć na szybkie ruchy smukłych, bladych rąk i gładki policzek. Jak wypadało, nie podnosiła oczu znad pergaminu ani nie patrzyła na niego wprost. Parę razy dostrzegł na jej ustach tajemniczy uśmiech i to go zaintrygowało. Do tej pory nie interesował się, co myślą jego kobiety, ale ta wydawała się inna.

— Przeczytaj, co napisałaś — polecił.

Podniosła na niego dziwnie jasnoniebieskie oczy i oddech uwiązł mu w gardle. Wyrecytowała zeznanie z pamięci, ani razu nie spoglądając w notatki. Kiedy skończyła, cichym głosem, żeby tylko on mógł usłyszeć, powiedziała: — Nie ufaj mu, wielki panie. On zwodzi cię na manowce. — Były to pierwsze słowa, jakie do niego wyrzekła.

Osman zachował obojętny wyraz twarzy, ale zastanawiał się szybko. Rozpuścił wieści, że zasięga języka w celu ułatwienia handlu z Abisyńczykami i zaplanowania oficjalnej wizyty w Gonderze. Czy ta kobieta odgadła jego prawdziwe zamiary, czy może została o nich poinformowana? Na jakiej podstawie wysnuła swoje ostrzeżenie? Wypytywał dalej, ale teraz uważniej przyglądał się mężczyźnie.

Był to starszy wiekiem właściciel karawany, zamożny, wnosząc z ubrania, i inteligentny, o czym świadczyła głębia jego myśli. Pod każdym innym względem był nieodgadniony. Oświadczył, że pochodzi z plemienia Hadendoa, a jednak nie gustował w łaciatych dżibbach. Poza tym Osman doszukał się czegoś obcego w jego akcencie i sposobie mówienia. Zastanowił się, czy nie zarzucić mu kłamstwa, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wpatrywał innych znaków, które musiała zauważyć al-Dżamal. Mężczyzna pochylił się, żeby ze stojącej przed nim tacy wziąć małą mosiężną czarę z kawą, a wówczas w dekolcie jego szaty błysnęło srebro. Osman rozpoznał wiszący na łańcuszku, ozdobiony grawerunkiem krzyż koptyjskich chrześcijan.

Jest Abisyńczykiem, zrozumiał. Dlaczego udaje? Czyżby oni szpiegowali nas jak my ich? Uśmiechnął się do handlarza.

— Twoje słowa mają wielką wartość. Dziękuję ci za nie. Kiedy ruszasz w drogę?

— Wielki kalifie, za trzy dni od dziś odchodzę z dwustoma wielbłędami obładowanymi solą kamienną z kopalni w al-Glosz.

— Dokąd zmierzasz?

— Do nowego miasta Addis Abeba na wzgórzach, gdzie zamierzam zamienić sól na sztaby miedzi.

— Idź z Bogiem, dobry kupcze.

— Zostań z Bogiem, potężny Atalanie, i niechaj anioły strzegą twojego snu.

Po wyjściu właściciela karawany z sali audiencyjnej Osman przywołał al-Nura. Gdy agadżer ukląkł obok niego, szepnął: — Kupiec jest szpiegiem. Zabij go. Zrób to dyskretnie i zmyślnie. Nikt nie może wiedzieć, kto zadał cios.

— Jak każesz, panie.

Ludzie opuszczali salę, oddając hołd kalifowi, ale kiedy al--Dżamał wstała, żeby za nimi podążyć, Osman polecił krótko: — Siądź przy mnie. Porozmawiamy.

W tym czasie Rebecca już umiała odgrywać rolę nałożnicy. Mahdi nauczył ją zadowalać arabskiego pana. Jednym z pewnych sposobów były pochlebstwa. Nie przestawała się zdumiewać, jak Arabowie mogą przyjmować najbardziej przesadne pochwały za dobrą monetę. Nauczyła się dobrze skrywać prawdziwe uczucia podczas wygłaszania tych bzdur. Usiadła, jak rozkazał, i z przysłoniętą twarzą czekała na jego słowa.

— Zdejmij woal — powiedział. — Chcę widzieć twoją twarz w czasie rozmowy. — Posłuchała. W milczeniu przyjrzał się jej rysom, po czym zapytał: — Dlaczego się uśmiechasz?

— Ponieważ, panie, jestem szczęśliwa w twojej obecności. Służenie tobie sprawia mi rozkosz.

— Czy wszystkie kobiety w twoim kraju są takie jak ty?

— Mówimy tym samym językiem, ale wszystkie się różnimy. Sądzę, wielki kalifie, że podobnie jest z twoimi kobietami.

— Nasze kobiety są jednakowe. Celem ich istnienia jest sprawianie przyjemności mężom.

— W takim razie są szczęśliwe, wielki Atalanie, zwłaszcza te, które mają zaszczyt należeć do ciebie.

— Kiedy nauczyłaś się czytać i pisać?

— Panie, uczyłam się od najmłodszych lat.

— Twój ojciec tego nie zakazał?

— Nie, słodki panie, zachęcał mnie do nauki.

Osman z dezaprobatą pokręcił głową.

— A jego żony? Czy im też pozwalał oddawać się takim niebezpiecznym praktykom?

— Mój ojciec miał jedną żonę, i ona była moją matką. Po jej śmierci nie ożenił się powtórnie.

— Ile nałożnic?

— Żadnej, wielmożny kalifie.

— A zatem musiał być bardzo biedny i zajmować niską pozycję w swoim świecie.

— Mój ojciec był przedstawicielem naszej królowej, wielce jej drogim. Mam list od Jej

Królewskiej Mości, w którym to potwierdza.

— Jeśli królowa naprawdę go kochała, powinna posłać mu tuzin żon, żeby zastąpiły nieboszczkę.

— Zaintrygowany Osman z każdej odpowiedzi natychmiast wysnuwał następne pytanie. Trudno mu było wyobrazić sobie kraj, w którym prawie codziennie pada deszcz i jest tak zimno, że krople przemieniają się w białą sól, zanim spadną na ziemię.

— Co piją ludzie? Dlaczego nie umierają z pragnienia, skoro woda przemienia się w sól?

— Panie, śnieg z powrotem zamienia się w wodę.

Osman wyrztał przez okna zwieńczone orientalnymi łukami.

— Słońce zaszło. Pójdiesz za mną do mojej kwatery. Chcę usłyszeć więcej o tych cudach.

Rebecca upadła na duchu. Od początku pobytu w haremie kalifa jakoś omijała ją konfrontacja.

Uśmiechnęła się ślicznie i zakryła usta dłonią, bo tak robiły zawstydzone Arabki.

— Znowu przepelniasz radością moje serce, szlachetny panie.

Przebywanie z tobą jest w tym życiu wszystkim, co sprawia mi przyjemność.

Podczas gdy Osman samotnie modlił się na tarasie, z którego roztaczał się wspaniały widok na dalekie góry, kucharze przynieśli wieczorny posiłek. Odprawił ich natychmiast po zakończeniu skomplikowanego rytuału. Poleciał Rebecce, żeby mu usługiwała, ale okazywał niewielkie zainteresowanie jedzeniem. Skubnął parę kęsów, potem kazał jej usiąść u swych stóp i pozwolił zjeść resztę.

Wciąż zasypywał ją pytaniami i pilnie słuchał odpowiedzi, ledwo dając jej czas na przemyślenie jedzenia. Nad ranem zmęczona Rebecca zasnęła na poduszkach. Zbudziła się o świcie, leżąc w ubraniu na jego łóżku. Nie wiedziała, jak się tam znalazła, potem przypomniała sobie sen. Śniła, że znów jest małą dziewczynką i ojciec niesie ją po schodach do sypialni. Czyżby kalif zaniósł mnie do łóżka? — zastanowiła się. Jeśli tak, byłby to mały cud, biorąc pod uwagę jego dotychczasową nieprzystępność.

Usłyszała podekscytowane krzyki i tętent kopyt. Wstała z łóżka i wyrzwała przez okno. Na dziedzińcu Osman Atalan i kilku agadżerów wypróbowywało nieujeżdżone trzylatki, będące darem od gubernatora Gonderu. Penrod Ballantyne, niewiele różniący się od Arabów, dosiadał narowistego gniadosza, który wierzgał i skakał na sztywnych nogach z wygiętym w łuk grzbietem. Osman i agadżerowie podśmiewali się, nie skąpiąc jeźdźcowi rubasznych rad.

W owym czasie ilekroć Rebecca widziała Penroda, w jej sercu powstawał zamęt. Łamał jej serce, przypominając o dawnym życiu, z którego tak brutalnie została wyrwana. Czy wciąż go kochała, jak kiedyś jej się zdawało? Już niczego nie była pewna — z wyjątkiem tego, że jej losem rządził człowiek stojący po drugiej stronie dziedzińca. Przeniosła spojrzenie na Osmana Atalana, a wówczas rozpacz, którą uważała za uśpioną, powróciła z pełną siłą i zalała ją niczym czarna fala.

Odwróciła się od okna i popatrzyła na stolik, na którym leżał webley. Widziała, jak kalif położył go tam wczoraj przed wyjściem na wieczorną modlitwę. Zapewne rewolwer został zabrany poległemu brytyjskiemu oficerowi w Abu Klea albo może złupiony w Chartumie.

Podeszła do stolika, podniosła broń, sprawdziła bębenek i zobaczyła, że komory są załadowane. Odwróciła się do lustra. Patrząc na swoje odbicie, odciągnęła kurek i przyłożyła lufę do skroni. Stała, próbując zebrać się na odwagę, żeby pociągnąć za spust.

Nagle zauważyła w lustrze inicjały wygrawerowane dyskretnie na kolbie broni. Opuściła pistolet

i przyjrzała się napisowi.

— Dla ukochanego D. W. B. od S. I. B. — przeczytała. — Dla Davida Wellingtona Benbrooka od Sarah Isabel Benbrook.

Był to prezent, który jej matka podarowała ojcu. Rebecca odrzuciła rewolwer i pobiegła do pomieszczeń kobiet, żeby znaleźć Nazirę, jedyną osobę na świecie, do której mogła się zwrócić.

Penrod bez wysiłku utrzymywał się na grzbiecie trzylatka i pozwalał mu się zmęczyć, gdy skakał z boku na bok w długich sprężystych susach. W pewnym momencie koń stanął na zadnich nogach, przednimi młóćąc powietrze. Kiedy stracił równowagę i przechylił się do tyłu, agadżerowie wrzasnęli, a al-Nur uderzył pochwą w skórzaną tarczę. Penrod zeskoczył zwinnie, nie puszczając długich wodzy. Żrebiec opadł gwałtownie na cztery kopyta, lecz zanim zdążył odbiec, Penrod wskoczył lekko na goły grzbiet. Koń stanął na rozstawionych nogach, drżąc ze złości i niemożności pozbycia się obcego ciężaru.

— Otworzyć bramę! — zawołał Penrod do kapitana straży miejskiej, potem końcem wodzów smagnął żrebaka po łopatce.

Gdy wierzchowiec ruszył z kopyta, Penrod skierował go ku otwartej bramie. Wypadli na ulicę, płosząc kury, psy i dzieci, przemknęli przez suk, a potem zaczęła się szaleńcza galopada przez otwartą przestrzeń. Wrócili prawie po godzinie. Penrod objechał stępem dziedziniec, skręcając w lewo i w prawo, zatrzymując się, cofając i wreszcie stając. Przerzucił nogę nad końskim karkiem i zeskoczył na ziemię. Stanął przy głowie trzylatka i pogładził mokrą od potu szyję.

— Co myślisz, Abadanie Ridzi?! — zawołał z tarasu Osman Atalan. — Czy to odpowiedni rumak dla agadżera?

— Jest silny i rączy i szybko się uczy.

— W takim razie jest moim darem dla ciebie.

Penrod był zdumiony tą oznaką aprobaty. Jego pozycja znów się umocniła. Brakowało mu tylko miecza, żeby uchodzić za pełnoprawnego wojownika Bedżów. Przycisnął pięść do serca w geście wdzięczności i szacunku.

— Nie jestem godzien tej hojności. Nazwę go Ata min Kalif, Dar Kalifa.

Nazajutrz Penrod załadował kość słoniową na jucznego konia i zawiózł ją na suk. Przez godzinę siedział i pił kawę, targując się z handlarzem z Suakinu. W końcu sprzedał kość za dwieście pięćdziesiąt denarów Marii Teresy.

Wchodząc na suk, mijał kram grubego Persa, który na honorowym miejscu na owczym runie wystawił miecz. Penrod wrócił do kramu. Obejrzał wszystkie inne towary, szczególnie zainteresowanie okazując naszyjnikowi i kolczykom z polerowanego bursztynu, ani razu nie patrząc na miecz. Zaczął się targować o bursztynową biżuterię i wypił tyle kubków kawy, że rozbolał go pęcherz. W końcu dobił targu, płacąc trzy denary. Pożegnał się z Persem i już odchodził, kiedy wreszcie jego oko spoczęło na mieczu. Pers uśmiechnął się: od początku wiedział, co naprawdę interesuje klienta.

Smukłe zakrzywione ostrze wykonane było z najświetniejszej damasceńskiej stali, bez inkrustowanych złotych ornamentów i inskrypcji. Pełne wdzięku faliste wzory, będące wynikiem skuwania pasów metalu, stanowiły wystarczającą ozdobę. Nie była to ładna błyskotka, ale prawdziwy bojowy miecz. Penrod ściał jasnym skrajem włosy z przedramienia, potem trzepnął nadgarstkiem. Stal zadźwięczała niczym kryształowe szkło. Zapłacił za miecz siedemdziesiąt pięć denarów, równowartość dwóch ślicznych niewolnic z plemienia Galla.

Trzy dni później Osman Atalan udzielał audiencji w wielkim namiocie rozstawionym na skraju miasta. Penrod czekał na swoją kolej, a gdy nadeszła, ukląkł przed kalifem.

— Czego jeszcze chcesz ode mnie, Abadanie Ridzi? — zapytał Osman tonem ostrym i twardym jak krzemień.

— Błagam, potężny i szlachetny Atalanie, żebyś przyjął dar od tego, którego kiedyś zaszczyliłeś swoją hojnością. — Położył u stóp Osmana rulon owczej skóry.

Osman rozpakował zawiniątko i uśmiechnął się na widok wspaniałej broni.

— To piękny dar i przyjmuję go z przyjemnością. — Podał miecz Penrodowi. — Noś go dla mnie. Jeśli będziesz musiał go użyć, użyj mądrze.

Osiągnęli kompromis. Niewolnik wciąż był niewolnikiem, ale z rynsztunkiem wojownika.

Rebecca codziennie siedziała u stóp kalifa, zapisując rozmowy prowadzone w sali audiencyjnej. Co wieczór wracała do zenany w pałacu gubernatora. Z początku obojętność Osmana Atalana sprawiała jej ulgę, ale po trzech dniach zaczęła ją drażnić. Zastanawiała się, czy obraziła go, zasypiając w jego obecności, czy też znudziła i zirytowała swoim gadulstwem. A może po prostu go nie pociągają? Tak naprawdę nie ma znaczenia, co czuje. Ważne, co się stanie z Amber i Nazirą i oczywiście ze mną. Bez końca omawiała z Nazirą splot wydarzeń, który związał ich wszystkich w sposób tak bardzo zawiły i bliski. Ich pomyślność, a nawet życie spoczywało w rękach kalifa. Z początku myśl, że Osman Atalan będzie jej dotyczyć, wydawała się nienawistna, ale teraz Rebecca zaczęła się obawiać, iż tego nie zrobi.

Nazira podała jej za przykład czwartą żonę kalifa, Zamattę.

— Nie wzbudziła jego zainteresowania. Dlatego, choć jest krewną kalifa Abdallahiego, odesłał ją do Omdurmanu, gdy tylko dziecko pojawiło się w jej brzuchu. Może już nigdy go nie zobaczy i prawdopodobnie do końca życia nie wyjdzie z zenany. Uważaj, al-Dżamal. Jeśli Osman cię odrzuci, możesz mieć mniej szczęścia niż ona. Może cię sprzedać albo podarować jakiemuś staremu emirowi lub szejkowi, który cuchnie gorzej od capa. I Amber... co się z nią stanie? Kalif Abdallahi lubi dzieci, małe dzieci. Z przyjemnością weźmie ją do swojego haremu, jeśli tylko Osman Atalan to zaproponuje. Musisz go zadowolić za wszelką cenę. Nauczę cię, jak to się robi, bo masz niewielkie doświadczenie w tych sprawach.

Pogróżki podziały jak bodziec, więc Rebecca z najwyższą uwagą wysłuchiwała rad i instrukcji.

Nazajutrz po południu Nazira wróciła z suku i pokazała nabytek: kiel z zuchwy hipopotama.

— Użyjemy tego jako pomocy w nauce — powiadomiła Rebecę. — W haremie istnieje duże zapotrzebowanie na takie zabawki, bo kobiety częstokroć nie widują swoich mężów od jednego ramadanu do drugiego. Nazywają je džinnami angarebów. Kalif Atalan ma odmienne upodobania niż Boski Mahdi. Twoje usta i słodkie wargi nie wystarczą. Będzie chciał od ciebie znacznie więcej. — Podniosła kiel. — Kształt będzie właśnie taki, a jeśli rozmiar mu dorówna, w istocie będziesz błogosławiona. — Nazira przeszła do demonstrowania arkanów swojej sztuki.

Rebecca nie przypuszczała, że mężczyzna i kobieta mogą robić takie rzeczy. Stwierdziła, że temat interesuje ją nie tylko z uwagi na zwiększenie szans na przeżycie. Długo rozmyślała o tym przed zaśnięciem i gdyby Amber nie leżała obok niej na łóżku, przeprowadziłaby parę wstępnych eksperymentów z kościaną zabawką.

Wydawało się jednak, że Osman Atalan stracił zainteresowanie jej osobą, nawet nie próbując skorzystać ze swoich praw. Wreszcie skończył przepytawać ostatnich świadków. Już wychodził z sali audiencyjnej, nie spoglądając nawet na Rebecę, gdy niespodziewanie zwrócił się do wezyra: — Wieczorem nałożnica al-Dżamal będzie usługiwać mi przy kolacji. Zajmij się tym.

Rebecca siedziała ze spuszczonego wzrokiem. Poczuła wielką ulgę i zarazem trwogę. Muszę zagrać w grę, której nauczyła mnie Nazira, żeby rozbudzić jego żądze i zabezpieczyć nasze życie, pomyślała i zaraz potem spróbowała zdusić dreszcz podniecenia w dole brzucha. Ale wyglądało na

to, że wieczór zejdzie na rozmowie, a nie na zmysłowych uciechach. Kalif nie dawał jej okazji do wypraktykowania świeżo nabytej wiedzy.

— Wiem, że twoim krajem włada kobieta — zagadnął przed końcem posiłku.

— Tak, Wiktoria jest naszą królową.

— Czy rządzi twardą ręką i czy narzuca surowe prawa?

— Ona nie tworzy praw. Prawa ustanawia parlament.

— Aha! — mruknął kalif, mądrze kiwając głową. — Parlament jest jej mężem. Musi być mądry i przebiegły. Wiedziałem, że za tym wszystkim stoi mężczyzna. Chciałbym napisać list do dostojnego Parlamentu.

— Parlament składa się z wielu ludzi.

— Zwyczajni ludzie stanowią prawo? Masz na myśli kucharzy i stajennych, cieślów i murarzy, fellachów i grabarzy? Czy ktoś z tej hołoty wyznaje się na prawie? To niemożliwe.

Rebecca przez połowę nocy próbowała wyjaśnić mu tajniki ordynacji wyborczej rządu i systemu demokratycznego. Kiedy wreszcie odniosła sukces, Osman był zbulwersowany.

— Jak ci angielscy wojownicy, z którymi walczyłem, mogą pozwalać na taką nieobyczajność? — Przez jakiś czas w milczeniu krążył po komnacie. W końcu zatrzymał się przed Rebeccą. W tonie jego głosu brakowało pewności siebie, jakby obawiał się odpowiedzi, gdy zapytał: — Kobiety również mają to, co nazywasz głosem?

— Kobiety nie mają głosu. Żadna kobieta nie może głosować.

Osman podparł się pod boki i wybuchnął triumfalnym śmiechem.

— Ha! Więc mogę zachować szacunek dla moich wrogów. Przynajmniej wasi mężczyźni mają kontrolę nad swoimi żonami. Ale wyjaśnij mi, proszę, jedno. Mówisz, że twoim krajem włada kobieta. Ona też nie ma głosu?

— Nie... nie wiem. Chyba nie.

— Frankowie! — Osman teatralnym gestem chwycił się za głowę. — Rozum wam odjęło czy może tylko ja jestem szalony?

Rebecca zaczynała się dobrze bawić. Rozmowa zataczała szerokie kręgi, jak sfera psów myśliwskich, przeradając się w ekscytującą grę. Przypominała swobodne, nieskrępowane dyskusje, jakie prowadziła z ojcem. Za otwartym oknem koguty zapowiedziały świt, podczas gdy ona próbowała wyjaśnić, że Ocean Atlantycki jest szerszy od Nilu, a nawet, na Boga, od jeziora Tana. Kiedy Osman odesłał ją do haremu, jej ulgę przytłumiło dziwne poczucie niespełnienia.

Zanim położyła się obok Amber, podniosła lampkę oliwną i przejrzała się w lusterku. Większość mężczyzn uważa, że jestem interesująca, przypomniała sobie, myśląc o Ryderze Courtneyu i Penrodzie Ballantynie. Dlaczego zatem ten dzikus traktuje mnie jak mężczyznę?

Rankiem z Amber i resztą kobiet patrzyła z tarasu haremu, jak Osman Atalan na czele grupy agadżerów rusza na polowanie z sokołami nad wschodnią granicę.

— Patrz! — krzyknęła Amber. — To kapitan Ballantyne.

Mówią, że kalif dał mu tego konia. Na kapitanie dżibba wygląda tak sztywnie jak kawaleryjski dolman. Jest przystojny, prawda, Becky?

Rebecca, która ledwo zwróciła uwagę na Penroda, mruknęła niezobowiązująco. Odprowadzała wzrokiem elegancką, egzotyczną postać na czele kawalkady. Jest dziki i niebezpieczny jak sokół na jego ręce, pomyślała.

Osman Atalan wyjechał z miasta prawie na dziesięć dni. Po powrocie posłał po Rebeccę. Stał za jej ramieniem, gdy kreśliła szczegółową mapę terenu, który objechał w czasie wypadu pod abisyńską granicę. Odprawił ją po wykonaniu zadania, ale kiedy miała przestąpić próg, zawołał: —

Przyjdź po wieczornych modłach. Chcę omówić pewne sprawy, które mnie ciekawią.

W haremie Rebecca znalazła Nazirę i szeptem przekazała jej nowiny.

— Chce, żebym wieczorem znów do niego przyszła. Co mam zrobić?

Nazira dostrzegła rumieńce na jej policzkach.

— Jestem pewna, że coś wymyślisz — odparła. — Teraz przygotuję ci kąpiel. — Nalała szczerą miarkę olejku różanego i wyciągu z drewna sandałowego do dzbanów z gorącą wodą, potem przeszukała kufry, wybierając z garderoby od Mahdiego strój odpowiedni na tę okazję.

Rebecca włożyła suknię.

— Widzę cię przez ten materiał — sprzeciwiła się Amber. — Gdy lampa świeci za tobą, wydajesz się naga! — dodała, kładąc silny pejoratywny akcent na ostatnim słowie. — Będziesz wyglądała jak tancerka wykonująca taniec brzucha!

— Zrzucę na ramiona wełniany szal i będę okryta przy kolacji — obiecała Rebecca.

Gdy tylko zostali sami, kalif podjął temat rozmowy sprzed dziesięciu dni, jak gdyby wcale nie było przerwy.

— A więc ta wielka woda, którą nazywasz oceanem, jest żywa. Porusza się do przodu i do tyłu, skacze w górę i w dół. Czy nie tak powiedziałaś?

— W istocie, potężny Atalanie, czasami przypomina wściekłą bestię o sile tysiąca słoni. Może zgnieść jak suszone liście statki pięćdziesiąt razy większe od tych, które żeglują po Nilu.

Zajrzał jej w oczy, chcąc sprawdzić, czy w tych nieprawdopodobnych stwierdzeniach jest chociaż ziarno prawdy. Znalazł iskierki światła, jak w głębi szafiru. Ich widok odwrócił tok jego myśli. Ujął jej podbródek i spojrzał głęboko w oczy. Ręce miał silne, a palce twarde niczym kość, zahartowane przez fechtunek, jazdę konną i polowania z sokołami.

Sprawił, że poczuła się bezradna i bezbronna. Muszę pamiętać o wszystkich naukach Naziry. Lubieżny żar zapłonął w jej łonie. Mogę nie mieć drugiej szansy.

— Wyślę tysiąc najodważniejszych ludzi, żeby znaleźli tę dziką wodę i przywieźli ją w wielkich bukłakach — oznajmił. — Wleję ją do Nilu, niech zmiążdży brytyjskie parowce, gdy znowu popłyną w górę rzeki, żeby nas zaatakować.

Wzruszyła ją jego naiwność. Czasami miała wrażenie, że rozmawia z małym dzieckiem. Nie po raz pierwszy ogarnęła ją wielka tkliwość, którą zdusiła na siłę. To nie jest dziecko, tylko sprytny, bezlitosny, arogancki tyran. Jestem zdana na jego łaskę. Zastanawiała się, dlaczego ta myśl ją podnieca. Lecz zanim zdążyła wymyślić odpowiedź, Osman po raz kolejny zmienił temat.

— Ale słyszałem, że ich parowce mogą podróżować lądem dalej i szybciej niż najdzielniejsze konie. To prawda?

— Prawda, potężny kalifie. Pojazdy te różnią się od rzecznych parowców i zwane są parowozami. — Po chwili pozbierała myśli i opisała swoją podróż z Londynu do Portsmouth, trwającą jeden dzień, z przystankiem na odpoczynek. — To odległość większa niż z Metemmy do Chartumu. — Głos miała ochryply i zalękniony. Nie puszczając jej podbródka, Osman pogładził policzek i dotknął kosmyka włosów. Była zaskoczona delikatnością twardych palców tego dzikiego wojownika z surowej pustyni.

— Jakiej maści używasz, żeby twoja skóra i włosy zachowały tę miękkość? — zapytał.

— Taka się urodziłam.

— Ściemnia się. Zapal lampy, żebym mógł lepiej cię widzieć.

Rebecca przypomniała sobie, jak Amber ganiła przejrzystość jedwabnej szaty. Zsunęła z ramion lekki wełniany szal i rzuciła go na stół, idąc po zapalony ogarek. Ręką osłoniła płomyk, niosąc świeczkę. Lampa zapłonęła jasno, ciepłe żółte światło przepędziło cienie ze ścian. Rebecca stała

chwile dłużej, zajęta przycinaniem knota, żeby płomień palił się równo. Była zwrócona plecami do kalifa i dobrze wiedziała, jak wygląda jej postać. Zachowuję się jak ladacznica, pomyślała, a potem odniosła wrażenie, że słyszy głos ojca: „To zaszczytny zawód. Najstarszy na świecie”. Uśmiechnęła się skonsternowana, gdy widmowy głos ciągnął: „Cokolwiek robisz, rób to najlepiej, jak potrafisz”. To było błogosławieństwo.

Postaram się, tato, szepnęła w duchu i w tej samej chwili poczuła dotknięcie. Nie słyszała, jak Osman Atalan przeszedł przez pokój. Jego silne ręce pewnie spoczywały na jej ramionach. Czowała jego zapach. Pachniał jak zadbany koń albo kot. Muzułmanie jego rangi kąpali się dziennie tyle razy, ile Anglicy w ciągu miesiąca.

Stała ulegle, gdy jego ręce zsunęły się z ramion pod pachy, potem sięgnęły do piersi. Objęły obydwie. Osman musnął palcami brodawki, potem uszczypnął je, aż sapnęła. Siła nacisku była tak odmierzona, żeby ją przestraszyć i pobudzić bez zadawania bólu. Przyciągnął ją do siebie. Dopiero po chwili zrozumiała, że zrzucił dżibbę i jest nagi. Przez jedwab swojej szaty czuła jego twarde, muskularne ciało. Nieśmiało wysunęła pośladki i znalazła rozstrzygający dowód, że nie uważa jej za odpychającą. Mając w pamięci rady i instrukcje Naziry, stała bez ruchu, oceniając to, czym na nią naciskał. Kształtem przypominało kiel hipopotama i zdecydowanie było równie twarde.

Powoli obróciła się w jego ramionach i spojrzała w dół. Wygląda na to, że naprawdę jestem błogosławiona, pomyślała. To, co widziała, było gładkie i lekko zakrzywione, jak kiel. Dotknęła go, potem objęła. Palce ledwo spotkały się z kciukiem. Poruszyła dłonią, zgodnie z pokazem Naziry, i poczuła, jak pręży się i pulsuje.

— Wielki kalifie, twoje męskie atrybuty są niezrównane i iście monarsze.

Uznał słowo „monarsze” za porównanie ze Światłem Świata, Muhammadem al-Mahdim, który teraz zasiadał po prawicy Allaha, i bardzo mu to schlebiło.

— Jestem twoim ogierem — powiedział.

— A ja klaczką lękającą się twojej siły i twojego majestatu. Traktuj mnie łagodnie, błagam, słodki panie.

Wciąż go trzymała. Spodziewała się, że rzuci się na nią jak Ryder Courtney. Jego powściągliwość najpierw ją zdziwiła, a potem podnieciła. Nie puściła go, gdy ją rozebrał i ułożył na materacu. Próbowwała nim pokierować, wsunąć do swego źródła. Wsparała się na łokciach, żeby widzieć, jak znika w jej wnętrzu. Ale Osman stawiał opór. Oglądał ją tak, jakby naprawdę była klaczką, obracając to w tę, to w tamtą stronę, podnosząc po kolei ręce i nogi, podziwiając je i pieszcząc. Z początku pochlebiali jej to zainteresowanie, lecz był taki powolny, że straciła cierpliwość. Tęskniła za rozkosznym wrażeniem, jakie towarzyszyło głębokiej inwazji, po raz ostatni dokonanej przez Rydera Courtneya.

On wciąż ociągał się z takim wyrachowaniem, że w jej gardle narósł desperacki krzyk. Kiedyś miała kotkę o imieniu Masełko. W swojej porze Masełko miauczała i zawodziła, wabiąc kocich wielbicieli. Teraz Rebecca rozumiała przymus, jaki nią kierował. Ile tysięcy kobiet znał Osman? — zastanawiała się. Dla niego to nic pilnego. Nie obchodzi go ani trochę, że naraża mnie na takie cierpienie.

Pociągnęła go oburącz.

— Błagam, wielki Atalanie, brak ciebie jest dla mnie torturą nie do zniesienia. Okaż mi łaskę i przestań mnie dręczyć.

— Prosiłaś, żebym traktował cię łagodnie — przypomniał jej z uśmiechem.

— Jestem głupią istotą, która nie zna własnych pragnień ani charakteru. Zapomnij, co powiedziałam, panie. Pospiesz się, proszę. Nie mogę czekać dłużej. — Zrobił, o co prosiła. Tym

razem nie mogła powstrzymać się od krzyku: krzyczała dłużej i głośniejszym niż Masełko. Żadna z kobiet Osmana Atalana nie nagrodziła jego biegłości w tak donośny, żywiołowy sposób. Schlebilo mu to i go rozbawiło.

Nie odprawił jej zaraz po wstaniu z łóżka, jak miał w zwyczaju, tylko zatrzymał przy śniadaniu. Niedługo później żadna z nałożnic przywiezionych z Omdurmanu nie została zaszczycona wezwaniem do jego prywatnych komnat. Rebecca zamieszkała w nich prawie na stałe. Nie nudziła go, w przeciwieństwie do innych kobiet.

Kiedy Osman Atalan zgromadził wszystkie informacje od miejscowych przewodników, myśliwych i kupców, wykorzystał artystyczny talent Rebecki. Kazał jej wykonać mapy pogranicza i spornego terytorium, gdzie pewnego dnia miał stoczyć bitwę z Etiopczykami. Kopię mapy dał Penrodowi i wysłał go na zwiady, żeby sprawdził ją w terenie. Nie mógł powierzyć tego zadania żadnemu z agadżerów: byli lojalni i oddani, lecz niewielu z nich umiało pisać, a żaden nie potrafił czytać map. Gdyby jednak wyłączył ich z tak ważnej ekspedycji, poczuli by się głęboko urażeni. Z drugiej strony wciąż nie był pewien, na ile może ufać niewolnikowi Abadanowi Ridziem. Rozwiązał tę delikatną sprawę, przydając mu do towarzystwa al-Nura i sześciu innych agadżerów, na pozór w roli dozorców, a w rzeczywistości jako straż przyboczną. Jasno dał im do zrozumienia, że mają wykonywać rozkazy Abadana Ridżiego i słuchać jego wskazówek związanych z powodzeniem misji. Postanowił, że jeśli wrócą bez podopiecznego, każe ściąć im głowy.

Po wyprawieniu zwiadowców Osman Atalan został w Gallabacie, żeby omówić z gubernatorem sprawę prowincji i przyjąć abisyńskich emisariuszy z Aksum. Cesarz Jan pragnął poznać prawdziwy powód obecności takiego ważnego derwisza pod swoją granicą. Jego ambasadorowie przywieźli cenne dary, a także zapewnienie o pokoju i dobrej woli. Osman odesłał ich z wiadomością, że gdy tylko skończy się pora wielkich deszczów, ruszy do Gonderu na spotkanie z cesarzem.

Tymczasem burze codziennie szalały nad górami, co dawało mu okazję do prowadzenia długich dysput z nową faworytą.

Oddział Penroda opuścił Gallabat przed południem, gdy tylko przestało padać i zza wysokich deszczowych chmur nad górami wyjrzało słońce. Zabrali lekki ekwipunek, jakby szykowali się do najazdu na sąsiednie plemię. Każdy mężczyzna miał broń i zrolowaną za łękiem siodła baranią skórę, a trzy juczne muły niosły na grzbietach garnki i skórzane worki z prowiantem. Pół mili za ostatnimi zabudowaniami miasta jeźdźcy natknęli się na pięć kobiet siedzących przy szlaku. Oddawały się typowo kobiecej rozrywce, polegającej na układaniu włosów. Zajęcie było odpowiednikiem ostrzenia mieczy przez mężczyzn i pomagało zapełnić długie, beczynne godziny.

Arabka nie układała sama włosów: było to przedsięwzięcie wspólne, w którym brały udział wszystkie jej przyjaciółki. Zrobienie wymyślnej fryzury mogło zająć dwa, nawet trzy dni. W ciągu roku spędzonego w haremie Amber dobrze opanowała tę sztukę, gdyż miała zwinne palce i bystre oko. W haremie Osmana Atalana jej umiejętności cieszyły się dużym wzięciem; tak dużym, że mogła żądać zapłaty w wysokości dwóch lub trzech denarów Marii Teresy, w zależności od wkładu pracy.

Najpierw trzeba było rozczesać włosy, zwykle sztywne, zlepione kosmetykami i skręcone w ciasne loki po poprzednim układaniu. Amber długim szpikulcem rozdzielała pasma. Potem prymitywnym drewnianym grzebieniem zaprowadzała jaki taki porządek w gęstych kędziarach. Ten etap, okraszany śmiechem, omawianiem skandali i wymianą plotek, często trwał cały dzień.

Kiedy możliwe było dotarcie do skóry, rozpoczynało się zbiorowe polowanie na nieproszone gości. Łowom towarzyszyły okrzyki triumfu i wrzaski radości, gdy umykający insekt kończył między paznokciami. Po oczyszczeniu pola Amber okładała loki pomadą z baraniego tłuszczu zmieszanego z olejkiem różanym i mirrą, a także sproszkowanym drewnem sandałowym, goździkami i cynamonem.

Później następowała najbardziej delikatna faza operacji. Włosy należało zapleść w setki maleńkich, ciasnych warkoczyków, zlepianych następnie szczodrymi miarkami gumy arabskiej i ciasta z durry. Dzięki temu zabiegowi po wyschnięciu były sztywne jak toffi. Ostatniego dnia warkoczyki starannie rozplatanio długim szylkretowym szpikulcem. Włosy sterczały jak chciały, wolne i dumne, a głowa kobiety wydawała się dwa razy większa niż normalnie. Końcowy efekt witany był piskami podziwu i pochwały. Po dziesięciu dniach cały proces powtarzano od początku, co zapewniało Amber stałe dochody.

Tego ranka była tak skupiona na pracy, że zauważyła zbliżających się agadżerów dopiero wtedy, gdy podjechali na sto kroków. Jej towarzyszki znalazły się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Oto pięć kobiet kalifa Osmana Atalana, bez zasłon na twarzach i przyzwoitek, miało się spotkać z oddziałem zaufanych wojowników ich pana. Savoir-vivre wymagał, żeby strony wzajemnie zignorowały swoją obecność; agadżerowie powinni przejechać tak, jakby byli niewidoczni niczym wiatr.

— Kapitan Ballantyne! — wrzasnęła Amber i skoczyła na równe nogi, zostawiając szpikulce w krzaczastych kędziorach klientki. Wybiegła mu na spotkanie.

Kobiety kompletnie nie wiedziały, co zrobić, więc tylko chichotały. Al-Nur, jadący na czele konnych, był w równie niezręcznym położeniu. Zmarszczył się wściekle i łypnął na Penroda. Penrod ignorował i jego, i Amber, niewzruszenie podążając szlakiem. Al-Nur nie umiał wymyślić żadnych praw, które znalazłyby zastosowanie w tych okolicznościach. Al-Zahra była jeszcze dzieckiem. Pozostawała na widoku czterech innych kobiet i sześciu wojowników. Choćby nie wiem jak wysilał wyobraźnię, gwałt jej nie groził. W wypadku jakichś kłopotów wszyscy obecni byliby jednakowo winni. W ostateczności al-Nur mógł wytłumaczyć się przed kalifem, że to Abadan Ridzi dowodził, a tym samym ponosił odpowiedzialność za naruszenie etykiety czy pogwałcenie obyczajów. Patrzył prosto przed siebie i udawał, że to się nie dzieje.

— Penrodzie Ballantynie, mamy okazję porozmawiać po raz pierwszy od czasu Chartumu. — Amber tańczyła obok Aty.

— Doskonale wiesz dlaczego — wycedził Penrod kątem ust. — Wracaj do kobiet, bo inaczej oboje wpadniemy w poważne tarapaty.

— Kobiety uważają, że jesteś bardzo szykowny. Nie wydadzą nas za skarby świata. — Rozmawiali po angielsku, więc Penrod był pewien, że żaden z agadżerów nie rozumie ani słowa.

— W takim razie przekaz siostrze wiadomość. Powiedz Rebecce, że przy pierwszej okazji zorganizuję ucieczkę i zabiorę was w bezpieczne miejsce.

— Wiemy, że nas nie zawiedziesz.

Jego twarz złagodniała. Dziewczynka była taka śliczna i czarująca.

— Jak się miewasz, Amber? Radzisz sobie?

— Byłam bardzo chora, ale Rebecca z Nazirą mnie uratowały. Już wyzdrowiałam.

— Widzę. A co u twojej siostry?

— Też miewa się dobrze. — Amber wolałaby, żeby nie mówił o Rebecce.

— Mam dla ciebie mały prezent. — Penrod dyskretnie wsunął rękę do sakwy, szukając bursztynowego naszyjnika i kolczyków kupionych na suku. Owinął drobiazgi w kawałek wyprawionej owczej skóry. Nie podał jej zawiniątka, tylko upuścił je na drogę, kierując koniem w taki sposób, żeby agadżerowie niczego nie spostrzegli.

— Podnieś po naszym odjeździe — przykazał — i nie pokazuj kobietom. — Ścisnął piętami boki Aty i odjechał.

Oczy kobiet śledziły grupę jeźdźców. Amber podniosła małe zawiniątko. Z trudem się

powstrzymała, żeby otworzyć je dopiero wtedy, gdy będzie sama w zenanie. Kiedy zobaczyła zawartość, oszalała z radości.

— W życiu nie dostałam piękniejszego podarunku. — Pokazała drobiazgi Rebecce i Nazirze. — Myślisz, Becky, że on naprawdę mnie lubi?

— To bardzo ładny prezent, kochanie, i jestem pewna, że bardzo cię lubi. — Rebecca starannie dobierała słowa. — Jak wszyscy inni, którzy cię znają.

— Chciałabym dorosnąć jak najszybciej. Wtedy przestałby traktować mnie jak dziecko — powiedziała Amber tęsknie.

Rebecca mocno przytuliła siostrę i lży zaszczypały ją pod powiekami. W takich przypadkach niepewność jutra i odpowiedzialność za Amber składały się na brzemień niemal nie do zniesienia. Jeśli zrobisz temu dziecku to, co zrobiłeś mnie, Penrodzie Ballantynie, przysięgła w duchu, zabiję cię gołymi rękami i zatańczę na twoim grobie.

Naczelnym celem wyprawy na terytorium Abisynii było przeprowadzenie rozpoznania na trzech głównych przełęczach, przez które musiały przejść wojska spieszące na odsiecz Gonderowi.

Główne przejście przez łańcuch górski wiodło przełomem Atbary. Północny brzeg był niedostępny, strzeżony przez strome skalne urwiska, lewy natomiast nachylał się pod łagodniejszym kątem. Po tej stronie rzeki biegł starożytny szlak handlowy. Oddział Penroda dotarł do wylotu przełomu po trzech tygodniach znoјnej jazdy. Prawie co noc lał deszcz, rzeki i strumienie wezbrały, ziemia zrobiła się grząska. Nierzadko zdarzało się, że w ciągu dnia pokonywali mniej niż dziesięć mil. Agadzerowie cierpieli okrutnie z powodu zimna i wilgoci, do których nie byli przyzwyczajeni.

Po wjeździe w przełom Atbary wspięli się na południowe zbocze i trzysta stóp nad rzeką znaleźli zagłębienie ukryte przed wzrokiem podróżnych. Środkiem niecki płynął strumyk, a na brzegach rosła świeża trawa. W drodze nie oszczędzali koni i mułów, więc Penrod postanowił dać im odpocząć przez parę dni, w tym czasie obserwując ruch na szlaku.

Codziennie z samego rana wraz z al-Nurem wspinali się na górną krawędź niecki i zajmowali pozycję w kępie gęstych krzaków rosnących tuż pod szczytem. W czasie pierwszych dwóch dni nie zobaczyli żywego ducha. Jedyne stworzenia w okolicy była para czarnych orłów, gniazdujących na urwisku nad północnym brzegiem rzeki: interesowały się dwoma mężczyznami i żeglowały wzdłuż grani na ogromnych skrzydłach, żeby przelecieć nisko nad ich głowami. Często widywali je z zającem albo małą antylopą w szponach, przeznaczoną dla młodych w gnieździe.

Poza tym góry wydawały się martwe i puste, a ciszę mącił tylko żałosny krzyk orłów. Słyszeli go wyraźnie nawet wtedy, gdy ptaki były tylko cętkami na tle pochmurnego nieba.

Pod wieczór trzeciego dnia obcy dźwięk wyrwał Penroda z sennej zadumy. Z początku uznał, że spadający kamień zagrzechotał na zboczu. Potem drgnął, słysząc ludzkie głosy. Sięgnął po lunetę i omiół drogę karawanową do pierwszego zakrętu przełomu. Niczego nie zobaczył, ale przez pół godziny dźwięki narastały, a kiedy echo podchwyciło je i wzmocniło, nie miał już żadnych wątpliwości. W dół rzeki zmierzała duża karawana. Położył się na brzuchu i skierował szkła w górę przełomu. W polu widzenia pojawiły się dwa ciężko objuczone muły. Za nimi szła druga para, potem trzecia, aż w końcu naliczył sto dwadzieścia jucznych zwierząt, które pod nadzorem poganiaczy schodziły brzegiem rzeki w kierunku doliny Gonderu.

Cenna zdobycz. — Widok zbudził bandyckie instynkty w sercu al-Nura, który łakomym wzrokiem patrzył na karawanę. — Kto wie, co jest w tych workach? Srebrne denary Marii Teresy? Złote suwereny? Wystarczy dla każdego z nas na zakup stu wielbłądów i tuzina pięknych niewolnic. Raj na ziemi!

— W rzeczy samej! Kto prosiłby o więcej? — burknął Penrod z ponurą miną. — Jeśli

podniesiemy palec na tych zacnych kupców, w Abisynii podniesie się krzyk. Plany kalifa Atalana wezmą w łeb, a my obaj zostaniemy wysłani do raju bez jąder, więc nawet nie posmakujemy rajskich rozkoszy. Wszystko ma swoją porę, al-Nurze.

Jakiś czas później wiodące muły znalazły się bezpośrednio pod ich punktem obserwacyjnym. Tyły kolumny zamykało trzech mężczyzn. Jednym był młody chłopak, drugim niski grubasek, a trzecim potężnie zbudowany osiłek, który wyglądał tak, jakby był w stanie wyjść obronną ręką z najgorszej bijatyki. Gdy podjechali bliżej, Penrod zobaczył ich twarze i zdusił okrzyk zdumienia. Nie chciał wzbudzać zaciekawienia al-Nura. Przyjrzał się uważniej i tym razem nie miał żadnych wątpliwości. Ryder Courtney! Jego umysł z trudem godził się z tym, co widziały oczy.

Przesunął szkła na grubasa, który jechał po lewej stronie Rydera. Baczit, tłusty łapserdak!

Potem skierował lunetę na trzecią osobę, podrostka ubranego w workowate szkarłatne spodnie, długi jasnozielony płaszcz i żółty kapelusz o szerokim rondzie, z pewnością zaprojektowany w stanie furii albo pomieszania zmysłów. Chłopak śmiał się z czegoś, co powiedział Courtney. Ale śmiech cechowała zdecydowanie kobieca śpiewność. Penrod drgnął i z trudem zachował spokój. Saffron!

Saffron Benbrook! To wydawało się niemożliwe. Sądził, że wraz z ojcem zginęła w Chartumie. Sprawa była zbyt bolesna, żeby o niej rozmyślać, dlatego zepchnął ją do najgłębszego zakamarka umysłu. A teraz patrzył na dziewczynkę, żywą jak konik polny i śliczną niczym motyl pomimo cudacznego przyrodziewku.

— Zmierzają do Gonderu albo z Aksum, albo z Addis Abeby. — Al-Nur posępnie wygłosił swoje zdanie, wciąż rozpaczając nad fortuną przechodzącą mu koło nosa.

— Rozłożą się obozem — powiedział Penrod, gdy czoło długiej kolumny skręciło ze szlaku na równy, niezasłany skałami grunt nad brzegiem Atbary. Zmierzył wzrokiem wysokość słońca. Zostały jeszcze co najmniej dwie godziny światła dobrego do podróży, ale Ryder zarządził postój. Podczas gdy na brzegu poganiacze cięli paszę i zanosili pęki mułom, słudzy rozbili duży namiot, pełniący funkcję jadalni, i dwa mniejsze, sypialne. Przed ogniem ustawili dwa składane krzeselka. Ryder Courtney podróżował w wygodzie i z klasą.

Gdy słońce zaszło i zapadł krótki zmierzch, Ryder i Saffron, już bez żółtego kapelusza, obeszlili obóz i rozstawili warty. Penrod dobrze zapamiętał pozycję każdego strażnika. Widział, że są uzbrojeni w karabiny odprzodowe, załadowane mieszaniną nóżek od garnków, pordzewiałych gwoździ i różnorodnych kul do muszkietów, a wszystkie te pociski, trafiające w brzuch z niewielkiej odległości, wyrządzały naprawdę paskudne szkody.

Obserwował z al-Nurem obóz, dopóki nie skryły go ciemności, pomijając krąg blasku lampy naftowej przed głównym namiotem. Zauważył, że Saffron wcześniej udała się do swojego małego namiotu. Ryder został przy ogniu i palił krótkie cygaro, czego mu bardzo zazdrościł. Wreszcie rzucił niedopałek w żar ogniska i poszedł spać. Penrod czekał, aż lampy zgasną w obu namiotach, potem sprowadził al-Nura do obozowiska nad strumykiem. Nie rozpalili ogniska, tylko zjedli na zimno asida z pieczoną baraniną. Blask ognia i zapach dymu mogłby zdradzić ich obecność wrogo nastawionym obcym.

Al-Nur, który milczał od czasu zejścia z grani, teraz przemówił z ustami pełnymi jedzenia: — Obmyśliłem plan. Plan, który nas wszystkich uczyni bogatymi.

— Twoja mądrość spłynie na mnie niczym chłodny deszcz na pustynię. Z drzeniem w sercu czekam, abyś raczył się nią podzielić — odparł Penrod z wyszukaną uprzejmością.

— Karawanę prowadzi dwudziestu dwóch Abisyńczyków, ale to tłuszczy handlarze i kupcy. Nas jest sześciu, ale jesteśmy najlepszymi wojownikami w całym Sudanie. W nocy zejdziemy na dół i wybijemy ich do nogi. Nie pozwolimy nikomu uciec. Spalimy ciała i popędzimy muły do Gallabatu.

Abisyńczycy będą przekonani, że karawanę pożarły górskie dziny. Przekażemy cały skarb wzniosłemu Atalanowi, który nagrodzi nas zaszczytami i bogactwami. — Penrod milczał, więc al-Nur go przynaglił: — Co myślisz o moim planie?

— Nie dostrzegam w nim wad. Myślę, że jesteś wielkim i szlachetnym szuftą.

Al-Nur był zaskoczony, ale też zadowolony, że został nazwany bandytą. Dla agadzera z plemienia Bedżów epitet był komplementem.

— W takim razie tej nocy, kiedy wszyscy zasną, zejdziemy na dół do ich obozu i zrobimy, co trzeba. Zgadzasz się ze mną, Abadanie Ridzi?

— Kiedy tylko dostaniemy pozwolenie kalifa Osmana Atalana, oby Allah kochał go wiecznie, wymordujemy tych tłustych kupców i ukradniemy ich towary. — Penrod pokiwał głową. Zapadła długa cisza.

Al-Nur znowu przemówił: — Potężny kalif Atalan, oby Allah spoglądał na niego z najwyższą łaskawością, przebywa w Gallabacie, sześćset mil stąd na północ. Jak uzyskamy jego pozwolenie?

— To rzeczywiście trudne — przyznał Penrod. — Kiedy znajdziesz odpowiedź na to pytanie, szerzej omówimy twój plan. Tymczasem Muman Digna pierwszy obejmie wartość. Zmienię go o północy. Ty, Nurze, będziesz czuwać do świtu. Może wtedy znajdziesz czas na rozwiązanie tej trudnej sprawy.

Al-Nur oddalił się w dostojnym milczeniu, owinał w owczą skórę i niedługo później zaczął pochrapywać.

Penrod spał niespokojnie i zbudził się w chwili, gdy Muman Digna dotknął jego ramienia, szepcząc: — Już czas.

Penrod odczekał godzinę, żeby agadzerowie zasnęli. Z doświadczenia wiedział, że kiedy raz owina się w swoje owcze skóry, niechętnie stawiają czoło gryzącemu górskiemu powietrzu. Podniósł się ze skały, która wznosiła się nad obozem, i bosy pokonał dolną krawędź niecki. Z nadzwyczajną ostrożnością zbliżył się do obozu Rydera. W tym czasie wąski sierp księżyca wznosił się nad horyzontem i wraz z gwiazdami świecił na tyle jasno, że w blasku dostrzegł strażników. Ominął ich bez trudności. Jak zaznaczył al-Nur, nie byli wojownikami. Podkraść się za tylną ścianę namiotu Rydera i przykucnął. Słyszał szmer oddechu po drugiej stronie płótna, parę cali od swojego ucha. Skrobnął płótno paznokciami i natychmiast zapadła cisza.

— Ryder — szepnął — Ryder Courtney! Usłyszał szelest i pytanie zadane zaspanym głosem: — Kto tam?

— Ballantyne... Penrod Ballantyne.

— Dobry Boże, człowieku! Do licha, co tutaj robisz? — Zaskwierczała zapalka, potem rozbłysła lampa i cień padł na płótno. — Właż!

Gdy Penrod wszedł do niskiego namiotu, Ryder nie krył zdumienia.

— To naprawdę ty, Ballantyne? Wyglądasz jak dziki Arab. Skąd się tu wzięłeś?

— Nie mogę długo z tobą rozmawiać. Jestem więźniem derwiszów i mam ograniczoną swobodę ruchów. Będę wdzięczny, jeśli przestaniesz marnować czas na głupie pytania.

— Przyznaję się do błędu. — Przyjazny uśmiech Rydera przygasł. — Będę słuchać, co masz do powiedzenia.

— Dostałem się do niewoli po upadku Chartumu. Wróciłem do miasta, żeby poznać los tych, którzy nie byli w stanie uciec, przede wszystkim Davida Benbrooka i jego rodziny.

— Saffron jest ze mną. W ostatniej chwili udało nam się wypłynąć z Chartumu. Próbowałem nawiązać kontakt z jej rodziną w Anglii, żeby ją odesłać, ale takie rzeczy wymagają czasu.

— Wiem, że jest z tobą. Obserwowałem twój obóz. Widziałem ją wieczorem.

— Czekalem na wiadomosc od ciebie. Baczit spotkal sie w Om-durmanie z twoim czlowiekiem, Jakubem. Powiedzial mu, ze ras Hajlu moze przenosic wiadomosci.

— Nie widzialem Jakuba od dnia pojmania w Omdurmanie. Nie wspomniat mi o spotkaniu z Baczitem ani o rasie Hajlu — powiedzial Penrod ponuro. — Jakub zniknal. Sadze, ze razem ze swoim wujem, lotrem zwanym Wad Hagma, wydali mnie w rece derwiszow. Rozprawilem sie z Hagma, a Jakub zajmuje nastepne miejsce na mojej liście spraw niedokończonych.

— Tym ludziom nie mozna ufac — zgodzil sie Ryder — niezaleznie od tego, jak dlugo ich znasz i jak dobrze ich traktujesz.

— Zatem wiesz, ze David Benbrook zginal po zdobyciu Chartumu, a Rebecca i Amber zostaly pochwycone przez derwiszow i przekazane Mahdiemu.

— Tak. Baczit dowiedzial sie o tym od Naziry, kiedy szukal cie w Omdurmanie. Trudno wyobrazic sobie te dwie sliczne Angielki w szponach rozpustnego fanatyka. Mam nadzieje i modle sie, ze Amber jest na tyle mloda, by uniknac najgorszego, ale Rebecca! Bog tylko wie, co wycierpiala.

— Mahdi nie zyje. Zmarl na cholere albo jakas inną chorobe. Licho wie, co go zabilo.

— Nie slyszalem. Ale nie sadze, zeby to cokolwiek zmienilo. Co teraz stanie sie z Rebecca? — Ryder nie kryl zatroskania i swoich uczuc do najstarszej corki Davida.

A wiec Rebecca Benbrook jemu takze nie szczedzila swoich wdziekow, pomyslal Penrod cynicznie. Teraz ma takie doswiadczenie, ze po powrocie do Londynu moze przejsc na zawodowstwo i uprawiac swoje rzemioslo na Charing Cross Road. Ale choc doznal uszczerbku na honorze, nie zwolnilo go to z odpowiedzialnosci za bezpieczenstwo Rebecki i jej mlodszej siostry.

— Po smierci Mahdiego Rebecca i Amber zostaly zabrane do haremu nowego kalifa, Osmana Atalana — powiedzial. — Za plecami uslyszal syk wciaganego powietrza i odwroutil sie szybko z dlonia na rukojeści sztyletu.

Saffron stala w wejsciu. Byla ubrana w męską koszule o wiele na nia za duza, siegajaca ponizej kolan. Musialy zbudzic ja glosy i przyszla ze swojego namiotu. Uslyszala ostatnie slowa. Przez cienki material koszuli Penrod mogle mimo woli zobaczyc jej figure. Ogromnie zmienila sie od czasu, kiedy widzial ja ostatnio. Jej biodra zaokrąglily sie, twarz stracila dziecięca pulchnosc. Byla zbyt dojrzała, zeby mieszkac z męczyzna w obozie na afrykańskim pustkowiu.

— Moje siostry! — Wstrząśnięta, szeroko otwierala zaspane oczy. — Najpierw ojciec, teraz one. Ryderze, nie powiedziales mi, ze przebywaja w haremie. Mowiles, ze sa bezpieczne. Czy ten koszmar nigdy sie nie skonczy?

— Alez, Saffron, sa bezpieczne. Nie spotkala ich krzywda.

— Skad mozesz wiedziec? Jak moga byc bezpieczne w gnieździe pogan i barbarzyńców?

— Rozmawialem z Amber niespełna dwa tygodnie temu — wtracil Penrod, zeby ja pocieszyc. — Obie sa bardzo dzielne. Los sprawil im ciego, ale radza sobie jak tylko mozna najlepiej w takiej sytuacji. Trudno w to uwierzyc, lecz sa traktowane... jesli nie uprzejmie, to na pewno lagodnie. Stanowia cenny nabytek i derwisze nie maja interesu w obnizaniu ich wartosci.

— Ale jak dlugo? Musimy cos zrobic. Zwlaszcza dla slodkiej, wzraliwej Amber. Ona nie jest taka silna jak Rebecca i ja. Musimy ja uratowac.

— Po to tu jestem — powiedzial Penrod. — To niewiarygodnie szczesliwy zbieg okolicznosci, ze natknałem sie na was. Szansa jedna na milion. Teraz, skoro juz jesteśmy razem, mozemy zaplanowac ratunek.

— Czy to w ogole mozliwe? Abisynia jest prymitywna i zacofana, ale przynajmniej zamieszkuja ja chrześcijanie. Sudan jest piekłem na ziemi, rządzonym przez demony. Zaden biały męczyzna czy

kobieta nie ma tam dużych szans na przeżycie.

— Muszę wracać — rzekł Penrod. — Zostanę tutaj jeszcze przez parę minut, a potem wrócę i zrobię, co w mojej mocy. Ale jeśli mam zabrać twoje siostry z Sudanu, będę potrzebować waszej pomocy. — Zwrócił się do Rydera: — Mogę na ciebie liczyć?

- Czuję się urażony tym pytaniem — odparł Ryder sztywno.

Zdumiewające, jak szybko ci dwaj obrażają się wzajemnie i czują się obrażeni, pomyślała Saffron ze złością. Dlaczego kłócą się i przybierają afektowane pozy w tych strasznych okolicznościach?

Czy mężczyźni zawsze muszą być aroganccy i uparci jak osły?

— Kapitanie Ballantyne, pomożemy panu — obiecała — na tyle, na ile to będzie możliwe.

Penrod zwrócił uwagę, że użyła liczby mnogiej z pewnością siebie typową dla żony. Zastanowił się, czy miała ku temu powody. Myśl budziła odrazę, bo wbrew pozorom Saffron wciąż była dzieckiem. Pocieszył się, że przecież człowiek pokroju Rydera Courtneya nie molestowałby dziecka.

— Nie mam więcej czasu — oznajmił. — Muszę wrócić do moich dozorców, bo inaczej derwisze przestaną mi ufać. Mamy wiele rzeczy do zaplanowania. Po pierwsze, musimy kontaktować się z sobą, żeby wymieniać informacje i pomysły. Opowiedz mi coś więcej o tym rasie Hajlu.

— Był moim przyjacielem i współnikiem w interesach — wyjaśnił Ryder. — Dwa lub trzy razy w roku żeglował do Omdurmanu, żeby handlować z derwiszami. Na nieszczęście zadarł z Mahdim, który oskarżył go o szpiegowanie dla cesarza Jana. Został stracony w Omdurmanie. Nie mam innych przedstawicieli w Sudanie.

— W takim razie musimy zorganizować to inaczej. Nie próbuj kontaktować się ze mną bezpośrednio, bo przez cały czas jestem pod obserwacją. Przekazuj wiadomości Nazirze. Ona ma swobodę ruchów. Ja postaram się zwerbować własnego pośrednika. W Omdurmanie są inni jeńcy z Europy, między innymi Rudolf Slatin, były egipski gubernator w Dongoli. Jest pomysłowym człowiekiem i przypuszczam, że utrzymuje łączność ze światem zewnętrznym. Jeśli uda mi się znaleźć posłańca, gdzie będzie mógł cię znaleźć?

Ryder szybko podał mu listę faktorii leżących w pobliżu sudań-skiej granicy i nazwiska zaufanych agentów.

- Przekazą mi każdą odebraną wiadomość, ale jak wiesz, odbywam dalekie podróże w interesach. Zanim ją dostanę, może minąć dużo czasu.

- W Afryce nic nie dzieje się szybko — przyznał Penrod. — Kiedy nadejdzie pora, poproszę cię o ułożenie planów w taki sposób, żebyś mógł jak najszybciej zabrać nas do Abisynii. Gdy tylko opuścimy Omdurman, cała armia derwiszów zostanie postawiona w stan gotowości i będzie ścigać nas niestrudzenie.

- Bezpieczeństwo sióstr Saffron ma pierwszeństwo przed wszystkim innym — zapewnił go Ryder.

- Gdzie jest Nieustraszony Ibis? Podróż na parowcu byłaby najszybsza i najpewniejsza. Wolałbym nie ryzykować ucieczki na wielbłądach przez pustynię. Odległości są ogromne, a dla kobiet jazda jest mordercza.

- Niestety musiałem sprzedać parowiec. Ponieważ derwisze odcięli górny bieg Nilu, musiałem ograniczyć działalność handlową do terenów Abisynii i Equatorii. Ibis przestał mi być potrzebny.

- Wielka szkoda, ale obmyślę inną trasę. — Penrod wstał. — Nie mogę spędzić z wami więcej czasu. Ale jest jeszcze jedna ważna sprawa. Zjawiłem się tutaj, bo Abdallahi planuje atak na Abisynię i przejęcie spornego terytorium od Gonderu po górę Horrea. Stwarza dyplomatyczne pozory, usypiając czujność cesarza Jana zapewnieniami o przyjaźni i pokoju. Ale zaatakuję, zapewne

w przyszłym roku po wielkich deszczach. Osman Atalan przybędzie na czele około trzydziestu tysięcy derwiszów. Jego pierwszym i naczelnym celem staną się przełęcze, przełom Atbary i Minkti. Będzie chciał uniemożliwić głównym siłom cesarza zejście z płaskowyżu. Atalan, bodaj zgnił w piekle, kazał mi przeprowadzić zwiad na terenie przyszłego ataku.

— Mój Boże! — Ryder zrobił przerażoną minę. — Cesarz nie ma o niczym pojęcia.

— Masz do niego dojście?

- Tak, znam go dobrze. Spotkam się z nim natychmiast po powrocie do Entoto, za trzy, cztery miesiące.

— Przekaż mu ostrzeżenie.

— Przekażę, nie ma obawy. Będzie wdzięczny. Jestem przekonany, że zaproponuje pomoc w uratowaniu Rebecki i Amber — zapewnił Ryder. — Ale powiedz mi, Ballantyne, dlaczego chcesz go ostrzec? Co się stanie z tobą, gdy derwisze napadną na ten kraj?

- Musisz pytać? Twój wróg jest moim wrogiem. Tylko ci, którzy na własne oczy widzieli miasto obleżone przez derwiszów, potrafią pojąć ogrom panoszącego się zła. Byłeś w Chartumie? — zapytał, a Ryder pokiwał głową. — Cesarz Jan jest władcą chrześcijańskim. Ktoś musi powstrzymać Abdallahiego i żądnych krwi fanatyków. Może on zdoła położyć kres temu koszmarowi. — Penrod zwrócił się do Saffron: — Co mam przekazać twoim siostram?

Łzy błyszczały w jej oczach, gdy z trudem odpowiadała: - Powiedz im, że kocham je obie całym sercem i zawsze będę kochać. Powiedz im, że muszą być dzielne. Pomożemy im. Niebawem znowu będziemy razem. I że kocham je niezależnie od tego, co się dzieje.

- Przekażę im tę wiadomość — obiecał Penrod. — Jestem pewien, że przyniesie im wielką pociechę. — Odwrócił się w stronę Rydera i wyciągnął rękę. — Sądzę, że mądrze będzie zapomnieć o osobistych urazach i połączyć siły dla osiągnięcia wspólnego celu.

— Zgadza się z tobą całym sercem — odparł Ryder i uściśnął wyciągniętą dłoń.

Penrod pochylił się nad lampą i zdmuchnął płomyk, a potem odszedł w noc.

Zbliżało się Boże Narodzenie, gdy Ryder Courtney wrócił do stolicy Abisynii, Entoto, gdzie miał swój główny kompleks handlowy.

- To najbardziej ponure miejsce na świecie — powiedziała Saffron, gdy na czele karawany mułów przejechali przez bramę — gorsze od Chartumu. Dlaczego nie możemy zamieszkać w Gonderze?

— Ponieważ, panno Saffron Benbrook, w niedalekiej przyszłości zamieszkaż w wiosce Bishop's Sutton w Hampshire ze swoim stryjem Thomasem i stryjenką Jane.

— Znowu robisz się nieznośny, Ryderze. Nie chcę mieszkać w Anglii. Chcę zostać tutaj, z tobą.

— Pochlebiasz mi. — Dotknął róna kapelusza. — Ale, na nieszczęście dla wszystkich zainteresowanych, nie możesz do końca życia niczym Cyganka włóczyć się po afrykańskim buszu. Musisz wrócić do cywilizacji i nauczyć się być damą. Poza tym ludzie zaczynają gadać. Nie jesteś dzieckiem, tylko wyrośniętą panną.

Aha, więc zauważyłeś! — pomyślała Saffron z zadowoleniem. A już sądziłam, że jesteś ślepy, Ryderze Courtneyu. Na głos, z wielką powagą i absolutnym brakiem szczerości, powtórzyła obietnicę, która zwykle go satysfakcjonowała: — Wrócę do Anglii bez słowa protestu, kiedy Rebecca i Amber zostaną uwolnione. I kiedy stryj Thomas obieca, że weźmie nas pod opiekę. Jeszcze nie odpowiedział na twoje listy, a minął ponad rok, odkąd napisałeś pierwszy — przypomniała mu z zadowoleniem. — A teraz pomówmy o ciekawszych sprawach. Jak długo zostaniemy w Entoto i dokąd udamy się później?

— Moje sprawy zajmą trochę czasu.

— W górach jest tak zimno i wietrznie po ciepłe nizin, a w promieniu wielu mil nie ma drewna na opał. Wszystkie drzewa zostały wycięte.

— Musisz porozmawiać z cesarżową Miriam. Podziela twoje zdanie na temat Entoto. Dlatego cesarz przenosi stolicę do gorących źródeł w Addis Abebie. Nie znam większej marudy od cesarżowej.

— Ja nie jestem marudą — powiedziała Saffron słodko. — I czasami wiem lepiej, chociaż ty traktujesz mnie jak małe dziecko.

Pomimo jej zastrzeżeń kompleks Courtneya w Entoto był naprawdę bardzo wygodny i ciepły, a Saffron zdołała z pomocą Baczita urządzać go jeszcze bardziej komfortowo. Namówiła Rydera, żeby jeden ze starych, nieużywanych magazynów przerobić na sypialnię i pracownię do jej wyłącznego użytku. Nie było to łatwe. Ryder niechętnie godził się na rzeczy, które mogły utwierdzić ją w przekonaniu, że zostanie z nim na zawsze.

Podczas urządzania pracowni Saffron zwróciła się o pomoc do żony brytyjskiego ambasadora na cesarskim dworze. Pani Alice Packer wzięła ją pod swoje skrzydła. Oczywiście jej mąż znał Davida Benbrooka z czasów, kiedy razem pracowali u sir Evelyn Baringa na placówce dyplomatycznej w Kairze, dlatego czuła się odpowiedzialna za osieroconą dziewczynkę.

Alice, malarka amatorka, poznała się na talencie młodej podopiecznej i przyjęła na siebie rolę nauczycielki. Zaopatrzyła Saffron w farby, pędzle i papier ilustracyjny dostarczony z Kairu z pocztą dyplomatyczną oraz nauczyła ją robić blejtramy i węgiel rysunkowy.

Z czasem Saffron niemal prześcignęła swoją nauczycielkę. Jej teczka zawierała co najmniej pięćdziesiąt pieczołowicie wykonanych portretów Rydera Courtneya, z których większość powstała bez wiedzy modelu, a także liczne afrykańskie pejzaże i szkice zwierząt. Zarówno Alice, jak i Ryder byli zaskoczeni dojrzałością i mistrzostwem jej prac. Ostatnio zajęła się szkicowaniem i malowaniem cyklu poświęconego Chartumowi i potwornościom oblężenia. Obrazy były piękne, ale wstrząsające. Ryder zrozumiał, że stanowią swego rodzaju katharsis, dlatego zachęcał ją do kontynuowania.

Dwa dni po powrocie do Entoto Saffron poszła do Alice na podwieczorek. Pokazała jej wszystkie szkice Chartumu, które omówiły dość obszernie. Alice nie mogła powstrzymać się od płaczu w trakcie oglądania.

— Są wspaniałe, moja droga. Jestem pełna podziwu dla twoich zdolności.

Saffron zastygła w trakcie pakowania rysunków i spojrzała na nią ze łzami w oczach.

— O co chodzi, Saffron? — zapytała Alice życzliwie.

Choć Ryder zobowiązał ją do zachowania milczenia, Saffron zdała pełną relację z nocnego spotkania z Penrodem Ballantyne'em w przełomie Atbary. Alice obiecała, że jej mąż bezzwłocznie powiadomi sir Evelyn Baringa o losie sióstr i kapitana Ballantyne'a. Te słowa podniosły Saffron na duchu. Przed wyjściem zapytała niewinnie: — Jeśli przyszły jakieś listy do pana Courtneya, dostarczę je z przyjemnością, oszczędzając zachodu posłańcowi.

Alice posłała po sekretarza, który zjawił się z kopertami z adresem: „W. P. Ryder Courtney, u ambasadora brytyjskiego w Entoto, Abisynia”.

Saffron obejrzała listy, idąc przez miasto na rynek. Rozpoznała charakter pisma na pierwszej kopercie. Bratanek Rydera, Sean Courtney, pisał z niedawno odkrytych pól złotołożnych w Republice Transwału w Afryce Południowej. Saffron wiedziała, że Sean nagabywał stryja o zainwestowanie kilku tysięcy funtów w nową kopalnię. Następny był rachunek wystawiony przez londyński sklep z bronią. Na trzeciej kopercie widniała pieczęć „Urząd Probierczy Przyładka Dobrej Nadziei”. Czwartą list był tym, którego się obawiała. Na odwrocie był napis: Nadawca: Wielebny

Thomas Benbrook Plebania Bishop's Sutton Hampshire, Anglia Wsunęła pocztę do kieszeni, ale ostatnią kopertę ukryła pod stanikiem sukni. Na rynku spędziła mniej czasu niż zwykle. Od ulubionej kwiaciarki kupiła duży pęk dzikich górskich mieczyków. Potem wypatrzyła ładną srebrną piersiówkę, dobrą na prezent urodzinowy dla Rydera. Cena wykraczała poza jej skromne oszczędności, a nie miała czasu na targowanie się z handlarzem, więc obiecała, że wróci nazajutrz.

Pobiegła do kompleksu i wstawiła kwiaty do wiaderka przy kuchennych drzwiach. Potem udała się do wygodki, dyskretnie ulokowanej w kącie za kwaterami mieszkalnymi. Zaryglowała drzwi, przycupnęła na wysokim siedzeniu i ostrożnie oderwała pieczęć z czwartej koperty. Kartka była zapisana z obu stron i nosiła datę sprzed kilku miesięcy. Z przejęciem przeczytała list: Szanowny Panie Courtney!

Oboje z małżonką jesteście zasmuceni Pańskimi doniesieniami o tragicznej śmierci mojego brata Davida i niedoli jego córek. Rozumiem Pańskie kłopotliwe położenie i zgadzam się, że przyzwoitość nie pozwala, aby biedna Saffron przebywała pod Pańską opieką, gdyż jest Pan kawalerem i nie ma z Panem kobiety, która zadbałaby o jej wychowanie.

Jak Pan sugerował, zwróciłem się z zapytaniem do W. P. Sebastiana Hardy'ego, notariusza mojego nieodżałowanego brata. Z bólem informuję, że wartość majątku Davida jest znacznie niższa niż zadłużenie. Sarah, jego świętej pamięci żona, była rozrzutną osobą. Z tego względu moje bratanice nie mogą liczyć na spadek.

Omówiliśmy z żoną możliwość przyjęcia Saffron do naszego domu. Niestety mamy dziewięcioro dzieci na utrzymaniu z uposażenia wiejskiego pastora. Nie bylibyśmy w stanie wyżywić i ubrać biednej sieroty. Na szczęście zdołałem poczynić stosowne przygotowania; dziewczynka trafi do odpowiedniego zakładu, gdzie otrzyma surowe chrześcijańskie wychowanie i zdobędzie wykształcenie, które w przyszłości umożliwi jej objęcie posady guwernantki w arystokratycznym domu.

Jeśli w swoim chrześcijańskim miłosierdziu raczy Pan sfinansować jej podróż morską do Anglii, a następnie przejazd koleją z portu do stacji Bishop's Sutton, odbiorę biedne dziecko i przekażę je do zakładu. Z przykrością informuję, że nie jestem w stanie pokryć kosztów jej późniejszego kształcenia i utrzymania.

Czekam na wiadomość od Pana.

Pański brat w Chrystusie, Thomas Benbrook Powoli i z ulgą Saffron podarła list na kawałeczki, które po jednym wrzuciła do cuchnącego dołu. Podciągnęła spódnicę i wysikała się na resztki obraźliwego pisma.

— Odpowiedni koniec dla takiego śmiecia — powiedziała. — I tyle dla zakładu, chrześcijańskiego wychowania i posady guwernantki. Wolałabym bosko wrócić do Chartumu. — Wstała i wygładziła spódnicę. — Teraz muszę zobaczyć, czy kolacja dla Rydera jest już gotowa, i przygotować mu szklaneczkę whisky.

Pora kolacji stanowiła dla niej ukoronowanie pracowitego dnia. Najpierw omówiła z kucharzem kwestię pieczenia kurcząt i jamsów, potem sprawdziła, czy na umywalce w sypialni Rydera jest dzbanek z gorącą wodą, mydło i czysty ręcznik, a na łóżku świeżo wyprasowana, złożona koszula. Następnie nakryła do stołu, ustawiła kwiaty i świece. Tego ważnego zadania nie zleciłaby żadnemu służącemu, nawet Baczitowi. Kluczem, który powierzył jej Ryder, otworzyła kredens, wyjęła butelkę whisky, kryształową szklanekę i cedrowe pudełko z cygarami. Postawiła to wszystko na stole na końcu werandy, skąd roztaczał się piękny widok na zachód słońca nad górami.

Pospieszyła do swojego pokoju i zmieniła noszone przez cały dzień ubranie na sukienkę własnego projektu. Z pomocą dwóch amharskich kobiet z miasta, będących biegłymi szwaczkami,

skompletowała bogatą, niezwykłą garderobę. Pani Alice Packer, a nawet cesarzowa Miriam pochwaliły jej styl.

Szczotkując włosy, Saffron usłyszała stukot kopyt na dziedzińcu. Ryder wrócił z pałacu, gdzie przez cały dzień rozmawiał z cesarzem i różnymi urzędnikami nadwornymi. Czekwała na werandzie, gdy wyszedł ze swojej prywatnej kwatery w świeżej koszuli, starannie uczesany, z twarzą zaróżowioną po myciu w gorącej wodzie. Jest najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem, ale jego włosy znów potrzebują przystrzyżenia. Jutro się tym zajmę, pomyślała, podnosząc butelkę whisky nad kieliszkiem.

— Powiedz kiedy — poprosiła.

— „Kiedy” jest pięcioliterowym słowem, które należy wypowiadać z wielką rozwagą i po długim namyśle — odparł. Był to ich prywatny żart. Saffron nałapała szczodłą miarę, a on posmakował i westchnął. — Za dobre dla zwykłego śmiertelnika! — To zakończyło rytuał. Ryder usadowił się wygodnie na skórzanych poduszkach ulubionego fotela. Saffron usiadła naprzeciwko i oboje patrzyli, jak słońce zachodzi w szkarłatnym splendorze.

— Powiedz mi, co dzisiaj robiłaś — zachęcił Ryder.

— Ty pierwszy.

— Ranek spędziłem na naradzie z cesarzem i dwoma generałami. Powtórzyłem im, czego dowiedzieliśmy się od Penroda Ballantyne'a o planach napaści derwiszów na ich kraj. Cesarz Jan był wdzięczny za ostrzeżenie i chyba potraktował je z należytą powagą. Nie wspomniałem o naszym planie ratunku twoich sióstr. Uznałem, że jest na to za wcześnie. Jestem jednak przekonany, że nam pomoże, kiedy będziemy gotowi do działania.

Saffron westchnęła.

— Szkoda tylko, że kapitan Ballantyne nie daje znaku życia. Całe wieki minęły od ostatniego spotkania.

— Zapewne wraz z twoimi siostrami podróżuje w orszaku Osmana Atalana. Jest zbyt dobrze strzeżony, być może nie udało mu się znaleźć wiarygodnego kuriera. Musimy być cierpliwi.

— Łatwo powiedzieć, trudno zrobić.

Abyjarozerwać, kontynuował sprawozdanie ze swoich poczynań.

— Po wyjściu od cesarza resztę dnia spędziłem ze skarbnikiem.

W końcu zgodził się przedłużyć o rok moje zezwolenie na handel na terenie całego kraju. Łapówka, której zażądał, była niebotyczna, ale biorąc pod uwagę okoliczności, jak najbardziej umiarkowana. — Roześmiała się, on zawsze umiał ją rozbawić. — Nawiasem mówiąc, zapomniałem wspomnieć, że zostaliśmy zaproszeni na audiencję w następny piątek. Cesarz Jan postanowił przyznać mi Gwiazdę Orderu Salomona i Judei w uznaniu za zasługi dla kraju. Myślę, że prawda wygląda inaczej. Cesarzowa Miriam namówiła męża, bo chce obejrzeć twoją najnowszą kreację. A może chce zamówić u ciebie swój kolejny portret.

— Ekscytujące. Czy Gwiazda Salomona jest duża i wysadzana mnóstwem diamentów?

— Jestem pewien, że jest gigantyczna, może nie z diamentami, ale co najmniej z pierwszorzędnym rżniętym szkłem — odparł Ryder i sięgnął po korespondencję, którą Saffron przyniosła z ambasady. Najpierw otworzył rachunek ze sklepu z bronią. — Doskonale! — zawołał z zadowoleniem. — Dwie zamówione strzelby dziesiątki już są gotowe do wysyłki. Jutro zajmę się zapłatą. Powinienem dostać je przed następną wyprawą do Equatorii, gdzie będą najbardziej przydatne. — Odłożył rachunek i odpieczętował list od bratanka. — Sean twierdzi z uporem, że ta nowa żyła złota sięga bardzo głęboko. Nie podzielam tych nadziei. Jestem pewien, że żyła się urwie. Mój bratanek straci gotówkę, ale zyska doświadczenie. Chyba muszę raz na zawsze rozwiązać jego

złudzenia dotyczące mojego wkładu finansowego w to przedsięwzięcie. — Podniósł kopertę ze stemplem Kolonii Przylądkowej. — Na to czekałem!

Wyjął raport probierczy, przeczytał go szybko i uśmiechnął się szeroko.

— Wybornie! Naprawdę, bardzo dobrze.

— Powiesz mi? — zapytała Saffron.

— Oczywiście! Przed wyjazdem z Gonderu wysłałem do urzędu probierczego w Kolonii Przylądkowej worek z próbkami skał. Zebrałem je w górach sto mil na wschód od Aksum, w czasie polowania na niale górskie, rok przed utknięciem w obleżonym Chartumie. Raport dotyczy tych próbek. Zawierają ponad trzydzieści procent miedzi i dokładnie dwanaście procent srebra. Nawet biorąc pod uwagę odległość i trudny dostęp do tego obszaru, złożę powinno przynieść krociowe zyski. Jedyne kłopot w tym, że będę musiał wrócić do skarbnika i prosić o zezwolenie na prowadzenie prac górniczych. Dziś odarł mnie ze skóry, więc jutro będzie chciał dostać mój skalp i zęby.

— Bezwłosy i bezzębny, możesz wprowadzić nową modę — zasugerowała Saffron, a on się roześmiał.

Jak zwykle siedzieli długo po kolacji, rozmawiając bez końca.

W drodze do sypialni Ryder wciąż się podśmiewał z jej ostatniej uwagi. Zdmuchnął lampę i gdy ułożył się do snu, zdał sobie sprawę, że tego dnia ani razu nie pomyślał o Rebecce.

Kiedy weszli do sali audiencyjnej w pałacu, Alice Packer przywołała Saffron zdecydowanym ruchem wachlarza.

— Wybaczysz mi, Ryderze?

— Idź i spełnij swój obowiązek. — Ryder patrzył na nią, gdy szła przez pokój, jak zresztą prawie wszyscy obecni. Wyróżniała ją nie tylko żółta sukienka. Młodość z natury jest piękna. Spozrzegł się, że wlepią w nią oczy, i szybko popatrzył w inną stronę. Miał nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na jego zachowanie.

Towarzystwo składało się z kilku abisyńskich książąt i księżniczek, bo cesarz i inni członkowie rodu Menelika byli bardzo płodni. Nie brakowało również generałów i biskupów, zamożnych kupców i właścicieli ziemskich; stawili się przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, a także kilku podróżników i poszukiwaczy przygód. Na tle egzotycznych, barwnych mundurów i kostiumów suknia Saffron wydawała się skromna i pełna prostoty.

Nagle Ryder uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się szybko i drgnął ze zdziwienia. Kobieta, która kupiła od niego Nieustraszonego Ibis, stała w przeciwległym kącie pokoju, ale nawet z tej odległości nie można było zignorować hipnotyzującego spojrzenia jej egipskich oczu, które patrzyły znad woalu. Gdy tylko przyciągnęła jego uwagę, podjęła rozmowę z podstarzałym generałem, prezentującym się olśniewająco w płaszczu z lamparciej skóry z rzędem medali i wysadzanych klejnotami orderów.

— Oby spłynął na ciebie pokój i błogosławieństwo Allaha, sitt Bachita al-Masur — Ryder podszedł i przywitał ją po arabsku.

— I na ciebie w równej mierze, efendi. — Wdzięcznym ruchem podniosła rękę, czubkami palców dotykając ust, a potem serca.

— Jesteś daleko od domu — zauważył. Oczy miała ciemne, skośne, z uniesionymi zewnętrznymi kącikami, spoglądające w bezpośredni sposób, niezwykle u egipskiej damy nawet najwyższej rangi, a jednak tajemnicze. Wielu mężczyzn nie mogłoby się jej oprzeć, ale nie była w jego guście.

— Przybyłam rzeką. Na pokładzie mojego pięknego nowego parowca podróż od pierwszej katarakty wcale nie trwała długo. — Głos miała cichy i melodyjny.

— Mam nadzieję, że przebiegła bez przeszkód. Czasy są niespokojne, a Ibis jest dobrze znany.

— Już nie nazywa się Ibis, lecz Durchan Sama, Mądrość Nieba. Wygląd statku także uległ zmianie. Moi skutnicy w Asuanie nie szczydzili pracy. Co do przeszkód, opłaciłam się sługom bożym w Omdurmanie, kiedy mijałam to morowe, acz święte miasto.

— Gdzie cumuje? — zapytał Ryder z niecierpliwością.

Bachita popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

— W Roseires. — Ten mały port, ostatni na Nilu Błękitnym, leżał w Sudanie, ale niespełna pięćdziesiąt mil od abisyńskiej granicy.

Ryder nie krył zadowolenia.

— Czy Jock McCrump w dalszym ciągu jest mechanikiem?

Bachita uśmiechnęła się.

— Jest również kapitanem. Myślę, że trudno byłoby usunąć go z koi.

Ryder okazał jeszcze większą radość. Dobrze będzie mieć Jocka na pokładzie, jeśli użyją parowca w czasie ucieczki.

— Wydaje się pan zainteresowany swoim byłym statkiem. Mam rację, czy może się mylę?

Ryder natychmiast stał się czujny. O tej kobiecie wiedział tylko tyle, że jest zamożna i ma duże wpływy w wielu krajach. Podobno, choć była muzułmanką, sprzyjała interesom brytyjskim na Wschodzie, sprzeciwiając się francuskim i niemieckim. Chodziły nawet słuchy, że była agentką sir Evelyną Baringa. Jeśli to prawda, nie popierała dżihadu derwiszów w Omdurmanie, ale Ryder uznał, że lepiej jej nie ufać.

— W istocie, sitti Bachita, chciałbym wyczarterować parowiec na krótki czas, lecz nie jestem pewien, czy przystaniesz na tę propozycję.

Ściszone głosem odparła: — Generał ras Mengetti mówi tylko po amharsku. Mimo wszystko nie powinniśmy kontynuować tej rozmowy w publicznym miejscu. Wiem, gdzie leży pański kompleks. Czy mogę tam pana odwiedzić, powiedzmy jutro, godzinę przed południem?

— Będę do pani dyspozycji.

— Mam do omówienia sprawę, która interesuje nas oboje.

Ryder uklonił się i odszedł.

Saffron, która dotąd towarzyszyła Alice, natychmiast do niego podeszła.

— Kim jest ta tłusta Arabka? — zapytała cierpko. — Robiła do ciebie wielkie krowie oczy.

— Może nam pomóc w połączeniu się z rodziną i przyjaciółmi. Po chwili namysłu Saffron pokiwała głową.

— W takim razie wybaczam jej.

Ryder nie był pewien, czym zgrzeszyła Bachita, ale fanfary uchroniły go od popełnienia błędu, jakim byłoby drażnienie tematu. Trąbki zapowiedziały wejście cesarza i jego małżonki.

Późnym wieczorem, kiedy wrócili do kompleksu, Saffron przyniosła Ryderowi pantofle i naalała mu szklaneczkę whisky. Odpięła z klapy marynarki Gwiazdę Salomona i obejrzała ją w świetle lampy.

— Jestem pewna, że to prawdziwe diamenty.

— Jeśli masz rację, to jesteśmy milionerami — odparł ze śmiechem i zauważył, że przejął jej nawyk używania liczby mnogiej. Uznał, że taka forma konstytuuje istniejącą pomiędzy nimi więź. Po namyśle doszedł do wniosku, że być może stosowanie jej nie jest zbyt mądre. W przyszłości będzie bardziej powściągliwy, obiecał sobie.

Nazajutrz Bachita przybyła do kompleksu w zamkniętym powozie, zaprzężonym w cztery muły. Ryder poznał powóz i stangreta; wyglądało na to, że cesarz oddał jej swój zaprzęg do dyspozycji.

Był to kolejny, choć już niekonieczny dowód wpływow i znaczenia Bachity al-Masur. Niedaleko za powozem jechało sześciu gwardzistów. Zostali na dziedzińcu, gdy Ryder wprowadził gościa do głównego pokoju.

Saffron podała kawę i miodowe ciasteczka, a gdy przeprosiła i odwróciła się do wyjścia, Bachita podniosła rękę.

— Proszę zostać, sitt Benbrook. To, co mam do powiedzenia, przede wszystkim dotyczy ciebie. — Saffron opadła na sofę, a Egipcjanka podjęła: — Przybyłam do Entoto głównie w celu spotkania z tobą i panem Courtneyem. Sprawy wielkiej wagi wiążą nas wszystkich z Omdurmanem. Mój przyjaciel, któremu winna jestem bezgraniczną lojalność, i bliscy członkowie twojej rodziny przebywają w niewoli u derwiszów. Jestem pewna, że podobnie jak ja chcecie doprowadzić do ich uwolnienia. W tym celu pragnę udzielić wam wszelkiej możliwej pomocy i wsparcia. — Ryder i Saffron patrzyli na nią w pełnym zdumienia milczeniu. — Tak, wiem, że twoja starsza siostra i bliźniaczka są w haremie emira Osmana Atalana. Mój przyjaciel jest niewolnikiem tego samego człowieka.

— Czy możemy poznać nazwisko tego przyjaciela? — zapytał Ryder ostrożnie.

Bachita nie odpowiedziała od razu.

— Mój angielski nie jest zbyt dobry, ale uważam, że musimy posługiwać się tym językiem, gdyż w Abisynii rozumie go niewiele osób.

— Pani angielski jest bardzo dobry, sitt Bachita — powiedziała Saffron. Jej tajona niechęć do tej kobiety wyparowała bezpowrotnie.

— Jesteś miła, ale nieszczerą. — Egipcjanka uśmiechnęła się do Saffron, potem zwróciła się do Rydera: — Mogłabym odmówić odpowiedzi na pańskie pytanie, zależy mi jednak, żebyśmy byli z sobą uczciwi. Jestem pewna, że oboje dobrze znacie mojego przyjaciela. To kapitan Penrod Ballantyne z Dziesiątego Pułku Huzarów.

— Jest dzielnym oficerem i dżentelmenem bez skazy — zawołała Saffron. — Spotkaliśmy go w przełomie Atbary nie więcej niż pięć miesięcy temu.

— Och, proszę mi powiedzieć, jak wyglądał!

— Dobrze, choć nie do poznania w stroju i w rynsztunku swoich panów.

— Wiedziałam, że popadł w niewolę, ale słyszałam, że derwisze strasznie go upokarzali i torturowali. Twoje słowa są dla mnie wielką pociechą.

Podczas gdy one rozmawiały o Penrodzie, Ryder zastanawiał się szybko. Baczył powtórzył mu zasłyszaną od Naziry pogłoskę, że Penrod utrzymywał zażyłe stosunki z pewną Egipcjanką. Strapienie Bachity świadczyło, że to właśnie ona jest ową damą. Ryder był zszokowany. Gdyby wydobyć taki romans na światło dzienne, mógł zniszczyć karierę i reputację wysoko odznaczonego oficera ze znakomitego pułku.

— Z twoich słów, sitt Bachita, jasno wynika, że musimy połączyć siły i środki — powiedział Ryder. — Najważniejszą sprawą, która bardzo mnie trapi, jest brak kontaktu z naszymi przyjaciółmi w Omdurmanie.

— Chyba mogę temu zaradzić. — Bachita podeszła do drzwi prowadzących na dziedziniec. Klasnęła w rękę, przywołując jednego z gwardzistów.

— Myślę, że zna pan tego człowieka — powiedziała, gdy zdjął nakrycie głowy i oddał saalam Ryderowi.

— Niech Bóg zawsze cię chroni, efendi.

— Jakub! — Ryder był szczerze zdziwiony. — Słyszałem o tobie złe rzeczy. Słyszałem, że zdradziłeś swojego pana, Abadana Ridziego.

— Efendi, prędzej zdradziłbym rodzonego ojca i matkę, i niech Allah wtrąci mnie do piekła, jeśli kłamię — powiedział Jakub. — Mam w życiu jeden cel, wyrwanie mojego pana ze szponów derwiszów, w które trafił za sprawą mego zdradzieckiego wuja. Aby go ocalić, zrobię wszystko... — po chwili wahania uściślił swoją deklarację: — zrobię wszystko, z wyjątkiem zadawania się z tym nikczemnym Baczitem. Jeśli nie będzie innego wyjścia, mogę nawet przez krótki czas znosić jego towarzystwo. Co nie znaczy, że nie zabiję go zaraz potem.

— Skoro mowa o zabijaniu — zaczął Ryder ponuro — Abadan Ridzi jest przekonany, że zdradziłeś go razem z wujem. Zabił twojego wuja i zamierza to samo zrobić z tobą.

— W takim razie muszę iść do niego, aby złożyć w jego ręce moje życie i wierność.

- Przy okazji możesz zanieść mu wiadomość — powiedział Ryder z udawaną powagą. — I wrócić do nas z odpowiedzią.

Ryder i Bachita przez pięć dni opracowywali plan, który miał rzeczywiste szanse powodzenia.

Nazajutrz Jakub samotnie wyruszył do Sudanu.

Osman Atalan był zadowolony z raportu z wyprawy na przełęcz w abisyńskich górach. Z wielką uwagą wysłuchał sugestii Penroda, dotyczących prowadzenia kampanii przeciwko cesarzowi Janowi. Omówili wszystko w wyczerpujących szczegółach w trakcie długiej powrotnej podróży do Omdurmanu.

W mieście Penrod stwierdził, że warunki jego niewoli znacznie się poprawiły. Derwisze zaczęli darzyć go zaufaniem, na czym mu zależało od pierwszego dnia. Postanowił osiągnąć cel poprzez spełnianie wszystkich zachcianek Osmana Atalana i udawanie, że nagiął się do jego woli. Wciąż jednak towarzyszyli mu agadżerowie z przybocznej straży kalifa. Przez kilka pierwszych miesięcy po powrocie do Omdurmanu Osman dużo czasu spędzał z kalifem Abdallahim. Al-Nur powiedział Penrodowi, że Osman próbował przekonać Abdallahiego, aby pozwolił mu wrócić na pustynne ziemie plemienne, Abdallahi był jednak zbyt przebiegły, żeby wypuszczać spod bezpośredniego nadzoru człowieka o takiej władzy i wpływach. Osmanowi wolno było wyjeżdżać z Omdurmanu na krótkie karne ekspedycje, skierowane przeciwko tym osobom i plemionom, które ściągnęły na siebie niezadowolenie kalifa, albo na wyprawy myśliwskie i polowania z sokołami na pustyni.

Po powrocie do miasta Osman miewał dużo czasu. Pewnego dnia posłał po Penroda.

— Obserwowałem, w jaki sposób posługujesz się bronią. Taka walka jest sprzeczna ze zwyczajem i pozbawiona choćby pozorów wdzięku.

Penrod opuścił oczy, żeby ukryć złość, i z wysiłkiem powstrzymał się od przypomnienia mu pierwszego spotkania pod El Obejd. Wtedy potężny kalif Atalan skontrolował jego fintę, podnosząc tarczę i nie widząc riposty, która omal nie przebiła mu serca.

— Jednakże — podjął Osman — wygląda interesująco.

Penrod popatrzył na niego i dostrzegł błysk szyderstwa w oczach.

— Dostojny kalifie, pochwała wyrzeczona przez mistrza szermierza twojej miary rozgrzewa moją duszę — odpowiedział drwiąco.

— Ćwiczenie z tobą rozbawi mnie, a także pozwoli zademonstrować ci prawdziwe i szlachetne używanie miecza. Zaczniemy jutro po porannych modłach.

Nazajutrz, gdy stanęli naprzeciwko siebie z obnażoną bronią, Osman ustanowił zasady pojedynku: — Będę próbował cię zabić. Ty będziesz próbował zabić mnie. Jeśli mi się uda, zachowam w pogardzie twoje wspomnienie. Jeśli powiedzie się tobie, moi agadżerowie — wskazał piętnastu ludzi, którzy tworzyli krąg wokół nich — natychmiast cię zabiją, ale zostaniesz pochowany z honorami. Zamówiłem specjalną modlitwę, która będzie odmawiana w meczecie ku twojej pamięci. Czyż nie jestem wspaiałomyślnym panem?

— Potężny Atalan jest uczciwy i sprawiedliwy — zgodził się Penrod i zaczęli się fechtować. Dwadzieścia minut później, kiedy przeciwnik spóźnił się z obroną, Penrod drasnął go w ramię.

Osman miał mord w oczach.

— Na dziś wystarczy. Będziemy znowu walczyć za dwa dni.

Fechtowali się co drugi dzień, przez godzinę. Osman nauczył się osłaniać szybko i ripostować jak huzar. Penrod musiał wykorzystywać wszystkie swoje umiejętności, żeby go powstrzymać. Pod koniec ramadanu Osman oznajmił: — Mam dla ciebie prezent.

Miała na imię Lalla. Była przerażonym, zmalretowanym stworzonkiem, dzieckiem wojny, zarazy i głodu. Nie pamiętała swojego ojca ani matki, a w czasie krótkiego życia nikt nie okazał jej życzliwości.

Penrod był dla niej dobry. Zapłacił jednej z nałożnic al-Nura, żeby umyła ją jak przybłąkanego szczeniaka i uczesała zmierzwiłone włosy. Dał jej nowe ubranie, żeby nie musiała nosić łachmanów. Pozwalał dziewczynie gotować posiłki, prać ubrania i zamiatać podłogę w małej celi przy dziedzińcu agadżerów, która była jego mieszkaniem. Pozwalał jej spać przed drzwiami. Traktował ją jak człowieka, nie jak zwierzę.

Lalla po raz pierwszy w życiu mogła się najeść do syta. Głód był jej nieodłącznym towarzyszem, jak tylko sięgała pamięcią. Nie zrobiła się gruba, ale stopniowo nabierała ciała. Czasami słyszał, jak nuci cicho przy ogniu w czasie przyrządzania jedzenia. Ilekroć wracał, zawsze witała go uśmiechem. Raz, kiedy Osmanowi udało się trafić go w rękę, opatrzyła skaleczenie. Rana była powierzchowna i szybko się zagoiła. Penrod powiedział jej, że jest aniołem miłosierdzia, i w nagrodę kupił dla niej na suku tanią srebrną bransoletkę. Uciekła z nią w kąt dziedzińca i płakała ze szczęścia. Dostała pierwszy prezent w życiu.

Tej nocy wsmyknęła się wstydliwie na angareb Penroda, a on nie miał serca jej wyrzucać. Kiedy zapłakała przez sen, nękana koszmarami, pogładził ją po głowie. Zbudziła się i przytuliła do niego. Kochał się z nią bez namietności czy żądzy, po prostu z litości. Następnego dnia wieczorem, gdy szykowała kolację, zapytał ją cicho: — Gdybym poprosił cię o zrobienie czegoś niebezpiecznego i trudnego, zrobiłabyś to, Lalla?

— Panie, zrobię wszystko, co zechcesz.

— Gdybym poprosił cię o włożenie ręki w ogień i przyniesienie mi żagwi, zrobiłabyś to? — Bez wahania wyciągnęła rękę i musiał ją zatrzymać, żeby nie włożyła jej w płomień. — Nie, nie! Chcę, żebyś zaniosiła wiadomość. Znasz Nazirę, którą nazywają Ammi? Pracuje w haremie jako służąca białych nałożnic.

— Znam ją, panie.

— Powiedz jej, że Filfil jest bezpieczna z al-Sachawim w Abisynii. — Filfil, czyli pieprz, było arabskim imieniem Saffron.

Lalla wyczekała odpowiedniej chwili i zaczęła Nazirę przy studni, będącej miejscem spotkań wszystkich kobiet, i powtórzyła wiadomość słowo w słowo. Nazira przekazała ją Rebecce i Amber. Parę dni później znów spotkały się przy studni. Nazira miała wiadomość dla Penroda.

— Jakub jest w Omdurmanie — powtórzyła wiernie Lalla.

Penrod nie krył zdumienia.

— To nie może być ten Jakub, którego znam. Ten łajdak zniknął dawno temu.

— Chcę, żebym się z nim spotkała. Co mam zrobić?

— Gdzie?

— Będę z Nazirą na suku, przy targowisku wielbłądów.

- Czy to dla ciebie bezpieczne? — zapytał Penrod.

Lalla wzruszyła ramionami.

— To nie ma znaczenia. Zrobię, co każesz. Po jej powrocie zapytał: — Jak wygląda ten Jakub?

— Ma dwoje oczu, ale każde patrzy w inną stronę, jedno na wschód, drugie na północ.

— To Jakub, którego znam. — Jak mogłem w niego zwątpić? — zapytał się w duchu.

— Kazał ci powiedzieć, że niezrównany Jakub wciąż jest twoim sługą. Spędził rok i trzy miesiące w egipskim więzieniu, niesprawiedliwie oskarżony o handel niewolnikami. Dopiero po wyjściu na wolność mógł iść do pani z Asuanu. Ona przysłała go z wieściami, które są ważne dla ciebie.

Penrod wiedział, kim jest pani z Asuanu, i wstąpiła w niego otucha. Ostatnio nie myślał o Bachicie, ale wciąż nosił w sercu pamięć o niej, nieustannie. Z nią i Jakubem już nie był sam.

— Dobrze się spisałaś, Lalla. Nikt nie sprawiłby się lepiej — powiedział, a ona pojaśniała.

A zatem miał łączność ze światem zewnętrznym, lecz Lalla była prostym dzieckiem, zapamiętującym nie więcej niż kilka zdań naraz, a spotkania z Nazirą i Jakubem mogły się odbywać co kilka dni, bo Abdallahi i Osman wszędzie mieli szpiegów.

Planowanie ucieczki było procesem długim i skomplikowanym. Jakub dwa razy musiał opuścić Omdurman i odbyć ryzykowną podróż do Abisynii, żeby naradzić się z Ryderem Courtneyem i Bachitą. Ale powoli plan nabierał realnych kształtów.

Próba ucieczki miała zostać podjęta w pierwszy piątek ramadanu, za pięć miesięcy. Uzgodniono, że Jakub będzie czekać z wielbładami na brzegu Nilu, w ruinach Chartumu. Penrod wykradnie się z dziedzińca agadzerów. Nazira wyprowadzi Rebeccę i Amber z haremu do czekającej feluki. Penrod tam się z nimi spotka i razem popłyną na drugą stronę Nilu. Na wielbładach Jakuba popędzą brzegiem Nilu Błękitnego do Laguny Małej Ryby, gdzie Jock McCrump będzie czekać na starym Jbisie. Zabierze ich do Roseires, a tam przesiądą się na konie i uciekną za abisyńską granicę.

— Zabierzesz mnie z sobą, panie? — zapytała Lalla tęsknie.

Do licha, co miałbym z nią zrobić? — zastanowił się Penrod.

Nie była ładna, ale miała sympatyczną małą buźkę i patrzyła na niego z pełnym czci uwielbieniem.

— Zabiorę — obiecał i pomyślał: Może wydam ją za Jakuba.

Będzie miał idealną żonkę.

Cztery tygodnie później, kiedy wreszcie wszystko zostało ustalone, Lalla przyniosła Penrodowi następną wiadomość, która uderzyła go jak salwa ciężkiej artylerii.

— Ammi Nazira mówi, że al-Zahra zobaczyła swój pierwszy księżyc i stała się kobietą. Nazira ukryje to przed wielkim Osmanem Atalanem, ale za miesiąc jej księżyc znowu wzejdzie. Dłużej nie zdoła tego taić. Potężny Atalan już nakazał jej obserwować al-Zahrę i powiadomić go, kiedy pojawi się jej kobieca krew. Oznajmił, że gdy tylko wejdzie w swoje lata, podaruje ją kalifowi Abdallahiemu, który bardzo jej pragnie.

Nawet gdyby miało to narazić ich wszystkich, Penrod nie mógł dopuścić, żeby Amber trafiła do Abdallahiego. Ten los byłby gorszy od rzucenia jej żywcem na pożarcie jakiemuś ohydnyemu potworowi. Należało przyspieszyć realizację planu. Mieli tylko miesiąc na wprowadzenie zmian. Prawie codziennie posyłał wierną Lallę z wiadomościami do Jakuba.

Dwa tygodnie przed nową datą ucieczki kalif Osman Atalan zapowiedział ucztę i rozrywkę dla wszystkich swoich krewnych i większości lojalnych zwolenników. Główny dziedziniec został przybrany palmowymi liśćmi, na rożnach piekły się dwa tuziny tłustych owiec. Niskie stoły, przy których na miękkich poduszkach siedzieli goście, były zastawione misami owoców i słodkich przysmaków. Penrod zajmował znamienite miejsce niedaleko kalifa, między al-Nurem i Mumanem

Digną.

Kiedy wszyscy najedli się do syta, nastroje były ciepłe jak promienie słońca, a śmiech perlił się niczym wody Nilu, Osman wstał, wygłosił krótką powitalną mowę, chwając zebranych za lojalność i obowiązkowość.

— A teraz niech zacznie się rozrywka! — polecił i klasnął w ręce.

Zabrzmiał szybki rytm wybijany palcami na bębenu, a potem pomruk zdziwienia. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę bocznej bramy dziedzińca. Dwaj mężczyźni prowadzili na smyczy jakieś stworzenie. Z początku niepodobna było określić, do jakiego należy gatunku. Poruszało się powoli, z wielkim trudem, zmuszone do okrążenia dziedzińca. Wreszcie wszyscy zrozumieli, że to kobieta. Ręce i nogi miała amputowane na wysokości nadgarstków i kostek. Kikuty zostały zanurzone w gorącej smole, co zahamowało krwawienie. Czołgała się na łokciach i kolanach. Została wychłostana kolczastymi gałęziami i ciernie poprzebijały jej skórę. Okaleczenia były tak potworne, że umilkli nawet najtwardsi agadżerowie. Nieszczęsna istota powoli podpełzła do Penroda. Oprawcy pociągnęli smycz, zmuszając ją do podniesienia głowy.

Penrod, zmartwiały z grozy, patrzył w drobną, małą twarz Lally. Krew z poranionej głowy zebrała się w pustych oczodołach. Wypalili jej oczy gorącym żelazem.

— Lalla — powiedział cicho. — Co oni ci zrobili?

Poznała głos i odwróciła się w jego stronę. Krew wciąż ściekała po policzkach.

— Panie — szepnęła — nic im nie powiedziałam. — Potem upadła twarzą na ziemię i choć szarpali smycz, nie mogli jej podnieść.

— Abadanie Ridzi! — zawołał Osman Atalan. — Mój zaufany agadżerze, słynny fechmistrz, skróć cierpienia tego żałosnego stworzenia.

Na dziedzińcu zapadła martwa cisza. Wszyscy patrzyli na Penroda. Nie rozumieli sytuacji, ale ulegli dramatyzmowi chwili.

— Zabij ją dla mnie, Abadanie Ridzi — powtórzył Osman.

— Lalla! — Głos Penroda drżał z litości.

Usłyszała go i przekręciła głowę, szukając jego twarzy.

— Panie — szepnęła — zrób to ze względu na moją miłość do ciebie. Uwolnij mnie, bo dłużej tego nie znoję.

Penrod wahał się tylko przez chwilę. Podniósł się i wyciągnął miecz z pochwy.

— Zawsze będę cię kochał — powiedział, stając nad nią. Jednym ciosem oddzielił głowę od okaleczonego ciała. Potem nastąpił butem na ostrze i ostro szarpnął rękojeść, łamiąc głównię na dwoje.

— Powiedz mi, Abadanie Ridzi — odezwał się Osman Atalan — czy widzę łzy w twoich oczach? Dlaczego płaczesz jak kobieta?

— W istocie, to łzy, potężny Atalanie. Płaczę nad twoją śmiercią, albowiem będzie straszna.

— Z pomocą tego stworzenia Abadan Ridzi planował ucieczkę z Omdurmanu — wyjaśnił Osman swoim agadżerom. — Przynieść szebbę i założyć mu na szyję.

Szebba, przeznaczona do krępowania i karania krnąbrnych niewolników oraz do zapobiegania ucieczkom, była ciężkim jarzmem w kształcie litery Y, wyciętym z rozwidlonej gałęzi akacji. Więźnia rozbierano do naga, dla większego poniżenia, a potem jego szyję wsuwano w rozwidlenie. Gruby konar znajdował się przed nim. Podnoszono go na wysokość ramienia i skręconymi rzemieniami związywano gałęzie za karkiem. Potem przywiązywano ręce do konara. Tak skrępowany człowiek nie mógł jeść ani podnieść miski wody do ust. Nie mógł się wytrzeć po załatwianiu. Gdyby pozwolił, żeby gruby koniec jarzma opadł, rozwidlenie zgniotłoby mu tchawicę i udusiło go. Żeby

chodzić, najpierw musiał podnieść ciężką gałąź i utrzymać ją w równowadze. Nie mógł leżeć na boku ani na plecach, nie mógł siedzieć. Jeśli chciał odpocząć albo zasnąć, musiał klęczeć, opierając gruby konar o ziemię. W najlepszym wypadku mógł zrobić parę kroków, potem ciężar odchylającej się gałęzi zmuszał go do uklęknięcia.

Uczta trwała, podczas gdy Penrod klęczał na środku dziedzińca. Później zapędzono go na dziedziniec agadżerów. Muman Digna chłostał go jak pociągowe zwierzę. Penrod nie mógł jeść ani pić i wiedział, że nikt mu nie pomoże. Nie mógł zasnąć, bo ból mu nie pozwalał. Szebba była zbyt duża, żeby mógł wejść do swojej celi, więc klęczał na dziedzińcu, a wyznaczeni agadżerowie pilnowali go dzień i noc. Trzeciego dnia stracił czucie w rękach, które spuchły i zsiniały. Choć przesuwał się wzdłuż muru dziedzińca, żeby przebywać w cieniu, promienie odbijały się od bielonych ścian. Nagie ciało zaczerwieniło się i pokryło pęcherzami. Język zmienił się w suchą gąbkę w spieczonych ustach, bo w południe panował wielki żar.

Rankiem czwartego dnia osłabł i stracił rozeznanie, balansując na krawędzi utraty przytomności. Nawet oczy mu wyschły. I nikt nie chciał mu pomóc. Gdy klęczał w kącie dziedzińca, usłyszał głosy sprzeczących się agadżerów. Zastanawiali się, jak długo jeszcze wytrzyma. Potem zapadła cisza. Podniósł spuchnięte powieki. Przez chwilę myślał, że ma halucynacje.

W jego stronę szła Amber. Jak Arabka, niosła duży dzban na głowie. Agadżerowie patrzyli na nią, ale nie próbowali interweniować. Amber zdjęła dzban z głowy i postawiła na ziemi. Potem zanurzyła w nim gąbkę i przyłożyła mu do ust. Nie mógł mówić, ale z wdzięcznością wysssał wodę. Kiedy dała mu tyle, ile mógł wypić, postawiła dzban na głowie i powiedziała cicho: — Przyjdę jutro.

Nazajutrz o tej samej porze Osman Atalan wszedł na dziedziniec i stanął w cieniu krużganka z al-Nurem i Mumanem Digną. Amber zjawiała się niedługo później. Zobaczyła kalifa i stanęła, przytrzymując dzban jedną ręką, smukła i wdzięczna jak gazela, która zaraz rzuci się do ucieczki. Popatrzyła na Osmana, a potem wyzywająco podniosła podbródek i podeszła do klęczącego Penroda. Zanurzyła gąbkę w wodzie i dała mu pić. Osman jej nie powstrzymał. Kiedy skończyła i była gotowa do odejścia, bez poruszania ustami szepnęła: — Jakub przyjdzie po ciebie. Bądź gotowy. — Ruszyła do bramy. Osman patrzył za nią obojętnie.

Amber przyszła następnego dnia. Osmana nie było i wydawało się, że większość agadżerów straciła zainteresowanie więźniem. Dała mu wody, potem nakarmiła jak małe dziecko, łyżeczką podając asida i kleik z durry i wycierając resztki z jego brody. Inną gąbką zmyła nieczystości z tyłu jego nóg i pośladków.

— Wolałbym, żebyś tego nie robiła — powiedział.

Obrzuciła go szczególnym spojrzeniem.

— Wciąż nie rozumiesz, prawda? — odparła. Był zbyt speszony i słaby, żeby dociekać, o co jej chodzi. Prawie jednym tchem dodała: — Jakub przyjdzie po ciebie dziś w nocy.

Zapadła noc. Penrod klęczał w kącie dziedzińca. Pilnował go agadżer Kabel al-Din. Siedział w pobliżu, oparty plecami o ścianę, z mieczem w pochwie na kolanach.

Penrod odczuwał tak bolesne skurcze w mięśniach ramion, że musiał zagryzać wargi, aby powstrzymać się od krzyku. Krew miała gorzki, metaliczny smak. Wreszcie zmorzył go mroczny, odrętwiający sen. Ocknął się na dźwięk cichego kobiecego śmiechu. Brzmiał jakby znajomo. Potem usłyszał sprośne słowa: — Wielkość twojego przyrodzenia przeraża mnie, ale jestem dzielna i jakoś to zniosę.

Penrod z niedowierzaniem rozpoznał głos Naziry. Co ona tutaj robi? — zastanowił się. Otworzył oczy i zobaczył ją w księżycowej poświacie. Leżała na plecach ze spódnicą podciągniętą pod pachy.

Kabel al-Din klęczał pomiędzy jej rozsuniętymi udami, gotów jej dosiąść, nieświadom tego, co dzieje się dokoła.

Jakub przelazł przez mur cicho jak ćma. Gdy Kabel al-Din zgarbił się nad Nazirą, wbił mu sztylet w kark. Z wprawą wynikającą z długiej praktyki bezbłędnie trafił między trzeci i czwarty krąg i przeciął kręgosłup. Al-Din zesztyniał, potem bez jednego jęku upadł na Nazirę. Wygramoliła się spod bezwładnego ciała i podniosła się z ziemi, obciągając spódnicę. Podeszła do Jakuba, który pochylał się nad Penrodem, brudnym od krwi sztyletem tnąc sznury krępujące ręce. Penrod z trudem powstrzymał się od wrzasku, gdy krew zaczęła krążyć w skurczonych tętnicach i żyłach. Podczas gdy Nazira podtrzymywała konar, żeby nie zgniół mu krtani, Jakub przeciął rzemienie z tyłu szyi. Wspólnymi siłami zdjęli jarzmo.

— Pij. — Nazira przyłożyła Penrodowi do ust niedużą flaszkę. — To uśmierzy ból. — Penrod wypił zawartość trzema łykami, rozpoznając gorzki smak laudanum. Pomogli mu wstać i na wpół zanieśli pod mur, gdzie Jakub zostawił linę. Tam Nazira podparła Penroda, a Jakub przeciągnął mu pod pachami pętlę zawiązaną na końcu sznura, następnie wspiął się na mur, usiadł okrakiem na szczycie i pociągnął linę. Nazira podniosła Penroda i wspólnymi siłami przerzucili go na drugą stronę, gdzie upadł bezwładnie.

Nazira odeszła cicho w kierunku haremu. Jakub zeskoczył z muru i pomógł Penrodowi stanąć na zdrętwiałych nogach.

Z początku ich marsz ku rzece był dręcząco powolny, ale wreszcie laudanum zaczęło działać i Penrod odepchnął ręce Jakuba.

— W przyszłości nie zwlekaj tak długo, opieszają Jakubie — wymamrotał, a Jakub zaśmiał się z żartu. Penrod ruszył chwiejnym truchtem w stronę rzeki, gdzie, jak wiedział, czekała feluka, żeby przewieźć ich na drugi brzeg.

Jako faworyta Osmana Atalana Rebecca miała własną kwaterę, którą dzieliła z Amber. Obie czekały przy małym oknie, przez które widziały błyski srebrnej poświaty na szerokiej rzece. Rebecca przygasiła lampę, więc ledwo widziały jedna drugą. Amber ubrana w lekką wełnianą suknię i sandały, gotowa do podróży, drżała z podniecenia.

— Prawie już pora. Przygotuj się, Becky — poprosiła. — Nazira przyjdzie po nas lada chwila.

— Posłuchaj mnie, moja kochana Amber. — Rebecca położyła ręce na ramionach siostry. — Musisz być teraz dzielna. Nie pójdę z tobą. Uciekniesz sama z Penrodem Ballantyne'em.

Amber stężała jak kamień i spojrzała jej w oczy, ale w mroku nie mogła nic z nich wyczytać.

— Nie rozumiem — powiedziała drżącym głosem.

— Nie mogę iść z tobą. Muszę tu zostać.

— Ale dlaczego, Becky? Dlaczego, dlaczego?

W odpowiedzi Rebecca złapała jej ręce i wsunęła je pod swoją suknię. Położyła dłonie na nagim brzuchu.

— Czujesz?

— Trochę tłuszczu. Przecież to cię nie może zatrzymać. Musisz iść.

— We mnie jest dziecko, Amber.

— Nie wierzę. Niemożliwe. Wciąż cię kocham i potrzebuję.

— To dziecko — zapewniła Rebecca. — Bękart Osmana Atalana. Wiesz, co oznacza to słowo, Amber?

— Tak. — Amber nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

— Wiesz, co się stanie, jeśli wrócę do Anglii z arabskim bękartem w brzuchu?

— Tak. — Głos Amber był ledwo słyszalny. — Ale akuszerki mogą temu zaradzić, prawda?

— Chciałabyś zabić moje dziecko? — zapytała Rebecca. — Czy zabiłabyś swoje dziecko, kochanie? — Amber pokręciła głową. — W takim razie nie prosz, żebym ja to zrobiła.

— Zostanę z tobą.

— Widziałaś opłakany stan Penroda. — Rebecca wiedziała, że to najcięższy argument. — Uratowałaś mu życie. Karmiłaś go i poiłaś, kiedy umierał. Jeśli opuścisz go teraz, nie przeżyje. Musisz spełnić swój obowiązek.

— A co będzie z tobą? — Amber była okrutnie rozdarta.

— Będę bezpieczna, wierz mi. — Rebecca przytuliła ją mocno. Ton jej głosu stał się stanowczy i energiczny: — Zabierzesz to z sobą. To dziennik taty, który uzupełniałam. Gdy już będziesz w Anglii, zanieś go do jego prawnika. Nazywa się Sebastian Hardy. Na pierwszej stronie zapisałam nazwisko i adres. On będzie wiedział, co z tym zrobić. — Podała jej książkę w torbie z palmowych liści. Pakunek był ciężki i duży, ale Rebecca splotła rączkę ze sznurka, żeby łatwiej było go nieść.

— Nie chcę cię zostawiać — wybuchła Amber.

— Wiem, kochanie. Obowiązki bywają trudne. Ale musisz to zrobić.

— Zawsze będę cię kochać, zawsze.

— Wiem, a ja będę kochać cię równie mocno i równie długo. — Przytulały się, dopóki Nazira nie podeszła do nich cicho.

— Chodź, Zahra. Pora iść. Jakub i Abadan Ridzi czekają na ciebie na brzegu rzeki.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Siostry objęły się ostatni raz, potem Nazira złapała Amber za rękę i zabrała ją razem z torbą, która zawierała jej dziedzictwo. Dopiero w samotności Rebecca pozwoliła sobie na uzewnętrznienie rozpacz. Rzuciła się na angareb pod oknem i płakała. Szloch wstrząsał jej ciałem, płynąc z głębi serca.

Siła żalu coś w niej zbudziła i po raz pierwszy poczuła kopnięcie dziecka. Przestraszyło ją to, a potem przepełniło gorzką radością. Zaciśnęła ręce na brzuchu i szepnęła: — Teraz jesteś wszystkim, co mi pozostało. — Ukołysała siebie i dziecko do snu.

Feluka kotwiczyła blisko błotnistej pasa plaży pod starym meczetem. Poobijana i wysłużona łódź cuchnęła rzeczonym mułem i starymi rybami. Właściciel miał nadzieję, że kupi nową za zapłatę, jaką obiecano mu za przepłynięcie na chartumski brzeg. Wysokość sumy ostrzegła go, że podejmuje wielkie ryzyko, dlatego podenerwowany i niespokojny czekał na pasażerów.

Laudanum sprawiło, że Penrod Ballantyne miał otępiłą głowę, ale przynajmniej nie bolały go ręce i nogi. Razem z Jakubem położyli się na dnie łodzi, niewidoczni w razie pobieżnej kontroli. Jakub szeptem mówił coś, co chyba uważał za nadzwyczaj ważne. Umysł Penroda szybował na skrzydłach opium i słowa nie miały dla niego sensu.

Potem mgliście zdał sobie sprawę, że ktoś brnie przez wodę do łodzi. Podniósł się na łokciu i półprzytomnie spojrział nad burtą. Nazira stała na plaży, a Amber Benbrook z wielką torbą na głowie szła w stronę feluki.

— Gdzie Rebecca? — zapytał i zamrugał, aby mieć pewność, że wzrok go nie myli.

Amber wspięła się do feluki, a wtedy Nazira odwróciła się i uciekła.

— Dokąd poszła Nazira? — zastanowił się mętnie.

Amber rzuciła torbę na pokład i pochyliła się nad nim.

— Penrod! Dzięki Bogu! Jak się czujesz? Pokaż mi ręce. Mam maść na siniaki.

— Zaczekaj, aż będziemy na drugim brzegu — zaoponował. — Dokąd idzie Nazira? Gdzie jest Rebecca? — Nie doczekał się odpowiedzi ani od Amber, ani od Jakuba. Jakub wydał krótki rozkaz właścicielowi łodzi i pomógł mu podnieść łaciński żagiel. Wypełnił się nocnym wiatrem i popłynęli.

Feluka szła ostrzej do wiatru, niż mógł sugerować jej wiek, i bryzgi z fali dziobowej zalewały

pasażerów. Dojechała do chartumskiego brzegu z taką siłą, że niemal straciła przegniły kil. Amber i Jakub pomogli Penrodowi wysiąść, a potem Jakub chwycił go mocno, żeby nie stracił równowagi, i razem pospieszyli przez wyludnione ulice zrujnowanego miasta. Nie spotkali żywego ducha w drodze do kompleksu Rydera Courtneya. Tam czekał na nich beduiński chłopak z wielbłędami. Gdy tylko podał postronki Jakubowi, rozpląnął się w mroku.

Wierzchowe wielbłądy były osiodłane i gotowe do drogi. Wsiadli na nie natychmiast. Jakub musiał pomóc Penrodowi, który niemal został wysadzony z siodła, gdy zwierzę poderwało się na nogi. Jakub złapał postronek jego wielbłąda i przez błoto w prawie wyschniętym kanale poprowadził małą karawanę na pustynię. Tam popędził wielbłądy i ruszyli równolegle do płynącej z lewa rzeki. Nie ujechali mili, a Penrod stracił równowagę i zsunął się z siodła. Ciężko spadł na ziemię i przez chwilę leżał jak martwy. Zsiadli i pomogli mu wsiąść z powrotem.

— Będę go trzymać — powiedziała Amber. Usiadła za Penrodem i objęła go w pasie. Jechali przez cztery godziny bez przerwy, aż w pierwszym świetle dnia ujrzeli spowitą mgłą lagunę. Na otwartej wodzie nie dostrzegli znaku parowca.

Jakub zatrzymał wielbłąda na skraju trzciny i stanął na siodle. Wysokim głosem, który niósł się na milę, wyśpiewał: — W imię Boga, czy słyszy mnie jakiś człowiek lub dzinn?

Prawie natychmiast w pobliżu odezwał się dzinn. Odpowiedział ze szkockim akcentem: — Jasne! Słyszę. — Jock McCrump zakamuflował parowiec naciętą trzcina tak dobrze, że był prawie niewidoczny z brzegu laguny. Gdy tylko bezpiecznie wsiadli na pokład, wyprowadził dawnego Ibisa, a obecną Mądrość Nieba na otwartą wodę i skręcił na wschód, ku Roseires, portowi leżącemu prawie dwieście mil w górę rzeki. Potem zszedł do kabiny, gdzie na koi leżał Penrod. Amber smarowała mu pęcherze i siniaki maścią, którą dostała od Naziry.

— Pewnie się spodziewasz, że zrobię ci filiżankę herbaty — wyburczał Jock ponuro. Zaserwował darjeeling orange pekoe ze skondensowanym mlekiem. Penrod nigdy dotąd nie pił równie boskiego napoju. Zasnął natychmiast po wypiciu trzeciego kubka i zbudził się dopiero sto mil od Chartumu, gdzie nawet najszybsze wielbłądy agadżerów Osmana Atalana nie mogłyby ich doścignąć.

Kiedy otworzył oczy, Amber wciąż siedziała na koi. Pochłonięta lekturą opasłego dziennika, przez jakiś czas nie zauważyła, że już nie śpi. Penrod przypatrywał się jej twarzy, gdy przemykały po niej emocje wzbudzone przez zapiski ojca. Uznał, że jest najpiękniejszą z siostr Benbrook.

Nagle spojrzała na niego, uśmiechnęła się i zamknęła dziennik.

— Jak się czujesz? Przez dziesięć godzin spałeś jak zabity.

— Znacznie lepiej, dzięki tobie i Jakubowi. — Po chwili zapytał: — Rebecca?

Uśmiech Amber przygasł.

— Została w Omdurmanie. Sama tak postanowiła.

— Dlaczego?

Powiedziała mu. Milczeli przez dłuższy czas.

— Gdybym miał jasną głowę, wróciłbym po nią i zabrał z haremu — oznajmił Penrod.

— Postąpiła właściwie — rzekła Amber cicho. — Rebecca zawsze postępuje właściwie.

Poświęciła się dla mnie z miłości. Nigdy o tym nie zapomnę.

W czasie rzecznej podróży Penrod stwierdził, że Amber już nie jest dzieckiem, ani ciałem, ani umysłem. Stała się odważną, dojrzałą młodą kobietą, z charakterem ukształtowanym w kuźni cierpienia.

W Roseires dosiedli mułów i ruszyli przez podnóże gór abisyńskich, w przygotowanych stacjach zmieniając wierzchowce. Po jedenastu dniach forsownej jazdy dotarli do Entoto. Gdy wjechali do

kompleksu Rydera Courtneya, Saffron wybiegła na powitanie bliźniaczki. Amber zeskoczyła z muła i rzuciły się sobie w ramiona, zbyt wzruszone, żeby powiedzieć choćby słowo. Ryder patrzył na nie z werandy z łagodnym uśmiechem.

Kiedy odzyskały mowę, ledwo starczało im czasu na zaczerpnięcie oddechu. Całą noc spędziły w pracowni Saffron na rozmowie. Spacerowały po sukach i uliczkach Entoto, rozmawiając bez chwili przerwy. Pojechały w góry i wróciły z naręczami kwiatów, nie przestając rozmawiać. Czytały na głos dziennik ojca z dodatkami Rebecki i przytulały się, płacząc za ojcem i starszą siostrą, których utraciły na zawsze.

Amber przejrzała teczkę szkiców Saffron. Oznajmiła, że są cudownie wierne i oddziałują na wyobraźnię, a potem zasugerowała kilka drobnych zmian i poprawek, które Saffron, chcąc sprawić jej przyjemność, natychmiast wprowadziła. Saffron zaprojektowała dla Amber nowe ubrania i zabrała ją na herbatkę do pani Alice Packer, a także do cesarzowej Miriam. Cesarzowa uznała nowy strój Amber za zachwycająco stylowy i poprosiła Saffron o zaprojektowanie sukni dla niej na najbliższą oficjalną kolację.

Amber podjęła prowadzenie dziennika Davida Benbrooka od miejsca, w którym skończyła Rebecca. Opisała ucieczkę z Omdurmanu i podróż w górę Nilu Błękitnego do abisyńskiej granicy. W trakcie pracy stwierdziła, że w naturalny sposób doskonale sobie radzi ze słowem pisanym.

Tylko Ryder nie był bezbrzeżnie zachwycony przybyciem Amber do Entoto. Przyzwyczaił się, że może liczyć na niepodzielną uwagę Saffron. Teraz, gdy zajęła się bliźniaczką, z niejakim wstrząsem uświadomił sobie, że bardzo brakuje mu jej zainteresowania.

Penrod szybko wylizał się z ran zadanych przez słońce i jarzmo. Ćwiczył rękę, fechtując się z Jakubem, a nogi zaprawiał w czasie długich, samotnych spacerów po górach. Powinien zameldować o swoich poczynaniach i miejscu pobytu zwierzchnikom w Kairze, co było jego podstawowym obowiązkiem, ale linia telegraficzna biegła tylko do Dżibuti nad Zatoką Adeńską. Napisał listy do sir Evelyn Baringa i Viscounta Wolseleya, a także do starszego brata w Anglii. Brytyjski ambasador wysłał je z pocztą dyplomatyczną, lecz wszyscy wiedzieli, że odpowiedź napłynie po bardzo długim czasie.

Ryder Courtney dał mu zapieczętowaną kopertę bez żadnego napisu. Penrod zważył ją w dłoni i zrozumiał, że zawiera coś więcej niż papier.

— Od kogo? — zapytał.

- Niestety przysiągłem milczenie - - odparł Ryder - ale jestem pewien, że odpowiedź jest w środku. Nie pytaj o nic więcej bo nie wolno mi mówić o tej sprawie. Penrod zabrał kopertę do sypialni, którą Ryder dla niego urządził i zaryglował drzwi. Gdy otworzył kopertę, wysunął się z niej ciężki przedmiot. Pochwycił go, zanim spadł na podłogę. Leżał na jego dłoni, lśniący złotem i piękny, nietknięty zębem czasu pomimo upływu stuleci. Na awersie widniał portret Kleopatry Thei, a na rewersie głowa Marka Antoniusza. W kopercie był także arkusz pergaminu z jedną linijką arabskiego pisma. "Kiedy mój pan będzie mnie potrzebował, wie, gdzie mnie znaleźć". Moneta była jej podpisem.

- Bachita! - Potarł kciukiem portret królowej. Skąd ona się wzięła w tym całym projekcie? Potem przypomniał sobie, że Jakub mówił coś do niego w noc ucieczki z Omdurmanu, gdy był oszołomiony laudanum.

Nazajutrz pojechał z Jakubem w góry, gdzie mogli być sami. Jakub zdał mu szczegółową relację ze swoich poczynąń. Powiedział, że gdy jego pan został pojmany przez Osmana Atalana, wyprawił się do Asuanu, żeby prosić o pomoc jedyną osobę, która mogłaby i chciała jej udzielić. Został aresztowany na egipskiej granicy, gdy podróżował z handlarzem niewolników, i ponad rok

przesiedział w więzieniu, zanim mógł wyruszyć do Asuanu.

- Wreszcie znalazłem Bachitę al-Masur, która bezzwłocznie przyjechała ze mną do Entoto i wraz z al-Sachawim zorganizowała waszą ucieczkę.

Penrod zastanowił się, czy pomimo zastrzeżeń Rydera Courtneya nie wypytać go o rolę Bachity, ale w końcu powstrzymał się od tego. Oboje z Bachitą zawsze dbali o dyskrecję, utrzymując swój związek w najgłębszej tajemnicy. Był nawet zdumiony, że Jakub o nim wiedział. Swoją drogą, wyczyny nieustraszonego Jakuba już nie powinny mnie dziwić, pomyślał z uśmiechem. Zastanowił się, czy nie napisać do Bachity, lecz to byłoby równie niemądre jak wypytywanie Rydera. Nawet gdyby list wędrował kanałami dyplomatycznymi, nie wiadomo, czy personel nie siedział w kieszeni wszędobyłskiego Evelyn Baringa. Poza tym wolał nie kontaktować się z Bachitą z jeszcze jednego powodu, trochę niejasnego, ale mającego wyraźny związek z Amber Benbrook. Nie chciał robić niczego, co mogłoby wyrządzić krzywdę temu dziecku.

Dziecku? Zakwestionował dobór słowa, gdy patrzył, jak idzie przez dziedziniec, pogrążona w rozmowie z siostrą bliźniaczką. Oszukujesz się, Penrodzie Ballantynie.

Minęło pięć miesięcy, zanim otrzymał odpowiedź na list do starszego brata, sir Petera Ballantyne'a, mieszkającego w rodzinnym majątku w Scottish Borders. Sir Peter zgodził się gościć siostry Benbrook w Clercastle, dopóki ich przyszłość nie zostanie rozstrzygnięta. Penrod miał popłynąć z Amber i Saffron do Anglii i opiekować się nimi w czasie drogi do Clercastle. Po przybyciu na miejsce odpowiedzialność miała przejąć Jane, żona sir Petera.

Penrod udał się do ambasady brytyjskiej i wysłał depeszę do biura linii Peninsular & Orient Steamship w Dżibuti. Zarezerwował miejsca dla siebie i bliźniaczek na pokładzie S/s Singapore, który za sześć tygodni wypływał w rejs przez Suez i Aleksandrię do Southampton. Kiedy Amber dowiedziała się, że pojedzie do domu w towarzystwie Penroda Ballantyne'a, a potem zamieszka u jego rodziny w Clercastle, nie wyraziła sprzeciwu. Wręcz odwrotnie, wydawała się zachwycona takim rozwiązaniem.

Z drugą bliźniaczką poszło znacznie gorzej. Długie i trudne rozmowy Saffron kończyła stanowczym oświadczeniem, że nie widzi powodu, aby wracać do Anglii, „gdzie przez cały czas pada i gdzie z pewnością zejdem na obustronne zapalenie płuc w dniu przybycia”. Problem wymagał interwencji Alice Packer.

— Moja droga, masz tylko czternaście lat.

— Za miesiąc będę miała piętnaście — poprawiła Saffron posępnie.

— Twoja edukacja została nieco zaniedbana — kontynuowała niewzruszenie Alice. — Jestem pewna, że sir Peter zapewni wam guwernantkę.

— Nie potrzebna mi geografia i matematyka — oświadczyła Saffron z uporem. — Wiem wszystko o Afryce i umiem malować.

— Ach! — zawołała Alice. — Sir John Millais jest moim serdecznym przyjacielem. Chciałabyś studiować pod jego kierunkiem? Z pewnością zdołam to zaaranżować.

Saffron zawahała się: Millais był założycielem Bractwa Prerafaelitów, najslawniejszym malarzem swoich czasów. David Benbrook miał w swoim gabinecie w Chartumie album z jego obrazami. Saffron marzyła nad nimi godzinami.

Alice zagrała kartą atutową.

— Oczywiście, gdy tylko skończysz szesnaście lat, będziesz mogła odwiedzać mnie w Entoto, kiedy tylko i jak często zechcesz.

Zbliżał się dzień wyjazdu do Dżibuti. Saffron mniej czasu spędzała z bliźniaczką, a więcej z Baczitem, pomagając mu zajmować się Ryderem. Courtney zgodził się pozować wieczorami do

ostatniego portretu. Odkąd przyszłość bliźniaczek została ustalona, trochę sposepniał, ale codzienne sesje poprawiały mu humor. Saffron była wesołą dziewczyną i umiała go rozbawić.

Dwa dni przed wyjazdem Penroda i bliźniaczek z Entoto do Dżibuti Ryder ogłosił, że dołączy do ich małej karawany, gdyż spodziewa się dostawy towarów handlowych z Kalkuty na pokładzie S/s Singapore. W czasie podróży w dół wybrzeża Ryder i Saffron często jechali ramię w ramię na końcu kawalkady. Im bardziej zbliżali się do Dżibuti, tym poważniejsze stawały się ich miny. Dzień przed tym, nim ujrzeni miasto i port, doszło między nimi do wielkiej awantury. Saffron zostawiła Rydera i pogalopowała na czoło kolumny, do Amber.

Wieczorem, jak mieli w zwyczaju, we czwórkę jedli kolację przy ogniu. Kiedy Ryder powiedział coś uprzejmego, Saffron zrobiła nadąsaną minkę i umyślnie postawiła krzesło tak, żeby siedzieć plecami do niego. Nie życzyła mu dobrej nocy, kiedy razem z Amber udały się do namiotu.

Nazajutrz zobaczyli port Dżibuti. Singapore kotwiczył na redzie otoczony przez lichtugi, które przewoziły ładunek. Ryder zabrał Baczita, żeby urządzić obóz na przedmieściach, a Penrod pojechał z bliźniaczkami do biura towarzystwa żeglugowego, by uiścić należność i odebrać bilety na rejs do Southampton. Urzędnik zapewnił ich, że Singapore wypłynie jutro w południe, zgodnie z rozkładem. Penrodowi udało się kupić od intendenta butelkę whisky Glenlivet. Razem z Ryderem rozprawił się z nią szybko, gdy bliźniaczki poszły spać niedługo po zapadnięciu zmroku.

Wskutek wieczornej konsumpcji alkoholu mężczyźni wstali późno. Na redzie Singapore już podnosił ciśnienie w kotłach, przygotowując się do wyjścia w morze za trzy godziny Penrod zawiózł bagaże na nabrzeże i wyekspediował na pokład, a potem wrócił po siostry. W obozie panował chaos.

— Odeszła! — lamentował Baczit, załamując tłuste ręce. — Filfil odeszła!

— Co to znaczy, Baczit? Dokąd?

— Nie wiemy, efendi. W nocy zabrała muła i odjechała. Al--Sachawi popędził za nią, ale Filfil ma jakieś sześć godzin przewagi. Nie dogoni jej przed zmrokiem.

— Do tej pory Singapore odpłynie — warknął Penrod i poszedł porozmawiać z Amber.

— Zasnęłam zaraz po tym, jak położyłyśmy się do łóżka. Kiedy się zbudziłam, było już widno.

Saffy zniknęła, tak po prostu, bez słowa pożegnania.

Penrod przyglądał się jej twarzy, sprawdzając, czy mówi prawdę. Był pewien, że słyszał poszeptywanie, gdy w nocy mijał namiot sióstr w drodze do swojego. Wiedział, że wtedy już minęła północ, bo nakręcał zegarek przed zdmuchnięciem lampy.

— Musimy wsiąść na statek. Nie możemy się spóźnić. Następny rejs będzie za wiele miesięcy. Spróbuję przekonać kapitana, żeby zaczekał do czasu odnalezienia Saffron — powiedział, a Amber z anielską miną przyznała mu rację.

Stali razem przy relingu na pokładzie Singapore. Penrod przez pożyczoną lornetkę patrzył, jak ostatnia łódź z brzegu zbliża się do burty.

— Do wszystkich diabłów! — mruknął wściekle. — Nie ma jej!

Gdy opuścił lornetkę, trzeci oficer zbiegł po drabince z mostka i podszedł do nich.

— Kapitanie Ballantyne, kapitan przekazuje wyrazy współczucia, ale nie może dłużej czekać na przybycie panny Benbrook. Jeśli to zrobi, straci rezerwację na rejs przez Kanał Sueski. — Ryk syreny okrętowej zagłuszył resztę przeprosin. Zagrzechotał kabestan na dziobie i kotwica oderwała się od dna.

— Panno Amber Benbrook — zaczął Penrod ponuro — chyba nadszedł czas na powiedzenie prawdy. Jaką grę prowadzi pani siostra?

— Myślałam, że to oczywiste, kapitanie Ballantyne, dla wszystkich, z wyjątkiem ślepców i imbecyli.

— Mimo wszystko będę wdzięczny za wyjaśnienie.

— Moja siostra jest zakochana w panu Ryderze Courtneyu. Nie miała najmniejszego zamiaru go opuszczać. Obawiam się, że w czasie tej podróży nie będziemy cieszyć się jej towarzystwem. Będziesz musiał zadowolić się moim.

Ta perspektywa nie wydaje mi się zbyt przygnębiająca, pomyślał, choć starał się nie okazać zadowolenia.

Tropy muła prowadziły głównym szlakiem prosto ku abisyńskiej granicy. Choć zostały trochę zatarte przez innych podróżnych, podążanie w ślad za nimi nie było trudne. Saffron nie próbowała ich zamaskować ani zmylić pościgu. Wkrótce Ryder zrozumiał, że ją dopędza, ale południe dawno minęło, kiedy wreszcie dostrzegł w dali jej muła. Przynaglił wierzchowca do galopu. Gdy znalazł się w zasięgu głosu, krzyknął ze złością. Zatrzymała się i odwróciła. Wtedy zobaczył, że to nie ona, tylko jeden z obozowych służących: ograniczony umysłowo chłopak, którego jedyny obowiązek polegał na rąbaniu drewna na opał. Wszystkie bardziej skomplikowane zadania przerastały jego możliwości.

— Na Boga, Solomon, co ty wyprawiasz? Dokąd, u licha, jedziesz na mule Filfil?

— Filfil dała mi denara, żebym wrócił do Entoto i zabrał pudełko, którego zapomniała — oznajmił z przejęciem, dumny z powierzonej misji.

— Gdzie jest Filfil?

— Nie wiem, efendi. — Solomon dłubał w nosie, zakłopotany trudnym pytaniem. — Nie ma jej w Dżibuti?

Kiedy Ryder znowu ujrzał port, kotwiczowisko Singapore było puste, a na horyzoncie widniała ciemna smużka, dym z kominów statku. Wpadł do obozu jak burza i wrzasnął do Baczita: — Gdzie jest Filfil? — Baczit milczał, ale przewrócił oczami, wskazując jej namiot.

Ryder odchylił klapę i wszedł do środka.

— Tu jesteś, ladaco.

Saffron siedziała ze skrzyżowanymi nogami na obozowej pryczy. Była boso, a na głowie miała swój najbardziej ekstrawagancki kapelusz. Wyglądała na ogromnie zadowoloną z siebie.

— Co masz do powiedzenia?

— Tylko to, że ty jesteś moim psem, a ja twoją pchłą. Choćbyś nie wiem jak się drapał, nie pozbędziesz się mnie, Ryderze Courtneyu.

Byli w połowie drogi do Entoto, kiedy Ryder otrząsnął się z szoku i uświadomił sobie, że jest szczęśliwy, bo Saffron nie odpłynęła na Singapore.

— Wciąż nie wiem, co powinniśmy teraz zrobić — powiedział. — Zapewne zostanę aresztowany za uprowadzenie dziecka.

Nie mam pojęcia, jaka jest dolna granica wieku, uprawniająca do zawarcia małżeństwa w Abisynii.

— Czternaście lat — odparła Saffron. — Pytałam cesarzową przed wyjazdem z Entoto. Poza tym nikt nie przywiązuje do tego wagi. Sama miała trzynaście, gdy wyszła za cesarza.

— Masz jakieś inne perły informacji? — zapytał cierpko.

— Tak. Cesarzowa obiecała poparcie dla naszego związku, gdybyś chciał mnie poślubić. Co o tym myślisz?

— Wcale o tym nie myślę — zawołał — ale, na Boga, skoro poruszyłaś temat, nie jest to najgorszy pomysł, jaki kiedykolwiek słyszałem! — Poderwał ją z grzbietu muła, przesadził na łęk swojego siodła i pocałował.

Saffron jedną ręką przytrzymała kapelusz, a drugą objęła go za szyję. Oddała pocałunek z o wiele większym zapalem niż finezją. Po chwili odsunęła usta, żeby zaczerpnąć tchu.

— Jesteś cudowny! — wydyszała. — Nie wyobrażasz sobie, jak długo na to czekałam. Wrażenie jest przyjemniejsze, niż sądziłam. Zrobmy to jeszcze raz.

— Wyśmienity pomysł.

Cesarzowa dotrzymała słowa. Z cesarzem u boku siedziała w pierwszej ławce w katedrze w Entoto, promieniejąc podczas ceremonii niczym wschodzące słońce. Ubrana w kreację projektu Saffron Benbrook przypominała duże czekoladowe ciastko z lukrową polewą.

Pani Packer nakłoniła męża, sir Harolda White Packera, kawalera Orderu Świętego Michała i Świętego Jerzego, ambasadora Jej Królewskiej Mości, żeby poprowadził Saffron do ołtarza. Stawił się w galowym mundurze, łącznie z trójganiastym kapeluszem ze złotą lamówką i białymi kogucimi piórami. Zdenerwowany pan młody prezentował się sztywnie w czarnym fraku, z olśniewającą Gwiazdą Orderu Salomona i Judei na piersi. Nabożeństwo odprawiał biskup Abisynii.

Saffron sama zaprojektowała suknię ślubną. Kiedy szła wzdłuż nawy z sir Haroldem, Ryder odetchnął z ulgą. Suknia była dziewiczo biała. Saffron zwykle gustowała w kolorach. Kiedy wyszli z kościoła jako mąż i żona, oddział królewskiej artylerii oddał salut z dziewięciu dział. W gorączce chwili jedna z sędziwych armat została naładowana podwójnym ładunkiem prochu i wybuchła spektakularnie w czasie pierwszego strzału. Na szczęście nikt nie został ranny, a biskup uznał zdarzenie za pomyślny znak. Cesarz dostarczył ogromne ilości ognistego tedżu i mieszkańcy miasta wznosili toasty za zdrowie młodej pary — jedni dopóki mogli ustać na nogach, a inni dopóki nie skończył się trunek.

Ryder zabrał żonę w podróż poślubną w góry na południu Abisynii. Celem wyprawy było schwytanie niali górskiej. Wrócili po kilku miesiącach, nawet w przelocie nie ujrawszy rzadkiego zwierzęcia. Saffron namalowała obraz dla upamiętnienia ekspedycji: w tle na szczycie górskim stało stworzenie bardzo podobne do jednorożca, a na pierwszym planie mężczyzna i kobieta, których tożsamość nie pozostawiała wątpliwości. Kobieta miała ogromny żółty kapelusz przybrany muszelkami i różami. Oboje patrzyli nie na jednorożca, lecz na stojącego pomiędzy nimi wielkiego, cudownego ptaka, ni to strusia, ni pawia. Legenda pod malowidłem głosiła: „Wybrali się na poszukiwanie nieuchwytniej niali, a zamiast tego znaleźli nieuchwytnego ptaka szczęścia”.

Zauroczony Ryder kazał oprawić obraz w ramę z kości słoniowej i powiesić na ścianie nad małżeńskim łóżem.

Podróż przez Morze Czerwone przebiegała spokojnie. Na pokładzie Singapore były tylko cztery kabiny, w tym dwie wolne. Amber i Penrod co wieczór jedli kolację z kapitanem, a potem spacerowali po pokładzie albo tańczyli w takt muzyki granej na skrzypcach przez włoskiego kucharza, który uważał pasażerkę za najpiękniejszą istotę pod słońcem.

W ciągu dnia oboje pracowali w mesie, redagując dziennik Davida Benbrooka. Amber rozwijała niedawno odkryty talent literacki, a Penrod uzupełniał tło militarno-historyczne. Amber zaproponowała, żeby opisał bitwę pod Abu Klea, niewolę u Osmana Atalana i ucieczkę z niewoli u derwiszów. Chciała połączyć jego relację z zapiskami Davida i Rebecki. Im dalej posuwał się projekt, tym większy był ich entuzjazm. Zanim Singapore zakotwiczył w porcie Aleksandrii, poczynili wielkie postępy w poszerzaniu i poprawianiu tekstu. Dziennik zyskał postać niemal gotowej do publikacji inspirująco prawdziwej powieści przygodowej, którą mogli szlifować w czasie dalszej podróży do ojczyzny.

Penrod zszedł na brzeg w Aleksandrii i wynajął konia. Pojechał do odległego o trzydzieści mil Kairu i udał się prosto do przedstawicielstwa brytyjskiego. Sir Evelyn Baring kazał mu czekać tylko dwadzieścia minut, po czym sekretarz wezwał go do gabinetu. Na biurku leżał rozpostarty jak wachlarz trzydziestostronicowy list, który Penrod wysłał z Entoto. Na marginesach widniały liczne

zagadkowe notatki, skreślone czerwonym atramentem. W czasie trwającej prawie dwie godziny rozmowy Baring miał chłodną, enigmatyczną minę. Na koniec wstał, odprawiając Penroda bez słowa komentarza, opinii, krytyki czy aprobaty.

— Pułkownik Samuel Adams ze sztabu w Gizie pragnie z panem pomówić — powiedział, gdy Penrod był już przy drzwiach.

— Pułkownik?

— Awans — odparł Baring. — On panu wszystko wyjaśni.

Sam Adams kulał prawie niedostrzegalnie i już nie używał laski, gdy wyszedł z biurka, żeby serdecznie przywitać się z Penrodem. Wyglądał zdrowo i był opalony, ale w jego wąsach pojawiły się siwe włosy.

— Gratuluję gwiazdek pułkownika, sir. — Penrod zsalutował.

Adams był bez czapki, nie mógł więc oddać salutu, ale chwycił rękę Penroda i uścisnął ją ciepło.

— Cieszę się, że wróciłeś, Ballantyne. Wiele się wydarzyło w czasie twojej nieobecności.

Mamy sporo spraw do omówienia.

Pójdziemy do klubu na lunch?

Zarezerwował stolik w kącie jadalni Klubu Gheziera. Zamówił butelkę kruga, zaczekał, aż kelner w czerwonym fezie i białej galabii napełni kieliszki i przyjmie zamówienie, i dopiero wtedy przeszedł do rzeczy.

— Klęska Chartumu i śmierć tego idioty Gordona miała wiele nieprzyjemnych następstw. Prasa w Anglii zaczęła szukać kozłów ofiarnych i przyczepiła się do sir Charlesa Wilsona, który po zwycięstwie pod Abu Klea zwlekał z odsieczą. Wilson próbował się bronić, zwalając winę na podwładnych. Na nieszczęście między innymi ucierpiałeś ty, Ballantyne. Zostaniesz oskarżony o niesubordynację i dezercję. Po swoim powrocie z niebytu prawie na pewno staniesz przed sądem wojennym. Przepięknie zagrożone karą śmierci, jeśli uznają cię za winnego. Pluton egzekucyjny, wiesz?

Penrod zbladł pod opalenizną i wlepił przestraszone oczy w Adamsa, który podjął spieszenie: — Masz tutaj przyjaciół. Wszyscy wiedzą, ile jesteś wart. Krzyż Wiktorii, brawurowe czyny, heroiczne ucieczki i tak dalej. Ale będziesz musiał złożyć patent oficera huzarów.

— Złożyć patent?! — zawołał Penrod. — Prędkiej dam się rozstrzelać.

— Być może do tego dojdzie. Ale posłuchaj. — Adams położył rękę na jego ramieniu, żeby powstrzymać go od zerwania się od stołu. — Pij szampana i słuchaj. Cholernie dobry rocznik, nawiasem mówiąc. Nie marnuj go. — Penrod uciszył się i Adams mówił dalej: — Po pierwsze, musisz podać mi jakieś dodatkowe informacje. Obecnie Egipt faktycznie należy do nas. Baring nazywa go zawoalowanym protektoratem, ale mamy do czynienia po prostu z kolonią, darujmy więc sobie piękne słowa. W Londynie podjęto decyzję dotyczącą przekształcenia zdeorganizowanej egipskiej hołoty w pierwszorzędną korpusy strzeleckie. Nowym sirdarem został Horatio Herbert Kitchener. Znasz go?

— Niestety nie — odparł Penrod. Sirdar to tytuł głównodowodzącego armii egipskiej.

— Skrzyżowanie tygrysa ze smokiem. Absolutnie cholerny połykacz ognia. Rozpaczliwie potrzebuje pierwszorzędnych oficerów do nowej armii, ludzi, którzy znają pustynię i język. Napomknąłem mu o tobie. Chce cię mieć u siebie. Jeśli do niego dołączysz, wyciszy wszystkie zarzuty Wilsona. Kitchener zamierza wspiąć się na sam szczyt drabiny, pociągając za sobą swoich ludzi. Zacziesz od odpowiednika stopnia kapitana, ale niemal mogę ci zagwarantować, że po roku będziesz miał batalion, a w ciągu pięciu lat własny pułk. Masz wybór między katastrofą a wysoką rangą. Co powiesz?

Penrod z zadumą gładził bujne bokobrody, przystrzyżone przez Amber na statku. Nauczył się, że nie należy entuzjastycznie przyjmować pierwszej oferty.

— Korpus wielbłądów — kusił Adams. — Mnóstwo walk na pustyni.

— Kiedy mogę spotkać się z tym dżentelmenem?

— Jutro. Punktualnie o dziewiątej w nowym sztabie. Jeśli ci życie miłe, nie spóźnij się.

Kitchener, muskularny, średniego wzrostu, poruszał się jak gladiator. Miał gęste włosy i zezował, nie przymierzając jak Jakub. To sprawiło, że Penrod poczuł do niego sympatię. Podczas walk z derwiszami w Suakinie, kiedy Kitchener był gubernatorem tego niezdrowego, niebezpiecznego zakątka Afryki, kula odstrzeliła mu połowę szczęki. Kość została zniekształcona, a jasnorożowa blizna odznaczała się na tle opalonej skóry. Uścisk dłoni miał twardy jak żelazo, zachowanie obcesowe, a charakter nieugięty.

— Zna pan arabski? — zapytał w tym języku. Sam mówił dobrze, ale z akcentem, który nie pozwoliłby mu uchodzić za krajowca.

— Sirdar efendi! Oby wszystkie twoje dni były perfumowane jaśminem. — Penrod wykonał gest wyrażający szacunek. — W istocie, władam językiem jedyne go prawdziwego Boga i jego Proroka.

Kitchener zamrugał. Odpowiedź była doskonała.

— Kiedy może pan do nas dołączyć?

— Muszę być w Anglii do Bożego Narodzenia. Przez dłuższy czas nie miałem kontaktu z cywilizacją. Mam do załatwienia sprawy osobiste i powinienem złożyć rezygnację w swoim regimencie.

— Ma pan wolne do połowy stycznia przyszłego roku, a potem chcę mieć pana tutaj, w Kairze. Adams omówi z panem szczegóły. Może pan odejść. — Zezowate oczy Kitchenera padły na papiery rozłożone na biurku.

Schodząc z Adamsem po schodach sztabu do stojących czekających z końmi, Penrod powiedział: — Nie traci czasu.

— Ani sekundy — zgodził się Adams. — Ani jednej cholernej sekundy.

Przed powrotem do Aleksandrii Penrod poszedł do urzędu telegraficznego i nadał depeszę do Sebastiana Hardy'ego, prawnika Davida Benbrooka, na adres jego kancelarii na Lincoln Inn Fields. Była to długa wiadomość, za którą musiał zapłacić dwa funty, dziesięć szylingów i cztery pensy.

Hardy przyjechał z Londynu pociągiem, żeby w porcie Sout-hampton spotkać się z pasażerami statku. Penrodowi i Saffron przywiódł na myśl pana Pickwicka z książki Charlesa Dickensa, ale oko zapince-nez miał bystre i przenikliwe. Razem pojechali do Londynu.

— Prasa dowiedziała się o pańskiej ucieczce z Omdurmanu i powrocie do kraju — powiedział. — Reporterzy są podekscytowani. Nie wątpię, że będą czekać na stacji Waterloo, żeby rzucić się na pana.

— Skąd wiedzą, którym pociągiem przyjedziemy? — zapytała Amber.

— Puściłem nieco farby — przyznał Hardy. — Nazwałbym to rzucaniem przynęty. Czy mogę teraz przeczytać rękopis?

Amber spojrzała na Penroda, a on pokiwał głową.

— Myślę, że możemy zaufać panu Hardy'emu. Twój ojciec mu ufał.

Hardy wertował gruby plik papierów tak szybko, że Amber wątpiła, czy rzeczywiście czytał. Wyraziła na głos swoje zdanie, a Hardy, nie podnosząc głowy, odparł: — Wyszkolone oko, moja droga młoda damo.

Gdy pociąg przejeżdżał przez przedmieścia, zebrał razem wszystkie kartki.

— Chyba coś z tego będzie. Pozwolicie mi zatrzymać to przez tydzień? Znam pewnego człowieka

z wydawnictwa Bloomsbury, który chętnie rzuci na to okiem.

Na peronie czekało pięciu dziennikarzy, w tym jeden z „The Times”, a drugi z „Telegraph”. Kiedy zobaczyli przystojnego, odznaczonego bohatera spod El Obejd i Abu Klea z młodą pięknoscia u boku, wiedzieli, że mają temat, który zelektryzuje cały kraj. Ujadali histerycznie niczym stado kundli, które zapędziło wiewiórkę na drzewo. Hardy wygłosił krótkie oświadczenie, mające zaostrić ciekawość słuchaczy. Napomknął o straszliwych przejściach, jakie miała za sobą para, niejeden raz wzmiankując o Gordonie, Mahdim i Chartumie, bo to działało na wyobraźnię. Potem odprawił reporterów i poprowadził Penroda i Amber do dorożki, która czekała przy wejściu na stację.

Dorożkarz świsnął batem i zamglonymi ulicami pojechali do hotelu na Charles Street, gdzie Hardy zarezerwował pokój dla Amber. Kiedy się wprowadziła, udali się do hotelu na Dover Street, gdzie miał zatrzymać się Penrod.

— Nie wolno wam mieszkać pod jednym dachem. Od tej pory będziecie pod lupą.

Cztery dni później Sebastian Hardy wezwał ich do swojego gabinetu. Zaróżowiony, spojrzał promiennie przez binokle.

— Macmillan i spółka chcą publikować. Wiecie, że wydali książkę sir Samuela White'a Bakera o abisyńskich dopływach Nilu? Wasza powieść jest dla nich niczym szampan z kawiozem.

— Jakich zysków mogą spodziewać się siostry Benbrook? Wie pan, że panna Amber pragnie podzielić się dochodem, biorąc przykład z testamentu ojca?

Hardy spoważniał i zrobił przeproszającą minę. Zdjął okulary do czytania i wypolerował je o połę koszuli.

— Naciskałem ich tak mocno, jak tylko mogłem, ale nie dadzą więcej niż dziesięć tysięcy funtów.

— Dziesięć tysięcy funtów! — pisnęła Amber. — Myślałam, że tyle pieniędzy jest tylko w Banku Anglii.

— Otrzymacie również dwanaście i pół procent od zysków. Wątpię, czy wyjdzie więcej niż siedemdziesiąt pięć tysięcy.

Patrzyli na niego w milczeniu. Taka suma ulokowana w państwowych obligacjach wieczystych miała przynosić prawie trzy i pół tysiąca funtów rocznie. Siostry nie będą musiały martwić się o pieniądze.

Jak się okazało, ocena Hardy'ego była zbyt ostrożna. Kilka miesięcy przed Bożym Narodzeniem Niewolnice Mahdiego stały się szlagierem wydawniczym. W księgarni Hatchard's na Piccadilly egzemplarze znikły z półek w ciągu godziny od wystawienia. Zirytowani klienci bez mała bili się o książki, z którymi potem triumfalnie szli do kasy.

W Izbie Gmin opozycja rzuciła się na powieść, jakby była to broń do zaatakowania rządu. Przypomniano, jak pan Gladstone zostawił „Chińczyka” Gordona na łasce losu. Frontysepis tworzyła rycina autorstwa Saffron Benbrook, przedstawiająca śmierć generała, której była naocznym świadkiem. W artykule wstępnym „The Times” donosił, że kobiety płakały, a silni mężczyźni wrzeli z wściekłości, oglądając tę ilustrację. Brytyjczycy próbowali zapomnieć o upokorzeniu i utracie prestiżu, których doznali z rąk szalonego Mahdiego, ale książka rozdarła tę na wpół zagojoną ranę. Przez kraj przewaliła się kampania o ponowne zajęcie Sudanu. Niewolnice Mahdiego rozchodziły się jak ciepłe bułki.

Amber i Penrod byli zapraszani do wielkich domów i wszędzie otaczali ich wielbiciele. Londyńscy dorożkarze witali ich po nazwisku, a nieznanymi nagabywali na Piccadilly i w Hyde Parku. Wydawcy przekazywali im setki listów od czytelników, w tym nawet krótkie gratulacje od pułkownika Kitchenera z Kairu.

— To ani trochę nie zaszkodzi mojej nowej karierze — powiedział Penrod, gdy jechali z Amber przez Rotten Row, odpowiadając na powitania.

W ciągu pierwszych sześciu tygodni sprzedano ćwierć miliona egzemplarzy, a prasy drukarskie klekotały w dzień i w noc, powiększając nakład, lecz nie nadały za zapotrzebowaniem. Putnam's z Siedemdziesiątej Piątej Alei w Nowym Jorku wykupił prawa do wydania amerykańskiego; książka wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród czytelników, którzy nigdy nawet nie słyszeli o Sudanie. Niewolnice Mahdiego sprzedawały się trzy razy lepiej niż relacja pana Stanleya.

Francuzi, zgodnie ze swoim narodowym charakterem, w wydaniu paryskim dodali własne uduchowione ilustracje. Rebecca Benbrook w sukni rozdartej przez złego Mahdiego, który szykował się do gwałtu, mężnie osłaniała swoją piękną, przerażoną siostrzyczkę Amber. Nieustraszenie wypięte nagie piersi oznajmiały światu jej niezłomność w obliczu losu gorszego od śmierci. Egzemplarze szmuglowano przez kanał i sprzedawano po wyższej cenie na straganach w uliczkach Soho. Nawet po zapłaceniu podatku dochodowego w wysokości sześciu pensów od funta do Bożego Narodzenia książka przyniosła dochód w wysokości prawie dwustu tysięcy funtów. Amber, zgodnie z sugestią Penroda Ballantyne'a, poleciła panu Hardy'emu utworzyć fundusz powierniczy dla trzech siostr.

Amber i Penrod obchodzili Boże Narodzenie w Clercastle. Codziennie spacerowali i jeździli konno. Kiedy towarzystwo wybrało się na polowanie, aby strzelać do latających wysoko bażantów sir Petera, Amber stanęła w szeregu obok Penroda. Dzięki treningowi, jaki przeszła pod okiem ojca, radziła sobie z takim wdziękiem i wprawą, że gajowy przyszedł do niej po ostatniej nagance, skubnął daszek kaszketu i wymamrotał: — Przyjemnie było patrzeć, jak pani strzela, panno Amber.

Styczeń przyszedł o wiele za szybko. Penrod musiał objąć stanowisko w Kairze. Amber wraz z bratową Penroda, Jane, która pełniła rolę przyzwoitki, odprowadziła go na stację Waterloo, skąd odjeżdżał pociąg do portu. Przez ostatni tydzień kompletowała strój odpowiedni na takie doniosłe rozstanie. Cena oczywiście miała niewielkie znaczenie.

Zdecydowała się na gołębioszary żakiecik lamowany sobolami, długą do kostek spódnicę z modną turniurą i zapinane po bokach trzewiczki na wysokim obcasie. Pomysłowy krój stroju podkreślał jej smukłą talię. Nałożyła kapelusz z szerokim rondem, przybrany pękiem strusich piór, a także bursztynowy naszyjnik i kolczyki, które dostała od Penroda na drodze pod Gallabatem.

— Kiedy znowu się zobaczymy? — Amber desperacko, ale bez powodzenia próbowała powstrzymać się od płaczu do czasu odjazdu pociągu.

— Nie umiem powiedzieć. — Penrod obiecał sobie, że nigdy jej nie okłamie, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Łzy spłynęły jej po policzkach. Penrod dodał szybko: — Może przyjedziesz z Jane do Kairu, żeby spędzić szesnaste urodziny w hotelu Shephard's? Jane nigdy nie była w Egipcie, będziesz mogła pokazać jej piramidy.

— Jane, zgodzisz się? Proszę!

— Porozmawiam z mężem — obiecała Jane. Była mniej więcej w wieku Rebecki i w ciągu paru tygodni spędzonych przez Amber w Clercastle stały się sobie bliskie jak siostry. — Nie sądzę, by Peter miał coś przeciwko temu. Twoje urodziny wypadają w szczycie polowań na kuraki, więc będzie bardzo zajęty. Nie odczuje zbyt dotkliwie naszej nieobecności.

Sam Adams przyjechał z Kairu, żeby spotkać się z Penrodem, gdy statek z Anglii zacumował w Aleksandrii. Niemal pierwsze jego słowa brzmiały: — Wszyscy czytaliśmy książkę. Sirdar cieszy się jak kot, który dostał spodek śmietanki. Londyn zaczął rozważać kwestię modyfikacji armii. Gladstone i ci inni idioci zastanawiali się, czy wydać pieniądze na budowę cholernie wielkiej tamy na Nilu, czy dać je nam. Książka panny Benbrook spowodowała taką grandę w parlamencie, że szybko podjęli

decyzję. Kitchener dostał następny milion funtów, i pal diabli zaporę. Teraz na pewno dadzą nam nowe karabiny Maxima. Co do mnie, cóż, rozpaczliwie potrzebujemy zawodnika, jeśli chcemy w tym roku zachować Puchar Nilu.

— Po tamtej krótkiej rozmowie z Kitchenerem uważam, że mało prawdopodobne, abym miał czas na grę w polo.

Żona Adamsa znalazła i wynajęła wygodny dom na brzegu rzeki, blisko sztabu i Klubu Gheziera. Kiedy Penrod wszedł po schodach na cienistą werandę, mężczyzna w turbanie i prostej białej dżibbie podniósł się z miejsca przy frontowych drzwiach i złożył głęboki ukłon.

— Efendi, serce wiernego Jakuba tęskniło za tobą niczym noc za świtem.

Następnego dnia rano Penrod poznał plany Kitchenera i Adamsa, dotyczące jego osoby. Miał zwerbować trzy kompanie wielbłądziej kawalerii, a następnie wyszkolić żołnierzy tak, żeby mogli przemieszczać się daleko i szybko oraz walczyć twardo.

— Chcę ludzi z pustynnych plemion — powiedział Adamsowi. — Są najlepszymi żołnierzami. Abdallahi wypędził z Sudanu wielu aszrafów, emirów Dżaalinów i Hadendoa. Odnajdę ich. Nienawisć sprawia, że człowiek walczy zacieklej. Jestem przekonany, że zdołam obrócić ich przeciwko dawnym panom.

— Znajdź ich — rozkazał Adams.

Penrod i Jakub popłynęli parowcem do Asuanu. Następny statek, który miał ich dowieźć za pierwszą kataraktę do Wadi Halfy, odpływał za trzydzieści sześć godzin. Penrod zostawił Jakuba w doku, żeby pilnował bagaży, a sam wybrał się do miasta. Zatrzymał się pod bramą na końcu wąskiego, krętego zaułka. Stara Liala usłyszała jego głos, otworzyła bramę i upadła na ziemię w stercie spłowiałych szat i woali, zawodząc żałośnie: — Efendi, dlaczego wróciłeś? Mogłeś oszczędzić tego mojej pani. Nie powinieneś wracać.

Penrod podniósł ją na nogi.

— Zaprowadź mnie do niej.

— Nie zechce cię widzieć, efendi.

— Niech sama mi to powie. Idź do niej, Liala. Powiedz, że tu jestem. — Szlochając żałośnie, staruszka zostawiła go przy fontannie na dziedzińcu i podreptała do domu. Zniknęła na długi czas. Penrod strącał do sadzawki małe zielone muchy z pływających fuksji. Okoń wypływał na powierzchnię i zjadał je z apetytem.

Wreszcie Liala wróciła. Przestała płakać.

— Zobacz się z tobą. — Zaprowadziła go do zasłony z koralików. — Wejdz.

Bachita siedziała na jedwabnym chodniku po drugiej stronie dobrze mu znanego pokoju. Poznał ją po zapachu perfum. Twarz miała przysłoniętą gęstym woalem.

— Radość przepełnia moje serce, gdy widzę cię zdrowym i bezpiecznym, panie.

Jej łagodny, słodki głos trącił czułą strunę w sercu Penroda.

— Bez ciebie, Bachito, nie byłoby to możliwe. Jakub powiedział mi o roli, jaką odegrałaś, żebym mógł trafić w bezpieczne miejsce. Przyszedłem, żeby ci podziękować.

— Arabskie imię tej angielskiej dziewczyny brzmi al-Zahra. Słyszałam, że jest młoda i piękna. Czy to prawda, panie?

— Prawda, Bachito. — Nie zdziwił się, że wie o Amber. Bachita wiedziała wszystko.

— W takim razie to o nią chodzi. O dziewczynę z twojego ludu, która zostanie twoją żoną. Cieszę się, panie.

— Wciąż będziemy przyjaciółmi, Bachito.

— Nie tylko przyjaciółmi — powiedziała cicho. — Ilekroć usłyszę coś, o czym powinieneś

wiedzieć, napiszę.

— Będę cię odwiedzał.

— Może.

— Czy mogę jeszcze raz zobaczyć twoją twarz, Bachito?

— To nie byłoby rozsądne.

Podszedł i ukląkł przed nią.

— Chcę ujrzeć twoją śliczną twarz, spojrzeć w twoje oczy i po raz ostatni ucałować twoje usta.

— Błagam, panie mojego serca, oszczędź mi tego. Wyciągnął ręce i dotknął woalu.

— Czy mogę podnieść? Milczała przez chwilę.

— Może tak będzie łatwiej — odparła z westchnieniem. Podniósł welon i wpatrywał się w jej twarz zdumiony. W jego oczach pojawiła się groza.

— Bachito, serce drogie, co ci się stało? — Głos drżał mu ze współczucia.

— Ospa wietrzna. Allah pokarał mnie za miłość do ciebie. — Dzioby wciąż były świeże i sine. Świetliste oczy płonęły w twarzy, która kiedyś była tak piękna. — Pamiętaj mnie taką, jaką byłam — poprosiła.

— Będę pamiętać tylko twoją odwagę i dobroć i że jesteś moją przyjaciółką — wyszeptał i pochylił się, żeby ją pocałować.

— To ty jesteś dobry — odparła i zasłoniła twarz woalem. — A teraz musisz mnie zostawić.

Wstał.

— Wróć.

— Może, efendi.

Jednakże oboje wiedzieli, że nigdy nie wróci.

Agadżerowie znaleźli zwłoki Kabela al-Dina na dziedzińcu przy porzuconym jarzmie. Osman Atalan kazał dosiąść koni wszystkim swoim ludziom i przez wiele dni przeszukiwał brzegi rzeki. W morderczym nastroju wrócił do Omdurmanu, nie znalazłszy śladu uciekiniera. Nastąpiła zła pora dla kobiet, kiedy agadżerowie przyszedli do niego z doniesieniem, że al-Zahra także zniknęła.

— Jak długo jej nie ma? — zapytał.

— Osiem dni, potężny Atalanie.

— Zniknęła w tym samym czasie co Abadan Ridzi. A co z al-Dżamal?

— Wciąż przebywa w zenanie, dostojny kalifie.

— Przeprowadźcie ją do mnie, i jej służę także. Przywlekli dwie kobiety i rzucili mu do stóp.

— Gdzie twoja siostra?

— Nie wiem, panie — odparła Rebecca. Osman popatrzył na al-Nura.

— Zbij ją — rozkazał. — Bij, póki nie powie prawdy.

— Potężny kalifie! — krzyknęła Nazira. — Jeśli ją pobijesz, straci dziecko. To może być syn.

Syn ze złotymi włosami matki i lwim sercem ojca. — Osman nie krył zaskoczenia. Zawahał się, patrząc na brzuch Rebecki. Potem warknął do agadżerów: - Zostawcie nas. Nie wracać, póki nie zawołam.

Wybiegli z pokoju, radzi, że ich odprawił, bo kiedy kalif i emir Bedżów wpada w złość, wszyscy w jego otoczeniu są w niebezpieczeństwie.

— Rozbierz się — polecił. Rebecca podniosła się z podłogi i zsunęła szatę z ramion. Osman wbił oczy w jej jasny, wystający brzuch. Podszedł i położył na nim rękę.

Rusz się! Błagam, kochanie, rusz się! — prosiła Rebecca w milczeniu i dziecko kopnęło.

Osman oderwał dłoń i odskoczył.

— Na Boga, żyje. — Z zachwytem i przestachem spojrzał na wypukłość brzucha. — Okryj się.

Podczas gdy Nazira pomagała jej włożyć ubranie, Osman wściekle szarpał brodę, zastanawiając się nad swoim dylematem. Nagle krzyknął ze złością i agadżerowie wpadli do pokoju.

— Ta kobieta — wskazał Nazirę. — Bić ją, póki al-Dżamal nie powie nam, gdzie jest jej siostra.

Dwóch złapało Nazirę pod ręce, a Muman Digna szarpnął jej suknię na plecach i rozdarł ją po kolana. Al-Nur potrząsnął kor-baczem. Pierwsze smagnięcie zostawiło czerwoną pręgę na gołych łopatkach.

Nazira pisnęła i chciała rzucić się na podłogę, ale agadżerowie trzymali ją mocno.

— Zaczekaj, panie. Wyznam ci wszystko. — Rebecca nie mogła znieść tego dłużej.

— Przestańcie! — rozkazał Osman. — Mów.

— Przybył jakiś obcy i zabrał al-Zahrę — wyrzuciła z siebie. — Sądzę, że udali się na północ w kierunku Metemmy i Egiptu, ale nie dam za to głowy. Nazira nie miała z tym nic wspólnego.

— Dlaczego nie pojechałaś z nimi?

— Ty jesteś moim panem i ojcem mojego syna. Zostawię cię dopiero wtedy, gdy mnie zabijesz albo odeślesz.

— Wychłostać tę starą łajdaczkę. — Osman chciał uśmierzyć furję bez narażania syna, który mógł mieć niebieskie oczy i złote włosy.

Rebecca oburącz chwyciła się za brzuch.

— Czuję, że mój syn odczuwa niepokój! — krzyknęła. — Jeśli zbijesz tę kobietę, która jest dla mnie jak rodzona matka, nie zdołam zatrzymać go w łonie.

— Stać! — zawołał Osman. Był rozdarty. Pragnął widoku krwi. Wyciągnął miecz i Nazira pisnęła, przeszyta jego spojrzeniem. Podbiegł do kamiennej kolumny pośrodku pokoju i uderzył w nią z taką siłą, że posypały się iskry.

— Zabierzcie te dwie kobiety do meczetu w oazie Gedda. — Było to religijne ustronie dla żarliwych wyznawców i badaczy świętego Koranu, prowadzone przez kilku starych mułłów, leżące dziesiątki mil w głębi pustyni. — Jeśli dziecko, które nosi al--Dżamał, będzie płci żeńskiej, zabijcie wszystkie trzy. Jeśli to chłopiec, przywieźcie ich do mnie i dopilnujcie, żeby nie spadł im włos z głowy, zwłaszcza mojemu synowi.

Pięć miesięcy później Rebecca leżała na chodniku rozpostartym na podłodze celi w Geddzie. Nazira pomagała jej, a mułłowie czekali za drzwiami, kiedy rodziła swoje pierwsze dziecko. Gdy tylko poczuła, jak śliskie brzemie wysuwa się z niej, podźwignęła się na łokciach. Nazira podniosła noworodka, lśniącego od krwi i śluzu, wciąż połączonego z matką grubą pępowiną.

— Mów! — przynagliła Rebecca. — Chłopiec? Słodki Boże, niech to będzie chłopiec.

Nazira zagadała jak kwoka i pokazała jej dziecko.

— Mały ogier. — Palcem połaskotała maleńkie przyrodzenie. — Zobacz, jak sterczy. Można by zbić na nim jajko. Strzeżcie się, wy, które nosicie spódnice i wejdziecie mu w drogę.

Mułłowie z Geddy posłali gońca do Omdurmanu i parę dni później dwudziestu agadżerów pod wodzą al-Nura zabrało kobiety z dzieckiem do Świętego Miasta. Gdy dotarli do bram pałacu, Osman Atalan wyszedł im na spotkanie. W ciągu pięciu miesięcy jego furia zdążyła się wypalić, lecz mimo to starał się nie okazać radości. Stał z ręką na mieczu, ze strasznie groźną miną.

Al-Nur zsiadł z konia i wziął dziecko z ramion Rebecki. Noworodek był owinięty w bawełniane powijaki, a buzię miał zakrytą, by chronić ją przed słońcem i kurzem.

— Potężny Atalanie, oto twój syn! Osman spiorunował go wzrokiem.

— Sam muszę zobaczyć.

Wziął zawiniątko, ułożył je w zgięciu lewej ręki i zaczął rozwijać pasy płótna. Popatrzył na maleńką istotkę. Głowę dziecka pokrywał miedziany meszek. Skóra miała kolor koziego mleka zmieszanego z odrobiną kawy. Barwa oczu przypominała wody Bahr al-Azrak, Nilu Błękitnego. Osman rozchylił pieluchy i jego groźna twarz stopniowo łagodniała, aż prawie się uśmiechnął.

Chłodny podmuch znad rzeki owiał przyrodzenie malca i żółta strużka spłynęła po łaciatej dżibbie ojca.

Zaskoczony Osman ryknął śmiechem.

— Patrzcie! Oto mój syn. Tak jak zsikał się na mnie, tak będzie sikać na moich wrogów. — Podniósł dziecko wysoko i oznajmił: — Oto mój syn, Ahmed Habib abd Atalan. Zbliźcie się i

okażcie mu szacunek. — Agadżerowie podchodzili jeden po drugim i wykonywali gesty pozdrowienia, witając Ahmeda, który gaworzył i fikał nóżkami z radości. Osman, który dotąd nie spojrzał w kierunku dwóch czekających kobiet, podał syna al-Nurowi i rzucił mimo chodem: — Oddaj dziecko matce i powiedz jej, że wróci do swoich kwater w haremie, aby tam czekać na moje wezwanie.

W ciągu następnych osiemnastu miesięcy Rebecca widziała Osmana tylko trzy lub cztery razy, z daleka, kiedy przyjeżdżał i wyjeżdżał, zajęty sprawami wojny i państwa. Ilekroć wracał, kazał al-Nurowi przynosić Ahmeda i odsyłał go dopiero po kilku godzinach, gdy nadchodziła pora karmienia.

Dziecko rosło jak na drożdżach. Rebecca fantazjowała, że dostrzega w nim podobieństwo do własnego ojca i do Amber, przez co jej samotność stawała się mniej dotkliwa. Miała tylko Nazirę i syna; inne kobiety z haremu były głupiutkami, roztrzepanymi stworzeniami. Tęskniła za siostrami i myślała o nich po przebudzeniu, kiedy czekał na nią kolejny pusty dzień i kiedy układała się do snu z Ahmedem przy piersi.

Powoli uświadomiła sobie, że chce, aby Osman Atalan przysłał po nią. Jej ciało zagoiło się po porodzie, zostały tylko rozstępy na brzuchu i miękkie, obwisłe piersi. Czasami, gdy budziła się w nocy i nie mogła zasnąć, wspominała znanych sobie mężczyzn, ale jej myśli nieodmiennie wracały do Osmana. Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby rozmawiać, z kim mogłaby być, z kim mogłaby się kochać, a Osman Atalan nie miał sobie równych w sztuce uprawiania miłości.

Potem w haremie rozeszła się pogłoska, że nadchodzi nowy wielki dżihad, wojna przeciwko niewiernym chrześcijanom w Abisynii. Osman Atalan miał poprowadzić armię z błogosławieństwem Allaha. Ahmed w tym czasie już raczkował i mówił. Rebecca miała nadzieję, że Osman zabierze z sobą ich oboje. Pamiętała, jak było w Gallabacie, kiedy zaszła w ciążę. Często o tym rozmyślała. Śniła, jak na nią patrzył i jak czuła go w sobie. Samotność przyjęła formę bólu, który koncentrował się głęboko w jej wnętrzu. Poświęcała się dziecku bez reszty, ale noce były bardzo długie.

Więści znowu przemknęły przez harem. Osman zabiera na dżihad trzy żony i osiem nałożnic, a wśród nich Rebecę. Ahmed i Nazira mieli jej towarzyszyć, lecz poza tym nie brał innych dzieci. Rebecca rozumiała, że interesuje go wyłącznie syn, że ona i Nazira są tylko opiekunkami Ahmeda. Jej puste ciało cierpiało.

Pojechali na abisyńską granicę w sile czterdziestu tysięcy ludzi, w potężnym wojennym ordyнку. Osman zostawił Rebecę i kobiety w Gallabacie. Pomknął do Abisynii i uderzył całą swoją jazdą na przełęcz.

Abisyńczycy również byli bitnymi, urodzonymi wojownikami, ale choć zostali ostrzeżeni przez Rydera Courtneya, nie mogli sprostać zaciekłemu natarciu derwiszów. Osman Atalan ruszył prosto ku przełomom Minkti i Atbary i zdobył je pomimo desperackiego, odważnego oporu. Wyciął w pień wszystkich abisyńskich jeńców i poprowadził swoje wojsko w górę Minkti. Brnęli coraz wyżej w kłającym zimnie.

Ras Adal, abisyński generał, nie spodziewał się, że derwisze wejdą tak wysoko. Popelnił niewybaczalny błąd, pozwalając im wyjść na otwartą równinę Debra Sin, zanim zaatakował.

Bitwa była zagorzala i krwawa, i w końcu siły Adala pękły pod naporem brutalnego ataku. Wojska abisyńskie zostały zepchnięte do rzeki i większość żołnierzy utonęła. Cała prowincja Amharów wpadła w ręce Osmana, który mógł bez sprzeciwu zająć Gonder, starożytną stolicę Abisynii.

Chciał w tym mieście założyć własną stolicę, ale nie spodziewał się tak srogiej zimy na abisyńskich wyżynach. Bedżowie byli ludźmi piasków i pustyni: trzęśli się, chorowali i umierali. Osman zrezygnował z dalszego podboju i poprowadził ich z powrotem do Gallabatu. Sam przybył na

noszach ciągniętych przez swego bojowego rumaka, al-Buka. Zimno gór weszło mu do płuc i ciężko zachorował. Położyli go na łożu i czekali na jego śmierć.

Osman z trudem zrobił chrapliwy wdech. Zakrztusił się, od-kaszlnął i wypluł zielonkawożółtą flegmę.

— Poślijcie po al-Dżamal! — rozkazał.

Rebecca przyszła do łóżka chorego i pielęgnowała go troskliwie. Podawała mu zioła i korzenie, które przygotowała Nazira, i okładała gorącymi kamieniami, żeby się wypocił. Kiedy nadszedł kryzys, przyniosła mu Ahmeda.

— Nie możesz umrzeć, potężny Atalanie. Twój syn potrzebuje ojca.

Trwało to kilka tygodni, ale w końcu Osman wstąpił na drogę wiodącą ku wyzdrowieniu. W czasie rekonwalescencji niemal co wieczór posyłał po Rebecę i podjęli długie rozmowy, jakby wcale nie zostały przerwane. Rebecca już nie była samotna.

Gdy nabrał sił, znowu się z nią kochał, biorąc ją wprawnie i bez reszty wypełniając jej bolesną pustkę. Ogłosił Ahmeda swoim dziedzicem i w nieobliczalny sposób, co było dlań typowe, posłał po mułłę i pojął Rebecę za żonę.

Kiedy w pierwszą noc leżała przy nim jako jego żona, spojrzała prawdzie prosto w oczy. Uczynił ją swoją niewolnicą, oddaną mu ciałem i sercem. Osman zgasił ostatnią isierkę jej niegdyś niezłomnego ducha. Cierpienie, jakie zadawał jej tak beztrosko, stało się narkotykiem, bez którego już nie umiała żyć. W dziwny, nienaturalny sposób zmusił ją, żeby go pokochała. Wiedziała, że już nie może obejść się bez niego.

Abisyńczycy byli rozwścieczeni zajęciem prowincji Amharów i splądrowaniem Gonderu. Z ponadstutysięczną armią cesarz Jan runął na Gallabat, żeby dokonać zemsty. Uprzedził Osmana Atalana o swoim nadejściu, iżby nie uznano go za podstępного tchórze. Osman ściał posłańca i odesłał Janowi jego głowę.

Ponieważ nieprzyjaciel miał ogromną przewagę liczebną, Osman przekształcił miasto w obronną zarebę. Kobiety i dzieci ulokował w samym środku, sam zaś czekał, żeby stawić czoło abisyńskiej furii. Runęła na niego niczym lawina. Czterotysięczna dywizja al-Nura została wybita niemalże w pień, a on sam odniósł poważną ranę. Uradowani Abisyńczycy wdarli się do tej części miasta, gdzie kryły się kobiety, a wtedy zaczęły się gwałty i rzezie.

Gdy Osman zrozumiał, że przegrał, wskoczył na al-Buka, spiął go i ruszył ku głowie węża. Cesarz cieszył się sławą wielkiego wojownika, lecz młodość już dawno zostawił za sobą. W lamparcich skórach, w kirysie z brązu i złotej koronie negusa na głowie wyglądał imponująco, ale w jego brodzie więcej było srebrnych niż czarnych nitek. Dobył miecza, kiedy zobaczył Osmana szarżującego przez pobojowisko. Dowódca derwiszów wybił straż przyboczną, która próbowała go zatrzymać. Wyszkolony przez Penroda Ballantyne'a, ani na chwilę nie spuścił z oczu broni cesarza. Jego riposta przypominała srebrną błyskawicę.

— Cesarz nie żyje! Negus poległ! — Krzyk przewalił się nad abisyńskim wojskiem. Jeden cios Osmana Atalana przemienił pewne zwycięstwo w klęskę i pogrom.

Osman wrócił do Omdurmanu z głowami cesarza Jana i abisyńskich generałów na lancach, które niosła jego straż przyboczna. Ustawili je przy wejściu do pałacu kalifa Abdallahiego.

Siedem miesięcy później Rebecca urodziła drugie dziecko, dziewczynkę. Osman nie zainteresował się nią nawet na tyle, żeby nadać jej imię. Rebecca nazwała ją Kahruba, czyli bursztyn w języku arabskim [takie imię nosi jej siostra; amber (ang.) — bursztyn]. Po kilku miesiącach Osman wybaczył Rebecce, że urodziła mu córkę, podjął wieczorne rozmowy i zaczął się z nią kochać. Kiedy Kahruba wyrosła na śliczną istotkę z włosami koloru przydymionego miodu, czasami gładził ją po

głowie. Raz nawet posadził ją przed siodłem i wspólnie pogalopowali na al-Buku. Kahruba piszczała z radości, a Osman, podając ją Rebecce, zauważył: — Poważnie się pomyliłaś, żono. Powinnaś uczynić ją chłopcem, bo ma serce chłopaka.

Żadnej z jego pozostałych córek nie spotkały takie oznaki uczucia. Nie było im wolno rozmawiać z nim ani go dotykać. Kiedy Kahruba miała sześć lat, na uczcie Kurban Bajram odeszła od kobiet i z palcem w ustach ruszyła do Osmana, który siedział pośród agadżerów. On patrzył na nią zimno, kiedy się zbliżała. Niezrażona, wdrapała mu się na kolana.

Osman osłupiał. Agadżerowie z trudem zachowywali powagę. Kalif popatrzył na nich, jak gdyby tylko czekał, aż który okaże ochotę do śmiechu. Potem niespiesznie wybrał smakołyk ze stojącej przed nim miski i włożył go do buzi córki. Zrewanżowała się, zarzucając mu rękę na szyję. Tego już było za wiele. Osman postawił ją na ziemi i dał jej klapsa.

— Uciekaj, bezwstydna lisico! — zawołał.

Pan Hiram Steven Maxim siedział na niskim stołku w jaskrawym słońcu delty Nilu. Przed nim na stalowym trójnogu stała niezgrabna broń z grubą, chłodzoną wodą lufą. Na lewo mieściła się pięciogalonowa puszką, połączona z bronią mocnym gumowym węzłem. Z prawej strony piętrzyły się tuziny skrzynek z amunicją. Dokoła krążyło trzech asystentów. Pomimo skwaru nosili grube tweedowe marynarki i płaskie płócienne kaszkiety. Pan Maxim, rozebrany do koszuli, zsunął melonik na tył głowy. Odkąd z Ameryki przeprowadził się do Anglii, przyjął brytyjski styl życia i ubierania.

Przetoczył niezapalone cygaro z jednego kącika ust w drugi.

— Majorze Ballantyne — zawołał śpiewnie. Jego akcent wciąż zdradzał, że urodził się w Sangerville w stanie Maine. — Czy zechciałby pan mierzyć czas? — Niedaleko za nim skupiała się niewielka grupa umundurowanych oficerów. W pierwszym szeregu stał krępy, potężny sirdar, generał Horatio Herbert Kitchener.

— Generale? — Penrod zerknął na Kitchenera, pytając o zgodę.

— Wykonać, Ballantyne. — Sirdar pokiwał głową.

— Mierzę czas! — zawołał Penrod. Sześćset jardów przed karabinem maszynowym, u stóp wysokiej ciemnobrązowej wydmy stał szereg drewnianych kukieł. Były ubrane w dżibby derwiszów i uzbrojone w drewniane włócznie. Pan Maxim pochylił się, zacisnął ręce na chwytach i odbezpieczył broń.

— Zaczynam strzelać! — Kciukami pociągnął za spusty. Karabin zadygotał i ryknął. Poszczególne strzały, zbyt szybkie, żeby ucho mogło je rozróżnić, zwały się w długotrwały grzmot, jakby w pobliżu huczał wysoki wodospad. Odrzut każdego strzału cofał zamek i wyrzucał łuski w smudze lśniącego brązu. Powracający zamek wybierał nabój z taśmy, wprowadzał go do komory i odpalał. Cykl następował zbyt szybko, żeby oko mogło go zarejestrować.

Pan Maxim przesunął lufę. Drewniane kukły wybuchały jedna po drugiej w burzy drzazg. Piasek wydmy za celami gotował się, płachty kurzu wzlatywały w powietrze. Pan Maxim dotarł do końca szeregu i zaczął przesuwac lufę w drugą stronę. Powracający grad kul rozbił całkowicie poszarpane cele.

Brytyjscy oficerowie patrzyli w nabożnym milczeniu. Ogłuszył ich ryk karabinu. Nie mogli mówić. Nie poruszali się. Asystenci pana Maxima przeprowadzali ten pokaz w wielu krajach. Byli perfekcyjnie wyszkoleni. Gdy opróżniła się skrzynka z amunicją, zabrali ją i zastąpili pełną. Przypięli nową taśmę nabożową do końca poprzedniej, która wsuwała się do zamka. Nie było żadnych przerw, zacięć mechanizmu, zmniejszenia tempa strzałów. Woda w chłodnicy gotowała się, ale giętki wąż odprowadzał parę do pojemnika z zimną wodą, gdzie stygła i ulegała skropleniu, dzięki czemu chmura pary nie zdradzała wrogowi pozycji karabinu. Chłodna woda wracała do chłodnicy. Karabin

jazgotał bezustannie. Ostatni pas amunicyjny wsunął się do zamka i gdy wyskoczyła ostatnia łuska, zapadła cisza.

— Czas! — zawołał pan Maxim.

— Trzy minuty dziesięć sekund.

— Dwa tysiące naboń w trzy minuty — oznajmił z dumą pan Maxim. — Prawie siedemset naboń na minutę, bez chwili przerwy.

— Bez chwili przerwy — powtórzył pułkownik Adams. — To koniec znanej nam kawalerii.

— Ta broń zmieni charakter działań wojennych — zgodził się Penrod. — I jaka celność. — Wskazał na rząd celów. Drzazgi rozrzucone były na dużym obszarze. Nawet słupki, na których wisiały kukły, nie wytrzymały natężenia ognia. Nad wydmami wisiała gęsta chmura burego pyłu, wzbita przez nawałę ogniową.

— Teraz derwisze mogą sobie przyjść! — mruknął sirdar i jego ciemne wąsy nastroszyły się niczym sierść na grzbiecie rozjuszonego odyńca.

Penrod i Adams razem jechali do Kairu. Byli w wyśmienitych humorach. Kiedy z krzaków przy trakcie wyskoczył szakal, dobyli szabel i rzucili się w pogoń. Penrod wysforował się do przodu i przeciął drogę podobnemu do teriera buremu zwierzęciu. Adams pochylił się nisko w siodle, wsunął sztych między łopatki i poderwał zdobycz w powietrze. Szakal pod własnym ciężarem zsunął się z klingi, przekoziółkował w pyle i znieruchomiał.

— Lepsze od klucia świń w Pendżabie — zawołał ze śmiechem pułkownik. Gdy zbliżyli się do bramy Klubu Gheziera, zapytał: — Wypijemy po naparstku?

— Nie dzisiaj — odparł Penrod. — Mam gości z kraju.

— Ach tak! Słyszałem. Co panna Amber Benbrook myśli o twoich nowych szlifach?

Penrod zerknął na lśniące korony majora na epoletach.

— Skoro pamiętasz jej imię, to znaczy, że dostałeś zaproszenie na bal. To jej szesnaste urodziny, wiesz. Przyjdiesz?

— Do tej niezwyklej młodej damy, która napisała Niewolnice Mahdiego? Za skarby świata nie przepuściłbym takiej okazji. Żona by mnie zabiła, gdybym nawet wziął pod rozwagę taki pomysł.

Urodzinowy bal Amber odbył się w hotelu Shepherd's. Orkiestra nowej armii egipskiej grała do świtu. Ubrani na biało kelnerzy krążyli z tacami pełnych po brzegi kieliszków szampana. Wszyscy oficerowie od chorążego w górę, a było ich stu pięćdziesięciu, przyjęli zaproszenie. Galowe mundury tworzyły eleganckie tło dla balowych sukien pań. Nawet sir Evelyn Baring i sirdar zjawili się na krótko i zatańczyli walca wiedeńskiego z Amber. Obaj wyszli wcześniej, świadomi, że ich obecność krępuje uczestników balu.

Ryder i Saffron odbyli długą okreśną podróż z wyżyn Abisynii, najpierw na wielbłądach przez pustynię, potem statkiem przez Morze Czerwone i Kanał Sueski do Aleksandrii. Wieczorowa kreacja Saffron wzbudziła umiarkowaną sensację nawet w tym strojnym towarzystwie. Saffron była w drugim miesiącu ciąży.

Na początku uroczystości, po zabranii Amber i bratowej z apartamentu na najwyższym piętrze hotelu, Penrod wpisał się do karneciku bohaterki wieczoru. Zarezerwował piętnaście z jej dwudziestu tańców. Amber była trochę zła, że okazał się taki powściągliwy. Gdy wybiła północ, orkiestra z wigorem zagrała Sto lat. Goście entuzjastycznie odśpiewali piosenkę. Szampan płynął jak Nil i humory dopisywały.

Penrod z Amber u boku wspiał się na podium dla orkiestry. Muzycy powitali ich długim werblem. Penrod podniósł ręce, prosząc o ciszę, lecz skończyło się to częściowym sukcesem. Zaproponował wzniesienie urodzinowego toastu i goście spełnili go z entuzjazmem. Ryder Courtney

zaintonował Kiedy miałaś szesnaście lat, a orkiestra i reszta gości podchwyciła melodię. Zarumieniona Amber przytuliła się do ramienia Penroda. Gdy pieśń przebrzmiała, Penrod ponownie poprosił o ciszę.

— Chciałbym coś ogłosić. Dziękuję! — Gwar przycichł do pomruku zaciekawienia. — Panowie, panie i koledzy oficerowie, którzy nie podpadacie pod dwie pierwsze kategorie! — Zaczęli gwizdać i znów musiał ich uciszać. — Z niewymowną przyjemnością informuję, że panna Amber Benbrook zgodziła się zostać moją żoną i tą decyzją uczyniła mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Nieco później pułkownik Sam Adams palił cygaro na zaciemnionym tarasie. Mimo woli podслуchał rozmowę dwóch młodszych oficerów, którzy wypili ogromne ilości szampana.

— Podobno dzięki tej swojej książce jest warta sto tysięcy funciaków. Najszczęśliwszy człowiek pod słońcem? Ballantyne ma wielki order na piersi, korony na ramionach, własny batalion, a na dodatek szczęściarz świńską łopatką wykopał sobie kopalnię złota. Czemu nie miałby być szczęśliwy?

— Poruczniku Stuttaford — z cienia napłynął zimny, znajomy głos.

Błąd Stuttaford niepewnie stanął na baczność.

— Pułkowniku Adams!

— Proszę stawić się w moim biurze jutro o dziesiątej rano.

Nazajutrz w południe porucznik Stuttaford, cierpiący na potężnego kaca, pakował się do wyjazdu na pustynną placówkę w Sua-kinie, jedną z najgorszych i najbardziej nudnych w imperium.

Armia egipska zawsze uważana była za operetkową, żywcem wyjętą z dzieł Gilberta i Sullivana.

— Żołnierze w ojczyźnie i wojska z Indii podśmiewają się, ilekroć o nas mowa — mówił Penrod do reszty towarzystwa. Razem z Ryderem opierali się o pawęż wynajętej feluki. Jane Ballantyne, Saffron i Amber siedziały na kolorowych poduszkach na pokładzie. Płynęli w górę Nilu do Gizy, żeby wspiąć się na wierzchołek piramidy Cheopsa, a potem urządzić piknik w cieniu sfinksa.

— To prostackie i głupie — Amber natychmiast stanęła po jego stronie.

— Szczerze mówiąc, swego czasu mieli ku temu powody — przyznał Penrod — ale to było stare wojsko w złych starych czasach. Teraz żołnierze dostają żołd. Oficerowie nie kradną ich racji, nie biorą nóg za pas przy pierwszym strzale. Ludzie nie są bici, kiedy zachorują, tylko posyłani do lekarza i szpitala. Wszyscy musicie przyjść na poniedziałkowy przegląd. Zobaczycie paradę i musztrę, która was zadziwi.

— Mój ojciec był pułkownikiem w szkockim regimencie Black Watch, jak wiesz, Penrodzie — powiedziała Jane. — Nie uważam się za wielkiego eksperta, ale czytałam trochę o wojskowych sprawach. Tata tego dopilnował. Gdy tylko dowiedziałyśmy się z Amber, że jedziemy do Kairu, przeczytałyśmy wszystkie książki o Egipcie z biblioteki w Clercastle, jak również doskonałe opracowanie sir Alfreda Milnera, Anglia w Egipcie. Nigdzie nie znalazłam sugestii, że egipscy fellachowie są dobrym materiałem na żołnierzy.

— Prawda. Zawsze uważano, że bogata i żyzna delta z męczącym klimatem nie może wydać wojowników. Fellachowie potrafią być okrutni i bezwzględni, ale nie są zajadli i żądni krwi. Z drugiej strony, są stoicy i wytrzymali. Obojętnie znoszą ból i trudy. Cechuje ich spokojne męstwo, którego my, ludzie bardziej bojowi, możemy im tylko zazdrościć. Są posłuszni i uczciwi, szybko się uczą i, co najważniejsze, są mocni. Braki w pewności siebie nadrabiają siłą mięśni.

— Kochanie, to pięknie, ale powiedz nam o Arabach — wtrąciła Amber.

— Przecież znasz ich dobrze, serce moje. — Penrod uśmiechnął się do niej czule. — Jeśli egipskich fellachów można porównać do mastifów, to Arabowie przypominają teriery. Są inteligentni i szybcy. Są przekupni i pobudliwi. Nie lubią dyscypliny. Nigdy nie można zaufać im do końca, ale

należy podziwiać ich straceńczą odwagę. W Abu Klea rzucili się na czworobok tak, jakby śmierć miała przynieść im chwałę. Jeśli przysięgną ci wierność, co zdarza się rzadko, dane słowo skuwa ich niczym stalowe ogniwo i wiąże na wieki. Wojna jest ich stylem życia. Są wojownikami i bardzo ich szanuję. Niektórych nauczyłem się kochać. Jakub jest jednym z nich.

— Nazira jest druga — dodała Amber.

— Ciekawe, co się z nią stało, i z naszą drogą Rebeccą. — Saffron ze smutkiem pokręciła głową. — Śnię o niej prawie co noc. Czy w wywiadzie wojskowym nie ma kogoś, kto mógłby to dla nas sprawdzić?

— Wierz mi, próbowałem zdobyć wiadomości o Rebecce.

Niestety Sudan jest odcięty od świata, jak wnętrze stalowej trumny.

Pogrąża się we własnym koszmarze. Pewnego dnia znajdziemy chęci i sposób, żeby zakończyć tę makabrę i uwolnić mieszkańców.

Rebecca będzie pierwszą, którą wyzwolimy.

Rebecca siedziała z innymi żonami Osmana Atalana na krużganku wewnętrznego dziedzińca pałacu. W chłodzie wieczoru Osman prezentował zebranym odwagę swojego niebieskookiego syna. Rebecca od wielu miesięcy wiedziała, że syn zostanie poddany tej próbie. Zakryła twarz woalem, żeby kobiety nie widziały jej strachu.

Trzy miesiące wcześniej Ahmed Habib abd Atalan został obrzezany. Rebecca płakała, opatrując okaleczonego penisa, ale Nazira ją zbeształa: — Ahmed jest teraz mężczyzną. Bądź z niego dumna, al- -Dżamal. Twoje łzy odbierają mu męskość.

Ahmed stał przed ojcem, starając się być dzielny. Miał gołą głowę, a ręce zaciskał w pięści.

— Otwórz oczy, synu. Chcę, żeby Allah i świat wiedział, że jesteś mężczyzną. Chcę, żebyś pokazał swoją odwagę mnie, twojemu ojcu.

Ahmed otworzył oczy. Już nie były błękitne, ale granatowe jak afrykańskie niebo, kiedy zbierają się burzowe chmury. Drżała mu dolna warga, a na górnej zbierały się kropelki potu. Osman machnął mieczem i ciał tuż obok jego głowy z taką siłą, że stal zabrzęczała w powietrzu. Cios, który mógł rozplatać tułów dorosłego mężczyzny, o włos minął skroń Ahmeda. Niesforne miedziane włosy zafalowały, poruszone podmuchem. Agadżerowie zamruczeli z podziwu. Ahmed utrzymał się na nogach.

— Jesteś moim synem — szepnął Osman. — Trzymaj się mocno! — Płazem miecza pogładził czubek ucha chłopca. Ahmed skulił się, czując chłodny dotyk stali.

— Nie ruszaj się — przestrzegł Osman — bo inaczej je stracisz.

Ahmed pochylił się i zwymiotował.

Osman skrzywił się pogardliwie, ale zaraz potem jego twarz się wygładziła.

— Wracaj do matki — rzekł cicho.

Chłopiec próbował zdusić szloch.

— Źle się czuję — wymamrotał bezradnie i wytarł usta grzbietem dłoni.

Osman cofnął się i spiorunował go wzrokiem.

— Idź do kobiet! — rozkazał.

Ahmed pobiegł do matki i schował twarz w jej spódnicy.

Na dziedzińcu zapadła pełna napięcia cisza. Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. Agadżerowie ledwo ważyli się oddychać. Osman już się odwracał, gdy nagle mała, drobna dziewczynka wstała w szeregach siedzących kobiet. Rebecca chciała ją zatrzymać, ale Kahrubia odepchnęła jej rękę i podeszła do ojca. On wsparł o ziemię sztych miecza i czekał. Baczenie przyjrzał się jej twarzy, po czym zapytał złowieszczo: — Cóż to za brak szacunku? Dlaczego się narzucasz?

- Ojcie, chcę pokazać tobie i Allahowi moją odwagę - powiedziała dziewczynka. Zdjęła chustkę z głowy i potrząsnęła włosami.

— Wracaj do matki. To nie jest dziecięca zabawa.

— Szlachetny ojcie, nie chcę się bawić. — Patrzyła mu prosto w oczy.

Osman podniósł miecz i ruszył ku niej krokiem lamparta, który podkrada się do gazeli. Kahruba się nie poruszyła. On nagle ciął, mierzając w jej twarz. Ostrze przemknęło parę cali od oczu. Zamrugła, ale stała jak posąg.

Ciął znowu z rozmachem. Lok spadł z bujnej czupryny na ziemię u bosych stóp. Za plecami dziewczynki Rebecca krzyknęła: — Moje maleństwo!

Kahruba nie zwróciła na nią uwagi, niewzruszenie patrząc ojcu w oczy.

— Prowokujesz mnie — wycedził Atalan i powoli głownią obrysował jej sylwetkę. Ostra jak skalpel głownia sunęła nie dalej niż na szerokość palca od jej ciała, od zewnętrznej strony jednego kolana nad udem wokół krzywizny biodra, wzdłuż ręki i ramienia do szyi. Kahruba zamknęła oczy, gdy dotknęła jej skóry, i zaraz potem je otworzyła, czując stal na policzku. Miecz przesunął się nad jej głową i zsunął do drugiego kolana. Dziewczynka nawet nie drgnęła.

Osman zmrużył oczy i cofnął ostrze tą samą trasą, ale szybciej, i potem znowu, jeszcze szybciej. Stal rozmyła się w srebrną smugę. Tańczyła przed oczyma Kahruby jak ważka. Brzęczała i szeptała jej do uszu, przemykając blisko delikatnej skóry. Rebecca płakała bezgłośnie. Nazira trzymała ją za rękę, ale sama też była bliska łez.

— Bądź cicho — szepnęła. — Jeśli Kahruba się poruszy, zginie.

Tańczące ostrze utworzyło klatkę światła wokół dziewczynki.

Nagle zatrzymało się, celując w prawe oko z odległości cala. Sztych przesunął się powoli, aż dotknął rzęs na dolnej powiece. Dziecko zamrugnęło, ale się nie odsunęło.

— Dość! — zawołał Osman i cofnął się. Rzucił miecz al--Nurowi, który chwycił go w locie.

Osman pochylił się i podniósł córkę. Przytulił ją i powiódł wzrokiem po napiętych twarzach.

— Przynajmniej w niej płynie moja krew — powiedział. Podrzucił ją wysoko w powietrze, złapał i zaniósł do Rebecki. — Masz urodzić mi drugie takie dziecko — polecił — ale, żono, tym razem dopilnuj, żeby był to chłopiec.

Wieczorem Rebecca leżała na jego łóżku. Wciąż czuła się rozbita przez wypadki dnia i przez kontrolowaną furję, z jaką się kochali. Widziała, jak tańczące srebrne ostrze grozi śmiercią jej córce, i sama umierała.

Była zupełnie naga, naczynie wypełnione świeżym nasieniem, i rozkosznie obolała w miejscu, które Osman niedawno opuścił. Uprawianie miłości czyniło ją harom, nieczystą w oczach Boga. Powinna się okryć albo wykapać i oczyścić ciało, ale ogarnęło ją rozleniwienie, nacechowane wyuzdaniem. Otworzyła oczy. Osman wrócił od okna i stał nad nią. Gdy patrzyła na niego, znów odczuła podniecenie. Kobięcy instynkt mówił jej, że Osman ją zapłodnił, co oznaczało wiele miesięcy abstynencji, do czasu urodzenia dziecka. Pragnęła go, ale widziała, że po wylaniu nasienia ma głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

— Coś cię trapi, mężu. — Usiadła i okryła się lekką narzutą.

— Kiedyś rozmawialiśmy o parowcu, który jeździ po ziemi, po wstęgach stali.

— Pamiętam, panie, ale było to wiele lat temu.

— Chcę znów pomówić o tej maszynie. Jak ją nazwałaś?

— Lokomotywa — powiedziała powoli i wyraźnie.

Powtórzył za nią, ale seplenił i przekręcił słowo. Po jej oczach poznał, że próba się nie powiodła.

— Twój język jest za trudny. — Ze złością potrząsnął głową. Nie cierpiał ponosić porażek w niczym, co robił. — Będę to nazywać parowcem lądowym.

— A ja będę wiedziała, o co ci chodzi. To lepsza nazwa niż moja, bardziej wyrazista i opisowa. — Czasami przypominał małego chłopca i trzeba było go pocieszać.

— Ilu ludzi może podróżować tą maszyną? Dziesięciu? Dwudziestu? Chyba nie pięćdziesięciu? — zapytał z nadzieją.

— Jeśli ziemia, po której jedzie, jest wyrównana, może przewieźć wiele setek ludzi, może tysiąc, a nawet kilka tysięcy.

Na twarzy Osmana odbiła się trwoga.

— Jak daleko może jechać?

— Do końca torów.

— Jednakże nie może przebyć takiej wielkiej rzeki jak Atbara? Musi się zatrzymać.

— Może, panie.

— Nie wierzę. Atbara jest głęboka i szeroka. Jak to możliwe?

— Ludzie zwani inżynierami umieją budować mosty.

— Przez Atbarę? Nie mogą przerzucić mostu nad taką szeroką rzeką. — Rozpaczliwie próbował przekonać samego siebie. — Gdzie znajdą pnie na tyle długie i mocne, żeby spiąć brzegi Atbary?

— Zbudują most ze stali, jak biegnące po nim szyny. Jak ostrze twojego miecza — wyjaśniła Rebecca. — Ale dlaczego zadajesz mi te pytania, mężu?

— Moi szpiedzy na północy donoszą, że ci przekłeci przez Boga Anglicy kładą stalowe wstęgi od Wadi Halfy przez wielkie zakole rzeki w kierunku Metemmy i Atbary. — Nagle wybuchnął gniewem. — To diabły, ci twoi niewierni współplemieńcy! — wykrzyknął.

— Już nie są moimi współplemieńcami, czcigodny mężu. Teraz należę do twojego plemienia. Jego gniew przycichł równie nagle, jak wybuchł.

— Jutro o świcie ruszam na północ, żeby zobaczyć tę potworność na własne oczy — powiedział. Ze smutkiem opuściła wzrok... znów miała zostać sama. Bez niego czuła się niepełna.

Rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty piąty przyniósł wydarzenia, które miały zmienić historię i oblicze Afryki. Brytyjskie podboje w Afryce Południowej doprowadziły do powstania nowego państwa, Rodezji. Prawie natychmiast drapieżni ludzie, którzy powołali je do istnienia, zaatakowali swoich południowych sąsiadów, Burów z Trans walu. Była to żalosna inwazja pod kierunkiem doktora Starra Jamiesona, natychmiast przechrzczona na wycieczkę. Rodacy agresorów ze złotonośnych pól Witwatersrandu obiecali wsparcie, którego nie udzielili, i niewielka grupa skapitulowała bez jednego strzału. Wyprawa ta była zwiastunem konfliktu pomiędzy Burami i Brytyjczykami, konfliktu, który zaledwie kilka lat później pochłonął setki tysięcy istnień ludzkich. W następstwie wojen burskich Transwal i jego bajeczne, złotonośne pola zostały zagarnięte przez imperium.

W Anglii Partia Liberalna Gladstone'a i lorda Rosebery została doprowadzona do upadku przez rząd konserwatystów i unionistów pod wodzą markiza Salisbury [Robert Cecil, premier Wielkiej Brytanii w latach 1895—1902]. Będąc w opozycji, zawsze hałaśliwie sprzeciwiali się polityce Gladstone'a. Po uzyskaniu przytłaczającej większości w Izbie Gmin mogli zmienić bieg spraw w tej ważnej części kontynentu afrykańskiego.

Naród wciąż odczuwał policzek, jakim był upadek Chartumu i śmierć generała Gordona. Książki w rodzaju Niewolnic Mahdiego tworzyły atmosferę, która sprzyjała oczyszczeniu okrytego hańbą imienia Gordona. W nowym Egipcie, praktycznie będącym kolonią Wielkiej Brytanii, istniało poręczne narzędzie w postaci nowej armii egipskiej, zreorganizowanej, wyszkolonej i wyposażonej

lepiej niż jakiekolwiek wojsko w Afryce na przestrzeni dziejów. Człowiek, który mógł nią pokierować, już był na miejscu — Horatio Herbert Kitchener. Wielka Brytania z coraz większą przyjemnością i entuzjazmem rozważała perspektywę przejęcia Sudanu.

Na początku roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego Brytania była gotowa do rozpoczęcia działań. Potrzebna była tylko iskra, żeby wzniecić pożar. Drugiego marca w bitwie pod Aduą Abisyńczycy zadali druzgoczącą klęskę Włochom. Kolejne europejskie mocarstwo dostało lanie od afrykańskiego królestwa. To spowodowało wzburzenie we wszystkich koloniach. Kalif Abdallahi zagroził Kassali i najechał Wadi Halfę. Do Kairu dotarły raporty o wielkim zgromadzeniu armii derwiszów w Omdurmanie. Na dodatek Francuzi ukradkiem czynili wrogie posunięcia przeciwko posiadłościom brytyjskim w Afryce, szczególnie w południowym Sudanie.

Tak oto wiele jednoczesnych wydarzeń obsadziło Wielką Brytanię w roli dalekowzrocznego zbawcy, ratującego świat przed anarchią, mściciela Chartumu i Gordona oraz obrońcy państwa Egipcjan. Honor i dumę imperium musiały zostać zachowane.

Z Londynu napłynęły rozkazy dla generała Kitchenera. Ma odbić Sudan. Ma to zrobić szybko i nade wszystko tanio. Próby uratowania Gordona i zniszczenia Mahdiego kosztowały Wielką Brytanię trzysta milionów funtów: klęska zawsze jest droższa od zwycięstwa. Kitchenerowi przyznano niewiele ponad milion funtów na wykonanie zadania, które trzysta lat wcześniej zostało spartaczone.

Kitchener wezwał starszych oficerów i przekazał im doniosłe wieści. Byli zachwyceni. Po latach znojnego szkolenia i pustynnych potyczek mieli laury w zasięgu ręki.

— Czeka was więcej potu i pęcherzy niż chwały — przestrzegł sirdar. Nie zależało mu na popularności; wolał wzbudzać strach niż sympatię. — Od dwudziestego drugiego do szesnastego równoleżnika szerokości geograficznej północnej rozciąga się bezwodna pustynia. Mamy dostęp do Nilu, ale nie możemy wykorzystać rzeki do transportu. Katarakty stoją nam na przeszkodzie. Jediną pewną drogą będzie linia kolejowa, którą zbudujemy, żeby ładem powiozła nas na bitwę. Rzekę wykorzystamy tylko na ostatnim etapie natarcia. — Powiódł po słuchaczach zimnym, niechętnym wzrokiem. — Nie ma gór do przebycia, pustynia jest płaska. Problem sprowadzi się nie tyle do technik inżynierskich, ile do ciężkiej pracy. Nie będziemy polegać na prywatnych wykonawcach. Nasi inżynierowie sprostają zadaniu.

— A co z Atbarą, panie generale? U zbiegu z Nilem ma prawie tysiąc jardów szerokości — zaznaczył pułkownik Adams.

— Już ogłosiłem przetarg na elementy mostu, które można przewieźć koleją i złożyć na miejscu. Następny przetarg, który nastąpi niebawem, będzie dotyczył dostawy rzecznych kanonierek o stalowych kadłubach. Zostaną wyekspediowane koleją za piątą kataraktę, złożone i zwodowane.

Korpus oficerów armii egipskiej natychmiast rzucił się w wir planowania i działania.

Czas i okoliczności nie były sprzyjające tylko pod jednym względem. Delta Egiptu była spichlerzem basenu Morza Śródziemnego od czasów Juliusza Cezara i Jezusa Chrystusa. Po raz pierwszy od stu lat czarna aluwialna gleba nie spełniła oczekiwań. Wydała tak mało pszenicy i durry, że nie wystarczało na potrzeby mieszkańców, a co mówić o zaopatrzeniu wielkiej armii ekspedycyjnej.

— Brakuje co najmniej pięciu tysięcy ton mąki na pierwszy etap kampanii — powiadomił dowódcę kwatermistrz. — W czasie działań wojennych będziemy potrzebować półtora tysiąca ton miesięcznie.

Kitchener zmarszczył brwi. Chleb będący podstawą wyżywienia nowoczesnej armii — pełnoziarnisty i nie taki twardy jak suchary — gwarantował zdrowie żołnierzy. Teraz dowiadywał

się, że chleba nie będzie.

— Proszę wrócić jutro — powiedział kwatermistrzowi.

Bezwłocznie udał się do sir Evelyn Baringa w przedstawicielstwie brytyjskim — nazywanie gmachu rezydencją gubernatora byłoby politycznym samobójstwem, choć w istocie pełnił on taką funkcję. Baring popierał mianowanie Kitchenera na głównodowodzącego, przedkładając go nad ludzi o większych kwalifikacjach. Nie byli przyjaciółmi, ale myśleli podobnie. Baring wysłuchał go i oświadczył: — Chyba znam człowieka, który zdobędzie dla pana chleb.

Zaopatrywał Gordona w czasie oblężenia Chartumu. Szczęśliwym trafem akurat przebywa w Kairze.

Dwie godziny później zdumiony Ryder Courtney siedział w biurze Kitchenera, przeszywany jego gadzim wzrokiem.

— Może pan to zrobić? — zapytał Kitchener. Ryder błyskawicznie zwietrzył doskonały interes.

— Tak. Mogę, ale za cztery procent prowizji, generale.

— To nosi nazwę spekulacji, panie Courtney. Mogę zaproponować panu dwa i pół.

— To z kolei nazywa się rozbojem, generale.

Kitchener zamrugał. Nie był przyzwyczajony, żeby ktoś zwracał się do niego w taki sposób. Ryder ciągnął gładko: — Jednakże z pobudek patriotycznych przystanę na pańską ofertę. Pod warunkiem że dodatkowo armia zapewni mojej rodzinie wygodny dom w Kairze, a także przyzna mi pensję w wysokości dwustu funtów miesięcznie na pokrycie bieżących wydatków.

Ryder pojechał do nadrzecznego domu Penroda, gdzie gościł z Saffron od czasu przybycia do Kairu. Był w radosnym nastroju. Saffron ostatnio chodziła zła jak osa: nie chciała wracać do Abisynii, tylko zostać w cywilizowanym, zdrowym mieście, blisko Amber. A kiedy Saffron była zła, przebywanie w jej towarzystwie przypominało życie na stoku czynnego wulkanu. Co więcej, miała większą siłę przekonywania niż zwykle, bo znów zaszła w ciążę. Ryder uważał, że przenoszenie interesów handlowych do Egiptu jest nieopłacalne, ale Herbert Kitchener zmienił dotychczasowy stan rzeczy.

Ryder zostawił konia stajennemu i wszedł na trawniki na brzegu rzeki. Jane Ballantyne, Amber i Saffron urządziły podwieczorek w altanie. Po raz kolejny czytały i z ożywieniem omawiały list od Sebastiana Hardy'ego, tego dnia rano dostarczony ze statku do apartamentu Amber w hotelu Shepherd's.

Pan Hardy z ogromną przyjemnością informował pannę Amber Benbrook o odnowieniu publicznego zainteresowania książką Niewolnice Mahdiego w związku z perspektywą wojny przeciwko diabelskiemu imperium mahdystów. Tantiemy wypłacone przez Macmillan Publishers w ciągu trzech miesięcy wyniosły pięćdziesiąt sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt trzy funty dziesięć szylingów i sześć pensów. Pan Hardy nadto pozwolił sobie za pośrednictwem adresatki poinformować wszystkie spadkobierczynie, że inwestycje poczynione przez niego na poczet funduszu powierniczego rodziny Benbrooków za sprawą powyższych względów okazały się równie intratne. Znaczne sumy ulokował w akcjach zwykłych Vickers Company, która nabyła patent karabinu maszynowego pana Maxima. Inwestycja prawie dwukrotnie zwiększyła wartość. Aktywa funduszu wynosiły obecnie ponad trzysta tysięcy funtów. W dodatku Macmillan okazał chęć opublikowania nowego rękopisu Amber, noszącego roboczy tytuł Afrykańskie marzenia i koszmary.

Bliźniaczki były do tego stopnia podekscytowane nowinami od pana Hardy'ego, że zauważyły obecność Rydera dopiero wtedy, gdy jego cień padł na stolik. Podniosły głowy.

— Skąd te śmiechy i szaleństwa? — zapytał. — Wiecie, że nie znoszę, gdy ktoś tak dobrze się bawi.

Saffron poderwała się trochę niezdarnie z powodu brzemienności i stanęła na palcach, żeby go objąć.

— Nigdy nie zgadniesz — szepnęła mu do ucha. — Jesteś mężem bogatej kobiety.

— Co więcej, jestem mężem bogatej kobiety, która mieszka na stałe w Kairze w domu opłaconym przez generała Kitchenera i armię egipską.

Odchyliła się na wyciągnięcie ramion, patrząc na niego ze zdumieniem i radością.

— Jeśli to kolejny z twoich okrutnych żartów, Ryderze Courtneyu, to... — zastanowiła się, szukając odpowiedniej groźby — to wrzucę cię do Nilu.

Uśmiechnął się zadowolony z siebie.

— Za wcześnie na pływanie. Poza tym nie możemy tracić cennego czasu. Idziemy szukać domu.

Później miał jej powiedzieć, że za parę dni musi wyjechać do Stanów Zjednoczonych i Kanady, aby wynegocjować zakup dwudziestu tysięcy ton pszenicy. Uznał, że chwila nie jest najlepsza na przekazywanie takich wieści ciężarnej żonie. Przynajmniej będzie miała zajęcie w czasie mojej nieobecności, pomyślał. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, że znudzona Saffron jest gorsza od armii derwiszów.

Ziemia drżała pod kopytami. Ośmiu jeźdźców galopowało po długim zielonym boisku. Widzowie krzyczeli i gwizdali. Po raz kolejny stawką był Puchar Nilu i honor wojskowej drużyny polo.

Biała piłka toczyła się po nierównej murawie. Pułkownik Adams dopędził ją szybko i pochylił się w siodle, podnosząc kij z młoteczką. Jego gniada klacz była równie doświadczona jak on. Skręciła płynnie za podskakującą piłką, ustawiając jeźdźca w idealnej pozycji do wykonania uderzenia. Kij i piłka spotkały się z ostrym trzaskiem i piłka poszybowała wysokim łukiem nad głowami zawodników przeciwnej drużyny, po czym spadła prosto pod kopyta siwego wałacha Penroda. Penrod przejął ją w chwili, gdy pierwszy raz odbiła się od ziemi. Wybił ją do przodu, a zwinny ogier popędził za nią niczym chart za królikiem. Penrod stuknął jeszcze dwa razy i piłka skoczyła w kierunku bramki na końcu boiska. Inni jeźdźcy ścigali siwka, uderzając piętami w boki wierzchowców, krzyząc i potrząsając wodzami, ale nie zdołali go dopędzić. Penrod wbił piłkę pomiędzy słupki i sędziowie pomachali chorągiewkami, sygnalizując gola i koniec meczu. Po raz kolejny drużyna wojskowa zdobyła Puchar Nilu.

Penrod wyjechał z boiska. Amber czekała pod parasolem. Patrzyła na niego z dumą i oddaniem. Był opalony i nieziemsko przystojny, choć od mrużenia oczu w pustynnym słońcu porobiły mu się kurze łapki. Ciało miał smukłe i mocne, zahartowane przez twardą jazdę i jeszcze twardszą walkę. Przerzucił nogę nad końskim zadem i opadł na ziemię z kocią gracją. Siwek potruchtał na spotkanie ze stajennymi: już czuł czekającą na niego wodę w wiadrze i durrę w worku.

Amber podbiegła do Penroda i przytuliła się do niego.

— Jestem z ciebie taka dumna.

— W takim razie wyjdź za mnie — powiedział i pocałował ją.

Przedłużyła pocałunek, ale w końcu zabrakło jej tchu. Ze śmiechem oderwała się od jego warg.

— Jesteśmy zaręczeni, głupku, nie pamiętasz?

— Pobierzmy się teraz. Natychmiast. W tej chwili. Nie w przyszłym roku. Czekaliśmy zbyt długo.

Spojrzała na niego uważnie.

— Żartujesz!

— Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. Za dziesięć dni ruszam na pustynię. Mamy do załatwienia pewną drobną sprawę w Omdurmanie. Pobierzmy się przed moim wyjazdem.

W gorączkowym szaleństwie wojny obyczaje i konwenanse nie mają znaczenia. Amber nie wahała się ani chwili.

— Zgoda! — zawołała i pocałowała go. Miała Saffron i Jane do pomocy w przygotowaniach. — Tak, proszę!

Wszystkie ławki w katedrze były zajęte. Przyjęcie odbyło się w Klubie Gheziera. Sir Evelyn Baring oddał młodej parze łódź mieszkalną przedstawicielstwa na miesiąc miodowy.

Popłynęli w górę rzeki do Gizy. Wieczorem wypili szampana i tańczyli na pokładzie, podczas gdy przed nimi rysowały się sylwetki piramid, podświetlone zachodzącym słońcem. Później, w dużej rufowej kabinie na szerokim łożu z pościelą z zielonego jedwabiu, Penrod zaprowadził ją delikatnie zaczarowanymi ścieżkami na górski szczyt, o którego istnieniu dotąd mogła tylko marzyć. Był cudownym przewodnikiem, cierpliwym, umiejętnym i doświadczonego, ogromnie doświadczonego.

Penrod zostawił Amber pod opieką Saffron i Jane, a sam popłynął parowcem na południe do Asuanu i Wadi Halfy, aby dołączyć do swojego pułku.

Na nabrzeżu czekał na niego Jakub, wystrojony w nowy mundur khaki. Tupnął nogą, salutując z rozmachem. Uśmiechał się zaraźliwie i zezował jak nigdy dotąd. Jakub wyrutek w końcu znalazł dom. Na rękawie nosił szewrony sierżanta korpusu wielbłądów armii egipskiej. Turban zastąpił spiczastą czapkę z prostokątem płótna, osłaniającym kark. Wciąż przyzwyczajał się do noszenia bryczesów i owijaczy na pałakowatych nogach, więc jego postawa pozostawiała wiele do życzenia.

— Efendi, niezrównany i wierny sierżant Jakub patrzy w twoją twarz z takim samym podziwem i oddaniem, z jakim księżyc spogląda na słońce.

— Moje bagaże są w kabinie, o wierny i niezrównany.

Ruszyli na południe nową linią kolejową. Podróżowali na lorze, zasypywani iskrami i spowici kłębamii dymu z komina parowozu. Sadza przyciemniła opaloną skórę Penroda i nawet Jakub stał się jeszcze bardziej brązowy. Wreszcie lokomotywa dotarła do końcówki linii i zatrzymała się z sykiem, w chmurach pary buchającej z hamulców.

Linia kolejowa przebiegała sześćdziesiąt pięć mil na terytorium derwiszów. Penrod przejął dowodzenie nad pułkiem i wysłał zwiad do kilku małych wiosek wzdłuż planowanej trasy. Rozkazał przeczesać teren i wypatrywać nieprzyjacielskiej jazdy, która, jak wiedzieli, już zmierzała na północ, żeby zakwestionować prawo przejazdu przez teren derwiszów.

Penrod stwierdził, że dobrze jest znowu oddychać gorącym, suchym powietrzem pustyni i mieć pod sobą wielbłąda. Podniecenie polowania i rychłej bitwy sprawiało, że jego nerwy drżały niczym miedziane druty telegraficzne na wietrze. Świadomość, że jest młody, silny i pełen życia, działała upajająco.

Dotarli do wioski i studni Wadi Atira. Penrod rozwinął szeregi szwadronu i okrążył skupisko glinianych chałup, wyludnionych i obracających się w ruiny. Tylko jeden przejmujący ślad świadczył o obecności derwiszów: przy wejściu do wioski stała prowizoryczna, ale jak najbardziej sprawna szubienica ze słupów telegraficznych, które zostawiło wojsko wycofujące się po upadku Chartumu. Szkielety wisielców, wciąż w łańcuchach, zostały oczyszczone i wypolerowane przez pył niesiony wiatrem.

Penrod ruszył dalej do Tandzore, gdzie zastał podobne zniszczenia. Stary brytyjski fort w Akaszy, będący pamiątką po ekspedycji zmierzającej na odsiecz Gordonowi, leżał w ruinie. Derwisze urządzili w magazynach komory śmierci: wyschnięte ludzkie zwłoki leżały na ziemi zasłanej grubą warstwą odchodów jaszczurek, skóry zrzucanej przez żmije i pancerzy skorpionów.

Penrod urządził w Akaszy umocniony obóz, bazę wypadową korpusu wielbłądów. Zostawił dwa szwadrony, a z resztą pułku ruszył w rejon Matki Kamieni, żeby szukać derwiszów.

Podczas gdy przeczesywał tereny leżące wzdłuż Nilu, linia kolejowa dotarła do Akaszy. Prowizoryczny obóz został przekształcony w silną fortecę i stację etapową, strzeżoną przez artylerię i

karabiny maszynowe Maxima.

Gdy pułk Penroda zbliżał się do Firketu, kilku Beduinów wyjechało im na spotkanie, wymachując i krzyżąc, że są przyjaźnie nastawieni. Zameldowali Penrodowi, że kilka godzin wcześniej ścigała ich grasująca grupa jazdy derwiszów. Im udało się uciec, ale pięciu ich towarzyszy zostało dościgniętych i zmasakrowanych. Penrod wysłał szwadron na drogę karawanową, która przez wąskie, zasłane głazami obniżenie biegła w kierunku odległego o pięć mil Firketu. Ledwie wjechali do wąwozu, dowódca szwadronu zobaczył przed sobą co najmniej dwustu pięćdziesięciu jeźdźców, wspieranych przez prawie dwa tysiące pieszych włóczników.

Natychmiast wydał rozkaz odwrotu, żeby wyprowadzić ludzi z wąwozu z powrotem do głównych sił Penroda. Zanim oddział zakończył manewr, derwisze przypuścili szarżę. Powstał zamęt, obie strony przesłoniła mgła brązowego pyłu, wzbijanego przez kopyta wielbłądów i koni. W tumulcie ginęły wszystkie rozkazy.

Stojąc u wylotu wąwozu, Penrod zorientował się, że okrążonym grozi klęska.

— Naprzód! — krzyknął i wyciągnął szablę. — Do ataku! Na nich! — Z trzema szwadronami wielbłądów wbił się w kłębowisko ludzi i zwierząt. Lewą ręką strzelał z webleya, a prawą rąbał odziane w dżibby postacie, ledwo widoczne w wirujących tumanach pyłu.

Przez długie minuty wynik potyczki pozostawał nierozstrzygnięty, potem derwisze ustąpili pola i wycofali się za tarcze włóczników. Zostawili na piasku osiemdziesięciu poległych i rozpoczęli odwrót w kierunku Firketu. Penrod domyślił się, że próbują wciągnąć go w zasadzkę, dlatego pozwolił im odejść.

Wjechał na górę Firket. Z wierzchołka zlustrował przez lornetkę leżące w dole miasto i natychmiast zobaczył, że instynkt go nie zawiódł. Wśród glinianych zabudowań tłoczył się trzon armii derwiszów, a linie jazdy sięgały do brzegów Nilu milę za miastem.

— W przybliżeniu trzy tysiące koni i Allah wie ilu włóczników — mruknął ponuro.

Osman Atalan przybył do Firketu dwa tygodnie po potyczce z egipskim korpusem wielbłądów. Podróżował szybko, pokonując drogę z Omdurmanu zaledwie w czternaście dni. Towarzyszyło mu dziesięciu zaufanych agadżerów.

Odkąd napłynęły wieści o pochodzie Brytyjczyków i rozpoczęciu prac na linii kolejowej z Wadi Halfy, Firket pozostawał pod komendą emira Hammudy. Osman wysłuchał meldunku niemrawego, bezmyślnego człowieka. Był zatrwożony.

— Dbaj tylko o to, co jego śliczni chłopcy mają między pośladkami — powiedział do al-Nura. — Musimy sami ruszyć na poszukiwanie wroga i wybadać, co planuje.

Około pięciu mil od Akaszy zostali zaatakowani i odparci przez grupy korpusu wielbłądów, tracąc dwóch dobrych ludzi. Zatoczyli szeroki krąg wokół wioski, a następnego dnia pochwycili dwóch Beduinów. Odarli ich z ubrań i przeszukali. Znaleźli zagraniczne papierosy i puszki kawy z obrazkiem angielskiej królowej na wieczku.

Agadżerowie przytrzymali Beduinów i obcięli im podeszwy stóp, a potem zmusili do chodzenia po rozgrzanych kamieniach. To rozwiązało nieszczęśnikom języki. Opisali wielkie zgromadzenie niewiernych żołnierzy i sprzętu w Firkecie.

Osman zrozumiał, że Brytyjczycy urządzili tam wysuniętą bazę, z której przypuszczają atak na Firket. Zawrócił przez Matkę Kamieni w kierunku Nilu, przejeżdżając dziesięć mil na północ od Akaszy. Szukał linii kolejowej z Wadi Halfy, o której zameldowali Beduini. Kolej zaprzętała mu umysł, odkąd al-Dżamal ją opisała.

Kiedy wreszcie dotarł do niej, wydawała się nieszkodliwa: bliźniacze srebrne nitki na spieczonym piasku. Zostawił al-Nura i resztę grupy na szczycie wydmy, a sam ruszył na dół, żeby

obejrzeć tory. Zsiadł z konia i czujnie zbliżył się do lśniących szyn. Były przymocowane łubkami do ciężkich tekowych podkładów. Kopnął szynę: była solidna, nie do ruszenia. Ukląkł i czubkiem sztyletu spróbował podważyć jeden z żelaznych sworzni. Ostrze pękło na dwoje.

Podniósł się i wyrzucił rękojeść.

— Przeklęte dzieło szatana! Prowadzenie wojny w ten sposób nie jest honorowe.

Nawet w pogardzie i gniewie usłyszał dźwięk, który wprawił w drżenie pustynne powietrze, daleki szmer, jak oddech śpiącego olbrzyma. Osman stanął na siodle al-Buka i popatrzył na północ wzdłuż szyn. Dojrzał maleńkie piórko dymu na horyzoncie. Piórko powiększało się, obcy kształt puchł na jego oczach, pędząc ku niemu. Wiedział, że to lądowy parowiec, o którym mówiła al-Dżamał.

Obrócił głowę al-Buka i przynaglił go do galopu. Ćwierć mili dzieliło go od podstawy wydmy. Maszyna zbliżała się szybko. Popatrzył w górę i zobaczył agadżerów na tle nieba. Zsiadł z koni, pozwalając im odpocząć.

— Padnij! — ryknął Osman, pędząc przez otwarty teren. — Niewierny was zobaczy! — Ale ludzie oddaleni o czterysta jardów nie mogli go usłyszeć. Ze zdumieniem patrzyli na zbliżającą się maszynę. Nagle chmura białego dymu wystrzeliła z lądowego parowca i rozległo się wycie oszalałego dzinna. Oszołomieni, nie próbowali się ukryć, tylko stali i gapili się na potężnego węża. Głowa syczała, wyła i wydmuchiwała czarne i białe chmury, a cielsko zdawało się sięgać po horyzont.

— Zobaczyli was! — Osman próbował ich ostrzec. — Strzeżcie się! Uważajcie! — Ujrzeni, że platformy są załadowane stalowymi szynami i skrzyniami. Na końcu dostrzegli głowy pół tuzina ludzi, którzy kucali za jakimś dziwnym urządzeniem.

— Uważajcie! — Osman pędził w górę zbocza na szczyt wydmy. Jego głos miał wysokie, desperackie brzmienie. Wtem żółty piasek pod nogami agadżerów i koni wybuchł w chmurach pyłu, jakby nagle zerwał się chamsin. W ślad za gradem kul napłynął straszliwy jazgot maxima. Grupa ludzi i koni rozpadła się, zdmuchnięta jak suche liście.

Lufa karabinu skierowała się w stronę Osmana, ale tańczący zygzak kul nie zdołał go dopędzić. Al-Buk pokonał wierzchołek. Osman zeskoczył z siodła. Wciąż był oszołomiony potwornością lądowego parowca, ale pobiegł do swoich ludzi. Większość z nich nie żyła, tylko al-Nur i Muman Dinga trzymali się na nogach.

— Zajmij się rannymi — rozkazał Osman. Położył się na szczycie wydmy i wyjrzał na drugą stronę. Patrzył, jak długi łańcuch wagonów wiję się dnem doliny, zmierzając w kierunku Akaszy.

W ciągu krótkiej chwili, w której byli wystawieni na ogień z maxima, ośmiu ludzi zginęło na miejscu, a czterech zostało poważnie rannych i czekała ich śmierć. Czterech przeżyło. Pięć koni nie odniosło szwanku. Osman dobił ranne zwierzęta, zostawił bukłaki rannym, żeby złagodzić ich konanie, zebrał agadżerów i zawrócił do Firketu.

Teraz, gdy przekonał się o rozmiarze pracy na nich niszczycielskiej siły, zdał sobie sprawę, że ma ograniczony wybór. Niewiele mógł zrobić, żeby stawić opór i zatrzymać wroga w Firkecie. Postanowił skoncentrować wojsko na brzegach rzeki Atbary i tam uderzyć na nieprzyjaciela przeważającą siłą.

Zdjął ze stanowiska zdeprawowanego, nieudolnego emira Hammuda. Dowodzenie powierzył emirowi Azrakowi, który stanowił zupełne przeciwieństwo swego poprzednika. Był fanatycznym wyznawcą Mahdiego, kierował licznymi śmiałymi i brutalnymi najazdami na Turków i niewiernych, jego imię było dobrze znane w Kairze i w razie schwytania nie mógł liczyć na łaskę. Ten człowiek umiał walczyć do upadłego. Osman rozkazał Azrakowi jak najdłużej opóźnić wroga w Firkecie, a w

ostatniej chwili z całym wojskiem wycofać się nad Atbarę. Sam pojechał do Omdurmanu.

Natychmiast po jego odjeździe Hammuda zakwestionował dymisję i wdał się w długotrwały zatarg z Azrakiem, który ich obu pozbawił sił.

W tym czasie sirdar zbudował bazę w Akaszy. Ludzie i sprzęt, prowiant i amunicja zostały sprawnie przywiezione kolejną. Z dziewięcioma tysiącami żołnierzy pod osobistą komendą generała Kitchener runął na miasto Firket. Derwisze zostali zdziesiątkowani, a ci, którzy przeżyli, rzucili się do beładnej ucieczki. Hammuda zginał w czasie pierwszej szarży. Azrak uciekł z niespełna tysiącem ludzi na południe, żeby nad Atbarą dołączyć do Osmana. Kitchener z korpusem wielbłądów ścigali ich wzdłuż brzegu rzeki, biorąc do niewoli setki ludzi, a także przejmując konie i wielkie zapasy ziarna.

W ciągu kilku tygodni cała prowincja Dongola przeszła w ręce generała. Niszczycielska siła podjęła powolny marsz na południe, ku Atbarze. Miesiąc po miesiącu i mila po znojnnej mili linia kolejowa rozwijała się niczym jedwabna nić. Wydłużała się mniej więcej milę dziennie, ale zdarzały się odcinki nawet trzymilowe.

Robotnicy napotykali niespodziewane utrudnienia i przeszkody. Wybuchła cholera i na pustyni wykopano setki grobów. Pierwsza fałszywa fala powodziowa przyniosła „zielony przybór”, czyli wszystkie nieczystości, które w czasie Niskiego Nilu zalegały na brzegach. Nie było innej wody do picia. Dyzenteria szalała w wojskowych obozach. Rozpętały się straszne burze i z nieba, z którego zwykle nie spadała kropla deszczu, lały się strugi wody. Rwące potoki zmyły całe mile torów, kolejne mile znalazły się pod sześcioma stopami wody.

Pierwsza kanonierka o stalowym kadłubie, Zafir, została przywieziona w częściach z Wadi Halfy i złożona w prowizorycznym warsztacie skutniczym w Koszeh na czystej wodzie nad kataraktami. Stateczną i imponującą, zwodowano z generałem Kitchenerem i jego sztabem na pokładzie. Gdy w kotłach podniesiono ciśnienie, rozległ się huk, jakby ciężka artyleria oddała salwę. Zafir został wyłączony z akcji do czasu sprowadzenia z Angli i zainstalowania nowych kotłów.

Mimo to niepohamowany marsz trwał dalej. Garnizony derwiszów w Abu Hamed i Metemmie zostały opanowane, a załoga uciekła nad Atbarę. Kitchener zbombardował wielką obronną zarebę Osmana Atalana, a potem kulami i bagnetami otworzył wejście do środka. Arabowie albo uciekali, albo walczyli do śmierci. Czarni sudańscy żołnierze, którzy wojowali ochoczo tak dla niewiernych, jak i dla derwiszów, zostali zwerbowani do armii generała Kitchenera.

Zwycięstwo nad Atbarą było rozstrzygające. Ekspedycyjne siły Kitchenera udały się do letnich koszar, gdzie miały czekać na przybór wody w rzece przed ostatecznym marszem na Omdurman.

Penrod, raniony włócznią w udo, dostał urlop zdrowotny. Wrócił kolejną i parowcem do Asuanu, a stamtąd do Kairu.

Amber nie posiadała się z radości, że ma Penroda przy sobie, we dnie i w nocy. Lady Jane Ballantyne, ponaglana przez męża, wróciła do Clercastle. Zaplanowany na trzy tygodnie pobyt w Afryce przeciągnął się prawie do dwóch lat. Sir Peter był zmęczony kawalerskim życiem.

Ryder Courtney wrócił z bardzo udanej wizyty w Stanach Zjednoczonych i Kandzie. W dokach Aleksandrii już wyladowywano zakupioną przez niego pszenicę. Wrócił do domu tuż przed narodzinami syna. Dowiedział się, że gdy tylko kampania sudańska dobiegnie końca, sir Evelyn Baring skieruje swoją energię i środki chędywa na realizację wielkich prac irygacyjnych w górnym biegu Nilu. Celem projektu było nawodnienie prawie dwustu tysięcy akrów żyznej czarnej gleby i tym samym uniezależnienie rolnictwa od corocznych wylewów Nilu. Ryder nabył dwadzieścia tysięcy akrów jednym spekulacyjnym posunięciem. Ta mądra decyzja w ciągu dziesięciu lat miała uczynić go bawełnianym milionerem. Rana uda zagoiła się czysto. Penrod wyczytał w monitorze, że

został przedstawiony do Orderu za Wybitną Służbę za dokonania w bitwie pod Firketem i nad Atbarą. Amber zgubiła swój księżyc, ale za radą Saffron nie powiadomiła męża o tym doniosłym zdarzeniu.

— Zaczekaj, dopóki nie będziesz pewna — powiedziała Saffron.

— A jeśli odgadnie prawdę, zanim mu powiem? — Amber była cała w nerwach. — Poczuj się urażony.

— Moja droga, Penrod jest mężczyzną. Nie poznałby się na ciąży, nawet gdyby się o nią potknął.

Z nadejściem chłodów zwiastujących porę Wysokiego Nilu i podjęcie kampanii Penrod ucałował Amber na pożegnanie. Nieświadom rychłego wyniesienia do stanu ojcostwa, popłynął w górę rzeki do wielkiego obozu wojskowego nad Atbarą.

Po przybyciu na miejsce Penrod zobaczył, że obóz rozciąga się na wiele mil wzdłuż brzegu rzeki, a sam Nil przypomina port jakiegoś bogatego europejskiego miasta z lasem masztów i kominów. Feluki i gajasy, barki, parowce i kanonierki tłoczyły się na kotwiczowisku. Wśród nich królowało sześć niedawno złożonych opancerzonych kanonierek, uzbrojonych w dwunasto- i sześć-funtowe szybkostrzelne działka, z bateriami karabinów maszynowych Maxima na górnych pokładach. Były wyposażone w nowoczesne windy amunicyjne, reflektory i dźwigi parowe. A jednak ich zanurzenie wynosiło tylko trzydzieści dziewięć cali, a śruby nadawały im prędkość do dwunastu węzłów. Cztery starsze kanonierki z kołami sterowymi na rufie, pochodzące z epoki „Chińczyka” Gordona, również były uzbrojone w dwunastofuntowe działka i maximy.

Sirdar poprosił Londyn o liniowe brytyjskie oddziały, żeby wzmocnić już potężną armię egipską. Prośba została przyjęta. Pułki z Warwicksire i Lincoln, górale z Seaforth i Cameron, fizylierzy z Northumberland i Lancashire, brygada strzelców, grenadierzy i lansjerzy rozbili obozy w wielkiej zarebie. Artyleria obejmowała szeroki wachlarz dział od czterdziestofuntowych haubic po baterie polowe i konne. Na wzniesieniu pośrodku zareby stał wielki biały namiot głównodowodzącego, a ponad nim na wysokim maszcie powiewała egipska flaga.

Penrod stwierdził, że jego wielbłądy są tłuste i silne, a ludzie w tym samym stanie. Życie w letnich koszarach pod nieobecność dowódcy było relaksujące. Penrod z wielkim zapałem poderwał ich do działania.

Gdy pierwsza zielona fala przybierającego Nilu przelała się przez przełom Szabluka, rozpoczął się wielki marsz. Trzydzieści tysięcy żołnierzy z taborem posuwało się na południe do pierwszego obozu etapowego przy przełomie. Tutaj szeroka na milę rzeka zwężała się do zaledwie dwustu jardów pomiędzy czarnymi, stromymi urwiskami. Pięćdziesiąt sześć mil dzieliło ich od Chartumu i Omdurmanu. Następny obóz etapowy leżał tylko siedem mil dalej, naprzeciwko wyspy Royan, ale były to mile trudne i niebezpieczne.

Kanonierki przedarły się przez wartkie, pełne wirów bystrza, holując za sobą barki. Na niefortunym Zafirze powstał przeciek i statek zatonął w szczękach przełomu. Oficerowie i ludzie w ostatniej chwili uszli z życiem.

Droga piechoty i kawalerii do wyspy Royan była dwa razy dłuższa. Aby ominąć skaliste wzgórza Szabluka, musieli zatoczyć szeroki łuk przez pustynię. Wielbłądy Penroda niosły dla nich wodę w żelaznych pojemnikach.

Kiedy dotarli do wyspy Royan, szlak do Omdurmanu stał przed nimi otworem. Wielka armia ludzi, zwierząt, łodzi i dział niepowstrzymanie parła do przodu, ociężale i złowieszczo.

Wreszcie niska linia wzgórz Kerreri skryła Omdurman przed lornetkami brytyjskich oficerów. Wciąż nie było widać śladu derwiszów. Może porzucili miasto i uciekli. Sirdar wysłał kawalerię na zwiady.

Kalif Abdallahi zebrał w Omdurmanie prawie stutysięczne wojsko. Dokonał przeglądu pod miastem na szerokiej równinie poniżej wzgórz Kerreri. Proroctwo wygłoszone przez pewnego świętego mułłę na łożu śmierci głosiło, że na wzgórzach rozegra się wielka bitwa, która zadecyduje o przyszłości mahdyzmu i Sudanu.

Nikt, kto widział potężną armię derwiszów, nie mógłby wątpić w wynik bitwy. Galopujące regimenty rozciągały się na cztery mile, jeźdźcy i czarni sudańscy włócznicy przewalali się fala za falą. W kulminacyjnym momencie przeglądu Abdallahi zwrócił się do nich z płomienną przemową. W imieniu Allaha i Mahdiego zlecił im wypełnienie obowiązku.

— Przed Bogiem przysięgam, że będę w pierwszym szeregu.

Emirowie i kalifowie najbardziej obawiali się kanonierek. Szpiedzy donosili o nadzwyczajnej sile rażenia tych statków. Abdallahi obmyślił, jak zapobiec zagrożeniu. Wśród europejskich jeńców wciąż przebywających w Omdurmanie był stary niemiecki inżynier. Abdallahi kazał go przyprowadzić i zdjąć mu łańcuchy. Zwykle było to preludium do egzekucji i Niemiec padł na ziemię, sparaliżowany ze strachu.

— Chcę, żebyś zbudował dla mnie miny wybuchowe do postawienia w rzece — powiedział mu Abdallahi.

Stary inżynier, rad z odroczenia egzekucji, z entuzjazmem i energią zabrał się do pracy. Dwie stalowe beczki wypełnił tysiącem funtów prochu strzelniczego. Jako detonatora użył załadowanego, odbezpieczonego pistoletu. Do spustu przymocował mocną linkę. Ostre szarpnięcie miało spowodować wystrzał, który zdetonuje zawartość kotła.

Pierwszą wielką minę załadowano na Iszmaelię, parowiec derwiszów. Z niemieckim inżynierem i stu pięćdziesięcioma ludźmi na pokładzie statek wypłynął na środek kanału. Tam opuszczono ładunek za burtę. Gdy spoczął na dnie, kapitan parowca z powodów, jakich nigdy nie miał okazji wyjaśnić, postanowił szarpnąć sznur przymocowany do spustu.

Skuteczność miny została przekonująco zademonstrowana Ab-dallahiemu, jego emirom i dowódcom, którzy patrzyli z brzegu. Iszmaelia wraz z kapitanem, załogą i niemieckim inżynierem wyleciała w powietrze.

Gdy Abdallahi przyszedł do siebie po łagodnym wstrząsie mózgu, spowodowanym wybuchem, nie krył zachwytu nad nową bronią. Rozkazał kapitanowi innego parowca postawić drugą minę w kanale. Roztropnie zachowując środki ostrożności, polecił zalać beczkę wodą przed załadowaniem na pokład. Unieszkodliwioną minę postawiono w kanale Nilu bez najmniejszych problemów. Abdallahi nagroził kapitana i obsypał go zaszczytami.

Dowódcy czekali na przybycie niewiernych. Szpiedzy codziennie przynosili meldunki o powolnym, ale nieustającym marszu Brytyjczyków. Osman Atalan lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał siłę i determinację twardych nowożytnych krzyżowców. Kiedy straż przednia niewiernych dotarła do Merrehu, zaledwie cztery mile od wzgórz Kerreri, wyjechał z al-Nurem i Mumanem Digną, żeby z wyżyn spojrzeć na armię nieprzyjaciela. Pomimo wzbijanego pyłu zobaczył maszerujące kolumny i lśniące w słońcu groty lanc kawalerii. Widział błyski heliografów, przesyłających niezrozumiałe wiadomości. Potem spojrział na flotyllę kanonierek, pięknych i śmiertelnych, płynących w górę Nilu. Pojechał do pałacu w Omdurmanie i wezwał swoje żony.

— Wysyłam was z dziećmi do meczetu w oazie Gedda. Tam na mnie zaczekacie. Przybędę do was po wygranej bitwie.

Rebecca i Nazira spakowały dobytek na wielbłądy, zabrały troje dzieci i z eskortą agadżerów opuściły miasto.

— Dlaczego ci niewierni chcą zrobić nam krzywdę? — zapytał Ahmed żałośnie. — Co

poczniemy, jeśli zabiją naszego szlachetnego, umiłowanego ojca? — Ahmed nie odziedziczył urody po rodzicach. Oczy miał niebieskie, ale blisko osadzone i podejrzliwe. Z powodu wystających zębów przypominał wielkiego, rudawego szczura.

— Nie płacz, bracie. Cokolwiek zrządzi Allah, musimy być dzielni i zaopiekować się naszą czcigodną matką— odparła Kahruba.

Rebecca poczuła ból w sercu. Tak bardzo się różnili: Ahmed był brzydki, nieśmiały i lękliwy, Kahruba zaś piękna, nieustraszona i nieokiełznana. Rebecca przytuliła niemowlę do piersi, kołysząc się w siodle pod bawełnianym baldachimem, który chronił ją przed słońcem. Córeczka leżała apatycznie w jej ramionach. Drobne ciało było rozpalone i spocone od trawiącej je gorączki. W Omdurmanie panowała zaraza.

Mała karawana z kobietami i dziećmi dotarła do oazy godzinę po zmroku.

— Spodoba ci się tutaj — powiedziała Rebecca do Ahmeda. — Tu się urodziłeś. Mułowie są mądrzy. Nauczą cię wielu rzeczy. — Ahmed był urodzonym uczonym, głodnym wiedzy. Na córkę nawet nie próbowała wpływać. Kahruba była samodzielna, krnąbrna i nie słuchała nikogo, chyba że miała w tym swój interes.

Tej nocy, leżąc na wąskim łóżku i przytulając chore dziecko, Rebecca rozmyślała o bliźniaczkach. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, gdy dowiedziała się, że armia egipska zmierza niepowstrzymanie na południe wzdłuż rzeki.

Minęło wiele lat, odkąd rozstała się z Amber, i jeszcze więcej od ucieczki Saffron ciemnymi ulicami Chartumu. Wciąż nosiła w sercu żywy obraz sióstr. Łzy zapiekły ją w oczy. Jak wyglądają teraz? Czy wyszły za mąż? Czy mają dzieci? Czy w ogóle żyją? Na pewno by jej nie poznały. Wiedziała, że stała się arabską żoną, wyniszczoną po porodach, postarzałą z troski. Westchnęła z żalem, a dziecko zakwiliło. Zmusiła się do zachowania spokoju, żeby córeczka mogła odpocząć.

Przeniknął ją dziwny, niewytłumaczalny lęk przed tym, co miały przynieść następne dni. Opadło ją przecucie nadciągającego nieszczęścia. Życie, do którego przywykła, świat, do którego teraz należała, legnie w gruzach, jej mąż zginie, dzieci być może także. Na co jeszcze mogła mieć nadzieję? Ile jeszcze mogła znieść?

Wreszcie zapadła w niespokojny, odrętwiający sen. Kiedy się zbudziła, dziecko w jej ramionach było zimne i sztywne. Rozpacz przepełniła jej duszę.

Brytyjska i egipska kawaleria posuwała się do przodu. Po Nilu na lewo płynęły kanonierki. Przed nimi wznosiły się wzgórza Kerreri. Wielbłądy Penroda kłusowały na prawej flance straży przedniej. Oddział wspiał się na pierwsze zbocze i zatrzymał na wierzchołku. W dole Penrod zobaczył widły dwóch wielkich rzek, a w nich opuszczone ruiny Chartumu.

Wprost przed nim w Omdurmanie wznosiła się brązowa kopuła wielkiej budowli. Nie było jej w czasie jego ucieczki. Wiedział, że w środku miasta wzniesiono grób Mahdiego. Nic innego nie uległo zmianie.

Szeroką równinę, upstrzoną kępami kolczastych krzaków, z trzech stron otaczały nagie, kamieniste wzgórza. Pośrodku, jak wielki pomnik, wznosił się stożkowaty pagór Surgham. Od niego odchodziło długie, niskie pasmo przysłaniające podłużne obniżenie. Penrod nie dostrzegł śladu derwiszów. Posłuszny ścisłym rozkazom, zatrzymał oddziały na wyżynie i patrzył, jak szwadron brytyjskiej kawalerii ostrożnie posuwa się naprzód.

Nagle na równinie zapanował ruch. Setki maleńkich cętek oderwały się od czegoś, co wyglądało na zarebę z kolczastych gałęzi. Była to straż przednia derwiszów. Ruszyli na spotkanie z brytyjską kawalerią. Pierwszy szereg żołnierzy zsiadł z koni i rozpoczął ogień karabinowy o dalekim zasięgu. Kilku derwiszów poległo, a ich towarzysze niespiesznie zawrócili.

Potem nastąpiła zdumiewająca przemiana. Ciemna ściana zareby zbudziła się do życia. Okazało się, że tworzyły ją nie krzaki, lecz ludzie, dziesiątki tysięcy wojowników. Za nimi na wąski grzbiet pośrodku równiny wylała się masa innych. Jak plaga szarańczy, ruszyli zbitą chmarą. Konni krążyli pomiędzy dywizjami, szwadrony dzikiej jazdy skręcały. Ponad szeregi falowały setki chorągwi, lśniły miriady włóczni. Nawet z tej odległości Penrod słyszał łoskot bębnow wojennych i wrzask tręb ombeja.

Przez lornetkę zlustrował zbite szeregi nieprzyjaciela i w środku dostrzegł wyróżniający się czarno-szkarłatny sztandar Osmana Atalana.

— Przybył mój wróg — szepnął, mimo woli przechodząc na arabski.

Sierżant Jakub złośliwie wyszczerzył zęby i przewrócił okiem.

— Kismet — powiedział. — Tak było zapisane!

Oderwali oczy od budzącego postrach i podziw spektaklu, kierując je na rzekę. Flotylla kanonierek wymieniała strzały z fortami derwiszów, które na obu brzegach strzegły podejścia do miasta. Grzmot artylerii odbijał się echem od wzgórz. Ostrzał z kanonierek był szybki i morderczo celny. Strzelnice fortów zostały roztrzaskane, a działa zdmuchnięte z lawet. Karabiny Maxima przeczesaly okopy po obu stronach fortów, wybijając derwiszów.

Nagle zbliżająca się chmara stanęła. Wojownicy wypalili z karabinów w powietrze na znak salutu i wyzwania, ale zamiast przejść do natarcia, zaczęli układać się na ziemi. Zbliżał się wieczór i stało się jasne, że tego dnia nie przypuszczają ataku.

Kanonierki ostrzelały forty i grób Mahdiego, częściowo niszcząc kopułę. A potem flotylla odpłynęła w dół rzeki i zakotwiczyła naprzeciwko wojskowych zasieków. Zapadła noc.

Na tyłach armii derwiszów Osman Atalan siedział przy małym ognisku z kalifem Abdallahim. Rozmawiali o wydarzeniach i potyczkach dnia i planowali dzień jutrzejszy. Nagle ze środka rzeki spojrzalo na nich wielkie cyklopie oko. Abdallahi z wrzaskiem zerwał się na nogi.

— Co to za czary?

— Dostojny Abdallahi, niewierni nas obserwują.

— Złożyć namiot! — krzyknął kalif. — Zobaczają go. — Zakrył oczy rękami, żeby nie raziło go światło, i rzucił się na ziemię. Nie bał się ludzi, ale teraz miał do czynienia z czarami.

Dwie wielkie armie, rozdzielone czterema milami przestrzeni, spędziły godziny ciemności na niespokojnym śnie i czuwaniu, niecierpliwie wyglądając świtu. O wpół do piątej rano trębki w nadrzecznym obozie zagrały pobudkę. Dołączyły do nich bębny i piszczałki. Piechurzy i artylerzyści stanęli pod bronią, kawalerzyści siedli na koń.

Przed wschodem słońca patrole kawalerii ruszyły kłusem. Ponieważ nie doszło do nocnego ataku, podejrzewali, że derwisze wycofali się pod osłoną nocy i zbocza będą wyludnione. Na czele trzech szwadronów wielbłądów Penrod wspiał się na szczyt zbocza i spojrzal w kierunku miasta i wzgórz Surgham. Nawet w nikłym świetle było widać, że ostrzał z kanonierek uszkodził kopułę grobu Mahdiego. Penrod zlustrował równinę i zobaczył, że pokrywają ją ciemne łaty i smugi. Potem wstał szybki afrykański świt.

Oczom Penroda ukazała się cała potęga derwiszów. Nagle zaczęła toczyć się frontem szerokim prawie na pięć mil. Groty włóczni migotały ponad szeregi, kawaleria galopowała wokół powoli przesuających się mas ludzkich. Huczały bębny, ryczały ombeja z kości słoniowej, derwisze krzyczeli. Panowała ogłuszająca wrzawa.

Wojska derwiszów były jeszcze niewidoczne dla głównej armii egipskiej i kotwiczących dalej kanonierek, lecz żołnierze usłyszeli zgiełk. Atak rozwijał się szybko. Zdyscyplinowane legiony derwiszów poruszały się z celową determinacją. Brytyjska i egipska kawaleria wycofała się przed

nimi.

Pierwsze szeregi derwiszów, wymachujących setkami chorągwi i bijących w bębny, wspięły się na wzniesienie. W dole ujrzeli czekającą armię niewiernych. Nie zawahali się, wystrzelili z karabinów w powietrze i ruszyli w dół stoku. Sirdar pozwolił im podejść, czekając, aż znajdą się na odsłoniętym zboczu. Jego artylerzyści i kapitanowie kanonierek dobrze znali zasięg dział. Jednakże to nie Brytyjczycy rozpoczęli ostrzał. Derwisze przyciągnęli kilka wiekowych armat Kruppa i pociski wybuchły przed brytyjskim obozem.

Kanonierki i baterie polowe odpowiedziały ogniem. Niebo nad zbliżającą się ciżbą upstrzyły obłoki wybuchających szrapneli, podobne do otwierających się w słońcu torebek bawełny. Las powiewających sztandarów pochylił się i upadł niczym trawa w porywie wiatru. Podniósł się, gdy ludzie idący za poległymi pochwycili drzewce.

Kawaleria wycofała się, oczyszczając pole dla armat. Derwisze posuwali się, ale ich szeregi stopniowo rzedły i zostawiali za sobą zbocze gęsto zasłane trupami. Gdy weszli w zasięg karabinów i maximów, rozpoczęła się rzeź. Karabiny rozgrzały się tak mocno, że trzeba było zastąpić je bronią z kompanii rezerwowych. Woda gotowała się w pojemnikach maximów i załoga musiała uzupełniać ubytki z manierek.

Osman i Abdallahi zaplanowali frontalny atak w ten sposób, żeby główne siły mogły uderzyć z flanki w wojsko niewiernych. Ludziom masakrowanym przez działa na otwartym terenie nie brakowało odwagi, ale nie byli elitą armii derwiszów. Doborowe oddziały dopiero wychodziły zza grzbietu.

Penrod zajął pozycję na skrzydle i szykował się do starcia z niedobitkami pierwszej szarży, kiedy nagle zza niedalekiego pasma wyłoniły się tysiące wrogich jeźdźców. Musiał wycofać szwadrony i spróbować przebić się do obozu. Pędzili na łeb, na szyję, a wyjący z podniecenia derwisze deptali im po piętach. Jedna z kanonierek, odgrywająca rolę niańki, czuwała nad rozwojem sytuacji. Popłynęła w dół rzeki i w chwili gdy umykające oddziały Penroda miały ulec przeważającej sile, rozpoczęła morderczy ogień z maximów. Strzały z niewielkiej odległości wywołały wstrząsający efekt. Jazda derwiszów skotłowała się, tylne szeregi zawróciły. Penrod wprowadził szwadrony do bezpiecznego obozu.

Teraz sirdar mógł przypuścić ostateczny atak na miasto. Derwisze byli w odwrocie, droga została otwarta. Szeregi kawalerii pokonały grzbiet, zmierzając w kierunku strzaskanego grobu Mahdiego.

Ale derwisze nie zostali pokonani. Gdy brytyjskie oddziały zbliżyły się do wzgórza Surgham i piaszczystego pasma, zobaczyły, że w dolinie kryje się kwiat armii Osmana Atalana i kalifa Abdallahiego. Dwadzieścia pięć tysięcy agadżerów i pustynnych wojowników wypadło z zasadzki i runęło na Brytyjczyków.

Walka była straszna. Kanonierki nie mogły brać w niej udziału. Brytyjscy lansjerzy zostali zaskoczeni przez przyczajonych agadżerów Osmana i musieli szarżować wprost na nich. Dzika, niezdyscyplinowana piechota nie sprostowała szarży, ale wspierali ją konni. Wojownicy przyciskali lufy karabinów do boków brytyjskich wierzchowców i strzelali, podcinali ścięgną innym i ściągali jeźdźców z siodeł.

Lansjerzy ponieśli wielkie straty. Al-Nur zabił trzech ludzi. Ta krótka krwawa akcja była tylko epizodem w głównej bitwie, która rozgrywała się na równinie wokół wzgórza Surgham.

Brytyjczycy i Egipcjanie sprawiali się znakomicie. Brygady wykonywały manewry precyzyjnie, jak na placu musztry, dając odpór kolejnym szarżom. Oficerowie kierowali ogniem z chłodnym doświadczeniem. Maximy dokonywały rzezi, ale derwisze mieli niehumanitarną odwagę — ognia fanatyzmu nie można było ugasić. Szarżowali i ginęli, stosy trupów zaścielały pole bitwy, lecz nowe

hordy odzianych w dżibby postaci wyrastały jak spod ziemi, rzucały się na działa i bagnety i ginęły. Z kłębow dymu, który wisiał nad zmasakrowanymi zwłokami, wyłaniali się co rusz nowi wojownicy.

A maximy śpiewały chóralnie.

Do południa było po wszystkim. Abdallahi uciekł z miejsca walki, zostawiając niemal połowę swoich wojowników. Brytyjczycy i Egipcjanie stracili czterdziestu ośmiu ludzi, przy czym prawie połowę stanowili lansjerzy, którzy polegli w czasie dwóch zgubnych minut nieustraszonej, ale bezsensownej szarży.

Penrod jako jeden z pierwszych wjechał do Omdurmanu. Wśród zapowietrzonych, cuchnących ruder nie brakowało małych gniazd oporu, ale nie zważając na nie, udał się z oddziałem swoich ludzi do pałacu Osmana Atalana. Budynki były wyludnione. Przemierzał je z szablą w dłoni, wykrzykując: — Rebecco! Gdzie jesteś? — Jego głos tłukł się echem po pustych pokojach.

Nagle usłyszał szmer za plecami i okrzyk się w porę, żeby odbić sztylet wymierzony między łopatki. Gdy przeciwnik drugi raz składał się do ciosu, Penrod machnął szablą i przeciął mu nadgarstek do kości. Arab wrzasnął, sztylet wypadł mu z ręki. Penrod przyłożył napastnikowi sztych do gardła i przycisnął do ściany. Poznał agadżera z otoczenia Osmana Atalana.

— Gdzie one są? — zapytał. — Gdzie al-Dżamal i Nazira?

Trzymając się za zranioną rękę, Arab splunął na niego.

— Efendi — odezwał się Jakub zza ramienia Penroda. — Zostaw go mnie. Ja z nim pogadam.

Penrod pokiwał głową.

— Zaczekam przy wielbłądach. Pospiesz się.

— Wyzuty z sumienia Jakub straci niewiele czasu.

Dwa razy Penrod usłyszał wrzask Araba, za drugim razem cichszy. Jakub wyszedł z pałacu.

— Oaza Gedda — powiedział i wytarł ostrze sztyletu w kark wielbłąda.

W oazie Gedda, leżącej w basenie wśród kredowych wzgórz, nie było wody powierzchniowej, tylko jedna głęboka studnia z wapienną cembrowiną. Otaczał ją gaj palm daktylowych. Kopuła świętego grobu była oddalona od wyższej kopuły meczetu i kwater mułłów.

Penrod, nadjeżdżając z pustyni, zobaczył wśród palm grupę bawiących się bosych chłopców i dziewcząt w długich, brudnych koszulach. Miedzianowłosego chłopczyk gonił inne dzieci, które rozbiegały się z piskiem i ze śmiechem. Gdy zobaczyły zbliżający się oddział na wielbłądach, wrosły w ziemię i wytrzeszczyły duże, ciemne oczy. Najstarszy chłopiec odwrócił się i pobiegł do meczetu. Pozostali pospieszyli za nim. Po ich odejściu oaza wydała się milcząca i pusta.

Penrod usłyszał rzenie. Spętany koń stał za węglem meczetu, skubiąc paszę ze sterty. Był to kary ogier.

— Al-Buk!

Penrod ściągnął wodze spory kawałek przed drzwiami meczetu, zeskoczył z siodła i rzucił je Jakubowi. Dobył szabli i ruszył powoli. Drzwi były szeroko otwarte, ale wewnątrz kryło się w mroku.

— Osmanie Atalanie! — Echo na wzgórzach przez chwilę przedrzeźniało okrzyk Penroda. Potem zapadła cisza.

Penrod dostrzegł ruch w cieniście wnętrzu. Osman Atalan wyszedł w słońce. Jego zacięta, okrutna twarz była nieprzenikniona. W prawicy trzymał miecz. Nie miał tarczy.

— Przyszedłem po ciebie — powiedział Penrod.

— Tak — odparł Osman. Srebrne nitki pobłyskiwały w jego brodzie, ale spojrzenie miał niezachwiane. — Spodziewałem się. Wiedziałem, że przybędziesz.

— Dziewięć lat.

— Zbyt długo, lecz teraz nadeszła pora. — Osman zszedł po schodach, a Penrod cofnął się o

dziesięć kroków, żeby zrobić miejsce do walki. Zaczęli krążyć we wdzięcznym menuecie. Lekko zetknęli ostrza i stal zadźwięczała niczym kryształ.

Zatoczyli drugi krąg, patrząc sobie w oczy, wypatrując słabości; mogła powstać w ciągu lat, które minęły od ich ostatniej walki. Nie znaleźli żadnej. Osman poruszał się jak kobra, spięty i gotów do zadania ciosu. Penrod był niczym ichneumon, szybki i pełen gracji.

Skrzyżowali broń i obrócili się, a potem jakby na dany znak skoczyli jeden na drugiego. Ostrza ześliznęły się. Znowu odskoczyli, zatoczyli krąg i zaatakowali. Szabla i miecz rozmyły się w srebrne smugi, zderzając się z brzękiem. Penrod nacierał twardo, zmuszając Osmana do obrony, nie dając mu chwili wytchnienia. Osman cofnął się, a potem przypuścił zażarty kontratak. Penrod ustępował powoli, każąc mu drogo płacić za każdy cal.

Penrod uważnie obserwował adwersarza. Zamachnął się, mierząc w głowę. Osman sparował. Ostrza skrzyżowały się i znieruchomiały. Obaj mocno zaparli się nogami o ziemię, całym ciężarem ciała napierając na broń przeciwnika. Małe kropelki potu wystąpiły im na czoła. Patrzyli sobie w oczy i wyteżali siły. Penrod wyczuł miękkość w ręce Osmana. Chcąc poddać go próbie, cofnął broń i odskoczył.

Gdy ostrza się rozłączyły, Osman spróbował wykorzystać chwilowy brak zasłony i dźgnął w prawy łokieć przeciwnika, ale na tę starą sztuczkę Penrod był przygotowany. Wydawało mu się, że Osman ma powolne ruchy. Penrod uderzył w głównię miecza i wykręcił młyńca.

Myliłem się co do jego powolności, Penrod zmienił zdanie, gdy znów zaczęli krążyć. Po prostu nie porusza się tak szybko jak kiedyś. Czy ze mną jest tak samo?

Zamarkował pchnięcie w twarz i odchylił się do tyłu, lecz Osmanowi prawie udało się go zaskoczyć. Jego miecz uderzył jak piorun. Penrod odbił cios w ostatniej chwili. Osman znów spóźnił się z zasłoną, co było jego starym, złym nawykiem. Penrod wymierzył cięcie.

Szabla musnęła klatkę piersiową pod pachą, tnąc ciało do kości, ale nie znalazła luki pomiędzy żebrami. Zatoczyli kolejny krąg. Osman krwawił obficie. Wiedział, że upływ krwi szybko go osłabi, a zranione mięśnie zeszywnieją. Miał coraz mniej czasu. Rzucił na szalę całą swoją siłę i wprawę. Jego miecz przemienił się w błyski roztańczonego światła. Ciął i wyprowadzał pchnięcia wysoko w linii obrony, potem zamierzył się w udo, a później w głowę. Atakował zaciekle bez chwili przerwy, nie dając Penrodowi szansy na wsparcie się na wysuniętej stopie, wciąż zmuszając go do obrony.

Trafił Penroda w lewe ramię. Rana nie była poważna. Osman tracił krew znacznie szybciej niż Penrod. Każdy jego kolejny atak był mniej zaciekle, każda zasłona po pchnięciu nieco wolniejsza. Penrod dawał mu się zmęczyć, hamując się i czekając na swoją chwilę. Patrzył mu w oczy.

W czasie całego pojedynku Osman ani razu nie wyprowadził ciosu w biodro. Penrod z doświadczenia wiedział, że to jego ulubione, najbardziej zabójcze pchnięcie, którym okulał niezliczonych wrogów. Wreszcie sam zaoferował mu okazję, odsłaniając dolną część ciała.

Osman skorzystał ze sposobności i zaatakował. Penrod odwrócił się, ostry jak brzytwa miecz przeciął bryczesy, ale nie drasnął skóry. Osman zrobił wypad i nie zdążył się zasłonić.

Penrod uderzył. Sztych rozłupał mostek i wszedł w pierś jak rożen w rybę. Stał zazgrzytała na kręgosłupie.

Osman zamarł. Penrod podszedł bliżej. Chwycił prawą rękę przeciwnika, żeby nie zadał mu ostatniego pchnięcia. Ich twarze były oddalone o cale. Penrod miał oczy twarde i zimne, a Osman patrzył z gorzką nienawiścią, lecz jego spojrzenie powoli stawało się mętne. Miecz wypadł mu z ręki, nogi się pod nim ugięły. Penrod trzymał go na klindze szabli. Osman chciał coś powiedzieć, ale wąż ciemnej krwi wypełził z kącika jego ust i spłynął po brodzie.

Penrod rozluźnił nadgarstek i pozwolił, żeby Osman zsunął się z klingi. Upadł na wznak z szeroko

rozpostartymi rękami.

Penrod już chciał odejść, gdy usłyszał kobiecy krzyk. Podniósł głowę. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że w drzwiach meczetu kuli się niewielka grupa kobiet i dzieci, które wcześniej uciekły na jego widok. Kobiet nie znał.

— Nazira! — Był to głos Jakuba. Zobaczył, że jedna z kobiet drgnęła i wtedy ją rozpoznał. Trzymała dwoje dzieci, brzydkiego miedzianowłosego chłopca i młodszą o kilka lat śliczną dziewczynkę. Oboje płakali i próbowali się wyrwać, lecz Nazira nie chciała ich puścić.

Potem jakaś Arabka oderwała się od grupy i powoli zeszła po schodach. Zbliżyła się krokiem lunatyka, wpatrując się w człowieka, który leżał u stóp Penroda. Było w niej coś strasznie znajomego. Penrod cofnął się instynktownie, nie odrywając od niej zafascynowanego spojrzenia. Nagle zawołał: — Rebecca!

— Nie — odparła kobieta po angielsku. — Rebecca zmarła dawno temu. — Była żalostną parodią tamtej ślicznej dziewczyny, którą znał kiedyś. Uklękła obok Osmana i podniosła miecz. Spojrzała Penrodowi w twarz. Oczy miała stare, bezradne. — Zatrósz się o moje dzieci — powiedziała. — Przynajmniej tyle jesteś mi winien, Penrodzie Ballantynie.

Zanim zrozumiał, co zamierza, zanim zdążył się ruszyć, żeby temu zapobiec, odwróciła miecz. Wsparła głowicę o ziemię, przyłożyła szpic do dolnych żeber i całym ciężarem rzuciła się na ostrze. Głownia wsunęła się w ciało. Kobieta upadła na zwłoki Osmana Atalana.

Dzieci wrzasnęły, wyrwały się Nazirze, zbiegły po schodach i przypadły do ciał rodziców. Ich rozpaczliwy płacz przenikał Penroda do szpiku kości.

Schował szablę do pochwy i ruszył w kierunku gaju palmowego. Mijając Jakuba, powiedział: — Pochowaj Osmana Atalana. Nie kalecz jego ciała ani nie zabieraj głowy. Al-Dżamal pogrzeb obok niego. Nazira i dzieci pojedą z nami, na moim wielbłądzie. Ja wezmę al-Buka. Daj mi znać, gdy skończysz.

Poszedł do gaju i znalazł przewróconą palmę. Usiadł na pniu. Był bardzo zmęczony, krew pulsowała w skaleczonym ramieniu. Rozpiął bluzę i przyłożył chustkę do rany.

Zrozumiał, że chłopiec i dziewczynka są dziećmi Rebecki. Co się z nimi stanie? Potem pomyślał o Amber i Saffron. Mają dwie ciotki, które będą o nie walczyć. Uśmiechnął się ze smutkiem. Oczywiście odziedziczą udział Rebecki w funduszu powierniczym, a poza tym mają Nazirę. Niczego im nie zabraknie.

Jakub przyszedł do niego godzinę później. W drodze do meczetu zatrzymali się przy świeżo wykopanym grobie.

— Myślisz, że go kochała, Jakubie?

— Była muzułmańską żoną — odparł Jakub. — Pewnie, że go kochała. W oczach Boga nie miała wyboru.

Przygotowali się do drogi. Nazira z dziećmi jechała na wielbłądzie, z Jakubem u boku, Penrod na ogierze Osmana prowadził ich do Omdurmanu.

Ahmed Habib abd Atalan, syn Rebecki i Osmana Atalana, z wiekiem stawał się coraz brzydszy, ale był bardzo inteligentny. Uczęszczał na Uniwersytet Kairski, gdzie studiował prawo. Związał się z grupą czynnych politycznie studentów, którzy sprzeciwiali się brytyjskiej okupacji ich kraju. Resztę życia poświęcił temu samemu dżihadowi, w którym brał udział jego ojciec — dżihadowi przeciwko znieprawionemu państwu i imperium. W czasie obu wojen światowych popierał Niemcy i w czasie drugiej szpiegował dla Erwina Rommla. Był aktywnym członkiem Rewolucyjnej Rady Dowodzenia w czasie bezkrwawego przewrotu, który doprowadził do obalenia rządów króla Faruka, marionetki Brytyjczyków.

Córka Rebecki, Kahruba, była niskiego wzrostu, ale z roku na rok piękniała. Wcześniej odkryła w sobie wielki talent do tańca i gry aktorskiej. Przez dwadzieścia lat płonęła jasno niczym meteor na scenach największych teatrów Europy. Obdarzona dzikim, niezależnym duchem, stała się legendą za życia. Miała legiony kochanków, mężczyzn i kobiety. W końcu wyszła za francuskiego przemysłowca, producenta samochodów osobowych, z którym zamieszkała w przepysznym urządzonym pałacu w Deauville.

Abdallahi uciekł z Omdurmanu, a Penrod Ballantyne przez ponad rok ścigał go niestrudzenie wraz ze swoim korpusem wielbłądów. W końcu kalif zaprzestał ucieczki. Spędzał czas w otoczeniu żon i najwierniejszych zwolenników na jedwabnym kobiercu w obozie na pustkowiu. Zaatakowany przez żołnierzy, nie stawiał oporu. Zginął na miejscu od ich kul.

Grób Mahdiego zrównano z ziemią. Jego szczątki zostały ekshumowane, a z czaszki zrobiono kałamarz, sprezentowany następnie generałowi Kitchenerowi. Wstrząśnięty Kitchener pogrzebał czerep w sekretnym miejscu na odludziu.

Po bitwie o Omdurman Kitchener, ulubieniec imperium, został wyniesiony do godności para i otrzymał wielką nagrodę pieniężną.

Kiedy Burowie w Afryce Południowej zadali szereg druzgoczających klęsk armii brytyjskiej, jemu poruczono ratowanie sytuacji. Kitchener palił farmy, a kobiety i dzieci zamykał w obozach koncentracyjnych. Burowie zostali rozgromieni.

W czasie pierwszej wojny światowej jako marszałek polowy i głównodowodzący miał przeprowadzić imperium przez najbardziej wyniszczającą wojnę w dotychczasowych dziejach. W tysiąc dziewięćset szesnastym roku na pokładzie krążownika Hampshire zmierzał do Rosji, gdy okręt wpadł na niemiecką minę niedaleko Orkadów. Kitchener utonął, będąc u szczytu kariery.

Sir Evelyn Baring, pierwszy lord Cromer, wrócił do Anglii, gdzie resztę swoich dni poświęcił twórczości literackiej i popieraniu kwestii wolnego handlu w Izbie Lordów.

Nazira pomagała wychowywać dzieci trzech sióstr Benbrook, co zabierało jej mnóstwo czasu i energii, ale całą resztę dzieliła sprawiedliwie między Baczitę i Jakuba.

Ci dwaj do końca życia prowadzili prywatną wojnę. Jakub nazywał swojego rywala Nikczemnym Rozpustnikiem, a sam był przez niego zwany Dżaalińskim Zabójcą. Pod koniec życia odwiedzali tę samą kawiarnię: siadali w przeciwnych krańcach sali i palili fajki wodne, nie odzywając się słowem jeden do drugiego, ale wzajemna wrogość niosła im wielką pociechę. Kiedy Baczit zmarł w podeszłym wieku, Jakub już nigdy nie przekroczył progu tej kawiarni.

Pola bawełniane przynosiły krociowe zyski. Ryder Courtney zainwestował swoje miliony w transwalskie złoto i mezopotamską ropę, bez końca podwajając fortunę. Z czasem jego wpływy handlowe objęły prawie całą Afrykę i strefę śródziemnomorską. Dla Saffron na zawsze pozostał czułym, pobłażliwym mężem.

Generał sir Penrod Ballantyne udał się do Afryki Południowej ze sztabem Kitchenera i był obecny przy podpisaniu traktatu pokojowego z Burami w Vereeniging w Transwalu. W czasie pierwszej wojny światowej wraz z kawalerią Allenby'ego brał udział w kampanii przeciwko Turkom osmańskim w Palestynie. Walczył pod Gazą i Megiddo, gdzie zyskał kolejne zaszczyty. Jeszcze w wieku siedemdziesięciu lat mistrzowsko grał w polo. Oboje z Amber mieszkali w domu nad Nilem i doczekali się licznej rodziny.

Amber i Saffron przeżyły swoich mężów. W miarę upływu lat stawały się sobie coraz bliższe. Amber odniosła sukces jako autorka powieści, które wiernie oddawały romantyzm i tajemniczość Afryki. Dwa razy była nominowana do literackiej Nagrody Nobla. Saffron spełniła się jako malarka; jej cudownie barwne obrazy zdobiły galerie w Nowym Jorku, Paryżu i Londynie. Cykl Nilowy,

rozkupiony przez zamożnych kolekcjonerów z dwóch kontynentów, osiągnął zawrotne ceny. Picasso powiedział o niej: „Ona maluje skrzydłem nektarnika”.

Jednakże oni wszyscy już odeszli, bo tylko afrykańskie słońce triumfuje wiecznie.

GLOSARIUSZ Nazw arabskich nie można dokładnie oddać w języku angielskim, ponieważ arabskie spółgłoski nie mają odpowiednika w naszym języku, a wymowa samogłosek, podobnie jak u nas, jest odmienna w różnych częściach kraju. Istnieją „naukowe systemy” transkrypcji, pożyteczne dla tych, którzy znają na tyle arabski, że nie potrzebują takiej pomocy, ale dla zwykłych śmiertelników są diabła warte. Stosuję dowolną ortografię, aby wykazać, jak bzdurne są te systemy*.

T. E. Lawrence, Siedem filarów mądrości

Abadan Ridzi — ten, który nigdy nie odwraca się plecami, arabskie imię Penroda Ballantyne'a
abd — niewolnik

agadżerowie — elitarni wojownicy z pustynnego plemienia Bedżów

al-Buk — Trąba Bojowa, rumak Osmana Atalana

al-Dżamal — piękna, arabskie imię Rebecki Benbrook

al-Karim — dobry i hojny; odmiana arabskiego imienia Rydera Courtneya

al-Sachawi — szczodry, arabskie imię Rydera Courtneya

al-Zahra — kwiat, arabskie imię Amber Benbrook

Ammi — ciotka

angareb — arabskie łóżko z rzemienną plecionką

ansarowie — pomocnicy, wojownicy Mahdiego

ardeb — wschodnia miara objętości. Pięć ardebów równa się jednemu metrowi sześciennemu

asida — kleik z durrey doprawiony chili

Bahr al-Abjad — Nil Biały

Bahr al-Azrak — Nil Błękitny

bombom — kule albo pociski armatnie tłum. Jerzy Schwakopf

Beja — przysięga wierności wymagana przez Mahdiego od ansarów

Bejt el Mai — skarbiec Mahdiego

chedyw — władca Egiptu

durra — sorgo, *Sorghum vulgare*; podstawowe pożywienie ludzi i zwierząt

dżibba — mundur mahdystów, długa szata zdobiona kolorowymi łatami

dżihad — święta wojna

dżinn — duch z mitologii muzułmańskich, zdolny do przybierania ludzkiej lub zwierzęcej postaci, mający wpływ na ludzi, obdarzony nadnaturalnymi mocami

dżiz — skarabeusz lub żuk gnojak

efendi — pan, tytuł grzecznościowy

fałdża — szczerba pomiędzy zębami; oznaka wyróżnienia wzbudzająca podziw w Sudanie i wielu krajach arabskich

tellach — egipski rolnik

ferenghi — cudzoziemiec

Filfil — pieprz, arabskie imię Saffron Benbrook

Frankowie — Europejczycy

galabija — tradycyjna długa szata arabska

Hulu Majja — Słodka Woda, klacz Osmana Atalana

Jom ii Guma — piątek, muzułmański dzień świąteczny

kalif — zastępca Mahdiego

kantar — wschodnia miara ciężaru: jeden kantar równa się jednemu cetnarowi
kittar — krzak z ostrymi, zakrzywionymi kolcami
kufi — tradycyjna mycka muzułmańska Kurban
Bajram — muzułmańskie święto upamiętniające ofiarę uczynioną przez Abrahama ze swego syna Izaaka, zamienioną przez Boga na ofiarę z owcy; jedno z najważniejszych świąt w islamie
mulazeminowie — czeladź arabskiego arystokraty
Mahdi — Oczekiwany, następca proroka Mahometa
mahdija — władza Mahdiego
mahdysta — zwolennik Mahdiego
nullah — suche albo wypełnione wodą koryto strumienia
ombeja — trąba wojenna wyrzeźbiona z jednego ciosu słonia
sirdar — tytuł głównodowodzącego w armii egipskiej
sitt — pani, tytuł grzecznościowy
suk — bazar
szufta — bandyta
tedż — mocne piwo z durry
Turek — uwłaczające określenie Egipcjanina
Tirbi Kebir — wielkie cmentarzysko, panew solna w zakolu Nilu
wadi — sucha dolina na pustyni
zareba — ufortyfikowane ogrodzenie z kamieni lub kolczastych krzewów
zenana — pomieszczenia dla kobiet w arabskim gospodarstwie domowym